



WACŁAW CZYŻEWSKI „IM”

więc zarepetuj broń...

Więc zarepetuj broń...

Wacław Czyżewski „IM”

[Spis treści](#)

[Mapy](#)

[Fotografie](#)

*

* *

W okresie dzieciństwa - któż nie wraca

do niego myślą po latach! - nasłuchiwałem, się niemało opowiadań starszych ludzi. W długie zimowe wieczory sędziwi chłopcy opowiadali o przeżytych wojnach, o podróżach po obcych krajach w poszukiwaniu pracy i chleba, o powstaniach, w których walczyli ich ojcowie.

Byłem zawsze bardzo wdzięczny moim Rodzicom za to, że właśnie w naszym domu odbywały się spotkania bardziej uświadomionych i odczytanych chłopów, którzy w wolnych od pracy chwilach dzielili się swoimi poglądami na tematy gospodarcze, społeczne i polityczne.

Jako dorastający chłopiec przysłuchiwałem się tym pogwarkom,

z najwyższym zainteresowaniem chłonąc każde słowo.

Kiedy dziś wracam wspomnieniami do tamtych czasów, nie wiem czemu bardziej zawdzięczać tę swoistą szkołę życia - staropolskiej gościnności mojej Matki czy zaletom Ojca, uchodzącego w okolicy za wzór obywatela, gospodarza, męża i ojca. A może po prostu faktowi, że było u nas zawsze do poczytania trochę książek i prenumerowanych gazet?

Postać nieżyjącego już Ojca wspominam zawsze z ogromną wdzięcznością. Jakże cenne okazywały się nieraz Jego rady, jak pomocne - nie zawsze doceniane - nauki i pouczające przykłady

z niedawnej i z tej całkiem już odległej historii. Pouczające zwłaszcza w trudnych latach okupacji, gdy porzuciwszy dom, dzieliłem wraz z innymi partyzancką dolę i niedolę.

Historia magistra vitae est - historia jest nauczycielką życia - głosi znana i stara jak świat prawda. Jest nauczycielką życia zwłaszcza wtedy, gdy wiernie przekazuje pokoleniom wydarzenia przeszłości.

Z tą myślą, w poczuciu obowiązku wobec naszej młodzieży, która na własne oczy wojny nie oglądała, oraz w nadziei, że staną się drobnym choćby przyczynkiem do pełnego obrazu ludowego ruchu oporu na ziemiach

polskich w latach wojny - zabieram się do spisywania moich okupacyjnych wspomnień.

Autor

Przed wojną

Przyszedłem na świat niedaleko gromady Rzeczyca Ziemiańska, na kolonii Zielonka Górna, 25 kwietnia 1917 roku.

Zdarzyło się to dawno, już przeszło pół wieku temu, pół wieku bogatego w wydarzenia i zmiany, a nade wszystko czasu bogatego w burzliwy rozwój nauki i techniki, dyktującej coraz bogatsze i szybsze tempo życia.

Jestem jednym z tych szczęśliwców, którego kręta i trudna droga prowadziła przez różne koleje życia z zapadłej i zacofanej wioski w powiecie kraśnickim, na terenie południowej Lubelszczyzny, do naszej stolicy - Warszawy.

Pracę rozpocząłem wczesnie, już w dwunastym roku życia, a byłem kolejno: robotnikiem rolnym u bogatszych gospodarzy, furmanem, robotnikiem budowlanym, palaczem na statku wiślanym, wykonywałem też wiele innych dorywczych prac, które do wybuchu wojny podejmowałem samodzielnie i które były źródłem mojego utrzymania.

W okresie okupacji byłem partyzantem. Po wyzwoleniu znalazłem się w szeregach Wojska Polskiego, gdzie pozostaję do dnia dzisiejszego.

Na swej czterdziestoletniej drodze pracy, która prowadziła od wiejskiego parobka do generała Wojska Polskiego, spotykałem różnych ludzi: od robotników, podpisujących się tylko przysłowiowymi krzyżkami, do profesorów i wysokich dostojników państwowych.

Ojciec mój, wywodzący się z nadwiślańskich chłopów, był człowiekiem postępowym, dwa razy wybieranym przez gromadę na sołtysa, był też członkiem rady gminnej, należał

do kółka rolniczego i innych społecznych organizacji. W moim domu rodzinnym zawsze można było znaleźć trochę książek i pożyczonych gazet. Matka zaś, bardzo pracowita i zaradna kobieta, zainteresowania swoje ograniczała do spraw gospodarskich i do wychowywania nas - sześciorga dzieci, wśród których ja zajmowałem drugie z kolei miejsce po najstarszej siostrze, Adeli.

Młodszy ode mnie brat, Janek, i trzy najmłodsze siostry - Gienia, Marysia i Irenka - to dzieci, z którymi matka miała najwięcej kłopotu, gdyż dorastały niemalże razem, trzeba było więc je jednocześnie karmić, ubierać i przygotowywać do życia.

Gospodarstwo nasze składało się z pięciu hektarów kiepskiej ziemi - rozrzuconej na dokładkę w sześciu oddzielnych kawałkach - i starych walących się zabudowań, które ojciec odziedziczył po dziadku. Rozpoczynając gospodarowanie ojciec musiał wybudować nowy dom oraz wszystkie budynki gospodarcze. Był to ogromny ciężar, który przez długie lata ciążył na życiu naszej rodziny, koszt budowy bowiem tego wszystkiego równał się mniej więcej wartości całego naszego majątku; dyktowało to potrzebę zarobkowania przez naszą całą rodzinę, gdzie i jak się tylko dało.

Ojciec ratował się, jak mógł. Znał się dobrze na koniach, zaczął więc nimi

handlować. Kupował szkapy mocno zabiedzone, czasem i chore, odżywiał je i leczył, a później sprzedawał z jakimś tam zarobkiem. Dzięki temu mógł spłacać długoletnie pożyczki, zaciągane na budowę gospodarstwa.

Zdarzyło się kiedyś, że kupił na targu w Kraśniku ciężko chorego konia, a sprowadzony lekarz weterynarii, Stefan Czarnecki, orzekł, że uratować go może tylko specjalne lekarstwo, po które trzeba było natychmiast pójść do apteki w Zaklikowie. Każda minuta była cenna. Decydowała szybkość.

- Ja pobiegnę - wykrzyknąłem

Drogę do Zaklikowa trochę znałem. Jeździłem tam z ojcem kilka razy na

jarmarki, które odbywały się w każdą środę.

Czarnecki wypisał na kartce nazwę leku i ja w drogę.

Miałem wtedy ukończonych dwanaście lat, a pamiętam to zdarzenie, jakby to było wczoraj. Biegłem ścieżkami polnymi, skracając sobie drogę, chciałem jak najszybciej wrócić z lekarstwem. Żal mi było ojca, a także męczącego się konia, nie mówiąc o tym, że koń w tamtych czasach był ogromnym majątkiem, który mogliśmy stracić. Mimo młodego wieku zdawałem sobie doskonale sprawę z grożącego nam nieszczęścia.

Gnany więc troską i przygnębiającymi

myślami siedmiokilometrową drogę do Zaklikowa - i z powrotem - przebyłem w dwie i pół godziny. Czarnecki śmiał się potem, że naszego siwka nie on, tylko ja uratowałem. Było w tym dużo prawdy. Tak mu się to spodobało, że zawarł ze mną umowę na stałe dostarczanie leków potrzebnych mu do leczenia domowych zwierząt.

Chodziłem ze specjalną torbą dwa razy w tygodniu do Zaklikowa po opatrunki i lekarstwa, a za każdy kurs dostawałem od weterynarza dwa złote. Zarabiałem więc cztery złote tygodniowo. To było niemało, jeśli zważyć, że męskie buty letnie, średniej jakości, w owym czasie kosztowały 8-10 zł. Dumny byłem z tej mojej pierwszej pracy zarobkowej. Nie

byłem już tak wielkim ciężarem dla ojca - pomagałem rodzinie.

Kiedyś w Zaklikowie zaskoczyła mnie wielka ulewa.

Z nieba spadło na ziemię tyle deszczu, że wszystkie drogi i ścieżki, którymi wypadało mi wracać, znalazły się pod wodą. Zastanawiałem się, co robić. Nie chciałem się spóźnić, nie chciałem w czymkolwiek podpaść Czarneckiemu. W żadnym wyjątku. Postanowiłem więc wracać ścieżką biegnącą wałem kolejowym, równoległe do swojego utartego szlaku.

Deszcz przestał padać. Czerwcowe powietrze było czyste, orzeźwiające, przyjemne. Biegłem chyżo wzdłuż toru

kolejowego wijącego się wśród dojrzewających zbóż. Świadomość, że znów zarobię swoje dwa złote, dodawała mi siłę, popędzała. Chwilami zdawało mi się, że mogę wszystko bez większego trudu osiągnąć w życiu, choć przyszłość miała mnie przekonać, że życie jest znacznie trudniejsze, niż myślałem.

Nagle, kiedy dobiegałem do mostku, skąd już tylko kawałek drogi pozostał do Zielonki, oczom ukazał się straszny widok. Na mostku leżał martwy człowiek. Poszarpany strzęp łańców i krwawa masa tam, gdzie miała być głowa. Stałem sparaliżowany widokiem. Po raz pierwszy w życiu widziałem zabitego człowieka.

Przez moment nie wiedziałem, co dalej robić. Po chwili przyszło mi do głowy, że to wypadek, że zabił go pociąg zdążający z Lublina do Rozwadowa.

Pobiegłem czym prędzej do domu. Zawiadomiłem ojca, a on - jako sołtys - przekazał tę wiadomość policji w Trzydniku.

Czekaliśmy z niecierpliwością. Po kilku godzinach przyjechało furmanką dwóch policjantów. Zrobili oględziny, spisali protokół. Stwierdzono, że denat jest mężczyzną w wieku około czterdziestu lat, nigdzie nie meldowany. Bezrobotny. Człowiek, który chciał, lecz nie mógł dostać pracy. Jeden z tych wielu, którzy nie mając środków do życia wędrowali

od wsi do wsi, zatrzymując się na nocleg u przygodnych chłopów, gdzie dostawali trochę strawy, kawałek chleba, który ratował im życie.

Widywałem ich często. Nazywano ich „rajzerami”. Mówiło się potocznie: „no tak, poszedł w rajzę”, albo „bieda wyгнаła go w rajzę”. Słyszałem już przedtem, że kiedy taki „rajzer” zachorował albo przydarzyło mu się jakieś inne nieszczęście, nie widząc ratunku odbierał sobie życie. Teraz zobaczyłem to na własne oczy.

Jeszcze tego samego dnia miejscowy stolarz na polecenie policji zbił prostą, z czterech nie heblowanych desek trumnę, a raczej skrzynkę, do której

włożono zwłoki i bez ceremonii pochowano w rogu cmentarza - miejscu grzebania samobójców.

Wypadkiem tym byłem mocno wstrząśnięty. Mimo że ojciec mi tłumaczył, nie mogłem zrozumieć, dlaczego miliony zdrowych i zdolnych ludzi nie mogą znaleźć pracy. Dopiero w kilka lat później miałem tego osobiście doświadczyć. Całymi miesiącami byłem bez pracy - bezrobotny, głodny obywatel na warszawskim bruku.

Tymczasem z każdym dniem i miesiącem narastała bieda w domu i okolicy. Matka, która dziś, w latach sześćdziesiątych, kiedy piszę te

wspomnienia jeszcze żyje i cieszy się
dobrym - jak na swoje siedemdziesiąt
osiem lat - zdrowiem, za największe
zmartwienie uważała wówczas
przyodzianie czterech dorastających
córek. Pamiętam, że każde jajko,
kawalek masła czy kurczaka niosła na
targ do Zaklikowa, by za utargowane
grosze kupić okrycie czy buty dla
swoich kłopotliwych pociech. Mieliśmy
często pretensję do matki, że nic poza
maślanką, odciągany mlekiem czy
serwatką nie pozostawiła dla nas do
jedzenia. Matka z zażenowaniem
tłumaczyła nam, że przecież z głodu nie
umieramy i nie musimy iść w „rajzę”,
a dorastające dziewczęta trzeba
przyodziać, bo jakżeż się przed ludźmi

mają pokazać panny „na wydaniu”. Ale wszystkie plany, wszystkie starania łamała narastająca fala nędzy. Coraz więcej rzeczy trzeba było się wyrzekać.

Począwszy od 1930 roku kryzys gospodarczy wzmógł się gwałtownie, a bezrobotnych było coraz więcej. Zamykano wiele zakładów pracy w całym kraju, tych, których właściciele bankrutowali. Drobni rzemieślnicy zwijali swoje warsztaty, zwalniali zatrudnionych robotników. Bogatsi pozbywali się parobków i najemników. Nie pozostało to - rzecz jasna - bez wpływu na moje losy. Mojemu chlebodawcy, Czarneckiemu, też się pogorszyło, zwolnił więc mnie z obowiązku dostarczania lekarstw i sam

zaczął chodzić czy jeździć do Zaklikowa po swoje zaopatrzenie. Tak więc mając zaledwie piętnaście lat stałem się już bezrobotny.

W domu, oprócz mnie, był młodszy brat, który mógł pomagać ojcu, były też cztery siostry, a więc - jak na niewielkie i mocno zadłużone gospodarstwo - aż za dużo rąk do pracy, a co najważniejsze, za dużo - jak to wówczas mówiono – „gęb do jedzenia”. Coraz więcej gnębiła mnie świadomość, że jestem w domu niepotrzebny, a w tak zwaną „rajzę” bałem się wybrać. Byłem przecież jeszcze dzieckiem.

Gnany troską o własny los zapytałem kiedyś rozmawiającego z moim ojcem

wiejskiego majstra ciesielskiego, Pomykałę, czy nie wzięłby mnie na ciesielkę.

- A ileż ty chciałbyś zarobić? - spytał tamten, mierząc mnie lekceważąco.

- Co dacie, to i wezmę. Wszystko mi jedno. Aby tylko nie siedzieć w domu beczynnio - odpowiedziałem.

No i poszedłem do ciesielki, ale zapłaciłem drogo, gdyż musiałem przerwać szkołę podstawową.

Pomykała okazał się człowiekiem niezwykle pracowitym i niezwykle skąpym. Pracowaliśmy od świtu do nocy. W lecie, przy długim dniu, po szesnaście godzin dziennie. Mój majster był chłopem o silnej budowie, miał

ponad dwa metry wzrostu, szerokie, pochylone nieco bary i zupełnie małą, na bocznej karku wspartą głowę, wyraźnie nie pasującą do jego niedźwiedziej sylwetki. Człowiek ten - analfabeta - poza pracą i jedzeniem nie odczuwał żadnych innych potrzeb. Zwalniał nas tylko na śpieszne spożycie śniadań, obiadów i kolacji podawanych nam przez tych chłopów, u których budowaliśmy chałupy lub inne gospodarskie zabudowania. Sam jadł bardzo szybko, łapczywie, a kiedy odkładał łyżkę, chwycił z miejsca za siekiere, no i nam - cieślom i praktykantom - trzeba było robić to samo.

Wśród zatrudnionych pięciu cieśli

i trzech praktykantów ja byłem najmłodszy i najmniejszy wzrostem. Miałem więc duże trudności przy ciosaniu bali do sznura. A szczególnie ciężka była dla mnie ręczna piła traczna, przy której znacznie szybciej męczyłem się niż moi współnicy.

Pamiętam ów ból rąk powyżej łokci, który nie dawał mi spokoju, gdy układałem się do snu w stodole na słomie. Moją sytuację coraz bardziej pogarszały krwotoki. Podczas każdego większego wysiłku, szczególnie latem, ciekła mi z nosa krew. Musiałem wówczas przerywać pracę i kłaść się na wznak, a majster z wyraźną dezaprobatą pomrukiwał: „oho, już mu znów leci ta jucha”.

Pewnego razu latem 1933 roku pracowaliśmy przy budowie domu u jednego z gospodarzy we wsi Węglinek - Jana Jaworka. Wskutek lipcowego ciepła i zmęczenia dostałem dużego krwotoku. Ułożyłem się na wznak pod rozłożystą lipą, krew sączyła się z wolna, ale bez przerwy, a ja - słabnąc stopniowo - zasnąłem. Obudziła mnie żona gospodarza, szybko podała namoczony w zimnej wodzie ręcznik i zaleciła, bym go sobie przyłożył do karku, z tyłu głowy. Uczyniłem to, ale tego dnia nie mogłem już przystąpić do pracy. Leżałem osłabiony do samego wieczoru w cieniu pod lipą, potem powlokłem się do domu. Majster przy wypłacie potrącił mi dwa złote za nie

przepracowaną dniówkę.

Nadszedł rok 1934. Był to rok wyjątkowo ciężki dla ludności lubelskich wsi. Coraz trudniej było o pracę i coraz więcej było bezrobotnych i głodnych ludzi. Mój majster też dokonał redukcji zatrudnionych u siebie pracowników. Jako słabujący znalazłem się i ja na bruku. Szczęście mnie jednak i tym razem nie opuściło.

W sąsiedniej wiosce - Rzeczycy - powstała pierwsza w naszej okolicy mleczarnia. Oczywiście prywatna. Właściciel potrzebował furmana wraz z koniem i wozem do zwożenia mleka z okolicznych wiosek. Za zgodą ojca

przyjąłem tę pracę, tym bardziej że koń w okresie „przednówka” nie miał nic do roboty. Stałem się więc na okres dwóch lat zawodowym „wozimlekiem”.

Ta praca była lekka i nie miałem już kłopotu ani ze zmęczeniem, ani z krwotokami. Do codziennych obowiązków, za które - obaj: mój kary i ja - otrzymywaliśmy 80 złotych miesięcznie, należało zabieranie baniek z mlekiem z kilku okolicznych wiosek, przywożenie ich do mleczarni, a po odciążeniu śmietany - rozwiezenie baniek z powrotem. Czynność ta wyrobiła po pewnym czasie, zarówno u mnie, jak i u konia, pewien automatyzm. Mój kary bez lejców i bata doskonale wiedział, gdzie jechać i gdzie

przystanąć. Mogłem więc sobie po drodze smacznie drzemać. Korzystając z tego, że mam dużo czasu, sięgnąłem po książki. Lubiłem czytać. Przeczytałem „całego” Sienkiewicza i Prusa, dużo książek Reymonta, Orzeszkowej, Zapolskiej i wielu innych pisarzy. Największe jednak wrażenie zrobiły na mnie książki Żeromskiego, a szczególnie „Przedwiośnie”. Miało to duży wpływ na kształtowanie się moich postępowych poglądów, na dostrzeganie dobra i zła w życiu i ludziach.

Z wielką wdzięcznością wspominam też kilku postępowych nauczycieli, którzy podsuwali mi chętnie książki ze szkolnej biblioteki, a w dyskusjach kształtowali moje polityczne i społeczne poglądy.

W tym czasie wstąpiłem do młodzieżowej organizacji „Wici”, gdzie poznałem wielu zacnych ludzi, między innymi Janka Czarneckiego i Tadeusza Klechę. Niezapomniane pozostaną też takie nazwiska, jak Keller - nauczyciel - który będąc z pochodzenia Niemcem był wielkim polskim patriotą. W okresie okupacji, pomimo proponowanych mu przez Niemców wyższych stanowisk w administracji, bronił się przed ich przyjęciem, a kiedy rozwinęła się walka, przez swoją żonę Polkę ostrzegał nas wiele razy przed aresztowaniami, wymierzonymi przeciwko naszym ludziom. Udostępniał nam również swoje legalne radio.

Albo Stanisław Maj, długoletni

kierownik szkoły w Rzeczycy, chłopski syn i wielki przyjaciel młodzieży wiejskiej, w szczególności zaś młoda nauczycielka, urocza Marysia Mazgajówna. Ta niezwykle skromna i dzielna kobieta, mimo swojego młodego wieku i nie najlepszego zdrowia, dużo czasu poświęcała wiejskiej młodzieży. Na krótko przed swoją przedwczesną śmiercią została żoną jednego z najwybitniejszych, postępowych organizatorów walk wyzwoleniczych na Lubelszczyźnie, Aleksandra Szymańskiego.

Ludzi tych, tak samo jak swoich rodziców, wspominam z największą czcią i szacunkiem.

Tak więc - jak już wspomniałem - dzięki temu, że zacząłem wozić mleko, zmienił się mój pogląd na świat. Cóż, kiedy po dwóch latach mleczarnia w Rzeczycy zbankrutowała. Znowu straciłem pracę.

Nadchodził rok 1935. Mimo trwającego kryzysu gospodarczego, był on dla mnie rokiem przełomowym. W ciągu tego właśnie lata natura uśmiechnęła się do mnie. Wyrosłem i zmężniałem. Nareszcie dorównywałem rówieśnikom i kolegom. Pamiętam swoją radość, kiedy ubrania i buty szybko okazały się na mnie za małe. Koledzy przestali na mnie mówić „mały Wacek”, co traktowałem niemal jak obelgę. Nic bowiem bardziej dla młodego chłopaka nie jest upokarzające niż świadomość

fizycznej słabości wobec swoich kolegów i rówieśników. Z wielkim zapałem i entuzjazmem chwyciłem się teraz każdej pracy, przy której mogłem wypróbować swoją siłę. Dorównując najlepszym kosiarzom w okresie żniw i przy innych polnych robotach poczułem się pewniejszy siebie i już bez kompleksów, jakie występują zawsze u słabszych ludzi. Mogłem zabierać głos na równi z innymi kolegami w sprawach nawet kontrowersyjnych.

Jesienią tego samego roku podjąłem wielką decyzję. Najbliższy mój kolega i przyjaciel starszy ode mnie o trzy lata, Janek Czarnecki, wprowadził mnie w szeregi KPP. Od tego też czasu zająłem się czytaniem nielegalnej bibuły

KPP-owskiej, a także jej tajnym przechowywaniem w różnych zakamarkach naszych zabudowań. Działo się to - rzecz jasna - za wiedzą ojca, przed którym nie musiałem mieć żadnych tajemnic.

Pamiętam pierwsze tajne zebranie. Odbywało się w niewielkim lasku, tzw. „choinkach”, niedaleko stacji kolejowej w Rzezycy. W zebraniu tym uczestniczyłem po raz pierwszy jako faktyczny członek KPP. Poznałem tam członków naszej komórki partyjnej i przedstawicieli komitetu powiatowego KPP, między innymi tow. Michała Wójtowicza, późniejszego sekretarza lubelskiego obwodowego komitetu PPR.

Tymczasem ciężkie życie toczyło się dalej. Wzrastało bezrobocie na wsi. Odbijało się to szczególnie na młodzieży, która ani nie mogła się uczyć, ani znaleźć zajęcia. Najbardziej przedsiębiorczy ludzie: murarze, stolarze i cieśle wyjeżdżali latem na sezonowe roboty budowlane do większych miast. Najchętniej do Warszawy. Choć i tam niełatwo było o pracę, to jednak różni prywatni przedsiębiorcy chętnie zatrudniali przyjezdnych z prowincji robotników, którzy chwyтали się każdej pracy za niższe wynagrodzenie niż robotnicy miejscy zorganizowani w swoich związkach. Konkurencja ta była nieraz powodem nieporozumień między

robotnikami miejskimi i przyjezdnymi ze wsi.

W 1935 roku, starsza ode mnie o dwa lata siostra, Adela, wyszła za mąż za murarza. Młody jej małżonek już od kilku lat jeździł na takie właśnie sezonowe roboty do Warszawy, miał więc w tym względzie bogate doświadczenie. Zaistniała więc i dla mnie możliwość wyjazdu razem ze szwagrem na roboty. Pomimo różnych trudności wiosną 1936 roku postanowiłem wybrać się do tej „ziemi obiecanej”. Ponieważ pociągiem bilet do Warszawy kosztował trzynaście i pół złotego, co na ówczesne czasy było bardzo dużo, statkiem wiślanym zaś tylko pięć złotych, przeto wybraliśmy

się drogą wodną.

Nie miałem żadnej walizki ani większej torby, pożyczyłem więc sobie od sąsiada, który niedawno wrócił z wojska, drewniany, własnej roboty kuferek. Matka przygotowała mi na drogę dwie pary czystej bielizny, lniany ręcznik, duży kilkukilogramowy bochenek razowego chleba, kilkanaście gotowanych jaj, trochę sera i kawałek słoniny.

Do najbliższej przystani rzeczno-statku - w Annopolu - było osiemnaście kilometrów. Ojciec odwiózł nas - zięcia i mnie - furmanką i życząc jak najlepszych zarobków pożegnał ze wzruszeniem.

Weszliśmy na statek o historycznej nazwie: „Krakus”. Podróż do Warszawy trwała dwie doby. Ponieważ był to początek maja i piękna pogoda, siedziałem na pokładzie i z zachwytem, po raz pierwszy w życiu, wpatrywałem się w przepiękne nadwiślańskie krajobrazy.

Trzeciego dnia podróży, wczesnym rankiem, nasz „Krakus” zbliżył się do Warszawy. Ujrzałem z daleka kontury wielkiego miasta. Wyłaniały się z mętnych mgieł. Stałem na pokładzie i wpatrywałem się z podziwem w rosnące w miarę zbliżania się strzeliste wieże warszawskich kościołów, górujący nad miastem najwyższy wówczas „drapacz chmur” w

Warszawie (przy placu Napoleona), widziałem potężne przęsła mostów: Poniatowskiego i Kierbedzia, spinające obie części przeciętego Wisłą miasta, zbliżały się z wolna, rosły, a potem „Krakus” wpłynął pod ich żelazne rusztowania.

Warszawa, którą znałem tylko z lekcji geografii, z książek i gazet, zrobiła na mnie wielkie i miłe wrażenie. Niepodobna wprowadzić do tej dzisiejszej, ale i wówczas była przecież jednym z najpiękniejszych miast w Europie. Nie myślałem wtedy, że miasto to, do którego wybrałem się na sezonowy zarobek, gdzie przeszedłem różne trudne koleje, stanie się moim stałym domem.

Gdy wysiadłem na brzeg, byłem wciąż urzeczony. Niosąc swój niewygodny, kanciasty kuferek szedłem potulnie za szwagrem ulicami Wybrzeża Kościuszkowskiego, rozglądałem się na wszystkie strony, gapiłem się łapczywie, a on, zwracając mi uwagę na przejściach ulicznych, objaśniał po drodze nazwy ulic i wskazywał domy, w których mieściły się różne instytucje i urzędy.

Zatrzymaliśmy się na kwaterze u murarza Dwornikiewicza, znajomego szwagra. Tam w jednym pokoju - oprócz gospodarza, jego żony i dorosłego syna - mieszkało nas trzech przyjezdnych lokatorów. Ja i szwagier spaliśmy na jednym łóżku. Szwagier za kilka dni dostał pracę, ale ja, mimo usilnych

poszukiwań, przez pierwsze trzy tygodnie żadnego zajęcia nie mogłem znaleźć. Były to przecież lata kryzysu i bezrobocia, które nie ominęły i Warszawy. Najbardziej martwił mnie fakt, że byłem dla szwagra zbędnym obciążeniem, musiał mnie przecież żywić, utrzymywać za pieniądze, które potrzebne mu były na utrzymanie własnego domu.

Nie chciałem być darmozjadem. Postanowiłem chwycić się jakiegokolwiek pracy, byle zarobić na swoje wyżywienie. Przy pomocy dozorczy domu, któremu pomagałem sprzątać podwórko, udało mi się dostać pracę na statku wiślanym o nazwie „Mazurek”. Pracowałem tam jako

pomocnik palacza. Dosypywałem węgiel do pieca w maszynowni.

Pierwszy mój rejs - z Warszawy do Tczewa - odbył się z początkiem czerwca, właśnie wtedy, kiedy rozpoczęły się wyjątkowe w tym roku upały; w maszynowni temperatura dochodziła do trzydziestu stopni. I choć byłem już dość silny fizycznie i dosypywanie węgla do kotła nie sprawiało mi żadnych trudności, to jednak dała znać o sobie moja dawna słabość - znowu wróciły krwotoki z nosa. Mój szef, stary i poczciwy, opalony na brąz palacz, znający Wisłę jak własną kieszeń, mimo wyrozumiałości doradzał mi: „No cóż, za miękki jesteś; nie nadajesz się, mój

kochany, na marynarza. Po powrocie do Warszawy poszukaj sobie innej, lżejszej pracy!”

Po pierwszym ośmiodniowym kursie statkiem musiałem odejść. Żał mi było tej pracy podwójnie: mogłem zarobić tam na siebie i obserwować piękne nadwiślańskie tereny dolnego biegu Wisły. Nie traciłem jednak nadziei.

Kiedyś wieczorem, po całodziennym tułaczym i bezskutecznym poszukiwaniu pracy, gdy mój kochany szwagier doradzał mi, żebym może wrócił do domu, przypomniałem sobie, że w Warszawie już od wielu lat mieszka moja kuzynka, Bronka Pietrzykówna, i pracuje tutaj jako pomoc domowa.

Szwagier przypomniał sobie nawet jej adres. Pracowała na Powązkach, przy ulicy Burakowskiej 24.

Rankiem następnego dnia poszedłem pod wskazany adres z nadzieją, że może tą drogą, przez wykorzystanie jej znajomości w Warszawie, uda mi się gdzieś zahaczyć w pracy, chociażby na krótko.

Kuzynka, do której trafiłem bez większych trudności, w międzyczasie wyszła za mąż i mieszkała wraz z mężem w maleńkim pokoiku pod tym samym numerem. Ciężka praca, którą wykonywała od wielu lat, wyrobiła w niej wielką wyrozumiałość i uczynność, a przede wszystkim

poczucie cudzej krzywdy, toteż natychmiast zareagowała na moją trudną sytuację. Przede wszystkim zaproponowała, bym zamieszkał u niej do czasu znalezienia pracy. Obiecała również wykorzystać swoje i męża znajomości, by mnie gdzieś zatrudnić. Szczęśliwy z takiego obrotu sprawy tego samego jeszcze dnia przeprowadziłem się ze swoim nieodłącznym kuferkiem na nową kwaterę. Poczujęm się tu bardziej swojsko. Zawsze to była kuzynka.

Ale pracy jak nie było, tak nie było - pomimo intensywnych poszukiwań i pomocy ze strony moich opiekunów. Znowu minęło kilka tygodni. Aby nie być zupełnie bezużyteczny, chętnie pomagałem mężowi kuzynki w jego

pracy. Pracował w urzędzie skarbowym w charakterze agenta, wyřęcałem go więc w doręczaniu nakazów płatniczych. Wybierałem - rzecz jasna - te dzielnice i ulice, które najlepiej znałem. Pomagałem również kuzynce. Robiłem różne zakupy; często chodziłem na Kercelak przy ulicy Okopowej. Wciąż rozglądałem się za pracą.

Któregoś dnia, wracając do domu po doręczeniu kilkudziesięciu nakazów płatniczych, przechodziłem obok składu materiałów budowlanych w zaułku przy ulicy Dzikiej, zobaczyłem tu pracujących ludzi przy wyładowywaniu palonego wapna. Przystanąłem. Przyglądałem się chwilę, aż jeden z pracujących - jak się później okazało, coś w rodzaju

brygadzisty - widząc moje zainteresowanie tą pracą, zapytał:

- No co, podoba ci się taka praca?

Odpowiedziałem, że jestem bezrobotny i poszukuję jakiejkolwiek pracy.

- To przyjdź pan tu jutro. Na siódmą godzinę. Pogadamy!

Następnego dnia już przed siódmą rano byłem na miejscu. Przyszedł punktualnie o godzinie siódmej. Porozdzielał robotników, po czym zwrócił się do mnie:

- No to co, gotowyś pan? Krzepę pan masz?

Skinąłem głową.

- No to bierz pan łopatę i chodź pan za mną - powiedział.

Po drodze do boczniczy przedstawił się. Rajewski się nazywał. Powiedział mi też, że rozumie, co to znaczy być bezrobotnym i że pragnie mi pomóc. Zaznaczył też, że przyjmuje mnie tymczasowo do wyładowywania wapna, a dalej to już wszystko będzie zależeć ode mnie - zobaczymy - dodał i uśmiechnął się dwuznacznie.

Szcześliwy, że nareszcie zacznę na siebie zarabiać, zabrałem się do pracy z wielkim entuzjazmem. Do godziny dwunastej rozładowałem jeden wagon. Inni, jak się później dowiedziałem, robili to w ciągu całego dnia. W czasie

przerwy obiadowej Rajewski zajrzał do mnie. Pokiwał głową z uznaniem.

- Trzymaj się, bracie, tak dalej, a będzie wszystko dobrze! - powiedział.

Byłem bardzo zadowolony. Jeszcze z większym zapałem zabrałem się do roboty. Do godziny szesnastej trzydzieści rozładowałem drugi wagon. Fajrantu nikt nie ogłaszał, a ja chciałem się wykazać jako dobry robotnik, pracowałem więc dłużej, niż należało.

Wracałem tego dnia do domu, pomimo zmęczenia, bardzo szczęśliwy, że nareszcie mam pracę, że mogę pozostać w Warszawie, że jestem samodzielny. Za nic nie chciałem wracać w rodzinne strony z pustymi rękami. Sama myśl

o tym przerażała mnie. Odgrywała tu dużą rolę ambicja. Nie chciałem narazić się na docinki kolegów i sąsiadów. Za wszelką cenę chciałem im zaimponować, że jednak sobie poradziłem.

W najbliższą sobotę dostałem pierwszą wypłatę. Okazało się, że zarabiam cztery złote dziennie. Po wypłacie podszedł do mnie jeden z bliskich kolegów Rajewskiego, nasz współpracownik, i szepnął mi na ucho:

- Panie Wacuś, zadbaj pan o szefa, jak pragnę Boga! On jeden przecież podał panu rękę. Nie bądź pan frajer!

Wiedziałem, że trzeba szefowi postawić, ale nie wiedziałem ile.

Zastanawiałem się chwilę. Wtedy mój doradca spojrział mi w oczy, klepnął mnie po ramieniu i rzekł:

- Nie wiesz pan ile, co? Ja panu powiem! Na dobry początek jedną dniówkę każdy nowy kumpel daje! Szef więcej nie bierze, on rozumie każdego w ciężkiej sytuacji i nikomu krzywdy nie zrobi! To porządny, byczy chłop!

Z zalem odliczyłem cztery złote i wsunąłem mu w łapę z prośbą, by doręczył szefowi.

- Bądź pan spokojny, panie Wacuś! - odpowiedział i pokazał zęby w uśmiechu. - Ja już resztę załatwię. Szef będzie z pana zadowolony. Możesz pan liczyć i na mnie. Wiedziałem, że

z pana równy chłopak, będą z pana
ludzie!

Mimo to wracałem do domu
zadowolony. Cieszyłem się, że chociaż
częściowo będę mógł wynagrodzić
swojej kuzynce macierzyńską wprost
opiekę, jakiej udzieliła mi w tym
trudnym dla mnie okresie. Nie mogłem,
oczywiście, przewidzieć wówczas tego,
co miało się zdarzyć.

Pod koniec drugiego tygodnia pracy,
którą wykonywałem z największym
zapałem i dokładnością, zdarzył mi się
przykry wypadek. Wyrzucanie z krytego
wagonu suchego, nie zlasowanego
wapna, dodajmy: przy czerwcowym
upale, jest pracą wyjątkowo

niewdzięczną i bardzo niebezpieczną dla zdrowia. Gęsty pył wapienny osiada na spoconym ciele i lasując się w zetknięciu z potem boleśnie piecze, powoduje pęknięcie skóry, przy czym wciąż nowe porcje dostają się do otwartych ran, co powoduje i tak już piekielny ból. Wdychanie zaś go razem z powietrzem powoduje po jakimś czasie tępe oszołomienie, coś takiego jakby człowiek wypił większą ilość spirytusu. I właśnie w takich warunkach, pod koniec drugiego tygodnia, dostałem znowu silnego krwotoku z gardła i nosa. Przez dłuższy czas nie mogłem go zatamować. Nie chcąc się z tym ujawnić przed pracownikami, w obawie, że utracę pracę, nie wychodziłem

z wagonu. Położyłem się na wznak na wapnie.

Po kilkunastu minutach ulżyło mi. Krew sączyła mi się już tylko z nosa. Wytarłem przeto nos chusteczką, zatkałem dziurki kawałkami papieru i pod pozorem napicia się wody pobiegłem do pobliskiej studni, gdzie obmyłem się dokładnie i zlałem do pasa zimną wodą. Jakoś pomogło.

Później - w domu - kuzynka doradziła mi, żebym w czasie pracy usta zawiązywał chusteczką. Trochę mi to pomagało, choć trudniej było wtedy oddychać, a że praca była ciężka - szybciej się męczyłem.

W końcu wszystko się wydało.

Krwotoki zdarzały się coraz częściej, co nie uszło uwagi moich chlebodawców. Ponieważ zaś nie byłem ubezpieczony, a pracowałem w warunkach niezgodnych z odpowiednimi przepisami w sprawie bezpieczeństwa pracy, pracodawca, tak na wszelki wypadek, chcąc uniknąć ewentualnej odpowiedzialności, gdyby mi się coś stało, postanowił mnie zwolnić. Tak więc znowu zostałem bez pracy, a wkrótce i bez pieniędzy. Znowu przerzuciłem się na niesienie pomocy kuzynce w jej pracach domowych.

Wreszcie udało mi się dostać pracę na budowie. Firma „Rainberg” przystąpiła do budowy dwóch wielkich kamienic przy ulicy Wilczej róg Emilii Plater.

Całość przedsięwzięcia finansował bogaty kupiec z Krakowa - Chorowicz.

Od pierwszych dni przypadła mi ciężka praca, do której nawet doświadczeni w budownictwie robociarze niechętnie się garnęli. Domy wznoszone były na konstrukcji żelbetonowej, a mnie przydzielono pracę przy betonach. Praca ta polegała na podawaniu cementu do wielkiej betoniarki elektrycznej, która - z jednogodzinną przerwą na obiad - pracowała od siódmej rano do szesnastej. Było nas trzech ładowaczy. Co pięć minut trzeba było wsypać wielką porcję piasku, żwiru i cementu do obrotowego bębna, mieszającego beton. Każdy z nas podawał swój materiał.

Dwóch moich kolegów, starszych ode mnie, podawało piasek i żwir, ja zaś podawałem cement. Ich praca była o tyle lżejsza, że mogli posługiwać się łopatami. Sypali materiał do taczek, podwozili do kosza i wywracając taczkę opróżniali jej zawartość. Ja natomiast musiałem w rękach donosić - i to ze znacznej odległości - pięćdziesięciokilogramowe worki z cementem, by je wysypać do kosza. Dziennie przypadało na mnie około trzystu worków. Praca ta, jakkolwiek bardzo ciężka jak na dziewiętnastoletniego chłopca, była jednak dużo znośniejsza niż rozładowywanie wapna z krytych wagonów. I chociaż zmęczenie dawało

się nieraz mocno we znaki, to jednak w obawie, że znowu utracę pracę, zaciskałem zęby, starałem się, jak tylko mogłem, aby ze swych obowiązków wywiązać się jak najlepiej.

Przy betoniarce zarabiałem siedemdziesiąt groszy na godzinę. Chodziły słuchy, że nasz przedsiębiorca, pan Rainberg, okrada nas. Według umowy zbiorowej należało nam się bowiem osiemdziesiąt pięć groszy, w obawie jednak, żeby nie zostać znów bez pracy, nie pisałem słowa.

Kuzynka spodziewała się dziecka. Wiedziałem, że trudno będzie pomieścić się nam w tym małym pokoiku. Zacząłem rozglądać się za nową kwaterą. Udało

się. Zamieszkałem u dozorca, Antoniego Paśki, przy ulicy Tamka 37. Miałem stąd blisko do pracy, mogłem więc zaoszczędzić na tramwajach.

Nowa kwatery okazała się dla mnie bardzo korzystna. Starszy już wiekiem, praktyczny w życiu Antoni problem swoich obowiązków, jakie przypadały mu z funkcji dozorca, rozwiązywał bardzo pomysłowo. Sam zajmował dwupokojowe mieszkanie, a do dyżurki, którą dysponował, przyjął czterech sublokatorów. Była to raczej komórka niż pokój. Sufit stanowiły skośne schody, pieca w ogóle nie było, a miejsca tyle, żeby cztery łóżka się ciasno pomieściły. Spośród sublokatorów ja byłem najmłodszy.

Pozostali trzej to: praktykant-hydraulik, Oleś, o dwa lata starszy ode mnie, praktykant-elektromonter, Maniuś, w tym samym mniej więcej wieku co ja, i dwudziestosześcioletni czeladnik piekarski, Bolcio - najstarszy z nas wiekiem.

Czteropiętrowa kamienica, w której dozorował Antoni, miała cztery drewniane klatki schodowe, ogólne klozety na każdym piętrze i kwadratowe podwórko (asfaltowane) w środku. Nasz praktyczny gospodarz, Antoni, okazał się dla nas wielkim dobroczyńcą, gdyż za kwaterę nie pobierał od nas żadnej zapłaty pieniężnej, zamiast tego przydzielał każdemu z nas po jednej klatce schodowej do sprzątania i po

jednej czwartej części podwórka. Nie muszę dodawać, że było to nam, ubogim robotnikom, na rękę. Tak więc oprócz pracy na budowie przypadła mi w udziale jeszcze praca dozorczy. Przynajmniej częściowo. Na szczęście czwórka nasza okazała się bardzo dobrym kolektywem.

Okres wspólnego mieszkania, gospodarowania i pracy z trójką moich kolegów był dla mnie prawdziwą szkołą życia w kolektywie. W obawie o utratę, chociaż bardzo prymitywnego, ale bądź co bądź bezpłatnego mieszkania, zobowiązania nasze wobec Antoniego staraliśmy się wykonywać jak najgorliwiej. Klatkę schodową każdy z nas musiał dokładnie zamieść i zmyć

woda, co najmniej raz w tygodniu. Podwórko natomiast trzeba było zmiatać codziennie. Z początku zaznaczyliśmy kredą cztery części tak, że każdy zmiatał swoją ćwiartkę, później jednak praktyka wykazała, że lepiej było każdemu z nas raz na cztery dni zamieść całe podwórko. I tak było już do końca naszej wspólnej udreki. W ten sposób nasz dozorca, opasły, ponad stukilogramowy Antoni, był całkowicie zwolniony od dziennych obowiązków, mógł się spokojnie wysypiać, by nocą zgarniać swoją dolę od zapóźnionych lokatorów.

Sprawy administracyjne załatwiała dużo młodsza od niego druga jego żona. Antoni budził się przeważnie po

południu, zjadał obfity, zakrapiany „głębszym” obiad, później, po krótkiej przerwie, zjadał kolację, a o jedenastej zero zero zgodnie z zarządzeniem władz miejskich zamykał bramę, aby potem czuwać nasłuchując niecierpliwie dzwonka. Nic mu chyba nie sprawiało większej przyjemności jak częste otwieranie bramy, oczywiście z powodu inkasowania „wolnej datki” od tych, którzy się raczyli spóźnić. Przy otwarciu bramy kłaniał się nisko - rzecz jasna - i uśmiechał dobrodusznie całą swoją czerwoną twarzą, na której królował gruby jak kartofel nos.

Umeblowanie naszego „pokoiku” stanowiły cztery stare zardzewiałe, żelazne łóżka, które Antoni

skompletował z wyrzuconych na podwórkowe śmietnisko mebli zużytych przez lokatorów. Poza tym mieliśmy wspólny maleńki stolik; nic więcej tu się nie mieściło. Osobiste rzeczy przechowywaliśmy w walizkach wsuniętych pod łóżka. Moje skromne gospodarstwo mieściło się z powodzeniem w wojskowym kuferku, jaki dostałem od swego sąsiada przed wyruszeniem w świat. Płaszcz i ubrania wieszaliśmy zwyczajnie na gwoździach.

Po kilku tygodniach zżyliśmy się tak, że stanowiliśmy prawdziwą „komunę rodzinną”. Wszystko załatwialiśmy wspólnym wysiłkiem, a kolejno, co czwarty dzień, każdy z nas miał

gospodarski dyżur w naszej izdebce. Do dyżurnego należało: budzenie wszystkich o godzinie piątej rano, gotowanie na stojącym w kącie pod schodami żelaznym piecyku zwanym „kozą” mleka lub kawy zbożowej. Do jego obowiązków należało również prasowanie spodni i koszul, co szczególnie solidnie musiał wykonywać w soboty i dni przedświąteczne.

Latem kąpaliśmy się często w Wiśle za mostem Poniatowskiego lub nieco dalej w kierunku Siekierok, by ujść uwagi policji wodnej, która nas „prześladowała”. Kiedyś, pamiętam, podczas jednej z naszych takich kąpiei przepływał obok statek spacerowy „Bajka”. Wykorzystywaliśmy to zwykle

w tym celu, aby się trochę pohuścić na rozbujanej fali. Tak się jakoś złożyło, że znajdowałem się najbliżej przepływającego statku i miałem największe szanse w tej zabawie. Pochłonięty całkowicie przyjemnością nie zauważyłem nadjeżdżających motorówką „wodniaków” w białych policyjnych mundurach. W momencie, kiedy usłyszałem nawoływanie któregoś z moich kolegów: „uciekaj, Wacek, bo gliny”, poczułem ciężkie uderzenie pałki gumowej w kark. Nie straciłem jednak przytomności umysłu, dałem nura i po chwili byłem już na lądzie. Złapałem swoje łachy i... w nogi. Na karku, niestety, nosiłem przez dłuższy czas bolącą pręgę, bo trzeba przyznać, że co

jak co, ale przedwojenna policja miała wielką wprawę w biciu pałkami.

Dziś, kiedy patrzę na dobrze odżywioną i wychowaną w higienicznych warunkach młodzież, mam przed oczyma tamte czasy, przypomina mi się nasza „komuna”, moje trudne życie w maleńkiej izdebce u dozorczy pod schodami, moje „zabawy”, głód i ciężka praca. I kiedy dziś obserwując przerastających mnie wzrostem moich synów patrzę na ich wspaniały rozwój fizyczny i umysłowy, przeżywam często mieszane uczucia. Cieszy mnie to, że wyrastają na pięknych, zdrowych i dobrze zbudowanych mężczyzn, ale jednocześnie mam wątpliwości, czy brak owego hartu, jaki ja osiągnąłem na

swojej drodze życia, nie wpłynęła ujemnie na kształtowanie ich charakteru i samodzielności potrzebnej młodemu człowiekowi. Nie wierzę w to, co twierdzą rozkochane do przesady w swoich dzieciach matki, że ciężka praca fizyczna w młodym wieku źle wpływa na ich rozwój fizyczny i umysłowy. Bardzo ciężka, nieraz ponad moje siły, praca w młodocianych właśnie latach, pomimo częstego niedożywienia, nie wpłynęła ujemnie na mój rozwój fizyczny i umysłowy. Przeciwnie, pozostała mi na całe życie wielką szkołą hartu ducha i ciała, jakiej, niestety, jakże często brak naszej młodzieży w dzisiejszych czasach.

Nasze śniadanie składało się z kubka

mleka lub „zbożówki”, najczęściej bez cukru, i ćwiartki suchego chleba. Na obiad kupowałem sobie dziesięć deko salcesonu i ćwiartkę razowego chleba. Dopiero po pracy, i to tylko w niektóre dni, zachodziliśmy do wielkiego naszego „dobroczyńcy” na Tamce róg Kopernika - tu, gdzie teraz stoi wieżowiec dziennikarski (była tam jadłodajnia w tzw. „dołku”) - i tam zjadaliśmy prawdziwy obiad.

U „szefa” - jak go nazywaliśmy - płaciło się za obiad z drugim danem osiemdziesiąt groszy, ale za to zupy można było dostać, ile kto chciał. A sama zupa, bez drugiego dania, kosztowała tylko dwadzieścia groszy, przy czym można było dostać jej do syta.

Oczywiście korzystaliśmy prawie zawsze tylko z pierwszego dania.

„Szef” był dla nas w najcięższych czasach prawdziwą „deską ratunku”.

W najtrudniejszych okresach bezrobocia ratowaliśmy się i w ten sposób, że kupowaliśmy w pobliskiej wędliniarni przy ulicy Kopernika odpadkową wędlinę, czyli tzw. okrawki. Tu wypada podkreślić, że przed wojną szanujący się sklepikarz sprzedawał wędlinę „czystą”, bez sznurków, skórek czy plomb, resztki sprzedawano biednym. Można więc było nam - chudym najemnikom - za parę groszy kupić ćwierć czy pół kilograma takich okrawków.

Tak się jakoś złożyło, że po owe

okrawki chodziłem na zmianę z kolegą Marianem. Mieliśmy szczęście. Za ladą sprzedawała młoda panienka, Łodzianka, która pochodziła gdzieś z Garwolińskiego, a z którą udało się nam nawiązać koleżeńskie stosunki. Kiedy przychodziliśmy po okrawki, miała już przygotowany pakuneczek, a w pakunku, pamiętam, dużo dobrej wędliny. Rychło ułożyły się między nami a panną Łodzią tak bliskie stosunki, że na zmianę umawialiśmy się na spacer, a czasem fundowaliśmy jej kino.

W ciężkich dniach ratowały nas też tzw. „koniarze”, czyli śledzie czerwone, po osiem groszy sztuka. Były dość duże i bardzo słone. Kupowało się do nich podłużny bochenek razowego chleba,

dzieliło się wszystko na równe części i w ten sposób mieliśmy zapewnione śniadanie, obiad i kolację. Mówiąc o żywieniu, trzeba również podkreślić, że nasz kolega, Bolcio Piekarz, który pracował w prywatnej piekarni, kupował często czerstwy nie sprzedany chleb. Taki chleb można było kupić taniej, czasem za parę groszy. Często, pamiętam, udawało mu się kupić smaczną plecioną chałkę, która z mlekiem była prawdziwą uczką. Ratowaliśmy się, jak tylko było można.

Budowa, gdzie pracowałem, szybko się rozwijała. Stu kilkudziesięciu ludzi różnych budowlanych specjalności pracowało szybko i wszystkie prace, a zwłaszcza betony, wyrastały od

samych piwnic - coraz wyżej - przybierając stopniowo kontury wielkich, pięciopiętrowych domów. Wraz ze wznoszeniem się murów narastało niezadowolenie. Już na początku września wśród robotników słyszało się narzekanie na okradanie nas przez firmę, która nie dopłacała od 10 do 25 groszy na godzinę. Mówiło się coraz głośniej o strajku i możliwej w związku z tym redukcji części bardziej uświadomionych robotników. Firma w obawie przed rozruchami zamierzała wcześniej usunąć „mścicieli” i uniknąć kłopotów, jakie mogły wyniknąć w konsekwencji strajku.

Któregoś dnia przybył na budowę

inspektor pracy, przystojny, w średnim wieku mężczyzna; o ile dobrze pamiętam, nazywał się Dzikowski. W obecności kierownictwa robót nakazał przerwanie pracy, po czym na placu budowy urządził wiec. Sam przemawiał. Przekonywająco mówił o potrzebie solidarności wśród robotników, o obronie praw zawartych w umowach zbiorowych, których nie dotrzymywała nasza firma.

Byłem zachwycony jego przemówieniem. Chociaż słyszałem przedtem różne przemówienia polityków, działaczy, jacy przyjeżdżali do mojej rodzinnej Rzeczycy, na przykład posła Balunia z KPP, posła Dwiducha z chłopskiej organizacji

i innych, na których wystąpienia wiecowe chodziłem z ojcem, to jednak tak bojowego i porywającego przemówienia słuchałem po raz pierwszy.

Po wystąpieniu inspektora zabrało głos kilku naszych towarzyszy pracujących na budowie, którzy - jak się później okazało - byli organizatorami wystąpień i walki robotników wśród naszej budowlanej załogi. Po wiecu przystąpiliśmy znowu do normalnej pracy.

Następnego dnia na drzwiach kantoru, w którym mieściło się biuro kierownictwa budowy, ujrzałem ogłoszenie o redukcji załogi oraz listę

osób do zwolnienia - z dwutygodniowym okresem wypowiedzenia. Byli to ci wszyscy, których firma uznała za sprawców wiecu.

Załoga nie dała za wygraną. Po szczegółowym i uważnym przeczytaniu ogłoszenia organizatorzy ruchu protestacyjnego wśród naszej załogi wysłali delegację do inspektora pracy, który przybył na budowę jeszcze tego samego dnia. Po krótkiej rozmowie z kierownictwem budowy, które nie zgodziło się na cofnięcie zapowiedzianej redukcji, zorganizowano naradę wśród załogi i ogłoszono strajk okupacyjny. Tak więc po przerwie obiadowej nie zabrzmiał już - jak

codziennie - gong wzywający do rozpoczęcia pracy. Nie wróciliśmy na swoje robocze stanowiska, przed kantorem kierownictwa firmy natomiast odbył się drugi wiec. I tak jak dnia poprzedniego, zarówno inspektor pracy, jak i inni towarzysze znowu przemawiali płomiennie, zagrzewając nas do solidarności wobec strajku, do protestu przeciw zapowiedzianej redukcji. Na wiecu tym został wybrany komitet strajkowy.

Nie opuściliśmy budowy na noc. Wieczorem na terenie budowlanym rozbłysły ogniska, wokół których siedzieliśmy solidarnie, rozprawiając gniewnie o ostatnich wydarzeniach. Tymczasem na ulicach Wilczej i Emilii

Plater, za ogrodzeniem budowy, pojawiły się patrole policyjne. Otoczyły teren budowy kordonem i kontrolowały wszystkich wchodzących i wychodzących ludzi.

Trwaliśmy na swoich posterunkach. Na zarządzenie komitetu strajkowego zorganizowano składkę pieniężną. Oddaliśmy do dyspozycji trójki gospodarczej wszystkie pieniądze, jakie mieliśmy ze sobą; kupowano za nie chleb i inne produkty żywnościowe. Codziennie o godzinie szóstej rano i dwunastej w południe wychodziło dwóch spośród załogi po zakupy. I mnie przypadła ta funkcja kilka razy.

Komitet strajkowy przestrzegał ustalonej

zasady, by nikt bez zezwolenia komitetu nie opuszczał terenu budowy. Nie było też ani jednego wypadku złamania tej zasady. Mimo rozpoczynających się już wrześniowych chłódów, spaliśmy na gołej ziemi lub świeżo odlanych stropach betonowych, przykrywając się jedynie papierowymi workami po cemencie. Ze względu na dokuczliwe zimno najczęściej siedzieliśmy przy ogniskach, gdzie bez przerwy czuwali dyżurni. Policja na teren budowy nie wchodziła.

Po dwóch dniach strajku na znak solidarności z naszą załogą zastrajkowali na jedną godzinę robotnicy budowlani na wszystkich budowach w Warszawie. To jeszcze

bardziej utwierdziło nas w przekonaniu o słuszności walki. Byliśmy dumni z naszej postawy.

Trzeciego lub czwartego dnia zauważyłem, siedząc przy ognisku i pilnując gotującej się kawy, jak kilku cieśli z pośpiechem grzebie w stosie worków po cemencie. Okazało się, że szukają całego worka.

- O co chodzi? - zapytałem. - Po co wam jest potrzebny cały worek?

- Chodź z nami, to i dowiesz się po co, a przy tym zdrowo się pośmiejesz! - odpowiedział jeden z nich.

Zaciekawiony poszedłem za nimi. Przystanęli za wysoką szychtą złożonej cegły. Ukryci, czekali na kogoś.

Okazało się, że na teren budowy przyszedł kierownik robót ciesielskich, niejaki Sołowiejczyk, jeden z najbardziej znienawidzonych przez robotników ciesielskich ludzi. Zwano go „psem Rainberga”. Było jasne, że Sołowiejczyk to łamistrajk, że został przysłany przez firmę, aby namawiać do przerwania strajku. Po nieudanej próbie złamania solidarności strajkowej Sołowiejczyk musiał opuścić teren. Aby zaś wydostać się na ulicę, musiał przejść obok złożonej na kupę cegły. Wtedy to wyskoczyli z ukrycia robotnicy z workiem, przytrzymali łamistrajka, a worek naciągnęli mu szybko na głowę. Załadowali go do taczki i na oczach wszystkich, przy akompaniamencie

gwizdów i wymyślań, wywieźli ten żywy pakunek za bramę i tam - na środku ulicy Wilczej - wyrzucili. Sołowiejczyk szamotał się długo w worku, nie mógł sobie z nim poradzić, nie mógł się też podnieść z ziemi i niewiele brakowało, aby go przejechał nadjeżdżający samochód. Dopiero będący w pobliżu policjant przyszedł mu z pomocą. Sołowiejczyk z nie ukrywaną wściekłością otrzepywał swój elegancki garnitur, gdy wokoło rozległy się gwizdy, śmiechy i przekleństwa pod jego adresem. Więcej się na budowie nie pokazał.

W następnych dniach inspektor pracy przyjeżdżał jeszcze kilka razy do nas i zawsze wygłaszał płomienne

przemówienia. Nawoływał do wytrwania, tłumaczył, że tylko solidarność i nieustępliwość w kontynuowaniu okupacyjnego strajku może zmusić firmę do uznania naszych postulatów.

Dopiero w drugim tygodniu strajku przyszło zwycięstwo. Długotrwałe pertraktacje inspektora i naszych przywódców z przedstawicielami firmy złamały opór wyzyskiwaczy. Firma, widząc zdecydowaną postawę naszej załogi oraz w obawie, by nie ponieść większych strat z uwagi na przedłużający się strajk, ustąpiła i zgodziła się wypłacić nam wyrównanie do miesięcznych zarobków za okres kilku miesięcy, a po kilku dniach

zgodziła się i na drugie nasze żądanie - wypłaciła wszystkim strajkującym pełne dniówki za wszystkie dni strajku. Zostało również anulowane zarządzenie o redukcji. Tak więc po jedenastu dniach strajku, wygłodniali i brudni, opuściliśmy teren budowy, by w dniu następnym przystąpić do normalnej pracy.

Dla mnie, młodego robociarza, była to jeszcze jedna trudna próba w życiu, która, zarówno w pracy konspiracyjnej, jak i w późniejszej mojej działalności, dużo mi dała.

Na trzeci dzień po zwycięskim zakończeniu strajku otrzymaliśmy pełną zapłatę naszych zaległości. Pamiętam, że

firma wypłacała mi wtedy 170 złotych. Była to dla mnie podwójna radość. Dumny byłem z tego, że jako młody członek KZMP uczestniczyłem w zwycięskim strajku. Niewątpliwie dodawało mi to powagi w oczach moich towarzyszy, a szczególnie starszego ode mnie rodaka, Aleksandra Szymańskiego, który pracował również w Warszawie - no i cieszyły mnie pieniądze, których zawsze było mi brak.

Poczucie zwycięstwa i niezależności, obok wiosennego uczucia miłości u młodego człowieka, jest chyba największym źródłem entuzjazmu życiowego, bez którego człowiek nie może niczego osiągnąć. Pamiętam, jak pewnej niedzieli opowiadałem o naszym

zwycięstwie Aleksandrowi Szymańskiemu, i jak on po wysłuchaniu mnie z zadowoleniem powiedział:

- Dobrze, że jesteś takim entuzjastą. Entuzjazm i silna wola to najpiękniejsze cechy młodego człowieka, chodzi tylko o to - ciągnął - żeby były one w dobrym kierunku i racjonalnie zużyte, a do tego potrzeba, mój kochany, rozsądku, dojrzałości i mądrości politycznej. Krótko mówiąc, chcę ci doradzić, żebyś się zaczął uczyć. Szkoda, żebyś pozostał tylko robotnikiem.

Aleksander Szymański był dojrzałym komunistą. Pracował w Warszawie w charakterze pracownika umysłowego, choć - prawdę mówiąc - najczęściej był

bezrobotny, gdyż policja granatowa ciągle prześladowała go za jego działalność. Nam, przybyszom ze wsi, zawsze służył dobrą radą, opiekował się nami po ojcowsku. Współpracował ściśle z Władysławem Kowalskim, powojennym marszałkiem Sejmu. Bardzo się przyjaźnili.

Kiedyś, pamiętam, wziąłem udział w pochodzie pierwszomajowym. Zebraliśmy się na placu Muranowskim i rozpoczęliśmy marsz w kierunku placu Piłsudskiego, obecnego placu Zwycięstwa. Było gorąco, zdjąłem więc marynarkę i niosłem ją na ramieniu, a rękawy koszuli miałem pozawijane. Szliśmy zupełnie spokojnie, wiedząc, że policja granatowa czuwa. Niektóre

grupy szturmowe na koniach. Policjanci stali rozstawieni w bramach. Szliśmy od ulicy Wierzbowej (koło banku) przez plac Teatralny do Krakowskiego Przedmieścia, w okolicy Hotelu „Europejskiego”.

Akurat odbywała się uroczysta zmiana warty. Dużo ludzi zebrało się, by popatrzeć na tę uroczystość. Na dokładkę z Hotelu „Europejskiego” wyszedł popularny śpiewak - Kiepura, a wokół niego zgromadziło się mnóstwo ludzi. Skandowali: Kie-pu-ra! Kie-pu-ra! Bili brawo, prosili o autografy. To wszystko razem stworzyło wrażenie jakiegoś tumultu, „roźróby” ulicznej. Policja ten właśnie moment wykorzystała. Kiedy nasz pochód zbliżył

się do miejsca, gdzie Kiepura rozdawał autografy, wyskoczyli na koniach z bram, zaszarżowali na nasze szeregi. Bili szablami na płasko. Poszły w ruch pałki gumowe. Dostałem pałą po rękę.

Ból sparaliżował mi całe ramię, uskoczyłem w bezpieczne miejsce... Aleksander Szymański sam nie oberwał, umiał się już lepiej zachowywać ode mnie w takich sytuacjach. Rozproszono nas wprawdzie, ale nie rozbito.

Kontakty z Szymańskim utrzymywałem bardzo ściśle. Bywałem u niego często. Mieszkał przy ulicy Wilczej 19 u pani Kamili Glewińskiej. Pani Glewińska pomagała działaczom lewicowym; w jej mieszkaniu był punkt kontaktowy

komunistów. Byłem coraz bardziej związany z tym ruchem. Szymański wykorzystywał mnie do przenoszenia tajnych dokumentów, broszur, bibuły, do powiadamiania o zebraniu itd. Mocno związałem się też z rodziną Glewińskich. Jej syn, Stanisław, bardzo przystojny mężczyzna, był obiecującym architektem; zginął w obronie Warszawy, we wrześniu 1939 roku.

Aleksander Szymański - z zawodu dziennikarz - wspólnie z Kowalskim i innymi działaczami wydawał w różnych okresach pisma lewicowe, między innymi pismo pt. „Siejba”. Pismo to było adresowane do chłopów; wychodziło przez parę tygodni, po czym zostało zabronione, jako pismo siejące

zamęt wśród chłopów. Wtedy Szymański rozpoczynał od nowa. Zmieniał tytuł pisma, robił starania, żeby uruchomić działalność wydawniczą, by znowu natrafić na przeszkody ze strony „defy” - granatowej policji i cenzury. I znowu areszt czy więzienie, a potem znowu ta sama działalność polityczna i propagandowa.

Szymański był ode mnie starszy o całe piętnaście lat. Słuchałem się go jak własnego ojca. Był dla mnie wzorem i autorytetem. Ponieważ zachęcał mnie do nauki, postanowiłem pewnego wieczora uczynić zadość jego namowom. Rozpocząłem znużone starania. Ale dopiero w 1938 roku udało mi się wstąpić na wieczorowe kursy.

Była to szkoła dla pracujących, a przygotowywała majstrów budowlanych. Nauka rozpoczynała się o godzinie 16.00 i trwała 5-6 godzin dziennie. Trzeba było więc bardzo się spieszyć, by po skończonej pracy w ciągu godziny porządnie się umyć, oczyścić i prosto z budowy zdążyć na lekcje. Na spożycie obiadu nie było czasu, najczęściej więc zjadałem kawał chleba w drodze.

Połączenie pracy z nauką stworzyło mi ciężki i wyczerpujący reżim dnia. Budziłem się przed piątą, w ciągu niespełna godziny wykonywałem swoje porządkowe obowiązki, którymi obdarzył nas dozorca Antoni. O godzinie szóstej zjadałem skromne śniadanie, by

przed siódmą zdążyć na budowę. Do domu wracałem około jedenastej wieczorem, a jeszcze trzeba było odrobić lekcje; tak więc na sen pozostawało już niewiele czasu. Nie mogłem również wskutek braku czasu wyjść z moimi współlokatorami bodaj na mały spacer - jak dawniej powłóczyć się po Wybrzeżu Kościuszkowskim.

Nie wychodziłem prawie nigdzie. Każda niedziela czy święto były dla mnie jedynymi dniami, kiedy mogłem nadrobić zaległości. Tak więc czułem się wciąż niewyspany, ale poczucie samodzielności i mój wrodzony entuzjazm do pracy dodawały mi sił i zdawało mi się, że wszystko w życiu jest osiągalne. I chociaż bywały chwile

słabości - chwile, kiedy zazdrościłem kolegom ze szkoły, tym, którzy ucząc się nie pracowali i na wszystko mieli więcej czasu, którzy mieli dokładniej i czyściej wykonane rysunki techniczne - moich rąk nie mogłem domyć zimną wodą - to jednak nigdy nie narzekałem na swój los. Byłem dumny, że sam, o własnych siłach toruję sobie drogę w życiu.

Nie rozumiałem nigdy i dziś nie rozumiem melancholijnych młodzieńców, którzy jeszcze nie zdążyli dojrzeć, a już stają się psychicznymi starcami, wciąż narzekającymi na swą „niedolę” i na swój, „trudny” los. Życie to najpiękniejszy dar natury, nawet wówczas, gdy jest ciężkie, trzeba go

tylko ocenić, mądrze wykorzystać i umieć się cieszyć z pokonywania trudności.

Nadeszła jesień. Kończył się sezon budowlany. Wraz z nastaniem chłódów zamierały prace na budowach. Prywatne przedsiębiorstwa i niska technika budowlana tamtych czasów nie mogły zabezpieczyć zatrudnienia przez cały rok. Firmy budowlane poza bogatą firmą Rainberga, która dysponowała betoniarką, nie miały żadnych maszyn ani dźwigów, a wszelkie roboty trzeba było wykonać siłą własnych mięśni. Tak więc byli zawodowi koźlarze, którzy nosili na plecach tak zwane kozy, a na nich cegłę, byli wapniarze, którzy nosili wapno, no i wielu innych robotników

bardziej lub mniej wykwalifikowanych. Ludzie pracowali jak pociągowe zwierzęta, a na starość pozostawało im przeważnie w spadku kalectwo.

Nadchodził sezon budowlanego bezrobocia. Robotnicy budowlani podliczali swoje sezonowe zarobki i przygotowywali się do przetrwania wraz ze swoimi rodzinami nadchodzącej zimy. Przyjezdni z prowincji zwijali manatki i nie tracąc pieniędzy szybko opuszczali Warszawę. Dla budowniczych następował okres odpoczynku, a raczej bezrobocia, co łączyło się zawsze z wielkimi trudnościami materialnymi utrzymania rodziny i przetrwania do wiosny. Murarze, cieśle, betoniarze i inni

fachowcy zbierali się też już nie tylko jak zawsze w niedzielę, ale i w dni powszednie, na placu Kopernika i pałac papierosy rozprawiali godzinami na tematy, gdzie jeszcze można złapać jakąś robotę i w jaki sposób jeszcze coś zarobić.

Zdarzyło się, że czasem ktoś prywatnie, bez względu na porę roku, musiał przeprowadzić jakiś nie przewidziany remont czy też reperację. W takich wypadkach zainteresowany przychodził na plac Kopernika, gdzie wybierał sobie w zależności od potrzeb odpowiedniego majstra. Na początku grudnia jeden z moich znajomych starszych murarzy, Jan Flisowski, złapał - jak się to wtedy mówiło - taką partanię na ulicy

Chmielnej, w mieszkaniu lekarza, który na miesiąc wraz z żoną wyjeżdżał za granicę. Trzeba tu było przeprowadzić kompletny remont mieszkania. Flisowski był znanym fachowcem - był zarówno dobrym malarzem, jak i murarzem, znał się również na sztukatorstwie i potrafił wykonać każdą pracę w budownictwie mieszkaniowym.

Ten pracowity człowiek nigdy prawie nie chodził bez pracy. Miał złote ręce, ale niestety słabą wolę do wódki i kobiet. Znajomość z nim się opłacała, można było przy nim często nie tylko zarobić, ale i nauczyć się dobrej roboty. Tym razem Flisowski szukając kogoś do pomocy zaproponował mi wspólną robotę z czterdziestoprocentowym

wynagrodzeniem od całości zarobków, co oczywiście przyjąłem z wielkim entuzjazmem. Było to w tym czasie dla mnie nie lada szczęściem.

Zabraliśmy się energicznie do pracy i po dwóch tygodniach szwagier naszego nieobecnego gospodarza, adwokat, którego lekarz upoważnił do przyjęcia wyremontowanego mieszkania, po obejrzeniu wykonanej pracy wypłacił nam 240 złotych dodając - jak to było wówczas w zwyczaju - na butelkę i papierosy.

Był zimny, grudniowy długi wieczór, kiedy opuszczaliśmy zadowoleni swoje miejsce ostatniego zarobku. Wiedziałem, że teraz Flisowski nie wróci prosto do

domu na Tamkę i tak się też stało. Kiedy tylko znaleźliśmy się na ulicy, Flisowski zwrócił się do mnie: „No i co, panie Wacuś, zarobiło się nieźle, nie wypada wracać tak na sucho, wstąpmy gdzieś na jednego”.

Chociaż żal mi było każdego grosza, nie mogłem mu jednak odmówić. Zależało mi bardzo na znajomości z nim, a i solidarność, jaka istniała wśród budowlanych, również na to nie pozwalała. Robotnicy, którzy stronili od solidarnego wypicia sobie czegoś, szczególnie po wypłacie, byli źle widziani przez kolegów. Nie można było więc się narażać zwłaszcza takiemu majstrowi jak Flisowski.

Nie wszystkie dni tamtych czasów dziś, po przeszło trzydziestu latach, pamięta się dobrze. Ten jednak wieczór siłą wydarzeń, jakie przydarzyły mi się po raz pierwszy w życiu, wrył mi się mocniej w pamięć i do dziś go pamiętam, jakbym to przeżył wczoraj.

Flisowski, kiedy miał pieniądze, miał również gust. Nie szukał jakiejś tańszej knajpy i zaprowadził mnie do średniego rzędu restauracji w pobliżu „Domu Braci Jabłkowskich”, której nazwa, niestety, uleciała mi z pamięci. Pamiętam natomiast, że bez trudu znaleźliśmy wolny stolik i że Flisowski zamawiając popularnego schaboszczaka poprosił o pół litra. Na moją uwagę, że to za dużo i że ja pić nie mogę, popatrzył

na mnie co najmniej z takim zdziwieniem, jakie zrobiłby chyba strażak gaszący groźny pożar, kiedy ktoś chciałby mu wyrwać z rąk gaśnicę. Skapitulowałem więc i usiedliśmy. Kiedy ja z wilczym apetytem zabrałem się do jedzenia, porcja Flisowskiego po kilku kieliszkach stała prawie nie tknięta. Człowiek ten, kiedy rozsmakował się w alkoholu, nie brał niczego do ust na zakąskę, nie chciał - jak mówił - psuć sobie przyjemnego smaku w ustach.

Późno w nocy udało mi się przy pomocy kelnera wyciągnąć Flisowskiego z restauracji; trzymając go mocno pod rękę poprowadziłem Chmielną w stronę Nowego Świata.

Mój majster tak jak był dobrym rzemieślnikiem w pracy, tak był również gorliwym rozrabiaczem po wódce. Objawiał się u niego wtedy nadmierny patriotyzm do Warszawy i wszystkiego, co spotkał na ulicy. Zatrzymywał się przy mijających nas przechodniach i wołał: „kochani, ja was tak kocham!” Zaczepiani usuwali się nam grzecznie z chodnika i tak krok za krokiem z trudem kontynuowaliśmy swój marsz. Kłopoty zaczęły się dopiero w połowie drogi - między Bracką a Nowym Światem - kiedy przechodziliśmy obok bramy, w której stały dwie młode boginki urzędujące na Chmielnej. Flisowski, jak tylko dostrzegł uśmiechające się do nas dwa „aniołki”,

natychmiast przystanął, rozłożył ręce i wykrzyknął swoje: „kochane, ja was tak kocham”.

Zdawałem sobie sprawę z tego, co się święci, lecz w pobliżu, niestety, nie było policjanta, a moje próby odciągnięcia rozochoczonego Jana okazały się tyle nieskuteczne, co naiwne. Moja pewność siebie, silnego i młodego człowieka, również szybko prysła. I wtedy po raz pierwszy miałem się przekonać, ile to agresywnej siły i wyćwiczonych sportowych chwytów posiadają te „aniołki”. Zanim się o tym przekonałem, Flisowski był już w ich rękach, a przy mnie znalazła się trzecia - młoda, wysoka brunetka - która próbowała się mną zaopiekować. Była chyba zbyt

pewna swego sukcesu, gdyż z początku nie przejawiała w stosunku do mnie takiej agresywności jak jej koleżanki, ale kiedy zorientowała się, że ją lekceważę i odchodzę, głośno gwizdnęła i w sąsiedniej bramie zobaczyłem jeszcze dwie „boginie”, które wyraźnie szły mi na spotkanie. Zrozumiałem, że tu nie można być pewnym siebie i po prostu trzeba uciekać. Stuknąłem po murarsku w podbródek czepiającą się mnie brunetkę i zegnany dosadnymi wyzwiskami zwałem zatrzymując się dopiero na mojej poczciwej Tamce, gdzie nie spotykało się tego rodzaju towarzystwa.

Kiedy opowiedziałem w domu kolegom o swoich przeżyciach, byłem zdziwiony

lekceważącym podejściem do tej sprawy. Jako starsi ode mnie warszawiacy traktowali to jako normalne zjawisko i widać było, że podobne przygody mieli już za sobą. Z mojej troski o starego Jana zwyczajnie się nabijali, twierdząc, że staremu, poza obrobieniem, nic się nie stanie, a i tobie - mówili - dla lepszej znajomości życia też by się coś takiego przydało. Śmieli się ze mnie, że jestem dziwak. Mnie natomiast prześladował jakiś uraz połączony ze strachem spowodowanym chyba historią mojego rodaka z sąsiedniej wioski Łychowa. Nazywał się Adam Stępień, był synem biednych rolników. Przystojny i zdolny krawiec z braku pracy na wsi wyjechał na kilka

lat przede mną do Warszawy. Szybko zrobił w swoim zawodzie karierę i był chlubą nie tylko rodziny, ale całej naszej rodzinnej okolicy. Kiedy elegancko ubrany przyjeżdżał w odwiedziny w swoje rodzinne strony, wszyscy się nim zachwycali i wróżyli mu świetną karierę.

Tę obiecującą przyszłość przekreśliła piękna warszawianka Gienia, w której Adaś zakochał się bez pamięci. Gienia była ładnie zbudowaną brunetką, miała bujne, krucze włosy i nieskazitelnie białą cerę. Smukła, wysoka, pasowała do blisko dwumetrowego wzrostu Adasia. Lubiła nocne życie, była typową kawiarnianą różą.

Nieszczęśliwy Adasiek był na każdym kroku o nią zazdrosny, a ona czuła się w swoim żywiole i swoich niepospolitych wdzięków nie ograniczała tylko do jego osoby. Znajomi i przyjaciele Adama przestrzegali go, żeby był z Gienią ostrożny. Ale ona okazała się silniejsza - pociągnęła go za sobą w nocną Warszawę i na wyścigi, gdzie stracił wszystkie swoje oszczędności. Zaczął pożyczać, gdzie tylko mógł, aby tylko dogodzić swej ukochanej rozbawionej Gieni. Wreszcie popadł w jakąś nieuleczalną chorobę i zmarł w nędzy, a Gienia szybko znalazła pocieszyciela i bawiła się dalej.

Tragedia mojego rodaka chyba zbyt

mocno wryła mi się w pamięć i to - wydaje mi się - było powodem mojego nieufnego stosunku do warszawskich dziewcząt. Po prostu zdawało mi się, że każda warszawianka to Gienia.

W nocy nie mogłem długo zasnąć, żał mi było starego Flisowskiego i robiłem sobie wyrzuty, że musiałem go w takim towarzystwie zostawić i nie mogłem mu pomóc. Pracowaliśmy przecież przez dwa tygodnie razem i dał mi zarobić.

Następnego dnia rano pobiegłem go odwiedzić; mieszkał jako sublokator. Kiedy wszedłem, spał. Przywitałem się z jego gospodynią - Jagiełową, która mi opowiedziała, że wrócił nad ranem sponiewierany, ledwie żywy. Kiedy

wciążem wiszącą na krześle jego marynarkę, aby się przekonać, czy ma chociaż w niej portfel i dokumenty, okazało się, że wszystkie kieszenie były wywrócone i nic w nich nie było.

Postanowiliśmy z Jagiełową, że nie będziemy go budzić, niech się wyśpi. Po południu, kiedy siedziałem nad skryptem, przyszedł do mnie w zmiętym i poplamionym swoim jedynym, jakie miał, ubraniu. Wyglądał, jakby się nic nie stało, nie sprawiał wrażenia nieszczęśliwego. Kiedy pytałem go, zdziwiony jego zachowaniem, dlaczego tak łatwo dał się w to wciągnąć, opowiadał rai o tej przygodzie, jak o czymś bardzo normalnym. Mówił, że te smarkule to fajne dziewczuszki, tylko że

mogłyby być trochę delikatniejsze i nie zabierać wszystkiego razem z dokumentami i nie pozostawiać człowieka bez grosza.

- A tak to widzisz pan, panie Wacuś - mówił - nie tylko, że mnie tak urządziły, że co najmniej przez tydzień jestem do niczego niezdolny, to jeszcze i na papierosa nie mam. Pożycz pan, panie Wacuś, dychę - prosił - bo nogi wyciągnę.

Dałem mu dziesięć złotych. Nigdy już później nie spotkaliśmy się.

Wrzesień

Mój „wrzesień” nie wyróżniał się

niczym szczególnym, choć był - jak dla każdego, komu dane było go przeżyć - tak bardzo odmienny od wszystkich, które minęły i które miały później nadejść.

Było lato 1939 roku. Wyjątkowe. Pamiętne tysiącem drobnych i wielkich wydarzeń. Spędzałem je - jak to już wspominałem - na budowie domu w Warszawie przy ulicy Grochowskiej, róg Witołińskiej. Kiedy po latach przejeżdżam tamtędy i widzę budynek, który ocalał, dostrzegam na nowo odległą już, przedwrześniową rzeczywistość tak ostro, jakby to było wczoraj.

Ludzie nie mogli uskarżać się na nudę;

życie obfitowało w coraz to nowe wydarzenia polityczne i nawet najbardziej żądni sensacyjnych wieści mieli ich tym razem pod dostatkiem.

Propaganda przedwrześniową w zawrotnym tempie budowała potęgę armii polskiej, zapewniając jednocześnie społeczeństwo o słabości wroga. Pomagały jej w tym bardzo skutecznie nie tylko prasa i radio. Siłę przedwrześniowej Polski i słabość Niemców przedstawiano także na scenach, w humorystycznych kupletach i wierszach. Pewnej niedzieli na wolnym placu przy Wiśle, w miejscu, gdzie obecnie znajduje się Stadion Dziesięciolecia, pokazano publiczności koślawego karła ze swastyką na plecach,

przedstawiającego Hitlera, który wdarł się na podwórko polskiego szlachcica-wielkoducha. Szlachcic - pamiętam, że artysta grający jego rolę miał na sobie mundur oficera - silną ręką chwycił karła za kołnierz, by niezwykle dynamicznym i niezwykle efektownym kopniakiem wyrzucić go ze swego podwórka. Bezczelny intruz, upadając, skrzeczał przeraźliwie ku uciesze zgromadzonego tłumu.

Od czerwca zaczęto coraz częściej powoływać pod broń rezerwistów. Wzmagało to nastroje niepewności i wyczekiwania. Atmosfera stawała się coraz bardziej nerwowa, zwłaszcza że nikt z mężczyzn nie wiedział, kiedy przyjdzie kolej na niego. W domu, gdzie

mieszkaliśmy, niemal codziennie brakowało kogoś z sąsiadów. Mówił nam o tym dozorca, Aleksander Bogdański. Coraz mniej ludzi przychodziło też do pracy na budowie. Wreszcie któregoś dnia, kiedy zjawilo się zaledwie paru robotników, właściciel budowanego domu zrobił wypłatę i wstrzymał roboty. To samo nastąpiło na wszystkich niemal stołecznych budowach, z wyjątkiem wojskowych.

Na ulicy i w tramwajach widziało się coraz więcej zapłakanych kobiet. W domu rozpaczała nasza gospodyni, której męża także powołano do wojska.

Ponieważ w Warszawie po wstrzymaniu

robót budowlanych nie miałem właściwie co robić, a z drugiej strony pachniało już coraz bardziej wojną, postanowiłem na wszelki wypadek zobaczyć się jeszcze z rodziną.

Zwinąwszy zatem manatki, których na szczęście nie miałem wiele, wsiadłem do pociągu i wróciłem do swojej rodzinnej wioski - Zielonki w powiecie kraśnickim.

Tu też, wbrew moim przewidywaniom, nie było spokojnie. Przeciwnie - panowała jeszcze większa panika. Wiejskim zwyczajem wyolbrzymiano wszystkie wiadomości związane z zagrażającą wojną i mobilizacją.

Do każdego pociągu odchodzącego

z pobliskiej stacji kolejowej w Rzeczycy ciągnęły większe i mniejsze grupki ludzi. Żony odprowadzały mężów, dziewczyny swych narzeczonych, żegnając ich ze łzami w oczach.

Odjeżdżający nadrabiali miną, wielu z nich zresztą - jak zwykle w takich wypadkach - dodawały animuszu wychylone na odjezdnym kieliszki. Siadali do jednego wagonu, a kiedy pociąg ruszał, zrywała się dziarska pieśń, głusząc ostatnie słowa najbliższych.

Z każdym dniem ubywało mężczyzn we wsi. Opuszczone przez mężów kobiety popłakiwały i pomału same zabierały

się do roboty w polu i w domu. Starsze różańcowe zbierały jajka dla księdza, który miał odprawiać jakieś skuteczne modły i odwrócić niebezpieczeństwo wojny, zapewniając tym samym szybki powrót wszystkich chłopów najpóźniej do zimy. Mimo tych nadziei psychoza wojenna narastała. Ludzie chodzili jak błądnie, żadna praca im nie szła. Tylko nocami tu i ówdzie po zagrodach słyszało się ożywioną krzątanie. Każdy robił sobie na wszelki wypadek jakąś kryjówkę. Zakopywali ludzie zboże i mięso, chowali odzież i inne rzeczy, które przedstawiały jakąś większą wartość.

Stan niepewności nie miał trwać długo. Już w kilka dni po moim przyjeździe na

wieś Warszawa nadała komunikat radiowy. Ten, którego tak bardzo się wszyscy obawiali...

Wtedy właśnie spotkałem się z Aleksandrem Szymańskim, który podobnie jak ja pracował w Warszawie i w ostatnim niemal momencie przed pierwszymi nalotami zdążył wrócić do swojej rodzinnej wioski, Rzeczycy.

Aleksander Szymański - jakkolwiek od wielu już lat przebywał w Warszawie - znany był wszystkim ludziom, szczególnie młodzieży, nie tylko w okolicznych wioskach, ale także w całym powiecie kraśnickim, a nawet w sąsiednich powiatach południowej Lubelszczyzny. Był starym działaczem

Komunistycznej Partii Polski. Pochodził z rodziny chłopskiej z Rzeczycy Ziemiańskiej. Wykształcenie średnie zdobył w powiatowym Kraśniku gdzie zetknął się po raz pierwszy z ruchem robotniczym i z KPP, do której wtedy właśnie, jako licealista, wstąpił. Nic dziwnego, że po ukończeniu szkoły średniej młody człowiek, tak mało obiecująco zapowiadający się dla władzy sanacyjnej, nie mógł dostać się na studia i - co gorsza - nie mógł znaleźć żadnej pracy.

Wytrwałość jednak, z jaką przedsiębiorczy, ambitny i żądny wiedzy chłopak dążył do wytkniętego celu, dała w końcu pozytywne rezultaty. Po kilku latach tułaczki i bezskutecznych

zabiegów udało mu się wreszcie w Warszawie dostać na studia i z największym trudem, drogą licznych wyrzeczeń, ukończyć je. Został dziennikarzem.

Przez cały ten okres pracował aktywnie jako działacz KPP, za co kilkakrotnie był aresztowany. Wieść o jego przyjeździe, w momencie gdy oczekiwano wielkich wydarzeń, ucieszyła nas wszystkich. Aleksander Szymański był w naszych stronach przywódcą i autorytetem nie tylko dla kapepowców, ale dla całego miejscowego społeczeństwa, szczególnie zaś dla młodych. Jego dowcip, stare chłopskie powiedzonka, którymi sypał jak z rękawa, potrafiły

każdego rozruszać, rozweselić, zaciekawić i - co bardziej istotne - wciągnąć w krąg jego zainteresowań.

Przyjazdy Szymańskiego do rodzinnej wioski były miłą niespodzianką i prawdziwym świętem dla chłopaków. Schodzili się wtedy gromadnie na rzeczyckim błoni, a on dzielił się z nimi najnowszymi wieściami z szerokiego świata, uczył rewolucyjnych i ludowych piosenek, o które najwięcej zawsze go młodzież prosiła.

Kiedy wmieszany w gromadę kolegów słuchałem jego wywodów, wydawało mi się nieraz, że nikt tak dokładnie jak on nie zna historii, a w szczególności dziejów ruchu chłopskiego

i robotniczego, że nikt nie mógłby się pochwalić tyloma, co on, wiadomościami z różnych dziedzin. Znał kilka języków. Nazywaliśmy go chodzącą encyklopedią. Nic dziwnego, że skoro tylko dotarła do mnie wieść o powrocie Olka, tego samego jeszcze dnia wpadłem do niego. I tak nie byłem pierwszy. Tadek Klecha i Janek Czarnecki zdążyli przyjść wcześniej. Cóż, starzy kapepowcy. Obaj w tym szczególnym momencie mieli pewno tysiące nurtujących ich problemów, tak jak ja - dwudziestoletni zapaleniec.

Szymański przywitał się ze mną ciepło, po przyjacielsku, jak zawsze, minę miał jednak zatroskaną i poważną.

Wrześniowe słońce prażyło bezlitośnie; usiedliśmy w ogrodzie pod drzewem.

- Cóż - powiedział mój rozmówca po wstępnej wymianie zdań - lekko nam dotychczas nie było, ale będzie jeszcze gorzej. Ty, Wacuś, szykuj się do wojska... Trzeba będzie wojować, i to dobrze wojować, aby coś z tego wszystkiego obronić.

- Jak bronić, skoro nie dają do tego okazji? - spytałem. - Wojna rozpoczęta, a rozejrzyj się wokoło, ilu młodych chłopów jeszcze nie zmobilizowanych siedzi w chałupach. Czy to cię nie dziwi?

- Mam nadzieję, że nas jeszcze powołają.

- A jeżeli nie powołają?

Szymański w zamyśleniu przechadzał się w cieniu drzewa, dłonią pocierając nerwowo brodę.

- A jeżeli nie powołają - powtórzył moje pytanie - to wtedy pomyślimy...

Po powrocie do domu zacząłem się szykować do wojska. Matka przygotowała mi bieliznę, o każdej porze dnia i nocy oczekiwałem powołania. Ciągle jeszcze nie mogłem zrozumieć, jak to się dzieje, że z jednej strony były już wieści o poważnych niepowodzeniach na froncie, a z drugiej - aż tylu zdrowych i zdolnych do noszenia broni mężczyzn pozostawało nadal w domu.

Po kilku dniach daremnego wyczekiwania zaczęły się w okolicy pojawiać wędrujące grupy żołnierzy, często pomieszanych z cywilami, maszerujące to w jedną, to w drugą stronę drogami Lublin-Rozwadów.

Wtedy nie znałem się jeszcze na wojsku. Wydawało mi się, że każdy ruch żołnierzy jest kierowany przez dowództwo, celowy i potrzebny. Dlatego, jeśli mnie w tym wszystkim cokolwiek dziwiło, to chyba tylko fakt, że część żołnierzy była bez broni.

Pewnego wieczoru, w pierwszych dniach września, przyszedł do ojca z sąsiedniej wioski, z Łychowa, wiejski szewc-Żyd. Pamiętam, że nazywał się

Karper, ale nikt w okolicy nie mówił o nim inaczej, tylko „Mosiek z Łychowa”. Lubili go wszyscy za serdeczność i przyjacielskie rady, których nie szczędził nikomu. Znał się po trochu na wszystkim i w niejednej biedzie spieszył ludziom z pomocą. Surowe starozakonne zasady, jakie wyznawał, często dawały ludziom powód do żartów. Karper jednak zdawał się nie zwracać na nie najmniejszej uwagi. Pamiętam, jak później, w jakiś czas po wkroczeniu Niemców, w okresie gdy stosowane przez okupanta represje kierowały się głównie przeciwko Żydom, „Mosiek” wzbraniał się rozpaczliwie przed ścięciem brody, choć mu sąsiedzi

doradzali to w szczerzej trosce, by nie wpadł w ręce hitlerowców. Wzbraniał się, jak długo to było możliwe ukrywał nieszczęsną brodę pod opaską, a gdy wreszcie - postawiony przed koniecznością - musiał skapitulować, zaczął zachowywać się jak człowiek obciążony brzemieniem ciężkiego grzechu. „Mosiek” przyjaźnił się z ojcem od dawna.

Wtedy, w pierwszych dniach września 1939 roku, usiedli w ogrodzie i wdali się w przyjazną pogawędkę. Nie proszony przysiadłem się do nich w pewnym momencie, ciekaw nowinek, których Karper miał zawsze niemało.

Tym razem jednak sam niewiele

wiedział. Był markotny jakiś i nie trzymały się go żartobliwe powiedzonka, jak zawsze przedtem, gdy bywał u nas.

- No, Jakubie - pytał ojca - co wy na to wszystko? Bo mnie się wydaje, że z tego nic dobrego nie wyjdzie.

Po kolacji ojciec był niespokojny, wracał co chwila do rozmowy z „Mośkiem”, podkreślał, że on wie, co mówi, bo to niegłupi człowiek (Karper w całej okolicy miał taką opinię).

Być może ta właśnie rozmowa wpłynęła bezpośrednio na podjętą przez ojca decyzję, aby przygotować na wszelki wypadek kryjówkę.

Po kolacji ojciec zawołał mnie i w

tajemnicy przed całą rodziną w ciągu jednej nocy zrobiliśmy w ogródku dość dobry schowek, który tak bardzo się potem przydał w czasie okupacji.

Następnego dnia rano zajechała na nasze podwórko trzema konnymi wozami grupa kilkunastu granatowych policjantów, samych podoficerów. Z rozmowy z nimi dowiedziałem się, że jest to cały posterunek z jakiejś gminy z województwa kieleckiego.

Wszyscy byli z bronią. Wyglądało na to, że nie „uciekają”, lecz jadą z określonym zadaniem.

Gdzieś około godziny jedenastej po raz pierwszy nadleciało kilka niemieckich samolotów i ostrzelało maszerujący

przez naszą wioskę oddział wojska i ludność cywilną. Kilka osób odniosło rany. W grupie policjantów, odpoczywających w naszej zagrodzie, powstał popłoch. Pośpiesznie opuścili wioskę, udając się w stronę Lublina. Pozostawione przez nich karabiny zabrali później jacyś żołnierze maszerujący bez broni. Od tego dnia wędrówka wojskowych i cywilów, dotychczas bezładna, zaczęła przybierać coraz bardziej określony kierunek: na Lublin. Samoloty niemieckie bombardowały kolumny wojsk i linię kolejową Lublin-Rozwadów, wzniecały pożary i ostrzeliwały nawet ludność cywilną pracującą na polach.

Pamiętam jak podczas kolejnego nalotu,

kiedy zdawało się, że piekło rozwarło się pod kopułą rozświetlonego nieba, jakaś kobieta z niemowlęciem na ręku biegła na przełaj, polem, by dopaść pierwszych zabudowań wioski. Nie zdążyła. Celna seria lecącego na niewielkiej wysokości samolotu i... ciało matki osunęło się na ziemię. Skończyła się jej śmiertelna trwoga o maleństwo.

Któregoś dnia radio podało, że Niemcy wprawdzie przeszli granicę i wdarli się w głąb Polski, ale sytuacja nie jest groźna, bo wojska francuskie wkroczyły już na terytorium wroga i podążają w ślad za armią niemiecką na wschód, aby wspólnie z Polakami wziąć ją w dwa ognie. Rozeszła się również

pogłoska, że wojska angielskie wylądowały we Francji z zadaniem udzielenia pomocy Polsce. Niestety, nasze radio słuchawkowe zaczęło coraz słabiej odbierać, aż wreszcie zupełnie ucichło.

Drogą przez wioskę posuwały się nieprzerwanie kolumny wozów konnych, jechały rowery, motocykle, szli piechurzy - wszystko to ciągnęło na Lublin. Słysząc już było huk artylerii, samoloty niemieckie dokuczały coraz bardziej. Nie było dnia bez pożarów. Linia kolejowa uległa kompletnemu zniszczeniu. Pociągi stały unieruchomione wśród pól, wystawione na wściekłe ataki z powietrza.

Wioska zapchana była przybyszami. Ewakuowano już całe instytucje, zakłady i urzędy, przeważnie z województwa kieleckiego, warszawskiego i poznańskiego. Ludzie uciekający na wschód opowiadali, że Niemcy na zajętych przez nich terenach zabierają wszystkim młodzież i wywożą do Niemiec, a opornych rozstrzelują. Szerzyła się coraz większa panika, coraz więcej ludzi z naszej wioski przyłączało się do uciekających i ciągnęło na wschód.

Przez cały ten czas spotykałem się często z Szymańskim i innymi miejscowymi kapepowcami. Doszliśmy do zgodnego wniosku, że w sytuacji, jaka zaistniała, jedynym rozsądnym dla

nas wyjściem jest ucieczka za Bug. Gdzieś przecież musi wreszcie nastąpić stabilizacja frontu. Mieliśmy nadzieję, że otrzymamy broń, że będziemy mogli walczyć. Stamtąd już zresztą bliżej Związku Radzieckiego. Może jakoś uda się - jeśli to będzie konieczne - przejść na tamtą stronę?

Zebrało się nas około dziesięciu, w tym czterech kapepowców: Aleksander Szymański, Tadeusz Klecha, Jan Czarnecki i ja. Wyruszyliśmy o świcie. Koło południa w okolicy Turobina dopadły nas samoloty niemieckie. Przez dłuższy czas ostrzeliwały nie kończące się korowody uciekinierów. Posypały się bomby, powstał nieopisany zamęt. Na drodze leżeli zabici i ranni. Walał

się porzucony sprzęt.

Pod wieczór dotarliśmy do wioski Chłaniów w powiecie krasnostawskim i tam przespaliśmy u jakiegoś chłopa w stercie słomy. Tylko Szymański, który przypomniał sobie, że ma w tej wiosce znajomego, poszedł go odwiedzić. Rano nie wrócił o umówionej porze. Czas nagiął. Czekaliśmy na niego trochę - daremnie. Ruszyliśmy dalej sami, w nadziei, że nas dopędzi. Trasę marszu sam przecież ustalał; wiedział, którądy pójdziemy.

Tego dnia kilku naszych towarzyszy zrezygnowało z dalszej wędrówki i postanowiło wracać do domu. Z Szymańskim nie spotkaliśmy się już. Jak

się później okazało, nie chciał go wypuścić kolega - serdeczny przyjaciel, z którym przebywał razem w więzieniu w Janowie. Rozumieliśmy - wspólnie przeżyte chwile niedoli wiążą czasem ludzi najsilniejszymi więzami. Udali się później na wschód z inną grupą.

Tego samego dnia przechodziliśmy przez płonące jeszcze Piaski Luterskie. Droga usłana trupami. W dopalających się budynkach zwęglone szczątki ofiar. Jęki rannych, którymi nie ma się kto zająć. Ostra woń spalenizny i gryzący dym. Oczy łzawią, ciężko oddychać.

Pożarów było coraz więcej. Lotnictwo niemieckie wisiało dosłownie nad głowami ludzi wydłuż szlaków

ewakuacyjnych. Ogromne wyrwy w szosie, leje po bombach, w które co chwila wpadały spłoszone konie, wywracając wozy z dobytkiem - wszystko to było dopełnieniem straszliwego obrazu wojny.

Wszelka komunikacja i łączność zostały już całkowicie sparaliżowane.

Na kolejny nocleg zatrzymaliśmy się w jednej z wiosek powiatu włodawskiego. Gospodarz, człowiek gościnnie i rozmowny, przyniósł nam do stodoły jakieś derki i kurtki do przykrycia. Chociaż bowiem tamte wrześnieowe dni miały przejść do historii jako wyjątkowo pogodne i ciepłe, nocami chłód dokuczał już

solidnie.

Skończywszy zwykłą wieczorną krzątanie w obejściu, gospodarz przysiadł się do nas i po chwili potoczyła się rozmowa. Zrobił na nas wrażenie doświadczonego, statecznego człowieka.

- Jak myślicie, co z tego wyniknie? - pytaliśmy.

- A czegoż innego można się tutaj spodziewać - odpowiedział pytaniem na pytanie - jeśli nie najgorszego? Przecież oni już wiedzą.

- Kto to: oni?

- Któż by? Toć dygnitarze. A choćby i u nas... Wczoraj w nocy przyjechali

panowie oficerowie, zostawili u sołtysa broń i cały rynsztunek. Kazali zakopać, a sami przebrali się w cywilne łachy i tyleśmy ich widzieli. Nad ranem znikli gdzieś jak kamfora. Powiadają, że i rząd się gdzieś zapodział. Niedobrze!

Przez otwarte wierze je patrzyłem na rozgwieżdżone niebo. Tak chciało się zapomnieć o rzeczywistości! Zapach siana pod głową odurzał, blisko gdzieś koncertowały żaby. Poza tym wielka cisza, nie zakłócona, jak za dnia, odgłosami wojny. Ale serce szarpał żal, nad którym dominowało uczucie zemsty. A ponad żalem i pragnieniem odwetu - uczucie upokorzenia i wstydu. Za zawiedzioną wiarę, za głupią propagandę z serii „silni, zwarci,

gotowi”, za zdradę tych, którzy przewodzili.

I chociaż jasnym promieniem była nadzieja walki, nic nie zmieniło faktu, że oto i ja, i moi towarzysze, ludzie młodzi, zdolni do noszenia broni i żądni czynu - choć niejednemu już „smakował gorzko na tej ziemi więzienny chleb” - staniemy się prawdopodobnie wkrótce uchodźcami z własnej bezbronnej ojczyzny.

Przyszłość jednak nie miała potwierdzić tego ostatniego przypuszczenia.

Rankiem następnego dnia udaliśmy się w dalszą wędrówkę, chcąc jak najszybciej dotrzeć za Bug, który dla

wszystkich uciekinierów był jakąś wyimaginowaną granicą, poza którą nie sięgnie już niebezpieczeństwo niemieckie.

Jakże się myliliśmy! Kiedy po długim marszu znaleźliśmy się wreszcie po drugiej stronie rzeki, we wsi Zabuze, okazało się, że Niemcy wyprzedzili nas o całą dobę! Dzień przed nami w tej właśnie wiosce czołgi niemieckie rozbiły jakiś większy oddział wojska polskiego i szybko poszły na wschód. Na placu boju oglądaliśmy zabitych żołnierzy, martwe konie, porozbijane działa i tabory. Przygnębiający widok.

O bitwie, jaka się tu wywiązała, opowiadał nam chłop, u którego się

zatrzymaliśmy. Jego ojciec, staruszek w wieku stu dziesięciu lat, który brał udział w ostatnim polskim powstaniu, płakał podobno jak dziecko, kiedy w swojej wiosce zobaczył Niemców.

Biały jak gołąbek, krzątał się teraz zadziwiająco rześko po podwórku, wyglądał co chwila na drogę, jakby się czegoś obawiał.

- Tak, dzieci - powiedział rozzalony - ciężko będzie staremu umierać w niewoli. Pamiętam, było; to, widzi się, w sześćdziesiątym trzecim...

I popłynęły wspomnienia o wyzwolenczej walce, o krwi oddanej ojczyźnie i zawiedzionych nadziejach.

- Długo oczekiwaliśmy tej wolności -

zakończył. - A tak jej mało było...

Postać rozzalonego starca utkwiała mi w pamięci tak mocno, że dziś, prawie czterdzieści lat od tamtych wydarzeń, pamiętam go takim, jaki został wówczas pośrodku podwórka, gdy odchodziliśmy: zafrasowany i bezradny.

Czy doczekał wolności?

Nie widzieliśmy już celu w dalsze wędrówce na wschód. Postanowiliśmy wracać. Ponieważ jednak Tadeusz Klecha przypomniał sobie, że z tych właśnie stron pochodzi jeden z jego kolegów, kapepowiec nazwiskiem Kruk, z którym razem byli więzieni za działalność polityczną, chcieliśmy go przy okazji odwiedzić. Miejscowa

młodziż poinformowała nas, że Kruk mieszka w Opalinie, odległym od Zabuża o siedem kilometrów, i że dopiero przed paru dniami - uwolniony na skutek działań wojennych z więzienia - powrócił do domu.

Przyjemnie było słuchać, jak ciepło tamtejsi ludzie wyrażali się o kapepowcach, szczególnie tych, którzy za swoje przekonania i działalność odsiadali wyroki w sanacyjnych więzieniach. Znano ich dobrze w promieniu wielu kilometrów.

Piaszczystą drogę do Opalina przeskoczyliśmy w rekordowym tempie. Niestety, Kruka nie było. Jak poinformowała nas jego siostra, po

powrocie i dwudniowym odpoczynku uszedł on z domu w obawie przed Niemcami i ukraińską reakcją, która już wtedy zaczęła podnosić głowę.

Pozostało nas tylko trzech: Tadeusz Klecha, Jan Czarnecki i ja. Byliśmy całkowicie zdezorientowani, zmęczeni i głodni.

Po nieudanym wypadzie do Opalina nie mieliśmy już żadnego wyboru. Należało wracać. Ale łatwiej było podając taką decyzję, niż ją wykonać. Wszystkimi drogami ciągnęły nie kończącym się sznurem czołgi, działa, samochody. Długimi kolumnami maszerowało wojsko. Niestety - nie polskie. Szliśmy na przełaj, przez pola, miedzami.

Najlepiej było wędrować nocą, ale trzeba było dobrze znać teren, żeby nie wyjść na patrole niemieckie. W nocy hitlerowcy przy lada podejrzeniu oświetlali teren raketami i strzelali jak opętani. Mimo tych trudności po paru dniach byliśmy na powrót w domu, gdzie na szczęście okazało się, że Niemcy - przynajmniej na razie - nie stosują żadnych form terroru wobec miejscowej ludności.

Po kilku dniach spotkałem się znowu z Aleksandrem Szymańskim, który po podobnych do naszych przygodach również wrócił do domu.

Znowu Warszawa

Rok 1940 był rokiem ciszy po burzy. Hitlerowscy „nadludzie”, niezupełnie jeszcze zaaklimatyzowani na obcej ziemi, zajęci podbojem coraz to nowych terytoriów - na zachodzie, północy i południu - nie zdążyli jeszcze wypracować sobie tych wszystkich form terroru, którymi wsławili się w okresie późniejszym. Polacy natomiast, otrząsnąwszy się z apatii spowodowanej klęską, trwali czujni, wyczekujący, jeszcze w masie swej bierni, ale już tu i ówdzie rozmyślający nad możliwościami działania.

Tak było i w naszej okolicy, wyróżniającej się od dawna

aktywnością polityczną. Byli członkowie KPP i postępową młodzież w okolicy przeżywali te same nastroje, jakie ogarniały wówczas całe społeczeństwo. Jakkolwiek był to czas niemal całkowitej bierności, nie trzeba, było szczególnej przenikliwości, żeby wyczuć, że stan taki nie potrwa długo.

Cała nasza działalność ograniczała się do indywidualnych lub grupowych spotkań, podczas których toczono dyskusje na temat aktualnej sytuacji, przekazywano sobie zdobyte najróżniejszymi drogami nie zawsze wiarygodne informacje, czytano prasę...

Ludźmi najbardziej zorientowanymi, we wszelkiego rodzaju nowinkach byli

zawsze szmuglerzy wożący artykuły żywnościowe do dalekiej stolicy. Należała do nich jedna z moich kuzynek. Kierowany chęcią wieści ze świata i zapoznania się z działalnością ruchu oporu w Warszawie, zwróciłem się do niej kiedyś z propozycją, by wzięła mnie ze sobą na handel.

Wyraziła zgodę. Obładowani rąbanką, pojechaliśmy.

Była to moja pierwsza okupacyjna podróż. Pociąg wypełniali głównie szmuglerzy obładowani towarem - wiejskie kobiety o czerstwym wyglądzie i anemiczne panusie z miasteczek, blade - wymizerowane. Pamiętam rozpacz jednej z nich, gdy do przedziału wpadł

żandarm i z rękawów wiszącego płaszcza wyjmował bryłki masła. Zdziwiony byłem tą pomysłowością rodaków.

W Dęblinie, który szmuglerzy nazwali „Gołocinem”, jak zwykle zatrzymano pociąg na dłuższy postój, aby dać żandarmom możliwość przeprowadzenia dokładnej rewizji i ograbienia szmuglerów. Kuzynce tym razem też zabrali walizkę z rąbanką, skazując mnie tym samym na przymusowe wysłuchiwanie jej płaczu, złorzeczeń i przekleństw do końca podróży.

Tego dnia dobrnęliśmy do Warszawy. Na starej kwaterze trudno mi było dowiedzieć się czegokolwiek, Mój

dawny gospodarz, dozorca Bogdański, dostał się do niewoli niemieckiej. Jego żona, obarczona dziećmi, żyła w ciężkich warunkach i jedyną jej troską było zaopatrzenie się w żywność.

Chcąc nawiązać kontakty i zdobyć możliwie najwięcej informacji, udałem się nazajutrz po przyjeździe na ulicę Wilczą 19, do mieszkania Kamili Glewińskiej. Jak już wcześniej wspomniałem, mieszkanie Glewińskiej było miejscem spotkań znanych działaczy. Odwiedzał je między innymi późniejszy marszałek Sejmu Władysław Kowalski. Nic więc dziwnego, że na Wilczą szedłem pewny, iż zdobędę tam informacje, po które specjalnie przecież przyjechałem. I tym razem jednak

miałem pecha.

Glewińska opłakiwała syna, studenta Politechniki, który jako oficer rezerwy zginął w obronie Warszawy. Stratę jedyne go dziecka przeżywała tak boleśnie, że z trudnością ją poznałem.

Przyjęła mnie jak zawsze - gościnnie i serdecznie. Wiedziałem jednak, że wizyta moja nie przyniosła jej ulgi. Przeciwnie, spowodowała nową falę bólu. Widocznie podobieństwo moje do jej syna, o czym mnie często przedtem zapewniała, tak mocno ją teraz poruszyło. Przez jakiś czas nie mogłem z nią rozmawiać. Zaczynałem już żałować, że przyszedłem.

Przygotowała mi śniadanie. Nie

umiałem znaleźć żadnych słów. Czy można pocieszać matkę po stracie jedyne dziecko?

Opuściłem mieszkanie tak szybko, jak tylko było możliwe. Szedłem Marszałkowską zamyślony. W pewnej chwili ktoś trącił mnie w ramię.

- Jak się masz, Wacek? Co porabiasz?

Przede mną stał znajomy murarz, z którym przed wojną przez pewien czas pracowaliśmy. Pamiętałem, że należał do KPP. Nazywał się Padoł. Stał teraz przede mną mizerny, w drewniakach i nędznym ubraniu. Przywitałem go uradowany, obiecując sobie wiele po tym przypadkowym spotkaniu.

- Coś nieszczególnie wyglądacie,

towarzyszu - pokiwałem głową.

- Jak wszyscy. Wojna, bracie, z pracą krucho. W chałupie baba, czworo dzieciaków. Wołają jeść, a skąd im nastarczysz? Stróżuję ostatnio nocami przy młynie we Włochach. Tyle że się czasem uda tę garść mąki przywlec do chałupy, żeby sobie choć zacierek zgotowali. Psia dola! Et, gadać nie warto...

Wbrew jednak temu ostatniemu oświadczeniu, mój znajomy rozgadał się w najlepsze, a choć widać było, że sam jeszcze nie bardzo jest zorientowany w sprawach, o które mi najbardziej chodziło - jedno zdawało się wynikać z jego słów niezbitie: w Warszawie

musiała działać już jakaś konspiracyjna organizacja wojskowa. Przypuszczenie takie potwierdzało dość dziwne zachowanie syna właściciela młyna z Włoch. Ten młody człowiek, oficer rezerwy, nigdzie nie pracował i - jak Padoł zdołał zaobserwować - ciągle gdzieś jeździł, a i u niego w domu często odbywały się zebrania jakichś mężczyzn, przeważnie przyjezdnych.

Przed wieczorem wsiadłem do tramwaju jadącego w stronę Mokotowa. Ze zdziwieniem zauważyłem, że wagon przedzielony jest w środku metalowym drążkiem na dwie części i wyjść z niego można tylko tą samą drogą, którą się weszło.

W przedniej części wozu, niemal całkowicie pustej, siedziało wygodnie dwóch żandarmów. Nad drzwiami dostrzegłem tabliczkę: „Nur für Deutsche”. Tylna część wagonu, przeznaczona dla Polaków, była tak natłoczona, że nie miałem dosłownie gdzie nóg postawić.

Jedziemy Alejami Ujazdowskimi. Stoję w oknie wpatrzony w znajome Łazienki, miejsce tak niedawnych jeszcze spacerów. Teraz widać tu przechadzających się Niemców.

Wzrok mój padł na miejsce, w którym niegdyś stał pomnik. Został po nim tylko rozwalony na wpół cokół.

- A co się stało z Chopinem? - pytam

stojącego obok mnie jakiegoś starszego pana.

- Tak nam szybko sława znika, że nie mamy już pomnika - wyrecytował zamiast odpowiedzi jakieś powiedzonko, z których zawsze słynęła Warszawa.

Wysiadłem przy placu Unii Lubelskiej. Zapadał zmrok i okna wystawowe zabłyśły tu i ówdzie pierwszym światłem. Wolno, rozglądając się ciekawie dokoła, szedłem Puławską i Rakowiecką. Rozmyślałem, gdzie by tu zanoć. Przyszedł mi na myśl mój dawny szef, u którego pracowałem przed wojną, inżynier Czyż. Mieszkał przy ulicy Raławickiej, na tak zwianym

Rakowcu. Była to piękna dzielnica willowa, pełna ogrodów, zamieszкана w większości przez ludzi dobrze przed wojną sytuowanych, wśród których niemało było starszych oficerów i generałów. Pamiętałem nawet dokładnie numer, pod którym mieszkał inżynier: 112a. Skierowałem tam swoje kroki.

Kiedy znalazłem się już w pobliżu domu, w którym spodziewałem się znaleźć gošcinę i nocleg, spotkałem niespodziewanie znaną mi sprzed wojny żonę pułkownika, panią Zofię Hilewską. Pracowałem kiedyś przy budowie ich domu, również na Raławickiej. Często nas wówczas odwiedzała, zabawiała rozmową, obdarowywała drobnymi

upominkami.

Poznaliśmy się teraz od razu. Wraciała właśnie ze Śródmieścia, jak dawniej elegancka, pełna szyku i gracji. Była obładowana paczkami. Wszystko to odbijało jakoś od wyglądu ówczesnej Warszawy.

Przystanęła i zaczęła ze mną ożywioną rozmowę, wypyując ciekawie o wszystko.

- A jak się ma pan pułkownik? - spytałem - Powrócił szczęśliwie z wojny?

- Niestety - odrzekła - mój mąż nie żyje. Umarł w Rumunii, zaraz po internowaniu polskich jednostek, z którymi przeszedł granicę.

- I pani sama tak sobie radzi? Teraz w Warszawie niełatwo...

- Ano, cóż zrobić? Mieszkam z córką, jakoś się żyje. Trochę handluję, czy pan też? Chętnie bym pomogła, pojechała z panem na wieś. Niech pan do mnie wstąpi - mówiła szybko i o wszystkim naraz, jak zwykle.

- Dziękuję - odrzekłem zadowolony z zaproszenia.

- Tu niedaleko mieszka inżynier Czyż, a ja właśnie do niego. Może jutro...

Żegnamy się i po chwili pukam do drzwi inżyniera.

Mój chlebodawca przyjął mnie życzliwie, a nawet przyjaźnie.

W trudnej sytuacji, jaka wytworzyła się w Warszawie, zależało mu bardzo na nawiązaniu kontaktów z Lubelszczyzną, gdzie najtaniej można było zaopatrzyć się w żywność. Oboje z żoną przeżywali wówczas żałobę po śmierci swojej córki jedynaczki, przepięknej dziewczynki, którą znałem z czasów, gdy pracowałem u Czyża. Może przez to wydali mi się bardziej bliscy i serdeczni niż kiedykolwiek. Sami zaproponowali, bym został na nocleg.

Przy okazji nie omieszkałem opowiedzieć o spotkaniu z panią Hilewską i o tym, że zaprosiła mnie na następny dzień. Sposób, w jaki zareagowała na to pani Czyżowa, był co najmniej nieoczekiwany.

- A niech pana Bóg broni przed tą kobietą! - zawołała z przestraczem w oczach.

Nim zdołałem poprosić o wyjaśnienie, inżynierowa jednym tchem zdążyła mi opowiedzieć, że u Hilewskiej mieszka pułkownik lotnictwa niemieckiego, z którym łączą ją prawdopodobnie dość zażyłe stosunki. Poza tym było już publiczną tajemnicą, że pracuje na rzecz Niemców.

Ładnie bym się urządził - pomyślałem. Chociaż informacja pani Czyżowej wydała mi się czymś wręcz nieprawdopodobnym, na wszelki wypadek wolałem wierzyć, niż chodzić sprawdzać.

- Konkretnych dowodów na to nie mam - uzupełnił inżynier - ale wiem, że jakaś podziemna organizacja przysłała jej już ostrzeżenie.

Z dalszej rozmowy z inżynierem dowiedziałem się, że ostrzeżenie przyszło najprawdopodobniej od Związku Walki Zbrojnej, istniejącej już w tym czasie organizacji, na której czele stali byli oficerowie. Fakt ten natychmiast skojarzył mi się z tym, co usłyszałem od Padoła o właścicielu młyna we Włochach i o jego synu.

Przy pożegnaniu umówiliśmy się z inżynierem, że będziemy pozostawać w stałym kontakcie. Obiecałem przysyłać mu z Lubelszczyzny paczki ze

słoniną. Ponieważ miałem do niego zaufanie, prosiłem go o skontaktowanie mnie z kimś z organizacji. Niestety, nie mógł tego od razu uczynić, ale obiecał zbadać sytuację i zrobić to przy najbliższej okazji.

Wiadomości, jakie w rezultacie przywiozłem z Warszawy, były więcej niż skromne. Mimo to postanowiliśmy utrzymywać za wszelką cenę kontakt ze stolicą. Wiedzieliśmy już przynajmniej, że podziemna organizacja niepodległościowa istnieje, choć zupełnie nie znany był nam jej program.

- Nie pal ty się tak do tej organizacji - próbował studzić mój zapal Szymański.

- Coś mi ona wygląda mocno podejrzanie. Rozpatrzyć się wpięrow trzeba, ostrożnie, bez pośpiechu, program poznać...

Opinie były podzielone. Miejscowy nauczyciel, Dziwisiński, od dawna sympatyzujący z naszym ruchem, był zdania, że w konkretnej okupacyjnej sytuacji dobra jest każda organizacja niepodległościowa, która chce podjąć walkę z Niemcami. Przyznawałem mu rację, nie przeczuwając, jak potoczą się wypadki w niedalekiej już przyszłości.

Co do jednego zgodzaliśmy się wszyscy: że trzeba za wszelką cenę zbierać i przechowywać broń. Przystąpiono też do tej akcji bezzwłocznie. Znaliśmy

pewne miejsca, w których w 1939 roku porzuciły broń grupy żołnierzy polskich przygotowujących się do kapitulacji. Wiedzieliśmy również, że niektórzy chłopi przechowywali u siebie broń lub znali miejsca, gdzie była zakopana.

Na bezdrożu

Gdzieś w grudniu 1940 roku zjawił się u mnie Stefan Czarnecki, mający w okolicy opinię dobrego lekarza weterynarii i spokojnego, uczciwego człowieka.

Czarneckiego łączyły dobre stosunki z policją, z księdzem i wszelkiego rodzaju władzą. Największym jednak

mirem cieszył się wśród chłopów, którym często leczył inwentarz domowy.

Zapadał wczesny grudniowy zmierzch. Okna domów zabłyśły już tu i ówdzie mdłym światłem naftowych lamp. Ludzie siedzieli w chałupach, małych jakichś, opatulonych wielkimi czapami śniegu.

Wywołany przez Czarneckiego z izby, szedłem z nim drogą między opłotkami. Czuję, że ma jakąś sprawę, o której z pewnością mu mówić w cztery oczy, i że temu zawdzięczam nie planowaną wieczorną przechadzkę.

Czarnecki znał mnie z przedwojennej jeszcze działalności konspiracyjnej. Wiedział, że nasza grupa, z Szymańskim na czele, wywierała duży wpływ na

okoliczną młodzież. Nie od razu jednak przystąpił do rzeczy. Przez jakiś czas rozwodził się nad losem nieszczęśliwej ojczyzny, mówił o okrucieństwie najeźdźców.

- Czy wiesz - zapytał w pewnym momencie - że zbliża się już godzina wyzwolenia?

Byłem zaskoczony słowami swego rozmówcy.

Zaczął więc malować przede mną obraz rodzącej się i z dnia na dzień potężniejącej siły wyzwoleniczej, skupiającej w swych szeregach - według jego zapewnień - najbardziej wartościowy element społeczeństwa, jego najlepszych obywateli, patriotów,

cieszących się powszechnie dużym autorytetem.

- Jakże się nazywa ta organizacja? – zapytałem z ciekawością. Czyżby to był ów Związek Walki Zbrojnej, o którym mówił mi inżynier z Warszawy? - pomyślałem.

- Widzisz - odrzekł z pewnym wahaniem - to nie takie proste. Względy konspiracyjne nie pozwalają wyjawiać nazwy organizacji ani posługiwać się nią. Najważniejsze, byś chciał wraz z innymi wstąpić w jej szeregi i pracować jak inni dobrzy Polacy.

Chciałem, bardzo chciałem pracować jak inni dobrzy Polacy. Przecież po to tylko jeździłem do Warszawy. Czy

trzeba mnie było namawiać? Nie mogłem jednak działać na ślepo.

- A dowództwo organizacji, jej program? - spytałem. - To chyba nie powinno być tajemnicą dla kandydatów...

- Program? Mój rozmówca nie mógł ukryć zakłopotania. - Będzie jeszcze dość czasu myśleć i mówić o programie - powiedział. - A że organizacja ma charakter wojskowy, to jasną rzeczą jest, że na jej czele muszą stać ludzie wojskowi. Z Sikorskim... - dodał konspiracyjnie.

Z dalszego toku rozmowy dowiedziałem się, że dowództwo nowo powstałej organizacji przywiązuje wielką wagę

zwłaszcza do werbowania młodzieży i ludzi mających jakikolwiek wpływ na społeczeństwo.

Zapytałem, jaka jest forma przyjęcia do organizacji i na czym polegałaby moja praca, gdybym zdecydował się do niej wstąpić.

Czarnecki jak gdyby tylko na to czekał. Wyrecytował mi natychmiast z pamięci, jak wyuczony wiersz, tekst przysięgi, jaką ze względów konspiracyjnych trzeba było złożyć pisemnie na... bibułce od papierosów. Pamiętam, że zaczynał się od słów: „Przysięgam Panu Bogu i skrwawionej ziemi polskiej...”

Zadaniem moim byłoby na razie - jak informował Czarnecki - wprowadzanie

do organizacji wskazanych mi ludzi i utrzymywanie ich w stałej gotowości do wykonania pewnych zadań nakazanych przez dowództwo.

Za dużo było niejasności i zbyt wiele tajemnic we wszystkich wywodach Czarneckiego, by decydować się na jego propozycję. Powiedziałem mu o tym otwarcie, oświadczając jednocześnie, że gdyby mógł mi doręczyć program organizacji, którą reprezentował, chętnie bym się z nim zapoznał. Zgodził się, obiecując mi prośbę spełnić przy nadarzącej się okazji.

Aleksandra Szymańskiego - wbrew przypuszczeniom - nie zdziwiła ta

niecodzienna wizyta Czarneckiego ani uczyniona mi propozycja. Kiedy zrelacjonowałem mu przebieg owej wieczornej rozmowy, okazało się, że nie tylko wiedział o istnieniu organizacji, ale zdażył poznać już najogólniej jej program i cele. Więcej - znał nawet nazwiska ludzi, którzy już do niej wstąpili. Od niego to dowiedziałem się, że chodzi tu rzeczywiście o Związek Walki Zbrojnej i że organizacji tej w początkowym okresie udało się zwerbować w swoje szeregi wielu ludzi, szczególnie podoficerów i szeregowych rezerwy na wsi. Na naszym terenie do ZWZ wciągnięto między innymi dwóch braci Skrzypków ze wsi Łysaków. Byli to właśnie

podoficerowie z wojska, synowie małego chłopca, którzy w szeregach ZWZ znaleźli się przypadkowo, nie wykazawszy w odpowiednim momencie dostatecznej czujności i krytycyzmu. Zwerbował ich były zawodowy starszy wachmistrz 24 pułku ułanów z Kraśnika, Skibiński, któremu udało się również wprowadzić młodego Chromika ze wsi Stawki, zamordowanego później przez swoich mocodawców za kontakty z nami.

- Czy myślisz, że im naprawdę na nas zależy? - spytał Szymański. - Sądzą po prostu, że tak będzie bezpieczniej. Ująć nas organizacyjnie, wciągnąć do swego grona to dla nich czysty interes. Na to tylko czekają.

- Nie rozumiem. Jeżeli mi na kimś nie zależy, to po co miałbym zabiegać o jego towarzystwo? - spytałem, nie mogąc przeniknąć swoją dwudziestoletnią mentalnością tego, co dla doświadczonego Olka było oczywiste. Coś mi się w jego argumentacji nie zgadzało.

Olek miał w sobie wiele z pedagoga. Teraz też popatrzył na mnie jak nauczyciel na ucznia łamiącego sobie głowę nad zadaniem przerastającym jego możliwości. Uśmiechnął się z wyrozumiałością.

- Zawsze myślałem, że będą z ciebie ludzie, jak cię koza nie zje - zażartował swoim zwyczajem, klepnął mnie

przyjacielsko po ramieniu i poważniejąc wyjaśnił: - Związek Walki Zbrojnej pragnie pozbawić nas wpływu na chłopów, głównie zaś na młodzież. Obawia się, by nie powstała organizacja, która by skupiała w swych szeregach elementy lewicowe - robotników i chłopów. Dlatego z dwojga złego woli nas mieć u siebie.

Podczas następnych spotkań z Olkiem, w których uczestniczyli także inni kapepowcy, m. in. Jan Czarnecki i Tadeusz Szymański, uzgodniliśmy, że zadanie nasze na najbliższy okres polega na tym, by jak największą liczbę osób, zwłaszcza spośród młodzieży, uchronić przed wciąganiem do Związku Walki Zbrojnej. Mimo wielu nie

Okazało się, że mimo strasznych represji, do kary śmierci włącznie, i mimo nierzadkich już aktów terroru w stosunku do osób podejrzanych o posiadanie broni wielu chłopów pieczołowicie ją przechowywało w najskrytszych zakamarkach i w największej tajemnicy nawet przed najbliższymi, żeby zmniejszyć do minimum niebezpieczeństwo „wpadki”.

Zdarzało się jednak i tak, że o przechowywanej broni wiedziało kilka osób z rodziny chłopskiej, a mimo to tajemnica została zachowana. Ludzie, przez nikogo nie pouczeni, sami potrafili przestrzegać zasady konspiracji.

Jedna tylko rodzina Skrzypków z

Łysakowa po rozbitkach armii polskiej w 1939 roku zebrała w lasach lipskich i przechowała tyle broni, że w 1942 roku uzbroiła nią cały dwudziestoosobowy oddział, wyposażając go w trzy karabiny i dwanaście karabinów z kilkoma tysiącami amunicji. Podobne zasługi położyły rodziny: Paleniów ze wsi Lipa i Płowasiów ze wsi Parama koło Zaklikowa, z których każda przechowywała po kilkanaście karabinów i po kilka pistoletów z większą ilością amunicji.

Najstaranniej potrafili przechowywać broń ludzie obeznani z nią, a więc ci, którzy odbyli służbę wojskową, bądź zajmowali się myślistwem - gajowi

i kłusownicy mieszkający w okolicach leśnych.

Pomysłowość w przechowywaniu broni była niekiedy wprost zdumiewająca.

Kiedyś w rozmowie z naszym sympatykiem Władysławem Rękasem^[1], osiemnastoletnim chłopcem ze wsi Potok, dowiedziałem się, że przechowuje on kilka pistoletów, które porzucili polscy oficerowie w jego wiosce w 1939 roku. Gdy zaciekawiony wyraziłem chęć obejrzenia posiadanych przez niego skarbów i sprawdzenia, w jakim znajdują się stanie, młody Rękas poprowadził mnie w stronę znajdującego się w odległości około kilometra od jego domu cmentarza.

Kiedy byliśmy już niedaleko celu, kazał mi się skryć i czekać, a sam poszedł dalej.

Leżałem na miedzy wpatrzony w niebo. Przez chwilę zdawało mi się, że nie ma wojny, jest cisza, spokój, jak kiedyś, jak dawniej. Wiatr przechylał kłosa dojrzewającego żyta, paliło słońce.

Władek wrócił niebawem. Miał ze sobą jednego „walterka” owiniętego w nasyczone oliwą szmaty.

- Dlaczego nie wzięłeś mnie z sobą? - spytałem z wyrzutem. Wstał, rozejrzał się badawczo dokoła, po czym uspokojony siadł znowu na miedzy.

- Nie można - powiedział głosem ściszym prawie do szeptu. - Ludzie

się kręcą, służba kościelna, ksiądz. Obcy rzuca się wszystkim w oczy. Obserwowaliby nas, domyślali się...

Rozumiałem. Teraz cmentarze były miejscem szczególnie często odwiedzanym. Śmierć zebrała swoje żniwo we wrześniu i potem.. Nie nalegałem dłużej.

Upewniwszy się jednak, że w tej właśnie chwili nie ma powodów do obaw, Władek pociągnął mnie w głąb cmentarza.

Jakież było moje zdziwienie, gdy zaprowadził mnie do rodzinnego grobu miejscowych dziedziców i odsuwając trumnę w jednej z krypt, wyjął kilka dobrze zabezpieczonych

sprecyzowanych jeszcze myśli wszyscy podzielaliśmy przekonanie Olka: prędzej czy później musi powstać nasza organizacja. Trzeba zachować dla niej jak najwięcej zdrowego elementu, zmobilizować wszystkie siły i środki.

Z Czarneckim Szymański polecił mi utrzymywać kontakt i starać się zdobyć od niego jak najwięcej informacji, a w miarę możliwości przekonywać o niesłuszności sprawy, którą reprezentuje.

W pogoni za bronią

Przez cały ten okres trwała u nas intensywna akcja poszukiwania broni.

i zakonserwowanych pistoletów.

- A gdzie amunicja?

Uśmiechnął się tajemniczo.

- Nad dworskim stawem. W dziupli. W ziemi tego zakopać nie wolno ani przechowywać w wilgoci, boby się zmarnowało. A dąb jest solidny. Nawet się nikt nie domyśla, co tam jest w środku.

Zdumiony byłem pomysłowością tego chłopaka, którego nikt przecież nie pouczał. Nie dziwię się, że w późniejszym okresie wyrósł na jednego z najlepszych dowódców i położył niemałe zasługi w walce z okupantem.

Broń przechowywano w naszym rejonie nie tylko po wsiach. Miasta też nie pozostawały w tyle. Pewnego razu, wybrawszy się w jakichś sprawach do Kraśnika, szepnąłem jednemu z naszych zaufanych ludzi o zapotrzebowaniu na broń i o konieczności gromadzenia jej. Ten popatrzył na mnie i powiedział:

- Jeżeli chcecie, to jeszcze dziś mogę was uzbroić w dobry pistolet.

I rzeczywiście wieczorem w umówionym miejscu wręczył mi pięknego visa i kilkadziesiąt sztuk amunicji. Do domu wracałem uzbrojony.

Vis bardzo się przydał. W jakiś czas potem dałem go w prezencie narzekającemu na brak osobistej broni

Grzegorzowi Korczyńskiemu. Przez dłuższy czas, pamiętam, spotykałem „Grzegorza” uzbrojonego w ten właśnie pistolet.

Pierwsze jaskółki

Myśl powołania do życia w powiecie kraśnickim demokratycznej i antyfaszystowskiej organizacji zrodziła się bardzo wcześnie, bo już w roku 1940. Nie było to dziełem przypadku. Na terenie, gdzie działali tacy wybitni przywódcy ruchu lewicowego, jak Aleksander Szymański czy Michał Wójtowicz, tradycje ruchu rewolucyjnego były bardzo silne. Nic

więc dziwnego, że tutaj właśnie w lipcu 1941 roku powstaje Robotniczo-Chłopska Organizacja Bojowa (RChOB). Jedną z pierwszych, a zarazem najbardziej dojrzałą ideologicznie organizacją antyfaszystowską stała się później fundamentem, na którym wyrastała w tych stronach Polska Partia Robotnicza.

Fakt, że powstanie RChOB zbiegło się niemal z napaścią Niemców na Związek Radziecki, wywarł niemały wpływ na rozwój i działalność tej organizacji. Wśród mieszkańców Lubelszczyzny nastąpiło ożywienie polityczne. Podnieceni wydarzeniami na froncie wschodnim, przejawiać zaczęli po raz

pierwszy w takim stopniu wolę czynu, zwłaszcza że odmaszerowanie na wschód skoncentrowanych dotąd na Lubelszczyźnie silnych jednostek niemieckich stwarzało do tego czynu dogodne warunki. Ludziom nie brakło ochoty do walki, chcieli pomścić na wrogu wszystkie doznane krzywdy.

Początkowo działalność konspiracyjna, jaką w kraśnickim „Społem” rozwijali pracujący tam Michał Wójtowicz i Stanisław Szot, napotykała nie lada trudności. Otoczenie (pracownicy „Społem” w Kraśniku) znajdowało się pod wpływami obozu londyńskiego, czytało prawicową prasę (endecki „Szczerbiec Chrobrego”, „Szaniec”, gazetki ZWZ i in.) oraz ulegało

rozwijanej na szeroką skalę antykomunistycznej i antyradzieckiej propagandzie.

Niemający wpływ na zmianę sytuacji wywarło przybycie z Rzeczycy sekretarza rady powiatowej „Społem”, Aleksandra Szymańskiego. W kontaktach z otoczeniem zawsze szczery i sympatyczny, tutaj, w Kraśniku, również zyskał szybko powszechne zaufanie i szacunek. W „Społem” górował nad innymi pracownikami – jak stwierdzają różni znający go w tamtym okresie ludzie - wiedzą, wyrobieniem społecznym i doświadczeniem. Nic dziwnego, że w toku dyskusji z oponentami - dyskusje takie odbywały się często w ustronnym domku

Kozikowskiego na Podlasiu (przedmieście Kraśnika) - zyskał sobie „Ali” wielu zwolenników. W miarę jak wzrastał autorytet Szymańskiego, skupiała się wokół niego coraz liczniejsza grupa ludzi - Wójtowicz, Szot, Stanisław Bieniek, Ciuba, proboszcz parafii ks. Buczek, Wcisło, Jan Pytel i inni. W takich okolicznościach i w tej atmosferze po kilku kolejnych naradach powołano do życia RChOB.

„Ali” wykorzystywał swoje kontakty w gminach Trzydnik, Potok, Brzozówka i innych (zwłaszcza wśród byłych wiciarzy i ludowców), a Stanisław Szot - w gminach Annopol i Kosin, co pozwoliło pozyskać dla organizacji

sporą liczbę członków, głównie z takich wsi jak Grabówka, Ludmiłówka, Świeciechów, Opoka i in. Szczególną jednak aktywnością w terenie wykazał się w tym okresie Michał Wójtowicz.

Podstawowym celem, jaki stawiała przed sobą nowo powstała organizacja, było: zmobilizowanie robotników, chłopów i inteligencji pracującej do walki z okupantem o niepodległość Polski oraz dążenie do przekształcenia przyszłej Polski w państwo demokratyczne (program RChOB mówił o parcelacji majątków obszarniczych i rozdaniu ziemi chłopom, o upaństwowieniu przemysłu i upowszechnieniu oświaty).

Przywódcy RChOB, pokonując przy tym niemało trudności, wydali odezwę nawołującą społeczeństwo do walki z hitleryzmem oraz nielegalną gazetę, która - ze względu na szczupłość funduszy i środków technicznych - wychodziła raz na miesiąc w bardzo niewielkim nakładzie.

Tymczasowy komitet organizacyjny, ustanowiony na jednym z zebrań, dokonał podziału funkcji: Michał Wójtowicz - „Zygmunt” został sekretarzem organizacji, Aleksander Szymański - „Ali” redaktorem odpowiedzialnym za wydawanie prasy, natomiast Stanisławowi Szotowi (pseudonim „Kot”) powierzono kolportaż prasy oraz funkcję skarbnika.

Na wszystkich tych aktywistach spoczywał ponadto niełatwy obowiązek werbowania nowych członków.

Na konferencji RChOB^[2], która odbyła się 28 sierpnia 1941 roku w Kraśniku w domu Stefani Biegajowej^[3], „Ali” wygłosił programowy referat o celach i zadaniach organizacji. Drugi referat, dotyczący spraw organizacyjnych, wygłosił sekretarz RChOB, Michał Wójtowicz - „Zygmunt”. Po dyskusji przystąpiono do organizowania trzyosobowych komitetów gminnych (sekretarz, skarbnik, technik) oraz do organizowania kół mających specjalne zadania jak: masowy werbunek do organizacji, zbieranie i czyszczenie

broni, pomoc jeńcom radzieckim i ułatwianie im ucieczki z obozów niemieckich.

Po blisko półrocznej działalności RChOB zorganizowana była w dziewięciu komitetach gminnych i czterdziestu sześciu kołach partyjnych. Komitety gminne powstały w następujących gminach:

Annopol, z siedzibą w Grabówce (skład komitetu: Jan Wziętak - „Murzyn”, Michał Iskra, Cyran ze wsi Świeciechów);

Dzierzkowice, z siedzibą w Ludmiłowce (Wyganowska i inni);

Kosin, z siedzibą w Opoce Dużej (Jan Pytel, Franciszek Duda, Józef

Dębniowski);

Trzydnik (Wacław Czyżewski - „Im”,
Tadeusz Szymański - „Lis”, Jan
Czarnecki i in.);

Zakrzówek (Studziński, Frąc,
Walerianowicz);

Janów (Czesław Kulpa i inni);

Brzozówka (sekretarz Józef Szurma z
Karpiówki);

Urzędów (sekretarz Jan Grochalski -
„Sokół”);

Jarocin (Anna Pelc - „Rena” i inni).

Żeby przystąpić do walki z okupantem,
należało przedtem zdobyć broń
i amunicję. Mimo terroru stosowanego

przez okupanta wobec osób podejrzanych o posiadanie broni, na Lubelszczyźnie kwitł w tym czasie handel tym nielegalnym i - na wypadek „wsypy” - bardzo niebezpiecznym towarem (cena karabinu wynosiła do 1000 zł, cena pistoletu - do 3000 zł).

Robotniczo-Chłopska Organizacja Bojowa - znacznie biedniejsza niż organizacje prolondyńskie, które zdobyły w tym czasie drogą skupu wiele broni - nie dysponowała wystarczającymi środkami finansowymi. Ponieważ dobrowolne składki nie mogły zaspokoić stale rosnących potrzeb organizacji, postanowiono sięgnąć do kas okupanta i jego środkami finansować zwróconą przeciw niemu

walkę.

„Pracowałem wtedy jako magazynier - wspomina Stanisław Szot. - Magazyn ten mieścił się na parterze, a na piętrze w tym samym budynku znajdowały się magazyny ze zbożem pochodzącym z kontyngentów od ludności. Magazyn, w którym pracowałem, ułatwiał podejście do magazynów niemieckich. Wszedłem w kontakt z dwoma robotnikami, którzy tam pracowali, dorobiliśmy do magazynu klucze i zabraliśmy w krótkim czasie około 250 ton zboża. Zboże rurami z piętra spuszczone było do magazynów, w których pracowałem, tam zsypywane w worki i następnie sprzedawane na wolnym rynku po cenie tańszej dla

ludności polskiej. Za sprzedane zboże otrzymaliśmy pół miliona złotych, które poszły na cele organizacyjne. Organizacja, mając już częściowo podstawy finansowe, ruszyła z rozmachem”.

Wkrótce nawiązane zostały kontakty w powiatach puławskim i lubelskim, a także w Lublinie. W ciągu półrocznego istnienia, do grudnia 1941 roku, RChOB wzrosła liczebnie do około tysiąca członków.

Ważnym odcinkiem działalności Robotniczo-Chłopskiej Organizacji Bojowej była opieka nad jeńcami radzieckimi, zbiegłymi z licznych na Lubelszczyźnie obozów jenieckich.

Obozy takie znajdowały się m. in. w Dęblinie, Suchożebrach, Chełmie, Zamościu. Jesień i zima 1941/1942 - gdy Rzesza Niemiecka znajdowała się u szczytu powodzenia, a Hitler miał nadzieję na szybkie i zwycięskie zakończenie wojny na froncie wschodnim - były dla jeńców okresem szczególnie ciężkim. Wielu z nich zginęło wskutek głodu i złych warunków, tysiące zmarło na tyfus. Komendanci obozów zabronili ludności cywilnej dostarczania jeńcom wojennym żywności. Często zdarzały się wypadki, że gdy jeńcy radzieccy nie mogli maszerować z powodu głodu i wyczerpania, rozstrzeliwano ich na oczach przerażonej ludności cywilnej,

ciała pozostawiając nie pogrzebane. W wielu obozach nie było w ogóle jakiegokolwiek budynku, w którym jeńcy mogliby się schronić przed zimnem i jesiennymi szarugami. Leżeli pod gołym niebem podczas deszczu i śniegu. Nie dano im nawet łopat, aby wykopali sobie jakiegokolwiek jamy. Jeńcy radzieccy pozbawieni zostali wszelkich praw przysługujących im zgodnie z postanowieniami Konwencji Genewskiej. Za rzecz normalną uznali hitlerowcy strzelanie do jeńców z błahaego nawet powodu. W samym tylko Zamościu, gdzie znajdowały się trzy obozy jenieckie, objęte wspólną nazwą „Stalag 325”, liczba straconych jeńców oceniana jest na 28 tysięcy.

W obozie założonym w połowie roku 1941 na terenie nieczynnej fabryki obok wsi Poniatowa w powiecie puławskim jeńców traktowano szczególnie okrutnie. Na porządku dziennym było okładanie kijami, kłucie bagnetami i rozstrzeliwanie niezdolnych do pracy na skutek głodu i chorób. Śmiertelność w tym obozie była tak wielka, że - jak twierdzą sołtysi, którzy wyznaczali podwozy do wywożenia trupów - liczba zmarłych w niektóre dni sięgała kilkuset.

To nieludzkie obchodzenie się z jeńcami, masowe represje i likwidacje przyspieszały ucieczki z obozów. Wielu jeńców zginęło przy podjętej próbie wydarcia się za druty, części jednak udało się zbiec. Nie znając terenu,

błąkali się po lasach; zamierzali przedrzeć się na wschód, do swoich. Wielu nie miało w ogóle sił, by dokądkolwiek iść na własnych nogach. Jedynym ratunkiem dla nich była pomoc, jakiej zazwyczaj udzielała im ludność południowej Lubelszczyzny. Zdając sobie doskonale sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża, udzielała jednak uciekinierom noclegów, dawała im ubranie i wyżywienie, najczęściej ukrywając ich w kryjówkach, których w tym czasie nie brak było w żadnej wsi. W niesieniu pomocy jeńcom radzieckim szczególne zasługi położyli członkowie RChOB, m. in. Michał Iskra z Grabówrki, Walenty Kupiec z Rzeczycy Księżej, rodzina

Szymańskich z Trzydnika, Stanisław Siewierski, Wyganowska z Ludmiłówki i inni. Ukrywanie jeńców radzieckich nie było w tym czasie łatwe. Dla zachęcenia mętów społecznych i zdrajców okupant wywiesił specjalne plakaty, w których za wskazanie miejsca pobytu zbiegłych z niewoli jeńców radzieckich obiecywał 10 tysięcy złotych nagrody.

Wielu ukrywanych przez społeczeństwo Lubelszczyzny ludzi radzieckich zasiliło później kadry dowódcze Gwardii Ludowej, wspólną walką z wrogiem spłacając dług wdzięczności. Takie imiona jak: Kazik, Kola, Rysiek, Miszka, Fiodor czy Szymon, po dzień dzisiejszy pamięta i szanuje ludność

tamtych stron.

Gdzieś na początku stycznia 1942 roku doszła do nas wieść o powstaniu politycznej organizacji lewicowej pod nazwą Polska Partia Robotnicza z kierownictwem centralnym w Warszawie. Wiadomość ta wywołała wśród nas zrozumiały entuzjazm. Niektórzy chcieli od razu jechać do Warszawy. Dopiero Aleksander Szymański, najbardziej z ras wszystkich doświadczony, ostudził trochę nasze głowy, nakazując jak największą ostrożność i cierpliwość. Zadanie zdobycia dokładniejszych informacji w tej sprawie i nawiązania kontaktu z tą partią wziął na siebie. Tłumaczył nam,

że sama wiadomość to jeszcze za mało, że nazwy także czasami wprowadzają w błąd. Trzeba zatem zacząć - tłumaczył „Ali” - od dokładnego zbadania sytuacji.

Po kilku dniach Szymański pojechał do Warszawy i dotarł do kilku ludzi z szeregów Polskiej Partii Robotniczej. Nie wiem, jaki był przebieg tych spotkań, pamiętam tylko, że ku naszemu niezadowoleniu powrócił ze stolicy niezdecydowany, bez dokładniejszego rozeznania w sytuacji.

Brak własnej partii, która by w skali ogólnokrajowej przejęła funkcję organizowania i przewodzenia w walce z okupantem, stawiał nas w niewygodnej sytuacji, tym bardziej że podziemie

sanacyjne dysponowało już własnymi organizacjami, które dość sprężyście działały i intensywnie rozbudowywały swoją siatkę.

Fakt, że mieli w swym gronie wielu ludzi wojskowych, szczególnie byłych zawodowych oficerów i podoficerów, dodawał im pewnej powagi wśród społeczeństwa. Dysponowali ponadto niezłym uzbrojeniem.

My jednak mieliśmy większe oparcie wśród chłopów na wsi, robotników w miastach i majątkach oraz nie pracującej w tym czasie w aparacie niemieckim inteligencji. Młodzież wiejska w olbrzymiej większości ciążyła do nas. W Szkole Spółdzielczej

w Zakrzówku, na przykład, na sto dwadzieścia osób uczących się około siedemdziesiąt procent to byli nasi ludzie, z których wielu w późniejszym okresie znalazło się w naszej organizacji i w oddziałach partyzanckich. Ze szkoły w Zakrzówku, której dyrektorem był znany na Lubelszczyźnie stary działacz ludowy Paweł Chadaj, wyszli tacy wybitni przedstawiciele naszego ruchu jak Michał Wójtowicz - „Zygmunt”, Stanisław Szot - „Kot”, Jan Pytel - „Leon”, Paweł Niewinny - „Chrzestny” i Bolesław Kowalski - „Cień”, z nią związani byli Aleksander Szymański - „Ali”, Anna Gadzalanka i inni.

W tej sytuacji potrzeba własnej partii o odpowiedniej ideologii stawała się

sprawą palącą.

Podziemie pozostające pod wpływami delegatury rządu londyńskiego dysponowało już w tym czasie dość regularnie wychodzącą prasą. Pewnego dnia w jednym z numerów biuletynu „O Wolną i Niepodległą Polskę” zauważyliśmy wściekłą nagonkę na Polską Partię Robotniczą. Trudno było doprawdy o lepszą reklamę dla nowo utworzonej organizacji. Atak podziemnej prasy sanacyjnej był dla nas aż nadto przekonywającym argumentem, że i partia, i jej kierownictwo są nam bliskie i odpowiadają nam.

Po przeczytaniu tego artykułu Szymański pojechał powtórnie do Warszawy. Tym

razem udało mu się już nawiązać kontakt z przywódcami PPR, poznać dokładniej program i zadania, jakie przed sobą partia stawiała.

Zebrało się nas potem kilku w mieszkaniu Szymańskich. Mówił Olek. O powołaniu do życia partii w styczniu 1942 roku, o jej pierwszym sekretarzu, Marcelim Nowotko, i o „Trybunie Wolności” - organie KC PPR, którego pierwszy numer ukazał się 1 lutego 1942 roku.

W wielkim skupieniu słuchali zebrani słów Szymańskiego o nawiązaniu do tradycji polskiego rewolucyjnego ruchu robotniczego i walk narodowowyzwoleńczych, do tradycji

walk „Za wolność Waszą i naszą”. Słuchali o rzuconym przez partię wezwaniu do prowadzenia z okupantem bezwzględnej walki, która jest jedyną drogą mogącą uchronić naród przed całkowitym wyniszczeniem. O Polsce sprawiedliwości społecznej mającej powstać w oparciu o sojusz ze Związkiem Radzieckim.

W uroczystą ciszę padały słowa pierwszej odezwy PPR z dnia 15 stycznia 1942 roku:

Rodacy! Bracia! W naszych rękach spoczywają losy narodu. Każdy z nas na swoim posterunku winien być żołnierzem walki o

wyzwolenie i spełnić do ostatka swój obowiązek patrioty. Należy wszelkimi sposobami dezorganizować bazy i siłę zbrojną, naszego wroga na jego tyłach, udaremniać przewóz hitlerowskich wojsk, sprzętu wojennego, niszczyć mosty, wykolejać pociągi, podpalać cysterny i składy wojskowe okupanta, sabotować wszelkimi sposobami produkcję broni i amunicji oraz wszystkiego, co ma służyć zaopatrzeniu armii hitlerowskiej...

... Popierajcie ze wszystkich sił zbrojne wystąpienia przeciwko armii faszystowskich zaborców. Twórzcie oddziały partyzantki.

Niech drugi front powstanie na tyłach hitlerowskich.

- A teraz, towarzysze - rzekł Aleksander Szymański, skończywszy czytanie tekstu odezwy - dla odmiany coś innego. Dobrze wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Oto, jak powitał wojnę radziecko-niemiecką „Biuletyn Informacyjny” z dnia 26 czerwca 1941 roku. - Rozłożył przed sobą zdobyty gdzieś egzemplarz pisma i czytał:

„Panu Bogu chwała i dziękczynienie... ręce jednego z naszych wrogów rażą wroga drugiego, a obaj - zwycięzca i zwyciężony - spłyną obficie krwią, wyniszczą się i wyczerpią”.

W innym miejscu tego samego „Biuletynu” można było przeczytać:

„Polskie czynniki miarodajne w kraju wyraźnie określiły, że Polaków obowiązuje na terenie okupacji wroga w stosunku do obu najeźdźców neutralność. Stwierdzamy z całym naciskiem, że ktokolwiek z Polaków odważy się dobrowolnie pomagać którejkolwiek ze stron, uznany będzie za zdrajcę”.

- Czy macie jeszcze wątpliwości, do jakiej organizacji chciano was werbować? - spytał Olek.

Wiedziałem, że ma na myśli przede wszystkim mnie i moje początkowe zainteresowanie propozycją Stefana

Czarneckiego po owym pamiętnym wieczorze. Wyczytałem to w jego wzroku. Dlatego cieszyłem się, że nie uległem namowom, a w jakiś czas później triumfowałem, gdy pod wpływem rozmów ze mną Czarnecki przekonał się o niesłuszności swego postępowania i sam wystąpił z ZWZ.

Niedługo po przedstawionych wyżej wypadkach przyjechał do nas przedstawiciel Komitetu Centralnego PPR, towarzysz Dąbrowski - „Wujek”, który zorganizował pierwszy Komitet Obwodowy PPR na Lubelszczyźnie. W skład komitetu weszli m. in. towarzysze: Aleksander Szymański - „Ali”, Michał Wójtowicz - „Zygmunt” i

Stanisław Szot - „Kot”. Sekretarzem został Wójtowicz.

Pierwszym zadaniem Komitetu Obwodowego PPR na Lubelszczyźnie było zorganizowanie komitetów powiatowych, miejskich i gminnych. Do pracy tej towarzysze z Komitetu Obwodowego zabrali się z całym zapałem i w niedługim czasie zaczęły powstawać komitety w powiatach: lubartowskim, puławskim, kraśnickim, włocławskim i w innych. Powstał również Komitet Miejski PPR w Lublinie. Mnie osobiście przypadła rola zorganizowania komitetu gminnego w gminie Trzydnik, którego zostałem sekretarzem.

Organizacja komitetów powiatowych przebiegała bardzo nierównomiernie. Na przykład w powiecie krasnostawskim komitet powiatowy PPR powstał dopiero w 1943 roku, a w powiecie biłgorajskim - w 1944 roku. Podobnie przedstawiała się sytuacja w wielu gminach.

Powstanie Komitetu Obwodowego PPR w Lublinie i wielu komitetów powiatowych oraz gminnych niezwykle ożywiło naszą pracę.

Szymański, odpowiedzialny w Komitecie Obwodowym za dział prasy i publikacji PPR, zorganizował przy naszej pomocy dość szybko wydawanie odezw i okólników, które sam

redagował.

Pojawienie się miejscowej prasy ułatwiło nam bardzo pracę, która od tego czasu szła coraz sprawniej. Szymański, mając wykształcenie dziennikarskie, a przy tym znając dobrze wieś i chłopów, potrafił pisać dla nich właśnie po chłopsku - prosto i przekonywająco. Umiał również demaskować podziemie sanacyjne, ośmieszać i piętnować urzędników wysługujących się hitlerowcom i pomagających im w ściąganiu kontyngentów.

Obok szybkiego wzrostu i rozwoju organizacji praca w sensie wojskowym rozwijała się jednak bardzo powoli

i ciągle jeszcze na oślepie. Odczuwało się w tej dziedzinie przede wszystkim brak fachowego kierownictwa.

Taki stan rzeczy był bardzo niekorzystny i stwarzał niebezpieczeństwo obcych wpływów.

Nawet wtedy, kiedy istniały już na naszym terenie pierwsze komórki PPR, notowano próby wywierania wpływu na działaczy lewicowych lub wręcz podporządkowania ich sobie poprzez werbowanie do ugrupowań zbrojnych pozostających pod wpływami delegatury rządu londyńskiego.

We wsi Lipa, z inicjatywy i przy czynnym współudziale „Alego”, komitet gromadzki PPR powstał już w kwietniu

1942 roku. Do tego właśnie komitetu, tuż po rozpoczęciu przez niego działalności, przybył pewnego dnia Jan Płowaś z Paramy, przyprowadzając ze sobą nie znanego w tych stronach człowieka - podobno pułkownika - który należał do jakiejś organizacji podziemnej i przeprowadzał werbunek do oddziałów partyzanckich.

Obaj przybysze - i Płowaś, i „Pułkownik” - zażądali od miejscowego aktywu partyjnego, by zorganizował zebranie zaufanych ludzi. Zebranie takie odbyło się w pobliskim lesie. Przyszło wielu aktywistów, m. in. Antoni, Michał i Władysław Paleniowie, Józef Sęk, Julian Tur i Józef Irzycki.

Przemawiał „Pułkownik”. Apelował do zebranych, by wstąpili do reprezentowanej przez niego podziemnej organizacji, która nie ma charakteru politycznego, lecz jest organizacją czysto wojskową, stawiającą sobie za cel obronę kraju.

Na pytania, jakie mu później zadawano, „Pułkownik” wyjaśnił, że występuje w imieniu ugrupowania pod nazwą Związek Walki Zbrojnej i że związkiem tym kieruje nie jakaś organizacja polityczna, lecz bezpośrednio rząd w Londynie, który zapewnia partyzantom daleko idącą pomoc.

Po odejściu „Pułkownika” i Płowasia miejscowy aktyw partyjny odbył naradę.

Ludzie nie chcieli siedzieć beczynnje. Pragnęli na zaostrozający się z każdym dniem terror hitlerowski odpowiedzieć walką. Nie mieli własnych oddziałów zbrojnych. Czy mogli wiązać się ze Związkiem Walki Zbrojnej? Sprawa nie była mimo wszystko taka prosta, jakby się dziś, po latach, mogło wydawać. Debatowano więc nad nią długo.

- Nie zawracajmy sobie tym głowy - powiedział w pewnym momencie Antoni Paleń, przysłuchujący się dotychczas wypowiedziom innych towarzyszy. - Nie dość nam było rządów pułkownikowskich do czasów wojny? A partyzantkę, jak będziemy chcieli, możemy stworzyć i sami, bez pułkownika.

Ta zdecydowana wypowiedź przesądziła sprawę. Postanowiono nie wiązać się z ZWZ, Janowi Płowasiowi polecić również zerwać z nim wszelkie kontakty, a dla pewności, czy decyzja taka jest słuszna - zasięgnąć rady Aleksandra Szymańskiego.

Władysław Paleń, któremu polecono, by zawiadomił Jana Płowasia o decyzji zebranych, udał się do jego domu. Tam dowiedział się, że Płowaś zdążył już przekazać „Pułkownikowi” część broni, jaką we wrześniu 1939 roku zebrał i przechowywał u siebie.

„Ali” poinformowany o zajściu, jakie miało miejsce we wsiach Lipa i Parama, pochwalił komitet gromadzki w Lipie za

jego słuszne stanowisko, zabronił nawiązywania jakichkolwiek kontaktów z oficerami, a Janowi Płowasiowi, którego wezwał w tej sprawie do siebie, udzielił nagany.

Niedługo już mogliśmy się przekonać, jak dalece powstanie Polskiej Partii Robotniczej zmieniło sytuację w okupowanym kraju. Partia, wnosząc nowe ożywcze idee, w najbardziej odpowiednim momencie porwała naród do walki. Program PPR, reprezentując dojrzałą wizję ustroju przyszłej Polski, powodował radykalizację innych ugrupowań w kraju lub też, niestety, wywoływał, jak wspomniałem, gwałtowną reakcję skrajnej prawicy,

której kierownictwo nawet za cenę lekceważenia interesów narodowych, w zaślepieniu wobec oczywistych faktów, nie chciało się pogodzić z istnieniem naszej partii.

Wydaje mi się, że w pierwszym okresie, kiedy dopiero rozpoczęliśmy pracę polityczną, najwięcej zwolenników zdobyliśmy dzięki hasłu bezkompromisowej walki z okupantem, rzuconym przez PPR. Realizując konsekwentnie na co dzień to wezwanie, dawaliśmy wyraz przywiązaniu do ziemi ojczystej, a zarazem rozładowywaliśmy niepokój społeczeństwa, że zbyt długo jesteśmy bezradni wobec okupanta, czuliśmy, że dobrze przerwać ten stan, aby się zbytnio nie utrwalił.

Pamiętam, ile radości i nadziei dawały później echa każdej akcji, każdej potyczki. Jak nam pomagano, zwracając się jednocześnie o pomoc, o zapewnienie bezpieczeństwa wioskom. Musieliśmy też, co prawda, nauczyć się szybko odróżniać przyjaciół od wrogów, ale to też była jedna z ówczesnych konieczności. W sumie już na początku zrozumieliśmy, że sprawa jest wygrana, bo odpowiedzialna decyzja PPR o podjęciu zdecydowanej, czynnej walki zbrojnej z okupantem trafiła na dobry grunt, wśród ludzi, którym bliska była sprawa wolności.

Tak więc mimo niesprzyjających okoliczności - rozproszenia działaczy lewicy, represji okupanta i w końcu

wrogości rodzimych przeciwników PPR - znajdowaliśmy zwolenników, zawdzięczając to radykalnemu programowi społecznemu i narodowowyzwoleńczemu. I tylko walcząc, mogliśmy torpedować dążenia okupanta do biologicznej zagłady i moralnej degradacji narodu, skupiając jednocześnie wszystkich, dla których idee PPR były zrozumiałe.

Nas, byłych działaczy KPP, bardzo satysfakcjonowało, że partia przyszłość narodu związała z wolnością, z najszlachetniejszymi tradycjami narodu. Cieszyliśmy się, że celem jej dążeń byli ci, którzy najbardziej tego potrzebowali - szerokie warstwy społeczeństwa, którym należało

zapewnić pracę i chleb.

„Jastrząb”

Była wiosna 1942 roku. Na terenie Lubelszczyzny istniały już w tym czasie niewielkie grupy wypadowe. Nie były one jednak ujęte w jakiś jednolity system organizacyjny i nie spełniały na ogół poważniejszej roli bojowej. Na naszym terenie wyróżniał się jedynie swą wyjątkową aktywnością oddział Antoniego Palenia - „Jastrzębia”, o którym głośno było wówczas w całej okolicy. Na początku maja Antoni Paleń - „Jastrząb” postanowił przystąpić do działania. Po rozmowie z „Alim”

i uzyskaniu jego aprobaty dobrał sobie grupkę zaufanych ludzi z zamiarem podjęcia akcji zbrojnej. Początkowo grupka ta była liczebnie bardzo skromna; poza „Jastrzębiem” w jej skład wchodziło zaledwie pięciu ludzi: Jan Paleń - „Sokół”, Józef Irzycki - „Czarny”, Józef Sęk - „Gruby”, Julian Tur - „Słowik” oraz Michał Paleń - „Dzik”.

Nie był to jeszcze oddział partyzancki w całym tego słowa znaczeniu. Szóstka ta stanowiła jakby grupę wypadową, której początkowa działalność - głęboko zakonspirowana - ograniczała się po prostu do zbiórek w lesie, czyszczenia broni zdobytej w 1939 roku i zapoznawania się z jej działaniem.

Były to oczywiście niezbędne kroki przygotowawcze, obliczone na rychłe już, bezpośrednie starcie z wrogiem.

Po kilku dniach oddział zasilony został jeszcze dwoma ludźmi. Wstąpili do niego: Jan Płowaś - „Luby” z Paramy i jego syn Edward Płowaś - „Lutek”.

Początkowo partyzanci po dziennych zajęciach w lesie wracali na noc do swych domów. Stan ten miał ulec zmianie dopiero po wypadkach, jakie niespodziewanie nastąpiły w czerwcu 1942 roku.

22 czerwca, na skutek denuncjacji jakiegoś szpicla, gestapo aresztowało Jana Płowasia - „Lubego”. Zaniepokoiło nas to poważnie, zwłaszcza że powodem

aresztowania była „przynależność do organizacji konspiracyjnej i posiadanie broni”. W języku Niemców nazywało się to krótko: bandytyzm. Płowasiowi groziła najsurowsza kara - śmierć, a przedtem tortury obliczone na wydobycie zeznań. Czy koledzy z grupy „Jastrzębia” mogli mieć pewność, że „Luby” nie załamie się pod wpływem bólu i nie zdradzi ich nazwisk?

Odwiedziłem w tym dniu „Alego”. Był niespokojny o ludzi i o siebie. Mówił coś o konieczności ucieczki z domu i zaszycia się w lasach lipskich.

Z kłopotu wybawił wszystkich, a przede wszystkim skazanego na niechybną śmierć Płowasia, dowódca grupy,

Antoni Paleń - „Jastrząb”.

Stwierdziwszy, że „Luby” tymczasowo - prawdopodobnie do następnego dnia - osadzony został w areszcie gminnym w Zaklikowie, postanowił wydobyć go stamtąd. Miała to być pierwsza partyzancka akcja na tym terenie.

Wieczorem udało się do Zaklikowa trzech ludzi: Antoni Paleń, jego brat Władysław i Józef Sęk. Pierwszy z nich uzbrojony był w pistolet i dwa granaty, dwaj pozostali mieli karabiny, które starannie przechowywali w jakiejś leśnej kryjówce.

Uczestnicy akcji zdawali sobie sprawę ze szczupłości swych sił i uzbrojenia, wcześniejsze rozeznanie w sytuacji

pozwoliło im jednak liczyć na sukces. Jak się bowiem okazało-, zamkniętych w areszcie ludzi pilnował nocą zwykle jeden strażnik. Najważniejsze, aby w czasie akcji nie został zaalarmowany miejscowy posterunek granatowej policji.

Plan akcji ustalono po drodze. Dwaj jej uczestnicy zostali przy szosie: Władysław Paleń od strony toru kolejowego, Józef Sęk od strony posterunku policji. W przypadku zbrojnego oporu i tak niewiele mogliby działać swą kiepską bronią. Chodziło o to, by - jeśli zajdzie taka konieczność - strzałami dezorientowali przeciwnika, tak aby odniósł on przekonanie, że ma do czynienia z liczną grupą partyzantów.

Na szczęście obeszło się bez tego.

„Jastrząb”, człowiek imponujący wszystkim odwagą, poszedł sam. Po chwili nocną ciszę rozdarł brzęk wybijanej szyby. To „Jastrząb”, któremu strażnik nie chciał otworzyć, dostawał się przez okno do budynku aresztu gminnego.

Wszystko dokonało się błyskawicznie. Areszt został otwarty, a więźniowie wypuszczeni na wolność. Nie wszyscy z nich chcieli jednak skorzystać z okazji. Niektórzy, zastraszeni, przerażeni represjami, które mogą potem nastąpić, wcisnęli się w kąt i trzeba ich było dosłownie wypędzać.

Później, na umówionym miejscu

spotkania w lesie, „Luby” nie wiedział, jak dziękować za to ocalenie od niechybnej śmierci. Odtąd las miał się stać jego domem.

Śmiała akcja, przeprowadzona za ledwie przez trzech ludzi, urosła w wieściach, które krążyły później po okolicy, do niebywałych rozmiarów. Byli nawet tacy, którzy kleli się na wszystkie świętości, że na własne oczy widzieli, jak drogą od Janowa przyjechało do wsi dwadzieścia wozów wypełnionych partyzantami. Zdania były najzupełniej sprzeczne. Jedni widzieli stu partyzantów na koniach, inni - oddział pieszy. Sam stróż nocny, niejaki Gonclik, bardziej skrupulatny w rachunkach, opowiadał na drugi dzień

Władysławowi Paleniowi, który poszedł do Zaklikowa na zwiady, że u niego był co prawda tylko jeden oficer w mundurze wojskowym, ale „za oknem to było ich z pięćdziesięciu”.

Tak stugębna plotka, mocno przekręcając i wyolbrzymiając fakty, sprawiła, że akcja zaklikowska odbiła się głośnym echem po bliższej i dalszej okolicy.

Hitlerowcy nie wiedzieli, komu wierzyć, co jeszcze bardziej potęgowało ich wściekłość, Którejkolwiek jednak z licznych wersji daliby wiarę, jedna prawda pozostawała nie zmieniona: odtąd musieli zachowywać środki ostrożności i wszelkie operacje

w terenie przeprowadzać wyłącznie grupowo.

Niezdane były także opinie co do liczby aresztantów uwolnionych owej pamiętnej nocy. Niektórzy utrzymywali - wersję tę powtarzały później nawet niektóre źródła pisane^[4] - że było ich dwustu. Naprawdę „Jastrząb” uwolnił wówczas osiemnastu Polaków aresztowanych bądź za niewywiązywanie się z obowiązków kontyngentowych, bądź za inne drobne wystąpienia antyniemieckie. Paru podejrzanych o posiadanie broni czekały wyroki śmierci.

Wkrótce po rozbiciu aresztu została zaalarmowana cała granatowa policja i

żandarmeria. Na szczęście mogli szukać już tylko wiatru w polu. I trójka partyzantów, i uwolnieni aresztanci zaszyli się głęboko w lasach lipskich.

Od tej chwili oddział „Jastrzębia” stał się lotnym oddziałem partyzanckim. Jego dowódca, zachęcony niespodziewanymi rezultatami pierwszej akcji, postanowił akcję zbrojną rozwinąć na szerszą skalę.

Oddział zaczął się rozrastać. Przychodzili do niego ludzie z okolicznych miejscowości, pojawili się także pierwsi czerwonoarmiści, zbiegli z obozów jenieckich: Kola Leszczenko oraz „Rysiek” (nazwiska nie pamiętam). Pierwszy z nich zginął w 1944 roku pod Zamościem w dywizji

Kowpaka, drugi przeżył wojnę i wrócił potem do Związku Radzieckiego.

Przy tak powiększonym stanie liczebnym oddziału i wobec faktu, że napływali do niego coraz to nowi kandydaci, zagadnieniem pierwszej wagi stało się uzbrojenie, którego oddział miał, niestety, niewiele. Na domiar złego nie bardzo wiedziano, gdzie można się w broń zaopatrzyć. Trudności te w znacznej mierze wynikały stąd, że wcześniej niż ludowa partyzantka, organizowana przez PPR, powstały różne ugrupowania zbrojne, pozostające pod wpływami delegatury rządu londyńskiego, które zatroszczyły się o to, by zgromadzić w swych rękach ile się tylko da broni pozostałej tu i ówdzie z

1939 roku.

Należało delikatnie przeprowadzić wśród ludności wywiad, kto jeszcze posiada broń. Zarządzone w tej sprawie przez „Jastrzębia” rozpoznanie przyniosło rewelacyjną informację: Jan Moskał w Rzeczycy Długiej miał gdzieś ukryte dwa erkaemy, amunicję i granaty. Wiadomość ta została przyjęta z ogromną radością. Chłopcy nie mogli się doczekać wieczora.

Z zapadnięciem zmierzchu sześciu ludzi udało się na polecenie „Jastrzębia” furmanką do Rzeczycy Długiej po Moskala.

Przywieziony do miejsca postoju oddziału chłop nie przyznał się do

posiadania broni. Klął się na całą rodzinę i na wszystkie świętości, że mówi prawdę. Rozmawiali z nim po kolei i „Gruby”, i „Sokół”, i „Słowik”, nie pomogły też indagacje samego „Jastrzębia” ani prośby, by dał oddziałowi przynajmniej jeden z posiadanych erkaemów. Zaciął się. Żadnego erkaemu nie ma, nawet nie wie, co to takiego, więc skąd weźmie?

Zdenerwowany tym uporem „Jastrząb” wręcza chłopu łopatę i każe kopać dół.

- To dla ciebie mogiła - oznajmia. - Zostaniesz rozstrzelany i pochowany w tym dole, jeśli nie dasz przynajmniej jednego erkaemu.

Mówił stanowczo, wyglądało tak, jakby

rzeczywiście zamierzał spełnić swą groźbę.

Moskal przystępuje do kopania i płacze, rękawem łzy ociera, robota nie idzie mu sprawnie.

- Panie - mówi nagle podnosząc głowę znad łopaty

- toć puśćcie mnie do chałupy, to wam już i przyniosę wieczorem ten przeklęty erkaem.

- Dobrze - zgadza się „Jastrząb” - ale zapamiętaj sobie: jeśli nie zjawisz się tu do czwartej po południu, sam wydajesz wyrok śmierci na siebie i swoją rodzinę. Ślad nie zostanie po twojej chałupie.

Niewiele czasu upłynęło, a Moskal

zjawił się w oddziale z erkaemem.

Chłop był wystraszony. Widać dużo go kosztowały i ostatnie przejścia z oddziałem „Jastrzębia”, i niebezpieczna podróż w dzień z bronią. Kiedy jednak „Jastrząb” dał mu za przyniesioną broń własny zegarek i tysiąc złotych, chłop rozchmurzył się.

Oglądał zegarek ze wszystkich stron, oczy błyszczały mu zadowoleniem.

- Panie - zwrócił się do ofiarodawcy. - A to ja bym może i drugi... I jeszcze inny mam, to też może by go... - Język mu się plątał, nie mógł uwierzyć w tę nagłą odmianę.

Nazajutrz przyniósł nie tylko obiecane dwie sztuki, ale chętnie udzielał

informacji, kto we wsi przechowuje dotychczas u siebie broń.

Później Jan Moskal stale współpracował z oddziałami Gwardii i Armii Ludowej.

Zdobytą przez oddział „Jastrzębia” broń rozdzielono wśród partyzantów, część z niej - głównie w czerwcu i w lipcu - przekazano zbiegłym z niewoli żołnierzom radzieckim, którzy następnie przekradali się grupkami na wschód.

Walka oddziału „Jastrzębia” z okupantem przybierała coraz bardziej zorganizowany charakter, coraz większy też miała zasięg.

Bazą wypadową oddziału były lasy

lipskie.

Na początku sierpnia „Jastrząb” wraz z dziesięcioma swoimi ludźmi rozbroił trzech granatowych policjantów w Kosinie, a w drodze powrotnej dokonał akcji na mleczarnię w Zdziechowicach, która wyrabiała masło i sery dla Niemców. Z dużego zapasu gotowych produktów sporo zabrano dla oddziału, dużo też wzięła miejscowa ludność. Urządzenia mleczarskie zniszczono.

Od jakiegoś czasu okoliczni rolnicy narzekali na policję z Radomyśla za zbyt służalczą postawę wobec Niemców i zanadto rygorystyczne egzekwowanie nałożonych kontyngentów. Wiadomo też było powszechnie, że na skutek

doniesień granatowej policji z Radomyśla wielu mężczyzn zostało aresztowanych, a niektórzy - wywiezieni nawet do obozu.

„Jastrząb” nie zastanawiał się długo. W tydzień po akcji w Kosinie rozbił ze swymi ludźmi posterunek w Radomyślu. Policjanci uciekli w popłochu. Partyzanci zdobyli dwa karabiny.

Mieli o czym gadać ludzie w Zielonce, w Rzeczycy, w Lipie i innych wsiach. Choć był to czas żniw i każdy utrudzony wracał z pola, zawsze jednak znalazła się o zmierzchu chwilka na wspólne sąsiedzkie pogwarki o najważniejszych wydarzeniach chwili.

Schodzili się jak zawsze sąsiedzi

w domu moich rodziców - Stefan Czarnecki, Jan Rawka, Walery Sławek, Michał Nitkiewicz, miejscowy szewc Franciszek Szłodurski i inni. Ciekawi byli wszelkich nowinek ze świata, zwłaszcza z frontów walki z hitleryzmem - z tego odległego jeszcze, wschodniego, i całkiem bliskiego naszego podziemnego frontu. Wszyscy w wiosce wiedzieli o mojej konspiracyjnej działalności, orientowali się też, że w związku z tym mój ojciec należy do ludzi najbardziej zorientowanych w aktualnych wydarzeniach. Siedzieli zwykle przed domem i gwarzyli, niekiedy do późnej nocy, aż ich musiała nieraz matka strofować i do spania pędzić, bo

nazajutrz od świtu czekała wszystkich znów ciężka praca w polu. Uczestniczyło w tych pogwarkach także moje rodzeństwo - Gienia, Irena, Marysia, młodszy brat Janek, który wkrótce już miał zostać żołnierzem oddziału partyzanckiego „Błyskawicy”, często przysiadła się także po wieczornych obrzędkach Adela, która najwięcej ze wszystkich sióstr zajmowała się gospodarstwem i była prawą ręką matki.

Cieszyli się ludzie słysząc, że policja i żandarmi niemieccy w całym powiecie kraśnickim zmuszeni zostali do tego, by wzmóc czujność, że przestali chodzić w pojedynkę, a mniejsze posterunki z wiosek ściągają pospiesznie do

większych miast. Cieszyli się też partyzanci - dzięki temu bowiem mieli większą swobodę poruszania się.

Miejszem kolejnej akcji oddziału „Jastrzębia”, już w pierwszych dniach września, była wieś Pysznicza. Sześciu partyzantów wraz z dowódcą udało się tam furmanką. Wóz i konia zostawili pod lasem, a sami poszli do wsi pieszo. Była godzina dwudziesta. Na posterunku policji pusto. Ktoś z mieszkańców wsi poinformował przybyszów, że w budynku gminnym odbywa się właśnie zebranie w sprawie obowiązkowych dostaw kontyngentowych i że w zebraniu tym uczestniczą miejscowi policjanci.

Partyzanci podeszli pod urząd gminny,

znajdujący się zresztą tuż przy posterunku. Pięciu z nich obstawiło budynek dokoła, a dwaj pozostali - Kola Leszczenko i „Jastrząb” - weszli do środka. Widok ich wywołał wśród obecnych zrozumiałe przerażenie, zwłaszcza że polski mundur wojskowy „Jastrzębia” nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do charakteru niespodziewanej wizyty.

- Nie obawiajcie się - powiedział „Jastrząb” - nic. się wam złego nie stanie. Niech tylko policjanci postawią swoje kije w jednym kącie.

Policjanci posłusznie odstawili broń do kąta. Tylko jeden z nich, volksdeutsch, nie usłuchał wezwania „Jastrzębia”

i próbował szczęścia w ucieczce. Wypadł na podwórko. Zobaczył partyzanta z obstawy. Strzelił. Stojący z drugiej strony kolega zaatakowanego, były czerwonoarmista „Mikołaj”, wypalił do volksdeutscha, kładąc go trupem na miejscu.

„Jastrząb”, spaliwszy papiery gminne, zabrał stojące w kącie karabiny i szykował się do odejścia.

Komendant posterunku przeraził się.

- Panowie, nie róbcie tego, zostawcie - błagał. - Przecież Niemcy wszystkich nas teraz aresztują, żeśmy pozwolili sobie zabrać broń.

- Przydałoby się wam to. Poznalibyście przynajmniej los ludzi, którym sami

pomagacie dostać się do obozów.

- Przecież to tylko ten... - wskazał ręką leżącego na ziemi volksdeutscha. - My Polacy...

- Skoro jesteście Polakami i chcecie służyć ojczyźnie, nie wysługujcie się hitlerowcom. W lesie miejsca dosyć. I roboty niemało...

Tuż po akcji w Pysznicy miała miejsce pierwsza kolejówka. Wykolejony został pociąg osobowy w odległości dwóch kilometrów od Zaklikowa. Wykonujący to zadanie partyzanci: „Kola”, „Sokół”, „Mikołaj”, „Gruby” i „Czarny” pod dowództwem „Jastrzębia”, nie dysponując jeszcze odpowiednimi

materiałami wybuchowymi, rozkręcili po prostu szyny. Akcja powiodła się.

Nie wszystko jednak w oddziale przebiegało pomyślnie. Zdarzały się wypadki szpiclowania na rzecz Niemców. Czynów takich dopuszczali się przeważnie przedstawiciele rodzimej reakcji.

Któregoś dnia grupa partyzantów pod dowództwem Jana Płowasia - „Lubego”, która jechała wozem konnym z lasów lipskich do Potoka po zapas żywności, została przypadkowo zauważona przez dziedzica Kiełczewskiego z Łysakowa. Dziedzic natychmiast powiadomił o tym za pośrednictwem specjalnego gońca żandarmerię w Zaklikowie.

Powracającą grupę partyzantów oczekiwała w Łysakowie przygotowana przez Niemców pułapka.

Zaskoczenie było całkowite. Niemców było około pięćdziesięciu. W gwałtownej strzelaninie, jaka się wywiązała, zabito dwóch partyzantów. Jednym z nich był Michał Paleń - „Dzik”, drugim - partyzant radziecki. Wreszcie udało się wycofać. Sam „Luby” został raniony w rękę.

Po stronie niemieckiej trzech żandarmów odniosło rany. Jeden z nich tego samego dnia zmarł w Zaklikowie.

Wiadomość o śmierci brata obudziła w Antonim Paleniu - „Jastrzębiu” pragnienie odwetu. Ponieważ jednak

dziedzic Kiełczewski w obawie przed zemstą uciekł i żadne poszukiwania nie dały rezultatu (zabrano mu tylko konie i bydło), cała złość „Jastrzębia” zwróciła się przeciwko Niemcom. Wkrótce po pogrzebie obydwu zabitych partyzantów zorganizował on drugą kolejówkę w rejonie Zaklikowa. Tym razem wykolejony został pociąg tzw. urlopowy. Piętnastu hitlerowców zostało zabitych, dwudziestu odniosło rany.

Inne grupy wypadowe w tym pierwszym okresie działalności konspiracyjnej nie mogły się pochwalić takimi efektownymi akcjami jak te, które rozślawiły oddział „Jastrzębia”. Rozbicie kilkudziesięciu mleczarni,

spalenie dokumentacji kontyngentowej w kilkunastu gminach, wypuszczenie tu i ówdzie ludzi z aresztów czy wreszcie ukaranie chłostą kilkudziesięciu sługusów hitlerowskich - oto cały dorobek niewielkich grup wypadowych na Lubelszczyźnie w okresie do sierpnia 1942 roku. Poważniejszych akcji bojowych na tym terenie wówczas nie było. Wpłynęło na to duże rozdrobnienie i brak wspólnego, fachowego dowództwa, które by kierowało działalnością poszczególnych, nielicznych zresztą i niewielkich liczebnie grup. Grupy te nie zawsze miały skryształizowane oblicze. Niektóre dopuszczały się nawet nadużyć w stosunku do rodzin chłopskich.

Wiadomo przecież, że przy przyjmowaniu do naszych oddziałów i grup nie stosowano jakichś ścisłych kryteriów, które by wykluczały moment przypadkowości. Takie sprawy, jak czyjś światopogląd, przekonania polityczne czy nawet oblicze moralne w tym pierwszym okresie żywiołowego, samorzutnego powstawania grup o charakterze wojskowym - nie zawsze były brane w rachubę. Nic więc dziwnego, że nie mogliśmy się ustrzec między innymi przed ludźmi, którzy szukali jedynie zysku dla siebie. Mieliśmy z nimi dość często niemało kłopotów. W późniejszym jednak okresie dla wielu takich ludzi GL, a później AL stały się prawdziwą

szkolą. Wykorzystując ich odwagę i bohaterstwo, Gwardia Ludowa wychowywała ich jednocześnie na dobrych obywateli i patriotów. W gromadnym życiu partyzanckim nie bez znaczenia był przykład innych kolegów. W rezultacie wielu z tych ludzi, co do których można było mieć początkowo niejakię zastrzeżenia, znalazło się potem na właściwej drodze. Niektórzy pokończyli później różne szkoły i poszli do pracy na poważnych stanowiskach.

Tak było na naszym terenie m. in. ze słynną grupą Liska. Grupa ta powstała żywiołowo i składała się - poza zdecydowanymi mętami społecznymi - z ludzi, którzy dostali się do niej bądź

przypadkowo, na skutek dezorientacji, bądź dlatego, że z różnych względów zmuszeni byli szukać schronienia przed Niemcami. Lisek był człowiekiem pozbawionym wszelkich skrupułów, a zadania swoje pojmował w sposób jaskrawo sprzeczny z założeniami naszej organizacji. Kierowany żądzą posiadania, przy użyciu siły i broni (ludzie Liska byli dość przedsiębiorczy, aby każdy z nich zdobył potrzebne mu uzbrojenie) rabował często mienie chłopskie, demoralizując coraz bardziej swoich podwładnych, często ludzi, którzy w jego grupie po prostu ukrywali się przed wywiezieniem na przymusowe roboty do Rzeszy. Wiedzieliśmy, że do oddziału Liska należą głównie ludzie

młodzi, pełni bojowości i sprytu. Gdyby udało się nawiązać z nimi kontakt i pozyskać ich dla naszych celów, korzyść z tego byłaby niemała. Dlatego właśnie Tadeusz Szymański - „Lis” został upoważniony, aby z ramienia naszej organizacji pełnił nad oddziałem Liska rolę wychowawczą i opiekuńczą. Praca Szymańskiego zaczęła powoli dawać rezultaty. Uwidocznilo się to zwłaszcza po likwidacji Liska (w wyniku dłuższych tarć został on zabity przez jednego ze swych podwładnych, występującego pod pseudonimem „Serce”). Część ludzi z oddziału udało się wówczas wciągnąć do pracy w GL. Stali się oni później wartościowymi żołnierzami, którzy sprawie walki

z okupantem oddali niemałe usługi.

Tak więc organizacja nasza spełniała rolę nie tylko głównego organizatora, kierownika walki zbrojnej z najeźdźcą w ciężkich dla narodu czasach, ale dla wielu młodych ludzi była również wielką szkołą patriotyzmu i obywatelskiego wychowania. Zapobiegała zalecanej przez organizacje reakcyjne bierności, z której korzystać mógł tylko wróg.

Wiadomość o organizowaniu przez Polską Partię Robotniczą Gwardii Ludowej jako siły zbrojnej do walki z okupantem wywołała zrozumiałą radość wśród działaczy lewicowych naszego terenu. Nie tylko wśród nich

zresztą. Rzucone przez partię hasło walki zbrojnej z hitlerowcami podniosło niezwykle autorytet i budziło zaufanie społeczeństwa do PPR. Ludziom otwierały się stopniowo oczy. Wkrótce mieli się przekonać do reszty, po czyjej stronie leży prawda.

Wiedzieliśmy, że powołanie do życia Gwardii Ludowej pozwoli ująć w formy wojskowe wszystkie nasze grupy wypadowe i stworzyć z nich regularne oddziały, które ze swych leśnych baz będą prowadzić walkę podjazdową z hitlerowcami, z granatową policją i ze wszystkimi, którzy wysługiwali się władzom okupacyjnym. Cieszyła nas zwłaszcza myśl, że dysponując własną organizacją bojową, będziemy mogli

oddziaływać na chłopskich synów i wciągnąć ich do swojej pracy. Wielu z nich służyło kiedyś w wojsku, niektórzy mieli stopnie podoficerskie. Wiedzieliśmy, że część wstąpiła do sanacyjnego Związku Walki Zbrojnej tylko dlatego, że nie było w tym czasie u nas zorganizowanej przez lewicę organizacji bojowej.

Powstająca Gwardia Ludowa była też ratunkiem dla ludzi ściganych przez wroga, zmuszonych do ukrywania się zarówno przed nim, jak też przed pozostającymi na jego usługach konfidentami. Do oddziałów naszych przychodziła również ta część młodzieży, której bezustannie zagrażało wywiezienie na przymusowe roboty

w głąb Rzeszy.

Przy tych wszystkich jednak momentach sprzyjających organizowaniu regularnych oddziałów GL zarysowała się przed nami jedna - zdawałoby się nie do pokonania - trudność: do uzbrojenia większych oddziałów mieliśmy za mało broni i amunicji. Większość uzbrojenia, przechowywanego od czasu działań wojennych we wrześniu 1939 roku, znalazła się, mimo naszych zabiegów, już wcześniej w ręku ZWZ. Zdawaliśmy sobie poza tym sprawę, że przy kompletnym braku materiałów wybuchowych niełatwo będzie realizować postawione przez partię zadanie wysadzania pociągów, niszczenia mostów i urządzeń

technicznych nieprzyjaciela.

Przy tym wszystkim Gwardia Ludowa nie miała prawie zupełnie kadry specjalistów wojskowych na wyższym szczeblu dowodzenia. Brak nam było człowieka, który stanąłby na czele i pokierował walką zbrojną. Dotkliwie odczuwano również brak średniej kadry dowódczej. Przytłaczająca większość oficerów i podoficerów znalazła się w szeregach obozu londyńskiego. Należało sobie stworzyć własną kadrę dowódczą.

Zdawaliśmy sobie dobrze sprawę z tych początkowych trudności, dyskutowaliśmy o nich na zebraniach partyjnych i w rozmowach między sobą.

W tym szczególnie trudnym, początkowym okresie wielkie doświadczenie bojowe wnieśli, zasilając kadrę dowódców Gwardii Ludowej, byli uczestnicy walk w Hiszpanii, żołnierze polscy z Brygady im. Jarosława Dąbrowskiego. Pierwsza ich grupa przybyła w połowie 1942 roku z południowej Francji na podstawie dokumentów wykonanych przez tzw. „paszportówkę” polskiej sekcji Francuskiej Partii Komunistycznej.

Dokumenty te były wzorowane na oryginalnych dokumentach niemieckich, wydawanych przez hitlerowskie władze okupacyjne tym Francuzom, którzy zgłosili się ochotniczo do pracy na terenie Rzeszy i krajów okupowanych.

Pracownicy ci mieli możliwość korzystać co roku z dwutygodniowego urlopu, który zwykle spędzali we Francji. Ten stosunkowo duży ruch Francuzów przez teren Rzeszy stanowił okoliczność sprzyjającą przerzutowi do kraju byłych żołnierzy brygad międzynarodowych, którzy do polskiego ruchu podziemnego okresu okupacji wnieśli - poza zdobytym doświadczeniem - ducha bojowego, wiele entuzjazmu i serca. Na naszym terenie należeli do nich m. in. Grzegorz Korczyński, Edward Kubat i Jan Sławiński.

W działalności Gwardii Ludowej poważnie pomagali zbiegli z niewoli niemieckiej oficerowie radzieccy, którzy pełnili funkcje dowódców oddziałów

partyzanckich. Niekiedy trafiali oni do szeregów AK, rychło jednak przechodzili do GL, widząc w niej organizację bardziej odpowiadającą ich przekonaniom ideowym i potrzebie czynnej walki. Wieś lubelska była dla uciekających z niewoli ludzi radzieckich prawdziwą deską ratunku.

Tereny Lubelszczyzny, jak wiadomo, w okresie przed pierwszą wojną światową znajdowały się w zaborze carskim, starsi ludzie znali więc nieźle język rosyjski i potrafili zrozumieć uciekających z niewoli jeńców. Nie znam wypadku, żeby radziecki żołnierz czy oficer, który w nocy zapukał ostrożnie do okna wiejskiej chaty, nie został w niej przyjęty jak przyjaciel,

nakarmiony i skierowany do naszej organizacji. Gdy był chory lub wycieńczony obozowymi warunkami u Niemców, chłop najczęściej zatrzymywał go i ukrywał u siebie w domu, udzielając mu wszelkiej możliwej pomocy, a następnie szukał dróg doprowadzenia go do naszych ludzi. Bywały wypadki, że o ukrywającym się na strychu lub w oborze jeńcu wiedziała cała rodzina, przynosiła mi jedzenie i informowała o ruchach Niemców. Radzieccy uciekinierzy z obozów jenieckich tak się nieraz zżywali z rodzinami chłopskimi, które udzielały im pomocy, że później jeszcze, będąc już w oddziale, odwiedzali je często. Nierzadko prosili

o urlop dla podtrzymania więzów raz zadzierzgniętej przyjaźni.

Chłopi w tym okresie mieli również niemało do zawdzięczenia partyzantom. Samorzutnie powstające placówki bojowe, które szybko usamodzielniały się i rozpoczynały na swoim terenie walkę z okupantem, stanowiły dla nich oparcie i niejednokrotnie udzielały im w różnorodnej formie pomocy. Tak było np. we wsi Studzianki (powiat kraśnicki), gdzie w sierpniu 1942 roku powstaje placówka Gwardii Ludowej, licząca w początkowym okresie około dwudziestu słabo uzbrojonych gwardzistów. Pierwszym dowódcą grupy był Kazimierz Studziński - „Wilga”, a jego następcą Bolesław

Marcinkowski - „Miś”. Zastępcą dowódcy był Andrzej Kozyra - „Jędrus”.

Jesienią na placówkę przyjechał ze sztabu okręgu Stanisław Szot - „Kot” i odebrał przysięgę od nowo przyjętych gwardzistów. Jednocześnie udzielił on miejscowemu aktywowi pomocy w rozwiązaniu wielu problemów dotyczących aktualnych zadań partia i Gwardii Ludowej.

Kiedy gwardzistom Janowi Ściborkowi i Eugeniuszowi Kurnikowi udało się zdobyć maszynę do pisania, powstało biuro placówki, które przystąpiło do wydawania -odezw i rozkazów oraz do produkowania fałszywych zaświadczeń

kontyngentowych, którymi chłopci legitymowali się w początkowym okresie przed władzami okupacyjnymi. Zaświadczenia te potwierdzały wywiązanie się z obowiązkowych dostaw kontyngentowych i wywołały dość znaczne zachwianie w realizacji zaplanowanych przez administrację niemiecką dostaw. Takich „lewych” zaświadczeń wydawaliśmy w terenie dużo.

Biuro prowadziło również własną ewidencję. Poszczególne placówki utrzymywały stały kontakt z dowództwem GL i komitetem powiatowym PPR, otrzymywały stamtąd wytyczne i składały miesięczne sprawozdania ze swej działalności.

Często do poszczególnych placówek i garnizonów dojeżdżali z powiatu lub z okręgu działacze polityczni i wojskowi przeprowadzający, jak Szot w Studziankach, szkolenie i pogadanki z miejscowym aktywem.

Spotkanie

Coraz mniej było czasu na gospodarskie zajęcia. Tak niedawna jeszcze bierność i apatyczne wyczekiwanie ustąpiły teraz miejsca zwawej, gorączkowej krzątaninie. Każdy niemal dzień znaczył się nowymi wydarzeniami, które przykuwały uwagę, a niekiedy tak pochłaniały, że nie było czasu pomyśleć

o czymkolwiek innym.

Nie wszystkie kroki, jakie wówczas podejmowaliśmy, były do końca przemyślane. Nie wszystkie nawet rozsądne. Dwudziestoletnia fantazja pchała niekiedy do czynów nierozważnych, co nierzadko pociągało za sobą niepotrzebne ofiary. Dopiero z biegiem czasu, w toku walki, w trudzie partyzanckich dni i nocy, przychodziło niezbędne w konspiracyjnej pracy doświadczenie. Wtedy, w roku 1942, bywało i tak, że - mając na uwadze najpilniejsze hasło chwili: gromadzenie jak największej ilości środków do walki z Niemcami - ryzykowało się czasem życiem dla zdobycia chociażby paru sztuk amunicji.

Tak było i wówczas...

Kiedy w pierwszych dniach czerwca dowiedziałem się, że w Kraśniku można zdobyć pewną ilość amunicji karabinowej, bez chwili namysłu wskoczyłem na rower i pojechałem.

Informacja okazała się prawdziwa. U jednego z naszych sympatyków znajdowało się kilkadziesiąt sztuk starej, pochodzącej chyba jeszcze z pierwszej wojny światowej, amunicji do francuskiego karabinu typu lebel.

Poczułem się zawiedziony. Ze zrezygnowaną miną oglądałem stare naboje, nie bardzo wiedząc, co z nimi zrobić. Nagle przypomniałem sobie, że przecież w zdobytym przez nas zbiorze

znajdują się ze trzy lebelki - antyczne eksponaty, długości około dwóch metrów.

Nie zastanawiając się wiele, zabrałem zdobyty skarb i ruszyłem z powrotem dobrze mi znaną drogą wśród pól, wiodącą z Kraśnika do Rzeczy. Jechałem tak pewnie, jakbym zapomniał o niebezpiecznym bagażu przytroczonym do kierownicy.

Było wczesne popołudnie.

Zjeżdżam szybko z góry drogą kraśnicką koło cmentarza w Rzeczy, mijam kościół i skręcam w kierunku spółdzielni, w której mieści się główny punkt spotkań naszej organizacji. Nagle z przerażeniem spostrzegam, że znajduję

się w samym środku dość licznej grupy żandarmów. Kilku stoi przy spółdzielni. Na prawo ode mnie, na placu kościelnym, jeden rozmawia z miejscowym organistą, Dudkiem. Dwaj inni idą mi naprzeciw. Tych muszę wyminąć. Czy się tylko uda? Widzę, że się mną już zainteresowali. Jestem pewien, że zatrzymają i zrewidują, tak jak wszystkich młodych mężczyzn. Strach zjeżył mi włosy. Ile najrozmaitszych myśli przebiega mi w jednej sekundzie przez głowę!

Gdyby nie niebezpieczny bagaż, mógłbym mieć nadzieję, że wszystko zakończy się „tylko” wywiezieniem na przymusowe roboty do Niemiec. A tak?

Na domiar złego w kieszeni miałem pistolet, tzw. „szóstkę” belgijską, z trzema niepewnymi nabojami.

Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że uzbrojenie moje jest zbyt słabe, abym się mógł w tej sytuacji bronić, zupełnie wystarczy jednak, aby mnie zdemaskować, a żandarmów naprowadzić na ślad naszej organizacji.

Trzeba było coś zrobić. Natychmiast. Za ułamek sekundy może być za późno.

Nie wiem, jak to się stało, że nagle skręciłem w prawo, zeskoczyłem z roweru i prowadząc go, podszedłem do rozmawiającego z żandarmem organisty. Dziękując za wypożyczenie roweru zapytałem, gdzie mam go teraz

postawić.

Dudek z moim rowerem nie miał oczywiście nic wspólnego, natychmiast się jednak domyślił, o co chodzi, i nie okazał najmniejszego zdziwienia. Był to inteligentny człowiek, dobry kolega „Alego”, z którym chyba nawet razem kiedyś chodzili do szkoły. Mnie również znał dobrze. Wiedział o naszej konspiracyjnej działalności. Wskazał mi teraz stojącą kilka kroków dalej organistówkę i tam w sieni kazał postawić rower.

Odchodziłem już, kiedy żandarm, wskazując na przywiązany do kierownicy pakunek, zapytał:

- Was ist das?

- Sól - odpowiedziałem po polsku, siląc się na zachowanie zimnej krwi.

- Was ist das sól, he? - zwrócił się do Dudka znającego język niemiecki. Ten nie tylko wyjaśnił hitlerowcowi, co znaczy sól, ale poinformował go również o kłopotach związanych ze zdobyciem tego artykułu pierwszej potrzeby.

Z dalszych słów organisty wynikało, iż skorzystał on z okazji, że jechałem do miasta, i prosił mnie o kupienie kilku kilogramów soli. Jednocześnie zaczął mi dziękować za wyświadczoną przysługę. Widząc to Niemiec uspokoił się i pozwolił mi odejść.

- Gut, gut - słyszałem za plecami,

odchodząc w stronę organistówki. W jej drzwiach ukazała się akurat córka Dudka, Jadwiga. Postawiłem rower w sieni i poprosiłem o szklanekę wody.

- Co panu jest, panie Wacku? - spytała spełniając mą prośbę.

Nie wiem, jak wtedy wyglądałem. Chyba rzeczywiście inaczej niż zwykle. Nie było jednak czasu na dyskusję. Poprosiłem Dudkównę, żeby jak najszybciej zabrała i ukryła gdzieś dobrze pakunek z „solą”.

Spojrzała na mnie pytająco, a kiedy jej powtórzyłem, że trzeba się spieszyć, zrozumiała, o co chodzi. W chwilę później wzięła niebezpieczny pakunek do koszyka i wyniosła gdzieś na

podwórko. Żandarmi tymczasem nie zdradzali zamiaru odejścia.

Stałem samotnie w sieni. Nagle zdałem sobie w pełni sprawę z sytuacji, w jakiej postawiłem Dudka, i z niebezpieczeństwa, które przeze mnie zawisło nad całą jego rodziną. Wtedy, pamiętam, zacząłem się .naprawdę bać. Postanowiłem jak najszybciej opuścić organistówkę.

Kiedy Jadwiga wróciła, poprosiłem ją, aby wyszła jeszcze raz i rozejrzała się, czy za ogrodem, w wąwozie, który prowadził w pole, nie ma Niemców. Była to jedyna możliwość opuszczenia domu organisty.

Po chwili wyszedłem przez ogród.

Byłem teraz bez marynarki. Wraz z czapką zostawiłem ją w sieni. Za to wzięłem z podwórka grabie na ramię i siląc się na spokojny, gospodarski krok, poszedłem wąwozem, a potem przez pola, w stronę Trzydnika.

Na pograniczu pół Rzeczycy i Trzydnika rośnie niewielka kępa sosnowego lasu. W miejscowym języku - jako że wszystko ma swoją nazwę - mówi się o mej: „choinki”.

Usiadłem w choinkach, żeby odpocząć i przyjść do siebie po ostatnich przygodach. Nie opodal spostrzegłem grabiącego koniczynę chłopca. Poznałem go. Był to znany w Rzeczycy wąsaty Wojciech Kosikowski, dobry przyjaciel

mojego ojca. Bywał on nieraz w naszym domu. Podszedłem do niego teraz i pozdrowiłem wiejskim zwyczajem.

- Co słyhać, Wojciechu? - zapytałem.

- A ty tu czego? Za tymi granatowymi hyclami ci tęskno? - przystanął, podparł się grabiami i patrzył karcąco.

- O, już co to, Wojciechu, to całkiem nie. A wy co tak zaraz radzi byście mnie stąd wypłoszyć?

- Wypłoszyć jak wypłoszyć, ale to ci powiem, że nic tu po tobie, jak nie zamierujesz własnej skóry Szwabom sprzedać za darmo. Ot, na ten przykład wczoraj, było ich tu kilku na rowerach i czegoś szukali. I onegdaj. Widziałem ich tu już kilka razy. Raz sami, a drugi

raz z Niemcami jeżdżą i węszą. A ty co? Chowasz się pewnie przed nimi? Chcesz odpocząć, to idź i połóż się gdzie na miedzy, tam - wskazał ręką w stronę Zielonki. - Tam najlepiej. Wyśpisz się do wieczora, nikt cii nie będzie przeszkadzał, bo tamtędy nawet pies z kulawą nogą nie chodzi.

Zamieniłem jeszcze kilka słów ze starym Wojciechem i nie mówiąc mu nic o swoich przygodach, poszedłem za jego radą. Chłopi na wsi najczęściej w takich sprawach mają rację. A pola swoje znają tak jak nikt inny, ze wszystkimi ich tajemnicami.

Druga połowa czerwca jest w rejonach bezleśnych najlepszą porą roku dla

partyzantów. Wysokie na chłopa łany
zbóż za lada podmuchem kołyszą się jak
bezkresne obszary wód. Ptaki polne,
zające, a nawet - gdy zajdzie, jak to było
w latach okupacji, potrzeba - ludzie
mają się gdzie skryć i czują się
bezpiecznie. Z rozkoszą i w poczuciu
całkowitego bezpieczeństwa
wyciągnąłem się na miedzy.

Nie wiem, czy melodyjny głos małej
pasterki, wyśpiewującej z całej siły
„Zachodźże słoneczko, skoro masz
zachodzić”, czy pokrzykiwanie
przepiórki w zbożu mnie zbudziły.
Kiedy usiadłem rozespany na miedzy,
słyszałem i jedno, i drugie. Byłem tak
głodny, że myślałem tylko o tym, aby jak
najszybciej opuścić to pustkowie.

Słońce chyliło się ku zachodowi, z pól od koszenia koniczyny wracali utrudzeni chłopcy, pasterze z pokrzykiwaniem spędzali do domu krowy. W taką chwilę można by sądzić, że nic się właściwie nie zmieniło. Że jest jak pięć czy dziesięć lat temu. Jak było zawsze. Niestety, trzeba było powrócić do rzeczywistości. Zbierając powoli myśli, zastanawiałem się, gdzie by tu najbliżej zdobyć coś do zjedzenia. Do domu zachodziłem już wtedy rzadko. Żandarmeria i granatowi kilkakrotnie odwiedzali mojego ojca i dopytywali się o mnie.

Najbliżej, jakieś dwa kilometry, było do Zagórza, widocznego jak na dłoni z miejsca, w którym odpoczywałem.

Z tej odległości można było nawet odróżnić wyraźnie zabudowania Walentego Tompolskiego, naszego sympatyka, u którego często w ostatnich czasach ukrywał się „Ali”.

Tompolski ze swoją żoną Stanisławą, nieletnim synem i ojcem staruszką byli dla mieszkańców Zagórza wzorem gospodarności i rodzinnego współżycia.

Zagórze leżało wśród pól, co czyniło z niego dogodną bazę zarówno dla miejscowej naszej organizacji, jak i przejeżdżających oddziałów lub mniejszych grup partyzanckich.

Na podwórku Tompolskich powitała mnie - jak zawsze gościnnie i serdecznie - gospodyni. Niosła pełne wiadro

świeżo udojonego mleka, zapraszała do izby.

- Walek u pszczoł, w ogrodzie - odpowiedziała, gdy zapytałem ją o męża.

Stary Tompolski krzątał się po podwórku.

- Ale mamy tu jeszcze jednego gościa - rozgadała się gospodyni. - Jest Oleś Szymański. Siedzi w stodole i coś tam pisze, jak to on. Zaraz go zawołam na kolację, to zjecie razem, tylko mleka uwarzę i kartofle się dogotują.

Wszedłem za nią do kuchni. Głód narastał we mnie, stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Zaproszenie do stołu przyszło w samą porę.

Tompolska zakrzętnęła się żwawo przy garnkach, nie przestając przy tym mówić.

- Walek może przyniesie świeżego miodu, prosto z ula. Bo to latoś rok zapowiada się miodny jak rzadko. Już drugi raz podbieramy - informowała mnie z zadowoleniem.

Przyglądając się mówiącej, rozmyślałem, skąd się to bierze, że w tej prostej kobiecie tyle jest poświęcenia i dobroci, jakie pobudki sprawiają, że z taką wytrwałością matkuje ludziom konspiracji, okazuje im tyle opieki i troski. Cieszyło mnie, że zdaje się być szczęśliwą matką, żoną i gospodynią.

Na głośny okrzyk od progu odwróciliśmy się jak na komendę. To „Ali” wszedł do izby i swoim zwyczajem zaczął żartować.

- No tak, teraz będzie o czym z Walentym pogadać - zaśmiał się. - Nawet nie próbujcie mnie kaptować. Com niechący usłyszał, a i zobaczył przez szparę w stodole, to ano powiem chłopu jak na świętej spowiedzi. - Spojrzał na nas szelmowsko, ale zaraz potem spoważniał i przyjrząwszy mi się bliżej zapytał:

- A ciebie co, biesy jakie gonily czy co gorsze? Chłopie, toć wyglądasz wypisz wymaluj jak strach na wróble!

Rzeczywiście. Byłem nie tylko bez

marynarki i w wygniecionej koszuli. Miałem umorusaną twarz, a w zmierzwionych włosach pełno trawy i różnego śmiecia.

- Stasia, a toć dajże mu bodaj jakiego zgrzebła, niech się doprowadzi do porządku, bo jak go tak Walek zastanie, dalibóg gotów nie wiadomo co pomyśleć i jeszcze mu baty spuścić - dworował dalej „Ali”, znany z tego, że tylko czekał na takie jak ta okazja, żeby sobie pożartować i pośmiać się.

Gospodyni, podając mi mydło i ręcznik, przeproszała, że wcześniej tego nie zrobiła.

Wyszedłem na podwórko, wyciągnąłem żurawiem wiaderko wody z niegłębokiej

studni, wlałem do podanej miednicy i szybko zmieniłem się nie do poznania.

Przy kolacji opowiedziałem „Alemu” o przygodach ostatniego dnia. Wysłuchał mnie ze spokojem, jak zawsze, i powiedział:

- Widzisz, miałeś dzisiaj szczęście. A jak się ma szczęście, to do powodzenia potrzebny już jest tylko przysłowiowy łut rozumu. Ale pamiętaj, że my dopiero zaczynamy i na szczęście nie można nigdy liczyć. Za każdą pomyłkę, za każdy brak rozwagi będziemy nieraz płacić ciężkimi ofiarami.

Jakże często przychodziło mi później wracać myślą do wypowiedzianej

wówczas przestrogi, gdy w miarę jak rozwijał się nasz ruch -partyzancki, rzeczywiście - przy wszystkich odnoszonych sukcesach - trzeba było nierzadko ponosić dotkliwie straty.

W oddziale „Grzegorza”

Było to w lipcu 1942 roku, na krótko przed objęciem przeze mnie funkcji sekretarza powiatowego w powiecie - kraśnickim. Jako sekretarz, Komitetu Gminnego PPR w Trzydniuku otrzymałem z Komitetu Obwodowego wiadomość, że na tereny południowej Lubelszczyzny zostaje skierowany przez Komitet Centralny człowiek, którego zadanie

będzie polegało na ujęciu wszystkich działających dotychczas lewicowych grup partyzanckich w formy bardziej wojskowe i zorganizowaniu większych regularnych oddziałów mających rozpocząć czynną i stałą walkę z niemieckimi oddziałami pacyfikacyjnymi i z administracją niemiecką. Człowiek ten miał przyjechać do powiatu kraśnickiego i zgłosić się do mnie z hasłem: „Jestem Robert z Warszawy”.

W dniu 17 sierpnia 1942 roku do domu mojego ojca we wsi Zielonka przyszło dwóch młodych ludzi i zaczęło się dopytywać o mnie. Przebywałem już wtedy przeważnie poza domem. Zaangażowany byłem poważnie w pracy

konspiracyjnej, a Niemcy ludzi takich specjalnie gorliwie poszukiwali.

Kiedy młodsza siostra, Irka, która zwykle lubiła wiedzieć, gdzie kogo szukać, przybiegła do mnie z wieścią o przybyciu dwóch nieznanym, zatrwożyłem się nie na żarty. Kto to mógł być? Zgodnie z informacją przekazaną z Lublina mogłem się spodziewać jednego człowieka, a nie dwóch. Może to przebrani po cywilnemu Niemcy lub ich agenci? Zawahałem się przez moment. W tych niespokojnych czasach wszystko mogło się zdarzyć. Zdecydowałem się jednak pójść. Miałem przy sobie tylko wątpliwej jakości pistolet, tzw. „szóstkę”.

Po podwórzu krzątał się ojciec. Był niespokojny. W jego oczach widziałem nieufność i lęk.

Nieznajomi siedzieli w izbie, zajęci rozmową.

- Jestem Robert z Warszawy - powiedział jeden z nich ściskając mi dłoń na przywitanie. Był szczupły i drobny. Jego wzrok, ruchy, sposób mówienia zdradzały niezwykłą ruchliwość i energię. Był to Grzegorz Korczyński - „Grzegorz”, były dąbrowszczak z Hiszpanii, który przybył na nasz teren, aby przy naszej pomocy zorganizować większy regularny oddział GL i dowodzić nim, a następnie objąć dowództwo nad nowo powstałymi

oddziałami partyzanckimi na Lubelszczyźnie.

Drugim z przybyszów był Edward Kubat (pseudonimy „Kubuś” i „Hiszpan”).

Przybyłym spieszyło się. Jeszcze tego samego dnia skontaktowałem ich z Aleksandrem Szymańskim - „Alim”.

„Grzegorz” nie od razu poszedł do lasu. Ostrożnie dobierał ludzi, chciał mieć oddział, z którym, gdy zajdzie potrzeba, można prowadzić walkę na śmierć i życie. Długo rozmawiał z każdym kandydatem na żołnierza GL, badał jego psychikę, odwagę, orientację i przebiegłość, a także kondycję fizyczną. Był zdania, że skoro broni mamy niewiele, to trzeba ją dać

w zdrowe, silne i pewne ręce.

„Grzegorz” przy naszej pomocy - „Zygmunta”, „Alego”, „Kota”, „Lisa” i mojej - usiłował jak najszybciej rozeznaczyć się w sytuacji politycznej w terenie i ponawiaływać za naszym pośrednictwem kontakty z działaczami demokratycznych organizacji podziemnych. Ustalono, że rejonem działania jego pierwszego regularnego oddziału będą powiaty: janowski, biłgorajski oraz częściowo puławski, zamojski i krasnostawski.

Swoje akcje bojowe rozpoczął „Grzegorz” od poskromienia grupy sześciu zwykłych bandytów żyjących z rozboju i grabieży, podważających

wśród miejscowej ludności dobre imię polskiego partyzanta.

Czyn ten od razu zjednał oddziałowi sympatię mieszkańców okolicznych wiosek, bezbronnych dotychczas wobec bandytów.

Ochotników do nowo tworzonych oddziałów było zwykle dużo więcej niż broni, jaką dysponowaliśmy. Z konieczności więc zdarzało się i tak, że musieliśmy odmawiać prośbom wielu spośród ludzi wykazujących zapał do walki i trzymać ich w rezerwie do czasu zdobycia broni. Byli i tacy, którzy przychodzili z własną bronią.

Pierwszy regularny oddział, składający się z kilkunastu ludzi z „Grzegorzem” na

czele, wyruszył do lasu Gizówki koło Kraśnika jeszcze pod koniec sierpnia 1942 roku. Uzbrojony w karabiny i kilka pistoletów, był jeszcze nie zahartowany i nieostrzelany w walkach.

Z „Grzegorzem” umówiliśmy się, że będziemy utrzymywać stały kontakt. Co kilka dni miałem odwiedzać oddział w lesie, dozbrajać go i informować o ruchach żandarmerii niemieckiej w terenie.

Przez dwa tygodnie oddział nie dokonywał żadnych poważniejszych akcji. „Grzegorz” szkolił swoich żołnierzy, przygotowując ich do walki z większymi grupami żandarmerii niemieckiej, która w tym czasie trzymała

cały teren w postrachu, zwłaszcza że pamiętna akcja zaklikowska „Jastrzębia” i następne śmiałe wypadki jego grupy, dokonywane w czasie i miejscach, w których najmniej się tego spodziewano, spowodowały z początku tylko zastrzony terror.

Hitlerowcy poczuli się mniej pewnie na podbitej ziemi. Czując, że w każdej chwili może ich spotkać zapłata za czyny, jakich dopuszczali się wobec ludności polskiej, zaczęli działać bardziej ostrożnie i w terenie poruszali się odtąd wyłącznie grupowo. Świadomość tego cieszyła nas i zagrzewała do czynu.

Żeby zwiększyć siłę uderzeniową i moc

przystąpić do przeprowadzenia poważniejszych akcji zbrojnych, postanowiliśmy połączyć oddział „Jastrzębia” z oddziałem „Grzegorza” i utworzyć w ten sposób regularny, większy i dobrze uzbrojony oddział pod dowództwem „Grzegorza”.

W tym celu wraz z moim współpracownikiem Bolesławem Nitkiewiczem udałem się w lasy lipskie i sprowadziłem oddział „Jastrzębia” do Gizówki. Pamiętam, jaka radość towarzyszyła spotkaniu obydwu oddziałów. Oddział „Jastrzębia” nie tylko sam był dobrze uzbrojony, ale miał sporo broni zapasowej, szczególnie granatów, co pozwoliło usunąć braki w uzbrojeniu oddziału „Grzegorza”

i przyjąć kilku nowych ludzi.

W ten sposób powstał pierwszy regularny i dość dobrze uzbrojony oddział Gwardii Ludowej im. Tadeusza Kościuszki pod dowództwem Grzegorza Korczyńskiego - „Grzegorza”.

Struktura organizacyjna Gwardii Ludowej w tym czasie była jeszcze dość luźna i mało skrytalizowana. Późną jesienią 1942 roku na południowej Lubelszczyźnie było kilka niewielkich oddziałów regularnych, mających stałą bazę w lasach, oraz kilkadziesiąt grup wypadowych.

Grupa wypadowa od oddziału regularnego różniła się tym, że należący do niej ludzie przebywali w swoich

wioskach i tylko dla dokonania jakiejś akcji zbierali się o określonej porze, najczęściej późnym wieczorem, w miejscu wyznaczonym przez swego dowódcę. Przeprowadzali akcję sami lub wspólnie z oddziałem regularnym, a rano powracali do swoich wiosek i ukrywali starannie broń, przeważnie we własnych zabudowaniach. Jeżeli akcja wymagała dłuższego czasu, grupa zatrzymywała się na kilka dni sama lub razem z oddziałem w lesie.

Oddział był już stałą jednostką bojową na wzór wojskowy i w okresie, o którym mowa, dzielił się na plutony i drużyny. Liczebność zarówno oddziału, jak plutonu czy drużyny nie była stała. Podobnie nie ustalona była liczba

plutonów w oddziale.

Dowództwo oddziału składało się przeważnie z trzech ludzi: dowódcy, jego zastępcy i szefa wywiadu. Dochodził do nich jeszcze najczęściej jeden człowiek zajmujący się sprawami gospodarczymi, do którego obowiązków należało m. in. organizowanie wyżywienia dla oddziału i troska o jego uzbrojenie.

Plutonem i drużyną dowodził z zasady jeden człowiek. Grupą wypadową natomiast dowodził komendant, który najczęściej wyznaczał sobie zastępcę.

W dniu 14 września „Grzegorz” podzielił swój oddział na dwie grupy i każdej z nich wydał rozkaz bojowy,

Miały one zaatakować stacje kolejowe w Rzeczy i w Szastarce, zniszczyć urządzenia stacyjne, zabrać kasę, zdobyć na straży kolejowej broń i amunicję, a w przypadku gdyby na którejś z tych stacji znajdował się pociąg - zaatakować go i zrewidować wagon pocztowy.

Obydwie akcje zakończyły się pomyślnie. Na stacji Szastarka zniszczono urządzenia i rozbrojono policjanta zdobywając w ten sposób jeden kbk. W Rzeczy gwardziści zatrzymali pociąg pospieszny ostrzeliwując go w ciemnościach. Wśród niemieckich pasażerów nastąpił popłoch. Oficerowie i żołnierze niemieccy, nie zdając sobie sprawy, że zaatakowani zostali zaledwie przez

dziewięcioosobową grupę partyzancką, nie podjęli walki i czmychnęli w pobliskie krzaki. Partyzanci zdobyli dwa karabiny i mundury wojskowe. Przerwa w ruchu pociągów trwała około czterech godzin.

Udane akcje w Rzeczycy i Szastarce wywołały entuzjazm w oddziale i napełniły gwardzistów poczuciem własnej siły. Wyolbrzymione przez samych Niemców w ich meldunkach nabrały one wielkiego rozgłosu w okolicy i rozślawiły imię oddziału im. Tadeusza Kościuszki. Zaczęło zgłaszać się do niego coraz więcej ochotników. Pod koniec września 1942 roku oddział osiągnął liczbę około sześćdziesięciu ludzi, którzy przechodzili w lesie

intensywne szkolenie pod kierownictwem swojego dowódcy.

Dłuższy pobyt oddziału „Grzegorza” w lasach Gizówki, Odległej od powiatowego Kraśnika zaledwie o kilka kilometrów, poważnie zaniepokoił Niemców Kraśnika.

Toteż postanowili oni przy użyciu poważniejszych sił uderzyć na Gizówkę i dokonać likwidacji oddziału.

Plan całkowitego zaskoczenia nie powiódł się jednak.

O zamiarach Niemców w porę ostrzegli nas nasi ludzie z Kraśnika. Jeszcze tego samego dnia, nie zwlekając ani chwili, udałem się rowerem do Gizówki, aby o grożącym niebezpieczeństwie

powiadomić „Grzegorza”.

Krótką naradą kończy się decyzją: tej samej nocy oddział przeniesie się do lasów lipskich, na południowy wschód od Zaklikowa.

- Ale nie zrobimy tego cichaczem, za gładko by im poszło - mówi „Grzegorz”.

- Na stacji w Rzeczycy stoi niemiecki transport kolejowy. Musimy im złożyć po drodze wizytę. Będzie to dobry początek.

Plan „Grzegorza” przewidywał tylko w ramach przemarszu akcję na stację kolejową w Rzeczycy. Nikt z nas nie przypuszczał, że tej samej nocy nieostrzelany jeszcze oddział dokona aż czterech różnych akcji. Najbliższe

godziny miały nas przekonać, że w partyzanckiej praktyce jest dużo więcej niespodzianek niż na froncie.

Lasy Gizówki to położony na falistym i pagórkowatym terenie niewielki, ale piękny masyw leśny, o mieszanym drzewostanie i bujnym podszyciu. Północny cypel tych lasów przecina w odległości pięciu kilometrów od Kraśnika szosa biegnąca z Kraśnika do Janowa. Wschodni cypel lasów Gizówki sięga linii kolejowej Rozwadów-Lublin, jednej z głównych arterii łączących front wschodni z Trzecią Rzeszą. Od południa można było do lasów dojść doliną rzeki Karasiówki, wzdłuż której ciągnęły się gęste zabudowania starej wioski, Rzeczycy Księżej. Usytuowanie lasów

Gizówki stwarzało więc dobre warunki dla naszego oddziału partyzanckiego, zarówno dla ukrycia się, jak i prowadzenia walki z transportem wroga.

Późnym wieczorem 16 września opuszczamy Gizówkę. „Grzegorz” podzielił oddział na dwie grupy. Jedna, pod dowództwem „Jastrzębia”, o pół godziny wcześniej odchodzi na stację kolejową z zadaniem zniszczenia stojącego tam już od kilku dni na boczniczy wojskowego transportu z silnikami samolotowymi i samochodowymi. Po wykonaniu tego zadania ma ona dołączyć do reszty naszego oddziału w drodze, koło wiatraka w Rzeczycy Ziemiańskiej.

Kilka chłopskich furmanek, wyścielonych słomą, po które „Grzegorz” posłał jeszcze za dnia do Rzeczycy Księżej dwóch partyzantów, zajeżdża do naszego partyzanckiego obozu, gdzie po odejściu grupy „Jastrzębia” panuje ruch i gorączkowa krzątanina.

Gwardziści pakują swój osobisty rynsztunek, sprawdzają broń i amunicję. Zgodnie z rozkazem wygaszają ogniska, aby po odejściu oddziału nie wybuchł pożar w lesie, który jest przecież naszym domem. Wrócimy tu nie raz jeszcze.

Chłopi pomagają partyzantom ładować na wozy sprzęt gospodarczy oddziału i zapasy żywności. Znają ten obóz

dobrze, przychodzili tu często z żywnością dla partyzantów, z informacjami. Teraz chętnie służą nam swoimi podwodami, pytają, kiedy tu wrócimy.

Ze stacji dobiega odgłos strzałów.

- To nasi - zauważa „Grzegorz”. - Już zaczęli.

Po chwili wyjeżdżamy. Pierwsze strzały ze stacji były dla nas umówionym sygnałem do wymarszu.

Powoli, noga za nogą, ciągną nas konie po leśnej drodze. Skrzypienie kół w wieczornej, leśnej ciszy roznosi echo po lesie. Wkrótce wozy wytaczają się na odkryty teren.

Obaj z „Grzegorzem” jedziemy przez wieś na drugiej od przodu furmance. Za nami ciągnie kilka innych wozów.

- Ciekawe, jak też oni sobie tam dają radę - zastanawia się „Grzegorz”.

W momencie kiedy chciałem mu coś na to odpowiedzieć, aby podtrzymać zaczęłą rozmowę, nad stacją kolejową w Rzeczycy wystrzelił w górę wysoki słup ognia i rozdarł ciemności ogromnym ognistym językiem, od którego łuna szła bardzo daleko, oświetlając częściowo nawet wieś, przez którą jechaliśmy.

- A więc udało się, podpalili - mówi zadowolony „Grzegorz”.

Pierwszy wóz, jadący przed nami, zatrzymał się i cała kolumna,

dojeżdżając do niego, stanęła. Przez chwilę patrzyliśmy na łunę razem z wiozącymi nas chłopami, dla których pożar był zazwyczaj nieszczęściem przyjmowanym jak dopust boży za popełnione grzechy. Tym razem jednak nasi gospodarze nie wykazywali ani większego strachu, ani jakiegoś szczególnego zdenerwowania. Nic dziwnego - zagrody ich są daleko od ognia, stacja kolejowa stoi odosobniona, wśród pól, a to, co się tam na niej teraz pali, nie jest przecież nasze, lecz niemieckie.

- Dobrze im, psubratom - mówią co chwila między sobą z zadowoleniem nasi furmani.

Łuna nad stacją to przygasa, to znowu się rozjaśnia. Wiemy co to znaczy - wagony ze sprzętem kolejno zapalają się jeden od drugiego.

We wsi odczuwa się poruszenie, psy - jak zwykle w czasie pożaru - zaczynają wyć i szczekać, ludzie wychodzą z domów i komentują między sobą wydarzenie, każdy na swój sposób. Wszędzie słyhać podawaną z ust do ust wiadomość: stacja się pali!

- A my co mamy dalej robić? - pyta nasz woźnica.

„Grzegorz” ocknął się z zadumy i patrząc ciągle w stronę pożaru, odpowiada chłopu spokojnie:

- Ano cóż, jedziemy dalej swoją drogą.

Tamci swoje, a my swoje, zgodnie z planem.

Furmani szarpnęli lejcami, w górze świsnęły baty i kolumna znowu ruszyła.

W pobliżu młyna Gładkowskich, którego właściciel chętnie zaopatrywał nas w mąkę, droga, którą jedziemy przecina szosę biegnącą z Kraśnika na Janów. Drogi rozchodzą się stąd w cztery strony świata. Nasza wiedzie teraz na Potok i Modliborzyce, przebiegając nie opodal palącej się stacji. Mijamy młyn, jeszcze kilka gospodarskich zabudowań i wioska się kończy. Dalej droga biegnie wśród pól. Na prawo, tuż za młynem, przylega do niej niewielkie wzgórze. Po lewej stronie, nieco dalej, już na polu,

stoi wśród rzadkich jałowców stary wiatrak.

Piaszczysta polska droga, którą jedziemy obok wzgórza, tłumi odgłosy posuwającej się kolumny, lecz zarazem utrudnia szybką jazdę.

Wyjeżdżamy na pagórek obok zagrody Leona Dudka, naszego garnizonowego lekarza, brata organisty.

W tym momencie zza zakrętu oślepią nas silne światło reflektorów samochodowych. To żandarmeria z Kraśnika, zaalarmowana pożarem na stacji zdążyła już przyjechać osobowym samochodem i nie mając rozeznania w sytuacji, zaskoczona i przerażona rozmachem akcji, postanowiła nie

zbliżać się do płonącego już od dłuższego czasu transportu i powrócić szybko do Kraśnika. Konie przy pierwszym wozie stanęły dęba, wszystkie inne wozy jak na komendę również się zatrzymały.

Zeskakujemy z furmanek. Jesteśmy zaskoczeni. Ludzie nie wiedzą, co robić i jak się zachować. Tylko dowódca - jakby i na tę ewentualność był przygotowany - nie tracąc równowagi z zimną krwią wydaje rozkaz:

- Chłopcy, za mną!

Cofamy się za wzgórze i obchodzimy je od strony rzeki. Biegnę obok „Grzegorza”. Zatrzymujemy się przed drogą po przeciwnej stronie wzgórza, od

strony Zielonki. Z odległości kilkudziesięciu metrów widzimy wracających od naszej pierwszej furmanki dwóch żandarmów, którzy podchodzą do stojącego w pobliżu samochodu i wsiadają do niego.

- Ognia! - komenderuje nieoczekiwanie „Grzegorz” i sam oddaje pierwszy strzał.

Strzelamy wszyscy. Widać wyskakujących z wozu żandarmów, inni nie zdążyli doń jeszcze wsiąść.

- Przerwać ogień! - pada kolejna komenda dowódcy.

Podbiegamy do opuszczonego wozu, wyciągamy z niego pozostawione przez Niemców cztery karabiny, dwie teczki,

apteczkę oraz trzy oficerskie i dwa podoficerskie płaszcze.

- Resztę podpalić! - rozkazuje „Grzegorz”. Po chwili teren zostaje oświetlony blaskiem palącego się samochodu. Patrzymy teraz na dwa pożary: ten bliższy, tuż u naszych stóp, i drugi, duży - w oddali, na stacji kolejowej.

Ale na przyglądanie się wynikom naszej pierwszej większej akcji nie było czasu, bo znów padła komenda:

- Chłopcy! Do wozów, ruszamy dalej!

Nasze podwozy stały tak, jak je zostawiliśmy. Tylko chłopci w czasie strzelaniny pokładli się na ziemi, a teraz,

zawołani przez nas, podnoszą się i otrzepują z piachu.

- No i co? Bardzo żeście się przestraszyli? - pyta ich „Grzegorz”.

- E, my o siebie to ta ni, tylko o konie, panie, chodziło, bo to przecie łątwo mogła kula trafić, a o drugiego konia tera trudno.

- Nie strzelaliśmy przecież w waszym kierunku. A jak tam spotkania z Niemcami? O co pytali? - żartuje dalej „Grzegorz”, zadowolony z obrotu sprawy,

- Trudno, panie, ich wyrozumieć, coś ta głośno śwargotali po swojemu, ale kto ich ta wi, o czym oni... Pokazywali na furmanki, tożwa im tłumaczyli, że do

pożaru jedziewa, że to niby u nas na wsi taki zwyczaj, że jak się pali, to każdy, co ma konia, zaprzęga i jedzie do ognia, aby tam coś pomóc. A oni nic ino po swojemu „gut, gut” pośwargotali i pośli.

Wsiadamy na furmanki i ruszamy dalej. Docieramy do wiatraka - umówionego miejsca spotkania z grupą powracającą po dokonaniu akcji na stację kolejową. Są wszyscy, zdrowi i zadowoleni. „Jastrząb” melduje „Grzegorzowi” o wykonaniu akcji. Zaskoczona ochrona transportu, pozostawiając broń, uciekła w pole. Nikt partyzantom nie przeszkadzał w dokonaniu dzieła zniszczenia.

Duży transport, złożony z trzydziestu

ośmiu załadowanych różnymi maszynami i silnikami wagonów, cały spłonął. Jeszcze teraz widać było dopalające się resztki. Grupa „Jastrzębia” zdobyła osiem karabinów, amunicję, kilka granatów i płaszcze, których Niemcy nie zdążyli zabrać. Przerwa w ruchu kolejowym trwała prawie dwie doby.

- Dziękuję wam, chłopcy - mówi uśmiechnięty „Grzegorz”. - Tylko coś za humanitarnie rozpoczynamy tę wojnę - dodaje. - Przecież ani jeden Szwab nie został zabity. Trzeba nam będzie w przyszłości celniej strzelać i tak zaskakiwać wroga, żeby nie miał już żadnej możliwości ucieczki. Ale i za to jestem wam wdzięczny. Zdobyliśmy przecież sporo broni, będziemy mogli

przyjąć do naszego oddziału nowych ludzi i powiększyć go, a to dla nas jest w tej chwili najważniejsze.

Oddziałowi odjeżdżającemu w kierunku na Potok jeszcze przez jakiś czas oświetlał drogę blask dopalających się wagonów.

Po drodze ludzie „Grzegorza” atakują posterunek policji granatowej w Potoku. Niełatwo im poszło - posterunek okazał się wyjątkowo trudny do zdobycia.

O mały figiel odstąpiliby bez jakiegokolwiek sukcesu, gdyby nie fakt, że podczas wymiany strzałów zabity został komendant posterunku, niejaki Malinowski, znany ze swego wyjątkowo wrogiego stosunku do Polaków i

niehumanitarnego obchodzenia się z nimi. Nic dziwnego, że śmierć Malinowskiego wywołała ogromną radość wśród miejscowego społeczeństwa.

Po akcji na posterunek policji w Potoku ludzie „Grzegorza” podpalili duży magazyn ze zbożem ściągniętym w ramach dostaw kontyngentowych, a przeznaczonym dla walczącej na wschodzie armii niemieckiej.

Taki był początek szlaku bojowego słynnego oddziału im. Tadeusza Kościuszki na Lubelszczyźnie w 1942 roku. Te pierwsze zbrojne wystąpienia przeciwko okupantowi pobudziły do czynu i natchnęły nadzieją wszystkich, którzy - przygnieceni terrorem - zwątpili

już we własne siły. Zaniepokojeni pierwszymi wystąpieniami partyzantów hitlerowcy zaczęli zwiększać swoje garnizony i wzmacniać posterunki.

Cztery akcje, dokonane w pamiętną noc z 16 na 17 września 1942 roku, wyolbrzymione potem przez samych Niemców, którzy w meldunkach o napadzie na Rzeczycę mnożyli przez dziesięć rzeczywistą liczbę jego uczestników, nabrały w całej okolicy wielkiego rozgłosu i zapoczątkowały legendę, jaka później szła za oddziałem wszędzie jak nieodłączna towarzyszka.

Po przejściu oddziału w lasy lipskie rozpoczęto intensywne szkolenie. Oddział stale wzrastał. Nie było już

niemal dnia, żeby nie zgłaszali się nowi kandydaci. Przychodzili okoliczni chłopcy i inteligenci, robotnicy z pobliskich miasteczek i zbiegli z getta Żydzi. Przychodzili uciekinierzy z obozów śmierci oraz Rosjanie, którym udało się wyrwać z hitlerowskich obozów jenieckich lub zbiec z robót. Dla tych wszystkich ludzi nasze leśne ostępy stały się drugim domem. Znaleźli w nim szczerych przyjaciół i jedyne miejsce, w którym mogli odzyskać poczucie względnego bezpieczeństwa.

Utrzymywałem wówczas z dowódcą oddziału im. Tadeusza Kościuszki stały kontakt. Oprócz własnego zwiadu „Grzegorz” chciał bowiem otrzymywać systematyczne meldunki od „dalekiego

wywiadu”. Poza mną informacje o zachowaniu się nieprzyjaciela, jego ruchach i zamiarach przekazywali do bazy w lasach lipskich Tadeusz Szymański - „Lis” z Trzydnika i Stanisław Szot - „Kot” z Kraśnika.

Baza oddziału znajdowała się w pobliżu wsi Dębowiec i Kochany. W koronie dębu, na szczycie wysokiego wzgórza, znajdowało się bocianie gniazdo - stały punkt obserwacyjny, z którego bezustannie przepatrywano okolicę. Obserwatorzy dostawali się tam po specjalnie w tym celu zawieszanej drabince. Pod dębem mieścił się sztab, a sam oddział rozłożony był dokoła, u stóp wzgórza. W bazie znajdowała się kuchnia połowa i magazyny. Planowano

również wybudowanie bunkrów ziemnych, mających zastąpić gwardzistom mieszkania. Rozpoczęto już nawet w tym celu zwózkę materiałów.

W odległości kilkuset metrów od wzgórza urządzono partyzancki poligon. Pod kierunkiem kilku wyszkolonych podoficerów odbywały się tu codziennie ćwiczenia wojskowe. Systematycznie - od godziny ósmej do trzynastej i od piętnastej do osiemnastej.

W wielkim masywie leśnym, który rozpoczynał się od rozwidlenia Wisły i Sanu, a kończył w rejonie Puszczy Solskiej, oddział był względnie bezpieczny, zwłaszcza że akcji skierowanych przeciwko okupantowi nie

przeprowadzano w pobliżu rejonu biwakowania. Być może dlatego właśnie nikomu w tym początkowym okresie nie przyszło jakoś do głowy, że zgrupowanie tak znacznych sił partyzanckich w jednym miejscu może grozić poważnym niebezpieczeństwem i że należy ciągle zmieniać miejsce postoju i tak manewrować w terenie, aby mylić nieprzyjacielowi ślady, utrudniać pościg i większe obławy. Były to ciągle jeszcze początki ruchu partyzanckiego. Doświadczenie miało przyjść z czasem, w toku walki. Nie sposób było od razu, od początku, nie popełniać żadnych błędów.

Nie znaczy to, by lekceważono w oddziale środki bezpieczeństwa.

Przeciwnie. Sam „Grzegorz” doskonale zorganizował zwiad, a pełniący funkcję jego zastępcy Edward Kubat - „Kubuś”, również dąbrowszczak, razem z Korczyńskim przybyły do kraju i wraz z nim skierowany do pracy na terenie Lubelszczyzny - dzielnie pomagał dowódcy w skrupulatnym badaniu napływających do oddziału nowych kandydatów. Chodziło zwłaszcza o uniknięcie wrogiej dywersji. Wiadomo było bowiem, że hitlerowcy, nie mając innych sposobów zlikwidowania groźnego dla siebie ruchu partyzanckiego, uciekali się do chytrych sztuczek - kierowali do naszych oddziałów agentów gestapo, którzy potem naprowadzali ich na właściwy

trop, przyczyniając się w ten sposób do zadania ruchowi partyzanckiemu bardzo dotkliwych nieraz strat.

Wobec takich wypadków każdy kandydat, zamierzający wstąpić do oddziału „Grzegorza”, był poddawany różnym próbom i wszechstronnie badany. Szczególną czujność wykazał tu „Kubuś”, który w akcję werbunkową wkładał całe serce, urastając w oddziale do roli „szefa bezpieczeństwa”.

Z bazy oddziału wysyłało patrole na zwiad oraz drobne oddziały, których celem było bądź zdobycie zaprowiantowania, bądź przeprowadzenie jakiejś mniejszej akcji zbrojnej.

Którejś słonecznej niedzieli, na przykład, dwudziestu żandarmów udało się na połów ryb. A że stawy znajdowały się na terenie lasów lipskich, wzięli ze sobą broń, ba - nawet erkaem! Jak się jednak okazało, niewiele im to pomogło. Nieliczna grupka ludzi z oddziału „Grzegorza”, natknąwszy się zresztą na hitlerowców zupełnie przypadkowo, spadła na nich z nienacka, w momencie gdy jedni zażywali kąpieli, a inni, wystawiwszy brzuchy do słońca, leżeli z zamkniętymi oczami. Nie mieli czasu na obronę. Gwardziści otworzyli ogień z zardzewiałych karabinów i dwóch automatów. Trzech żandarmów zostało zabitych, inni odnieśli rany. Oddział

„Grzegorza” poprawił przy tym stan swego uzbrojenia, zdobywając na wrogu dwa karabiny, amunicję, granaty i mundury.

Akcje zbrojne przeciwko okupantowi i tym wszystkim, którzy pozostawali na jego usługach, coraz bardziej przybierały na sile. Jak ten wzrost przedstawiał się od strony liczb, wówczas jeszcze nie wiedzieliśmy. Miał nas o tym poinformować dopiero po wojnie zachowany pamiętnik gubernatora Franka, z którego dowiadujemy się, że - według danych dostarczonych przez dowódcę policji bezpieczeństwa - liczba napadów w dystrykcie lubelskim przedstawiała się w roku 1942 następująco: styczeń -

96 napadów, luty - 61, marzec - 120, kwiecień - 300, maj - 78, czerwiec - 1140, lipiec i sierpień - po 1400, wrzesień - 1600 i do grudnia - 1700^[5].

W tym samym dokumencie sami hitlerowcy wyraźnie określili, jak zmieniał się charakter owych napadów.

„Dawniej miało się zasadniczo do czynienia ze zwykłymi napadami bandyckimi, głównie na gospodarstwa chłopskie, obecnie działa jakaś organizacja polityczna, napada na urzędy i kasy gminne, ale nie tylko po pieniądze, lecz i w celu niszczenia aparatu administracyjnego, telefonów, maszyn do pisania, dokumentów podatkowych, kartotek itp.

W mleczarniach nie tylko kradnie się masło, lecz i niszczy maszyny. Należy się obawiać gwałtownego wzrostu agitacji komunistycznej”^[6].

Oczywiście nie wszystkie napady miały wyraźne tło polityczne, nie wszystkich też dokonały rozwijające z każdym dniem swą działalność oddziały Gwardii Ludowej. Niemniej jednak śmiało można powiedzieć, że najwięcej kłopotu przysporzyły okupantowi odważne akcje bojowe gwardzistów. Dostrzegając to okupant ze wzrastającą obawą. Meldunki przesyłane do władz nadrzędnych z dystryktu lubelskiego donosiły: „Podczas napadu na pewien majątek bandyci zrabowali tylko mienie właściciela majątku, nie wzięli

natomiast żadnych pieniędzy przeznaczonych na wypłatę dla robotników tego majątku. Takich przykładów można przytoczyć więcej”^[7].

W pierwszej połowie 1942 roku okupant, chcąc zapobiec rozwojowi ruchu oporu, wzmógł terror. Nie dało to jednak żadnych rezultatów. Wprost przeciwnie, akcje partyzanckie przybrały na sile.

Największą konsternację wśród hitlerowców wywołały pierwsze akty sabotażowe na kolei. „Mogłoby to wprost śmiertelnie odbić się - czytamy dziś w *Dzienniku* słowa generalnego gubernatora, wypowiedziane na naradzie

w dniu 13 lipca 1942 roku^[8] - na naszej armii, która gdzieś daleko na wschodzie zdana jest na zaopatrzenie z tego kraju. Okazało się, że przez jeden jedyny akt sabotażu na kolei nastąpiło kilkugodzinne opóźnienie transportu wojennego”.

Rzeczywiście, teren Lubelszczyzny miał dla okupanta szczególne znaczenie. I dlatego, że żyzna ziemia lubelska pełniła, zgodnie z planami przywódców Trzeciej Rzeszy, rolę spichlerza, i dlatego, że tędy biegły główne linie kolejowe, które łączyły walczące na froncie wschodnim armie z ich zapleczem. Z tego zapewne powodu w lipcu 1942 roku dystrykt lubelski odwiedził sam Himmler, w następstwie

czego przystąpiono do patrolowania całego terenu i przeczesywania go siłami batalionów policyjnych, posiłków wojskowych i lotnictwa ze szkoły lotniczej w Dęblinie. Akcja trwała z przerwami do września i miała na celu likwidację oddziałów partyzanckich.

W dniu 24 września, kiedy oddział „Grzegorza” ćwiczył na partyzanckim poligonie w pobliżu wsi Kochany i Dębowiec, drogi leśne i przesieki zaroily się nagle od zielonych i czarnych mundurów SS. Nieprzyjaciel szedł w sile kilkuset ludzi uzbrojonych w broń automatyczną. Nasz oddział, jakkolwiek w ostatnim okresie znacznie

powiększony, nie liczył więcej niż osiemdziesięciu gwardzistów. Jego dowództwo natychmiast zorientowało się w sytuacji, oceniając ją trzeźwo i trafnie: zbyt wielka jest dysproporcja sił, aby czekać na zbliżenie się nieprzyjaciela i przyjąć otwartą bitwę. Nie było czasu do stracenia. Postanowiono wprowadzić hitlerowców w błąd i zaatakować ich z zasadzki.

Niemcy na podstawie poprzednich akcji naszego oddziału ustalili rejon jego pobytu w widłach Wisły i Sanu, aż po linię Domostawa-Radomyśl. Tam też postanowili go zaskoczyć i zlikwidować.

Działali chytrze. Ich zwiad, przebrany -

dla upodobnienia go do partyzantów - w najrozmaitsze ubrania, zdołał dokładnie ustalić miejsce pobytu naszego oddziału.

„Grzegorz” jako dowódca miał zdać tu swój pierwszy, trudny egzamin. Podzielił oddział na trzy grupy, które kryjąc się w zasadzce kątem w tył, tworzyły w rejonie wsi Szwedy coś w rodzaju worka, do którego weszła nie spodziewająca się niczego większa część Niemców. Kiedy hitlerowcy dochodzili do wierzchołka grupy, zostali zaatakowani jednocześnie z trzech stron. Zaskoczenie było całkowite. Cofając się w popłochu, stawiali już tylko nie zorganizowany opór.

Dwugodzinna walka zakończyła się całkowitym zwycięstwem naszego oddziału. Tym większym, że w pierwszej chwili nikomu się nie śniło, żeby sprawa mogła przybrać taki obrót.

Po stronie wroga było kilku zabitych i kilkunastu rannych, spośród naszych jeden został zabity i jeden - Łońka Koszelow - ciężko ranny. Największą jednak niespodzianką dla naszego oddziału była ucieczka przy tej okazji dwunastu czerwonoarmistów, którzy, wzięci do niewoli, musieli pod presją ze strony wroga przywdziać niemieckie mundury. Ludzie ci, wykorzystując nadarżającą się teraz okazję, uciekli z pełnym uzbrojeniem z pomocniczej służby niemieckiej do lasu.

Obawiając się konsekwencji za służbę u Niemców dwunastka ta nie wstąpiła do oddziału im. Kościuszki, lecz pomaszerowała do Puszczy Solskiej, nawiązując tam kontakt z „dziką” podówczas grupą „Miszki Tatara”. Mimo to zdawaliśmy sobie sprawę, że dla potężniejącego na Lubelszczyźnie z każdym dniem ruchu wyzwolenczego stanowią oni niezwykle cenny nabytek. Miały to potwierdzić już najbliższe potyczki z wrogiem.

W wyniku bitwy w rejonie wsi Szwedzy zdobyto także broń i amunicję.

Niemcy po tej pierwszej porażce nie odstąpili od zamiaru likwidacji oddziału „Grzegorza”. Otrząsnąwszy się z

zaskoczenia i uporządkowawszy swoje siły, postanowili nie opuszczać lasu i ścigać partyzantów w dalszym ciągu.

Piętnastego października o świcie ponowili atak.

Sytuacja oddziału „Grzegorza” była ciężka. Najwięcej kłopotu sprawiali ranni, których trzeba było z trudem, przedzierając się przez krzaki i bagna, przenosić z miejsca na miejsce bez możliwości udzielenia im pomocy i opieki lekarskiej. Tam dopiero, w konkretnej sytuacji, w zaciętej walce z wrogiem, oddział odczuł, jak bardzo brakowało mu wykwalifikowanego lekarza. Nie pomyślano jakoś o tym. Zresztą... każdy szedł przecież zwyciężyć, a nie ginąć.

Tylko rzeczywistość okazała się bardziej surowa.

Najcięższe rany odniósł dowódca pierwszego plutonu, Jan Płowaś - „Luby”, który od pamiętnego momentu, gdy „Jastrząb” oswobodził go z zaklikowskiego aresztu, stał się jednym z najdzielniejszych partyzantów GL w oddziale im. T. Kościuszki.

Rozkaz przetransportowania i ukrycia „Lubego” w bezpiecznym miejscu otrzymał szef zwiadu oddziału „Kubuś”.

Rankiem 16 października oddział został powtórnie ze wszystkich stron otoczony. Hitlerowski pierścień zaczął się coraz bardziej zacieśniać.

„Grzegorz”, zorientowawszy się

w sytuacji, postanowił za wszelką cenę wyjść z okrążenia. Po godzinnej walce zdołano dokonać wyłomu w tyralierze Niemców.

W rezultacie oddział wydostał się z kotła bez poważniejszych strat. Po kilku zabitych hitlerowcach zdobyto broń.

W tym właśnie czasie, odwiózłszy „Lubego” w bezpieczne miejsce i zapewniwszy mu opiekę lekarską, wracał do oddziału „Kubuś”. Znany z nieprzeciętnej odwagi, szedł śmiało, nie zważając na rozlegającą się po lesie strzelaninę.

Patrol niemiecki, którego nie spostrzegł w porę, zaatakował go z nienacka. Padły

strzały.

Ciężko ranny w obie nogi „Kubuś” bronił się, nie dopuszczając do siebie żandarmów. Ostatnim nabojem odebrał sobie życie.

Tak zginął pierwszy z naszych bohaterskich dąbrowszczaków. Koledzy z oddziału pochowali go, wraz z kilkoma innymi gwardzistami, którzy w tym dniu padli, na miejscu śmierci, przy skrzyżowaniu leśnych dróg w pobliżu Bani i Malińca.

17 października udało się oddziałowi oderwać od ścigających go grup żandarmów i zmylić kierunek pościgu. Gwardziści zaszyli się w głębokich lasach, w kierunku na Biłgoraj.

Wtedy właśnie zapadła decyzja podzielenia oddziału „Grzegorza” na mniejsze grupy. Wpłynęło na to wiele czynników. Za podziałem przemawiał zwłaszcza fakt, że tak liczne zgrupowanie gwardzistów ściągało na siebie dużą uwagę Niemców. Ponadto ugrupowania prawicowe, głównie NSZ, również nie zasypiały gruszek w popiele, prowadząc przeciwko nam coraz szerszą kampanię, dekonspirując nasze oddziały i działaczy, często wskazując ich nawet Niemcom.

Dalsze operowanie w terenie tak dużym oddziałem byłoby poważnym błędem taktycznym. W otwartej walce z wrogiem mieliśmy zawsze nikłe szanse. Przyjęcie takiej walki

równałoby się skazaniu na niechybną śmierć osiemdziesięciu młodych przeważnie ludzi, dla których zaczynało się dopiero życie. Zdawał sobie z tego sprawę i „Grzegorz”, i inni działacze konspiracyjni naszego terenu.

- Nic nowego się nie wymyśli - powiedział mi kiedyś „Ali”. - Istota walki partyzanckiej polega na tym, aby walczyć małymi grupami, spadać na nieprzyjaciela tam, gdzie się tego najmniej spodziewa, zadawać mu najbardziej dotkliwe straty i natychmiast przenosić się w inne miejsce, by zmów go nękać, dezorientować, utrzymywać w ciągłym lęku.

Inną z przyczyn, które zadecydowały

o podziale oddziału „Grzegorza”, były trudności w zaopatrzeniu go w żywność.

Podzielenie oddziału na mniejsze grupki zdezorientowałyby ścigające go w dalszym ciągu jednostki żandarmerii, a to byłoby wówczas najbardziej istotne.

Zgodnie z podjętą decyzją -dwa plutony zostały skierowane na teren powiatu biłgorajskiego, reszta zaś, wraz z „Grzegorzem”, udała się w okolice Annopola w celu zorganizowania nowych oddziałów partyzanckich.

W kilka dni po podziale oddziału „Grzegorza” dowiedzieliśmy się, że Niemcy postanowili przeprowadzić likwidację obozu w Janiszowie koło Annopol nad Wisłą. Obóz ten

zorganizowany został przez gestapo, które do kilkunastu drewnianych baraków spędziło z okolicznych miasteczek młodych, silnych, zdolnych do pracy Żydów. Komendant obozu obiecywał swoim podopiecznym, że byle tylko solidnie pracowali, a na pewno w prowadzonym przez niego obozie przeżyją spokojnie wojnę. Z początku wydawało się, że obietnice te zostaną spełnione, gdyż jedyny poważniejszy powód do narzekania stanowiła ciasnota (w barakach obliczonych na 450 osób zgromadzono aż 1000 więźniów!). Gdzieś od połowy września sytuacja uległa całkowitej zmianie. Zgromadzonym w Janiszowie Żydom odebrano własną odzież

i obuwie, a ubrano ich w drelichy i drewniaki. Głodzonych i wynędzniałych pędzono do ciężkich prac melioracyjnych. Na skutek strasznych warunków w obozie zaczęły szerzyć się choroby, m. in. wybuchła tam epidemia tyfusu. Z więźniami obchodzono się nieludzko:. Komendant i jego pomocnicy po prostu rozstrzeliwali ludzi chorych, niezdolnych do pracy. O mrożących krew w żyłach scenach mordów opowiadali okoliczni mieszkańcy i nieliczni uciekinierzy z obozu. Niemcy rozpoczęli akcję wyniszczającą i zaplanowali zbiorową likwidację zgromadzonych w obozie Żydów, których było w tym czasie - według

uzyskanych przez nas informacji - około sześciuset.

Trzeba było się spieszyć, aby zapobiec zaplanowanej zbrodni.

Oddział „Grzegorza” znajdował się wówczas w Ludmiłowce, odległej od Janiszowa o około czterdzieści kilometrów. Miejscowi działacze lewicowi, m. in. Jan Pytel - „Leon”, a także dwaj Żydzi, którzy uciekli z Janiszowa, by nawiązać kontakt z partyzantką i prosić o pomoc dla maltretowanych w obozie ludzi, zwrócili się do „Grzegorza” z propozycją dokonania akcji na obóz w Janiszowie. Korczyński wyraził zgodę, był jednak zdania, że należy

przeprowadzić uprzednio dokładniejszy wywiad. Zadania tego podjął się Pytel. Udał się do Janiszowa i w ciągu dwóch dni ustalił, że załoga obozu składa się zaledwie z czterech gestapowców i komendanta, którym był młodszy lejtnant Peter Ignor. Załoga uzbrojona była w jeden erkaem, karabiny i granaty. W nocy warty trzymali - należy ze wstydem przyznać - uzbrojeni w karabiny żydowscy policjanci i wysługujący się Niemcom Polacy. Obóz otoczony był podwójnymi zasiekami z drutu kolczastego i słabo oświetlony lampami elektrycznymi. Stała linia telefoniczna łączyła obóz z miejscowym posterunkiem policji granatowej oraz z żandarmerią

niemiecką w Kraśniku. Z góry wiadomo było, że akcję należy zacząć od przecięcia linii telefonicznych, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, a niemieckiej załodze obozu uniemożliwić szybkie uzyskanie odsieczy.

Po powrocie Pytla do Ludmiłówki opracowano plan rozbicia obozu i uwolnienia maltretowanych tam ludzi.

Do akcji wybrano trzydziestu gwardzistów. Zapoznani z planem działania, odbyli oni w pobliskim lesie przeszkolenie, a następnie, w nocy z 6 na 7 listopada, uzbrojeni w karabiny i granaty, wyruszyli pieszo pod dowództwem „Grzegorza” do

Janiszowa. Rolę przewodnika pełnił znający dobrze teren Jan Pytel. Zdając sobie doskonale sprawę z ciężącej na nim odpowiedzialności i pragnąc bezpiecznie przeprowadzić oddział na miejsce akcji, wiódł go lasami i bezdrożami. Mimo dość szybkiego marszu nie zdołano jednak pod osłoną nocy osiągnąć lasu położonego w odległości około dwóch kilometrów od obozu.

Sytuacja była bardzo nieprzyjemna. Gwardziści znaleźli się w terenie zupełnie odkrytym, w każdej chwili mogli zostać zauważeni przez Niemców. Na szczęście Pytel przypomniał sobie znajdujące się w pobliżu kamieniołomy i poprowadził tam oddział. W obszernej

grocie kamieniołomu gwardziści zatrzymali się na tymczasowy postój. Dla bezpieczeństwa wystawiono warty. Niecierpliwie wyczekiwano zmierzchu.

W deszczową, błotnistą noc ludzie „Grzegorza” maszerują w kierunku Janiszowa. Oddział zachowuje - zgodnie z poleceniem dowódcy - całkowite milczenie. Przejęci powagą chwili, partyzanci nie myślą nawet o tym, że bluzy lepią się do ciała. Głupstwo przeziębienie! Teraz najważniejsze, żeby szybko. I żeby ostrożnie. A to nie zawsze można pogodzić.

Już są blisko. Czając się, podchodzą do głównej bramy obozu.

Nie spodziewając się niczego posterunki

hitlerowskie są zupełnie zaskoczone. Rozbrojenie ich następuje błyskawicznie. Skrepowani sznurami leżą sobie spokojnie, podczas gdy oddział otacza budynek komendantury. Sam komendant obozu, Peter Ignor, zostaje wzięty żywcem.

Uwolnieni więźniowie zabierają szybko odzież i pożywienie z magazynów obozowych. Otrzymują instrukcję, dokąd mają się udać. Czas najwyższy! Pilnujący powiązanych wartowników ludzie meldują, że od strony Zaklikowa i Kraśnika jadą samochody. Wiadomo - to ci na likwidację. Na szczęście nie zdążyli.

Strzały, które powtórzyło echo

w okolicznych lasach, oznaczały li tylko niesławny koniec gorliwych pomocników Petera Ignora. Sam komendant obozu, raniony kilkakrotnie bagnetem, kiedy próbował stawić opór, zmarł następnego dnia.

Akcja zakończyła się pełnym sukcesem. Przy okazji oddział rozbił kasę obozową, w której znajdowało się pół miliona złotych, dużo zrabowanej Żydom biżuterii i złota oraz radioodbiornik.

Osobiście w akcji janiszowskiej nie uczestniczyłem. Jako sekretarz Komitetu Powiatowego PPR w Kraśniku przebywałem w Krasnostawskim, zajęty pilnym wówczas zadaniem

organizowania komitetów gminnych.

O zamierzonym odbiciu więźniów wiedziałem już wcześniej, a po dokonaniu akcji otrzymałem dokładne relacje z jej przebiegu.

Udana akcja w Janiszowie była dla Niemców nowym zaskoczeniem. Wiedzieliśmy, że rozwścieczeni doznaną porażką zaostrzą terror i uczynią wszystko, żeby nasz oddział osaczyć i zlikwidować. Daremnie jednak szukaliby go w okolicy Janiszowa. Oddział „Grzegorza” poszedł już w lasy Gizówki, a ludzie kierujący na tym terenie organizacją PPR i oddziałami Gwardii Ludowej zmienili swoje dotychczasowe miejsce pobytu.

W Potoku

Jesień 1942 roku. Okupant, realizując swój plan przekształcenia żyznych obszarów Lubelszczyzny w zasobny spichlerz dla walczącej na wschodzie armii, stale podwyższa nakładane na chłopów kontyngenty zboża, kartofli, mięsa i mleka. Oddać trzeba, ile żądają, co do kilograma, choćby potem samemu przyszło kamienie gryźć i łzami popijać, jak labiedziły kobiety we wsi. Chłopom - i tak niepewnym dnia ani godziny - tylko terminowe wywiązanie się z obowiązkowych dostaw gwarantowało jaki taki spokój i odsuwało,

przynajmniej chwilowo, niebezpieczeństwo zetknięcia się oko w oko z hitlerowcami. Nic więc dziwnego, że zasobna zazwyczaj lubelska wieś teraz, mimo wczesnej pory późniwej, zaczyna odczuwać niedostatek, a do wielu chłopskich chat zagląda już głód.

- Co będzie wiosną? - pytają jedni drugich zatroskani ludzie. - Co będzie, jeśli Niemcy, jak w ubiegłym roku, zażądają na przednówku dodatkowych kontyngentów?

W niełatwej, niekiedy wręcz niebezpiecznej sytuacji znaleźli się w tym czasie także ludzie, którzy - zdawałoby się - jako bezrolni z odstawą

kontyngentów nie mogli mieć nic wspólnego. Wobec stale zwiększanych zadań urząd gminny we wsi Potok Wielki, nie nadążając z robotą, przymusowo, pod ostrymi rygorami, wciągnął na czas ferii wakacyjnych do prac kontyngentowych ogół nauczycielstwa z terenu gminy. Ludzie ci, zżyci z wsią i dzielący z nią pospołu wszystkie niedole, nie pozwolili zamienić się w biernych pomocników gorliwego aparatu administracji niemieckiej.

- Co to ma znaczyć? Ja was nauczyć rozum! Już ja wam naleję inteligencja i bystrość na wasze zakute łby polskie! Nach Reich kamienie łupać! Do lagrów! Tam wy zgnić przy robota! - pienił się

łamaną polszczyzną z wściekłości samowładca gminy, wójt Thielmann, gdy w pedantycznie sporządzonych i przejrzystych dotychczas wykazach ewidencyjnych właścicieli gospodarstw zamiast uzupełnień według jego wskazówek powstawał stopniowo nieopisany bałagan. Nauczycielstwo nie spełniło pokładanych w nim nadziei. Rozwścieczony wójt wyrzucał z siebie setki przekleństw niemieckich i polskich, miotał grubiańskie złorzeczenia, grożąc zbiorowymi aresztowaniami za wyrządzone szkody, przykładał „przekętym, parszywym sabotażystom” pistolet do piersi, gdy przy sprawdzeniu ostatecznej wagi dziennych zsyków ziarna wychodziło na

jaw, że - nie wiadomo jakim sposobem -
braki idą w całe tony.

Spontaniczne były te odruchy
postawionego w przymusowej sytuacji
nauczycielstwa. Chociaż jednak
wypływały z uświadomionej woli oporu
przeciw zorganizowanej grabieży i z
najlepszych intencji, choć szły w parze
z poważnym ryzykiem - żadnych
większych ani trwałych rezultatów dać
nie mogły.

Nieudanych pomocników przed końcem
wakacji zwolniono z zajęć, a po wsi
zaczynały już na dobre krążyć wieści
o przygotowywanych przez
pracowników gminnych dodatkowych
listach wyciskanego przemocą haraczu.

Bezradność chłopów i beznadziejność ich sytuacji pogarsza jeszcze fakt, że niemal w każdej wiosce Niemcy aresztowali już po kilku gospodarzy za nieterminowe wywiązanie się z dostaw. Niektórzy z nich przebywają jeszcze w aresztach gminnych, innych zdążono już odtransportować do więzienia powiatowego, skąd powrót jest trudniejszy, często wręcz niemożliwy.

Dodatkową plagą, która dawała się wówczas szczególnie mocno we znaki, były przymusowe zsyłki do prac w Rzeszy. Miejsce walczących na froncie hitlerowskich żołnierzy musiała zająć niewolnicza armia robotników, ściągniętych z różnych okupowanych krajów Europy, głównie z Polski. Stąd

stale wyrastające zapotrzebowanie na młodych ludzi. Arbeitsamty wyznaczają coraz to nowe kontyngenty ludzkie. Terror wzmagają się z każdym dniem. Ludzi ogarnia potęgający się niemal z godziny na godzinę nastrój rezygnacji i przygnębienia.

- Jak zaspokoić ich apetyty, kiedy i rąk silnych do pracy coraz mniej? - zapytują jedni.

- Tak już widać być musi - powiadają drudzy. - Bo któż nam może pomóc?

Sytuacja wydawała się rzeczywiście beznadziejna]

Nasza organizacja jest jeszcze młoda. Jedyne regularny oddział „Grzegorza” po ostatnich akcjach bojowych - pod

Szwedami, Łysakowem i w Janiszowie - dla zmylenia nieprzyjaciela zaszył się głęboko w lasach lipskich. Wykluczone, by można go było użyć do jakiegokolwiek akcji w ciągu najbliższych dni. Sytuacja jest jednak zbyt poważna. Trzeba coś zrobić, aby nie dopuścić do załamania się społeczeństwa. Wiedzieliśmy, że każda udana akcja przeciw Niemcom powitana zostanie westchnieniem ulgi i nowym błyskiem nadziei, że trzeba ponadto zapobiec w miarę możliwości wywożeniu ludzi z aresztów gminnych do więzień, skąd - jak wiadomo - otwarta jest droga tylko w jednym kierunku: do obozu koncentracyjnego.

W samym tylko areszcie gminnym w Potoku Wielkim przebywa około

dwudziestu chłopów, zakładników z okolicznych wiosek. W tej samej wsi, pod opieką posterunku granatowej policji, mieszka niemiecki komisarz do ściągania kontyngentów, niejaki Majkowski. Wiadomo ponadto, że w gminie potockiej sporządzono już nowe listy na dodatkowe kontyngenty, które mają być w najbliższym czasie nałożone na chłopów.

Zastanawiamy się z „Alim”, co robić.

- Wiesz co - mówi „Ali” - jeżeli teraz nie pokrzyżujemy Niemcom szyków i nie damy chłopom jakiejś choćby najmniejszej nadziei, to w nas po prostu nie uwierzą. Trzeba koniecznie coś zrobić.

- Jak? - pytam. - „Grzegorz” daleko. Sądysz, że zwojujemy coś tymi siłami, jakie mamy do dyspozycji?

- Przy dobrych chęciach każdy z nas wiele może, jeśli potrafi wykorzystać sytuację. A ludzie konspiracji chyba powinni znać tę sztukę. „Jastrząb” w Zaklikowie też przecież działał niemal w pojedynkę...

Przyznaję „Alemu” rację.

- Dobrze by było - mówię - wypuścić chłopów choćby z jednego aresztu.

- Albo przynajmniej zniszczyć nowe listy kontyngentowe, a przy tym nastraszyć trochę niemieckich nadgorliwców. Zawsze by to na pewien przynajmniej czas wstrzymało ściąganie

kontyngentów. A i to coś znaczy.

Dobra myśl i łatwa do wypowiedzenia, trudniej ją jednak zrealizować.

- Kto ma przeprowadzić i czym? - pytam, nie bardzo widząc możliwości natychmiastowego działania.

- A może ty spróbujesz - mówi „Ali”. - Przecież dowódcy mają wyrastać spośród nas, nikt ich nam w prezencje nie przyśle.

- Ano spróbuję - odpowiedziałem jakoś bez zastanowienia.

Wkrótce po tej rozmowie - było to na początku listopada - zebrała się wieczorem wśród pól, na pograniczu Rzeczycy i Zielonki, niewielka grupa

młodych ludzi - nie mających niemal żadnego doświadczenia w wykonywaniu jakichkolwiek akcji bojowych, w dodatku bardzo słabo uzbrojonych. Paru tylko ma broń, reszta przyszła na miejsce zbiórki z siekierami, jeden z kilofem, inny po prostu z żelaznym drążkiem, byle tylko coś mieć w rękę na wszelki wypadek. Są wśród nich Bolesław Nitkiewicz i Feliks Michalczyk - obaj synowie biedniejszych we wsi chłopów. Jest „Bolek” - Jankiel Frajtag z Rzeczycy, syn żydowskiego sklepikarza, któremu Niemcy wymordowali prawie całą rodzinę i który z pozostałą przy życiu matką znajduje się pod ochroną naszej organizacji. Jest jeszcze kilku innych

chłopaków - wszystko synowie chłopów z Rzeczycy i Zielonki.

Jesienny wiatr pędzi ciężkie chmury. Czasem wyrzy spoza nich księżyc, rozjaśniając na chwilę mroki nocy. Wtedy widać wyraźnie uważne, przejęte twarze chłopców, którzy z drągiem w rękę mają oto zamiar rzucić wyzwanie „tysiącletniej i niezwyciężonej”.

Krótką naradą kończy się decyzją: jako synowie chłopów idziemy pomścić krzywdę swoich ojców i rodzin.

Od Potoka dzieli nas zaledwie cztery kilometry. W połowie drogi trzeba przejść niewielki las. Zatrzymujemy się tam na chwilę, by ustalić prosty plan działania. Ponieważ grupa jest mała,

musimy działać całością. Na pierwszy plan pójdzie areszt.

Maszerujemy z zachowaniem wszystkich środków ostrożności. Zbliżywszy się do Potoka, wysyłam dwóch ludzi uzbrojonych w jeden granat i karabin, z zadaniem wypłoszenia z pobliskiego posterunku granatowych policjantów. Wiedzieliśmy, że uciekną, my również nie chcieliśmy z nimi walczyć.

Poszli. Czekamy w napięciu. Nagle ciszę przerywa wybuch granatu. Jedyne, jaki mieliśmy. To „Bolek” - Jankiel Frajtag nie wytrzymał i rzucił go pod drzwiami posterunku granatowych.

„Młokos” - pomyślałem - nie rozumiem, że szkoda nam każdego zmarnowanego

naboju, a co dopiero takiego „skarbu” jak granat. Ale za to z policją będziemy mieli już spokój.

Światła na posterunku pogasły, granatowi jakby zapadli się w ziemię.

Z resztą grupy podchodzę do aresztu. Jest zamknięty. Dozorca, zorientowawszy się po wybuchu, że coś jest nie w porządku, przerażony czmychnął gdzieś z kluczami. Trzeba go szukać. Akcja przedłuża się. Na szczęście z pomocą przychodzą miejscowi ludzie. Przyprawdzają drżącego ze strachu dozorcę. Kluczy jednak nie ma, mówi, że gdzieś się mu zapodziały. Widać, że kręci, boi się. Chcąc nie chcąc musimy sięgnąć po

bardziej przekonujące argumenty. Pomogło. Klucze znalazły się błyskawicznie.

Otwieramy drzwi aresztu gminnego. Wchodzimy do środka. Nieznośny fetor omal nie zwała z nóg. W ciasnej, maleńkiej celi gnieździ się chyba dwudziestu ludzi. Dosłownie jeden na drugim. Są całkowicie zaskoczeni i przestraszeni.

Niektórzy poznają nas. Orientują się, że jesteśmy z GL. W oczach błyszczy im radość. Nie wiedzą, jak nam dziękować.

- Teraz nie pora - mówię. - Uciekajcie stąd czym prędzej, póki nie podniosą alarmu.

Wychodzą z początku nieśmiało

i ostrożnie, widać nie bardzo jeszcze wierzą w to, co się dzieje.

Nie opodal kościoła zatrzymują się.

- A wy co? Na Niemców będziecie czekać? - pytam zdumiony.

Milczą. Pochrzakując przestępują z nogi na nogę.

- A może by tak z wami teraz - mówi wreszcie któryś, skrobiąc się z zafrasowaniem w głowę. - Bo to przecież do chałupy już człowiekowi nijak...

Stoją markotni, niezdecydowani. Czuję wlepione w siebie spojrzenia. Widać, że chwilową radość po opuszczeniu aresztu zaćmiła znowu jakaś troska i niepokój.

- Pójdziemy do chałupy, panie, to tam wiele nie nasiedzimy - wtrąca drugi. - Zabiorą znowu, a wtedy to już chyba będzie i koniec...

Przejęty rolą dowódcy i pochłonięty bez reszty samą akcją, nie pomyślałem jakoś o jej następstwach. Dopiero teraz zdaję sobie w pełni sprawę z całej grozy położenia, w jakim znaleźli się uwolnieni przez nas ludzie. Dotychczas oskarżano ich tylko o niewywiązanie się z dostaw kontyngentowych, teraz sprawa byłaby gardłowa. Aresztowani na nowo - a hitlerowcy z pewnością dołożą wszelkich starań, aby nastąpiło to jak najszybciej - traktowani by byli jak niebezpieczni bandyci współpracujący z partyzantką.

Rozumiałem ich rozterkę. Byłem zły na siebie, że planując akcję nie przemyślałem wszystkiego dokładnie. Przez dłuższą chwilę biłem się z myślami nie wiedząc, co ludziom radzić. Przypomniał mi się Jan Płowaś - „Luby”. Uwolniony niedawno z aresztu gminnego w Zaklikowie, nie mając możliwości powrotu do domu, poszedł prosto do lasu i zasilił mały jeszcze wówczas liczebny oddział swojego wybawcy - „Jastrzębia”.

Już wiedziałem.

- Jak uważacie - zwróciłem się do zbitej trwożnie gromadki - czy lepiej być partyzantem i z bronią w rękę walczyć przeciwko okupantowi - czy też lepiej

siedzieć i czekać beczynnie, aż przyjdą Szwaby, wyciągną z chałupy i jak bezbronne barany powloką na rzeź?

Ożywili się. Zaczęli mówić jeden przez drugiego:

- A jakże, panie, my by chcieli do partyzantów...

- A nasze rodziny?

- Ale przecież jnie mamy broni...

- Kto będzie nami dowodził?

Postanowiłem młodych wysłać od razu do oddziału „Grzegorza”, starszych włączyć do grup wypadowych. Nakazuję im jak najszybciej odwiedzić rodziny i nad ranem pożegnać je.

Tych, którzy idą do „Grzegorza”, ma odprowadzić następnej nocy „Bolek” - Frajtag. Zbiórka nazajutrz wieczorem na cmentarzu. Reszta będzie się ukrywać w sąsiednich wioskach pod naszą opieką.

- Uzbierać was będziemy stopniowo - mówię im.

- O broń niełatwo. Trzeba ją zdobywać na wrogu.

Odchodzą różnie. Patrzę za nimi i uświadamiam sobie nagle, że teraz już przecież ponosimy za tych ludzi w jakiś sposób odpowiedzialność.

Z zamyślenia wyrywa mnie głos Bolka Nitkiewicza.

- Teraz mamy w planie gminę - przypomina.

Idziemy.

Okna i drzwi urzędu, starannie pozamykane, ustępują pod uderzeniami chłopskich siekier. Wchodzimy.

W środku idealny porządek. Dodatkowe listy kontyngentowe leżą w szafie, dla każdej wioski w osobnej teczce. Przeglądamy ewidencję ludzi, ziemi oraz spis bydła. Są również nie wypełnione kennkarty, niewielka skrzyneczka kasowa, dwie maszyny do pisania oraz powielacz.

Wszystkie papiery chłopcy wynoszą i podpalają na podwórku - szkoda przecież budynku. Kasę, maszyny do

pisania i różne pieczętki zabieramy ze sobą. Bardzo miały się później przydać do wystawiania chłopom zaświadczeń o oddaniu kontyngentu.

Języki ognia trawiły dokumenty, na podstawie których okupant miał planowo i legalnie okradać nasze rodziny. Stos przygasał powoli. Co chwila jednak buchał na nowo jasnym płomieniem - oświetlając zaczerwienione, podniecone twarze chłopów. Są dokładni, przeszukują wszystkie zakamarki; w szufladach biurka i w szafach nie zostawiają ani jednej kartki. Wszystko zmienia się przed budynkiem w kupkę rozżarzonego popiołu.

- Tylko kartofle piec - zauważył ktoś.

Ogniska z pieczonymi kartoflami na jesiennych polach. Szczenięce dobre lata... Zamyślam się na chwilę. Jest mi jakoś rzewnie i tęskno. Tylko przez ułamek minuty. Nie czas na zadumę.

U najbliższego sąsiada bierzemy konną podwozę, ładujemy maszyny do pisania, powielacz i drogą okrężną, żeby zmylić ślady, odjeżdżamy w kierunku lasu. Po drodze składamy jeszcze tylko wizytę panu komisarzowi Majkowskiemu, temu od kontyngentów.

Drzwi otwiera nam gospodarz domu, u którego Majkowski odnajmuje pokój.

- Gdzie komisarz? - pytamy.

Chłop jest najwyraźniej zaskoczony nocną wizytą.

- Ależ panowie, pan komisarz teraz nie przyjmuje - mówi zmieszany; widok karabinów do reszty odbiera mu odwagę, drży ze strachu, zaczyna się jąkać.

- Nie bójcie się, gospodarzu - uspokaja „Bolek”. - Wskażcie nam tylko drzwi do niego. Umówiliśmy się z nim przecież, powinien na nas czekać.

Gospodarz, coraz bardziej wystraszony, nie stawia oporu. Oświetlamy latarkami wskazane drzwi i wchodzimy bez pukania.

Jest. Śpi sobie w najlepsze na kanapie.

Rozglądam się po pokoju. Typowa kawalerka, urządzona z miejską i dostatnio. Wokół unosi się zapach kolońskiej wody. Toaleta zastawiona flaszeczkami, słoikami kremów, setką przeróżnych drobiazgów.

„Bolek” oświetla latarką głowę śpiącego, ten jednak nie zamierza bynajmniej rezygnować ze smacznego snu.

- Jak, chłopcy, budzimy go, czy zaczekamy do rana, aż się wyśpi? - zażartowałem.

- Wstańże, ty, sukinsynu - zawołał jakby w odpowiedzi „Bolek”, zrywając ze śpiącego kołdrę.

Wyrwany ze snu i nie rozbudzony

jeszcze całkiem Majkowski mruczy pod nosem jakieś przekleństwa. Otrzeźwia go na dobre dopiero kolba karabinu. W przerażeniu otwiera szeroko oczy, coraz szerzej. Nagle pojął. Poderwał się jak zając spłoszony we śnie. Na próżno. Ze wszystkich stron osaczają go wrogie sylwetki.

- Ależ panowie, ja przecież tyle dobrego...

- Dla Niemców, łajdaku, nie dla nas robiłeś dobrze - krzyczy „Bolek”, poprawiając mu kolbę karabinu.

Studzę zapal bojowy naszego towarzysza. „Wystarczy - myślę - jeśli go tym razem solidnie nastraszymy. Powinno pomóc”.

- Jak wam nie wstyd pomagać wrogowi w ograbianiu własnego narodu? - zwracam się do Majkowskiego. Radzę zapamiętać sobie: naród polski potrafi rozprawić się ze wszystkimi zdrajcami. To ostatnie ostrzeżenie. Następnym argumentem może być tylko kula w łeb!

Komisarz klęczy w bieliźnie na podłodze.

- Panowie, już więcej nie będę - skomli jak zbity pies.

Z trudem odciągam od niego „Bolka”. Po wyjściu robi mi wymówki, że jestem za miękki dla takiego drania.

W lesie zwalniamy podwoję z gospodarzem. Chłopu nakazujemy milczenie, pouczając go przy tym, co ma

mówić Niemcom, gdyby był przez nich badany.

Ukrywszy w lesie cenną zdobycz, wracamy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Chłopcy są zachwyceni swoim pierwszym sukcesem. Nie mają czasu myśleć o zmęczeniu, gotowi są pójść choćby natychmiast na nową akcję. Ktoś w tym radosnym nastroju zanucił, reszta podchwyciła i powędrowała z nami przez pola nasza gwardyjska pieśń:

Więc zarepetuj broń
I w serce wroga mierz.
Dudni nasz krok, milionów krok,
Brzmi partyzancki śpiew.

Gdy padniesz w polu hen,
Drzewa zaszumią w takt,
Jak to szczęśliwie i jak to prosto
Za wolną Polskę umierać tak.

Więc, Gwardio, naprzód marsz!
Świat płonie wokół nas
I zadrży wróg, i zginie wróg
Z ręki ludowych mas!

Odwrócony porządek

Na szczęśliwy pomysł w rozwiązaniu
jakiegoś trudnego problemu nic chyba
nie potrafi człowieka naprowadzić
lepiej niż twarda konieczność.

A trudnych problemów mieliśmy w owym czasie bardzo wiele. Jednym z nich - obok ciągle niedostatecznego wyposażenia w broń - był w naszej wojskowej organizacji chroniczny brak zawodowej i dobrze przygotowanej kadry. O ile na niższym szczeblu z naszych młodych nieraz gwardzistów szybko wyrastali w walce dowódcy plutonów, kompanii, a nawet samodzielnych oddziałów, o tyle na wyższym szczeblu dowodzenia - szczególnie w sztabach brygad, okręgów i obwodów - problemu tego w dostatecznym stopniu nie udało nam się nigdy rozwiązać. Sprawa ta absorbowwała wszystkich. Nic dziwnego więc, że tak wielką wagę przykładałem

do informacji, jaką zdobyłem w styczniu 1943 roku podczas postoju wraz z grupą „Przepiórki”, w Karpiówce.

Nasi ludzie poinformowali mnie wówczas, że u jednego z gospodarzy tejże wioski, niejakiego Antoniego Czulińskiego, w 1939 roku rozbroiło się kilku oficerów polskich, pozostawiając broń, którą Czuliński - według wszelkiego prawdopodobieństwa - przechowuje gdzieś w ukryciu. Z informacji wynikało również, że u gospodarza tego przebywa jakiś inteligentny osobnik, prawdopodobnie jeden ze wspomnianych oficerów.

Moje żywe zainteresowanie tą sprawą było zatem w pełni uzasadnione.

Postanowiliśmy wyciągnąć z niej dla siebie możliwie największą korzyść.

Jest noc. Podchodzimy cichaczem pod chałupę Czulińskiego i jak najostrożniej pukamy w okno. Nie chcemy go przestraszyć. Zależy nam, by nie zrazić go i wytworzyć podczas spotkania atmosferę sprzyjającą realizacji naszych zamierzeń.

Początkowo na pukanie nasze nikt nie odpowiada.

Dopiero po dłuższej chwili w izbie następuje poruszenie i jakiś zaspany głos pyta przez okno:

- Kto tam?

- Polscy partyzanci - odpowiadamy. -

Otwórzcie, Czuliński, mamy do was sprawę.

W chałupie zapala się światło. Gospodarz, w narzuconej burce i w starych chodakach, mrużąc pod nosem coś, co nie zdradzało bynajmniej specjalnego ukontentowania, otwiera nam drzwi i cofa się szybko do izby.

- Połóżcie się, Czuliński, z powrotem do łóżka - zwracam się do chłopca, chcąc już na występie usposobić go do nas możliwie najlepiej. - Zimno tu u was. Chcemy z wami trochę dłużej porozmawiać. Moglibyście się jeszcze przeziębnić...

Czuliński, aczkolwiek niechętnie i niezbyt pewnie, poszedł jednak za

moją radą - zdjął burkę, zrzucił chodaki i wlaź pod pierzynę. Patrzył na nas podejrzliwie i z ciekawością, w oczekiwaniu, co dalej nastąpi.

Siadając na krawędzi łóżka, na którym leżał Czuliński, zastanawiałem się, jakich by tu słów użyć, aby jak najszybciej trafić do jego serca. Jakkolwiek mieliśmy na tym terenie, zwłaszcza w Karpiówce, bardzo licznych przyjaciół, zdarzali się i tacy, którzy ciągle jeszcze nie wykazywali pełnego zrozumienia dla potrzeb naszej organizacji.

Znałem chłopską psychikę, wiedziałem, że jak się chłop raz zatnie, nie pomogą już żadne argumenty słowne, a innych za

wszelką cenę chcieliśmy uniknąć.

- Czy wiecie, Czuliński, co my za jedni?

- zacząłem.

- Nie, skądże - mruknął nieufnie.

- A czy słyszeliście coś o partyzantach ludowych, o gwardzistach?

Czuliński wzruszył ramionami, nie kwapił się do szczerzej rozmowy.

Przysunąłem się do niego bliżej i spojrzałem mu w oczy.

- Widzicie - rzekłem - chcemy z wami szczerze porozmawiać, a wy jakoś tak nieufnie... Udajecie, żeście nie słyszeli nic o partyzantach. Przeciek w Karpiówce zna ich każde dziecko, w waszym domu też chyba niejeden raz

byli. Ale nie o tym, Czuliński, chcę z wami mówić.

Umilkłem na chwilę. Gospodarz patrzył na pozór obojętnie, widać było jednak, że rad by dowiedzieć się wreszcie, jaki jest cel tej niespodziewanej nocnej wizyty.

- My wiemy dobrze - podjąłem po chwili - że u was w 1939 roku zostawiło broń kilku oficerów i że wy tę broń przechowujecie. Nie przychodzilibyśmy tutaj, ale, widzicie, jest nam ona teraz bardzo potrzebna. Chcemy, abyście nam ją oddali sami, dobrowolnie.

- W imię Ojca i Syna! - Czuliński przeżegnał się z dobrze udanym zdziwieniem. - A toż to mnie, panowie,

musiała fałszywie oskarżyć jakaś swołocz! Jak Bóg na niebie nigdy czegoś takiego nie widziałem i o żadnej broni nie wiem.

Usiadł na łóżku, drapiąc się po skudłaczonej głowie. Widać było, że jest mocno wystraszony i postanowił nie przyznać się do posiadania broni.

- No cóż - przerwałem przedłużające się milczenie. - My tak łatwo nie mamy zwyczaju rezygnować. Nie pójdziemy stąd, dopóki nam broni nie wydacie lub dopóki jej sami nie znajdziemy. A ty - zwróciłem się do „Przepiórki”, dowódcy grupy - zawołaj chłopaków do chałupy, niech nie marzną na dworze.

Po chwili do izby weszło kilku

gwardzistów z karabinami, reszta pozostała na dworze.

Chłop siedział na łóżku mocno zafrasowany. Wiedziałem, że zabiłem mu w głowę porządnego klina. Czekałem, jak się dalej zachowa.

- Panowie, prawdę mówię, jak na spowiedzi, że o nijakiej broni nic nie wiem. Dać nie dam, bo i skąd? - mówił przysięgając kolejno na żonę, dzieci i wszystkich świętych, że mówi prawdę.

Gwałtowny potok jego słów został znieczeka przerwany skrzypnięciem drzwi. W drzwiach wiodących do małego przybocznego alkierza stał, w białym tylko, wysoki i szczupły, młody człowiek. Był w moim mniej

więcej wieku. Miał wygląd mocno wyrosniętego wiejskiego dryblasa, tylko twarz o delikatnych rysach i spojrzenie nie pasowały jakoś do całej sylwetki i zdradzały niemiejskowe pochodzenie. Był to lokator Czulińskiego.

Patrzyliśmy z zainteresowaniem, ciekawi, co też ma nam do powiedzenia. On tymczasem nie wyglądał na zaskoczonego. W postawie jego uderzał absolutny spokój.

- Trzeba oddać tym panom broń, Antoni
- powiedział spojrzawszy na Czulińskiego.

Gospodarz jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zerwał się natychmiast z łóżka.

- To dobrze, panie Heńku, to dobrze, pan przecie najlepiej wie - mówił ubierając się szybko.

Młody człowiek o sympatycznym wyglądzie budził teraz we mnie zainteresowanie nie mniejsze niż sprawa broni. A ponieważ sam zaproponował mi rozmowę, wyprawilem „Przepiórkę” i innych wraz z Czulińskim do skrytki po broń, sam natomiast pozostałem z nieznanym w mieszkaniu, ciekawy, czego sobie ode mnie może życzyć.

- Niechże się pan trochę ubierze - odezwałem się, wchodząc za nim do małego alkierza, w którym mieszkał.

Lokum to sprawiało raczej wrażenie małej komórki niż pokoju. Do

pomieszczenia mieszkalnego upodobniało je tylko małe, dające niewiele światła okienko oraz stare drewniane łóżko.

Nieznajomy, ubierając się, przyglądał mi się również badawczo. Następnie wydobył owinięte w szmatę jakieś dokumenty i podając mi je oznajmił, że jest zawodowym oficerem z poznańskiego 57 pułku piechoty w stopniu porucznika i że nazywa się Jan Wyderkowski. U Czulińskiego ukrywa się po prostu przed Niemcami pod przybranym nazwiskiem Henryk Kozyra. Żeby pobyt jego tutaj był czymś usprawiedliwiony - oficjalnie wiadomo, że Czuliński ma parobka. „Parobek” ten zresztą rzeczywiście dużo pomagał mu

w gospodarskich zajęciach.

Przejrzawszy dokumenty, zwróciłem je swemu nowemu znajomemu.

- Co ma pan zamiar dalej robić? - spytałem.

Odpowiedź była zgoła nieoczekiwana.

- Wiem, kim panowie jesteście - powiedział. - Chcę pójść z wami do lasu, aby pełnić dalej swój żołnierski obowiązek wobec ojczyzny. Gotów jestem zrobić to natychmiast i jeżeli pan pozwoli, to zaraz przygotuję się do drogi.

Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Nie byłem też przygotowany na udzielenie mu decydującej odpowiedzi.

„Jedno z dwojga - pomyślałem sobie - albo jakiś wytrawny konfident niemiecki, nasłany specjalnie przez hitlerowców na Karpiówkę, o której musieli już przecież coś niecoś wiedzieć, albo rzeczywiście jakiś porządny człowiek, patriota, który szczerze pragnie przyjść do nas, widząc w tym jedyną realną możliwość walki z okupantem”.

Za dużo w tym czasie było jednak wątpliwości, aby od razu i bez zastrzeżeń uwierzyć w tę drugą ewentualność. Był to na naszym terenie bodajże pierwszy znany mi wypadek, żeby do naszych szeregów ochotniczo zgłosił się zawodowy oficer. Dlatego mimo całej sympatii, jaką od pierwszej

chwili wzbudził we mnie nowy znajomy, musiałem nakazać sobie ostrożność.

- Niestety - rzekłem więc. - Mimo całej wdzięczności za przysługę, jaką nam pan wyświadczył, przekonując swego gospodarza o konieczności oddania nam broni, nie będę tak od razu mógł panu dać pozytywnej odpowiedzi. Nie znaczy to bynajmniej, że ma pan zamkniętą do nas drogę, trzeba tylko trochę poczekać. Organizacja nasza na pewno będzie w stanie przyjąć każdego dobrego Polaka, który zechce walczyć z wrogiem.

Rozmówca mój miał minę wyraźnie zawiedzioną.

- Proszę się nie niecierpliwić -

próbowałem go pocieszyć. - To nie potrwa długo. Musimy mieć jednak pewność, że decyzja pana nie zrodziła się pod wpływem chwili, lecz jest przemyślana, dojrzała, że wstępuje pan w nasze szeregi znając dobrze program organizacji i jej cele.

W tym momencie dane mi było przeżyć drugie podczas tej rozmowy miłe zaskoczenie. Okazało się bowiem, że Wyderkowski orientował się w naszym programie, znał nawet niektórych miejscowych działaczy. Można było to jednak przyjąć - wciąż jeszcze starałem się zachować maksymalną ostrożność - zarówno za dobrą, jak i za złą monetę. Wiedzieliśmy, że hitlerowcy, chcąc nas zlikwidować, bardzo dokładnie badali

nasze zasady organizacyjne, a w celu „rozpracowania” naszych terenowych organizacji uciekali się nieraz do, bardzo chytrych, wyrafinowanych sztuczek.

Rozmowę naszą przerwało pojawienie się w izbie gospodarza z „Przepiórką”. Przynieśli oni trzy krótkie pistolety z amunicją.

Zbieraliśmy się do odejścia. Wyderkowski patrzył na mnie pytająco. Nie, nie mogłem oferty jego przyjąć od razu, choć - przyznaję - miałem moment wahania. Podziękowałem mu więc tylko za pomoc okazaną nam w przełamaniu oporu Czulińskiego i za gotowość pójścia z nami, przyrzekając

jednocześnie, że będę o nim pamiętał. Następnie, zostawiwszy naszego ochotnika u dotychczasowego gospodarza, poszliśmy wraz z grupą „Przepiórki” naszą partyzancką drogą, zgodnie z poprzednim planem. Byliśmy - rzecz w owym czasie niebagatelna - bogatsi w uzbrojenie. Stwarzało to możliwości przyjęcia do oddziałów nowych ochotników.

O obietnicy danej Wyderkowskiemu nie zapomniałem. Wkrótce potem w sztabie okręgu złożyłem dokładną relację ze spotkania z nim. Mówiłem o udzielonej nam przez niego pomocy w zdobyciu broni i o ofercie, która wydała mi się szczerą.

Koledzy z okręgu mieli jednak zbyt wiele przykładów innej postawy zawodowych oficerów wobec naszej organizacji.

- Nie spiesz ty się tak z zabranieniem tego twojego ochotnika do oddziału - mówili z rezerwą. - I uważaj, żeby on ciebie przypadkiem nie zabrał, i to w sposób, który może ci najmniej odpowiadać.

Muszę przyznać, że opinie te w znacznym stopniu ostudziły moje dobre chęci w stosunku do Wyderkowskiego. Mijały tygodnie, a ja - pomny przestrogi kolegów - poleciłem naszym ludziom z Karpiówki uważać trochę na lokatora Czulińskiego.

W kwietniu komendant okręgu, Tadeusz

Szymański - „Lis”, zatrzymał się w marszu z niewielkim oddziałem na odpoczynek w Karpiówce. Trzeba było zziębniętych ludzi nakarmić gorącą strawą, zmienić mocno już brudną i zawszoną bieliznę, poreperować niektórym partyzantom opadające z nóg buty, a przede wszystkim - dać ludziom chwilę wytchnienia.

Kiedy Wyderkowski dowiedział się o postoju oddziału we wsi, nie pytając nikogo o pozwolenie wziął swój żołnierski plecak, który mu pozostał w spadku po 1939 roku, i zameldował się u „Lisa”, oświadczając krótko, że jako żołnierz nie może siedzieć beczynnie wtedy, kiedy za broń chwytają nawet ludzie nie umiejący nią

wprawnie władać.

„Lis” wiedział już o Wyderkowskim z mojego opowiadania. Wahał się jeszcze trochę, ale tym razem nie na wiele to się zdało. Wyderkowski uparł się. Oznajmił, że nigdzie już z oddziału nie pójdzie. Przystawał na wszystkie warunki. Niech się nim opiekują, jak chcą, niech, jak chcą, pilnują, byle tylko zabrali ze sobą.

Dziwne są życia koleje. Ochotnik Wyderkowski, który przyjął pseudonim „Grab”, został przydzielony jako amunicyjny do pomocy jednemu z partyzantów i obok dwumetrowej długości starego francuskiego lebela, stanowiącego jego pierwsze uzbrojenie,

nosił zapasowe kasety z amunicją do erkaemu. Prawa wojny stwarzają niekiedy i takie sytuacje, odwracają porządek rzeczy. Zawodowy oficer 57 pułku piechoty, porucznik Jan Wyderkowski, zostaje amunicyjnym prostego szeregowca Gwardii Ludowej, który staje się na jakiś czas jego przełożonym.

Wyderkowski właściwie jednak zrozumiał nasze intencje. Swą głęboko patriotyczną i pełną poświęcenia postawą szybko przekonał nas o szczerości swoich poczynań. Jako oficer znający się na organizacji i wyszkoleniu wojska, dość szybko awansuje, dochodząc wreszcie - w stopniu majora - do stanowiska szefa

sztabu okręgu, a potem obwodu. Widząc jego zapał do walki, gotowość do wykonywania każdego zadania, a nade wszystko jego wiedzę wojskową, szybko nabraliśmy do niego zaufania i w jakiś czas później przyjęliśmy go nawet do szeregów Polskiej Partii Robotniczej. Po wyzwoleniu Lubelszczyzny w 1944 roku wstąpił Jan Wyderkowski w stopniu podpułkownika w szeregi odrodzonego Wojska Polskiego, by dalej walczyć i brać udział w ostatecznym rozgromieniu wroga.

Ocaleni

W dniu 9 października 1942 roku szef sztabu oddziału GL im. Tadeusza Kościuszki powiadomiony został, że Niemcy zamierzają rozstrzelać ludzi osadzonych w więzieniu kraśnickim. Sprawy nie można było zbagatelizować, zwłaszcza że ostatnie obławy w lasach lipskich i łapanki dokonywane w okolicznych wsiach sprawiły, że budynek więzienia w Kraśniku bynajmniej nie świecił pustkami.

W oddziale „Grzegorza” nie zastanawiano się długo - postanowiono odbić uwięzionych. Pozostawało tylko zasadnicze pytanie - jak? Kraśnik był stosunkowo dużym garnizonem niemieckim, stacjonowało w nim czterystu pięćdziesięciu żandarmów.

Jeśli przy tym uwzględnić dość liczną załogę policyjną, odległego o parę kilometrów Budzyna i inne pomniejsze posterunki najbliższych miejscowości, siły nieprzyjaciela sięgały tu sześciuset osób, i to - dodajmy - osób dobrze uzbrojonych, wyposażonych w broń maszynową i granatniki. Oddział GL im. Tadeusza Kościuszki liczył przed akcją... trzydziestu pięciu gwardzistów^[9]. Jego całe wyposażenie - oprócz karabinów - stanowił... jeden granat zaczepny.

Niejedni w tej sytuacji uważali planowaną akcję za pomysł wręcz szalony. Nawet ludziom, do których należała w tej sprawie decyzja, również rzecz nie wydawała się prosta.

Wiedzieli jednak, co robią. Zdawali sobie sprawę, że wobec tak znacznej dysproporcji sił należy uciec się do jakiegoś chytrego sposobu.

Dowódca oddziału GL, Grzegorz Korczyński, szybko wpadł na szczęśliwy pomysł, ba - postanowił nawet upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Jeden ze swych plutonów zaplanował wysłać do Trzydnika. Gwardziści zniszczą tam urząd gminy i pocztę, zdemolują i rozpedzą posterunek policji, a zarazem - to było najważniejsze - poderwą na nogi siły niemieckie stacjonujące w pobliskim Kraśniku. W chwili gdy główne siły z Kraśnika, zaalarmowane akcją w Trzydniku, udadzą się na obławę, „Grzegorz”

z pozostałą częścią swojego oddziału dokona tego, co było w tym wypadku najistotniejsze - wypuści na wolność więźniów - a sam budynek więzienny spali.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Późnym wieczorem wyznaczeni ludzie z oddziału „Grzegorza” zniszczyli gminę i pocztę w Trzydniku, wymierzając przy okazji sprawiedliwość sołtysowi, który współpracował z Niemcami i znany był z bezwzględnego stosunku do miejscowej ludności.

Zaalarmowani tym napadem hitlerowcy znaczną siłą udali się na miejsce akcji partyzanckiej. Wtedy właśnie na przedmieście Kraśnika, od strony łąk,

gdzie znajdowało się więzienie, wkroczyła reszta oddziału „Grzegorza”. Niemcy kwaterowali na szczęście w innej stronie miasta.

Jedna sekcja zajęła stanowiska na głównej ulicy z zadaniem powstrzymania, gdyby zaszła potrzeba, nieprzyjaciela. Trzech gwardzistów położyło się w bocznej ulicy, aby - w razie konieczności - prowadzić ogień z flanki. Główna siła oddziału, ubezpieczana przez posuwających się w odległości około dwustu metrów od niej gwardzistów, uderzyła pod dowództwem „Grzegorza” na więzienie. Było ich wszystkich w grupie uderzeniowej trzynastu.

Strażnicy więzienni, zwietrywszy, co się święci, uciekli. Nie ulegało wątpliwości, że natychmiast zaalarmują dowództwo niemieckie w drugim końcu miasta. Należało działać szybko i zdecydowanie. Niestety, z klucznikiem - jedynym człowiekiem z personelu więziennego, któremu nie udało się umknąć - sprawa była niełatwa. Grał na zwłokę, kręcił, tłumaczył się, że kluczy nie ma, że mu zabrano. Żadne słowa do niego nie trafiały, a że do stracenia nie było już ani chwili, trzeba było sięgnąć po inne argumenty. W rezultacie wystraszony klucznik dał klucz od bramy. W tym samym momencie na ulicach miasta rozległy się pierwsze strzały. To gwardziści usiłowali

powstrzymać zdążających w tę stronę Niemców. Pozostały dosłownie sekundy, za chwilę mogło się okazać, że jest za późno.

Więźniowie, orientując się w sytuacji, krzyczeli z niecierpliwości i nerwowego napięcia. Wreszcie brama została otwarta, ale cele zamknięte. I znów przeprawa z klucznikiem. Słyszając walkę w mieście, na nowo kręcił, grał na zwłokę. Dopiero poturbowany solidnie przez któregoś z gwardzistów oddał klucze. Z zewnątrz napływa meldunek, że walka na ulicach przybiera na sile, jest już zabity, są ranni. Napór Niemców powstrzymuje już tylko ośmiu gwardzistów. Słysząc wybuchy granatów i serie kaemów. Do walki

włączają się gwardziści zajmujący dotychczas pozycje w bocznej ulicy. Aż dziw, że to mimo wszystko trwa tak długo, przecież jest ich tylko garstka.

Ludzie z otwartych cel wychodzą na wpół żywi. Chwieją się na nogach, są nieludzko skatowani. Ostatnie drzwi, do których nie było klucza, gwardziści wyważyli siłą. Wychodzą ostatni więźniowie. Oddział wycofuje się na szosę, tu jednak napotyka przeszkodę - na szosie stoją samochody, które przywiozły posiłki dla Niemców. Partyzanci ostrzeliwując się skręcają w bok. Osaczeni, znajdują jednak drogę ratunku. Jest nią ścieżka wiodąca w las. Tam Niemcy już nie wejdą.

Akcja udała się. Stracono wprawdzie dwóch gwardzistów (w trakcie wycofywania się umarł jeden z rannych), ocalono jednak życie czterdziestu pięciu uwięzionym ludziom. Wkrótce do oddziału dołączył pluton, który wykonał zadanie w Trzydniu. Przyniósł on ze sobą także cenną zdobycz - powielacz, kennkarty i pieczętki gminne.

Trudno opisać radość, jaką tak szczęśliwie zakończona akcja wywołała wśród gwardzistów. Była ona zarazem dobrą lekcją partyzanckiej taktyki, która wykluwała się na Lubelszczyźnie i w przyszłości miała się okazać bardzo skuteczną formą walki ze znacznie przeważającymi siłami okupanta. Akcja na więzienie w Kraśniku stanowiła

przykład udanego manewru dwoma oddziałami jednocześnie przeciwko znacznym siłom nieprzyjaciela. Plan „Grzegorza” powiódł się całkowicie. Wróg łatwiej, niżby można było sądzić, dał się wywieść w pole i został zupełnie dezorientowany tak co do sił, jak i kierunku głównego uderzenia gwardzistów.

Wrogowie

Akcje dokonywane przez Gwardię Ludową w czasie, kiedy inne ugrupowania konspiracyjne - zwłaszcza NSZ i ZWZ - wykazywały niemal zupełną bierność, odbiły się głośnym

echem w terenie, wzmacniając ogromnie autorytet naszej organizacji. Umożliwiło to jej szybki wzrost i rozwój, głównie w tych powiatach, gdzie znane były akcje bojowe GL.

Powiaty: kraśnicki, puławski, włodawski i lubartowski pokrywały się coraz gęstszą siatką komitetów PPR, już nie tylko powiatowych, ale także gminnych i gromadzkich. Tereny te stały się kolebką ruchu partyzanckiego na Lubelszczyźnie. Tutaj właśnie powstał później słynny okręg GL nr 5, który do końca okupacji był podstawową bazą bojową całej Lubelszczyzny.

Pomimo wielkiej ostrożności, jaką staraliśmy się zachować po ostatnich

akcjach, nie udało się nam uniknąć strat. Aresztowany został cały komitet miejski w Lublinie, złożony z kilku najlepszych naszych aktywistów.

Między innymi aresztowani zostali: dowódca okręgu lubelskiego GL, Paweł Dąbek, oraz dowódca GL na powiat lubelski, tow. Stanisław Stec.

Ludzie ci, mimo okropnych tortur, jakim zostali poddani na Zamku w Lublinie, nie zdradzili naszych tajemnic organizacyjnych. Więcej - Paweł Dąbek, po przeniesieniu go na Majdanek, zdołał nawiązać kontakt z organizacją, prowadząc jednocześnie pracę organizacyjną wśród więźniów i przygotowując wraz z nimi ucieczkę.

Poprzez Ryszarda Postowicza - „Murzyna” i Bolesława Drwala - „Łukasza” Paweł Dąbek przedstawił szczegółowy plan rozbicia obozu przy współudziale wszystkich organizacji konspiracyjnych. Plan powstał w kręgu działaczy Związku „Orzeł”, założonego na terenie obozu, w którym oprócz Pawła Dąbka najaktywniejsi byli: Kazimierz Maliński i Mieczysław Osiński. Śmiały projekt opanowania obozu przy pomocy z zewnątrz nie doszedł do skutku, gdyż partyzanci walczyli wówczas z wielkimi siłami niemieckimi w czasie zakrojonych na wielką skalę akcji pacyfikacyjnych. W tej sytuacji działacze Związku „Orzeł”, mając możliwości

kontaktowania się z więźniami na innych polach obozu na Majdanku i w jego filii przy ulicy Lipowej, przygotowali plany uciezek zespołowych. W jednej z nich 18 marca 1944 roku wraz z dwoma współtowarzyszami zbiegł również Paweł Dąbek, włączając się ponownie w nurt pracy konspiracyjnej na Lubelszczyźnie.

Niekiedy zdarzało się, że kłopoty przychodziły ze strony zupełnie nieprzewidzianej.

Okupant i pozostający na jego usługach konfidenci, ludzie z NSZ i innych wrogich nam ugrupowań - to było zrozumiałe. Bywało jednak, że cios zadawali także ci, którzy związani byli

w jakiś sposób z naszymi szeregami. Ot, choćby głośna sprawa Grochalskiego - „Sokoła”.

„Sokoła” poznałem osobiście w 1942 roku. Był wówczas nie tylko członkiem partii, ale sekretarzem Komitetu Powiatowego PPR w powiecie kraśnickim. Cieszył się pełnym zaufaniem naszych komórek w terenie i nikomu na myśl by nie przyszło, że niedługo potem przyjdzie na nim wykonać wyrok śmierci... żołnierzom GL!

Nieporozumienia pomiędzy „Sokołem” i instancjami partyjnymi zaczęły się latem, a w stadium krytyczne weszły jesienią 1942 roku.

Jako sekretarz PPR w powiecie, po podporządkowaniu sobie wszystkich organizacji terenowych, przestał on uznawać organizację partyjną na szczeblu okręgu. Uważał, że komitet okręgowy nie powinien się mieszać do spraw partyjnych w jego powiecie. Dążył również do wyłącznego podporządkowania sobie wszystkich istniejących już grup wypadowych i pierwszego regularnego oddziału Gwardii Ludowej, utworzonego w tym czasie w powiecie kraśnickim przez komitet okręgowy. W okresie jesienno-zimowym „Sokół” usiłował skierować działalność tego oddziału i grup wypadowych nie tyle na walkę z okupantem, ile na „akcje

zaopatrzeniowe”, które najczęściej nie miały nic wspólnego z programem partii. W wielu wypadkach były one wręcz szkodliwe i podrywały niepotrzebnie autorytet naszej organizacji wśród miejscowego społeczeństwa. Rzecz była tym bardziej istotna, że tu i ówdzie pojawiały się wówczas zwykłe bandy rabunkowe, podszywające się w swym niesławnym procederze pod szyld Gwardii Ludowej. „Sokół”, zamiast zjednoczyć wszystkie siły do walki z tym niezwykle szkodliwym zjawiskiem, sam okazał się człowiekiem chciwym na korzyści materialne, choćby stanowiły one rezultat zwykłego rozboju. Wzywany kilkakrotnie do komitetu okręgowego

w celu wytłumaczenia się ze swego postępowania, odmówił jakichkolwiek wyjaśnień i unikał spotkania z członkami komitetu okręgowego.

W zimie, wkrótce po udanej akcji na obóz w Janiszowie, kiedy oddział, podporządkowany już od jakiegoś czasu „Grzegorzowi”, stacjonował w rejonie Grabówki, „Sokół” dopuścił się czynu, który do reszty okrył hańbą jego imię.

Stało się to pod nieobecność „Grzegorza”. Kierowany chęcią zdobycia kosztowności, zabranych z obozu w Janiszowie podczas pamiętnej akcji odbijania skazanych na śmierć więźniów, dokonał podstępem, przy pomocy swoich kolegów,

potwornego morderstwa na kilku bardzo wartościowych ludziach z dowództwa. Zamordowani zostali „Luby” i jego syn Lutek oraz „Stefan” Zygmunt Staręgowski, członek sztabu okręgu. Następnie „Sokół” ogłosił wyrok śmierci na samego „Grzegorza” i przygotowywał się do wykonania tego wyroku.

Sprawa „Sokoła” narastała stopniowo. Okręgowa organizacja partyjna wykryła jego odstępstwo od programu już we wczesnym stadium i usiłowała zapobiec mu za pomocą różnych środków: od apelów i upomnień aż do udzielenia „Sokołowi” nagany i ostatecznego ostrzeżenia. Jednak „Sokół” na żadne apele, upomnienia i ostrzeżenia nie

reagował i zajmował coraz bardziej wrogą postawę wobec naszej organizacji, czego konsekwencją stał się wreszcie mord dokonany na aktywistach PPR i GL.

W tej sytuacji, wyczerpawszy wszystkie inne możliwości i mając na względzie z jednej strony zabezpieczenie się przed ewentualnymi następnymi aktami terrorystycznymi, a z drugiej - chęć ratowania poważnie nadszarpniętego przez działalność „Sokoła” autorytetu PPR i GL, okręgowa organizacja partyjna na konferencji w Karpiówce, przy współudziale członków obwodu, zmuszona była powziąć ostateczną decyzję: uwolnienia w powiecie kraśnickim szeregów PPR i Gwardii

Ludowej od „Sokoła” i jego kompanów.

Do zrealizowania decyzji komitetu okręgowego partii upoważniona została specjalnie wydzielona grupa. Wkrótce potem jej dowódca zameldował o wykonaniu zadania. Sprawiedliwości stało się zadość. A nam ciężko było myśleć o tej nikomu niepotrzebnej, daninie krwi złożonej w najcięższym dla narodu okresie, gdy śmierć i tak zbierała co dnia wyjątkowo obfite żniwo.

Innym nieszczęściem, które nas nieustannie trapiło i utrudniało naszą działalność, było sąsiedztwo NSZ, które miały swoją bazę na Lubelszczyźnie, właśnie w powiecie kraśnickim.

W pobliżu Rzeczycy - wioski

burzliwych umysłów, najbardziej rewolucyjnej wsi całej południowej Lubelszczyzny nie tylko w okresie okupacji, ale również przed wojną - rozciąga się wzdłuż małej rzeczki Karasiówki stara szlachecka wieś Łychów.

Aż dziw, że niewielka dolina Karasiówki przez długie lata kryła w sobie tyle kontrastów, sprzecznych ideologii i walki klasowej.

Między Łychowem a Rzeczą, leży jak szeroka miedza oddzielająca pańską niwę od chłopskich pól, mała kolonia Zielonka. A że Zielonka jest moją rodzinną wioską, wychowywałem się i dojrzewałem na pograniczu owych

sprzeczności, w samym centrum walki klasowej. Dlatego pewnie jaśniej zdawałem sobie sprawę z właściwych przyczyn i źródeł walk bratobójczych, które miały miejsce na Lubelszczyźnie i które tak fatalnie zaciążyły na ruchu wyzwolenicznym w okresie okupacji na tych terenach.

W przeciwieństwie do Rzeczycy - wsi przeważnie biednych i średniorolnych chłopów - Łychów, z wyjątkiem kilku postępowych gospodarzy, był starym gniazdem ziemiańskim. Potomkowie dawnej szlachty zagrodowej troskliwie pielęgnowali swój szlachecki obyczaj, hołowali swojej szlacheckiej tradycji i choć to mogło wydawać się śmieszne, przestrzegali swoich „szlacheckich”

odrębności.

Ludzi z Łychowa, z wyjątkiem kilku naszych sympatyków, od dawna cechowała głęboka nienawiść do wszystkiego, co nieszlacheckie. A już zwłaszcza do Rzeczycy, nie mającej nic wspólnego ze szlachecką przeszłością i w dodatku takiej „czerwonej”, jak ją w Łychowie nazywano.

Łychów był przed wojną twierdzą POW, do której daremnie usiłowała dotrzeć działająca w Rzeczycy od roku 1932 KPP. Wszelkie próby w tej mierze kończyły się fiaskiem.

Pamiętam pewien znamieny wypadek z roku 1934. Było to pierwszego maja. Ludność Rzeczycy, chcąc uczcić

robotnicze święto, wystąpiła z pochodem. Uroczystość była zaplanowana w ten sposób, że pochód miał przeciągnąć z transparentami przez wszystkie wioski sąsiadujące z Rzeczycą i pod wieczór wrócić do swojej wsi.

Wszędzie życzliwie witano uczestników pochodu. Ludzie dołączali do niego i szli dalej coraz większą gromadą. Tylko w Łychowie posypały się kamienie niemal ze wszystkich zabudowań i ogrodów. Pamiętam dobrze, że brała w tym czynny udział młodzież łychowska w moim wieku. Z nich to później wyrosli mordercy spod Borowa, którzy dopuścili się masowej zbrodni na gwardzistach z oddziału GL

im. J. Kilińskiego.

Z Rzeczycy wielu ludzi, między innymi późniejszy przywódca ruchu rewolucyjnego na tym terenie, Aleksander Szymański - „Ali”, siedziało w więzieniu za działalność polityczną. W Łychowie wyrastali późniejsi organizatorzy walk bratobójczych: Wacław Piotrowski - „Cichy”, Rzczyński - „Tolek” i inni.

Przypomina mi się inny jeszcze wypadek, którego omal nie przypłaciłem życiem. Było to w roku 1942. Wracałem właśnie rowerem z zebrania naszej komórki partyjnej we wsi Motyczak. Kiedy przejeżdżałem przez Łychów, koło domu Piotrowskich, wyskoczył

jeden z eneszetowców, którzy mieli tam swoje zebranie. Uratował mnie tylko czysty przypadek. W chwili gdy eneszetowiec z pistoletem w ręku biegł w moim kierunku, nadjechali akurat furmanką trzech granatowi policjanci, którym droga wypadła przez Łychów. Widząc człowieka z bronią, skoczyli do niego, a ja, wykorzystawszy ten moment, szybko się oddaliłem.

Potem dopiero dotarła do mnie wiadomość, że eneszetowcy za moją działalność wydali na mnie wyrok śmierci i wtedy właśnie, korzystając z tego, że sam wpadłem im w ręce, wyrok ten zamierzali wykonać.

Podobnie przedstawiała się sprawa i w

innych miejscowościach - nie tylko zresztą na Lubelszczyźnie, lecz w całym okupowanym kraju. Tyle że nie zawsze linia podziału była tak wyraźna i nie zawsze biegła, jak tu, pomiędzy wsiami. Częściej przebiegała krętą linią przez tę samą wieś, oddzielając jod siebie dwa światy - ten, którego symbolem była Rzczyca, i ten, który miał swoich pobratymców w Łychowrie.

„Zygmunt”

O ile rok 1942 był dla naszej organizacji okresem przygotowania kadry działaczy terenowych i zakładania siatki organizacyjnej oraz - niewielką zrazu -

próbą sił w walce z okupantem, o tyle w roku 1943 PPR, utworzywszy już regularne oddziały Gwardii Ludowej, przystąpiła do generalnego szturmu na najbardziej czułe punkty nieprzyjaciela, pragnąc nie tylko hasłami bezkompromisowej walki z okupantem, ale przede wszystkim czynem dowieść, po czyjej stronie w toczącej się dyskusji różnych ugrupowań leży słuszość.

Nasz aktyw partyjny rozwijał wtedy szczególnie intensywną działalność. Niektórzy aktywiści wykazywali jednak, jak się później okazało, zbyt daleko posuniętą odwagę i lekceważenie wroga. Trzeba było za to czasem niepotrzebnie płacić życiem, przy czym organizacja ponosiła nieraz dotkliwe

straty.

6 kwietnia 1943 roku komendant naszego obwodu, Michał Wójtowicz - „Zygmunt”, wracał wraz z Janem Pytlem - „Leonem” z odprawy naszej organizacji, która odbyła się w Lubartowie.

Droga pociągiem wiodła przez Lublin. „Leon”, nie zatrzymując się, pojechał dalej do Kraśnika, „Zygmunt” natomiast wysiadł w Lublinie, gdzie miał się spotkać z towarzyszami w celu omówienia ważnych spraw organizacyjnych.

Gestapo lubelskie dobrze już wiedziało o naszej organizacji, zdążyło zebrać przeciwko niej sporo dowodów.

Dysponowało wieloma naszymi odezwami kierowanymi do robotników, chłopów i inteligencji pracującej, miało dokładne meldunki o jesiennych i zimowych akcjach, jakie przeprowadził „Grzegorz” i inne nasze oddziały. Nieobcy był hitlerowcom program Polskiej Partii Robotniczej. Nic więc dziwnego, że uruchomiono wszystkie dostępne siły i środki dla zniszczenia naszej organizacji, głównie przez likwidację czołowych jej działaczy. Niemcy poczynali chytrze. Postanowili wykorzystać do tego celu najbardziej ciemne elementy pochodzenia polskiego, które z różnych pobudek, najczęściej dla korzyści materialnych, szły z nimi na współpracę.

„Zygmunt” oczekiwał na stacji pociągu, kiedy został wskazany przez jednego z takich prowokatorów, niejakiego Żbiczaka, agentom gestapo. Przy wejściu na peron usiłowali go oni zatrzymać.

Na hitlerowskie „Hände hoch” Wójtowicz odpowiada uderzeniem gestapowca w twarz i próbuje ucieczki. W biegu wydobywa pistolet, który jednak w tym najmniej odpowiednim momencie zacina się. „Zygmunt” biegnie dalej, jeszcze nie wszystko stracone. Niestety, tym razem prześladował go pech. Na ulicy 1 Maja dyżurny policjant, widząc ściganego przez gestapowców człowieka, kładzie go serią z automatu.

Przywieziony do jednego ze szpitali w

Lublinie, mimo bardzo ciężkiego stanu, „Zygmunt” poddany zostaje przesłuchaniom. Wkrótce jednak umiera nie zdradziwszy żadnej z naszych organizacyjnych tajemnic.

Pochowanie Michała Wójtowicza - „Zygmunta” na cmentarzu przy ulicy Unickiej pod przybranym nazwiskiem „Karasiński”, którym posługiwał się ostatnio ze względów konspiracyjnych, świadczyło o tym, że nie został on jednak przez gestapo rozpoznany.

Śmierć „Zygmunta” była jednym z pierwszych dotkliwych ciosów zadanych na naszym terenie przez okupanta partii i Gwardii Ludowej. W naszych szeregach zabrakło jednego

z najaktywniejszych działaczy, który pełnił kolejno funkcje pierwszego sekretarza PPR, a następnie dowódcy obwodu GL.

To pierwsze uderzenie hitlerowskie było tym boleśniejsze, że zginął człowiek o wielkim doświadczeniu partyjnym, cieszący się na terenie Lubelszczyzny niezwykłym autorytetem. Znaliśmy go jako działacza okręgowego Komunistycznej Partii Polski. Wiedzieliśmy, że później brał udział - jako podoficer 24 pułku ułanów - w kampanii wrześniowej. Po kapitulacji wraz ze swym pułkiem dostał się na Węgry, gdzie został internowany. Wiosną 1940 roku ucieka z obozu, by następnie, przeszedłszy pieszo całe

Węgry, przekroczyć granicę jugosłowiańską. Niełatwa stąd wiodła droga do szeregów walczącego podziemia w kraju. 1 maja 1940 roku Wójtowicz bierze udział w manifestacji robotniczej w Zagrzebiu i na skutek tego wystąpienia zostaje aresztowany. Wkrótce udaje mu się zbiec z więzienia. W Trieście jednak zostaje znów złapany i osadzony w więzieniu. Tym razem oskarżono go o szpiegostwo i oddano w ręce gestapo. W czasie transportu do Generalnej Guberni, już na terenach polskich, Wójtowiczowi ponownie udaje się zbiec. Po wielu przygodach wraca w swoje rodzinne strony i jako jeden z pierwszych przystępuje do organizowania na tym terenie

lewicowego ruchu oporu, którego początkiem była Robotniczo-Chłopska Organizacja Bojowa.

„Zygmunt” był wzorem działacza partyjnego i żołnierza Gwardii Ludowej. Kochaliśmy go wszyscy za jego postawę, pracowitość i rady, których nam nigdy nie szczędził. Pełen energii i pogody ducha, był niezwykle ruchliwy i w terenie zjawiał się zawsze tam, gdzie nasza młoda jeszcze organizacja najbardziej potrzebowała pomocy i rady doświadczonego działacza.

Śmierć „Zygmunta” przypadła na okres już bardzo szerokiego udziału PPR w ruchu wyzwolenicznym. Zdawaliśmy sobie sprawę, że pomimo straty jednego

z czołowych działaczy nie wolno nam nawet w najmniejszym stopniu dopuścić do zahamowania naszej pracy organizacyjnej i osłabienia walki z wrogiem, z takim zapałem zapoczątkowanej w naszym obwodzie pod kierownictwem „Zygmunta”. Wkrótce też Komitet Centralny, doceniając znaczenie naszego obwodu w walce z okupantem, przyszedł nam z pomocą, przysyłając na komendanta obwodu Mieczysława Moczara - „Mietka”, pod którego dowództwem Lubelszczyzna odpowiedziała na terror okupanta wzmożoną pracą organizacyjną i nowymi uderzeniami w najbardziej czułe miejsca wroga.

W jednym szeregu

Nadchodził maj.

Jan Sławiński, ówczesny sekretarz obwodowy PPR, pierwszy wysunął projekt, aby jakąś głośniejszą akcją uczcić robotnicze święto. Wybór padł na ruchliwy szlak kolejowy Lublin-Rozwadów, którym codziennie ciągnęły na front pociągi z wojskiem, amunicją i materiałami pędnymi.

Akcja miała tym razem na celu nie tylko sukces dywersyjny, ale również propagandowy. Miała wykazać, że chłopci lubelscy wiernie czczą robotnicze święto, uczestnicząc w jedynej w swoim rodzaju demonstracji pierwszomajowej.

Do akcji zostały użyte: jeden z oddziałów regularnych przebywający w tym czasie w lasach marynopolskich w pobliżu Kraśnika, którym na okres akcji dowodził Tadeusz Szymański - „Lis”, grupa wypadowa z Rzeczycy pod dowództwem Stanisława Zbęka - „Topoli” oraz grupa wypadowa z Trzydnika pod dowództwem Franciszka Serafina - „Gołębia”.

Kiedy w ostatnim dniu kwietnia późnym wieczorem oddział „Lis” i grupy wypadowe przybyły na umówione miejsce we wsi Kolonia Rzeczycy, okazało się, że jest ich znacznie więcej, niż przypuszczano. Około pięćdziesięciu chłopów z siekierami, kosami i piłami zgłosiło się ochotniczo do udziału

w akcji. Wszystkich nas ogarnął radosny nastrój. Ta pięćdziesiątka nie uzbrojonych ludzi była największym naszym sukcesem, najpiękniejszym owocem naszej pracy i walki, dowodem, że coraz więcej ludzi odnajdywało stopniowo właściwe dla siebie miejsce.

„Gruby Jan” - tak nazywaliśmy Sławińskiego - wygłosił do zebranych piękne przemówienie. Pamiętam, jak mówił o historii walk wolnościowych polskich chłopów i robotników, o wojnie wyzwoleniczej w Hiszpanii, w której sam brał udział, i o tym, że już niedługo wspólnym wysiłkiem narodów słowiańskich przepędzimy okupanta z naszego kraju.

Zwykła partyzancka zbiórka przed akcją przerodziła się w prawdziwy wiec. Zgromadzeni chłopci chciwie łowili każde słowo mówcy. Musiałem go przynaglać, żeby skończył. Wiosenne noce są krótkie, oddział miał do przebycia pieszo około ośmiu kilometrów. Pociąg przejeżdżał o określonej godzinie i - rzecz jasna - nie będzie na nas czekał.

Sławiński zakończył swoje przemówienie okrzykiem: „Niech żyje Polska Ludowa”. Odpowiedziało mu trzykrotnie gromkie: „Niech żyje”, powtórzone echem w pobliskim lesie.

Pamiętam tamten wieczór wyjątkowo dobrze, przeprowadzona wówczas akcja

należała bowiem do pierwszych, w których dane mi było pełnić rolę dowódcy.

Przez Rzeczycę Księżą szliśmy demonstracyjnym marszem. Ludzie z opłotków zegnali nas ciepłym słowem, niczym maszerujących na front żołnierzy. Jak w prawdziwym pochodzie pierwszomajowym śpiewaliśmy:

Bój to będzie ostatni,
Krwawy skończy się trud,
Gdy związek nasz bratni,
Ogarnie ludzki ród.

Słowa „Międzynarodówki” niesły się z nami przez wieś, melodia płynęła

polami i ginęła gdzieś w okolicznych lasach.

Przez las Gizówka dochodzimy do toru kolejowego w pobliżu przystanku Dąbrowica, położonego między Rzeczycą a Szastarką.

Dwóch gwardzistów wysyłam na przystanek, aby zmusili kolejarza do zatrzymania pociągu pod sygnałem od strony Zaklikowa. Ludzi z bronią rozmieszczam na polu, wzdłuż toru, w odległości kilkudziesięciu metrów od miejsca, gdzie ma być zatrzymany pociąg. Chłopi z piłami i siekierami idą ścinać słupy telegraficzne i niszczyć przewody na wyznaczonym odcinku od strony Kraśnika.

Czekamy w napięciu, pełni radosnego podniecenia. Każda chwila dłuży się w nieskończoność. Rozpalony policzek przywiera do kolby karabinu, palce muskają pieśczośliwie zimną stal zamka. Czy aby na pewno nadejdzie? Zaczynamy się niecierpliwić. Wreszcie jest. Obwieszcza go z daleka ciężkie sapanie parowozu. Ludzie się trochę denerwują. Nic dziwnego. Są przeważnie młodzi, pierwszy raz w akcji. Uspokajam ich.

Pociąg jest coraz bliżej. Obserwujemy semafor, czy się przypadkiem nie otworzy. Ale nie - zamknięty. Pociąg staje i gwizdże. Gwizd ten jest jakby sygnałem do otwarcia ognia. Wszystkie lufy, wymierzone w pociąg, zioną

ogniem. Następuje długa i przyjemna dla ucha partyzanta strzelanina.

Okazuje się, że transport jest dobrze ubezpieczony przez dwie grupy Niemców, z których jedna znajduje się przy parowozie, a druga na końcu pociągu. Kryjąc się za wagonami, otwierają do nas ogień.

Dla obezwładnienia wroga wysyłam ludzi z dwoma erkaemami. Mają zająć Niemców od tyłu i silnym ogniem zmusić ich do rezygnacji z dalszej obrony. Krzyczę, aby do cystern z benzyną strzelać pociskami zapalającymi. Zdobyliśmy je na Niemcach w poprzednich akcjach. Bardzo się nam teraz przydają. Po

chwili kilka cystern staje w płomieniach. Wielkie pochodnie oświetlają teren zaciekłych zmagają. Nasz erkaem, niestety, zacina się i milknie.

Hitlerowcy z końca pociągu, ostrzeliwując się, biegną rowem do przodu. Obie grupy Niemców najwyraźniej chcą się połączyć.

Pędzę w kierunku parowozu. Nasi ludzie nacierają na Niemców. Są już blisko nich. Wtem przybiega do mnie jeden z chłopów z siekierą i krzyczy, że od Kraśnika zbliża się jakiś pociąg. Rozumiem: pewnie ratowniczy, z żandarmerią. Co za sukinsyn ich zaalarmował? Może odgłos strzałów?

Oglądam się: rzeczywiście, są już niedaleko. W chaosie walki nie dostrzegłbym pewnie grożącego niebezpieczeństwa, gdyby mnie nie ostrzeżono.

Chłopi z siekierami, ci od słupów, wycofują się do lasu. Czas najwyższy. W tym momencie pada obok mnie ciężko ranny komendant grupy wypadowej z Rzeczycy, Stanisław Zbęk - „Topola”. Milknie nasz drugi erkaem. Daję sygnał do odwrotu.

Zabieramy ранnego „Topole” i wykorzystując nierówności terenu, cofamy się do lasu. Teraz już z obu pociągów Niemcy strzelają za nami. Na szczęście bezskutecznie.

Nie boimy się pościgu. Las jest naszym bezpiecznym schronieniem. Zwłaszcza nocą, kiedy Niemcy nie wejdą do niego za żadne skarby.

Ranny „Topola” co chwila mdleje. Zdejmujemy z niego marynarkę i koszulę. Okazuje się, że ma przestrzelone lewe płuco. Zakładamy prowizoryczny opatrunek i niesiemy go do najbliższej wioski. Stamtąd pożyczoną od chłopca furmanką przewozimy „Topolę” do bezpiecznej kryjówki. Jeszcze tej samej nocy jeden z gwardzistów, Stanisław Siewierski - „Stryj”, zostaje wysłany do Kraśnika celem sprowadzenia lekarza.

Wstał pogodny ranek pierwszomajowy.

Utrudzeni ludzie odpoczywali po akcji. Gdzieś tam po okolicznych wsiach powtarzano już sobie pewnie wieść o pierwszymajowym czynie gwardzistów. Nie mogłem zasnąć. Stan zdrowia „Topoli” psuł smak odniesionego sukcesu. Żał mi było chłopaka. Zżyliśmy się, kiedyś chodziliśmy razem do szkoły powszechnej w Rzeczycy.

Koło godziny dziesiątej wrócił „Stryj”. Przywiózł ze sobą lekarza-kobietę, nazwiskiem Aleksandrowicz. Wiedziałem, że mąż jej, adwokat, należał do ZWZ.

- Pani doktor - zwracam się do przybyłej po skończonej wizycie - proszę mi

powiedzieć szczerze: będzie żył?

Patrzyłem w jej oczy badawczo. Słowa są czasem po to, żeby pocieszać, wzrok mówi prawdę - myślałem.

- Widzi pan, trudno przesądzać sprawę i powiedzieć coś konkretnego - odpowiedziała z ostrożnością właściwą uczniom Eskulapa. - Stan chorego jest ciężki, nie ma co ukrywać. Nie trzeba jednak tracić nadziei. Zrobię, co tylko będzie można.

Zostawia receptę, udziela dokładnych wskazówek, jak z rannym postępować, i zabiera się do odejścia.

Proszę, aby przez jakiś czas została przy chorym. Jest jednak stanowcza: nie może, ma wiele innych obowiązków,

czekają na nią pacjenci, obiecuje jednak stawić się na każde wezwanie.

Musiałem się zgodzić, choć przyznaję, żywiłem pewne obawy. Jak się później okazało - najzupełniej niesłuszne.

Doktor Aleksandrowiczowa nie tylko przez dłuższy czas potem na każdą prośbę odwiedzała rannego i opiekowała się nim aż do całkowitego wyleczenia, ale nie chciała przyjąć od nas żadnej zapłaty za trud, którego nie mało przecież włożyła, mim „Topola”, całkowicie wyleczony, mógł myśleć o następnej akcji. Widać wyżej nad różnice przekonań stawiała swoje posłannictwo lekarza. A może i jej imponowały nasze śmiałość, z coraz

większym rozmachem prowadzone akcje?

Zapytałem ją kiedyś, jakie pobudki sprawiają, że gdy trzeba, rzuca wszystko i jedzie do chorego gwardzisty, narażając się nie tylko na niewygodną podróż chłopskim wozem, ale i na poważne niebezpieczeństwo.

- Czy trzeba pytać? - odpowiedziała. - To mój zawodowy obowiązek. Winnam pomóc każdemu, a już zwłaszcza tym wszystkim, którzy walczą z wrogiem.

Postać patriotycznej lekarki należy do najjaśniejszych moich wspomnień z ciężkich dni okupacji. Tego rodzaju przykłady solidarności i pomocy ze strony społeczeństwa zawsze radowały

nas najbardziej.

W wyniku akcji pierwszomajowej przerwa w ruchu na linii kolejowej Lublin-Rozwadów trwała piętnaście godzin. Całkowitemu zniszczeniu uległy urządzenia sygnalizacyjne na przystanku Dąbrowica. Uszkodzono parowóz i spalono kilka cystern z benzyną. Chłopi, którzy poszli na akcję ochotniczo, zniszczyli dwa kilometry linii telefonicznej. Wśród Niemców byli zabici i ranni.

Niemalby był również sukces propagandowy. Chłopi, biorący wraz z nami udział w akcji, długo ją wspominali między sobą. Później nie tylko pomagali nam w organizowaniu

transportu czy zdobyciu niezbędnych informacji, ale - gdy zaszła potrzeba - nie wahali się uczestniczyć w nowych akcjach, podczas których zachowywali się jak starzy praktycy. Taktyki walki partyzanckiej trzeba się było uczyć. Dotyczyło to także tych licznych przecieź w naszych szeregach starszych chłopów, którzy brali udział jeszcze w pierwszej wojnie światowej i młodszych, którzy w większości przeszli przed wojną przeszkolenie wojskowe.

Powoli wytworzyła się taka sytuacja, że chłopci w naszych wioskach znali niemal wszystkich gwardzistów tak z nazwisk, jak i z pseudonimów. Udzielali nam wszelkiej pomocy, byli prawdziwym i mocnym zapleczem, bez którego nie

moglibyśmy prowadzić tak skutecznej walki ani rozwijać naszej organizacji.

Nasz „Gruby Jan”, doświadczony działacz, w wolnych chwilach zawsze pouczał nas, że walkę z okupantem można i należy prowadzić nie tylko z karabinem w rękę, ale wszystkimi dostępnymi środkami i sposobami. Dobry wywiad, rozsądne wykorzystanie elementarnych zasad partyzanckiej taktyki, mądra propaganda, a zwłaszcza zjednywanie dla sprawy walki coraz szerszych kręgów społeczeństwa były - jak zapewniał - głównymi elementami gwarantującymi sukcesy w prowadzonej walce.

Sławińskiego cechował jakiś szczególny

dar mówienia. Nieraz, gdy nadarzyła się okazja, godzinami toczyły się pogwarki. Wspominając okres swojej pracy konspiracyjnej w Komunistycznej Partii Polski i w międzynarodowych brygadach walczących w latach trzydziestych o wolność Hiszpanii, przytaczał wiele pouczających przykładów, które my z kolei staraliśmy się praktycznie stosować w naszej konspiracyjnej działalności.

„Gruby Jan” oprócz nieprzeciętnego daru przekonywania ludzi o słuszności sprawy, którą i sam reprezentował, miał (również duże poczucie humoru. Swoimi oryginalnymi dowcipami, beztrąską i zaraźliwą wesołością potrafił każdego w najtrudniejszej nawet sytuacji

wprawić w dobry nastrój. Często bywały chwile, gdy tęskniło się do jego mądrych rad, ostrzeżeń czy choćby żartobliwych, umilających czas dykteryjek. Miał w sobie coś, co zjednywało mu powszechną sympatię, budziło szacunek. Każdy, kto raz zetknął się z „Grubym Janem”, chętnie zbliżał się do niego i zaprzyjaźniał. W każdym oddziale było niemal święto, gdy zawitał tam Sławiński. Sam widok jego wysokiej, tegiej postaci i dźwięk rubasznego śmiechu stwarzały jakiś rodzinny nastrój, zwiększając zarazem poczucie bezpieczeństwa. On zaś tę popularność zawsze potrafił wykorzystać na rzecz naszej organizacji. Jako przełożony i starszy kolega był dla

nas wzorem pracowitości, męstwa i poświęcenia dla sprawy.

Powiniennem tu, przy okazji omawiania sposobu uczczenia 1 Maja, zwrócić uwagę na istotną, myślę, sprawę zgodności ideologii PPR z praktyką obowiązującą na co dzień również w oddziałach Gwardii Ludowej. Ileż to razy słyszałem, sam mówiłem, my wszyscy mogliśmy to odebrać, z jakim wyczuleniem traktowane były patriotyczne i postępowe tradycje. Każdy z nowo powstałych oddziałów nosił imię wielkiego Polaka, bojownika o wolność narodową i społeczną. Jak głęboko musiało tkwić w ludziach poczucie więzi z tym co najrdzenniejszym

postępowe i wartościowe, skoro często samorzutnie przyjmowali te nazwy dla oddziałów. I tak rosły w siłę pierwsze grupy bojowe imienia Tadeusza Kościuszki, Józefa Bema, Jarosława Dąbrowskiego, Bartosza Głowackiego, Jana Kilińskiego, Adama Mickiewicza, Emilii Plater, Ludwika Waryńskiego i inne.

Pamiętam również, że wszystkie ważniejsze rocznice były specjalnie podkreślane w rozkazach, dokumentach i prasie. W tamtych dniach tego rodzaju idee nabierały niesłychanie istotnego znaczenia dla nas wszystkich. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby odczuć autentyczność słów odezwy Kościuszki do narodu polskiego: „Pierwszy krok do

zrzucenia niewoli jest odważyć się być wolnym; pierwszy krok do zwycięstwa poznać się na własnej sile”. Słowa te znalazły się w krótko ukazującym się piśmie Polskiej Partii Robotniczej „Trybuna Ziemi Lubelskiej”. Celowo zresztą zwróciłem uwagę na to zdanie, wybrane z dziesiątków innych, zbieżnych w wymowie, gdyż chcę przypomnieć, że współredaktorem „Trybuny” była Irena Tomasiakówna, dzielna dziewczyna, pochodząca ze znanej rodziny przedwojennych działaczy lewicowych w Lubartowskiem. Irena i jej siostra Ewa uczyniły pierwszy krok do zrzucenia niewoli, przypłacając go życiem w kazamatach gestapo.

Postać Ireny wywołała następne skojarzenie, może dość odległe, ale wybiegając we wspomnieniach w przyszłość zdołam może wykazać konsekwencję i ciągłość idei, które nam wówczas przyświecały. Otóż dla uczczenia rocznicy powstania kościuszkowskiego 11 marca 1944 roku wydany został rozkaz nr 11 Dowództwa Głównego Armii Ludowej. Sądzę, że warto przytoczyć fragmenty tego rozkazu, aby uświadomić dziś, po upływie ponad 30 lat, wartość spuścizny historycznej^[10].

Żołnierze!

24 marca 1794 roku naród polski

chwycił za broń, by walczyć o
niepodległość Ojczyzny. 17
kwietnia Insurekcja wyzwala
Warszawę.

Tadeusz Kościuszko, obrany
Naczelnikiem Sił Zbrojnych
Narodu, rozumiał, że zwycięstwo
osiągnie się tylko przez
Zjednoczenie w walce całego
społeczeństwa. Główną siłę
widział wtedy słusznie
w wyzwolonym z pańszczyzny
chłopie polskim. Dlatego też
zarządza, że osoba wszelkiego
włościanina jest wolna i buduje
armię z ludu. Ta armia, zdrowa
moralnie dzięki swej żywotności,
bohaterstwu i poświęceniu,

potrafiła kosami zdobywać armaty. Nie było jednak dane bohaterom spod Racławic i Szczekocin wywalczyć niepodległości. Targowicka magnateria i zgniła szlachta wolały oddać kraj w niewolę, niż dopuścić do wyzwolenia chłopów. Dla magnaterii i szlachty 18 wieku stały na pierwszym miejscu przywileje stanowe. Dla obrony tych przywilejów sprzedały wolność Polski. Podobnie i dziś skorumpowana reakcja polska w panicznym strachu przed reformami społecznymi, w ślepych egoizmie ciasnych interesów klasowych gotowa jest iść ramię

w ramię z krwawym okupantem hitlerowskim..

Wśród zbrojnych zmagień o wyzwolenie toczyły się dalsze dzieje Polski. Kościuszko stał się symbolem walki o demokrację i wolność, a gdy po 150 latach kraj znowu stoi w ogniu wojny wyzwoleńczej, imię Naczelnika znowu odżyło. Zabłysło ofiarą krwi gwardzistów z oddziału Kościuszki na Lubelszczyźnie i żołnierzy Polskiego Korpusu im. Kościuszki, walczących ramię w ramię z Armią Czerwoną. Słowa i czyny Kościuszki z 1794 roku są dziś drogowskazem w walce narodu polskiego. On wtedy przede

wszystkim wzywał do zjednoczenia się: „Nigdy by Polakom broń ich nieprzyjaciół straszną nie była, gdyby sami pomiędzy sobą zgodni, znali swą siłę, całej tej siły użyć umieli”. On to woła do żołnierzy i oficerów, którym dowódcy zdrajcy nakazali bierność: „Nie miejcie, abyście winni posłuszeństwa tej zwierzchności, pod którą jesteście... Narodowi i Ojczyźnie tylko Waszą wierność winniście...”

Żołnierze Polscy!

Ojczyzna Was woła o obronę. Woła Was językiem obozów, płaczem sierot i wdów, łunami płonących wsi i miast. Do broni!

Łączcie swe siły w szeregach
Armii Ludowej!

Żołnierze Armii Ludowej!

Tak jak żołnierze kościuszkowscy
walczyli o wolność Ojczyzny
i wyzwolenie chłopów polskiego
z pańszczyzny, tak dzisiaj Wy,
żołnierze Armii Ludowej,
walczyście o Wolną i Niepodległą
Polskę Demokratyczną.

Dlatego też oddając cześć pamięci
bohaterów Insurekcji - Kościuszki,
Bartosza, chłopów spod Racławic,
szewca Kilińskiego i ludu
Warszawy - Dowództwo Główne
Armii Ludowej rozkazuje:

1) wzmóc akcję bojową przeciwko
okupantowi,

- 2) wysadzać pociągi i transporty kolejowe,
- 3) niszczyć obiekty wojskowe i gospodarcze,
- 4) sabotować pracę w warsztatach i fabrykach,
- 5) przeprowadzać wiece, zgromadzenia i wystąpienia,
- 6) składać wieńce na grobach poległych w walce o wolność Ojczyzny.

Niech w dniu sto pięćdziesiątej rocznicy powstania kościuszkowskiego zagrzmi ziemia polska łoskotem wywalanych pociągów, hukiem demolowanych obiektów okupanta!

Cześć bohaterom powstania

kościuszkowskiego.

Niech żyje Polska Wolna i
Niepodległa!

Niech żyje Krajowa Rada
Narodowa Niech żyje Armia
Ludowa!

Śmierć niemieckim okupantom!

Dowództwo Główne Armii
Ludowej

Witold [Franciszek Józwiak]

Rola [Michał

Żymierski]

Szef Sztabu Głównego

Naczelny Dowódca AL

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego

właśnie w tym rozdziale, który rozpocząłem przypomnieniem żywiołowego udziału chłopów w pierwszomajowej akcji, chciałem ukazać w wielkim skrócie całą istotę, wydaje mi się, zwycięstwa PPR, zwycięstwa lewicy. Dzięki ideom, które ożywiały czyny, mieliśmy w jednym szeregu ludzi zaangażowanych, a robotnik i chłop polski, czując się współtwórcami historii, brali udział w walce bliskiej im, bo toczonej w ich interesie.

Z odsieczą

Ciężki był rok 1943 dla ludzi

konspiracji na ziemi lubelskiej. Aby zlikwidować ruch partyzancki i bez przeszkód kontynuować akcję wysiedleńczą i germanizacyjną na Zamojszczyźnie, władze okupacyjne skoncentrowały na tym terenie znaczne siły, ściągając - w celu rozprawienia się z „polskimi bandytami” - oddziały policyjne aż z Jugosławii, Francji i innych krajów okupowanej Europy. Pacyfikowano dziesiątki miast i wsi, przeciw bezbronnej ludności rzucono samoloty i czołgi. Przed partyzantami Gwardii Ludowej stało niełatwe zadanie - przerzucając się możliwie najszybciej z miejsca na miejsce urządzać zasadzki i doprowadzić do potyczek, aby utrzymać w ten sposób

Niemców na wsiach w ciągłym lęku, udaremnić im próby zachowania swojej administracji w terenie i „przywrócenia porządku”, tak niezbędnego do przeprowadzenia akcji żniwnej i rabunku ziarna, na które czekały walczące na wschodzie hitlerowskie armie.

Ożywiona działalność GL i wielka operatywność jej oddziałów - przy współudziale innych ugrupowań konspiracyjnych - doprowadziły do tego, że nawet w okresie wielkiego nasilenia akcji pacyfikacyjnej istniały tereny dla Niemców właściwie niedostępne. Tak było m. in. w Józefowie, skąd w wyniku akcji partyzanckiej Niemcy zupełnie się wynieśli i gdzie nie działała ani poczta,

ani urząd gminny, ani stacja kolejowa.

Pragnąc wydrzeć ten teren z rąk partyzantów i przywrócić na nim swoją administrację, hitlerowcy postanowili usadowić się najpierw w małych miasteczkach. Akcję na Józefów rozpoczęli od bombardowania nie tylko samego miasta, ale też sąsiedniej wsi Sochy i okolicznych lasów. Kiedy samoloty odleciały, na „podbój” bezbronnej i w znacznym stopniu wyludnionej miejsciny podjechały samochodami z Zamościa oddziały SS i żandarmeria w sile około pięciuset ludzi.

Dla Józefowa nastąpił istny sądny dzień. Jak opowiadali mieszkańcy miasteczka,

którzy rozbiegli się w popłochu po okolicy, rozwścieczeni hitlerowcy strzelali do każdego, kogo dopadli, nie oszczędzając dzieci ani starców.

Dowództwo grupy operacyjnej pod osobistym kierownictwem „Grzegorza”, pragnąc uchronić ludność miasteczka przed represjami, które ją czekały, postanowiło ponownie opanować Józefów, działając wspólnie z oddziałem BCh, a nawet ZWZ, co było już zupełnie wyjątkowe nie tylko ze względu na coraz bardziej niekorzystnie układające się stosunki między tym ugrupowaniem a PPR - GL, lecz również z uwagi na bierność, jaką jednostkom ZWZ nakazywała ich władza zwierzchnia. Wobec niewiarygodnych

zbrodni, jakich dopuszczali się hitlerowcy na Zamojszczyźnie, ZWZ nie mógł pozostać jednak zupełnie obojętny, jeśli nie chciał stracić do reszty popularności i narazić się na ostrzejszą niż dotąd krytykę społeczeństwa.

„Już w przeddzień - wspomina tamte wydarzenia „Grzegorz” - zarządziłem ostre pogotowie w oddziałach. Po przybyciu Niemców postanowiliśmy od razu uderzyć na miasto, żeby ocalić ludzi przed masakrą, a Niemcom nie pozwolić się zagospodarować”.

W akcji na Józefów udział wzięły: oddział GL im. Kotowskiego, oddział BCh „Groma” i placówka ZWZ z Józefowa, licząca łącznie z ochotnikami

sześćdziesięciu ludzi (wszyscy dobrze uzbrojeni). Drugi oddział GL pozostał w odległości może ośmiu kilometrów od miasteczka, w lesie koło Czarnej Rzeki, przy drodze. Miał on za zadanie ubezpieczyć partyzantów biorących udział w akcji przed nieprzyjacielem, gdyby ten zjawił się od północy. Jednocześnie „Grom” rozesłał do wszystkich okolicznych placówek BCh i ZWZ gońców z rozkazem natychmiastowego stawienia się w celu uczestniczenia w akcji. W odpowiedzi na to wezwanie przybyła wkrótce placówka BCh z Łukowej. Zgłosiła się również stacjonująca w pobliskim lesie grupa partyzantów żydowskich.

„Grom” ze swymi ludźmi zajął pozycje

na wzniesieniu po obu stronach szosy Józefów-Łukowa. „Miszka Tatar”, dowodzący wówczas oddziałem im. Kotowskiego, rozłożył się ze swymi gwardzistami od strony Pardysówki, pozostali - od północy, gdzie znajdowała się kolumna samochodów.

„Nieprzyjaciel, uzbrojony w broń maszynową i ppanc. - wspomina Grzegorz Korczyński - zajmuje miasto. Na wieży kościoła ustawili cekaem. Pole ostrzału mieli doskonałe. Amunicji jak zwykle za wiele. Niepokoilem się o oddział Kotowskiego, ale nie mówiłem nic. 95 ludzi, 20 erkaemów, granaty, karabiny, a w duszach dynamit. Przeciwno 500 usadowionym w mieście.

Jesteśmy w lesie pod samym Józefowem. Godzina szósta wieczór. Gdy zajmujemy miejsce do natarcia, Niemcy właśnie otwierają ogień za uciekającą ludnością. Gnają ją w kierunku lasu. Wyszli się jakieś 200 m w pole, śmiało, pewni, że wykurzyli już nas bombami. Jest ich z 70. Daję więc dowódcy oddziału im. Kotowskiego rozkaz, aby ich zdmuchnąć. Las wychodził tu na pole długim, wąskim językiem. Oddział im. Kotowskiego zachodzi tym laskiem prawie na tyły npla i ze 100 m bije z 20 erkaemów. Skotłowali się, kwik, wieją na boki, w kartofliska. Ale z 20 już nie wstaje”.

W pościgu za nieprzyjacielem „Miszka

Tatar” zapędził się ze swymi ludźmi na odkryty teren, gdzie przydusił ich do ziemi ogień cekaemów z wieży kościoła. Dalej posuwają się do przodu pojedynczo skokami, w tyralierze. Atak wspiera swym ogniem oddział ZWZ.

W odległości może stu metrów od pierwszych zabudowań miasteczka ginie „Miszka Tatar” i jego amunicyjny. Padają ranni. Hitlerowcy mają na skraju miasteczka doskonałe stanowiska ogniowe. Rażą atakujących ogniem z trzech cekaemów. Ogień ten nie zdołał jednak zatrzymać gwardzistów. Atakujący dopadają zabudowań. Gwardziści rzucają granaty. Niemców ogarnia panika. Są zupełnie dezorientowani w sytuacji, nie znają sił

przeciwnika.

Cekaemy na wieży kościoła milkną, wróg w popłochu wycofuje się z miasteczka.

Zapadał zmierzch, gdy z Rawy Ruskiej i z Zamościa nadeszły posiłki niemieckie. Wysypawszy się z wagonów, hitlerowcy rozwinęli się do natarcia. Niewiele już jednak mogli zdziałać. Na ich gęsty ogień gwardziści odpowiedzieli tym samym. Walczyli zaciekle. Na szczęście nie trwało to długo. Z pomocą przyszła noc. Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, nastąpiła cisza. Odgłosy walki umilkły, a hitlerowcy odjechali pociągami tam, skąd przybyli. Józefów był „polski”.

Jego mieszkańcy entuzjastycznie witali swych wyzwolicieli. Radość z odniesionego zwycięstwa mąciły jednak poniesione straty. Mieliśmy dwunastu rannych. Wśród czterech poległych znajdował się bohaterski „Miszka Tatar”. Pochowano go z należnymi honorami na miejscowym cmentarzu.

Józefów pozostawał w rękach partyzantów jeszcze przez tydzień, do 21 czerwca. Stracono go na powrót dopiero podczas wielkiej akcji pacyfikacyjnej, w której udział brało około 32 tysięcy Niemców.

Kainowa zbrodnia

W pierwszych dniach sierpnia 1943 roku zorganizowaliśmy nowy oddział Gwardii Ludowej im. J. Kilińskiego. Staraliśmy się skupić w nim najlepszych żołnierzy, wybranych z innych oddziałów. Szło nie tylko o to, że miał on być, w zamierzeniu dowództwa, niejako przykładowym, reprezentacyjnym oddziałem w walce z okupantem. Stawiano przed nim także inne zadanie, do którego przywiązywaliśmy wówczas ogromną wagę.

Brak wyszkolonej kadry dowódców był, jak wiadomo, naszą stałą bolączką. W obliczu nowych wydarzeń jednak

i zataczającej coraz szersze kręgi walki wyzwolenczej, musieliśmy problem ten jakoś rozwiązać. I to chyba była główna myśl, jaka przyświecała dowództwu okręgowemu przy powoływaniu do życia oddziału GL im. J. Kilińskiego. W oddziale tym miano szkolić kadry dowódcze.

Na dowódcę nowo sformowanej grupy bojowej wyznaczono Stefana Skrzypka - „Słowika” (brata „Grzybowskiego”). Był on synem chłopca z Kolonii Łysaków i w pierwszym okresie okupacji trafił w szeregi ZWZ, z których - szybko zrozumiałszy swój błąd - wkrótce się wycofał, stając się później jednym z czołowych aktywistów PPR i GL na naszym terenie.

Nie przypadkiem dowództwo oddziału im. Kilińskiego powierzono właśnie „Słowikowi”. Jako człowiek ogólnie lubiany, nieprzeciętnie zdolny, a przy tym znający się na żołnierskim fachu i sztuce dowodzenia (był podoficerem w wojsku sanacyjnym) miał on przekazywać swoje doświadczenie żołnierzom, szkolić kadrę podoficerską dla powstających oddziałów partyzanckich.

Pamiętam, jak 8 sierpnia 1943 roku nowo zorganizowany oddział zebraliśmy po raz pierwszy w komplecie w lasach marynopolskich w powiecie kraśnickim.

Patrzyłem na dwudziestu ośmiu młodych chłopskich synów stojących w szeregu.

Przemawiałem do nich. Szli wypełniać niełatwe przecież zadania, potrzebne im było ciepłe słowo, zagrzewające do czynu, ukazujące sens podjętego wysiłku. Widziałem wpatrzone w siebie młodzieńcze twarze, z których były zdecydowanie i wola walki.

Tego samego jeszcze wieczora oddział miał wymaszerować do lasu położonego o kilkanaście kilometrów na zachód, w pobliżu wioski Borów. Termin ten podyktowany był koniecznością odebrania w najbliższą noc w tamtym właśnie rejonie pierwszego zrzutu broni. Wytyczne i koordynaty do przyjęcia zrzutu dowódca oddziału im. J. Kilińskiego, „Słowik”, otrzymał osobiście od dowódcy Obwodu II,

Mieczysława Moczara - „Mietka”. Zapowiadany zrzut nie nastąpił. Z niewyjaśnionych przyczyn samolot nie przyleciał. Wraz z oddziałem na pierwsze kilka tygodni miał pójść kapitan Wacław Dobosz - „Sęp” ze sztabu okręgu i ja. Chodziło o to, aby lepiej wprowadzić go w samodzielne życie i wdrożyć w wykonywanie trudnych zadań.

W ostatniej niemal chwili nastąpiła jednak zmiana. Przed wieczorem bowiem, kiedy zbieraliśmy się już do wymarszu, przyjechał na rowerze ze sztabu okręgu goniec z poleceniem od „Alego”, abym natychmiast wracał do sztabu. Jak się później okazało, chodziło o mój udział w konferencji okręgowej

związanej z przyjazdem na nasz teren z Warszawy Jana Sławińskiego - „Tyfusa”, którego my zwykliśmy nazywać „Grubym Janem”.

Była już późna noc, kiedy po zakończonej konferencji rozeszliśmy się po chłopskich stodołach na spoczynek.

Następnego dnia rano - było może gdzieś około godziny dziesiątej - przyszedł do mnie komendant okręgu. Tadeusz Szymański - „Lis”, z wieścią, która stała się później głośna w całym okupowanym kraju, budząc grozę i oburzenie.

Tak ciężko było uwierzyć... Zwłaszcza w tych pierwszych chwilach, gdy miało się jeszcze przed oczami szczerze

spojrzenia, pełne młodzieńczego zapału twarze chłopców. Trudno było po prostu zgodzić się z tym, żeby właśnie wtedy, gdy -naród polski przeżywał najbardziej koszmarnie chwile, a każdy dzień znaczył się nowymi tysiącami niewinnych ofiar, pochłoniętych przez piece krematoryjne obozów śmierci, kiedy toczyły się jakże zacięte wobec nierównych sił zmagania z wrogiem, a w naszym podziemnym froncie każde młode ramię, zdolne do noszenia broni, było niezwykle cennym nabytkiem, żeby właśnie wówczas dokonana się ta zbrodnia. Trudno było uwierzyć, że to nie kto inny, ale właśnie Polacy, też przecież zorganizowani i uzbrojeni po to, podobno, aby walczyć z wrogiem, dopuścili się bratobójczej

zbrodni na oddziale im. J. Kilińskiego. I to tylko dlatego, że ci młodzi ludzie mieli inne przekonania polityczne i nie chcieli stać biernie z bronią u nogi, jak zalecało dowództwo Narodowych Sił Zbrojnych i innych ugrupowań działających w kraju z ramienia rządu londyńskiego, lecz rwali się do czynu.

Niestety, następne wiadomości, które do nas dotarły, potwierdziły tragiczną wieść o czynie, jakiego dopuścili się pod Borowem dobrze znani na terenie powiatu kraśnickiego przywódcy NSZ - „Ząb”, „Znicz” i „Cichy”.

Jak wynika z dokładnych relacji bezpośrednich świadków mordu, eneszetowcy najpierw pod pozorem

uzgodnienia szczegółów wspólnej akcji zaprosili gwardzistów z oddziału im. J. Kilińskiego do swojego obozu, poczęstowali nawet swoim partyzanckim posiłkiem, a następnie w podstępny sposób rozbroili ich. Rozebranych do naga rozstrzeliwali potem kolejno nad przygotowanym zawczasu dołem, który stał się zbiorową mogiłą.

Oprócz dwudziestu sześciu gwardzistów zamordowano także czterech chłopów ze wsi Borów, którzy przyszli do naszego oddziału, by przypatrzeć się partyzantom i - w czym można - pomóc. Zginął także członek dowództwa okręgu „Sęp” oraz oficer polityczny, były uczestnik wojny domowej w Hiszpanii, „Stanis” -

Głuchowski z Warszawy.

„Sępa” i Głuchowskiego pozbawiono życia metodą iście katowską, ścinając im toporem głowy na pniaku.

Sam dowódca oddziału im. J. Kilińskiego, Stefan Skrzypek - „Słowik”, nie od razu został pozbawiony życia. Zabrano go żywego i później dopiero zamordowano gdzieś na terenie Kielecczyzny. Prawdopodobnie chcieli przedtem wydobyć z niego zeznania, zdobyć jakieś wiadomości dotyczące rozwoju naszej organizacji. A może tylko w bardziej wyrafinowany sposób zemścić się za to, że wraz ze swym bratem, Władysławem, wystąpił z ZWZ, przechodząc w szeregi

Gwardii Ludowej?

Organizatorzy mordu pod Borowem usiłowali zatrzeć wszelkie ślady. Tylko dlatego zapewne we wspólnej z partyzantami mogile znaleźli się czterej niewinni i przypadkowo w oddziale znajdujący się chłopci, żeby nie pozostali żadni świadkowie kainowej zbrodni.

Przeliczono się jednak. Kiedy dokonywano egzekucji, trzem gwardzistom, rozebranych już, udało się zbiec spod kul rodzimych morderców. W gęstwinie leśnej zmylili następnie pościg i szczęśliwie dotarli do sympatyzujących z nami chłopów we wsi Marynopolu, którzy udzielili im

pierwszej pomocy i ukrywając przed eneszetowskim pościgiem, pomogli dotrzeć do nas.

Wiść o zbrodni borowskiej rozeszła się po kraju lotem błyskawicy i wstrząsnęła społeczeństwem.

Miarka przebrała się w sposób tak oczywisty, że haniebny mord pod Borowem potępiły w swojej prasie niemal wszystkie organizacje podziemne w kraju. Odżegnało się od tej sprawy dowództwo AK, zarówno w Londynie, jak i w Warszawie, oświadczając, że nie ma z nią nic wspólnego.

Słowa potępienia czytaliśmy w rozkazie Dowództwa Głównego Gwardii Ludowej z dnia 10 września, 1943 roku:

Żołnierze!

Walczącą Polską wstrząsnęła wieść o potwornym, zdraziecko dokonanym morderstwie 9 sierpnia 1943 roku w lesie wsi Borów koło Kraśnika, w woj. lubelskim. Oddział Gwardii Ludowej im. J. Kilińskiego został w sposób perfidny i podstępny wymordowany przez jedną z band, które reakcja - obszarnicy, kapitaliści, wyzyskiwacze - tworzy specjalnie do walki z polskim ruchem wyzwoleniczym.

Mord w lesie borowskim okrywa hańbą po wieczne czasy jej

sprawców - reakcję polską. Za zadanie postawiła ona sobie nie walkę z zaborcą, a z narodem polskim, z jego partyzancką Armią Ludową.

Działalność ta, nikczemna, podstępna i zbrodnicza, nie złamie walki narodu. Przyśpiesza ona tylko całkowitą klęskę i zagładę reakcyjnej klikki bratobójców.

Żołnierze!

Chwyciliście z woli własnej za broń, by Ojczyźnie zerwać kajdany okrutnego niemieckiego ucisku. Cel macie jeden, wspólny dla całego narodu - wywalczenie Polski

Wolnej i Niepodległej. Jedyne
wróg - niemiecki okupant -
zagradza nam drogę ku wolności.
Druzgocąc jego potęgę, kroczymy
ku zwycięstwu!

Gwardia Ludowa i polski ruch
wyzwoleńczy nie pozwoli się
rzucić do bratobójczej walki. Tylko
zaborca i pokumani z nim
wrogowie narodu mieliby z tego
korzystać. Na prowokacyjne napaści
hitlerowskich agentów i zdrajców
odpowiemy zwiększeniem
w oddziałach czujności, dyscypliny
i karności. Odpowiemy jeszcze
potężniejszą walką z zaborcą.

BRONŃ SWĄ NADAL TYLKO
PRZECIWKO NIEMCOM

KIEROWAĆ BĘDZIEMY!

Żołnierze!

Z nami cały naród polski. Widzi on w swej Armii Ludowej jedyną siłę, która go broni i wywalczy mu wolność. Naród polski ze zgrozą i oburzeniem potępia kainowe morderstwa reakcji. Potrafi on ustrzec swych żołnierzy przed zdradzieckimi ciosami w plecy, potrafi wyrzucić nikczemnych morderców i podżegaczy precz poza społeczeństwo polskie.

Wasze zadanie - to dalsza nieustanna walka z niemieckim

zaborcą.

CZEŚĆ BOHATEROM
POLEGLYM ZA OJCZYZNĘ!
DOWÓDZTWO GŁÓWNE
GWARDII LUDOWEJ

10 września 1943 r.

M. p.

Długo potem młodzież Lubelszczyzny śpiewała ułożoną przez „Alego” piosenkę o wymordowaniu naszych gwardzistów pod Borowem, zaczynającą się od słów: „Dziewczyno, dziewczyno, cóżeś zapłakana?”

Dziś w lesie, gdzie dokonana została zbrodnia, oglądać można zbiorową

mogię naszych gwardzistów i czterech borowskich chłopów. Ze składek społeczeństwa lubelskiego wyniesiony, został pomnik, na którym wyryto nazwiska pomordowanych.

Wizyta w Karpíowce

Karpiówka, jedna z wiosek, które dla rozwoju ludowego ruchu wyzwolenczego w latach ostatniej wojny położyły największe zasługi, leży zaledwie parę kilometrów na północny wschód od Kraśnika. Cała wieś jest jak jedna wielka rodzina - ludzie wiedzą wszystko o sobie, nikt nikogo nie podejrzewa, nikt też nikogo się nie

obawia.

Kiedy w trudne dni wypadło nam nieraz korzystać z gościnności Karpiówki, wszyscy jej mieszkańcy otwierali nam swoje drzwi jednakowo serdecznie. Bywało - zwłaszcza gdy do wsi zawędrowała większa grupa partyzancka lub cały oddział - że ludzie miejscowi sami dzielili pomiędzy sobą partyzantów i zabierali ich w gościnę, aby u siebie w domu nakarmić, ogrzać, a nierzadko jeszcze i na drogę włożyć coś chłopakowi do partyzanckiej torby. Dbały o to zwłaszcza kobiety i dziewczęta.

Przechodząc w sierpniu 1943 roku z Krasnostawskiego na teren powiatu

kraśnickiego, wędrowałem naszym utartym szlakiem wiodącym przez Karpiówkę.

Wieś północnym swoim skrajem przylega do lasu. Tamtędy, od strony Turobina, można było do niej najwygodniej i zupełnie niepostrzeżenie dojść.

Dotarwszy do Karpiówki przed południem zastałem ją prawie zupełnie wyludnioną. Większość mieszkańców nie powróciła jeszcze z pola od zajęć żniwnych. Tylko dzieciaki tu i ówdzie pędziły już z pastwiska do zagród bydło na przerwę obiadową.

Od dzieci można było się tutaj wszystkiego dowiedzieć. Miały natury

nico może wścibskie, czasami lubiły, jak zwykle dzieciaki, za dużo wiedzieć, nie było to jednak kłopotliwe, przeciwnie - często nawet ułatwiało nam życie. Dzieci bowiem były zwykle naszymi niezawodnymi informatorami. Znały nas dobrze. Bywaliśmy często w ich domach. Chłopcy z ciekawością oglądali wtedy naszą broń. Znali nawet nasze pseudonimy. Przeważnie każdy z nich miał wśród partyzantów swojego bohatera. Nic dziwnego więc, że niekiedy toczyli między sobą zacięte spory o to, który z tych bohaterów jest bardziej odważny i waleczny. Każdy na swój sposób chciał się jakoś przysłużyć partyzantom, by móc się potem pochwalić przed rówieśnikami. Od tych

to właśnie najmłodszych naszych sprzymierzeńców dowiedziałem się, że Niemcy nie pokazywali się we wsi już od kilku dni, że w nocy przyszedł do domu odwiedzić żonę i nieletniego syna Leon Plichta - „Wrona”, który był dowódcą kompanii w brygadzie „Grzybowskiego”, że obecnie w domu go nie ma, gdyż śpi u sąsiada w stodole, i że Józef Szurma, nasz dowódca placówki, jest również u jednego z gospodarzy na drugim końcu wioski.

Jak zwykle gościnna i wesoła żona starego Józefa Gryty, którego syn należał do miejscowej grupy wypadowej, powitała mnie przed domem. Przepraszała, że nie może podać ręki na przywitanie. Miała ją zanurzoną po

łokieć w dużym cebrzyku, w którym mieszała karmę dla świń.

- A skądże to o tak wczesnej porze Bóg gościa prowadzi? Dawno ja pana nie widziałam, już myślałam, że się coś niedobrego stało, a tu, patrzcie no ludzie, ni grzmiało, ni błyskało... Chyba nam Burek zdechnie - żartowała Grytowa. - A to się dopiero stary ucieszy.

I chłopak zaraz tu będzie, wspominał nieraz pana, ma do pana słabość - trajkotała w dalszym ciągu. - Chwilkę tu pan zaczeka, tylko prosiakom zaniosę i trochę się ochajtnę. - Ruszyła szybko, najpierw do obory, a potem do domu. Przebiegając obok mnie, poprawiała

w biegu rozsypane włosy. Narzekała przy tym na brak czasu w okresie żniw.

Po chwili stała już w drzwiach swojej starej, lecz pobielonej czysto chałupy, zupełnie nie ta sama - uczesana, z koralami na szyi, w nowym fartuchu... Strój ten chyba każda wiejska kobieta ma zawsze na wszelki wypadek przygotowany i kiedy trafi się jakiś gość, metamorfoza dokonuje się błyskawicznie.

- Proszę do izby - zapraszała, już teraz, w uporządkowanym stroju, śmielej i jakoś dostojniej. - Odpocznie pan, a ja zakrzątnę się koło obiadu, bo to już i pora. chłopcy się zaraz poschodzą, będą jeść wołać. A może pan się mleka

napije?

Gospodyni z zadziwiającą szybkością przechodziła od jednego tematu do drugiego. Nim zdążyłem w jakikolwiek sposób zareagować na uczynioną mi propozycję, nie tylko zjawił się przede mną na stole gliniany garnek z zsiadłym mlekiem, ale jakimś błyskawicznym ruchem napełniony został duży kubek. Gospodyni tymczasem mówiła już zupełnie o czymś innym i co innego robiła. Nie przestając ani chwilę rozmawiać, kręciła się przez cały czas zadziwiająco żywo wokół kuchni, spoglądając przy tym często przez okno na podwórze. Odnosiłem wrażenie, że wszystko robi naraz. Była to jedna z tych wiejskich gospodyń, o których zwykło

się na wsi mawiać, że im robota pali się w rękach.

- Ano już i mój stary, chwalić Boga, przyjechał z pola - mówiła dalej. - Jak to dobrze, że pan trafił na obiad.

Chciałem coś powiedzieć, podejmowałem nawet energiczne próby, niestety - bez widocznego rezultatu. Trudno było wpaść w ten potok słów i przerwać go choćby na chwilę. Udało mi się to dopiero wówczas, gdy zobaczyłem, że Grytowa przygotowuje na obiad mój ulubiony przysmak - kluski z serem i suszoną miętą. Wtedy już trudno było się powstrzymać przed głośnym wyrażeniem swego zachwytu.

Stary Gryta, siadając do obiadu,

przeżegnał się starym zwyczajem i zaczął się posilać z jakimś namaszczeniem, majestatycznie, zabawnie poruszając przy tym węsami. Jego syn, Mietek, zjadł pospiesznie, jakby wyczuwał, że w związku z moim przybyciem będzie miał coś do zrobienia. Zwykle tak bywało, że kiedy do wsi przybywał ktoś z organizatorów, miejscowi członkowie PPR i GL zawsze dostawali jakieś nowe zadanie. Z czasem weszło to w zwyczaj, ludzie się do tego przyzwyczaili. I teraz młody Gryta po skończonym obiedzie spoglądał na mnie wyczekująco, ciekawo, co tym razem będzie miał do zrobienia.

- Niewiele, Mieciu, na dzisiaj - mówię

mu. - Odszukaj mi tylko Szurmę i „Wronę”. Są tu gdzieś we wsi, chcę się z nimi jak najszybciej zobaczyć.

Chłopak, zdrowy i wyrośnięty, jakby na to tylko czekał, skoczył do drzwi.

Stary Gryta, kończąc obiad, wycierał powoli, starannie wąsy, Grytowa krzątała się już gdzieś w obejściu.

Do izby wszedł najpierw mieszkający w pobliskim sąsiedztwie „Wrona”, a po kilku minutach Szurma, również sąsiad Grytów.

Szurma, komendant miejscowej grupy wypadowej, przywitawszy się, złożył - zgodnie z przyjętym w takich wypadkach zwyczajem - krótkie sprawozdanie z działalności swojej grupy wypadowej

za ostatni okres. Ze sprawozdania tego dowiedziałem się, że do grupy wypadowej przyjęto kilkunastu nowych ludzi z Karpiówki i okolicznych wiosek, że kilku z nich poszło już na stałe do lasu i są w kompanii swojego „krajana” - „Wrony”, że w Sulowie rozbrojono włóczących się po wsi dwóch Niemców, zdobywając w ten sposób dwa karabiny. Szurma narzekał przy tym na dający się ustawicznie odczuwać brak broni, co uniemożliwiało przyjęcie wszystkich zgłaszających się do naszych szeregów ochotników.

- A może by tak tych siedmiu, co tu codziennie na rowerach jeżdżą z Kraśnika do stacji kolejowej w Szastarce i do Sulowa... - wtrąca się do

rozmowy Mietek.

- Śliczności broń! Jeden lekki karabin maszynowy, reszta same empi. I rowery by się przydały...

- Przemyślałem i ja już nad tym - mówi komendant grupy wypadowej. - Trzeba będzie coś zrobić. Rozpanoszyli się ci gówniarze. Wszystko to młode, z nowego poboru. W Szastarce codziennie ograbiają pasażerów w zatrzymanych pociągach. W Sulowie kilka dni temu zabili chłopca. Tylko widzicie, towarzysz, bałem się trochę tak na własną rękę, chciałem to z kimś uzgodnić...

Rozmawiając o tym i planując zasadzkę na hitlerowców, nie spodziewaliśmy się

z „Wroną”, że jeszcze tego samego dnia obaj będziemy mieli możliwość zapoznać się bliżej z siódemką młodych hitlerowskich „bohaterów”.

Był to ostatni dzień urlopu „Wrony”, a ponieważ i mnie droga wypadła przez Gizówkę do lasów lipskich, postanowiliśmy pójść razem. We dwóch zawsze różniej niż samemu.

Nie czekając wieczora, z krótką tylko bronią, opuszczamy Karpiówkę, kierując się przez pola w stronę Gizówki. W pobliżu niewielkiego lasu, przylegającego do toru kolejowego, trzeba było jednak przejść drogę biegnącą z Kraśnika do Sulowa.

Prowadził „Wrona”. Tutejszy był. Znał

dobrze każdą miedzę. A ja znałem jego. Z odwagi i pomysłowości. Spokojnie więc zdałem się na swego przewodnika i szedłem rozmyślając o tym i owym, popuszczając wodze swojej dwudziestoparoletniej fantazji.

Ludzie, utrudzeni pracą w polu, siedzieli na miedzach, spożywając ciężko zapracowane podwieczorki. Z dala dobiegała piosenka młodych dziewcząt i pogwizdywanie parobków. Na ziemię spływał po upalnym dniu orzeźwiający chłód. Nie było jednak czasu na zachwyty.

Droga, którą mieliśmy przejść, biegnie na pewnym odcinku wąwozem. Ktoś, kto jak my zbliża się do niej polną drogą od

Karpiówki, pod kątem prostym, zupełnie nie widzi, co się na niej dzieje.

Nie przeczuwając nic złego, wychodzimy spokojnie na drogę i dopiero tu okazuje się, że w odległości zaledwie stu metrów od nas jedzie na rowerach w naszym kierunku od strony Sulowa cała doborowa siódemka.

Było już za późno, aby się niepostrzeżenie wycofać.

Hitlerowcy już nas zobaczyli i nacisnęli mocniej na pedały. Nie było innego wyjścia. Trzeba było przeskoczyć drogę i uciekać w kierunku wąwozu prowadzącego do Słodkowa.

- Halt! Halt! - słyszymy głośne okrzyki Niemców.

Wpadamy w zboże. Biegniemy w oddaleniu od siebie, schyleni, aby zmniejszyć cel i prawdopodobieństwo trafienia.

Hitlerowcy porzucili rowery na drodze i puścili się w pościg, siejąc za nami długimi seriami ze swych automatów.

Jak na złość droga wypada teraz przez łubin, który kryje nas zaledwie do kolan. Wokół świszczą gęsto kule, ścinając wierzchołki łubinu.

Jeszcze pięćdziesiąt metrów... Jeszcze trzydzieści... Dwadzieścia...

Wreszcie wpadamy do głębokiego, gęsto zarośniętego wąwozu i znikamy hitlerowcom z oczu. Szybko, przez

Słodków, kierujemy się do Gizówki, gdzie Niemcy, mimo swojej przewagi liczebnej, nie odważą się pójść.

Wreszcie Gizówka. Możemy się tu czuć jak u siebie w domu i odpocząć.

Oglądamy się nawzajem. Teraz dopiero ze zdziwieniem widzę, że „Wrona” ma postrzępione spodnie, a mnie hitlerowskie kule poszarpały lewy bok u marynarki powyżej pasa. Jednocześnie spostrzegam brak swojego zegarka.

- Głupstwo spodnie! Sprawisz sobie drugie - mówię, próbując żartować. - Mogło być znacznie gorzej. I tak mieliśmy szczęście. A swoją drogą okazuje się, że nigdzie nie można być za bardzo pewnym, nawet na podwórku tak

bojowego gospodarza jak „Wrona”.

„Wrona” spieszył się, że tak niefortunnie wypadła droga przez jego rodzinne tereny, gdzie czuł się jak gospodarz i gdzie chciał mi zaimponować znajomością terenu, przewodząc w drodze do Gizówki. Miał minę wyraźnie zafrasowaną.

- No co, „Wrona”, teraz nie będziecie już chyba mieć żadnych skrupułów co do tej bohaterskiej siódemki, której o mały włos nie udało się z nas zrobić pasztetu? Tylko pospieszcie się, mogą ich stąd zabrać, nigdy nic nie wiadomo, szkoda byłoby takiej broni...

- Postaram się, towarzyszu sekretarzu - mówi „Wrona”, zaciskając zęby. - Ale

pozwólcie, że o wykonaniu tego zadania osobiście wam zamelduję.

W tydzień później „Wrona” rzeczywiście meldował nam w dowództwie brygady „Grzybowskiego”, że siedmiu hitlerowcom nie dopisało szczęście tak, jak dopisało nam przy zetknięciu z nimi przed kilku dniami. Zasadzka, zorganizowana przez niego w lasku przy torze kolejowym, całkowicie się udała. Żaden z hitlerowców nie umknął. Wszyscy zostali na miejscu.

- A to dla was, towarzysz. Zdobyczy - powiedział, podając mi piękny „walterek”. - I zegarek, zamiast tego, który wtedy straciliście.

„Wrona” promieniał.

- Teraz już na tej drodze nie będą nikogo straszili - mówił. - A i szmuglerzy na kolei będą mieć większy spokój.

Nie mylił się. Na miejsce zlikwidowanej przez „Wronę” siódemki hitlerowców Niemcy nie przysłali już innej grupy. Był to okres, kiedy front wschodni pochłaniał wiele ofiar i żądał coraz to nowych danin.

Radowaliśmy się, że w okupowanym kraju - jakkolwiek w nieporównanie mniejszym stopniu - wypełnialiśmy jednak te same zadania, które na froncie wykonywali żołnierze radzieccy i nasi rodacy z dywizji kościuszkowskiej. Partyzanckie oddziały uwalniały od

wroga coraz więcej dróg, coraz częściej transporty niemieckie nie trafiały do miejsca przeznaczenia na froncie wschodnim.

Z zapomnienia

Wypadki z września 1939 roku i kres sanacyjnej administracji polskiej postawiły przed więźniami politycznymi - dotyczyło to zwłaszcza ludzi, którzy zaczęli dopiero odsiadywać wieloletnie wyroki - wielką szansę. Mogli, wyłamawszy nie strzeżone więzienne bramy, znaleźć się na powrót po ich lepszej stronie.

W warunkach rozpoczynającej się

okupacji poczucie wolności wydawać się mogło wprawdzie czymś bardzo problematycznym, ile jednak znaczyła nawet taka „wolność”, wiedzą dobrze ci wszyscy, którzy na Zamku w Lublinie czy w innych miejscach kaźni przeszli piekło karcerów i wszystkie wymyślne metody wymuszania zeznań. W ostatnim zwłaszcza okresie przed wojną, gdzieś od roku 1936, administracja więzienna z polecenia władz wyższych robiła wszystko, aby zadać ostateczny cios ruchowi lewicowemu. Stosowano najbrutalniejsze środki terroru i prowokacji. Bicie więźniów, pozbawianie ich na całe tygodnie sienników i koców, nalewanie wody do cel karcerów, twarde łoża - wszystko to

stało się zjawiskiem powszechnym. Więźniów politycznych prawie całkowicie pozbawiono prawa utrzymywania korespondencji z rodzinami i widzeń, ograniczono paczki żywnościowe, zmniejszono do piętnastu zaledwie minut czas codziennego spaceru, skonfiskowano materiały piśmienne i książki. Przytoczone tu niektóre tylko fakty nie mogą nawet w małym stopniu oddać atmosfery okrucieństwa, w jakiej następowało dławienie komuny więziennej. Nic dziwnego, że nawet okupacyjna rzeczywistość mogła oznaczać w życiu ciężko doświadczonych przez los ludzi poważną ulgę.

Dla nikogo nie było jednak tajemnicą, że hitlerowski okupant, po umocnieniu się w naszym kraju i zorganizowaniu swojej administracji, zastosuje terror wobec wszystkich patriotycznych elementów, zwłaszcza zaś wobec działaczy lewicowych, zarówno tych, którzy do czasu wojny cieszyli się wolnością, jak i tych, którzy we wrześniu opuścili mury więzienne. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że akcja represyjna zwrócona zostanie przede wszystkim przeciwko komunistom i ich sympatykom, których likwidacja stanowiła dla Niemców jeden z głównych celów.

W tych warunkach w największym niebezpieczeństwie znaleźli się znani

władzy sanacyjnej ze swej działalności i z procesów ludzie, których akta sądowe i raporty dotyczące nielegalnej pracy znajdowały się w pozostawionych przez defę archiwach, przejętych prawie w całości przez Niemców.

Nie było czasu do namysłu. Należało wykorzystać moment, dopóki istniała jeszcze pewna dezorientacja nowych władz okupacyjnych, i szybko zatrzeć za sobą ślady. Największe szanse dawała możliwość przedostania się za Bug, na tereny Związku Radzieckiego. Tam właśnie skryła się znaczna część znanych przed wojną przywódców komunistycznych. Znalazł się wśród nich także Antoni Nizioł - jeden z czołowych działaczy lewicowych Lubelszczyzny,

którego postać dziwnym zbiegiem okoliczności nie została dotychczas zbliżona czytelnikowi literatury wojenno-pamiętnikarskiej. Tym chętniej więc poświęcam mu nieco uwagi na kartkach swoich wspomnień.

Kilkumorgowe gospodarstwo na piaszczystej ziemi koło Janowa Lubelskiego nie mogło zapewnić licznej rodzinie Niziołów niezbędnego do egzystencji minimum. Dorabiano więc sobie w różny sposób, chwytając się nawet najcięższych i najmniej od strony finansowej efektownych zajęć, wszystko to razem jednak nie tylko nie zdołało zaspokoić stale rosnących potrzeb powiększającej się rodziny, ale nie mogło usunąć nawet podstawowych

braków w pożywieniu i odzieży.

Ojciec, muzykant-samouk, grywał na weselach, chrzcinach i innych uroczystościach rodzinnych. Starszy brat, Stanisław, pracował w lesie. Zarobki były jednak tak skromne, że nigdy nie równoważyły braków i na przednówku trzeba było nieraz przymierać głodem. Z jedenaściorga rodzeństwa sześcioro zmarło w wieku do lat sześciu, w pozostałej piątce w trudnych warunkach wychowywał się mały Antoś.

Urodził się w roku 1913. Jako chłopiec nieprzeciętnie zdolny od najmłodszych lat zdradzał wielkie zamiłowanie do nauki. Kiedy po ukończeniu szkoły

powszechnej w Janowie rodzice oznajmili mu, że z braku pieniędzy nie będzie mógł się dalej uczyć, chłopiec przeżywał wielki dramat. Przejęty do głębi, zaszył się na strychu szopy i cała rodzina musiała go długo szukać, zanim go wreszcie znalazła, ukrytego w słomie i zapłakanego. Po wypadku tym matka Antosia rada nierada udała się z prośbą do dyrektora gimnazjum w Janowie. Nie liczyła na jakąś finansową ulgę. Samo dostanie się do gimnazjum, nawet przy pełnej opłacie, stanowiło nie lada problem. Na szczęście dyrektor - człowiek doskonale zorientowany w korzyściach i przywilejach, jakie w rzeczywistości międzywojennej dawała matura, a przy tym znający

dobrze Antosia jako najlepszego ucznia w szkole powszechnej - nie tylko nie stawiał przeszkód, ale oświadczył wręcz, że trzeba zrobić wszystko, aby chłopiec mógł się dalej uczyć, i obiecał pomoc w przyjęciu go do gimnazjum. Słowa dotrzymał. Od tej pory w życiu Niziołów nastąpił okres szczególnie ciężki. Starszy brat, Stanisław i młodsza siostra, Wikcia, pracując ciężko po kilkanaście godzin dziennie przy wywózce drzewa z lasu, z trudem zarabiali na opłacenie szkoły Antosia w Janowie Lubelskim. Nie było innego wyjścia. Średnie i starsze pokolenie pamięta dobrze czasy sanacyjnej Polski, w której dla umożliwienia nauki jednemu musiała z wielkim

samozaparciem i całkowitym wyrzeczeniem pracować cała liczna rodzina chłopska, która w dodatku przy tym zbiorowym wysiłku mogła zapewnić uczącemu się tylko niezbędne minimum. Tak właśnie było u Niziołów, dla których jedyną zapłatą za ciężką pracę przez kilka lat była nadzieja, że kiedy Antoś ukończy szkołę i zdobędzie stanowisko, nie zapomni i wyciągnie ich z biedy.

W ten sposób, dzięki wielkiemu wysiłkowi najbliższych i wrodzonym zdolnościom własnym, Antoniemu Niziołowi udało się ukończyć w roku 1931 z wyróżnieniem liceum ogólnokształcące w Janowie Lubelskim. Być może, że te właśnie licealne lata,

w czasie których młody Antoś, ucząc się, dojrzewał i obserwował społeczną niesprawiedliwość i upokorzenie swojej chłopskiej rodziny, zadecydowały o jego dalszej drodze życiowej.

W roku 1932 Antoni Nizioł jest już członkiem Komunistycznej Partii Polski i wkrótce wchodzi w skład powiatowej trójki. Pracuje intensywnie nad rozwojem partii i uświadomieniem młodzieży wiejskiej, zorganizowanej w szeregach „Wici”. Jego życiowe marzenia nie zostały jednak jeszcze w pełni zrealizowane. Młody, pełen ambicji człowiek pragnie nadal się kształcić. Tym razem przychodzi mu z pomocą partia, która ułatwia mu wstąpienie na wydział inżynierii

Politechniki Warszawskiej.

Na uczelni Nizioł od razu nawiązuje kontakt z grupą zorganizowanej w „Życiu” akademickiej młodzieży postępowej, wśród której znajdują się między innymi tacy ludzie, jak Jerzy Albrecht, Sergiusz Minorski i Władysław Kuszyk.

Kiedy w roku 1934 odbywa się w Janowie Lubelskim, na skutek prowokacji niejakiego Kowalika, gajowego z Majdanu Obleskiego, proces tamtejszych działaczy komunistycznych, Antoni Nizioł jest wśród oskarżonych. Za swą działalność zostaje skazany na sześć lat więzienia. Karę odbywa początkowo w Janowie, a następnie w

Radomiu i w Sieradzu. W więzieniu nie marnuje również czasu. Pogłębia swą własną wiedzę i z polecenia komuny więziennej prowadzi intensywne doszkalaćanie towarzyszy niedoli. A że przypada to na okres wzmożonej represji w stosunku do więźniów politycznych, naraża się przy tym niemało więziennej administracji.

W roku 1938, korzystając z częściowej amnestii, Antoni Nizioł wychodzi na wolność i przystępuje natychmiast do kontynuowania przerwanych studiów i działalności politycznej. Trwa to jednak bardzo niedługo. Wybuch wojny i niespodziewanie szybki upadek państwowości polskiej zmuszają go do opuszczenia centralnej Polski, gdzie

znany jest ze swej rewolucyjnej działalności. Razem z wielu innymi polskimi komunistami Nizioł udaje się na tereny włączone do Związku Radzieckiego. W Białymstoku, a później we Lwowie, zbiera się niemalże całe akademickie „Życie” z Warszawy. Pomimo trudnego wojennego okresu razem z Jerzym Albrechtem, Popielem, braćmi Janem i Sergiuszem Minorskimi Nizioł dokształca się i rozwija bardzo aktywną działalność polityczną. Jest jednym z organizatorów związku byłych więźniów politycznych.

W 1940 roku bierze udział w wyborach do zgromadzenia narodowego i współpracuje z organizacją komsomolską we Lwowie, z którą po

rozpoczęciu przez Niemców agresji na Związek Radziecki ewakuuje się dalej na wschód.

Był to okres, kiedy znajdujące się u szczytu swej potęgi armie hitlerowskie zwycięsko parły na wschód, zdając się zagrażać niemal całemu światu. W dyskusjach politycznych nierzadko słyszało się opinię, że całkowite zwycięstwo Niemców nad Związkiem Radzieckim jest tylko kwestią czasu, a zadecydują o nim już najbliższe miesiące czy nawet tygodnie. Krzyżowały się teorie, przewidywania, domysły... Wśród ogólnej dezorientacji i zaskoczenia, wywołanego doznawanymi porażkami - tylko komuniści i inni trzeźwiejsi działacze

lewicowi nie stracili głowy i zdecydowanie przeciwstawiali się nastrojom panikarstwa i rezygnacji.

W okupowanej Polsce, w wyniku konspiracyjnej działalności komunistów, którzy pozostali w kraju, stopniowo przygotowywano już grunt pod utworzenie Polskiej Partii Robotniczej. Organizowano ruch oporu także i w innych państwach. Wiadomości, jakie w skąpych co prawda wymiarach, docierały do Nizioła zza granicy, potwierdzały istotną wówczas prawdę: na zapleczu wroga wyrastał drugi, podziemny, front, który w toczącej się walce mógł i powinien odegrać doniosłą rolę. W Jugosławii do walki przeciwko okupantowi coraz śmieiej występowali

partyzanci kierowani przez jugosłowiańskich komunistów z Józefem Broz Tito na czele. We Francji, również pod przewodnictwem komunistów, zaczął narastać ruch oporu, w którym niemały udział brali znajdujący się tam emigranci polscy. Coraz większe też obszary zajętego przez Niemców zachodniego terytorium Związku Radzieckiego pokrywały się gęstniejącą siecią oddziałów partyzanckich. Komuniści, ciesząc się poparciem postępowych, patriotycznych elementów, prowadzili w zajętych przez Niemców krajach nieprzejednaną walkę. Przebywający wówczas na terenie Związku Radzieckiego Nizioł doskonale zdawał sobie sprawę z potrzeby

mobilizacji postępowych sił politycznych w okupowanej Polsce. Kiedy więc nadarzyła się okazja, skwapliwie skorzystał z pomocy radzieckich towarzyszy, decydując się na powrót do kraju. Pewnej sierpniowej nocy 1941 roku samolot przewozi go daleko poza linię frontu, na tereny polskie, i zrzuca na spadochronie. Ile trzeba było odwagi i poświęcenia, aby po bardzo krótkim przeszkoleniu, a właściwie tylko po zapoznaniu się ze spadochronem i samolotem, zdecydować się na tak niebezpieczną przeprawę!

Jakie myśli mogły przebiegać przez głowę Nizioła, kiedy w ciemnych przestworzach spadochron opadał powoli, sprowadzając go na ojczystą

ziemię, na której panem był teraz hitlerowski okupant! Skąd mógł wiedzieć, na kogo natknie się po wylądowaniu?

Uzbrojony w krótką broń, z wielkim napięciem wpatrywał się w miejsce lądowania, usiłując przeniknąć wzrokiem ćmę nocy. Kiedy dotknął nogami ziemi - było to, na szczęście w lesie w pobliżu Wiązownej - szybko odpiął spadochron i starannie zakopał go w ziemi, aby zatrzeć wszelkie ślady swego przybycia.

Nie znając stosunków, jakie wytworzyły się w okupowanym kraju od chwili, gdy go opuścił, zaopatrzony w legitymację nie na swoje nazwisko, z zachowaniem

wszystkich środków ostrożności dociera do Warszawy do najbliższej mu osoby - Zofii Jaworskiej. Natychmiast też nawiązuje kontakt z obecnymi już w stolicy Jerzym Albrechtem, Frankiem Zubrzyckim i innymi towarzyszami. Zorientowany zostaje przez nich w sytuacji i szybko dochodzi do wniosku, że terenem jego pracy konspiracyjnej nie może być Warszawa. Za bardzo jest tu znany ze swej rewolucyjnej działalności. Zbyt wielu ma znających go przeciwników politycznych. Z tych samych względów nie chce również wracać na Lubelszczyznę, odmawiając sobie nawet odwiedzenia ukochanej matki i najbliższej rodziny, której poświęceniu

tak wiele zawdzięczał. Wie zresztą, że wyzwolenie ruch niepodległościowy, kierowany przez pozostałych w kraju towarzyszy, rozwija się tam już dość dobrze. Uwagę jego przyciągają teraz głównie Śląsk i Małopolska, z siedzibą gubernatora Franka i jego rządu - Krakowem. Tam jest przecież główne gniazdo wroga. Tam można w najeźdźcę uderzyć najcelniej i najskuteczniej. Z właściwą sobie odwagą i poświęceniem wybiera ten najbardziej niebezpieczny odcinek w naszej konspiracyjnej pracy. Wkrótce też przenosi się do Krakowa i wykorzystując stare kontakty, z całą energią przystępuje do zamierzonej działalności, obejmując nią Kraków

i ośrodki przemysłowe Śląska.

Intensywna musiała być ta działalność, skoro wywiad Franka już po kilku miesiącach pobytu Nizioła w tych stronach zorientował się, że w pobliżu siedziby generalnego gubernatora działa jakaś zorganizowana antyhitlerowska siła. Niemieccy agenci rozpoczynają polowania i obławy, następują aresztowania. W jednym z lokali konspiracyjnych zostaje zaskoczony w nocy przez hitlerowców także Nizioł. W chwili aresztowania nie zdołał zniszczyć obciążających go materiałów konspiracyjnych.

Blisko rok przebywa Nizioł w więzieniu na Montelupich w Krakowie. Pomimo

znalezionych przy nim rzeczowych dowodów antyhitlerowskiej działalności, w czasie długich i wymyślnych tortur zachował się, jak przystało na komunistę. Nie zdradził ani jednego nazwiska, nikt ze znanych mu towarzyszy nie został przez niego narażony na niebezpieczeństwo ze strony hitlerowców. Po przeszło rocznym śledztwie, gdy zawiodły wszystkie stosowane przez gestapo środków represji, na polecenie gubernatora Franka przewieziono Nizioła do Berlina. Jeszcze przez kilka miesięcy hitlerowcy - wiedząc, że mają w rękach jednego z ważniejszych polskich komunistów - będą próbowali za wszelką cenę wydobyć z niego

informacje dotyczące polskiego ruchu wyzwolenczego w Generalnej Guberni i nazwiska czołowych przywódców tego ruchu. Jednak dzielnego lubelskiego komunisty nawet w obliczu śmierci nie zdołały złamać berlińskie kazamaty i najokrutniejsze tortury. Hitlerowcy niczego się od niego nie dowiedzieli. Nie zdradził ani jednego nazwiska.

Z rozkazu samego Hitlera 21 lipca 1943 roku Antoni Nizioł został skazany na śmierć przez ścięcie toporem. W ostatnią noc przed śmiercią pisze do ukochanej matki i rodziny krótki list, w którym żegna się z życiem i z najbliższymi. Tak się złożyło, że list ten ocalał wraz z niemieckimi aktami więziennymi Nizioła. Oto jego treść:

Droga Matko!

Dziś umieram, odchodzę od życia. Widzicie, prędzej aniżeli Wy. Ciężkie życie moje było, mało miałem słońca, natomiast dużo cierpienia. Tak widocznie musiało być, na to nic nie poradzę. Taki mój los. Droga Matko, żyj jak najdłużej. Jest już po drugiej, o siódmej moja śmierć, jeszcze niecałe pięć godzin - koniec mojej męki. Stało się, tak widocznie musiało być. Kochana Matko, masz jeszcze Wiknę, Franka, Stacha. Wojna zabrała Jankę, zabiera i mnie. Bądź zdrowa, żyj jak najdłużej, abys była szczęśliwa

w ostatnie lata. Chciałem dla Ciebie, dla moich drogich szczęścia - cóż, nie powiodło się. Koniec mego życia. Droga Matko, prosiłem Zosię, żeby się Tobą opiekowała. Mam jeszcze parę godzin życia. Myślę o Ojcu. Nie mogę pisać więcej - życie jest takie, że nie można więcej żyć. Prześladowały mnie więzienia od początku. Sześć lat więzienia, najgorszy ten rok i pół roku ostatnie, stale miałem głód. Droga Matko, Franku, Stachu i Wikciu, moi drodzy, odchodzę od Was, nawet was widzieć nie mogę. Jeszcze cztery godziny życia mi zostało. Bądźcie szczęśliwi, życie

jak najdłużej, bądźcie szczęśliwi.
Wojna niedługo się skończy.
Będziecie pracowali i żyli, cieszyli
się i martwili, aż przyjdzie po kolei
i na Was czas, i każdy pójdzie
moim śladem. Pozdrowienia dla
sąsiadów, krewnych. Żegnajcie.

Antek

Kiedy wracamy myślą do okrutnych
czasów wojny, przypominają się nam
ludzie i wydarzenia, pamięć przywodzi
na nowo jakże bliskie niekiedy postacie
kolegów i przyjaciół, z którymi złączyło
nas wspólne życie, praca, walka,
a którym, jak nam, nie dane było
doczekać szczęśliwych czasów. Mnie
w takich chwilach staje przed oczyma

właśnie Antek. Młody, pełen energii i życia, bezkompromisowy w walce z faszyzmem, gotowy do wypełnienia każdego, najtrudniejszego nawet zadania, jakie kiedykolwiek stawiała przed nim partia. Antek, któremu rodzice, gospodarujący na lichej, piaszczystej ziemi w Białej Ordynackiej, nie mogli zapewnić szczęśliwego dzieciństwa i beztroskiej młodości. Antek, który w największym trudzie zdobywał wiedzę, który wiedział, że za wszystkie krzywdy ludzi uciemżonych w przedwojennej Polsce winę ponosi niesprawiedliwy ustrój, a nie ziemia ojczysta i naród, które on swoim młodym sercem tak głęboko ukochał. Jako żołnierz rodzącej się

wyzwoleńczej Armii Ludowej oddał życie w walce o społeczne i polityczne wyzwolenie ojczystej ziemi i o nowy, sprawiedliwy ustrój. Jeśli życie dzisiaj w Białej Ordynackiej toczy się tak zupełnie odmiennym trybem, nie mała w tym zasługa Antoniego Nizioła i innych podobnych jemu żarliwych bojowników narodowej sprawy, którzy sami wprawdzie przegrali, ale których wysiłek był pomostem w szczęśliwą przyszłość narodu.

Poszukiwania

Rozpalająca się coraz bardziej walka zbrojna na Lubelszczyźnie południowej

zmusiła Dowództwo Główne GL już w 1942 roku do utworzenia Obwodu II, o specjalnej, odpowiadającej potrzebom walki, strukturze organizacyjnej. Chodziło tu przede wszystkim o zagadnienia czysto wojskowe, wynikające z konieczności udzielenia pomocy zbrojnej ludności Zamojszczyzny i z potrzeby propagandy bojowej, która już wtedy odgrywała wielką rolę nie tylko w stosunku do ludności, ale nawet w odniesieniu do organizacji kierowanych przez rząd londyński.

Był to z jednej strony okres stale wzrastającego terroru i pacyfikacji, przeprowadzanych coraz bardziej masowo przez rozwścieczonych klęską

stalingradzką hitlerowców, z drugiej - okres narastającego entuzjazmu i wiary w szybkie wyzwolenie narodu polskiego.

Do walki z szalejącym terrorem i pacyfikacjami na Zamojszczyźnie utworzona została - zgodnie z decyzją KC PPR i Dowództwa GL - grupa operacyjna im. T. Kościuszki pod dowództwem Grzegorza Korczyńskiego. Zastępcą „Grzegorza” do spraw politycznych (komisarzem) był również dąbrowszczak, człowiek o bogatym doświadczeniu, Józef Spiro - „Józef”.

W skład grupy operacyjnej wchodziły następujące oddziały:

- 1) oddział kadrowy im. T.

Kościuszki (dowódca Andrzej Flis, zastępca dowódcy - Mikołaj Greczkin);

2) oddział im. J. Dąbrowskiego (dowódca Antoni Paleń - „Jastrząb”, zastępca - Zabołotnikow);

3) oddział im. M. Szczorsa (dowódca; Wasilij Wołodin, zastępca - Anatol Jakowlew);

4) oddział im. Kotowskiego (dowódca Umer Achmoły Adamanow - „Miszka Tatar”, zastępca - Wasilij Połuńcew);

5) oddział im. Berka Joselewicza (dowódca Edward Forst);

6) oddział ochrony grupy operacyjnej (dowódca Jan Choina,

późniejszy szef sztabu grupy operacyjnej):

7) oddział pod dowództwem Cieńcowa.

Rozwój walki i wzrastająca masowość organizacji na Lubelszczyźnie zmusiły Komitet Centralny PPR i Dowództwo Główne GL do podporządkowania Obwodu Komitetowi PPR w Lublinie i dowództwu Obwodu II GL kilku powiatów z sąsiednich województw. Były to powiaty: Nisko i Tarnobrzeg z województwa rzeszowskiego oraz Siedlce, Węgrów i Sokołów z województwa warszawskiego.

W ten sposób rozszerzono możliwości działania Gwardii Ludowej na

Lubelszczyźnie, która w tym okresie była przodującym województwem, jeśli chodzi o ruch wyzwoleniczy i wzrost GL.

Nowo utworzonemu dowództwu Obwodu II GL, którego pierwszym komendantem został Michał Wójtowicz - „Zygmunt”, a po jego śmierci Mieczysław Moczar - „Mietek”, po rozszerzeniu jego granic działania podlegało osiemnaście powiatów.

Ogólna liczba członków GL, uzbrojonych lub częściowo uzbrojonych, którzy byli zdolni do wykonywania akcji bojowych, wynosiła wiosną 1943 roku około 2000. Byli to ludzie ujęci już w ramy organizacji wojskowych. Każdy z nich wiedział, do jakiej grupy, plutonu

czy oddziału należy, i znał dobrze swoich dowódców. Gwardziści byli już objęci szkoleniem i instruowani w walce z okupantem. Większość tych ludzi wchodziła w skład regularnych oddziałów leśnych, reszta stanowiła garnizonowe grupy wypadowe.

W skład Obwodu II GL wchodziły dwa okręgi: okręg lubelski (powiaty: janowski, puławski, krasnostawski, biłgorajski, tomaszowski, zamojski, hrubieszowski, włodawski, lubartowski, chełmski, lubelski, nizański i tarnobrzeski) oraz okręg siedlecki (powiaty: siedlecki, węgrowski, sokołowski, bialskopodlaski i radzyński).

Na czele każdego okręgu sprawując kierownictwo polityczne, stał komitet okręgowy PPR w składzie trzech osób: sekretarz, technik i skarbnik. Struktura ta przejęta została po dawnej KPP. Kierownictwo wojskowe okręgu należało do dowództwa w składzie: dowódca okręgu, szef sztabu, kierownik zaopatrzenia, szef wywiadu i jeden lub dwóch adiutantów. Taka struktura organizacyjna była podyktowana potrzebą ówczesnej chwili, koniecznością sprężystego kierowania walką, jak również stałym wzrostem szeregów GL.

Stan organizacyjno-mobilizacyjny Obwodu II GL charakteryzuje rozkaz jego dowództwa z dnia 18 lutego 1943

roku, w którym czytamy m. in.:

Do Komend Okręgowych Obwodu

W myśl rozkazu Komendy Głównej Gwardii Ludowej Komendzie II Okręgu rozkazuje się:

1. Objęcie kierownictwa tak oddziałów polowych, jak i garnizonowych w swoim okręgu.
2. Praca Komendy Okręgowej.

Dowództwo okręgowe, znając swe siły, winno kierować nimi w sensie jak największego wykorzystania ich możliwości. Przy rozmieszczeniu sił winno uwzględnić rozmieszczenie ich przy ważnych szlakach komunikacyjnych

i telegraficznych z nakazem uwielokrotnienia roboty dywersyjnej na tychże szlakach.

3. Praca w garnizonie.

Wzmocnić pracę w garnizonach, powiększając ją, przeszkalając partyzantów we wszystkich oddziałach i garnizonach, przeprowadzać alarmy i ćwiczenia, wzmocnić dyscyplinę. Powiązać pracę garnizonu z pracą grup bojowych. Każda drużyna garnizonu winna przynajmniej raz na tydzień przeprowadzać robotę bojową. Przeprowadzać spis garnizonów według specjalności.

4. Mobilizacja i koncentracja.

Wyznaczyć punkty mobilizacyjne

i koncentracyjne naszych sił.

5. Obrona ludności cywilnej.

Wobec grozy położenia, niszczenia żywych sił narodu i jego mienia przez cofające się siły wroga nakazuje się wyszukanie miejsc dla pomieszczenia i obrony ludności cywilnej.

KOMENDA OBWODU

Kap[itan] Gwardii Lud[owej]

Kazik

Kap[itan] Gwardii Lud[owej]

Kirpiczny

Usprawnienie organizacji i działania było jednym z najważniejszych problemów, któremu na zebraniach i

konferencjach poświęcano w tym czasie szczególnie wiele uwagi.

Podjęmowano próby wprowadzenia różnych form i metod organizacyjnych w celu podniesienia poziomu i prężności organizacyjnej. Jedną z nich była próba podziału okręgu lubelskiego na cztery rejony organizacyjne. Rejon pierwszy miał obejmować powiaty: janowski, puławski, krasnostawski, rejon drugi - powiaty: biłgorajski, tomaszowski, zamojski i hrubieszowski, rejon trzeci - powiaty: włodawski, lubartowski i chełmski oraz rejon czwarty - powiat i miasto Lublin. Była to próba, która nie zdała egzaminu. Podobnych prób, przeważnie udanych, podejmowano więcej. Były one zasługą niewielkiej

grupy ludzi, którym dobre imię GL i skuteczne działanie leżało na sercu. Należeli do nich przede wszystkim: Michał Wójtowicz - „Zygmunt”, Kazimierz Sidor - „Kruk”, Jan Sławiński - „Gruby Jan” i inni.

Odprawy komendantów okręgów na szczeblu obwodu oraz komendantów powiatów na szczeblu okręgu odbywały się bardzo nieregularnie i nie częściej niż raz na kilka tygodni.

Obok wysiłków zmierzających do usprawnienia organizacyjnego kładziono coraz większy nacisk na szkolenie, które było drugim z kolei problemem wielkiej wagi. W tym celu latem 1943 roku dowództwo GL na naszym terenie

wydało specjalne polecenie, aby wyszukiwać ludzi, którzy mogliby pełnić funkcje instruktorów wojskowych i szkolić regularne szeregi GL w ich bazach leśnych. Chodziło tu przeważnie o podoficerów nadterminowych i służby czynnej, których dużo siedziało po wsiach, oraz o nielicznych byłych młodszych oficerów zawodowych pochodzących z rodzin chłopskich.

Sprawy te były regulowane już od początku 1943 roku specjalnie wydawanymi rozkazami. Pierwszy taki rozkaz ukazał się w marcu 1943 roku:

ROZKAZ NR 1

Do powiatowych Dowództw GL i Komitetów Pow. PPR

Wkroczyliśmy w okres walk
przełomowych. Ponieważ Dow.
Pow. nie doceniały dotychczas
należycie powagi chwili, co
pociągnęło za sobą bardzo
poważne niedociągnięcia
organizacyjno-bojowe, Komenda
Okręgowa wydaje niniejszy rozkaz,
który bez względu na trudności
różnego rodzaju bezzwłocznie musi
być zrealizowany.

I. Umasowienie i uporządkowanie GL

1. Z kół zdecydowanych sympatyków zmontować sekcje, drużyny i plutony GL i w raportach nie podawać ilości członków, tylko ilość sekcji, drużyn czy plutonów.

2. Udziiesięciokrotnie ilość sekcji przez zakrojoną na szeroką skalę akcją propagandową.

3. Każda sekcja co najmniej raz w tygodniu musi przerobić jedno z następujących ćwiczeń:

a) wspólne czytanie „Gwardzisty” i pogadanka polityczna;

b) nauka o broni i jej użyciu;

c) ćwiczenia bojowe walk partyzanckich;

d) alarm w pełnym

oporządzeniu i inne zajęcia.

4. Przeprowadzić ankietę wśród gwardzistów według ich specjalności wojskowych.

II. Praca bojowa

1. Wszystkie sekcje bez względu na stan uzbrojenia w każdym tygodniu przeprowadzą jedną z niżej wymienionych akcji bojowych i sekcjni czy drużynowi zameldują w raporcie o wykonaniu w określonym terminie:

a) rozkręcenie szyn kolejowych lub podkop;

b) wywrotki założyć lub kliny;

c) podkład kolejowy

w poprzek szyny.

2. Zrzywanie słupów telefonicznych na torach kolejowych, szosach i drogach, wycinanie drutów, tłuczenie izolatorów, krótkie spięcia itp. [...] Demolować stacje i urządzenia kolejowe, aparaty telefoniczne, posterunki i oczyszczać tereny od szpiclów i innych wrogów ludu.

3. Akcje propagandowa. Grupy częściowo uzbrojone wykorzystują każde zgromadzenie ludności w wioskach i gminach, organizując wiece propagandowe, popularyzując GL celem pokonywania oporu w pracy bojowej. Montować narodowe

komitety walki i samoobrony.

III. Rozszerzyć strukturę dowództw powiatowych w terminie dziesięciodniowym

1. Wydział wyszkolenia. Przygotować do szkoły gwardzistów, którzy się już odznaczyli w pracy org. [anizacyjno]-bojowej, oraz lokale do szkolenia i jeśli są specjaliści wojskowi, zaangażować ich w charakterze instruktorów.

2. Wydział sanitarny.

3. Wydział mobilizacyjno-operacyjny. Zorganizować punkty mobilizacyjne i w terminie

dziesięciodniowym postawić oddział partyzancki chociażby w sile jednej drużyny, gdzie odsyłać wszystkich ochotników.

IV. Struktura i praca dowództw powiatowych

Aby sprostać powyższym zadaniom, należy wzmocnić dowództwa powiatowe przez postawienie następujących wydziałów: 1) operacyjny, 2) gospodarczy, 3) informacyjny, 4) mobilizacyjny, 5) szkoleniowy, 6) sanitarny.

V. Wywiad

Zarządza się: 1) Sporządzić szkice orientacyjne pow.[iatu]. Pilnie śledzić ruchy żandarmerii i policji i o wszystkich zmianach meldować. Dokładnie poznać przeciwnika wewnętrznego, tj. wszystkie reakcyjne ugrupowania polityczne i wojskowe, ich siłę [...] ich stosunek do okupanta, do ZSRR i do nas.

VI. Rozkazy i raporty

Za zlekceważenie i niewykonywanie rozkazów dowództw pociągać się będzie do odpowiedzialności. Dow. Pow.

w dzień ustalony każdego tygodnia sporządzać będą raporty na podstawie rozkazu nr 3 Gł. Dowództwa GL. Raporty będą pobierane przez kuriera.

Za wykonanie niniejszego rozkazu w podanym terminie odpowiedzialność ponoszą Dow. Pow. GL i Komitet PPR.

DOWÓDZTWO OKRĘGOWE^[11]

Marzec 1943 r.

Na czele powiatu stało dowództwo powiatowe GL w składzie: komendant powiatowy GL, szef sztabu, kierownicy: operacyjny, mobilizacyjny i sanitarny, oraz kierownicy informacji, wyszkolenia

i zaopatrzenia. Odpowiedzialność za całość pracy GL w powiecie ponosił komendant powiatowy. Kierownicy wydziałów gospodarczego i mobilizacyjnego działali w terenie. Kierownik wyszkoleniowy prowadził wyszkolenie bojowe w powiecie. Kierownik operacyjny dowodził najczęściej oddziałem partyzanckim i był zobowiązany uczestniczyć w odprawach dowództwa. Szef sztabu kierował działalnością wszystkich wydziałów. Komendant, pozostający w bezpośrednim kontakcie z szefem sztabu, zobowiązany był orientować się w stanie organizacyjnym i wzroście Gwardii Ludowej w powiecie oraz należycie kierować pracą operacyjną.

Członkowie dowództwa powiatowego dzielili między sobą powiat na kilka gmin. Mieli w ten sposób możliwość wglądu w pracę poszczególnych dowództw gminnych.

Organizacja dowództw gminnych była w zasadzie taka sama jak powiatowych, z tym, że dowództwa gminne nie rozbudowywały sztabu w postaci wydziałów. Dowództwa gminne odbywały raz w tygodniu zebranie, na którym zazwyczaj obecny był członek dowództwa powiatowego.

Często na szczeblu powiatu i gminy dowództwa nazywane były powiatowymi lub gminnymi komendami GL.

Rozwój sytuacji na terenie Lubelszczyzny w 1943 roku potwierdził słuszność założeń kierownictwa GL - szerokiej rozbudowy organizacyjnej Obwodu II i przygotowania warunków do rozwinięcia w większej niż dotychczas skali walki zbrojnej. Następuje gwałtowny rzeczywisty i potencjalny wzrost sił GL. Wyrażał się on nie tylko w tym, że Gwardia Ludowa obejmowała zasięgiem swoich wpływów nie tknięte dotychczas tereny, ale także w rozwoju struktury organizacyjnej. Szybki wzrost szeregów GL na Lubelszczyźnie wyrażał się wówczas głównie w powstawaniu nowych placówek i garnizonów, oddziałów partyzanckich oraz

w masowym napływie ochotników, pragnących znaleźć się w ich szeregach. Wyrażał się także we wzroście na tym terenie roli i wpływów Gwardii Ludowej, w umasowieniu i rozszerzaniu zakresu działalności bojowej oddziałów, w życzliwości coraz szerszych kręgów społeczeństwa, które - obserwując postawę różnych ugrupowań - angażowało się uczuciowo po stronie tych, którzy za swój pierwszy i najważniejszy cel postawili bezwzględną walkę o wolność narodu.

W wyniku napływu ochotników do grup wypadowych w garnizonach stan liczebny gwardzistów z grup wypadowych w obwodzie - jak podaje raport nr 17 dowództwa obwodu z maja

1943 r. - wzrósł do 568. Tak np. w powiecie lubartowskim liczba gwardzistów w grupach wypadowych wzrosła do 90, a w powiecie włodawskim - do 150. Powstawały jednocześnie nowe grupy. W przodującym powiecie kraśnickim liczba grup wypadowych wzrosła w maju do 170.

W garnizonach GL gmin Annopol i Dzierzkowice (powiat janowski) po odejściu z tych terenów w lutym oddziału im. T. Kościuszki powstały grupy uderzeniowe. W porozumieniu z dowództwem obwodowym z grup tych przesyłano przeszkolonych ochotników do formujących się w tym czasie w lasach lipskich pod dowództwem

„Grzybowskiego” (Władysława Skrzypka) i „Bogdana” (Aleksandra Szymańskiego) oddziałów partyzanckich.

Grupy wypadowe w garnizonach i placówkach, mimo swej dużej liczebności, nie przejawiały na ogół większej działalności bojowej. Dowództwo obwodu, charakteryzując sytuację w terenie, w raporcie nr 14 z połowy maja m. in. stwierdziło, że główną przyczyną takiego stanu rzeczy jest niemal kompletny brak broni w grupach wypadowych i niedostateczna jej ilość w regularnych oddziałach partyzanckich. Siłę bojową przy zetknięciu z Niemcami niezwykle osłabiał także brak broni maszynowej

i niedostateczne wyposażenie partyzantów w amunicję. W powiatach włodawskim, chełmskim i zamojskim - jak stwierdza wspomniany raport - sytuacja wytworzyła się taka, że można byłoby iść na masowe powstanie, gdyby nie brak broni. Jest sprawą oczywistą, że gdyby nawet posiadano odpowiednie siły i środki, powstanie w owych trzech powiatach - w ówczesnej konkretnej sytuacji politycznej i wojskowej - nie miałoby żadnych szans powodzenia, niemniej jednak raport jest bardzo wymowny jako dokument patriotycznej postawy społeczeństwa Lubelszczyzny.

Wiosną 1943 roku znacznie wzrosła liczba oddziałów partyzanckich i ich stan. O ile w lutym i marcu działało

sześć stałych oddziałów polowych (im. Kościuszki, im. Dąbrowskiego, im. Mickiewicza, im. Emilii Plater, im. Bema, im. Narutowicza), to do maja liczba oddziałów wzrosła do dziesięciu. Grupowały one wówczas ponad 360 gwardzistów. W skład GL w Obwodzie II weszły nowe oddziały - im. Szczorsa, „Miszki Tatara”, im. Kotowskiego, im. Czapajewa, im. Waryńskiego.

Aktywna działalność Gwardii Ludowej, wyrażająca się w stałym wzroście bojowych i udanych najczęściej akcji, w wielu wypadkach zachęcała do walki także chłopów spoza naszej organizacji. Były wypadki - choćby podczas akcji pierwszomajowej w 1943 roku, którą osobiście dowodziłem - że chłopci, nie

mając broni, z siekierami i kosami szli pomagać partyzantom.

Ludzie nie zorganizowani często pomagali nam, jak mogli, w wykonywaniu różnych akcji bojowych i dywersyjnych. Byli naszymi najlepszymi sprzymierzeńcami w terenie. Kiedyś, jesienią 1943 roku, dziesięć samolotów radzieckich „Douglas” zrzuciło w rejonie lasów lipskich wiele zasobników z bronią i amunicją na spadochronach. Piloci - na skutek złych warunków zrzutu - rozrzucili zasobniki w promieniu kilkunastu kilometrów. Niektóre spadły poza obrębem lasu na chłopskie pola. Mimo to nic nam nie zginęło. Chłopi byli tak z nami zżyci i zorientowani

w sytuacji, że wszystkie zasobniki, które znaleźli rano na swoich polach, sami przywieźli na własnych wozach do oddziałów w lesie. Przy ich pomocy do godziny jedenastej następnego dnia udało się nam zebrać wszystkie zasobniki. W nagrodę za to otrzymali spadochrony, z których wiejskie kobiety szyły bieliznę dla siebie i dla partyzantów. Nasi pomocnicy radowali się na widok nowiutkiej broni, do której aż się oczy śmiały, zacierali ręce z zadowolenia, gdy w gazetach - które zwykle otrzymywaliśmy ze Związku Radzieckiego wraz ze zrzutem broni - czytaliśmy o sukcesach na froncie wschodnim i rozwoju naszej 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Słuchali

i sami czytali ze łzami wzruszenia w oczach.

Takie dowody solidarności w coraz szerszych kręgach społeczeństwa i poparcia udzielanego słusznej sprawie zawsze nas najbardziej cieszyły.

Pod Stawkami

Mijały partyzanckie dni. Niespokojne i pracowite, wypełnione bez reszty ryzykiem i trudem walki, czasem osłodzone zwycięstwem, to znowu pełne żałoby po stracie kogoś bliskiego. Surowa okupacyjna rzeczywistość nie pobłażała nikomu. Ludzie żyli w nerwowym napięciu, z dnia na dzień,

nie wiedząc, co przyniesie jutro. W miarę jak rosły niepowodzenia na wschodzie, okupant coraz bardziej grabił wieś polską, stosując z całą bezwzględnością nieludzki terror.

Nasłuchiwaliliśmy wieści z dalekiego jeszcze wówczas frontu, ufni w słuszność sprawy, o którą w szeregach gwardyjskich od wielu już miesięcy toczyliśmy walkę. Walka ta wtedy, w roku 1943, przybierała charakter coraz bardziej zorganizowany.

Gwardia Ludowa dysponowała już dobrym, sprawnie działającym wywiadem, który w pracy swej potrafił we właściwy sposób wykorzystać życzliwość i poparcie, z jakimi

działalność nasza spotykała się w szerokich kręgach społeczeństwa. Można bez przesady stwierdzić, że wszędzie, gdzie istniało jakiegokolwiek życie w terenie, mieliśmy już w tym czasie zaufanych ludzi, którzy sprawie naszej - jakże nierównej i niełatwej - walki z wrogiem oddawali różnorodne i nieocenione usługi. Liczyła się każda pomoc - i ta bardziej częsta, okazywana przez ogół społeczeństwa, a wyrażająca się w nakarmieniu głodnego gwardzisty, ukryciu go czy upraniu partyzanckiej koszuli, i ta znacznie rzadsza, a niezwykle ważna, polegająca na dostarczaniu nam niezbędnych informacji o wrogu czy choćby ostrzeżeniu przed grożącym z jego strony

niebezpieczeństwem.

Czasem spotykaliśmy się z wypadkami nader osobliwymi, bywało bowiem i tak, że na usługach naszych pozostawali rodowici Niemcy. Jeden z takich faktów miał miejsce w Rzeczy Ziemiańskiej. Owym nietypowym Niemcem okazał się Rudolf Keller, nauczyciel, który jeszcze przed wojną uczył mnie w rzeczyckiej szkole matematyki i śpiewu. Później, w czasie okupacji, zajmował dość wysokie stanowisko w administracji niemieckiej.

Zgodnie z ludowym porzekadłem „Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi” Keller - długoletni mieszkaniec naszych okolic - wiedział wiele o ludziach, znał ich

dobrze z przekonań politycznych. Nie stanowiła dla niego tajemnicy działalność „Alego” i innych aktywistów ludowego ruchu oporu w okolicznych wsiach. Mimo to nie tylko, że nigdy nie zdarzyło się nic takiego, co mogłoby wskazywać na jego wrogą w stosunku do nas postawę, ale prawie przez cały czas naszej okupacyjnej działalności korzystaliśmy z informacji, jakich nam w tajemnicy udzielał. Często mogliśmy słuchać nawet radia, które za jego wiedzą udostępniała nam Kellerowa.

Wiadomości uzyskiwane od Kellera w wielu wypadkach chroniły naszych ludzi przed „wpadką” i umożliwiały wprowadzenie w błąd hitlerowców.

W partyzanckiej taktyce wywiad ma o wiele większe znaczenie niż w działaniach frontowych regularnych wojsk. Partyzancki dowódca rzadko kiedy może liczyć na przewagę sił. Najważniejszym czynnikiem, decydującym o powodzeniu działania jego oddziału, będzie zawsze zaskoczenie, a to - bez sprawnie działającego, wszechstronnego wywiadu - jest wręcz niemożliwe. Aby zapewnić sukces planowanej akcji, partyzancki dowódca musiał przede wszystkim dokładnie poznać cel ataku i teren, na którym zamierzano akcji dokonać, a potem dopiero zabierał się do przygotowywania ludzi i niezbędnych środków.

Gdzieś w połowie sierpnia przyjechał do mnie nasz wywiadowca z Lublina, niejaki Jurowski, który wraz ze swymi towarzyszami - Ryszardem Postowiczem (pseudonim „Murzyn”), Józefem Radajewskim i innymi pracownikami węzła kolejowego w Lublinie - oddawał naszej organizacji nieocenione usługi. To dzięki ich zabiegom znaleźliśmy wystarczająco dobrze rozkład jazdy różnego rodzaju pociągów, co pozwalało nam z niewielkimi pomyłkami planować akcje na wybrane transporty niemieckie, zdążające na wschód.

Jurowski powiadomił mnie, że zgodnie z informacjami, jakie w tej sprawie udało mu się zdobyć, w najbliższych

dniach linią kolejową Lublin-Rozwadów ma przejeżdżać pospieszny pociąg osobowy, wiozący niemieckich oficerów z frontu wschodniego na urlop do Rzeszy. Oczywiście, nie mogliśmy w tym czasie życzyć sobie lepszej okazji do wykonania jeszcze jednego dotkliwego uderzenia w najbardziej czułe miejsce wroga. Dlatego z przekazanej informacji postanowiliśmy skorzystać. W tym celu tego samego jeszcze dnia spotkałem się z „Grzybowskim”, który znajdował się ze swym oddziałem w lasach lipskich. Zapadła wstępna decyzja: pociąg zostanie wykolejony w pobliżu Zaklikowa. Zadanie przygotowania samej akcji i jej realizację wziął na

siebie „Grzybowski”, mnie natomiast przypadł obowiązek dokładnego ustalenia daty i godziny przejazdu pociągu na odcinku Kraśnik-Zaklików i dostarczenia tej wiadomości na czas „Grzybowskiemu”.

Aby możliwie najlepiej wywiązać się ze swego zadania, omówiłem z Jurowskim sprawę w najdrobniejszych szczegółach. Miał pilnie śledzić ruch kolejowy i w porę powiadomić mnie o wyjściu interesującego nas pociągu z Lublina. Sposób przekazania informacji: telefonicznie, umówionym szyfrem do zawiadowcy stacji kolejowej w Rzeczycy, Rabie ja, skąd z kolei natychmiast miano ją przekazać do spółdzielni w Rzeczycy Ziemiańskiej,

gdzie pod opieką naszej nieocenionej „Kumy” oczekiwać miał - w dzień z rowerem, w nocy z koniem - specjalny łącznik z zadaniem jak najszybszego doręczenia otrzymanej informacji „Grzybowskiemu”.

Już następnego dnia „Grzybowski” powiadomił mnie o swojej gotowości do wykonania akcji. Określił dokładnie jej miejsce - w pobliżu wioski Stawki. Prosił tylko, aby informacja z Lublina nie przyszła za późno.

Trudno było przewidzieć, jak potoczą się wypadki. Zadanie Jurowskiego nie było wcale łatwe. W związku z dającym się ostatnio zaobserwować nasileniem akcji partyzanckich, skierowanych na

szlaki komunikacyjne wroga, Niemcy starali się utrzymać w tajemnicy dokładny termin przejazdu pociągu. Do wiadomości kolejarzy podali datę o jedną dobę wcześniejszą. Na szczęście nasi lubelscy kolejarze zdobyli już niejaki doświadczenie w rozszyfrowywaniu różnych niemieckich kombinacji kolejowych. Mimo to uprzedzili nas oni, że pociągu trzeba będzie - być może - pilnować przez parę dni.

Przygotowania do akcji zostały zakończone. Oczekiwano tylko sygnału od Jurowskiego o wyjściu pociągu z Lublina w kierunku na Rozwadów.

Zagubiona wśród lasów i pól wioska

Stawki, w pobliżu której „Grzybowski” zaplanował realizację naszego zamysłu, leży mniej więcej na czwartym kilometrze na północ od Zaklikowa. Biorąc pod uwagę, że z Lublina do Stawek jest około dziewięćdziesięciu kilometrów, doszliśmy do wniosku, że pociąg pospieszny, zatrzymujący się po drodze tylko w Kraśniku, odcinek ten pokona mniej więcej w półtorej godziny.

„Grzybowski”, podciągawszy ze swym oddziałem do rejonu zaplanowanej akcji, trwał w pełnym napięcia oczekiwaniu. Ja, niestety, biorąc udział w dotychczasowych przygotowaniach, nie mogłem osobiście uczestniczyć we wszystkich związanych z akcją

emocjach. Obowiązki moje w tym czasie zmuszały mnie do opuszczenia powiatu kraśnickiego. Sprawdziłem raz jeszcze przygotowany przeze mnie „system alarmowy” i życząc kolegom powodzenia, odjechałem.

Jak poinformowano mnie potem, pospieszny pociąg urlopowy wyjechał z Lublina 19 sierpnia o godzinie 23.00. W piętnaście minut później zawiadowca stacji w Rzeczyicy wiadomość o tym mógł już przekazać oczekującemu u „Kumy” łącznikowi, który pięciokilometrową odległość z Rzeczyicy do Stawek przeskoczył na koniu galopem w kilkanaście minut. W ten sposób o godzinie 23.35 „Grzybowski” miał już dokładne dane.

Do nadejścia pociągu pozostawała najwyżej jedna godzina. Zadanie nie było łatwe. Przed „Grzybowskim”, jako dowódcą akcji, piętrzyły się w toku jej przygotowywania trudności, typowe zresztą w tamtym okresie dla całej naszej ludowej partyzantki.

Jedną z zasadniczych różnic między działaniami oddziałów partyzanckich a walką frontową wojsk regularnych jest, jak wiadomo, to że jednostki partyzanckie, w przeciwieństwie do regularnych, nie mają stałego zaopatrzenia w broń, amunicję, żywność, umundurowanie itp. Partyzancki dowódca poza samą walką, prowadzoną w bardzo zmiennych i trudnych warunkach, musi dużo czasu

i wysiłku poświęcić problemom stałego dozbrajania i zaopatrywania swojego oddziału we wszystko, co potrzebne do jego życia i walki. Najczęściej nie ma on kwatermistrza jednostki wyższego szczebla, w skład której wchodzi jego oddział, i nie może się do niego zwrócić z konkretnym zapotrzebowaniem. Taktyka partyzancka między innymi polega na tym, że każdy oddział jest samodzielną jednostką, zarówno pod względem działania bojowego, jak i zaopatrzenia. W związku z tym decyzja dowódcy oddziału partyzanckiego co do wyboru miejsca i sposobu przeprowadzenia jakiejś akcji zależy w dużo większym stopniu niż w wojskach regularnych od stanu

uzbrojenia i wyposażenia. W większości wypadków partyzancki dowódca nie może liczyć na sąsiadów, których z reguły nie ma. Musi zawsze polegać na własnych siłach i pamiętać o ubezpieczeniu się ze wszystkich stron.

Oddział „Grzybowski” nie dysponował w tym czasie materiałem wybuchowym. Dlatego planując akcję, od początku zdawaliśmy sobie sprawę, że trzeba ją będzie przeprowadzić w jakiś inny sposób. „Grzybowski” musiał więc dokonać wyboru nie tylko miejsca, ale i sposobu, zapewniającego skuteczną realizację postawionego zadania. Wybór zresztą był prosty - skoro brakło podstawowych w takich wypadkach materiałów wybuchowych,

trzeba było w inny sposób spowodować wykolejenie pociągu. Postanowiono rozkręcić szyny i usunąć ich część.

Wymijając od zachodu samotną, zagubioną wśród pól niewielką wioskę Stawki, tor kolejowy biegnie po niewielkim nasypie i bierze zakręt w prawo. To właśnie miejsce najbardziej odpowiadał zamiarom „Grzybowskiego”.

Noc była widna, księżycowa, nie zakłócona - zdawało się - najłżejszym nawet szmerem. Ludzie „Grzybowskiego” w milczeniu i ostrożnie, jak duchy, zbliżali się do wyznaczonych stanowisk, z których - zgodnie z planem dowódcy - mieli

zaatakować przejeżdżających hitlerowców. Jako pierwsza posuwała się grupa ubezpieczeniowa. W pobliżu toru miała się ona podzielić na dwie mniejsze grupy. Uzbrojone w broń maszynową, miały one zająć stanowiska w odległości dwustu metrów od miejsca planowanej akcji, jedna od strony Zaklikowa, druga od strony Rzeczycy. Następną grupą, wyposażoną w niezbędne narzędzia, miała za zadanie - już po zajęciu stanowisk przez grupę ubezpieczeniową - szybko rozkręcić na złączach szyny i odciągnąć koniec jednej z nich na bok. Wykonawszy swoje zadanie, partyzanci z tej grupy mieli dołączyć do pozostałej, trzeciej części oddziału, przed którą stało

najważniejsze zadanie - zaatakowanie pociągu po jego wykolejeniu się.

Około godziny 24.00 ludzie „Grzybowskiego” znaleźli się wraz ze swym dowódcą na stanowiskach.

Do pewnego czasu wszystko przebiegało zgodnie z planem. Dopiero gdy przystąpiono do rozkręcania szyn, nastąpiła rzecz zgoła nieoczekiwana - od strony Lublina nadjeżdżał pociąg towarowy, który na polecenie Niemców został wypuszczony ze stacji w Rzeczy. W ten sposób mieli oni zwyczaj sprawdzać tory kolejowe przed wszystkimi ważniejszymi transportami. Nie stanowiło to dla nikogo tajemnicy, a mimo to - jak mi potem opowiadał

„Grzybowski” - wśród partyzantów nastąpiło zamieszanie. Zdenerwowani ludzie - przejęci swoim zadaniem i już niemal pewni sukcesu - sądzą, że wszystko przepadło. Ukryci za dobrze maskującymi świerkami, rosnącymi po jednej stronie wzdłuż toru, trwają w napięciu. Wszyscy myślą o jednym: przejdzie czy też rozluźwane już częściowo złącza szyn ustąpią do reszty i pociąg wykolei się? Oznaczałoby to zupełne pokrzyżowanie planów, pociąg urlopowy bowiem zostałby przez Niemców zatrzymany przed dojściem do Stawek.

Wszystkie oczy wpatrują się w jedną stronę. Widoczny w księżycowej poświacie parowóz rośnie. Jeszcze

dwieście metrów... jeszcze sto... jeszcze pięćdziesiąt... Przeszedł!

Z posapywaniem i sykiem pary minął poluzowane złącza szyn, ciągnąc za sobą kilka wagonów. Są puste, powinny się przetoczyć bez trudu. Kiedy przeszedł ostatni wagon, wszyscy odetchnęli z ulgą. A więc najgorsze nie nastąpiło. Partyzanci wyskoczyli z ukrycia wracając do przerwanej czynności. Za kilkanaście minut pociąg towarowy będzie w Zaklikowie. Niemcy w Kraśniku odbiorą stamtąd meldunek, który upewni ich, że na tym odcinku nie ma zagrożenia, po czym - uspokojeni - wypuszczą pociąg urlopowy z Kraśnika na Zaklików.

Nie wolno tracić ani jednej chwili.

Pozostało jeszcze najwyżej dwadzieścia minut.

„Grzybowski” wzmacnia grupę rozkręcającą szyny, byleby prędzej, byle zdążyć na czas. Po kilkunastu minutach wytężonej pracy złącza całkowicie puszczają. Siłą kilkudziesięciu ludzi bez trudu udaje się odciągnąć jeden koniec szyny na bok i za pomocą przygotowanych wcześniej kołków umocować ją tak, aby nie powróciła na swoje poprzednie miejsce.

Kiedy z daleka dał się słyszeć gwizd lokomotywy rozpędzonego pociągu, mijającego właśnie Rzeczycę, gwardziści byli już na swoich stanowiskach, gotowi do ataku. Nie było

tym razem żadnej wątpliwości - zbliżał się pociąg, na który oczekiwali. Opowiadał mi później „Grzybowski”, że partyzanci denerwowali się trochę, musiał ich uspokajać i przestrzegać, aby przypadkiem któryś - bardziej krewki - nie wystrzelił za wcześnie, przed wykolejeniem pociągu, kto wie bowiem, czy nie popsułby całej roboty.

W ciszę nocną wdziera się coraz głośniejsze sapanie lokomotywy i coraz bliższy stukot rozpędzonych kół. Niejednemu serce wali młotem, drżą ręce, ściskające karabin. „Grzybowski” stara się opanować to zdenerwowanie, ściszym głosem nakazuje spokój. Ogień mogą otworzyć dopiero wtedy, gdy on sam da sygnał serią z erkaemu.

Poza tym wszystko jak ustalono - każda piątka gwardzistów ostrzeliwuje inny wagon.

Pociąg zbliża się z maksymalną chyba prędkością, w zawrotnym tempie pożera ostatnie setki metrów, dzielące go od miejsca, w którym dopełnić się ma straszliwy los ludzi i martwej maszyny. Rosną ślepia lokomotywy, z komina strzela w górę płomieniejący dym. Jeszcze krótka chwila i powietrzem wstrząsa ogłuszający łoskot piętrzących się wagonów. Z wywróconego parowozu buchają snopy iskier. Wypadłszy z szyn, stoczył się po nasypie i zarył przodem głęboko w ziemię. Przednie wagony, ściągnięte w rów, tworzyły istne rumowisko, tylne

wyskoczyły z szyn i porozłączały się. W całym pociągu zgasło światło. Z wagonów dobiegały jęki rannych.

Teraz dopiero „Grzybowski” oddaje długą serię ze swego erkaemu. W tym samym momencie rozpoczyna się gwałtowna strzelanina. Przemówiły wszystkie naraz partyzanckie lufy. Żołnierzy „Grzybowskiego” nie trzeba uczyć, jak strzelać, by skutek był jak najlepszy. Wiadomo, że nie wybici w momencie katastrofy Niemcy leżą . plackiem na podłogach wagonów.

Zaskoczenie musiało być całkowite, bo minęła dłuższa chwila, zanim z tylnych wagonów, które w momencie wykolejenia pociągu najmniej

ucierpiały, padły pierwsze pojedyncze strzały. To część hitlerowców, widząc tragiczną sytuację, rozpaczliwie próbuje ostrzeliwać się z broni krótkiej i znanych nam „fujarek”. Po strzałach widać jednak, że jest ich niewielu. „Grzybowski” skierowuje w tę stronę ogień dwóch erkaemów i po chwili niemieckie strzały zupełnie milkną. Teraz następuje szturm na pociąg. Chłopcy podrywają się i biegną do wagonów. Niestety, nie wszystkie drzwi dało się otworzyć; niektóre w momencie zderzenia tak się pozacinały, że pod żadną siłą nie chciały ustąpić. W rezultacie tylko z części wagonów zabrano trochę krótkiej broni i trzeba było się co prędzej wycofywać. Od

strony Zaklikowa bowiem specjalnym pociągiem ratowniczym zdążyła już hitlerowcom na pomoc żandarmeria. Z czterokilometrowej odległości Niemcy w Zaklikowie musieli słyszeć strzelaninę, od razu też zorientowali się, że to właśnie ich urlopowy pociąg został zaatakowany.

„Grzybowski” daje znak do odwrotu. Po kilku minutach oddział, zabierając jednego rannego, wycofuje się w kierunku Gizówki.

Od chłopów ze Stawek dowiedzieliśmy się później, że następnego dnia o świcie przyjechała z Lublina specjalna komisja, złożona z wyższych oficerów i urzędników niemieckich, która na

miejscu bardzo dokładnie badała skutki naszej akcji. Różne docierały później do nas wiadomości, różne wymieniano liczby zabitych. Według relacji miejscowych chłopów, którzy na własne oczy widzieli, jak z wagonów wyciągano zwłoki, zabitych mogło być około czterystu. Załadowane do krytych wagonów towarowych ciała odwieziono następnie do Krakowa.

Jakkolwiek trudno było nam dokładnie ustalić liczbę zabitych pod Stawkami hitlerowców, to w każdym razie z łatwością można sobie wyobrazić skutki naszego ognia, prowadzonego przez około dwadzieścia minut z sześciu erkaemów, dziesięciu pistoletów maszynowych i pięćdziesięciu

karabinów. W warunkach frontowej walki do zniszczenia takiej liczby oficerów przeciwnika trzeba byłoby co najmniej kilku uderzeń związków taktycznych, które - przy nieuniknionych, rzecz jasna, własnych stratach - pozwoliłyby na osiągnięcie takiego sukcesu. Sami Niemcy po kilku dniach przyznawali się w „Kurierze” do kilkudziesięciu zabitych oficerów, wśród których miał zginąć również - tak przynajmniej podawał wówczas „Kurier” - generał lotnictwa Jeschonek.

W naszym oddziale mieliśmy tylko jednego rannego. Był to bojowy partyzant Klejman - „Szymek”. Jego rana okazała się groźniejsza niż przypuszczano. W drodze, podczas

wycofywania się oddziału z miejsca akcji, ranny -zmarł. Żałowali go bardzo koledzy, choć z drugiej strony gwoli sprawiedliwości przyznawali, że sam sobie winien. Był za odważny, strzelał nie z ukrycia, lecz w pozycji stojącej, niczym nie osłonięty, dobrze widziany przez Niemców. Na uwagi „Grzybowskiego” nie reagował, dalej demonstrując swoją odwagę, za którą tak drogo przyszło mu zapłacić.

Pogrzeb „Szymka”, który odbył się w nocy z 24 na 25 sierpnia 1943 roku na cmentarzu parafialnym w Rzeczycy Ziemiańskiej, miał uroczysty charakter. Koledzy pożegnali odchodzącego od nich na zawsze jeszcze jednego towarzysza walki honorową salwą.

Przygotowując akcję na pociąg urlopowy, braliśmy od początku pod uwagę groźbę ewentualnej zemsty hitlerowców na mieszkańcach Stawek. Było to w ich zwyczaju. Aby odsunąć od okolicznej ludności niebezpieczeństwo, „Grzybowski” przygotował kilkanaście kartek, na których w krótkich słowach odręcznym pismem oznajmiał władzom okupacyjnym, że mieszkańcy wioski Stawki z przeprowadzoną przez nas akcją nie mają nic wspólnego i nie brali w niej żadnego udziału. Gdyby spotkała ich jakaś niezasłużona kara ze strony władz niemieckich, to on, dowódca oddziału partyzanckiego, solennie obiecuje Niemcom w najbliższym czasie wykonać kilka innych podobnych akcji.

Z ciekawością też obserwowaliśmy przez kilka następnych dni zachowanie się okupanta. Wszystko zdawało się wskazywać, że przestroga „Grzybowskiego” poskutkowała. Hitlerowcy - o dziwo - zaniechali jakichkolwiek akcji represyjnych.

Fakt ten przekonał wszystkich, którzy wątpili w celowość naszej walki, o słuszności haseł Polskiej Partii Robotniczej, wzywających społeczeństwo do czynnego przeciwstawiania się okupantowi. Głoszona przez nas potrzeba czynu zbrojnego stawała się coraz bardziej zrozumiała i uzasadniona. Nie mogli się z tym nie liczyć także nasi przeciwnicy polityczni, głoszący oklepane hasła

stania z bronią u nogi. Szkoda tylko, że nawet po tym nie mogli się zdobyć na rozpoczęcie zdecydowanej walki z okupantem, a ich dobrze uzbrojone, regularne oddziały partyzanckie w dalszym ciągu beczynn timer waleśaly się po lasach, nikomu nie przynosząc pożytku.

Kolejarze

Fakt, że uwaga oddziałów partyzanckich w ich poczynaniach, zmierzających do zahamowania dalszego pochodu armii hitlerowskich, zwrócona była głównie na transport nieprzyjaciela, zdecydował o tym, że w całej naszej

konspiracyjnej działalności kolejarze odgrywali niezwykle doniosłą rolę. Ktoś, kto bezpośrednio zaangażowany był w sprawę walki, dla kogo tzw. „kolejówki” - akcje mające na celu wykolejenie zdążającego na front pociągu wypełnionego żywnością lub bronią - stały się w latach wojny chlebem powszednim orientuje się doskonale, ile znaczyła wykradziona Niemcom króciutka informacja dotycząca dokładnego terminu przejazdu pociągu i charakteru załadunku. Decydowała ona zazwyczaj w połowie o powodzeniu zamierzonej akcji. Stąd waga przykładana do najdrobniejszej choćby usługi, świadczonej nam przez kolejarzy węzła lubelskiego, i wysiłki,

zmierzające do pozyskania jak największej liczby zatrudnionych na kolei ludzi dla sprawy naszej konspiracyjnej, antyniemieckiej działalności.

Jakkolwiek główną inspiratorką wysiłku, wkładanego przez służbę kolejową w sprawę walki z okupantem, była Polska Partia Robotnicza, pierwsze przejawy zorganizowanych poczynań kolejarzy wyprzedziły w czasie jej powstanie. Już bowiem w październiku 1941 roku w oddalonym od śródmieścia punkcie Lublina, przy ulicy Zemborzyckiej, w domu kolejarza Leona Lisa, doszło z inicjatywy Pawła Dąbka i Bogdana Parczyńskiego do pierwszego zebrania grupy zaufanych kolejarzy.

Przewodniczący zebrania, Bogdan Parczyński, omówił cel spotkania i zadania, jakie oczekują zebranych. Po zaprzysiężeniu członków zawiązującej się komórki konspiracyjnej dokonano wyborów. Kierownikiem grupy został Ryszard Postowicz - „Murzyn”, jego zastępcą Józef Radajewski - „Warta”, a członkami: Stefan Kasperski - „Synek”, Leon Lis - „Leonek”, Stanisław Swatek - „Stach”, Eugeniusz Niezabitowski, Jan Niezabitowski i Józef Barcza.

Celem, jaki sobie na początku stawiano, było gromadzenie materiałów wybuchowych, broni i amunicji oraz dokonywanie akcji sabotażowych na terenie kolei i miasta. Nie było to

zadanie proste.

Całe uzbrojenie, jakie udało się zdobyć członkom grupy, składało się z zachowanych od września 1939 roku sześciu pistoletów, trzech krótkich karabinów kawaleryjskich, piętnastu granatów i niewielkiej ilości amunicji.

Stopniowo grupa powiększała się i pod koniec 1941 roku liczyła już około czterdziestu członków.

Drugie z kolei zebranie, 25 listopada 1941 roku, odbyło się w tym samym miejscu i w takim samym składzie jak poprzednio, bez udziału członków nowo zwербowanych. Ryszard Postowicz - „Murzyn”, poinformowawszy zebranych o nawiązaniu kontaktu z władzami na

terenie Warszawy i z czołowymi przywódcami ruchu lewicowego w powiecie kraśnickim, postawił przed nimi zadanie tworzenia tzw. trójek dywersyjno-sabotażowych na kolei i w zakładach produkcyjnych miasta.

Do następnego zebrania miało dojść dopiero w kilka miesięcy później.

W oparciu o uzyskane od „Murzyna” wytyczne każdy z uczestników listopadowego spotkania utworzył trójki dywersyjno-sabotażowe, które działały ściśle według udzielanych im instrukcji. Wkrótce doszło do tego, że w każdej ze służb - mechanicznej, przewozowej, drogowej, w służbie zabezpieczenia i w innych - znajdowali się zaufani ludzie,

na których można było w zupełności polegać. Byli wśród nich tacy działacze, jak Władysław Pogorzelski, Józef Szubartowski, Czesław Marzec, Czesław Bienięda, Stanisław Oszast, Tadeusz Oszast, Stanisław Łozowski, Jurowski, Borowski, Stachowicz, Baranowski, Ciesielski, Pietrzak, Głęb, Mazurek, Drewniak i wielu innych.

Główne wysiłki zmierzały do tego, by poszczególne odcinki kolejowe obsadzać stopniowo zaufanymi, wciągniętymi do konspiracji ludźmi. Udawało się to znakomicie. Wszystko robiono z zachowaniem tak wielkich środków ostrożności, że cieszący się nie bez powodu dobrą opinią niemiecki wywiad nie zdołał wpaść na żaden trop.

W tym czasie powstała już Polska Partia Robotnicza i kontakty, jakie z lubelskimi kolejarzami utrzymywałem zarówno ja, jak Stanisław Szot - „Kot” i Jan Pytel - „Leon”, służyły nie tylko ubojowieniu całej grupy, ale także nadaniu ich działalności właściwego kierunku politycznego.

Na zebraniu w dniu 27 czerwca 1942 roku po raz pierwszy dokonano podsumowania osiągnięć w akcji sabotażowo-dywersyjnej i w zdobywaniu broni. „Murzyn” powiadomił zebranych o powstaniu komitetu miejskiego PPR, którego sam był przedstawicielem, i zgłosił wszystkim zebranych na członków partii. Poinformował ich następnie

o powołaniu do życia Gwardii Ludowej, której dowództwu podporządkowana została m. in. konspiracyjna grupa kolejarzy lubelskich. Jej zadania w tym czasie uległy znacznemu rozszerzeniu. Miała dostarczać danych o siłach i rozmieszczeniu garnizonów okupanta, o ruchu pociągów, zwłaszcza zdążających na front wschodni transportów wojskowych, a ponadto dokonywać w dalszym ciągu aktów sabotażu i dywersji, wyłapywać konfidentów itp. Uzyskiwane informacje miały być za pośrednictwem Ryszarda Postowicza - „Murzyna” przekazywane do Rzeczycy mnie lub Stanisławowi Szotowi.

Z tą chwilą grupa pod kierunkiem „Murzyna” pracowała nie tylko dla

potrzeb organizacji lubelskiej, ale też dla dowództwa okręgu i obwodu.

Rozpoczął się okres coraz bardziej intensywnej pracy. Oprócz swego najważniejszego zadania - zdobywania informacji dla leśnych oddziałów GL - kolejarze dokonywali bardzo wielu akcji sabotażowych na kolei i w mieście. Świadome uszkodzanie parowozów i wagonów, współdziałanie w podpalaniu i wykolejaniu pociągów, niszczenie wiezionego na wschód niemieckiego sprzętu bojowego - oto główne odcinki ich działalności. Nie sposób wymienić tu wszystkich osiągnięć, jakie zapisała na swym koncie organizacja lubelska, dlatego ograniczę się tylko do przypomnienia

niektórych:

W nocy z 17 na 18 kwietnia 1943 r., na linii Lublin- Łuków wysadzono pociąg towarowy (częściowo z amunicją). Dziesięć wagonów zostało rozbitych, ładunek eksplodował. Zginęło sześciu Niemców.

W maju 1943 r. pociągiem pośpiesznym („Nur für Deutsche”) przewieziono z Lublina do Krakowa radiostację.

Dnia 10 czerwca 1943 r. spowodowano wypadek na stacji Dęblin (puszczenie pociągu na pociąg). Zniszczeniu uległy dwa parowozy i siedemnaście wagonów. Przerwa w ruchu trwała siedem godzin. W tym samym dniu grupa dywersyjno-sabotażowa w zdążających

na front wschodni pociągach z paliwem i amunicją umieszcza miny magnetyczne, a inne miny, tzw. żabki, na najbardziej uczęszczanych przez niemieckie samochody drogach.

Dnia 18 czerwca 1943 r. następuje zabranie z Izby Skarbowej w Lublinie pokaźnej sumy na cele organizacji.

Dnia 18 sierpnia 1943 r. wysadzono pociąg na linii Lublin-Rozwadów. Ostrzelano i rozbrojono wartę niemiecką, zdobywając broń i amunicję. Przerwa w ruchu - osiem godzin.

Dnia 7 września 1943 r. wysadzono pociąg towarowy z żywnością i środkami sanitarnymi na linii Lublin-Łuków. Zdobyto pewną ilość żywności

i materiałów sanitarnych. Przerwa w ruchu - około szesnastu godzin.

Dnia 7 grudnia 1943 r. na stacji kolejowej Motycz (linia Lublin-Dęblin) urządzono zasadzkę na Niemców przeprowadzających łapankę. Zabito oficera, raniono ośmiu „łapaczy”.

Dnia 2 lutego 1944 r. między Lublinem a Zemborzycami, przy budowie stacji towarowej Wrotków, rozbrojono dziesięciu Niemców z ochrony kolei i dwóch Niemców z organizacji Todta.

Dnia 30 marca 1944 r. w domu konfidentki Rudczakowej przy ulicy Konopnickiej zlikwidowano szczególnie groźnego gestapowca, zastępcę szefa lubelskiego więzienia.

Dnia 17 marca 1944 r. doprowadzono do ucieczki z obozu na Majdanku Pawła Dąbka, Mikołaja Cabana i innych towarzyszy. Całością akcji, przeprowadzonej po nawiązaniu kontaktu z podziemną organizacją pod nazwą „Orzeł”, działającą na terenie Majdanka, dowodził Ryszard Postowicz - „Murzyn”.

Przez cały czas, aż do 22 lipca 1944 roku, rozbrajano poruszających się indywidualnie po terenie miasta Niemców. Zdobyto w ten sposób wiele karabinów, automatów, pistoletów i amunicji.

Aż do momentu wyzwolenia oddział zabezpieczał radiostację pracującą dla

sztabu Armii Radzieckiej, prowadząc jednocześnie wywiad o ruchach wojsk niemieckich, transportach broni, amunicji, benzyny.

Od lipca 1941 r. do końca roku 1942 przy rampie pod cukrownią podstawiano składy pociągów sanitarnych z rannymi żołnierzami niemieckimi wracającymi z frontu wschodniego. Zdarzało się wówczas, że gdy wszyscy Niemcy zajęci byli przenoszeniem rannych do karetek sanitarnych, Stefan Kasperski, Leon Lis, Józef Szubartowski, Jurowski i inni członkowie grupy wynosili z wagonów leki, broń, zresztą wszystko, co się dało. Z uwagi na duże niebezpieczeństwo broń i materiały wybuchowe przechowywano przez jakiś czas najczęściej w tzw.

tendrze parowozu. Dopiero przy wyciąganiu składu i dokonywaniu przetoków w kierunku Wrotkowa, przed mostem żelaznym lub za mostem zrzucano niebezpieczny ładunek oczekującym tam kolegom. W ten sposób w ciągu półtora roku zdobyto sześćdziesiąt pistoletów, dwadzieścia pięć karabinów ręcznych, około dwustu granatów, tysiące sztuk amunicji, setki sztuk bandaży i narzędzi chirurgicznych.

W dniu 12 lipca 1943 roku na stacji towarowej w Lublinie Stefan Kasperski - „Synek” zabrał z wagonu dwie skrzynki trotylu, wrzucając go następnie do pustego krytego wagonu, który miał być skierowany do Kraśnika. Pomagali mu w tym Szubartowski, Radajewski i

Luszawski. Wagon z załadowanym trotylem i z Ryszardem Postowiczem - „Murzynem” zamknięto, zadrutowano i doczepiono do parowozu mającego odejść do Kraśnika. Trotyl został wyładowany przed semaforem wjazdowym do stacji Kraśnik przez Postowicza, Pietrzaka i Swatka. Pozostali oczekiwali na cenny ładunek w lesie.

Od czerwca 1941 r. do lipca 1944 r. do parowozowni w Lublinie kierowano na postój parowozy z obsługą niemiecką i mieszaną, która zwykle udawała się po podróży na spoczynek. W czasie nieobecności drużyn Stefan Kasperski z Pietrzakiem, Radajewskim, Pogorzelskim i Bieniędą dokręcali śruby

panwi wiązarowych, wyciągali knoty z panwi blokowych, odkręcali spodki maźnicze, luzowali kliny blokowe, dolewali kwasu solnego do panewek i maźnic, odkręcali zawory, sypali opiłki do panwi wiązarowych, korbowych, uszkodzali przewody powietrzne i kurki końcowe, wykonywali szereg innych jeszcze, sobie tylko znanych czynności, które miały jeden główny cel: spowodować, aby uszkodzone W ten sposób parowozy nie doprowadziły składów z amunicją i innym materiałem wojennym na front wschodni. Wymienianie w drodze uszkodzonych parowozów na sprawne poważnie niekiedy opóźniało dostawę. W ten sposób kolejarze lubelscy

przyczyniali się walcnie do tego, by wróg, który „połknął naród, nie zdołał go strawić”. Pełną poświęcenia służbą, narażając się często na poważne niebezpieczeństwo, wnosili swój cenny wkład w ogólnonarodową sprawę walki o niepodległą ojczyznę.

Wielkie kłopoty władców „Frankonii”

W miesiącach letnich 1943 roku występujące coraz to w nowym punkcie ogniska walki na Lubelszczyźnie przerodziły się w masowy ruch zbrojny. Do akcji zapoczątkowanej przez GL wciągały się powoli oddziały BCh i - częściowo - także AK. Inicjatywę

wykazywali zwłaszcza szeregowi członkowie tych organizacji. W niedostępnych dla hitlerowców wielkich masywach leśnych, których nie brak w tych stronach kraju, zwłaszcza w lasach lipskich i parczewskich, powstawały całe rejony opanowane przez partyzantów. Wzmagający się w województwie ruch oporu, którego żadne zarządzenia, represje i ekspedycje karne nie były w stanie zlikwidować, stał się przyczyną niemałych kłopotów hitlerowskiego okupanta. Niemcy na Lubelszczyźnie nie panowali już tak wszechwładnie jak w innych regionach podbitego kraju. Czuli się tu, jakby stąpali po podminowanym gruncie. Na każdym kroku dawał o sobie znać

niewidoczny, groźny przeciwnik. W każdej chwili mógł spaść znieńcka, dokonać dzieła zemsty i równie błyskawicznie zniknąć. Hitlerowcy z rozrzuconych po miasteczkach jednostek coraz bardziej lękliwie spoglądali na lasy, w których czaiła się śmierć.

Już w końcu maja 1943 roku, gdy Hans Frank udawał się do Lublina na specjalnie zwołane posiedzenie robocze rządu Generalnej Guberni, policja bezpieczeństwa uprzedziła go, że nie jest w stanie zagwarantować mu bezpieczeństwa w tej podróży. Na tym samym posiedzeniu rządu - wiadomości o tym docierały do nas już wtedy, a w pełni dostępne stały się w materiałach

źródłowych po wojnie - starosta powiatu puławskiego, Brandt, analizując w referacie pt. „Bezpieczeństwo w dystrykcie lubelskim” sytuację, jaka panowała w województwie lubelskim wiosną 1943 roku, wskazywał, że stan niebezpieczeństwa w Generalnej Guberni zaczął się gwałtownie wzmacniać z chwilą, gdy stała się znana sytuacja na froncie wschodnim po zimowej kontrofensywie radzieckiej z 1941/42 roku. Referat podkreślał rolę zbiegłych jeńców radzieckich w akcji formowania oddziałów partyzanckich.

Starosta Brandt przytoczył w swym referacie szereg przykładów wzrastającej siły partyzantów. W samym tylko powiecie puławskim i w jednym

tylko miesiącu maju - mówił - „napadnięto na 11 urzędów gminnych i przeważnie zniszczono je. W powiecie lubelskim zniszczono około 50% urzędów gminnych, podobnie ma się sprawa w powiatach: Kraśnik, Krasnystaw, Biała Podlaska i innych. Podczas takich napadów zabijano niejednokrotnie burmistrzów, sołtysów, konfidentów, pracowników arbeitsamtów, rejestratorów bydła, napadano na sołtysów...”

Starosta Brandt wskazał, że w czasie takich „napadów” niszczone papiery urzędowe. Odbijało się to ujemnie - według jego opinii - przede wszystkim na wpływach z podatków i ściąganiu obowiązkowych kontyngentów, co

z kolei bardzo utrudniało dostawy aprowizacyjne dla Wehrmachtu, urzędników i cywilnej ludności niemieckiej. Na skutek akcji partyzanckich władze okupacyjne były bezsilne w ściąganiu kontyngentów. Wywóz drzewa z lasu, które w większości szło na potrzeby armii, również uległ zmniejszeniu. Niszczenie mleczarni, wybijanie trzody chlewnej, oporna dostawa produktów powodowały trudności nie do pokonania w warunkach, gdy - jak mówił Brandt - „samo tylko starostwo powiatu puławskiego miało dostarczyć środków żywnościowych dla 20 000 żołnierzy Wehrmachtu i 2000 Niemców w Rzeszy”.

W referacie jako najważniejsze grupy polityczne wymieniono „partię robotniczą”, tzn. PPR, oraz chłopską, czyli Stronnictwo Ludowe. „Należy przyjąć - stwierdzał Brandt - że w przeważającej części województwa niemal połowa ludności chłopskiej należy więcej lub mniej aktywnie do polskiej partii chłopskiej względnie robotniczej”.

Na tymże posiedzeniu starosta powiatu lubelskiego, Zigenmeyer, oświadczył, że grupy partyzanckie podchodzą do samego Lublina, czego dowodem jest między innymi fakt, że zniszczyły one urząd gminny w Jastkowie, w odległości zaledwie ośmiu kilometrów od miasta.

Biorący udział w posiedzeniu dowódca SS i policji w Lublinie, Globocnik, wskazywał, że walka z oddziałami partyzanckimi jest niesłychanie trudna ze względu na dobry stan ich przygotowania do akcji bojowych. W związku z tym udało się tylko częściowo je rozbić i wyłapać niektórych partyzantów. Mówił o dużych stratach, jakie w walkach z partyzantami ponoszą oddziały niemieckie.

Komendant policji i bezpieczeństwa w dystrykcie lubelskim, Mühle, w oparciu o meldunki policji bezpieczeństwa zapoznał zebranych z danymi statystycznymi obrazującymi wzrost ruchu oporu w województwie. I tak, o ile w styczniu 1942 roku

zanotowano 96 napadów, przy czym liczba ich do grudnia tego samego roku wzrosła do 1700, to w kwietniu 1943 roku liczba napadów wynosiła już 2320.

W uzupełnieniu materiałów z roboczego posiedzenia rządu GG z 29 maja 1943 roku w Lublinie warto dodać, że już w następnym miesiącu, w czerwcu, akcja antykontyngentowa przestała być sporadyczna, a przybrała formy systematyczne i planowe. W tym czasie partyzanci zniszczyli mleczarnie kontyngentowe w miejscowościach: Opole, Rybitwy, Wandalin, Głębokie, Dzierzkowice, Góra itd., i zdewastowali wiele urzędów (Krasnystaw, Żółkiewka, Turobin, Wysokie, Leszkowice, Łucka, Tarło, Biała podlaska i in.).

„Powoli i systematycznie - czytamy w »Trybunie Wolności« z 15 lipca - partyzantka wypiera okupanta ze wsi polskiej. Znaczenie tej akcji jest ogromne. Utrata panowania nad wsią jest w znacznej mierze utratą panowania nad krajem i - co ma najważniejsze znaczenie - nad jego płodami rolnymi”.

W dniu 8 czerwca władze niemieckie opublikowały w „Nowym Kurierze Lubelskim” odezwę „Do ludności polskiej”, pełną oszczerstw pod adresem Polskiej Partii Robotniczej i Gwardii Ludowej. Odezwa ta porusza także sprawę wysiedlania z Zamojszczyzny.

„Władze niemieckie - głosi ona -

usiłowały przeprowadzić te wyjątkowe i jednorazowe zarządzenia w sposób jak najbardziej ludzki i humanitarny. Władze te miały przy tym pełne zrozumienie dla ciężkiego położenia polskiej ludności wiejskiej i w ostatnim zwłaszcza czasie okazały jej dużo pomocy...”

Odezwa grozi, że za każdego zabitego Niemca zostanie rozstrzelana odpowiednio większa liczba Polaków... „Władze niemieckie - czytamy - nie chcą stosować tego rodzaju metod w stosunku do polskiej ludności i dlatego ostrzegają raz jeszcze”.

Z tekstu tego wynika, jak bardzo popularne w 1943 roku były na Lubelszczyźnie PPR i GL. Odezwa

świadczy przy tym o lęku hitlerowców przed walczącymi oddziałami. Wymowne jest porównanie tonu odezwy z dawnymi plakatami. Wynika z niego wyraźnie, jak dalece ruch partyzancki w Lubelskiem udaremniał i krzyżował plany okupanta, który po raz pierwszy prosił o spokój.

W miarę przesuwania się linii frontu na zachód walki partyzanckie na wschodnich terenach Generalnej Guberni przekształcały się w faktyczną wojnę. Trudno było niekiedy rozgraniczyć, gdzie się kończy partyzantka, a zaczyna powstanie. W rozkazie Dowództwa Głównego GL z 1 lipca 1943 roku czytamy:

Sytuacja na Lubelszczyźnie i w Radomskim przypomina w znacznym stopniu sytuację kraju objętego powstaniem. Ciągłych napadów na posterunki żandarmerii i wojska, niszczenia transportu, podpalania wsi kolonistów niemieckich, zabijania agentów hitlerowskich, napadów na gminy i urzędy kontyngentowe nie są w stanie opanować nawet ekspedycje karne wyposażone w broń pancerną i samoloty.

Dochodzi do bitew z dużymi oddziałami hitlerowskiego wojska. W rezultacie na znacznych obszarach zanika władza okupanta, gdyż Niemcy wycofują swe

oddziały do ośrodków miejskich. Ludzie przestają oddawać kontyngenty i płacić podatki, skutecznie unikają łapanek na przymusowe roboty. Jedyne panami na całych dużych obszarach stają się oddziały polskie. Tego jeszcze nie było. To już nie zwykłe akcje partyzanckie, to niemal powstanie.

Ludność zdawała sobie sprawę, że sytuacja ta była wynikiem zwycięstwa idei czynu zbrojnego, do którego hasło rzuciła Gwardia Ludowa. Wiedziano też na ogół, że tylko brak dostatecznej ilości broni i wykwalifikowanych kadr dowódców wojskowych nie pozwolił przerodzić się coraz bardziej masowym akcjom partyzanckim w powstanie.

Dnia 13 lipca 1943 roku prezydent działu głównego wyżywienia i rolnictwa w rządzie GG, Naumann, zawiadomił Franka o rozpoczęciu w południowej części dystryktu lubelskiego - w powiatach biłgorajskim, zamojskim oraz częściowo w hrubieszowskim i kraśnickim - ponownej wielkiej akcji przesiedleńczej. Z powiatu biłgorajskiego np. zabrano 25 000 ludzi, którzy po segregacji wysłani byli na przymusowe roboty do Rzeszy. Cała akcja miała być ukończona w ciągu jednego tygodnia.

Pogarszająca się sytuacja armii hitlerowskiej na froncie wschodnim wpłynęła jednak na zmianę polityki generalnego gubernatora Franka, który

chciał za wszelką cenę utrzymać spokój w kraju, a rozprawę z narodem polskim przesunąć na okres powojenny. Masowy opór ludności przed wysiedleniami oraz szkodliwy wpływ tej akcji na gospodarkę skłoniły Franka do zajęcia krytycznego stanowiska wobec nowej akcji wysiedleńczej. Nie trzeba było być wcale dobrym politykiem, żeby odkryć inną jeszcze, najistotniejszą przyczynę tego protestu, który przyszedł ze strony najmniej spodziewanej: władcy „Frankonii” - jak żartobliwie nazywano Generalną Gubernię - nie uśmiechało się powstanie w jego „królestwie”.

W przemówieniu wygłoszonym 2 sierpnia 1943 roku Frank stwierdził:

„... Jest szaleństwem, jeśli kosi się w tym kraju kosami. Ja mówię: jeżeli kosić, to nie głowy, lecz tylko pola. Co po zwycięstwie stanie się z tym narodem, jest obecnie obojętne, lecz to, co się dzieje obecnie, jest ważne. Jest przeto jasne, że czysto terrorystyczne metody, sądownictwo oparte na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej to błąd, który jest po prostu ciosem wymierzonym przeciwko zwycięstwu. Jeżeli bowiem w tym kraju wybuchnie powstanie, wówczas nie będziemy mogli powiedzieć, jak niektóry mówca mocny w gębie mówi: niemiecki człowiek - władca (Herrenmensch) i z tym sobie poradzi. Tu garstka Niemców stoi naprzeciw masy... Sprawy

wyglądają inaczej w praktyce niż w teorii. My wszyscy wiemy, że kraj ten stanie się kiedyś niemiecki, że nie będziemy tu tolerowali Polaczków. Ale na to przyjdzie czas po zwycięskim zakończeniu wojny. Jest rzeczą niemożliwą chcieć przeprowadzić teraz osiedlenia i doprowadzić przez to kraj do powstania”.

[\[12\]](#)

Reorganizacja

W związku z szybkim rozwojem organizacji PPR w terenie, wzrostem grup i oddziałów GL oraz intensyfikacją ich walki latem 1943 roku na czoło wysunęło się w województwie

lubelskim zagadnienie usprawnienia pracy kierownictwa przez silniejsze powiązanie z dołami. W celu omówienia nowych zadań, wynikających z odmiennej sytuacji, zwołano w lipcu naradę kierownictwa obwodu PPR i Gwardii Ludowej z udziałem przedstawiciela Komitetu Centralnego, Hilarego Chełchowskiego („Długi Janek”). W naradzie brali udział: Mieczysław Moczar - „Mietek”, Jan Sławiński - „Tyfus”, Stanisław Szot - „Kot”, Kazimierz Sidor - „Kazik” („Kruk”), Tadeusz Szymański - „Lis” i inni.

Omówiona została aktualna sytuacja polityczna i wynikające z niej zadania bojowe dla Gwardii Ludowej.

Rozległość obszaru podporządkowanego organizacyjnie obwodowi przysparzała nielicznemu gronu ludzi z komitetu i dowództwu obwodu znacznych trudności w kierowaniu - poprzez szczebel tylko dwóch okręgów - rozwijającą się pracą partyjną i działalnością wojskową w terenie. Zgodnie z wytycznymi otrzymanymi z Warszawy postanowiono dokonać reorganizacji obwodu. W celu usprawnienia kierownictwa partyjnego i wojskowego, jak również uaktywnienia w terenie działalności organizacji PPR i Gwardii Ludowej zostały zorganizowane - w oparciu o wytyczne z KC PPR i Dowództwa Głównego GL - trzy okręgi w Obwodzie

II (lubelskim), a w nich komitety okręgowe PPR i dowództwa okręgowe GL.

Obwód Lubelski PPR i GL, nie zwiększając się terytorialnie, został podzielony na trzy okręgi:

Okręg nr 4 (północny) obejmował powiaty: Włodawa, Lubartów, Radzyń, część powiatu puławskiego oraz miasto Lublin;

Okręg nr 5 (południowy) obejmował powiaty: Kraśnik, Lublin, Chełm, Krasnystaw, Zamość, Hrubieszów, Biłgoraj, Tomaszów i część powiatu puławskiego;

Okręg nr 6 (siedlecki) obejmował powiaty: Siedlce, Łuków, Węgrów,

Sokołów i część powiatu Biała Podlaska. Okręg ten jedynie przez krótki czas wchodził w skład Obwodu II (lubelskiego). Później został włączony do Obwodu I (warszawskiego).

Pracą partyjną w Obwodzie II kierował Komitet Obwodowy PPR, którego sekretarzem był Jan Sławiński - „Tyfus”, dowództwo Obwodu II miało następujący skład: Mieczysław Moczar - „Mietek” (dowódca obwodu), Jan Wyderkowski - „Grab” (szef sztabu). Później dokooptowani zostali: Fiodor Albrecht (prawdziwe nazwisko Fiodor Kowalow), Jan Hołod - „Kirpiczny” oraz Stanisław Szot - „Kot” jako kierownik pracy polityczno-wychowawczej w obwodzie.

Dowództwo Obwodu II GL podlegało organizacyjnie Dowództwu Głównemu GL. Kierownictwo polityczne nad dowództwem obwodu sprawował komitet obwodowy PPR, a nad dowództwem okręgowym komitet okręgowy PPR, podlegający komitetowi obwodowemu. Komitety okręgowe partii składały się w zasadzie z trzech osób: sekretarza, technika i skarbnika.

Komitet Okręgowy PPR nr 5 miał w tym czasie następujący skład: Wacław Czyżewski - „Im” (sekretarz), Aleksander Szymański - „Ali” (technik), Jan Pytel - „Leon” (skarbnik) i Jan Wach - „Mewa” (członek). Sekretarzem komitetu okręgowego nr 4 był Kazimierz Tkaczyk - „Twardy” (zamordowany

przez hitlerowców w 1944 r.).

Kierownictwo wojskowe w każdym okręgu sprawowały dowództwa okręgowe GL, podległe bezpośrednio dowództwu obwodowemu. Dowództwa okręgowe GL występowały zasadniczo w składzie: komendant okręgu, szef sztabu, kierownik operacyjny, kierownik zaopatrzenia, wywiadowca i jeden lub dwóch adiutantów. Później, na podstawie instrukcji Dowództwa Głównego GL z listopada 1943 r. „O organizacji Gwardii Ludowej”, dowództwa okręgowe kompletowane były w składzie: dowódca okręgu, jego zastępca (szef sztabu), oficer informacyjny, oficer zaopatrzenia i broni, oficer szkoleniowy, oficer

propagandy, oficer mobilizacyjny, oficer sanitarny.

Dowódcą okręgu GL nr 4 był Kazimierz Sidor - „Kazik”, okręgu nr 5 - Tadeusz Szymański - „Lis”, okręgu nr 6 (Siedlce) - „Andrzej”.

Siedziby poszczególnych komitetów i dowództw mieściły się w miejscach gwarantujących największe bezpieczeństwo. Siedziba okręgu nr 4 mieściła się na terenie powiatu włodawskiego, w Rudce, Jedlance i innych wsiach położonych w pobliżu lasów parczewskich. Siedziba okręgu nr 5 znajdowała się w Rzeczycy i Trzydniku.

Przy okręgowych komitetach PPR

i dowództwach GL tworzone były ośrodki tzw. techniki okręgowej. Wobec stałe rosnącego zapotrzebowania na prasę i niedostatecznej jej ilości dostarczanej centralnie z Warszawy powitała konieczność prowadzenia własnego wydawnictwa. Było to zasadnicze zajęcie techniki okręgowej. W okręgu nr 4 technika mieściła się we wsi Rudka w powiecie włodawskim. Jedyнным sprzętem redakcji była początkowo maszyna do pisania i powielacz. Pierwszym redaktorem miejscowych wydawnictw był Gustaw Alef-Bolkowiak. W okręgu nr 5 technikę zlokalizowano w Rzeczy. Wyposażenie jej, znacznie lepsze, już na początku składało się z pięciu maszyn do

pisania i kilku powielaczy zabranych z niemieckich urzędów. Początkowo jedynym człowiekiem, który się na tym sprzęcie znał, umiał się nim fachowo posługiwać i potrafił zarazem sprawnie przygotowywać do druku wszelkie materiały prasowe, był Aleksander Szymański - „Ali”. Pod jego fachowym kierunkiem („Ali” skończył, jak już wspominałem, wydział dziennikarski) szkolili się w tej trudnej i odpowiedzialnej pracy ludzie z miejscowych organizacji; on też potrafił wciągać do współpracy publicystyczno-propagandowej postępowych działaczy spośród nauczycielstwa, tu i ówdzie prowadzących już na własną rękę

podziemne prace oświatowe: Annę Gadzalanę - „Halinę” ze wsi Wola Gałęzowska (powiat lubelski), Franciszka Ojaka - „Krzemienia” i Adelę Gadzińską - „Martę” z Potoka Wielkiego (powiat kraśnicki).

Dobór ludzi nie był jedyną trudnością. Problem równie zasadniczej wagi stanowiło zdobywanie papieru, taśm maszynowych, matryc, farby drukarskiej. Rzecz jasna „przydziały” tych koniecznych materiałów wyznaczaliśmy sobie sami, realizując ich odbiór różnymi sposobami w wielu urzędach, biurach i magazynach niemieckich. Ambicją naszą, nie tylko nieodzowną potrzebą, stało się, aby ciężko zdobyte maszyny i powielacze nie stały

bezczyinnie. Niemalą rolę w tych zespołowych staraniach odegrali nasi łącznicy-zaopatrzeniowcy, choćby tak odważna i sprytna Marysia Szykowska - „Elwira”, która nigdy nie powracała ze swych ryzykownych podróży z próżnymi rękoma, czy wiele innych osób, których nie sposób byłoby tu wymienić.

Coraz bardziej dorastający do swoich zadań miejscowy pomocniczy zespół redakcyjny składał się już niebawem z siedmiu osób. Redaktorem wszelkich publikacji był, oczywiście, „Ali” (dlatego też wydawnictwa stąd wychodzące były pod każdym względem na odpowiednim poziomie). Kierownikiem technicznym był młody, zdolny Edward Szymański - „Krakus”.

Zginął on w 1944 roku w lasach lipskich w potyczce z Niemcami. Wydawnictwa techniki okręgowej w 1943 roku ograniczały się do odezw, ulotek, ogłoszeń i broszur propagandowych. Największy nakład wydawnictwa nie przekraczał łącznie 5000 egzemplarzy miesięcznie. To niewiele, ale zarazem bardzo dużo. Niejednokrotnie mogliśmy się o tym przekonać. Wydawane z różnych okazji pisma podawane z rąk do rąk krążyły wśród ludzi wywołując zamierzone nastroje. Można śmiało powiedzieć, że nie było takiej rodziny, do której w jakiś sposób nie trafiłaby choć jedna z naszych nielegalnych odezw i ulotek.

W lasach parczewskich

Życie nabierało tempa. Wypadki następowały jeden po drugim. Każdy niemal dzień znaczył się jakimś nowym czynem, przynosił nowe meldunki z podziemnego frontu. Przed kierownictwem partyjnym i dowództwem GL wyrastało coraz więcej problemów, spraw palących, które domagały się bezzwłocznego rozstrzygnięcia. W związku z tym na początku września musieliśmy wyjechać na obwodową konferencję partyjną, która miała się odbyć w lasach parczewskich i w której - z uwagi na ważność omawianych spraw - zapowiedzieli swój udział

przedstawiciele władz centralnych z Warszawy.

Na wyznaczone miejsce trzeba było się udać bezzwłocznie po otrzymaniu wezwania. Sprawa była pilna, tym bardziej że kierownictwo obwodu i kilka oddziałów ubezpieczających już się tam zgromadziły, czekając na resztę aktywu z terenu. Aby przyspieszyć marsz, wyruszamy we dwóch, wraz z komendantem okręgu „Lisem”, bez jakiegokolwiek ochrony, tylko z krótką bronią. Czekala nas za to od przełożonych na miejscu, w lasach parczewskich, zasłużona bura, sposób podróżowania bowiem, jaki wybraliśmy, połączony był z niemałym ryzykiem i w każdej chwili mogliśmy

być narażeni na poważne niebezpieczeństwo.

Do przebycia było około osiemdziesięciu kilometrów. Niemało, jeśli się zważy, że jedyny środek lokomocji, na którym można było polegać, stanowiły własne nogi. Wykorzystując naszą organizacyjną siatkę w terenie, idziemy częściowo nocą, a częściowo dniem, w zależności od lokalnych warunków na różnych odcinkach naszej trasy. Droga wiedzie zrazu przez dobrze nam znane lasy Gizówki. Pokonujemy je za dnia, a wieczorem zatrzymujemy się na odpoczynek w Karpiówce. Tu nasi ludzie orientują nas co do dalszej podróży.

Idziemy dalej. Jak dotychczas - szczęśliwie. Częściowo - tam gdzie to jest możliwe - udaje nam się nawet podróżować furmanką. Tylko w okolicy Minkowic, na wschód od Lublina, robi się trochę ciasno i gorąco. W godzinach przedpołudniowych musimy tam przejść przez tory kolejowe. Niełatwa to sprawa. Wiadomo, że są one tutaj, w pobliżu Lublina, szczególnie pilnie strzeżone. Największe szanse przejścia są w rejonie dworca kolejowego. Kręci się tu zwykle dużo ludzi, co daje możliwość wmieszania się w tłum i zmylenia czujności żandarmów. Tam też kierujemy swoje kroki. Na razie Niemców nie widać. Ale kiedy jesteśmy już na dworcu, nagle zatrzymuje się

pociąg osobowy i na naszych oczach, jednocześnie z kilku wagonów, wyskakują żandarmi i rozbiegają się w różnych kierunkach.

Spoglądamy na siebie. Rozumiemy się z „Lisem” bez słów. Wiemy, o co chodzi: żandarmi przeprowadzają na kogoś obławę. Tym gorzej dla nas. W takich wypadkach są szczególnie podejrzliwi, zatrzymują i rewidują każdego napotkanego na ulicy człowieka, a my przecież z bronią...

Umysł, jak zwykle w podobnych sytuacjach, zaczyna intensywniej działać.

- Co robić? - pyta „Lis” trzymając rękę w kieszeni.

- Do Stasi idziemy - odpowiadam.

- Do jakiej znowu Stasi? - wykrzyknął niemal gniewnie. - Żartować ci się zachciało? Też sobie wybrał porę,...

Daleko mi jednak było do żartów. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Szczęściem przyszła mi na myśl owa Stasia. Wytłumaczyłem „Lisowi”, że mam na myśli naszą „krajankę”, Michalczykównę, która wywędrowawszy ze wsi pracuje w Minkowicach u inżyniera Golemana jako gosposia. Chodziliśmy ze Stasią razem do szkoły. Jej brat był żołnierzem Gwardii Ludowej z oddziału „Błyskawicy”. Znaliśmy się dobrze.

- Gdzie mieszka inżynier Goleman? -

zapytałem przechodzącą obok kobietę.

Kiedy ostatni raz widziałem się ze Stasią, mówiła mi, że chlebodawca jej mieszka gdzieś w pobliżu stacji kolejowej, dokładnie jednak adresu nie znałem. Jakiegokolwiek zapiski, a już zwłaszcza notowanie adresów, były wtedy przecież mocno nie w modzie.

- A toż pan przecież stoi przed domem pana Golemana - zapytana spojrzała na mnie ze zdziwieniem. - To ten w ogródku - dodała wskazując stojący nie opodal dom.

Nie pamiętam, czy któryś z nas zdążył podziękować za tę zbawienną informację, bo zanim kobieta skończyła mówić, byliśmy już na ganku, stukając

i dzwoniąc energicznie do drzwi.

Była najwyższa pora, żeby się ukryć.

Stasia pojawiła się w drzwiach niemal natychmiast i obrzuciła nas zdziwionym spojrzeniem.

- W imię Ojca... A wy tu skąd?

Nie było czasu na dyskusje. Nie czekając na zaproszenie, szybko wchodzimy do środka, zamykamy za sobą drzwi i dopiero teraz informujemy Stasię, o co idzie. Fakt posiadania przy sobie broni, oczywiście, przemilczamy. Kobiety nie wytrzymują czasem nerwowo, lepiej nie ryzykować.

W domu inżyniera Golemana, na szczęście, oprócz Stasi nie zastaliśmy

nikogo.

- Pracują oboje w Lublinie - informuje nas Stasia, krzając się żywo przy kuchni. Parzy herbatę, pragnie najwidoczniej ugościć swajaków.

Wyglądam ostrożnie spoza firanki i widzę, jak na ulicy żandarmi zatrzymują i zabierają gdzieś na dworzec wszystkich napotkanych ludzi. Po chwili ulica pustoszeje. Jej mieszkańcy kryją się w domach, zamykając starannie drzwi i okna, przechodnie umykają, gdzie się uda. Nasza gospodyni informuje nas, że Niemcy często tu wpadają. Czasem w poszukiwaniu kogoś, a czasem po prostu tylko dla obrabowania

szmuglerów na miejscowej stacji kolejowej. Odjeżdżają potem obładowani zdobyczą i zadowoleni.

Stasia jest gościnna, nie chce nas wypuścić bez obiadu, co nam z kolei w naszej sytuacji zupełnie odpowiada. Bez trudu więc dajemy się zatrzymać.

Jakżeż kapryśne jest to partyzanckie życie! - pomyślałem. - Przed chwilą byłeś w nie lada opałach, zaglądałeś śmierci w oczy, a teraz siedzisz oto przy stole w towarzystwie sympatycznej, młodej dziewczyny, jedząc smaczny obiad, który specjalnie dla ciebie naprędce przyrządziła. Zupełnie jak w gościnie za dobrych czasów. A co znów przydarzy się za godzinę - nie

wiadomo.

Zbliża się pora powrotu gospodarzy. Nie chcemy, by nas zastali w swoim domu. Nie znaliśmy ich. A nuż by robili Stasi jakieś wymówki, że pod ich nieobecność przyjmuje obcych? Dziewczyna i tak dla nas dużo zrobiła, a teraz - choć jej odradzamy - ubiera się twierdząc, że musi nas odprowadzić i wskazać właściwą drogę, byśmy nie pobłądzili i nie wpadli przypadkiem w łapy Niemcom. Na nic nasze sprzeciwy. Jest już ubrana. Wkłada nam jeszcze do kieszeni jakieś zawiniątko na drogę i wychodzimy.

Dokoła spokój. Żandarmów już nie ma. Stasia wyprowadza nas aż za rogatki.

Żegnani przez nią, odchodzimy w stronę lasu.

Wczesnym wieczorem, o zachodzie słońca, docieramy szczęśliwie do Rudki, rodzinnej wioski Kazimierza Sidora - „Kruka”, jednego z pierwszych organizatorów grup i oddziałów GL.

W rodzinnym domu Kazika zastajemy tylko dwie jego siostry - Marysię i Józję. Tu dopiero możemy spokojnie odpocząć pod ochroną naszych ludzi. We wsi jest silna grupa wypadowa, a w pobliskim lesie bazują regularne nasze oddziały. Niemcy zagląдают tu rzadko i wyłącznie wtedy, gdy ze względu na swoją liczebność mogą się czuć bezpiecznie.

U Sidorów - chociaż jesteśmy tu pierwszy raz - czujemy się jak u siebie w domu. Wspólna walka w trudnej okupacyjnej sytuacji zbliżała ludzi. Zadziergła wśród nich więzy wyjątkowo trwałe. Wystarczyło nieraz przy pierwszym spotkaniu zamienić kilka słów, aby upewnić się, że są to nasi ludzie, a już przechodziło się na ty i dalsza rozmowa toczyła się w bardzo szczery i przyjacielski sposób. Ta partyzancka solidarność ułatwiała nam poważnie współzycie i wypełnianie naszych trudnych zadań.

Późnym wieczorem spotykamy się z naszym kierownictwem obwodowym. Są tutaj: Mieczysław Moczar - „Mietek”, Jan Sławiński - „Tyfus”,

Grzegorz Korczyński - „Grzegorz”, Jan Wyderkowski - „Grab”, Stanisław Szot - „Kot” oraz inni działacze i dowódcy. Jest również Sidor, którego tutaj dopiero poznajemy. Uderzała w nim prostota i bezpośredniość.

- A to co? - zapytał Sidor witając się ze mną i wskazując okręconą brudnym bandażem szyję.

- Nic takiego - odpowiadam - zwykłe czyraki. Polubiły coś mnie od kilku tygodni.

- Ależ człowieku! Takie bomby nosić na szyi i czekać cierpliwie, aż cię przestaną lubić? Marysia, daj no jodynę i czysty bandaż.

I Kazik z pewnością siebie, jakby był co

najmniej doświadczonym felczerem, przystępuje do zabiegu. Zdejmuje bandaż, przemywa szyję jakimś płynem, jodynuje i zakłada nowy opatrunek.

- Jutro - powiada - nasz oddziałowy lekarz zrobi resztę.

Okazało się później, że nasz nowy znajomy, Kazik, po ukończeniu liceum był kandydatem na lekarza i tylko wojna przeszkodziła w realizacji jego życiowych planów. Opatrunek, jaki mi zrobił, spowodował, że po raz pierwszy od kilku już nocy mogłem spać spokojnie. Cztery czyraki wielkości mniej więcej kurzego jajka dokuczały mi już od dłuższego czasu. W warunkach leśnego życia było to szczególnie

uciażliwe. Dało się we znaki zwłaszcza podczas podróży, jaką odbyliśmy z „Lisem”. Cóż, nie mnie jednego napastowały czyraki. Wynikające z warunków choroby i zagrażające ciągle epidemie - to cały odrębny rozdział naszego partyzanckiego życia.

Pobyt nasz w lasach parczewskich przedłużył się do kilku dni, w czasie których kierownictwo partyjne obwodu wraz z dowództwem zgrupowania załatwiała różne bieżące sprawy. Najważniejszym jednak dla nas momentem było otrzymanie zrzutu broni ze Związku Radzieckiego.

Ósmego września przed wieczorem, na rozległych łąkach wśród lasów,

rozstawiamy się - zgodnie z planem przyjęcia zrzutu - tak aby żaden spadochron wyrzucony z samolotu nie uszedł naszej uwagi. Grupy ubezpieczeniowe zostały rozstawione w promieniu kilku kilometrów, szczególnie na kierunkach Lubartów i Parczew, skąd najczęściej hitlerowcy atakowali naszych partyzantów w lasach parczewskich. Po raz pierwszy w życiu miałem tej nocy na własne oczy zobaczyć, jak wygląda odbiór zrzutu na spadochronach.

Czy aby tylko zapowiadziany samolot na pewno przyleci!

Pytanie to nurtowało nie tylko mnie.

Księżyc wczesnym wieczorem wypłynął

na niebo i jak olbrzymia lampa wisiał nad lasem, rozświetlając mroki nocy. Wszystko wokół wyglądało dziwnie baśniowo, teatralnie. Po lesie niósł się przyciszony gwar gorących dysput, tu i ówdzie słyszało się sprzeczkę, ktoś podniesionym głosem domagał się nawet zakładu - a wszystko wokół najważniejszego nurtującego wszystkich pytania: przyleci czy nie przyleci?

Malkontentom było w takich wypadkach łatwiej o argumenty. Nazywali kolegów naiwniakami, przytaczając przykłady niejednego już daremnego wyczekiwania na upragniony samolot. Twierdzili, że i tym razem rozejdziemy się nad ranem z niczym, a organizatorzy zrzutu znowu będą nam mówić o „obiektywnych

przeszkodach”. Dopóki jednak na wschodzie nie zaświta jutrzienka - i ich, malkontentów, w gruncie rzeczy nie opuści nikły promyk nadziei, choć się z nim kryją starannie.

Instrukcja dotycząca odbioru zrzutu, jaką przywiozła z Warszawy nasza łączniczka „Ewa”, nakazywała zapalenie dziewięciu małych ognisk w kształcie litery „M” i czekanie przy nich na przyłot samolotu. Z chwilą pojawienia się maszyny nad ogniskami należało natychmiast podpalić przygotowane obok małych ognisk wielkie stosy łatwopalnego chrustu. Dla pilota miał to być umówiony znak, potwierdzający, że samolot trafił do celu.

Postąpiono zgodnie z instrukcją. Chłopcy trwali w oczekiwaniu przy niewielkich ogniskach. Przejęci powagą chwili, przygotowali nawet przy każdym stosie po butelce nafty, aby na wszelki wypadek w odpowiedniej chwili można było szybko rozniecić duży ogień. Wyłazili ze skóry, byle tylko - skoro już przyleci - z naszej winy nie wynikło jakieś nieporozumienie, które by mogło przeszkodzić w odbiorze zrzutu. Sprawa broni była wtedy dla każdego z nas sprawą życia lub śmierci. Rzecz nabierała specjalnej wagi z tego względu, że wielu z nas po raz pierwszy miało się naocznie, namacalnie przekonać o pomocy bratniego kraju radzieckiego, z którego mieliśmy

właśnie otrzymać nową broń - symbol przyjaźni dwu narodów, zrodzonej w walce ze wspólnym wrogiem.

Rozmawiano ściszym głosem, nasłuchując co chwila, czy nie ozwie się daleki warkot silnika.

Minęła północ. Samolot według zapowiedzi miał być mniej więcej około godziny drugiej.

Nigdy chyba tak często nie spoglądaliśmy na zegarki jak wtedy. Ostatnie dwie godziny wydawały nam się długie jak całe doby.

Pomimo późnej pory nikt nie zmrużył oka. Tyle było dotąd rozmów, tyle marzeń i planów w związku ze spodziewanym otrzymaniem nowej broni

radzieckiej!

- Słyszycie? - wykrzyknął nagle radośnie Franek Woliński.

Jak na komendę zapadł absolutny spokój. Franek miał najbardziej z nas wszystkich wyostrzony słuch, chyba się nie mylił.

Z zapartym tchem wsłuchiwaliśmy się w leśną głuszę.

Po chwili zmacona ona została od wschodu dalekim odgłosem, cichym zrazu jak brzęczenie komara. Brzęczenie to potęgowało się, to znowu cichło i dopiero po dłuższej chwili można było dokładniej rozpoznać jakże wówczas miły odgłos pracy silników radzieckiego

„Douglasa”. Najlepiej rozpoznawali go żołnierze radzieccy. Coraz bliżej, coraz głośniej, aż wreszcie na wysokości kilkuset metrów ukazał się nad nami duży dwusilnikowy „Douglas”.

- Hura! - krzyczeli uradowani chłopcy.

Wystrzeliło wysoko w górę dziewięć ognistych języków. Pilot natychmiast zorientował się, że jest u celu. Samolot zrobił nad lasem szeroką rundę i zawężając kołowanie coraz bardziej zbliżał się do naszych ognisk. W pewnym momencie zauważyliśmy, jak kolejno - jeden po drugim - oderwało się od samolotu i w różnych miejscach zakwitło bielą sześć parasoli.

Opadały powoli na ziemię. Samolot,

przelatując nad ogniskami, włączył na zmianę kilka razy reflektory, pożegnał nas i nabierając odpowiedniej wysokości odleciał na wschód.

Rozbiegliśmy się wszyscy w różnych kierunkach do opadających i dobrze widocznych białych parasoli. Najbliżej nas wylądował pierwszy wyrzucony spadochron. Kiedy dobiegliśmy do niego, ze zdziwieniem ujrzeliśmy stojącego już na ziemi mężczyznę z bronią gotową do strzału. Krótka wymiana haseł i serdeczne powitanie spadochroniarza. Z tego, co mówił łamanym rosyjskim językiem, zrozumieliśmy, że na drugim spadochronie ląduje kobieta, na pozostałych zaś - zasobniki z bronią i

amunicją.

Nasz gość z chmur, był niespokojny o swoją towarzyszkę. Często wymieniał jej imię - „Rita”. Chciał jak najszybciej odszukać ją i zobaczyć. Aby uspokoić skoczka, rozpoczęliśmy poszukiwania we wszystkich kierunkach.

- Rita! Rita! - rozlegało się co chwila po lesie.

Niestety, przez kilka godzin poszukiwań, utrudnionych na skutek panujących w lesie ciemności (księżyc zaszedł za chmury), Rita milczała jak zaklęta. Zaczęliśmy się poważnie niepokoić. Niesiony wiatrem spadochron, mógł przecież opaść gdzieś na drzewo i nieszczęśliwie zaplątać się w koronie.

Jego pasażerka mogła spaść w jakąś leśną wyrwę, połamać nogi lub ręce, stracić przytomność, a nawet zabić się uderzając głową gdzieś o pień lub kamień. Przychodziły nam najgorsze myśli do głowy, wszyscy byli podenerwowani. Dopiero o świcie, gdy - uformowani w tyralierę - mogliśmy dokładniej przeszukać las, w pewnym momencie usłyszeliśmy z daleka ciche i niewyraźne wołanie. Znajdujący się najbliżej żołnierze skoczyli w tamtym kierunku. Ich uradowane okrzyki, którymi w chwilę później rozbrzmiał las, mówiły same za siebie.

Rita wisiała na drzewie. Spadochron opadając zaczepił o koronę wysokiej, starej sosny. Do ziemi było chyba

stamtąd już nie kilka, lecz kilkanaście metrów. Chłopcy skoczyli na drzewo ze zręcznością wiewiórek i sprowadzili Ritę na ziemię. Była bardzo wyczerpana i zdenerwowana. Nic dziwnego. Skąd mogła mieć pewność, że ją w ogóle znajdziemy? Że na tym pustkowiu przyjdzie jakikolwiek ratunek z którejkolwiek strony? Umierać z głodu - rzecz straszna. Być skazanym na śmierć głodową w pozycji wiszącej - między niebem i ziemią - to już tortury stanowczo zbyt wymyślne. Na samą myśl cierpła skóra dzielnej spadochroniarki.

Mimo kilku godzin strachu i wielkiego zmęczenia uśmiechała się teraz do swoich wybawców.

Podczas gdy jedni zdejmowali Ritę z sosny, inni rozpalili natychmiast ognisko. Kiedy Rita stanęła na ziemi i powoli przychodziła do siebie, nasi chłopcy częstowali ją już gorącą kawą. Wkrótce znalazła się i butelka bimbru. Ogólna wesołość spotęgowała się jeszcze, gdy nasz gość wyciągnął z kieszeni płaską blaszaną manierkę z „moskowską”. Wypiliśmy wszyscy za zdrowie odnalezionej zguby.

Z rozmowy z naszymi gośćmi dowiedzieliśmy się, że mają oni przez Polskę wyjechać do ojczyztego kraju, aby tak samo jak my organizować u siebie podziemną armię do walki ze wspólnym faszystowskim wrogiem - hitleryzmem.

Jak się teraz, po latach, okazało, zrzuconym wówczas spadochroniarzem był Theodor Winter - „Karol”, niemiecki komunista, zięć Wilhelma Piecka, który wraz z „Ritą” miał być przerzucony do Berlina. Dziś dzięki informacjom rodziny Theodora Wintera dowiedziałem się, że wtedy, w 1943 roku, hitlerowcy wpadli na jego trop. Najpierw osadzili go w obozie koncentracyjnym, po czym ustalwszy tożsamość - rozstrzelali. Zginęła również towarzysząca mu „Rita”. Dziś wiem, że była niemiecką komunistką i nazywała się Katja Niederkirchner.

Chłodny wrześnieowy poranek zastaje nas przy ognisku. Oprócz naszych gości i nas, Polaków, są tu Rosjanie,

Białorusini, Ukraińcy, Gruzini - wielka internacjonalistyczna partyzancka rodzina walczącego podziemia, zjednoczona wspólnymi ideałami i celami walki wyzwolenczej. Właśnie tutaj, dzięki naszym gościom zapewne, niejeden z nas uświadamia sobie nagle jasno jak nigdy dotąd, że takich partyzanckich ognisk na terenach Polski i innych okupowanych przez Niemców krajów jest coraz więcej. Że coraz częściej radzieccy lotnicy dokonują bohaterskich nocnych lotów na głębokie tyły wroga, niosąc ludności podbitych krajów nadzieję, a tym, którzy - jak my - bez względu na konsekwencje podjęli bezkompromisową walkę z barbarzyńskim okupantem, niezbędną

do tej walki broń. Że na tyłach rośnie podziemny leśny front, który hitlerowcom na terenach okupowanych coraz bardziej daje się we znaki, zwłaszcza na liniach kolejowych i drogach, gdzie transport wroga, tak bardzo potrzebny hitlerowcom na froncie wschodnim, wylatuje codziennie w powietrze.

Pomimo bezsennej nocy nikt nie czuł się zmęczony, ani głodny.

Teraz dla naszych chłopców następuje najradośniejsza chwila - rozpakowanie zasobników z bronią i jej rozdział. Dwanaście nowych automatów, zwanych „pepeszami”, z dużą ilością amunicji, granaty i materiały wybuchowe stały się

powodem ogólnej radości. Wkrótce miały być wypróbowane na wrogu.

Po południu odbyła się konferencja poświęcona zagadnieniom partyjnym. Jako sekretarz powiatowy referowałem sprawę rozwoju działalności Polskiej Partii Robotniczej w powiecie kraśnickim, który w tym okresie miał największy na Lubelszczyźnie dorobek zarówno pod względem wzrostu, jak i aktywnej pracy szeregów partyjnych. Najtrudniejszym dla nas problemem - co podkreślałem w swoim sprawozdaniu - był w dalszym ciągu dotkliwy brak odpowiednich kadr, szczególnie na stanowiskach kierowniczych. Nic nie pomogły moje argumenty, że w związku z tym nie mogę oderwać się od powiatu

kraśnickiego. Wysunięta przez Jana Sławińskiego - „Tyfusa” propozycja powołania mnie na stanowisko sekretarza okręgu, poparta przez Mieczysława Moczara, została zaaprobowana przez resztę towarzyszy. Tak więc chcąc nie chcąc musiałem przyjąć stanowisko sekretarza okręgowego PPR na południowej Lubelszczyźnie. W skład tego okręgu wchodziły powiaty: kraśnicki, puławski, krasnostawski, biłgorajski, zamojski, hrubieszowski, tomaszowski i lubelski.

Siedząc pod drzewem, zastanawiałem się z niepokojem, czy podołam nowym, zwiększonym obowiązkom. Towarzysze z obwodu i z Warszawy obiecywali pomóc.

Był to ostatni dzień naszego pobytu w lasach parczewskich. Towarzysz Moczar w swoim podsumowującym przemówieniu podkreślał, że za długo już przebywamy tak znacznym zgrupowaniem w jednym miejscu. Niemcy mogli się o tym dowiedzieć, a złe – wiadomo - nie śpi. Ponieważ w dodatku wszystkie sprawy, które nas tu sprowadziły, zostały załatwione, radził powrócić każdemu na swój posterunek, w dalszym ciągu wzmacniać podziemny front i prowadzić nieubłaganą walkę z okupantem aż do zwycięstwa.

Wieczorem, żegnani przez kierownictwo zgrupowania i kolegów z terenu, odjeżdżamy na południe.

Zasadzka

Z lasów parczewskich powracamy już większą grupą. Oprócz „Lisa” i mnie jest z nami Bolesław Kowalski - „Cień”, który w wyniku przeprowadzonej na konferencji reorganizacji został przerzucony z lasów parczewskich na południową Lubelszczyznę. Pochodził z Zakrzówka. Jako osiemnastolatek wstąpił do GL i był członkiem grupy wypadowej w swej rodzinnej wiosce. Sytuacja tam była trudna, wieś podzielona, gdyż synowie bogaczy należeli do NSZ. Przewodził im granatowy policjant Leon

Cybulski - „Znicz” mający niejednego działacza lewicy na sumieniu. W przyszłości eneszetowcy z uporem będą czyhać na życie „Cienia”.

Bolesław Kowalski, po powrocie z nami na południową Lubelszczyznę, był przez jakiś czas w oddziale „Przepiórki”, jako jego zastępca, ale wkrótce się usamodzielniał, stając na czele bardzo ruchliwego i bojowego oddziału.

Jest również Józef Małysz - „Marek”, sekretarz PPR z powiatu zamojskiego, powracający na swoje tereny, i jeszcze jeden towarzysz z tego powiatu. Na najbliższy odcinek drogi nasz nowy znajomy, „Kazik”, poczuwający się do

obowiązków gospodarza, funduje nam furmankę, która przez noc ma nas odwieźć do granicy powiatu lubelskiego.

- Dalej za was już nie odpowiadam - żegnając się z nami mówi „Kazik”. - Musicie sobie radzić sami.

Przyjemna jest podróż furmanką w pogodną wrześnieową noc. Panująca wokół kompletna cisza i nocny spokój natury udzielają się w takich chwilach człowiekowi. Gdybyśmy jeszcze mieli pewność, że nie spotkają nas po drodze żadne niespodzianki, podróż taką można by było traktować jak przyjemną wycieczkę i odpoczynek.

Młode i dobrze utrzymane konie

parskając biegną po wiejskiej, piaszczystej drodze. Furman jest w dobrym humorze. Strzela co chwila z fantazją z bata. Częstujemy go papierosami, toczy się przyjemna pogawędka.

Zbliżamy się do wioski Rozkopaczew, położonej po prawej stronie drogi wiodącej z Parczewa. Po lewej rozciąga się błonie, rzadko porośnięte kępami karłowatej krzewiny. Gdzieś w pobliżu, od strony południowej, znajduje się majątek miejscowego dziedzica.

Wjeżdżamy do Rozkopaczewa. Psy jak zwykle zaczynają zaciekle ujadać. Konie zwolniły biegu. Jest już po północy. W żadnej z chat nie widać światła.

- Gdzieś tu w pobliżu „Kazik” ze swoją grupą miał niedawno niewąską przeprawę z żandarmerią - informuje nas „Cień”. - Natrzaskali Szwabów, broni zagarnęli...

- A nasi wszyscy wyszli cało? - pyta ktoś ciekawie.

Zapytany nie zdążył odpowiedzieć. Przeszkodziła niespodziewana seria z karabinu maszynowego. Zasadzka! Szybko zeskakujemy z wozu i kryjemy się w przydrożnym rowie. Jeden koń, trafiony, upadł, drugi wystraszył się i ściągnął wóz do rowu. Po strzałach orientujemy się w sile ognia niewidocznego przeciwnika: jeden karabin maszynowy i kilkanaście

zwykłych.

Ogień prowadzony jest spoza budynków. Strzały padają gęsto. Na szczęście kule gwizdzą ponad nami, leżymy w rowie dość bezpiecznie. W pobliżu mnie są „Lis” i „Cień”. Zastanawiamy się, jak wybrnąć z sytuacji. Nieznani napastnicy cały czas trzymają nas pod ogniem. Próbujemy się ostrzeliwać. Moja nowa pepeszka z ostatniego zrzutu jak na złość zacięła się.

- To smar konserwacyjny, niezupełnie usunięty, powoduje zacięcia - informuje mnie „Cień”. - Zrób kilka ruchów zamkiem i znowu spróbuj. Pośpiesz się, może być gorąco...

„Cień” i „Marek” strzelają ze swych

pistoletów.

- Tylko nie w budynki, pozabijacie ludzi! - krzyczę na nich, szarpiąc się ze swym pistoletem.

Głupia sytuacja! Między obu strzelającymi do siebie stronami, wzdłuż drogi, rząd gęsto ustawionych drewnianych chat, a w nich wybite ze snu liczne chłopskie rodziny. Wiadomo, że pocisk nie tylko z pepeszki, ale z każdego karabinu, a nawet z małego pistoletu, przechodzi przez drewniane ściany wiejskiej chałupy jak przez sito.

- Nabijemy ludzi! Co za draństwo robić zasadzkę we wsi! - zżyma się „Lis”.

Na drogę tuż przede mną wychyla się kilku atakujących nas ludzi z karabinami

w rękach. Strzelam do nich ze swego niezawodnego visa. Cofają się. Widzę, że to jacyś cywile. A więc nie Niemcy.

Próbuję jeszcze raz swojej pepeszki. Nareszcie przemówiła! Odetchnąłem swobodniej.

- Zachodź z lewej! - krzyczę do „Cienia”, poczuwszy się w jednej sekundzie o ile pewniej. - Wykurzimy ich z zabudowań na pole. Chcą się bawić w wojnę, to tam, nie pod chałupami.

Wyskakujemy z rowu równocześnie. Strzelamy długimi seriami w luki między domami, wchodzimy w rejon zabudowań.

We wsi zrobiło się teraz istne piekło. Wszystko, co żyło, zaczęło wrzeszczeć wniebogłosy. Szczekanie wystraszonych psów, gdakanie kur i przerażone okrzyki przebudzonych ludzi mieszają się z jazgotliwą, gwałtowną strzelaniną. Po ogrodach widać biegnących ludzi. To nasi przeciwnicy wycofują się wzdłuż wsi do pobliskiego lasu. „Cień” zdołał dopaść jednego z nich. Widzi, że to nie-Niemiec. Nie strzela do niego, wytrąca mu tylko z ręki pistolet i wzięwszy go po prostu za kołnierz, prowadzi do mnie. Wszyscy pozostali uciekli. Nie ścigamy ich. Na wywróconym w rowie wozie mamy przecież trzy zapasowe skrzynki amunicji do nowych pistoletów, które wieziemy dla oddziału

„Grzybowskiego” do lasów lipskich. To ważniejsze. O przeciwniku dowiemy się i tak bliższych szczegółów od wziętego jeńca.

Wracamy do wozu. Drugi koń jest także ranny, nie możemy już korzystać z furmanki. Nasz woźnica płacze z żalu po stracie koni, prosi, żeby mu jakoś pomóc.

Nie ma czasu na szukanie innej podwoły. Do lasu jest około pięciu kilometrów. Zabieramy amunicję ze sobą. Bardzo się teraz przydaje nasz jeńiec.

- Bierz i nieś, ty psisynu! - popychając go krzyczy „Cień”. - Z Niemcami nie potrafisz wojować, tylko do Polaków

z ukrycia podstępnie strzelasz i jeszcze niewinnych ludzi we wsi narażasz, łajdaku!

- Ja, panie, mam kupę dzieci, ja nie winien. Tylko taki był rozkaz naszego komendanta. Mówił nam przecie, że my na wroga... - jeniec pada na kolana prosząc, żeby mu życie darować.

- Nie wygłupiaj się, ty ciemna maso! - My wojujemy wyłącznie z hitlerowcami, a dla takich durniów jak ty mamy litość. Nie czas na gadanie. Zabieraj się.

Chłop w dalszym ciągu klęczał ze złożonymi błagalnie rękami.

- Ty się tu do mnie nie módl, bo ci to i tak nic nie pomoże. Wstawaj natychmiast, bierz bagaż na plecy i ciesz

się, że masz okazję przynajmniej trochę odrobić swoją głupotę.

Obładowani bagażem jak juczne muły po forsownym marszu docieramy nad ranem do lasu.

- Coś mi się widzi, że trzeba będzie przesiedzieć tu cały dzień - mówi „Lis” głosem, w którym nie wyczuwało się zachwyty.

Rzeczywiście, tak małą grupką i z takim bagażem nie możemy ryzykować dalszej podróży. Byłoby to narażenie naszej drogocennej zdobyczy.

Zaszywamy się w niedostępnym zakątku lasu i rozpalamy ognisko. Teraz dopiero można swobodnie porozmawiać

z jeńcem.

Chłop boi się, mówi, że jest głodny. „Marek” częstuje go jakimiś zapasami ze swojej żołnierskiej torby.

Po chwili jeniec uspokaja się trochę i - widząc, że nie jesteśmy wcale tak groźni, za jakich nas najwidoczniej uważał - zaczyna mówić.

Pochodzi z okolic Rozkopaczewa. Jest robotnikiem u tamtejszego dziedzica i nazywa się Jan Libera. Panowie oficerowie, którzy przebywają w pałacu dziedzica, zorganizowali oddział „partyzancki” z robotników folwarcznych i częściowo z ludzi spoza folwarku.

- Ja tam, panie, nie wiem - mówi - ja

niepiśmienny, ale jak panowie oficerowie mówią, to chyba dobrze, bo oni zawsze lepiej wszystko wiedzą.

- A jakie zadanie przed waszym oddziałem partyzanckim stawiają wasi panowie? - pyta „Lis”.

Libera spojrział na niego nieufnie jakoś spod opadających na czoło zmierzwionych włosów, które widać dawno już nie miały nic wspólnego z nożycami ani grzebieniem.

- Nie, panie, co to, to chyba nie - zaczął bąkać nie wiedząc co. Swoją olbrzymią dłoń zanurzył w zmierzwionych włosach, począł drapać się pracowicie w głowę.

- Wszystko ano powiem, jak księdzu, ale co się tyczy tego zadania... E! Panowie tak sobie tylko dworują z człowieka - powiedział w końcu skonfundowany, a ujrzawszy nasze szczerze rozbawione miny zamilkł urażony.

Widać było, że nie bardzo wie, o co chodzi.

- No, co po prostu każą wam jako partyzantom robić wasi panowie oficerowie? - sformułował jaśniej pytanie „Cień”. - Czy każą wam wojować z Niemcami i dlaczego strzelaliście w nocy do nas? - pytał w dalszym ciągu, częstując chłopca dobrymi papierosami, zdobytymi w ostatniej akcji, jaką przeprowadził

oddział „Przepiórki” na jakiś niemiecki transport.

Libera obracał podanego mu papierosa w swoich grubych, spracowanych palcach, zapalił, zaciągnął się i śmieiej już mówił dalej:

- A jak, panie, z Niemcami nam wojować, kiedy oni często przyjeżdżają w goście do naszych panów? A jakże, do pałacu przyjeżdżają, gadają tam długo, piją, tańczą. Nieraz się tam usługuje, to i zobaczy człowiek co nieco. Bywa, jak se fest popiją w nocy, to wartę jeszcze przy pałacu każą nam trzymać, żeby im kto nie przeszkodził, bo to teraz - powiadają - czasy niebezpieczne i rozmaite bandy grasują,

co za partyzantów się nieraz mają. A nasz komendant nakazuje, że najważniejsze to pilnować dworu przed złodziejami. Tak jakoś gada, że to narodowe dobro, że trzeba strzec jego wszelkimi siłami...

- A dlaczego strzelaliście do nas? - powtórzył pytanie „Lis”.

Libera spuścił oczy i patrzył w ziemię. Jego skudłacona głowa i mocno zarośnięta twarz przypominała mi teraz ciężko pracującego burłaka z jakiegoś rosyjskiego obrazu. Widać było, że czuł się winny wobec nas, a chłopska prostota nie pozwalała mu na jakieś wykrętne kłamstwo.

- Nie bójcie się, Libera, mówić prawdy

- wtrąca „Marek”. - My wiemy, że wy sami na pewno nie strzelalibyście do nas, tylko zrobiliście to na rozkaz swoich panów. My do was nie mamy pretensji za to, że jesteście nieświadomi i słuchacie ich. Chcemy, żebyście nam tylko powiedzieli, co wam mówili, kiedy kazali do nas strzelać.

Libera poruszył się niespokojnie, podniósł oczy do góry, popatrzył na nas i zaczął z obawą:

- A co, panie, będzie, jak powiem? Bo to, panie, biednemu chłopu zawsze na złe się wszystko obraca. Za to, że słucham naszego komendanta, to wy mnie, panowie, teraz sądzić będziecie, a jak się nasi panowie dowiedzą, że tu

coś gadałem, to choćbym i wrócił do chałupy, to mi już i tak na marny koniec przyjdzie. Dziedzic z roboty ze dwora wygoni. Niejednemu już tak zrobili. Tak było zawsze i tak już chyba zostanie.

Opuścił głowę i milczał w dalszym ciągu.

- A może byście tak do nas, Libera, wstąpili, do naszej partyzantki? My nie pilnujemy pańskich majątków i nie strzelamy do Polaków, tylko walczymy z hitlerowcami, bijemy ich za to, że nam zabrali ojczyznę i narzucili nam niewolę, okupują nasz cały kraj, mordują ludzi, rabują, niszczą i palą. Czy wy, Libera, tego wszystkiego nie widzicie? - starał mu się wytłumaczyć,

tym razem jak najprościej, „Lis”.

- A jakżeby nie, panie, kto by tam tego nie widział. Niby nawet po cichu z fornalami, między sobą, to i tak gadamy, ale panowie mówią inaczej, a oni przecież rządzą i zawsze co chcą, to robią. A ksiądz pleban, co często przyjeżdża do naszego pana., powiada, że ta cała wojna i wszystkie nieszczęścia to kara boża na grzesznych ludzi i że to wszystko przez tych jakichś tam komunistów, co w Boga nie wierzą i ciągle ludzi bałamucają.

- I na tych to komunistów zorganizował wasz komendant zasadzkę dzisiejszej nocy i kazał wam do nich strzelać, co, Libera? Tak wam mówili?

- Tak mówili, panie, tak - oglądając się bojaźliwie dookoła potakuje Libera i coraz śmielej przygląda się naszym nowym, błyszczącym oksydą radzieckim pistoletom.

- No to przypatrzcie się teraz, Libera, dobrze tym komunistom. - To my - mówi „Marek”. - Przyjrzyjcie się i zastanówcie, czy dobrze zrobiliście, dając się namówić panom do walki przeciwko Polakom, którzy tak samo jak wy są uczciwymi Polakami, przeważnie ze wsi, i którzy walczą tylko z okupantem. My nie walczymy z żadnymi partyzantami polskimi. Chcemy z nimi nawet współpracować w walce przeciwko wspólnemu wrogowi. Nie bawimy się też w obronę majątków

pańskich, gdzie, jak sami mówicie, dziedzice goszczą się i bawią z hitlerowcami. Mamy ważniejsze zadania - bić Niemców i do tego właśnie potrzebni nam są dzielni ludzie i dobrzy patrioci.

- Ja bym, tam, panie, od razu przecie z wami poszedł, ale cóż, kiedy dzieciśka i baba u dziedzica? On, co chce, to z nimi robi. A ja przecie na nich wszystkich robić muszę. A teraz co ze mną będzie? - przypomniał sobie widać nagle swoje przestępstwo wobec nas i patrzył błagalnie na wszystkich.

- Nic nie będzie, co ma być? Pomożecie nam trochę nieść nasz ciężki ładunek, a potem wrócicie do swojego pana,

jeżeli już tak wiernie chcecie mu służyć. Tylko broń, z której chcieliście nas zabijać, pozostanie u nas. My ją lepiej wykorzystamy, będziemy strzelać z niej nie do Polaków, lecz do hitlerowców - tłumaczył mu dalej „Marek”.

Libera znów padł na kolana i starym chłopskim zwyczajem usiłował podjąć „Marka” pod nogi. Jąkając się bełkotał jakieś podziękowania. „Marek” podniósł go.

- Ot, widzicie - powiedział - dlatego wam i bieda, żeście się nic innego nie nauczyli od dziedziców poza biciem pokłonów i pokornym zginaniu karków. Trzeba wszystkim ludziom, którzy pracują na panów, nie na kolana padać,

lecz mocno stanąć na nogach i kark mieć twardy. A z tą bronią z której każą wam panowie do nas strzelać, do lasu iść i bić faszystów. Jeżeli nie wiecie, jak to się robi, przyjdźcie do nas, my wam pokażemy.

Po szczęśliwym dotarciu do lasów lipskich Libera został zgodnie z obietnicą zwolniony. Wrócił do swego pana, ale już nie służył mu tak ślepo i wiernie jak przedtem. Później dowiedzieliśmy się nawet, że jakaś grupa robotników folwarcznych zgłosiła się z bronią do jednego z naszych oddziałów w lasach parczewskich. Wkrótce też ukazał się rozkaz Dowództwa Głównego Gwardii Ludowej nakazujący wprowadzić naszym

wszystkim oddziałom i grupom wypadowym zaopatrywanie się w żywność, umundurowanie, buty i bieliznę tylko na oddziałach niemieckich, ale w przypadku, gdyby to zawiodło, także w majątkach obszarniczych.

Wielka zdobycz

Walki stoczone przez oddział „Grzegorza” i inne grupy partyzanckie odbiły się głośnym echem na północy Lubelszczyzny. W lasach parczewskich rozpoczął aktywną działalność liczący około pięćdziesięciu gwardzistów oddział GL im. Bema pod dowództwem

starszego lejtnanta Fiodora - „Fiedi”. Składał się on i z Polaków, i ze sporej liczby zbiegłych z niewoli jeńców radzieckich.

Wieści o dokonanych przez „Fiedię” akcjach docierały do nas prawie natychmiast budząc ogromną radość. Z dnia na dzień coraz bardziej zdawaliśmy sobie sprawę z siły, jaką reprezentują już nasze leśne szeregi.

Liczba napadów na posterunki niemieckie, na środki transportu i osoby wysługujące się Niemcom w szybkim tempie wzrastała. Coraz więcej wykolejano pociągów, niszczone mosty i urządzenia komunikacyjne, zrywano sieć przewodową wysokiego napięcia.

W grudniu 1942 roku oddział GL im. Bema przy udziale innych niewielkich grup opanował w nocy miasto Ostrów Lubelski. Po rozbrojeniu granatowej policji zdobyto nową broń, ukarano śmiercią kolaborantów, spalono na rynku wszystkie dokumenty kontyngentowe i wypuszczono z aresztu okolicznych chłopów, uwięzionych za zabicie świniaka lub niewywiązywanie się z obowiązkowych dostaw dla Niemców.

Po dokonaniu tego oddział wycofał się bez strat.

Wzrastająca stale liczba akcji drogowych i kolejowych zmusiła przy końcu 1942 roku okupanta do wydania

nowych zarządzeń. Odtąd wyznaczeni przez sołtysa ludzie mieli bezustannie pilnować torów kolejowych.

Jak nietrudno było przewidzieć, nie dało to spodziewanych rezultatów. Większość wyznaczonych do ochrony torów ludzi czynnie współpracowała z partyzantami, inni w przypadku kolejnej akcji naszych oddziałów zachowywali całkowitą bierność, czym w rezultacie także nam pomagali. Dlatego w późniejszym okresie Niemcy dla ochrony kolei sprowadzali własne regularne oddziały. Był to dla gwardzistów tylko powód do zadowolenia. Mieli wreszcie niezawodny sposób na zdobywanie broni. Nic dziwnego, że hitlerowcy

niechętnie pełnili tę niebezpieczną służbę.

Zdarzyło się kiedyś, że i ja, wspólnie z gwardzistą Janem Czarneckim - „Jerzym”, zdobyłem w ten sposób broń i amunicję.

Było to wczesną jesienią 1943 roku. Gdzieś pod koniec września lub na początku października - trudno po latach odtworzyć dokładną datę - zaszedł wypadek, który wśród licznych większych i mniejszych wydarzeń, jakich nie szczędziła nikomu okupacyjna rzeczywistość, szczególnie mocno utkwiał mi w pamięci. Stało się tak zapewne dlatego, że nastąpił zupełnie niespodziewanie, różnił się od

wszystkich dotychczasowych swą
niezwykłością i był nie byle jaką próbą
nerwów.

Zaczął się od informacji, jaką
przekazał nam ówczesny sekretarz PPR
na powiat kraśnicki, Jan Czarnecki -
„Jerzy”. Z relacji jego wynikało, że
kilkuosobowa grupa Ukraińców, która
mając za zadanie ochronę torów
kolejowych, od jakiegoś czasu
kwaterowała na stacji kolejowej w
Rzeczycy, nie sprzyja bynajmniej swoim
chlebodawcom i przy nadarzającej się
okazji rada by zrezygnować ze służby,
do której została zaangażowana wbrew
własnej woli. Tak przynajmniej
zapewniał Czarneckiego zawiadowca
stacji w Rzeczycy, Rabiej, który od

dłuższego już czasu utrzymywał z Ukraińcami kontakty, rozmawiając z nimi m. in. na temat ewentualnego pójścia do oddziałów partyzanckich, o czym sami chętnie jakoby napomykali.

Słuchając Czarneckiego, zapaliłem się do działania. W myślach widziałem już wspaniałą broń, w którą Niemcy wyposażali zwykle swoje grupy ochrony kolei, a która tak bardzo by się przydała naszemu oddziałowi.

Okazja była zbyt kusząca, aby z niej nie skorzystać. Z drugiej jednak strony zdobyte w dotychczasowej pracy konspiracyjnej doświadczenie nakazywało wielką ostrożność, zwłaszcza że zdarzały się wypadki

przenikania w nasze szeregi nasyłanych dywersantów i hitlerowskich agentów, którzy udawali, że uciekli od Niemców, a w gruncie rzeczy czekali tylko na okazję, by naprowadzić na nasz ślad większe grupy hitlerowców, które by w dogodnej dla siebie sytuacji mogły zaatakować i zniszczyć nasze oddziały.

Było nas tylko dwóch. Wszyscy inni - zarówno z dowództwa okręgu, jak i obwodu - znajdowali się akurat na innym terenie, w lasach janowskich i biłgorajskich, odległych od Rzeczy o kilkadziesiąt kilometrów, gdzie w związku z zaplanowaną ważniejszą akcją bojową odbywała się koncentracja naszych oddziałów. Nie mieliśmy się kogo poradzić. Nie było też na miejscu

żadnej grupy wypadowej, którą ewentualnie moglibyśmy zaangażować do pomocy.

A czas naglił.

O tym, że Niemcy w obawie, aby użyci przez nich do ochrony torów Ukraińcy nie nawiązywali kontaktów z partyzantką, przerzucali ich w krótkich odstępach czasu z jednego odcinka na inny, wiedzieliśmy. Informacja natomiast, jaką nazajutrz po mojej rozmowie z Czarneckim przekazał nam zawiadowca stacji, była wręcz zaskakująca i wymagała natychmiastowej decyzji. Okazało się bowiem, że interesująca nas grupa Ukraińców następnej nocy po raz ostatni

będzie pełnić służbę w Rzeczycy, po czym przechodzi na inny, nie znany jej teren.

W tej sytuacji jedno tylko wyjście uznaliśmy z Czarneckim za słuszne: dokonać zdjęcia grupy ukraińskiej liczącej, według informacji uzyskanej od zawiadowcy, ośmiu ludzi, bez czyjejkolwiek pomocy.

Jak często jednak łatwiej o decyzję niż o jej wykonanie! Niemało też nałamaliśmy sobie głowy, nim powstał możliwy do przyjęcia plan działania. Należało uciec się do jakiegoś fortelu, działać ostrożnie i chytrze, aby na wszelki wypadek zabezpieczyć sobie możliwość ewentualnego wycofania się

bez szwanku.

Nasz plan wyglądał następująco:

O określonej porze wieczorem przystąpimy do działania. Z jednej strony ja z Czarneckim, z drugiej - zawiadowca. Czarnecki uda się wzdłuż toru kolejowego, bez broni, w kierunku stacji w Rzeczycy Ziemiańskiej. Będzie się zachowywał jak ktoś, komu bardzo śpieszno do pociągu, mającego niedługo odejść do Lublina. W tym samym czasie zawiadowca wraz z Ukraińcami będzie szedł torem kolejowym jemu naprzeciw, od stacji, w kierunku Zaklikowa. Spotkanie nastąpi w pobliżu semafora. Zdążający do pociągu Czarnecki będzie wyglądał, oczywiście, jak zupełnie

przypadkowy przechodzień i żadnemu z Ukraińców przez myśl nie przejdzie, że jest on w jakikolwiek sposób związany ze sprawą ich przejścia do partyzantki. Zawiadowca przywita się z Czarneckim i zapyta, czy nie widział przypadkiem kręcących się przy torze jakichś podejrzanych osobników. Ponarzeka sobie przy tym na awanturników, którzy rozkręcają szyny i wykolejają pociągi, powodując tak wiele ofiar i zakłócenia w ruchu pociągów i przysparzając w ten sposób służbie kolejowej wiele kłopotów. Czarnecki odpowie, że na pewno nie może twierdzić, ale zdaje mu się, że tak. Widział bowiem może dwudziestu, a może więcej ludzi maszerujących od strony Potoka

w kierunku wąwozu rzeczywistego. Doda przy tym, że jakkolwiek nie jest całkiem pewien, iż byli to partyzanci, wszystko zdawało się na to wskazywać, bo broń u niektórych widział. Jeśli chcą się czegoś bardziej konkretnego dowiedzieć, niech idą za nimi w stronę Rzeczycy. Nieznani ludzie powinni się znajdować gdzieś w pobliżu wąwozu. Ma tam nawet znajomego chłopca, mieszkającego tuż przy wąwozie, ten na pewno widział ich maszerujących i chyba mógłby coś konkretnego powiedzieć.

Od wyniku tej rozmowy uzależniliśmy nasze dalsze postępowanie. Gdyby Ukraińcy chcieli rzeczywiście przejść na stronę partyzantów, to - logicznie

rozumując - powinni zaproponować Czarneckiemu, aby poszedł do wsi, przeprowadził rozpoznanie i umożliwił im skontaktowanie się z partyzantami. Gdyby natomiast okazało się, że mają inne zamiary, wówczas Czarnecki przeprosi ich i będzie się spieszył do pociągu.

W tym czasie ja, uzbrojony w swoją pepeszkę i granaty, miałem zająć dogodne stanowisko pod polną gruszą, mniej więcej w połowie drogi między miejscem spotkania Czarneckiego z Ukraińcami a wąwozem prowadzącym do wsi. Stanowisko moje umyślnie było dobrane tak, że gdyby Ukraińcy chcieli pójść we wskazanym kierunku, musieliby wyjść na mnie. W przypadku,

gdyby do tego samego celu wybrali inną drogę, miałbym również dobre pole obserwacji i możliwości dalszego manewru, w zależności od ich zachowania się.

Zapadł zmierzch. Szła pogodna, ciepła jeszcze - mimo jesiennej pory - noc. Łubiny pachniały jesiennym kwieciem, świeżo zaorane ścierniska wydawały przyjemny dla rolnika zapach urodzajnej gleby.

W zapadających ciemnościach przedzieraliśmy się z Czarneckim wąwozem w stronę toru kolejowego, aby zrealizować nasz plan.

Zatrzymaliśmy się przy gruszy. Stąd miała rozpocząć się nasza akcja, tu

miała się również zakończyć.

Rozejrzałem się wokoło, chcąc na wszelki wypadek zorientować się dokładniej, jakie możliwości obserwacji daje mi wybrane stanowisko.

Odbezpieczyłem automat kładąc go ostrożnie obok siebie, sprawdziłem granaty i usiadłem na miedzy, opierając się plecami o gruszę.

Czarnecki ruszył w drogę. Wiedziałem, że mam jeszcze około pół godziny czasu, zanim pojawi się z powrotem (jeśli oczywiście spotkani Ukraińcy rzeczywiście wyślą go do wsi dla nawiązania kontaktu z partyzantami). Będzie przechodził tuż obok gruszy. Tu

mieliśmy się spotkać i uzgodnić dalszy plan działania.

Siedziałem wpatrzony w stronę, skąd niezadługo miało przyjść rozwiązanie. Cisza aż podzwaniała w uszach. Myśli biegły przez głowę istnym kłębowiskiem. Zacząłem odczuwać niepokój. Czy słuszna była nasza decyzja? Czy dobry plan działania? A co będzie, gdy Ukraińcy aresztują Czarneckiego i zabiorą ze sobą? Przecież to bądź co bądź sekretarz powiatowy. Za duża byłaby strata dla organizacji i zbyt poważna odpowiedzialność za powzięcie takiej decyzji.

Czekałem i w miarę jak upływały

minuty, denerwowałem się coraz bardziej.

W pewnej chwili zauważyłem idącego w moją stronę człowieka. Odruchowo wyciągnąłem rękę po automat, wpatrując się badawczo w nadchodzącego.

Niski wzrost i charakterystyczny chód upewniły mnie jednak, że to Czarnecki. Wymieniliśmy - bardziej dla formy niż z rzeczywistej potrzeby - umówione hasła i po chwili zdawał mi krótką relację.

- Załatwione - powiedział podnieconym głosem. - Idę ich tu przyprowadzić. - Zrobił gest, jakby natychmiast chciał odchodzić, by zrealizować swój plan.

- Poczekaj! - rzekłem. - Coś taki

w gorącej wodzie kąpany? Swoim pośpiechem możesz tylko wszystko popsuć.

- Jak popsuć? - nie rozumiał. - Przecież obiecałem zaraz wrócić!

- Tak, tylko w swym zapędzie zapominasz, że opanowanie i trzeźwe myślenie to w naszej robocie połowa sukcesu. Wczuj się, chłopie, w ich sytuację. Nie wiesz, na co byliby narażeni, gdyby o ich zamiarze Niemcy dowiedzieli się dość wcześnie, aby go udaremnić?

- No, ale co to ma do rzeczy?

- A choćby to, że są bardziej niż kiedykolwiek czujni i podejrzliwi.

Wrócisz do nich za tyle czasu, ile potrzeba na dojście do wsi, odszukanie twego wymyślanego oddziału i powrót. Policz, no, ile zajęłoby ci to minut.

- Chyba godzinę - odpowiedział, zastanowiwszy się chwilę.

- No widzisz. Zważywszy zatem, że od momentu rozstania z nimi upłynęło nie więcej niż piętnaście minut i przypuszczalnie tyle samo czasu zabierze ci droga powrotna, nietrudno chyba obliczyć, że wyruszyć stąd możesz dopiero za jakieś pół godziny.

Ten nieskomplikowany wywód matematyczny przekonał na szczęście kolegę. Choć w dalszym ciągu

przejawiał oznaki zniecierpliwienia, chcąc najwidoczniej jak najszybciej mieć wszystko poza sobą, usiadł obok mnie i głosem ściszym do szeptu zdał dokładną relację z przebiegu rozmowy z Ukraińcami.

Wszystko odbyło się tak, jak przewidywaliśmy i wskazywało, że Ukraińcy mają szczerze zamiary. Wiele entuzjazmu z powodu ucieczki od Niemców i rychłego już wstąpienia w szeregi partyzantki wykazywało zwłaszcza dwóch spośród nich, w tym jeden podoficer.

Patrząc na fosforyzowane wskazówki zegarka: pozostało dziesięć minut. Zdażyliśmy jeszcze uzgodnić parę

szczegółów i za chwilę Czarnecki odchodzi. Ma im powiedzieć, że rzeczywiście spotkał partyzantów we wsi, gdzie szykują sobie kolację. Że dobrze uzbrojony oddział liczy chyba ze trzydziestu ludzi, wśród których są także Rosjanie. Że wreszcie ich dowódca - jakiś starszy wiekiem oficer z wąsami i brodą, mówiący z rosyjskim akcentem - wyraził zgodę na przyjęcie Ukraińców do oddziału, pod warunkiem jednak, że przyjdą z bronią, a przy spotkaniu będą się zachowywać ściśle według jego życzeń.

- Tylko pamiętaj - przestrzegłem kolegę na odchodnym - gdyby przy naszym spotkaniu zaszło coś nieprzewidzianego, natychmiast odskakuj w bok, żeby cię

przypadkiem nie zahaczyło coś z mojej pepeszki.

„Łatwowierny” - pomyślałem widząc, jak Czarnecki, pewny siebie, odchodzi szybkim krokiem, i jeszcze raz zacząłem sprawdzać swoje uzbrojenie.

Rozważywszy na wszelki wypadek możliwość wycofania się do wąwozu, odszedłem kawałek od gruszy i położyłem się w zarośniętej trawą bruździe. Wysoka w tym miejscu miedza była dobrą ochroną, a zarazem stanowiła niezłą podpórkę dla mojego automatu.

Znów upływały minuty wyczekiwania. Nocną ciszę przerywało dalekie ujadanie psów w Rzeczycy i posapywanie parowozu na stacji

kolejowej.

Spoglądałem często na mój świecący w ciemności zegarek. Czas się dłużył, byłem niespokojny o Czarneckiego.

Wreszcie dostrzegłem ich.

Szli gęsiego.

„Dobrze zrobiłem - przyszło mi na myśl - że przeniosłem swoje stanowisko spod gruszy tutaj”.

Rzeczywiście - mogłem ich teraz dobrze obserwować wszystkich, ba, nawet policzyć. Gdybym pozostał pod gruszą i patrzył na nich z przodu, widziałbym tylko jednego, co mogłoby mnie przecież w tej sytuacji poważnie wprowadzić w błąd.

Idą drogą równoległą do miedzy, za którą leżą, przebiegającą nie dalej niż trzydzieści metrów od wybranego przeze mnie stanowiska. Zbliżając się, rosną i coraz wyraźniej rysują na tle nie bardzo ciemnej nocy. Ośmiu. Czarnecki na przodzie. Jeszcze dwadzieścia kroków... dziesięć... pięć... Już na wysokości mojego stanowiska!

- Stój!!! - krzyczę z całej siły i zwracając się do swego wyimaginowanego oddziału, rozkazuję:
- Chłopcy, nie strzelać!

Ukraińcy stanęli jak wryci, najwidoczniej nie przygotowani na to spotkanie w połowie drogi.

- To partyzanci - dobiegają mnie

skierowane do nich słowa Czarneckiego. - Oni zawsze tacy ostrożni. Ubezpieczają się.

- Odrzucić od siebie broń i podnieść ręce do góry - wydaję kolejne polecenie.

Wykonują je natychmiast, jak na komendę.

Czarnecki pozbierał broń i przyniósł ją do mnie.

- Idź, zrewiduj ich kolejno - powiedziałem. - Dokładnie obmacaj, za cholewy zajrzyj, do czapek...

Operacja ta trwała chyba dziesięć minut. Wtedy dopiero pozwoliłem im opuścić ręce, ale w dalszym ciągu nie mogli

ruszać się z miejsca.

Teraz zamieniliśmy się z Czarneckim rolami. On zajął moje stanowisko, a ja poszedłem do Ukraińców. Poinformowałem ich krótko, kim jesteśmy i jaki cel przyświeca naszej walce. Dowiedzieli się też ode mnie, że zostałem wysłany przez dowódcę oddziału partyzanckiego znajdującego się w pobliżu i że zadaniem moim jest ułatwić im zerwanie współpracy z hitlerowcami i wstąpienie do leśnych oddziałów, w których wszyscy ludzie, niezależnie od przynależności narodowej, mają możliwość walczyć z niemieckim faszyzmem.

- Czas najwyższy - kończyłem - abyście

się tam jak najszybciej znaleźli i odrabiali swoje błędy. A teraz możecie usiąść na miedzy i zapalić.

Obejrzałem zdobytą broń: jeden erkaem, sześć karabinów i jeden nowiuteńki vis naszej radomskiej produkcji.

Było również kilka granatów niemieckich, tzw. „tłuczków”, i amunicja.

Ładna zdobycz - pomyślałem. - Można by tym od biedy uzbroić niewielki oddział.

- Idź do furmanki - zwróciłem się do Czarneckiego - a ja tu sobie jeszcze z nimi pogadam przez ten czas.

Zszedł ze stanowiska, oddał mi

pepeszkę i poszedł.

Dwóch chłopów z Rzeczycy czekało już z konnymi podwodami w wąwozie. Podjechali, zanim nasi goście zdążyli wypalić papierosa.

Czarnecki zdobytą broń poukładał na jednym wozie, sobie wybrał karabin, mnie dał visa, Ukraińców - bez broni - usadził na wymoszczonej słomą drugiej furmance i ruszyliśmy.

Edward Oszczędłowski, rolnik z Rzeczycy Ziemiańskiej, który był właścicielem podwozy wiozącej Ukraińców, wiedział już, że mamy jechać w lasy lipskie, gdzie najprawdopodobniej można było znaleźć jakiś oddział z naszego zgrupowania.

Znał on dobrze drogę. W naszych bazach bywał częstym gościem i nieraz już korzystaliśmy z jego usług. Jazda z nim miała i tę dobrą stronę, że nie potrzebowaliśmy już przewodnika. Nikt tak jak Oszczędłowski nie potrafił wyczuć, którądy należy jechać, aby uniknąć niebezpieczeństwa natknięcia się na Niemców. Toteż spokojnie mogliśmy z Czarneckim jechać drugim wozem wraz ze zdobytą bronią.

Do lasów lipskich - naszej głównej bazy - jest z Rzeczycy kilkanaście kilometrów. Swoim północnym skrajem sięgają one do wsi Łysaków w pobliżu Zaklikowa, gdzie stacjonował wówczas garnizon niemiecki.

Przejeżdżamy jeszcze tylko przez tę wieś i już możemy się czuć jak u siebie w domu. Szczególnie w nocy las jest naszym wypróbowanym sprzymierzeńcem. Niemcy nigdy nie zaglądali tu chętnie, a ostatnio do unikania lasów mają więcej niż kiedykolwiek powodów. Zaglądają do nich tylko wtedy, gdy muszą, a i to wyłącznie większymi siłami.

Przypadek zrządził, że jeszcze tej samej nocy natknęliśmy się na oddział zwiadowczy „Bogdana” z brygady „Grzybowskiego”. Według informacji uzyskanej od „Bogdana” nazajutrz miał w te strony przybyć sam „Grzybowski” z częścią swojego oddziału.

Następnego dnia rzeczywiście spotkaliśmy się z kpt. „Grzybowskiem”. Był bardzo zadowolony z prezentu, jaki mu przywieźliśmy do lasu.

Ukraińcy zostali na wszelki wypadek przydzieleni do kilku różnych oddziałów. Późniejsze walki z okupantem wykazały, że mieli oni szczerą chęć odrobienia swoich błędów.

W obozie

15 października 1943 roku znów znaleźliśmy się w lasach lipskich. Tutaj, gdzie nie sięgała władza okupanta, czuliśmy się zawsze lepiej. Nie tylko my

zresztą. Uciekali do tych lasów także chłopcy, ścigani za nieterminowe wywiązywanie się z obowiązkowych dostaw kontyngentowych, i młodzież, która w obawie przed łapankami na przymusowe roboty zmuszona była opuścić rodzinny dom. I jedni, i drudzy wiedzieli, że znajdą tu ochronę ze strony żołnierzy GL. Wielu z nich wstępowało do naszych oddziałów i nie wracało już do domów. Zależało to oczywiście, od naszych możliwości wyposażenia ich w niezbędną broń do walki z okupantem.

Była złota, tradycyjna polska jesień. W nasłonecznionym powietrzu płynęły długie nitki babiego lata. Odpoczywaliśmy w głębokiej ciszy południa, nie zakłóconej najłżejszym

powiewem wiatru.

Dla partyzantów jesień ma szczególnie wiele uroku. Nie tylko dlatego, że chodzi się po pachnącym, grubym dywanie opadających liści i igliwia, a wzrok można do woli sycić urzekającymi barwami lasów. Jest jesień także - w warunkach partyzanckich fakt ten nabiera o ile większego znaczenia niż kiedykolwiek - okresem obfitości. Jeśli bowiem nawet zawiodą inne sposoby zdobywania pożywienia, pozostają skarby, których las nie szczędzi nikomu - leśne owoce, orzechy, a zwłaszcza grzyby, które jakże często stanowiły główny partyzancki posiłek. Trzeba się tylko na nich znać tak, jak potrafią to leśni ludzie.

W obozie partyzanckim panuje dobry nastrój. Jest tu z częścią swoich ludzi dowódca brygady kpt. „Grzybowski” i kpt. „Jastrząb”, jest por. „Lis” i oficer polityczny, Jan Pytel - „Leon” i Stanisław Bieniek - „Szela”. Z młodszych są dowódcy plutonów: „Błyskawica” i „Cień” ze swymi plutonami. Znajduje się tu również niewielki polsko-radziecki oddział pod dowództwem oficera radzieckiego, „Kazika”.

Łącznie z taborem i kilkoma partyzantami, którzy zostali ranni podczas ostatnich potyczek z żandarmerią, znajdowało się w tym czasie w obozie około stu pięćdziesięciu ludzi.

Nowe pepeszki - marzenie wszystkich partyzantów - przywiezione przez nas z ostatniego zrzutu, jaki odebraliśmy w lasach parczewskich, chodziły z rąk do rąk, były przedmiotem wielkiego zainteresowania i podziwu. Tu, w lasach lipskich, oczekiwaliśmy kolejnego zrzutu.

W miarę jak zbliżał się zapowiadany moment, wśród gwardzistów wyczuwało się coraz większe podniecenie i napięcie. „Przyleci czy nie przyleci?” - czytało się niemal we wszystkich oczach. Zdarzało się bowiem nieraz, że towarzysze radzieccy z przyczyn wcale od siebie niezależnych nie mogli dotrzymać zapowiedzianego nam przez radio terminu zrzutu. Wtedy partyzanci,

daremnie wyczekujący nocami na wyznaczonych miejscach, odchodzili o świcie przygnębieni, wiadomo - trudności frontowe. Związek Radziecki musiał przede wszystkim rozprawiać się na froncie z głównymi siłami armii hitlerowskiej i nie zawsze mógł zadośćuczynić naszym życzeniom. W grę wchodziły tu również nie zawsze sprzyjające warunki atmosferyczne. Wiedzieliśmy o tym dobrze, tłumaczyli nam to nieraz znajdujący się w naszych oddziałach radzieccy oficerowie. Niełatwo jednak dało się to wytłumaczyć młodym zapaleńcom, gotowym na wszystko, byleby dostać broń do ręki. Często nawet spotykaliśmy się z ich strony z zarzutami pod adresem

organizatorów zrzutu oraz z twierdzeniem, że „nie przyleci, bo widocznie źle było coś załatwione”. Trzeba było nieraz wykazać bardzo dużo cierpliwości, aby wytłumaczyć malkontentom wszystkie trudności związane z przerzutem broni na tyły frontu. Trudno się było zresztą gniewać za to na chłopców. Wiadomo, czym w warunkach okupacji była dla każdego partyzanta broń. Stanowiła przecież w jego pojęciu najwyższą wartość. Nieraz, bywało, za pistolet lub granat partyzant oddawał wszystko, co miał, choćby to była nawet para koni z wozem.

Byliśmy więc cierpliwi i spokojnie oczekiwaliśmy na zapowiedziany przed

kilku dniami zrzut, który miał właśnie nastąpić w nocy z 20 na 21 lub z 21 na 22 października.

Sposób przyjmowania zrzutów był zawsze podawany szyfrem. Porozumienie w tej sprawie znakomicie ułatwiały radiostacje, którymi dysponowaliśmy już od dłuższego czasu. Mimo to nietrudno było o pomyłki. Najczęściej rejon do zrzutu zasobników z bronią oznaczaliśmy lotnikom ogniskami, co w nocy - jak twierdzili sami lotnicy - było najlepszym sposobem, ułatwiającym im orientację.

Z 20 na 21 października wieczorem na wielkiej polanie w pobliżu Wilczowa przygotowujemy cztery stosy suchego

chrustu, rozłożone tak, aby - widziane z góry - wyznaczały kwadrat o boku mniej więcej pół kilometra.

Przy każdym stosie czuwa wyznaczona grupa partyzantów ze smolnymi szczapami, aby na dany przez kpt. „Grzybowskiego” sygnał (wystrzelenie rakiety ze środka polany) natychmiast stosy podpalić i utrzymywać wysoki płomień aż do odwołania, tzn. do zakończenia zrzutu, które zawsze sygnalizowali nam lotnicy z góry światłami samolotu.

Mimo panującej pogody październikowej nocy były chłodne, a dla kogoś nocującego bez lepszego przykrycia pod gołym niebem - wręcz

dokuczliwe.

Siedzimy pośrodku polany. Czekamy. Przejmujący chłód nie pozwala ani spać na zmianę, ani siedzieć spokojnie. Każdy się jakoś porusza. Przedłużające się godziny zabijamy gawędą. Wszyscy jednak pilnie nasłuchują, czy nie odezwie się gdzieś w oddali znajomy szum motorów radzieckiego „Douglasa”, bo z takich właśnie samolotów najczęściej dokonywano zrzutów.

Najgorsze, że tym razem nie wolno palić ogniska - tak zostało umówione.

Powoli, jak jesienna mgła nad lasami, wloką się nocne godziny. Nastaje świt i znów schodzimy ze stanowisk markotni.

- Czyś ty, „Im”, aby tu czegoś nie poplątał z tą datą? - zwraca się do mnie „Grzybowski”.

- Jakże mogłem poplątać - tłumaczę - skoro zapowiedź zrzutu otrzymaliśmy i przez Warszawę, i za pośrednictwem naszej leśnej radiostacji? Wszystko się zgadza.

- Jutro na pewno przylecą, nie martwcie się - pociesza „Lis”.

Dla rozgrzewki szybko zmierzamy do obozu.

- Co byście tak teraz zjedli? - rzuca z uśmiechem „Grzybowski”. - Może szyneczki albo jajecznicy z kiełbaską? A może jakiejś innej wędzonki?

- Pytasz, jakbyś rzeczywiście dysponował nie tylko suto zastawionym stołem, ale i żoną pełniącą honory pani domu - odcina się „Leon”, zły, że mu w takim głodnym momencie przypomina jakieś przysmaki.

- Żony to ja tu dla was nie mam, ale ze stołem tak całkiem źle nie jest - odpowiada tajemniczo dowódca brygady i po chwili dodaje: - Nie wiecie to, że nasi chłopcy zupełnie przypadkowo natknęli się wczoraj na Szwabów wiozących na furmankach bekony zabrane chłopom w Potoku?

- No i co? I co? - zapytał ktoś prędko.

- Ano cóż by - odpowiada „Grzybowski”. - Rąbankę

gubernatorowi Frankowi zrobili z jego bohaterów, a bekony zabrali. Część zostawili chłopom w Potoku, a resztę przywieźli do lasu. Właśnie zamierzałem was ugościć świeżym boczkiem, ale „Leon” się obraża...

- Ależ człowieku, przecież te twoje bekony to chyba jeszcze u ciebie po lesie się pasą, a nam tu teraz jeść się chce - dodaje któryś tonem człowieka bardzo wygłodniałego.

- No no, już wy się nie martwcie, aż tak kiepski gospodarz to znowu ze mnie nie jest.

Dochodzimy do ogniska. Wartownik okrzykiem: „Stój! Kto idzie?” zatrzymuje nas, po czym wpuszcza na

teren obozu.

Tu dopiero okazuje się, że nasz dowódca wcale nie żartował. Kilku partyzantów pod dowództwem kucharza Felka krząta się wokół ognisk. Na wspartych na rosochach dragach wiszą nad ogniskiem wiaderka. Z lubością wchłaniamy zapach świeżego boczku i krupniku. Humory poprawiają się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Siadamy przy ognisku, zdejmujemy przemoczone nocną rosą buty, a niemiła woń mokrych i zapoconych onuc miesza się z łechcącym nozdrza, smakowitym zapachem wędzonego boczku. Takie już jest życie partyzanta. Od podgrzanych butów i onuc rozchodzi się przyjemne

ciepło po całym ciele. Idziemy do pobliskiego strumyka dokonać rannej toalety.

- Kto ma mydło?

- Masz ręcznik?

Żaden z nich nigdy nie miał kompletu. W najlepszym wypadku jedno mydło i ręcznik obsługiwały kilku partyzantów. Chociaż jest chłodno, spłukujemy się do pasa w przezroczystej źródlanej wodzie leśnego strumyka. „Jastrząb” wytrzasnął skądś nawet maszynkę do golenia oraz kawałek lusterka i zaczyna się skrobać, klnąc na zimną wodę i tępą żyłkę.

- Ty nawet w lesie chcesz się wszystkim podobać - mówi mu „Grzybowski”. - Pucujesz się, jakbyś na zapowiedzi

jechał dawać.

Prawda, „Jastrząb” był przystojniakiem, jak zwykliśmy o nim mówić, i zawsze, nawet z pewną pedanterią, dbał o swój wygląd.

Na rozesłanej w pobliżu ogniska plandece siedzimy z podwiniętymi nogami jak muzułmanie na pustyni. Na kolanach każdy trzyma partyzancki kociołek. Krupnik z boczkiem smakuje jak nigdy. Popijamy kawą. „Grzybowski” opowiada o spotkaniu z oddziałem NOW „Ojca Jana”, włączonym później do AK.

- Cholera jasna! - głośno zaklął „Jastrząb”, odrzucając daleko w krzaki żywicówkę z nie dopitą kawą. -

Rozumiem, że nie macie cukru, ale żeby kawę podawać w takim nie wymytm świństwie, to już jest bezczelność!

Okazało się, że młody kucharz Felek uzupełnił braki w partyzanckim serwisie, zdejmując kilka żywicówek z sosen, i podał nam w nich kawę.

„Jastrząb” tymczasem nadal się złościł. Widać było, że pedanteria, o którą go wszyscy pomawiali, nie ograniczała się tylko do szczegółów własnego wyglądu.

- Bałagan u ciebie w obozie, Władek, (a nie porządek! - wymawiał „Grzybowskiemu”, który zawstydzony trochę i zdenerwowany przywołał do siebie Felka.

- Co ty, fujaro, sobie myślisz, kawę nam

żywicą słodysz, nie chce ci się nawet żywicówki wymyć? - wrzasnął.

- Myło się, panie komendancie, myło, ale zawsze tam na dnie trochę zostało, bo jest twarda jak kamień, ale to przecież nie trucizna. Ja tam swojej żywicówki nigdy nie myję, ani po picciu, ani po goleniu i jeszcze się nie otrułem ani mi też od żywicy las na brzuchu nie wyrósł...

Gromki śmiech zgromadzonej wokół wiary przerwał wywody Felka. Trudno było doprawdy się na niego gniewać, zwłaszcza że argumentacja, jaką na swoją obronę przytoczył, miała - jak się to mówi - ręce i nogi.

Po śniadaniu „Grzybowski” zarządza:

ludzie, którzy wrócili z różnych zadań, mają wypoczywać, reszta - poza wartą i ubezpieczeniem - wychodzi na szkolenie.

Kładziemy się w szalasy dowódcy. O jedenastej mają nas obudzić. Na tę właśnie godzinę zaplanowane jest zebranie członków dowództwa okręgu z udziałem sekretarza PPR. Dowódca brygady ma przedstawić nam swoje trudności organizacyjne i zaopatrzeniowe.

Jakże niepodobne było to zebranie do wszystkich innych - i tych zapamiętanych sprzed wojny, i tych, w których tak wiele razy uczestniczyło się już później, w wyzwolonej ojczyźnie. Wyglądało

raczej na zwykłą pogawędkę kilkunastu ludzi, którzy przypadkowo się zebrali i rozmawiają na tematy codziennego życia.

Siedzimy na pniakach, na ziemi - gdzie kto może - i dyskutujemy nad sprawami naszego trudnego partyzanckiego życia i zadaniami, jakie przed nami stoją. Wypowiedzi są szczere i proste. Nikt się nie sili na krasomówstwo. Nie ma też grup opozycyjnych, są tylko różnice zdań, nad którymi dyskutujemy, co pomaga nam w rozwiązywaniu trudnych problemów.

Po zebraniu idziemy na obiad i znowu jemy krupnik.

W partyzanckim życiu jadłospis był

prosty: jadło się zawsze z jednego worka aż do dna, a jak się skończyło, to znów jadło się to, co było pod ręką. Posiłki prawie zawsze składały się z jednego dania, po którym zwykle następowała kawa, oczywiście zbożowa - raz z cukrem, raz bez cukru - jak się zdarzyło. Nie miało to większego znaczenia.

Czasami brakowało wszystkiego. Wtedy Felek miał swój dobry dzień. Odpoczywał, podczas gdy inni niecierpliwie czekali nocy, która była partyzanckim dniem pracy. Wtedy można było nie tylko najskuteczniej prowadzić walkę z wrogiem, ale i zdobywać - u Niemców lub na folwarkach - niezbędne do życia artykuły żywnościowe.

Po obiedzie „Grzybowski” pokazuje nam na pobliskiej dużej polanie szkolenie partyzantów. Dowódcom drużyn i plutonów udziela wskazówek, robi uwagi. Widać od razu, że jest fachowcem w dziedzinie wyszkolenia wojskowego. Nic dziwnego - w wojsku był podoficerem nadterminowym i pracował jako instruktor. Tu w lesie, jego mundur kapitana robił wrażenie.

Zapada wieczór. Następuje leśna cisza nocna, w czasie której krzyk żołą czy puchacza słychać bardzo daleko, a wytrawni leśni ludzie potrafią nawet, przykładając ucho do ziemi, rozpoznać na wiele kilometrów odgłosy jadących furmanek czy tętent kopyt końskich.

Na kolację znów jemy krupnik. Nic się nie zmieniło. Tylko żywicówki, z których pijemy kawę, są już teraz lepiej wymyte i nie zalatują tak żywicą. Widać niemało musiał się nad nimi napracować nasz nieoceniony Felek.

Osaczeni

Noc spędzamy znowu na miejscu oczekiwanego zrzutu. Jest zupełnie taka sama jak poprzednia. I jak tamta zmarnowana.

Upragniony samolot nie zakłócił nocnej ciszy, natomiast do obozu zaczęły napływać niepokojące wieści. Ze wszystkich stron nasz zwiad i grupy

operacyjne w pobliżu lasów lipskich donoszą o pojawieniu się większych oddziałów żandarmerii i wojska niemieckiego, które zdążają w naszym kierunku. Z kierunku Ulanowa najwyraźniej dobiegają odgłosy bitwy. Wybuchy granatów, serie broni maszynowej i pojedyncze strzały słychać coraz częściej. Wiemy, co to znaczy. W tamtym właśnie rejonie znajdują się nasze oddziały „Sępa” i „Bogdana”, które jeszcze nie powróciły do bazy. Na pewno któryś z nich natknął się na Niemców.

Wybuchów coraz więcej. Potęgowane echem rozchodzą się po lesie jak długi, przeciągły grzmot.

- Coś mi się nie bardzo podoba. Jak na walkę jednego oddziału z Niemcami, stanowczo za dużo huku - kręcąc się niespokojnie, mówi „Grzybowski”.

W chwilę potem zarządza alarm, wzmacnia ubezpieczenia i wysyła dodatkowe rozpoznanie z nakazem natychmiastowego meldowania o wszystkim, co zaobserwują.

Partyzanci wygaszają ogniska, porządkują broń i ładują wszystko na wozy, umieszczając na nich także rannych. Nikt nie myśli już o śniadaniu. Dowództwo i członkowie sztabu okręgu zbierają się na naradę.

- Jakie jest wasze zdanie? Co radzicie w tej sytuacji? - zapytuje zebranych

dowódca brygady i nie czekając na odpowiedź mówi: - Niewesoło. Niemcom najprawdopodobniej udało się w jakiś sposób nas zlokalizować i zebrać większe siły. Na pewno zamierzają zlikwidować nas tu, w naszej bazie.

Umilkł na chwilę. Milczeli i inni, zaskoczeni wieścią, która spadła nagle, jak grom z jasnego nieba.

- Najgorsze jest to - podjął znowu „Grzybowski” - że mamy ze sobą sześciu rannych, których nie bardzo jest gdzie ukryć. Pozostawić ich tak na pastwę wroga przecież nie można...

Tymczasem napływają nowe wiadomości. Wysłani zwiadowcy

donoszą, że ze wszystkich stron nadciągają w naszą stronę liczne grupy Niemców w czarnych i zielonych mundurach.

Wiadomo, co to znaczy. Pozbierali wszystko, co mogli, aby się z nami rozprawić.

Wśród dowództwa panuje zdenerwowanie. Jedni radzą, aby jak najszybciej wycofać się głębiej w lasy, w kierunku na Kochany, inni proponują przyjęcie bitwy na miejscu i obronę aż do ostatka. Ktoś nawet zaproponował, aby rozproszyć się na małe grupki i - wykorzystując leśne gęstwiny - przedzierać się, każdy na własną rękę, bez podjęcia walki.

Dziś, po trzydziestu kilku latach, kiedy wspominał tamten moment, z przyjemnością stwierdzam, że nasz dowódca brygady stanął wtedy na wysokości zadania i nie tracąc czasu odrzucił błędne koncepcje zarówno walki obronnej na miejscu, jak i rozpraszania oddziału na grupy i rezygnacji z walki. Jako człowiek wojskowy zdawał on sobie dobrze sprawę z tego, że tylko koncentracja całej siły ognia naszych oddziałów w jakimś jednym, wygodnym i korzystnym miejscu może przerwać pierścień okrążenia i otworzyć nam drogę wyjścia z niego. Zapada więc decyzja przebicia się w kierunku na Kochany.

„Grzybowski” energicznie wydaje rozkazy. Każe rozdzielić wszystkie zapasy amunicji, rannych ukryć w gęstym, niedostępnym zagajniku i pozostawić ich do nocy pod opieką naszych sanitariuszek, słusznie wychodząc z założenia, że przyjmując walkę z Niemcami, uniemożliwi im się tym samym dokładne przeszukiwanie zagajników. Tabory poleca zostawić na miejscu. Broń maszynową grupuje na skrzydłach. Sam uzbrojony jest w nową pepeszkę, przywiezioną przez nas z lasów parczewskich z ostatniego zrzutu.

Jakże mi teraz żal, że rozdzielając broń oddałem swoją nową pepeszkę z ostatniego zrzutu i zostałem tylko przy

krótkiej broni i dwóch granatach. Trudno - nie przewidziałem takiej sytuacji. Miałem przecież natychmiast po odebraniu zrzutu opuścić lasy lipskie i udać się do powiatu krasnostawskiego w celach organizacyjnych.

Ze względu na bezpieczeństwo i konieczność podtrzymania ducha wśród partyzantów postanawiamy, że dowództwo nie może się trzymać razem w jednym miejscu. Rozchodzimy się więc po oddziałach, utrzymując łączność z dowódcą przy pomocy gońców.

Ze wszystkich stron słychać coraz wyraźniej komendy, nawoływania i rozmowy w języku niemieckim. Nasi obserwatorzy potwierdzają zbliżanie się

nieprzyjaciela.

Aby się naocznie przekonać o liczebności wroga, wysuwam się do przodu z bratem „Grzybowskiego” - „Hrabią”.

Ostrożnie wychodzimy na skraj lasu od strony niewielkiej leśnej wioski Janiki i widzimy, jak jedna grupa niemiecka okrąża wioskę, a druga, większa, kieruje się w naszą stronę.

Wycofujemy się szybko i informujemy o tym „Grzybowskiego”, który pośpiesznie już teraz podejmuje ostateczną decyzję, ustalając sposób ataku i przerwania okrążenia na kierunku Kochany. Teraz wszyscy się już z tym zgadzamy, uważając, że jest to jedyne

wyjście z ciężkiej sytuacji. Kończą się dyskusje i rozważania. Słyszą tylko rozkazy „Grzybowskiego” i wskazówki udzielane dowódcom oddziałów, jak mają się ugrupować i działać w czasie walki.

Na prawym skrzydle naciera polsko-radziecki oddział „Kazika”, na lewym - oddział Bolesława Kowalskiego - „Cienia”, w środku - oddział „Błyskawicy”, w którym znajduje się ze swą drużyną mały, siedemnastoletni Rysiek Płowaś - „Mały Rysiek”. Tutaj pozostaje też sam dowódca brygady. Na lewo od niego widzę słynnego z odwagi kapitana „Jastrzębia”.

Na prawym skrzydle oddziału

„Błyskawicy” jestem wraz z jego dowódcą. Pomagam mu w przygotowaniu dysków do erkaemu, z którym, mimo braku wszystkich palców u prawej ręki, „Błyskawica” nigdy się nie rozstawał i bardzo celnie z niego strzelał.

Zgodnie z rozkazem dowódcy brygady oddziały rozwijają się po leśnej przesiece, tzw. dukcie. Stąd na dany sygnał ruszą tyralierą na przełaj, w kierunku małej, liczącej zaledwie kilka gospodarstw wioski Kochany.

Dowódcy oddziałów przyciszonym głosem nakazują wyrównanie tyraliery i zachowanie odpowiednich odstępów. Nie może przecież być luk w czasie

natarcia.

Przedzieramy się przez gęstwinę możliwie najciszej, z bronią gotową do strzału. Podchodzimy pod niewielkie, równoległe do naszej tyraliery, długie wzgórze. Ubezpieczenie rozpoznania, posuwając się przed nami, jest już na wzgórzu i daje znaki, że możemy iść dalej.

Pokonujemy wzniesienie. Na szczycie, wzdłuż jego fałdy, kończy się las. Przed nami rozciąga się teraz długa polana, równoległa do wzgórza, szerokości około dwustu metrów.

„Grzybowski” daje znak, aby się zatrzymać. Wzdłuż tyraliery biegnie podawany z ust do ust rozkaz: zająć

stanowiska na skraju lasu, dobrze się zamaskować, przygotować broń do strzału, ogień otwierać na rozkaz, strzelać celnie i wyłącznie do celów dobrze widocznych.

Leżę za gęstym rozłożystym jałowcem. Z przeciwnej strony poprzez polanę, dobiegają nas już dość wyraźne odgłosy - to Niemcy posuwają się w naszą stronę.

Jesteśmy dobrze zamaskowani i zupełnie niewidoczni na skraju lasu. Po naszej stronie panuje martwa cisza. Tylko gdzieś nad nami, w górze, krąży niemiecki samolot.

Na lewo ode mnie „Grzybowski” z „Jastrzębiem” przez lornety wpatrują się

w ciemną ścianę lasu po przeciwnej stronie polany.

Słysząc już wyraźnie trzask łamanych gałęzi i szcęk broni nadchodzącego wroga. Po chwili od lasu po przeciwległej stronie polany odrywa się tyraliera. Zielone hełmy, znienawidzone mundury są coraz bliżej. Niemcy z hałasem zbliżają się do nas. Widać ich na polanie jak na dłoni.

Widzę, że „Jastrząb” klęcząc podnosi do oczu swój pistolet maszynowy i oczekuje tylko pierwszej serii, która ma być dla wszystkich umówionym sygnałem do otwarcia ognia. Ale jednocześnie spostrzegam, jak „Grzybowski” ostrożnie kładzie rękę na

pistolecie „Jastrzębia” i ruchem głowy nakazuje mu spokój. Wiem, co mu chce przez to powiedzieć: jeszcze za wcześnie, trzeba ich podpuścić bliżej, aby skutek naszego ognia i zaskoczenie były jak największe.

Upływa jeszcze kilkanaście długich sekund i wtedy dopiero rozlega się pierwsza seria, która już nie cichnie, lecz zamienia się w długi, wściekły ogień.

Wybuchają granaty. Po chwili, poprzez obłoki dymu, obserwujemy, jak linia nieprzyjaciela zaczyna się łamać. Część niemieckich żołnierzy - rażona naszym ogniem - pada. Są już zabici i ranni. Reszta w popłochu zaczyna się cofać.

Pierwszy wyskakuje „Jastrząb”, za nim „Grzybowski”. Pozostałym nie trzeba już żadnej komendy. Z okrzykiem „hura” nasza tyraliera pędzi do przodu, dopada Niemców na polanie.

Nie zatrzymujemy się. Tylko niektórzy przystają na chwilę, aby zabrać od zabitych i rannych Niemców broń. Rozglądam się i ja za czymś; jestem przecież właściwie prawie nie uzbrojony, odkąd pozbyłem się nieopatrznie swojej pepeski.

Szczyście dopisało. Spostrzegam przed sobą rannego podoficera. Jest jeszcze przytomny. Patrzy na mnie przerażonym i błagalnym wzrokiem, w którym nie ma już nic z hitlerowskiego „bohatera”.

Zabieram mu pistolet maszynowy, tzw. „empi”, ale zostawiam go żywego. Już jest niegroźny. A poza tym... niech wie, drań, z jakimi walczył „bandytami”.

Mam już nareszcie broń. Teraz czuję się znacznie pewniej. Biegnę za swoimi, którzy zniknęli mi w lesie z oczu. Tylko odgłosy walki naprowadzają na właściwy kierunek. Leśne echo zawsze w takich momentach ustokrotnia huk strzałów, potęgując i tak niemały tumult. Wydaje się teraz, że wszystkie gałęzie naraz łamią się na drzewach i sypią człowiekowi na głowę.

Nareszcie dopędzam swoich. Widzę „Błyskawicę” klęczącego z erkaemem za grubym pniem sosny. On również mnie

zauważył i wykrzykuje coś, czego w zgiełku nie mogłem dosłyszeć, wskazuje ręką na pobliskie wrzosa.

Zatrzymuję się i w jednej chwili zaczynam wszystko pojmować.

W kępie wrzosów leży trzech Niemców. Strzelają do nas. Ich zielone mundury idealnie pomagają w maskowaniu, trudno odróżnić leżących od leśnego podszycia, „Błyskawica” nie strzela, mocuje się z zacięciem swojego erkaemu.

Podczołguję się bliżej do kępy wrzosu i rzucam jeden ze swoich dwóch granatów. Następuje wybuch i nad kępą wrzosu unosi się obłok bladoniebieskiego dymu. W tym samym

momencie jak spod ziemi wyrasta przy mnie „Jastrząb” z pistoletem maszynowym w ręku, puszcza kilka serii po kępie wrzosu i wcale się nie kryjąc, podbiega do niej, oddaje jeszcze jeden strzał na miejscu i schyla się po niemiecką broń.

Podbiegam do niego i martwych już hitlerowców. Niemal same strzępy. Niemiły widok.

- Za bardzo ich naszpikowałeś, nie oszczędzasz amunicji - wypominam „Jastrzębiowi”.

- A ty granatów - odwzajemnia mi się. - Widziałem przecież, jak rzuciłeś, zupełnie niepotrzebnie, bo ja i tak bym ich wszystkich załatwił - dodaje

z uśmiechem, a ja wiem, że mówi prawdę.

Zabieram jednemu z zabitych karabin i rozglądam się, czy w pobliżu jest ktoś z naszych bez broni. Szkoda mi jej zostawić, tak pracowicie zdobywało się dotychczas każdą sztukę. Chociaż trudno jest wojować z dwoma karabinami naraz, zrzucam w końcu swój letni płaszcz i zabieram jeden karabin ze sobą. „Jastrząb” taszczy zdobyty erkaem, karabin trzeciego Niemca prawie siłą wpycham w ręce jakiemuś partyzantowi i nakazuję, aby go nie porzucił.

Podbiegamy z „Jastrzębiem” do „Błyskawicy” i pomagamy mu usunąć zacięcie jego erkaemu. Po chwili znów

jesteśmy w biegu, za naszą tyralierą, która na skutek walki z Niemcami, poważnie się już porwała. Ci, którzy się zatrzymali, aby pokonać opór nieprzyjaciela, pozostali nieco w tyle. Inni poszli do przodu, w pogoni za uciekającym wrogiem.

Spoceni i zmęczeni, obładowani bronią i amunicją, przedzieramy się przez gęsty zagajnik, aby jak najszybciej dopędzić własną tyralierę. Ze swoim dobrym uzbrojeniem możemy tam być teraz bardzo potrzebni.

Serie karabinów maszynowych, pojedyncze strzały i wybuchy granatów nie ustają ani na chwilę. Nad nami krąży ten sam samolot. Na razie nie bierze

udziału w walce, prowadzi tylko obserwację.

Zziajani doganiamy naszych tuż pod Kochanami. Przyjemnie jest patrzeć, jak jadą uciekającym Niemcom na karkach.

Wśród partyzantów panuje wielki entuzjazm. Wszyscy w szybkim tempie prą naprzód. Wydaje się, że nie ma takiej siły, która by nas mogła zatrzymać.

Tyraliera znów się uporządkowuje i wyrównuje, ale z oddziałem „Kazika” na prawym skrzydle nie ma łączności, skręcił za bardzo na południe. Zbliżam się do „Grzybowskiego” i informuję go o tym.

Wysyłamy łącznika do „Lisa”, który

razem z „Szela” poszedł z ramienia dowództwa z oddziałem „Kazika”. Ma nawiązać łączność i przekazać polecenie dowódcy, aby kierowali się z oddziałem na południowy skraj Kochan.

Wychodzimy na obszerną, zaoraną polanę, tuż przed Kochanami. Tuż za nią, po prawej stronie, stoi kilkanaście zabudowań. Na wprost - ciemna ściana wysokiego boru. Na lewo - kilka zalanych wodą stawów.

Jesteśmy już pośrodku polany.

Dowódcy plutonów, korzystając z tego, że mogą objąć wzrokiem wszystkich swoich ludzi, wydają komendy, poprawiają równanie i łączność łokciową w tyralierze.

„Grzybowski” tymczasem, krzyżąc głośno, popędza wszystkich do przodu. Wydawało mi się wtedy, że on jeden najlepiej zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa zagrażającego nam na tej właśnie polanie.

Byliśmy widoczni jak na dłoni, podczas gdy Niemcy, którym wcześniej udało się od nas oderwać, mieli możliwość zajęcia wygodnych stanowisk na przeciwnym skraju lasu, od strony Kochan. Ale panuje cisza. Czyżby wróg aż tak zapędził się w ucieczce, że przegapi tę wyjątkową okazję do odwetu?

Dopadamy wreszcie przeciwległej ściany lasu. Odetchnąłem. Więc jednak najgorsze nie nastąpiło.

Przez chwilę wydaje nam się, że las znowu przyjmuje nas pod swoją osłonę, aby uniemożliwić Niemcom dokładną obserwację i zdezorientować ich co do naszych ruchów i siły.

Przeskakujemy głęboki rów melioracyjny. Wpadamy w gęste, wysokie podszycie leśne, tzw. stare wrzosowiska, i... niespodziewanie dostajemy się pod silny ogień niemieckich karabinów maszynowych, rozstawionych, jak się okazało, naprędce w wysokopiennym lesie, w miejscu umożliwiającym dobrą obserwację naszych ludzi.

Całej grozy tego piekła, w jakie się zniecka dostaliśmy, nie zdołają

wyrazić żadne słowa.

Padają zabici Jan Synder - „Wilk” i „Ryś” od „Błyskawicy”. Ciężko ranny w obie nogi „Szpak” wzywa pomocy.

- „Jastrząb” zabity!!! - czyjś rozdzierający krzyk wzbija się ponad ogólną wrzawę walki.

Biegnę w tym kierunku. Koło siebie widzę „Błyskawicę” z erkaemem. Przed nami, strzelając, wycofują się Niemcy. „Błyskawica” sieje za nimi z erkaemu.

Podbiegamy do leżącego na wznak „Jastrzębia”. Jest nieprzytomny.

„Błyskawica” zajmuje szybko stanowisko i ubezpiecza mnie od strony Niemców. Schylam się nad ciężko

rannym „Jastrzębiem”. Ma przestrzelony na wylot brzuch i mocno krwawi. Widać wychodzące z rozerwanego otworu wnętrzności. Nie trzeba być lekarzem, by widzieć, że stan rannego jest bardzo ciężki, że to właściwie koniec.

W tym momencie podbiega do mnie wysłany do „Lisa” łącznik i melduje, że łączności z oddziałem „Kazika” nawiązać nie może, gdyż prawe skrzydło, za Kochanami, obchodzą już Niemcy i wychodzą na nasze tyły. O zabraniu „Jastrzębia” w tym stanie rzeczy nie może być mowy. We dwóch z łącznikiem ukrywamy go w głębokim jarze, przykrywając gałęziami, a następnie wycofujemy się - nie zapominając o niezbędnym w takim

wypadku ostrzeliwaniu wroga - na lewe skrzydło, gdzie znajduje się „Grzybowski”. Tu zabici są „Stefan” z Piotrawina i Łopian z Aleksandrówki. Jest „Szpak”, ciężko ranny w nogę, ze strzaskanym kolaniem, jest ranny w szyję „Gajowy” i „Kubek” z przestrzeloną ręką.

Podawana z ust do ust wiadomość, że „Jastrząb” zabity, poderwała kilku partyzantów, dla których był on niemal bożyszczem. Jak na komendę, w jednym momencie, wyskakuje od strony Kochan „Mały Rysiek” z automatem w rękę, z przeciwnej zaś strony widać spieszących mu na pomoc „Błyskawicę” i „Jędrusia”, obu z erkaemami.

Już wpadają na stanowiska Niemców, zaskoczonych tą niezwykłą brawurą. W mgnieniu oka wybijają pięcioosobową obsługę dwóch karabinów maszynowych.

Ogień niemiecki na nasze prawe skrzydło staje się jednak coraz silniejszy. Niemcy od tej strony atakują, podchodzą już pod Kochany. Nasi ludzie w tym najbardziej krytycznym momencie meldują o braku amunicji.

„Grzybowski” chwilę się zastanawia i każe podać po linii, że zmieniamy kierunek i przebijamy się na lewym skrzydle, w ogólnym kierunku na Stojeszyn, gdzie zostały zniszczone niemieckie stanowiska karabinów

maszynowych.

- Innego wyjścia nie ma - dodaje patrząc na mnie, jakby szukał akceptacji dla swojej decyzji.

Pomagam mu teraz w dowodzeniu.

Jest godzina 14.00. Jeszcze raz wysyłam drogą okreśną łącznika z zadaniem dotarcia do oddziału „Kazika”, nawiązania z nim kontaktu i przekazania mu decyzji dowódcy.

Ciepły, pogodny dzień zda się nie mieć dziś końca w takich wypadkach tylko noc jest dla partyzantów sprzymierzeńcem i ratunkiem. Chłopcy zdają sobie z tego dobrze sprawę, toteż tu i ówdzie dają się słyszeć wzdychania:

- Żeby tak już noc, toby jakoś poszło...

Rzeczywiście, w dzień hitlerowcy mieli nad nami dużą przewagę.

Pomału i z trudem udaje się nam zmienić kierunek natarcia. Zgodnie z decyzją „Grzybowskiego” skręcamy w lewo. Teraz atakujących Niemców mamy prawie na plecach. Ubezpieczając się z prawa i od tyłu, przedzieramy się przez stawy i mokradła. Ludzie brodzą po pas w wodzie, unosząc broń wysoko, by nie zamokła.

Niemcy w dalszym ciągu strzelają gęsto. Na szczęście kryją nas do pewnego stopnia wysokie zarośla tataraku i sitowia. Niektórzy z naszych ludzi padają niemal ze zmęczenia, piją brudną

wodę.

Ranny „Szpak” krzyczy z bólu, błaga, żeby go dobić.

Żal nam chłopca serdecznie, przykro patrzeć na jego cierpienia. Tyleśmy już razem przeszli, tyle nas wspólnych partyzanckich spraw łączyło.

Zmieniamy ludzi niosących rannego i powoli posuwamy się do przodu. Chwilami - tam, gdzie nad poziom wody nie wyrastają żadne zarośla - jesteśmy bardzo dobrze widoczni i ludzie z konieczności muszą się całkowicie zanurzyć w wodzie.

Zachodzące słońce wisi teraz jak lampa nad głowami Niemców i doskonale oświetla nas z tyłu.

- Psiamać, nie odpowiada mi rola pizmowca! - zaklął któryś potknąwszy się o wystający korzeń.

- Nie biduj! Do wszystkiego można się przyzwyczać - żartował drugi.

Ktoś się roześmiał i rozładował trochę atmosferę nerwowego napięcia.

Idziemy dalej. Nikt - dopóki nie zemdleje i nie opadnie całkowicie z sił - nie pozostaje w tyle.

Teraz kierujemy się na Potoczek. Niemcy nie wchodzą za nami do wody, nie odpowiada im październikowa kąpiel. Tylko kul nam w dalszym ciągu nie żałują. Na szczęście odległość z każdą chwilą się zwiększa, a strzały

wroga stają się coraz mniej celne.

Wreszcie około godziny szesnastej wychodzimy z moczarów na groble. Tu możemy już nawet przez moment odpocząć. W pobliżu nie wyczuwa się Niemców. Strzały zza stawów, z odległości około półtora kilometra, są już dla nas prawie zupełnie niegroźne.

Ludzie wychodzą powoli na groble, ociekający wodą, ociężali, prawie nie reagują na pociski, które tu i ówdzie dochodzą jeszcze zza wody.

„Grzybowski” zbiera wszystkich, żeby na gorąco ocenić rozmiary poniesionych strat.

Z dowódców oddziałów jest „Cień” i „Błyskawica”, są dowódcy plutonów:

„Kubek” (raniony w rękę) i „Jędrus”, jest „Mały Rysiek” i inni. Niestety, nie wszyscy.

- Dużo nas brakuje - mówi zafrasowany dowódca brygady - i „Jastrząb”...

Na dźwięk tego nazwiska wszyscy opuścili głowy. Antoni Paleń - „Jastrząb” był ulubieńcem partyzantów. Poza odwagę, której od czasu pamiętnej akcji zaklikowskiej z czerwca 1942 roku tak liczne na każdym kroku składał dowody, cechowało go wiele innych zalet. Był wyjątkowo towarzyski i koleżeński. Imponował nam wszystkim i wtedy, gdy pięknie śpiewał, i wtedy, kiedy wprawnie jak rzadko kto strzelał do wyznaczonego celu. Wprawiał

w podziw swym doświadczeniem i dokładną znajomością wszystkich tajników życia leśnego. Nie darmo nazywano go wilkiem leśnym.

Nie wszyscy z obecnych byli świadkami tego, co spotkało „Jastrzębia”. Zajęci walką, nie wiedzieli nawet, że został trafiony. Teraz zaczęli się dopytywać, gdzie zostawiono „Jastrzębia” i dlaczego nie zabrano go tak jak „Kruka” czy innych rannych kolegów.

Rzeczywiście, sam nie miałem stuprocentowej pewności, że „Jastrząb” zmarł, jakkolwiek stan, w jakim zmuszeni byliśmy go zostawić, nie rokował najmniejszych nawet nadziei.

Pomimo zmęczenia, które wszystkim

dawało się porządnie we znaki, wielu kolegów zgłosiło gotowość pójścia po „Jastrzębia” i zabrania go bez względu na jego stan i niebezpieczeństwo, na jakie trzeba by się było przy tym śmiałym przedsięwzięciu narazić. „Grzybowski” jednak nie pozwolił.

- Po co gubić ludzi bez potrzeby? - mówił. - „Jastrzębiowi” i tak już nic nie pomoże, chociażby go stamtąd i zabrać, a kto pójdzie teraz po niego, wlezie w samą paszczę wilka.

Następnie, zaciskając zęby, dowódca brygady tłumaczy partyzantom, że nie może ryzykować zbyt pochopnie życiem naszych ludzi, zwłaszcza teraz, kiedy każdy żołnierz jest potrzebny bardziej

niż kiedykolwiek i stanowi dla nas wielką wartość. Słońce sięga już niemal horyzontu, ale jest jeszcze zbyt widno, aby ryzykować przebijanie się przez niemieckie linie. Od kroku takiego powstrzymuje nas brak amunicji, zmęczenie i głód. Ludzie od wczoraj nic nie jedli. Poza tym mamy przecież rannych, których nie można narażać na nowe niebezpieczeństwo.

- Do wieczora już niedaleko - pocieszają się chłopcy. - Tylko się ściemni, to sobie jakoś poradzimy.

Na razie dowódca zarządza zebranie całości w pobliskim zagajniku, każe wygodniej ułożyć na mchu rannych i dokładniej opatrzyć im rany.

„Błyskawica” wystawia ubezpieczenie na drogach i dogodnych do nas podejściach, a „Mały Rysiek” otrzymuje rozkaz przeprowadzenia rozpoznania w najbliższych rejonach lasu.

Wreszcie przychodzi upragniony zmrok, nasz sprzymierzeniec w ciężkich chwilach. Strzelanina staje się rzadsza i tylko rozlegające się po lesie od czasu do czasu echo wystrzału sygnalizuje nam, że Niemcy bynajmniej nie mają zamiaru opuszczać na noc lasu i strzelają na chybił trafił dla dodania sobie animuszu.

Coraz bardziej zaczynamy odczuwać głód i zmęczenie. Zdejmujemy buty, wylewamy z nich wodę. Z grubsza

porządkujemy odzież. U dołu jest mokra od wody, u góry - od potu. Ogniska, niestety, palić nie wolno. A w perspektywie - zimna październikowa noc.

Są pierwsze wiadomości z rozpoznania. W pobliżu nie stwierdzono obecności wroga, tylko dalej od nas z różnych stron słysząc rozmowy i nawoływania Niemców oraz strzały.

Siedzimy z „Grzybowskiem” zmordowani, zastanawiając się nad planem dalszego działania. Najważniejszą rzeczą było udzielić pomocy rannym i ukryć ich w bezpiecznym miejscu, a następnie wyprowadzić nasze oddziały z okrążenia

i zmyliwszy kierunek marszu oderwać się jak najdalej od Niemców.

Nagle względną ciszę wieczoru rozdziera gwałtowna strzelanina.

- To gdzieś niedaleko, w pobliżu Świdrów - mówi „Grzybowski”.

- Wygląda na to, że natknęły się na siebie jakieś dwa oddziały - zauważa „Błyskawica”, jak gdyby fakt ten mógł budzić czyjekolwiek wątpliwości.

Wszyscy zrywamy się i chwytamy za broń, dowódca jednak nakazuje spokój, wysyła tylko w stronę Świdrów dodatkowo zwiadowców.

Po chwili w rejonie strzelaniny wylatują w niebo różnokolorowe rakiety,

rozjaśniając panujące już wokół ciemności. To Niemcy, nasi przecież nie mieli rakiet. Ciekawe tylko, który z naszych oddziałów może tam teraz walczyć? Nasze prawe skrzydło odeszło przecież wyraźnie na południe od Kochan i teraz powinno się znajdować gdzieś w rejonie kolejki wąskotorowej, a rakiety widać przecież z kierunku Zaklikowa - zastanawiamy się.

Wytworzyła się bardzo niejasna sytuacja. Byliśmy zupełnie dezorientowani. Jak się jednak później okazało, jeszcze bardziej niż my dezorientowani byli Niemcy. Strzelanina została bowiem spowodowana spotkaniem się po ciemku w lesie dwóch niemieckich grup; z braku

orientacji otworzyły one do siebie ogień, w wyniku którego byli zabici i ranni.

W ciemności wsłuchujemy się w strzelaninę i dalekie, ledwie słyszalne odgłosy walki. Wreszcie strzelanina słabnie i następuje względna cisza.

Najbliżej od nas znajduje się Łysaków, rodzinna wioska dowódcy brygady, „Grzybowskiego”. Dawno już wraz ze swymi braćmi - Konstantym, Stefanem i Bronisławem - opuścił ją i nie zaglądał tam. Niemcy z pobliskich posterunków w Zaklikowie i Lipie przyzwyczaili się już do tego, że ich tam nigdy nie ma i zaprzestali poszukiwań.

Taktyka partyzancka nakazuje zawsze

działać tak, by przechytryć wroga i pomylić mu szyki, zrobić coś, czego się najmniej spodziewa. Znajomość psychiki przeciwnika nieraz oddawała nam w okresie okupacji cenne usługi. Zdawał sobie z tego dobrze sprawę dowódca.

- Jestem pewien - powiedział teraz jakby do siebie - że Niemcy wszędzie mogą się nas w tej chwili spodziewać, tylko nie w Łysakowie. Tam pójdziemy.

I zdobyte już doświadczenie partyzanckie, i zaufanie, jakim darzyliśmy wszyscy „Grzybowskiego”, wykluczyły jakąkolwiek wątpliwość w słuszność podjętej decyzji. Miała ona jeszcze jeden niewątpliwy plus,

o którym wtedy wprowadzie nie mówiliśmy, ale który w tamtej konkretnej sytuacji miał dla nas olbrzymie znaczenie: mieszkańcy Łysakowa zawsze okazywali nam wiele serca, w razie potrzeby spiesząc nam z opieką i pomocą. Teraz pomocy tej potrzebowaliśmy bardziej niż kiedykolwiek. Byliśmy zmęczeni, mokrzy i nieprawdopodobnie głodni.

W ciszę padają słowa rozkazu dowódcy: rannych wziąć na nosze, nie pozwolić im krzyczeć i posuwać się z nimi w środku oddziału. Wymarsz za pół godziny.

Pospiesznie przygotowujemy się do drogi. Chłopcy zbierają od kolegów pasy, wyszukują grube kije

i przygotowują nosze. Inni sprawdzają broń. Wszędzie trwa cicha krzątania. Ranni, uspokojeni chwilowym bezruchem, a teraz znów poruszeni, zaczynają jęczeć z bólu. Trudno ich uciszyć.

- Trzeba jak najszybciej sprowadzić im lekarza - mówię „Grzybowskiemu”.

- Ale chyba nie tutaj? Przedtem umieścimy ich w jakimś spokojnym miejscu - poprawia mnie i nagle, przykładając palec do ust i nasłuchując, pyta: - Słyszałeś? Ktoś idzie. Chyba od strony Malińca.

Taki słuch i dar rozpoznawania dalekich odgłosów leśnych mają tylko ludzie wychowani w lasach.

Nasłuchujemy. Po chwili, chociaż bardzo słabo, rzeczywiście słyszę głucho dudnienie maszerujących kroków kilku lub kilkunastu ludzi. „Błyskawica” bez rozkazu sprawdza swój erkaem i z kilkoma ludźmi wysuwa się do przodu, w kierunku, skąd dobiegają odgłosy maszerujących.

- Tylko się nie gorączkuj - upomina go „Grzybowski” - i nie strzelaj za wcześnie. Jestem pewny, że to nie wróg. Chociaż... lichy nie śpi.

Podzielam zdanie „Grzybowskiego”. Niemcy, jeżeli nawet decydują się zostać na noc w lesie, to tylko okopani w miejscu, gdzie ich zaskakuje zmrok. W ciągu już dwu niemal lat partyzantki

ani razu nie stwierdziliśmy, żeby zapuszczali się nocą w leśne ostępy. Jeżeli się nawet poruszali, to tylko z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, z odpowiednim ubezpieczeniem i tylko po drogach.

- Stój! Kto idzie? - dobiegło nas w pewnej chwili z kierunku, w którym udał się „Błyskawica”.

To on, poznajemy go po głosie. Słysząc jeszcze jakieś pytania i odpowiedzi.

- Zaraz zagadka się wyjaśni - mówi „Grzybowski”.

Po chwili trzask łamanego podszycia oznajmia nam zbliżających się ludzi.

- Swoi, swoi - ostrzega z daleka

„Błyskawica”, za którym kolejno jak duchy wyłaniają się z ciemności „Lis”, „Szela” i kilku innych partyzantów z prawego skrzydła. Niewiele jednak mogliśmy się od nich dowiedzieć o całym oddziale „Kazika”. Nie potrafili nam powiedzieć, gdzie i w jakim stanie oddział ten może się teraz znajdować. Z relacji przybyszów wynikało tylko, że przebijając się na południe, stoczył on zaciętą bitwę w rejonie kolejki wąskotorowej i najprawdopodobniej - mimo wielu poniesionych ofiar - zdołał wyrwać się z okrążenia. Czy jednak zdołał na pewno?

„Lis”, „Szela” i ich koledzy zostali odcięci od oddziału i unikając w tak niewielkim składzie osobowym

spotkania z wrogiem, trafili do nas. Zdobyta broń, którą ze sobą przynieśli, świadczyła o tym, że i u nich było gorąco.

- No, a teraz przygotować się, za chwilę ruszamy - odpowiada dowódca brygady.

Ranni, poruszeni, pokrzykują z bólu. Niosący kładą im na ustach swoje czapki i uciszają ich.

Posuwamy się do przodu na przełaj, przez gęste zagajniki. Tylko niosący rannych często się zmieniają i hamują ruch.

Z grupą „Błyskawicy” idę na czele, od tyłu ubezpiecza „Cień” ze swymi ludźmi. „Mały Rysiek” ze swym plutonem wyszedł już chwilę przedtem, aby

rozpoznać dogodnie przejście przez szosę Zaklików-Modliborzyce w rejonie kolonii Łysaków.

Dochodzimy do szosy Zaklików-Janów. W gęstwinie spotykamy „Małego Ryśka” z kilkoma ludźmi. Przeprowadzili już rozpoznanie i czekają na nas, wiedząc, że tędy będziemy maszerować.

- Ciszą w pobliżu - melduje „Rysiek” przyciszonym głosem. - Tylko od strony Zaklikowa na Janów przeleciało kilka samochodów. Mogliśmy nawet do nich strzelać, mieliśmy dogodną pozycję, ale nie chciałem robić hałasu.

- Słusznie - pochwalił „Grzybowski”.
Co więcej?

- W majątku u Przanowskiego stoi jakaś grupa. Jest tam nawet samochód sanitarny. Wygląda na to, że to ich punkt opatrunkowy.

Przechodzimy jak najciszej przez szosę i dolinę rybnych stawów, łączącą Potoczek z Łysakowem, ostrożnie zbliżamy się do wsi.

Pierwsi napotkani ludzie informują nas, że Niemcy byli tu tylko rano i spiesząc się pojechali do lasów, a po południu już przywozili tylko rannych na furmankach do majątku w Potoczku.

Chłopi z Łysakowa, acz nie od razu, rozpoznali w naszym dowódcy swego rodaka. Jest ich coraz więcej. Wychodzą z domów kobiety i dzieci. Wynoszą nam

chleb i mleko, częstują. Wygłodniali rzucamy się na jedzenie. Jemy stojąc, sytuacja inaczej nie pozwala.

Na prośbę „Grzybowskiego” wyjeżdża kilka konnych podwód, na które ładujemy przede wszystkim naszych rannych. Pod ochroną niewielkiej, lecz dobrze uzbrojonej grupy, z „Błyskawicą” na czele, odsyłamy ich pod opiekę naszej dobrze już wówczas funkcjonującej służby zdrowia i organizacji partyjnej w rejonie Trzydnika.

Uwolnieni od rannych, nie tracąc ani chwili czasu, maszerujemy szybko polami na przełaj, w kierunku lasów gościeradowskich. Musimy tam dobić

przed świtem, nie zauważeni. Trzeba zatrzeć za sobą wszelkie ślady i jak najszybciej przekonać Niemców o bezcelowości ich dalszego działania w naszej leśnej bazie.

Następnego dnia, kiedy nas już nie było w lasach lipskich, okazało się, że Niemcy nie mieli ochoty do dalszego poszukiwania naszych oddziałów. Z meldunków, jakie otrzymaliśmy później od naszych ludzi ze służby leśnej, wynikało, że po bitwie Niemcy zabrali na samochody i wywieźli do Lublina około czterdziestu swoich zabitych i kilkudziesięciu rannych. Z zemsty puścili z dymem Janiki i zastrzelili czternaście osób, których zwłoki spalili następnie w jednej ze

stodół. Natomiast trzydziestu czterech poległych Ukraińców, których zwykle brali do walki z nami, pozostawili w lesie, niektórych nawet z bronią. Chcąc nie chcąc musieliśmy sami, wspólnie z leśną służbą, po paru dniach wyprawić im pogrzeb. Rozkładające się trupy zatruwały bowiem czyste leśne powietrze, uniemożliwiając pobyt w tym rejonie i - co w naszych prymitywnych warunkach życia nabierało specjalnej wagi - zagrażając epidemią.

Taki był finał wielkiej i zupełnie niespodziewanej przeprawy z Niemcami w lasach lipskich. Pozostaje jeszcze do wyjaśnienia sprawa „Jastrzębia”. Wtedy, gdy utrudzeni docieraliśmy w spokojniejszy rejon na zasłużony

odpoczynek, wszyscy uważali go już za nieżyjącego. Sądziłem tak zwłaszcza ja. Patrzyłem przecież na niego w chwili, kiedy - jak mi się zdawało - był już na granicy życia i śmierci. Czy mogłem przez ułamek sekundy przypuszczać, że dane mi będzie jeszcze później rozmawiać z „Jastrzębiem”?

A jednak...

Ukryty w głębokim jarze, leżał „Jastrząb” na leśnej podściółce. Puste jelita - jak twierdził później lekarz - wpłynęły na zmniejszenie upływu krwi. Pod wpływem chłodnego powietrza nocy rannemu wracała powoli przytomność.

Las szumi jak zawsze. I jak zawsze na

pogodnym niebie świecą gwiazdy. Leżąc na wznak, „Jastrząb” widzi je doskonale. Nic się nie zmieniło, tylko jego ciało nie jest tak mocne jak zwykle. Maca się po brzuchu, czuje w rękach skrzepłą krew i wnętrzności, które wyszły na wierzch. Zdaje sobie sprawę, że jest ciężko ranny.

Wpycha wnętrzności do środka, zapina mundur. Nasłuchuje. Ale wokół wielka, przerażająca cisza. Z najwyższym wysiłkiem wyczołguje się z jaru. Tak. To niedaleko Kochan. Wie dobrze. Jakże? Urodził się tu przecież i wychował w tych lasach.

Silna natura walczy ze śmiercią. Metr po metrze ranny czołga się w stronę wsi.

Chwilami mdleje i przez jakiś czas leży nieruchomo. Potem znów wraca przytomność i znów z ogromnym wysiłkiem czołga się dalej. Czuje, że ten wysiłek powoduje dalszy upływ krwi, że wnętrzności znów wychodzą na wierzch. Usiłuje czołgać się na boku. Tak lepiej. Znów mdleje, a po chwili oprzytomniawszy, postanawia się dobić. Niestety, jego vis, który pozostał przy pasie, jest przestrzelony i nie nadaje się do użytku. Odpina go i zostawia, aby sobie ulżyć. Przejmujący ból nie pozwala leżeć spokojnie. Ostatkiem sił czołga się dalej. Nad ranem jest już niedaleko zabudowań.

Mieszkaniec Kochan, niejaki
Krakowski, człowiek już leciwy, który

przez cały wczorajszy dzień krył się przed Niemcami gdzieś w norze, a teraz, pod osłoną ciemności, wyszedł, aby zorientować się w sytuacji, zdziwiony słyszy dobiegające go czyjeś jęki. Ostrożnie zbliża się do „Jastrzębia”, rozpoznaje go i ciągnie do chałupy. Okrywa pierzyną i udziela pierwszej pomocy, a sam w obawie przed Niemcami przed świtem ucieka znów do swojej kryjówki.

Następnej nocy nie ma już w lesie Niemców. Na miejsce boju wraca pierwszy Aleksander Szymański - „Bogdan”, brat „Lisa”, ze swym oddziałem. Zabiera on „Jastrzębia” na podwodę konną, oddając go pod opiekę zbiegłej z obozu młodej dziewczynie

radzieckiej, sanitariuszce Wali, która udziela „Jastrzębiowi” pierwszej fachowej pomocy. Oczyszcza spirytusem ranę, do ust wlewa jakiś napój i nie opuszcza go w czasie jego podróży do wsi Zagórze. Niestety, znajdujący się tam nasz okręgowy szef służby zdrowia doktor Michał Tempczyn - „Znachor” był już bezradny. Jak oświadczył, nawet w warunkach szpitalnych nie byłoby nadziei na uratowanie „Jastrzębia”. Jego jelita i żołądek były w wielu miejscach przestrzelone. Tylko wyjątkowo silny organizm i pusty żołądek przedłużyły rannemu życie.

„Jastrząb” był nawet przytomny. Mówił do nas. Od niego samego dowiedzieliśmy się o drodze, jaką

z najwyższym wysiłkiem przebył z jaru do zagrody Krakowskiego.

Oddział „Bogdana” zaopiekował się również rannymi pozostawionymi przez nas w zagajniku. Decyzja „Grzybowskiego” okazała się słuszna. Pod opieką naszych młodych sanitariuszek, które z narażeniem własnego życia bohatersko czuwały nad nimi przez cały czas, ranni ci przetrwali i wrócili do zdrowia.

Po trzech dniach walki „Jastrzębia” ze śmiercią wycieńczony organizm, zaatakowany ogólnym zakażeniem, osłabł. Wkrótce „Jastrząb” utracił przytomność, a w kilka godzin później nastąpiła śmierć.

Tak zginął jeden z najdzielniejszych partyzantów Lubelszczyzny. Żegnając go salwą honorową w nocy na cmentarzu w Rzeczycy Ziemiańskiej, przysięgaliśmy pomścić stokrotnie jego stratę.

Stałem nad rozkopaną mogiłą i patrzyłem, jak uciszony na zawsze leży ten, którego nazywano orłem lasów lipskich. Tak trudno było pogodzić się z jego odejściem. Od początku był przecież z nami. Jego inicjatywa, doświadczenie, bohaterstwo towarzyszyły nam dotąd nieodłącznie. I jego przyjaźń. Był w leśnych szeregach od początku.

On je właściwie pierwszy organizował. Już w 1940 roku opuszcza swoją

rodzinną ubogą chałupę, gromadzi broń, przekonuje najbliższych kolegów i krewnych o konieczności walki, a później, gdy udaje mu się stworzyć oddział partyzancki, rzuca rękawicę potężnemu przeciwnikowi, podejmuje nierówną, bezkompromisową walkę na śmierć i życie. Zwyczajny, prosty człowiek, ale wielki Polak i patriota, nie mógł spokojnie patrzeć, jak wróg panoszy się bezkarnie na ziemi, którą on ukochał od dziecka, i w lasach, w których on znał każdy niemal krzew. Niestety, w tych właśnie lasach, gdzie przeprowadzał swoje pierwsze brawurowe akcje przeciwko wrogowi i powoli wyrastał na bohatera, dosięgła go śmiertelna seria.

Przysięgi złożonej nad grobem „Jastrzębia” dotrzyaliśmy. Odtąd coraz więcej niemieckich transportów kolejowych na Lubelszczyźnie ulegało zniszczeniu. Coraz częściej też okupant musiał za naszą sprawą skreślać z listy żyjących tych spośród swoich „bohaterów”, którzy kierowani byli do walki przeciwko ruchowi partyzanckiemu bądź tylko przejeżdżali przez teren Lubelszczyzny w drodze na front czy z frontu. Coraz częściej płonęły urzędy i magazyny niemieckie. „Jastrzębiów” było coraz więcej. Walka rozpaliała się.

Echa Zamojszczyzny

Pierwszy rok walki prowadzonej przez Gwardię Ludową w znacznym stopniu przełamał w społeczeństwie lubelskim te wszystkie opory, które były wynikiem systematycznej akcji propagandowej, jaką na szeroką skalę rozwinięli przeciwko nam ludzie obozu londyńskiego.

Gwardia Ludowa słowom przeciwstawiała czyny i praktycznie dowiodła, że jedyną słuszną postawą jest walka zbrojna przeciwko okupantowi. Społeczeństwu imponowało to, że hitlerowcy musieli się coraz bardziej z nami liczyć, że nabierali coraz więcej respektu dla niewidocznego przeciwnika, zaczajonego w leśnych ostępach, który

nie wiadomo gdzie i kiedy mógł spaść i zadać nowe straty.

Rozmach, jaki przybierała walka, stawiał jednak przed partią coraz to nowe trudności. Do tego, by walczyć i odnosić w walce sukcesy, potrzebni byli ludzie - nie tylko dobrzy i odważni żołnierze, ale również dobrzy dowódcy i organizatorzy, a takich właśnie często brakowało i to była największa w tym okresie trudność. Niełatwa to bowiem rzecz w okupowanym kraju umiejętnie i racjonalnie wykorzystać siły, jakimi Gwardia Ludowa dysponowała, i ochraniać je przed wyniszczeniem.

W tym mniej więcej okresie na nowo rozeszły się wieści, że Niemcy

przystąpili do masowego wysiedlania ludzi z Zamojszczyzny, a na ich miejsce osadzą swoich rodaków sprowadzonych z Ukrainy, a nawet z krajów bałkańskich - Grecji i Jugosławii.

Celem, jaki przyświecał hitlerowcom w tych poczynaniach, była chęć utworzenia wzdłuż granicy radzieckiej szerokiego pasa zamieszkałego przez ludność niemiecką. Byłoby to korzystne dla Niemców choćby z tego względu, że osiedleni tu, zorganizowani na wzór wojskowy i wyposażeni w broń Volksdeutsche mieli pomagać hitlerowskim siłom policyjnym i wojskowym w utrzymaniu bezpieczeństwa na zapleczu walczącej na wschodzie armii niemieckiej.

Byłoby to bardzo istotne i dlatego Lubelskie, a zwłaszcza jego najżyźniejsze tereny, Zamojszczyzna, obejmująca powiaty: zamojski, biłgorajski, tomaszowski i hrubieszowski, stały się w planach germanizacyjnych przedmiotem żywego zainteresowania, o czym wymownie świadczy choćby fakt, że państwowe kierownictwo Rzeszy sprawę germanizacji tych terenów powierzyło SS, a bezpośrednio odpowiedzialnym za całość akcji został Brigadeführer und Generalmajor der Polizei Odilo Globocnik, który otrzymał pełnomocnictwo w zakresie akcji wysiedleńczej i nasiedleńczej oraz w dziedzinie regulacji problemów

narodowościowych. Fakt, że zadań tych nie powierzono niemieckiej administracji w Generalnej Guberni, doprowadził do różnicy zdań pomiędzy gubernatorem Hansem Frankiem a Odilo Globocnikiem, różnicy wynikającej zresztą li tylko z prostego wyliczenia, że poczynania Globocnika doprowadzą do zamętu w gospodarce i uniemożliwią rządowi Franka wywiązanie się ze swych obowiązków wobec Rzeszy.

Szukając w swych planach germanizacyjnych oparcia w terenie, hitlerowcy zwrócili uwagę na wsie nasiedlone przed kilkudziesięciu laty ludźmi pochodzenia niemieckiego i rozwinęli całą akcję zmierzającą do przywrócenia narodowi niemieckiemu

„potomków” dawnych kolonistów. Do wsi takich w powiecie zamojskim należały: Sitaniec, Huszczka Duża, Huszczka Mała, Brody Duże i inne, zwłaszcza w gminie Ruskie Piaski.

Rozwinięta propaganda, poparta obietnicami natury materialnej, dawała w wielu wypadkach pożądane przez Niemców rezultaty, powiększając szeregi volksdeutschów.

Akcja wysiedleńcza przygotowana została bardzo skrupulatnie i miała być przeprowadzona tak, by nie spowodowała powstania ludności. W tym celu Niemcy, znając przywiązanie polskiego chłopca do ziemi, postanowili wykorzystać moment

zaskoczenia.

Ludność sześciu wsi, w liczbie 2098 osób, wysiedlona w dniu 6 listopada 1941 roku, do ostatniej chwili o niczym nie wiedziała. Rozkaz opuszczenia gospodarstw spadł jak przysłowiowy grom z jasnego nieba. W wielu chałupach nie zdążył jeszcze wygasnąć ogień pod kominem, gdy zjawili się nowi „właściciele” - Volksdeutsche z Besarabii.

Oprócz nich w różnych wsiach Zamojszczyzny mieli osiedlić się Niemcy z Bośni, a nawet z Danii i Holandii - ogółem 60 tysięcy osób.

Do sierpnia 1943 roku okupant wysiedlił 297 gromad zamieszkałych

przez około 110 tysięcy ludzi.

Jedni spośród wysiedlonych zasilili niewolniczą armię pracy w Rzeszy, inni znaleźli śmierć w piecach krematoryjnych Majdanka, Oświęcimia i innych miejsc straceń.

Najtragiczniejszy był los specjalnie oddzielonych od rodziców dzieci, często jeszcze niemowląt. O barbarzyńskim obchodzeniu się z nimi krążyły niewiarygodne wieści. Były, niestety, prawdziwe: wiele dzieci, zabranych rodzicom, wywieziono do Niemiec z zamiarem zgermanizowania ich, wiele zagazowano w miejscach straceń.

„Wczoraj rozeszła się w mieście pogłoska - pisze pod datą 8 listopada

1941 roku w swym *Dzienniku z lat okupacji*^[13] mieszkaniec Szczebrzeszyna, dr Zygmunt Klukowski - że ubiegłej nocy wysiedlono mieszkańców osady Skierbieszów i kilku sąsiednich wsi powiatu zamojskiego. Nic pewnego nie wiedzieliśmy, lecz ludzi ogarnął niepokój. Dziś stało się wiadome, że to jest prawda i że dzisiejszej nocy wysiedlono gospodarzy - Polaków z Sitańca, Białostrzegów i innych wsi w pobliżu Zamościa. Po południu chłopci w Niedzieliskach, położonych o 7 km od Szczebrzeszyna, otrzymali zawiadomienie, że nie wolno im ruszyć się z miejsca i że mają być gotowi do ewentualnego wysiedlenia. Wszystkie te

wiadomości wywołały w miasteczku formalny popłoch, ludzie zbierali się na ulicach i tylko o tym mówili. Wiele osób na gwałt zaczęło się pakować, żeby mieć wszystko gotowe na wypadek nagłego wysiedlenia w nocy. [...] Nastrój fatalny, tym bardziej że na dworze zimno, pada ni to deszcz, ni to śnieg i wiatr rwie na wszystkie strony. A wysiedlają zawsze w nocy i na spakowanie rzeczy dają mało czasu.

Przed paru dniami wyjechała ze Szczebrzeszyna cała policja niemiecka oraz tzw. granatowcy, w pełnym rynsztunku. Dokąd? - nie wiemy. Niektórzy sądzą, że na front, do wojska, a może do roboty przy wysiedlaniu”, W tym samym *Dzienniku*... pod datą 12

listopada 1941 roku, czytamy:

„Mówią, że chłopi z zagrożonych wsi zacięli się, zaczęli wszystko niszczyć, zabijać żywy inwentarz, polewać naftą kartofle i zboże itp., żeby tylko nic nie zostawić Niemcom, i porzucili swoje rodzinne zagrody. Niektórzy sądzą, że taka postawa chłopów może i była przyczyną chwilowego wstrzymania dalszego wysiedlania”.

W innym miejscu (2 czerwca 1943 roku):

„Straszne rzeczy działy się wczoraj w Sochach. Najpierw otoczono wieś, po czym wybijano ludzi i podpalano zabudowania. Następnie nadleciały samoloty i obrzuciły bombami palącą

się wieś. Zginęło bez mała dwustu ludzi. Dziś jeszcze trupy leżą nie pogrzebane. Opowiadał mi o tym m. in. ordynat Zamoyski, który widział te trupy na własne oczy.

W rozmowie z ordynatem zapytałem go, czy często jeździ samochodem do Biłgoraja i czy był już kiedy ostrzelany. Dotychczas nie miał jeszcze żadnej przygody, a urządził się dość sprytnie: sam prowadzi samochód, szofer zaś w wysuniętej przez okno ręce trzyma niewielką biało-czerwoną chorągiewkę” . .

W dniu 3 lipca 1943 roku dr Klukowski, skrupulatnie notujący codziennie wszystkie swoje okupacyjne

spostreżenia, pisze:

„... przez miasto wciąż przejeżdżają duże ciężarówki z wysiedlonymi, przeważnie kobietami i dziećmi. Wiożą ich do Zamościa. Z różnych stron dochodzą do nas wiadomości o wysiedlaniu całych wsi lub poszczególnych rodzin, np. w Biłgoraju i Tarnogradzie, albo też o masowym zabieraniu mężczyzn. Baraki w Zwierzyńcu są przepełnione. Ludzie opowiadają okropne rzeczy o tym, co się tam dzieje. W Zamościu podobno jest znacznie gorzej, bo zwożą tam wysiedlonych z jeszcze dalszych okolic.

Sytuacja ogólna u nas nad wyraz ciężka. Bardzo dużo wsi albo wysiedlono, albo

całkiem ogołococono z mężczyzn: jednych zabrano, drudzy poszli do lasu. Nie ma roboczych męskich rąk, a tu trzeba łąki kosić, a tylko patrzeć zacząć się żniwa. Całe gospodarstwa w tych wsiach przeszły w ręce kobiet lub w ogóle zostały opuszczone.

Niestety nie widać końca tej potwornej akcji oczyszczania Lubelszczyzny. Gestapowcy szaleją, cały dzień przelatują w szybkim pędzie przez miasto w różnych kierunkach, w otwartych samochodach z karabinami maszynowymi w rękę. Już dawno nie widziałem tak powszechnego zdenerwowania jak obecnie. Ludzie się trzęsą i nie mogą zapanować nad sobą. Staram się nie poddawać ogólnemu

nastrojowi. [...] Ludzie giną tysiącami, kraj niszczy się doszczętnie. Chwilami zdaje się, że przetrzymanie tego wszystkiego jest ponad nasze siły. A jednak pomimo wszystko nie opuszcza mnie niczym nie zachwiana pewność, że wytrwamy, bo naród nasz w całości jest twardy, a chłop nieugięty”.

Te na gorąco robione zapiski lekarza, jednego z wielu biernych świadków rozgrywającej się tragedii ludzkiej, nie oddają, oczywiście, całej grozy położenia, w jakim znalazła się w tamtych ciężkich dniach ludność Zamojszczyzny.

Wyjątkowo barbarzyńskie postępowanie okupanta na Zamojszczyźnie budziło

w społeczeństwie polskim pragnienie odwetu i w znacznym stopniu przyczyniło się do nasilenia na tych terenach walk wyzwoleńczych. W grudniu 1942 roku Dowództwo Główne Gwardii Ludowej w odezwie wydanej do ludności przedstawiło śmiałą taktykę walk na Zamojszczyźnie, która różniła się w sposób zasadniczy od taktyki innych ugrupowań konspiracyjnych.

Odezwa głosiła:

Nieszczęsna ludność stawia niejednokrotnie rozpaczliwy opór, podpala chaty, niszczy dobytek, były wypadki zlikwidowania

eskorty i ucieczki z pociągu. Bohaterskie te przejawy samoobrony nie powstrzymują oprawcy. Kaci hitlerowscy zlikwidowali Żydów, a teraz na dobre w całym kraju rozpoczęli tą samą metodą likwidowanie Polaków.

Jak przeciwdziałać tej akcji?

Jedyną formą obrony jest zaatakowanie nieprzyjaciela i zdezorganizowanie życia oraz administracji na zagrożonych terenach. Zniszczenie łączności, komunikacji, urzędu, tępienie bezlitosne okupantów - oto jedyny sposób przerwania potwornej akcji wyniszczania Polaków. Uderzenia

muszą padać celnie i planowo. Do walki musi stanąć cały naród w sposób zorganizowany. Jest w Polsce dużo broni, która rdzewieje ukryta - trzymana u nogi. Dziś jest najwyższy czas, ostatnia chwila, by dobrać jej dla obrony siebie i najbliższych...

Wróg cofnie się tylko przed siłą. Pamiętamy przecież, jak wycofał się tchórzliwie w Warszawie i Radomiu, gdy w same ślepia padły mu wiązki granatów. Czas nagli - ratujmy braci!

Prowadzona pod pretekstem zwalczania „band” akcja wysiedleńcza rozszerzyła się w czerwcu i lipcu 1943 roku na inne

tereny. W powiecie biłgorajskim np. zdążono już wysiedlić 89 wsi, w tomaszowskim - 44, w zamojskim - 29, w hrubieszowskim - 8. Teraz przyszła kolej na powiaty janowski i lubartowski, gdzie na razie zaplanowana akcja wysiedleńcza miała objąć jednak tylko mężczyzn w wieku od czternastu do pięćdziesięciu lat. Do wysiedlenia nie doszło na skutek działania GL i ucieczki ludzi do lasu.

W dalszym ciągu większość ludzi - szczególnie kobiety i dzieci - wywożono do obozów koncentracyjnych, a zdolnych do pracy mężczyzn, przeważnie w sile wieku, kierowano na roboty do Niemiec.

Porzucenie gospodarstw przez chłopów

- znanych przecież z tradycyjnego przywiązania do ziemi - i ucieczki z całymi rodzinami na tereny nie objęte wysiedlaniem i pacyfikacją przybierały coraz bardziej masowy charakter.

Mężczyźni, zwłaszcza młodzi, uciekali do lasu. Potwierdzenie tego znajdujemy między innymi w piśmie, jakie w dniu 24 lutego 1943 roku przesłał do „pana ministra Rzeszy i generalnego gubernatora dr. Franka” wielkorządca dystryktu lubelskiego w Generalnym Gubernatorstwie, Zörner.

„Wieśniacy wraz z rodzinami i częścią dobytku uciekali dniem i nocą, wykorzystując własne zaprzęgi konne, zabierając wraz z sobą bydło. Uciekają

przeważnie bocznymi drogami i starają się przede wszystkim dostać pod ochronę bandyckich oddziałów albo do sąsiadujących powiatów, gdzie ukrywają się u krewnych lub znajomych. Ponieważ ta masowa ucieczka odbywała się bezplanowo, dlatego też wyludniło się wiele wsi w powiecie zamojskim i hrubieszowskim, w których już i ostatki zostały rozgrabione”.

Sytuacja, jaka się wytworzyła, nie sprzyjała okupantowi. Ernst Zörner przytaczał w swym piśmie wiele argumentów, głównie natury gospodarczej, mających wykazać władzy zwierzchniej, że wysiedlanie jest, z gospodarczego punktu widzenia, bardzo szkodliwe, utrudnia bowiem

normalną pracę niemieckiej administracji, udaremniając wykonanie ważnych zobowiązań dla frontu. W ten sposób Zörner dostarczał w swym piśmie gubernatorowi Frankowi ważnych argumentów w jego sporze z Himmlerem.

„Od czasu przesiedlania - pisze Zörner - wrzenie wzrosło nie tylko w okręgu, ale przerzuciło się też na inne części kraju. Zauważyć też można wzrost poczynań band leśnych, przeważnie w powiatach: biłgorajskim, kraśnickim, puławskim i zamojskim[...]

Nawet w najbardziej oddalonych od miejsca przesiedleń powiatach panuje wśród ludności wiejskiej przekonanie,

iż nie należy dalej pracować na roli oraz prowadzić warsztatów, ponieważ prędzej czy później zostaną wysiedleni. Wobec powyższego uprawa oraz dostawa ziemiopłodów coraz bardziej się obniża. Rolnicy zabijają trzodę i wyprzedają bydło, przygotowując się do ucieczki. W południowej części powiatu chełmskiego w obecnej chwili jest ponad 100 opuszczonych gospodarstw, mimo że dotychczas w tym powiecie nikogo nie przesiedlono. Rozprzestrzeniane wiadomości o przesiedleniu powiększają zaniepokojenie ludności w powiatach zupełnie wysiedleniem nie objętych”.

Jakie były ekonomiczne skutki takiego stanu rzeczy, okazało się wkrótce

w całej pełni. Nic dziwnego, że wielkorządca niemiecki, zdający sobie doskonale sprawę z tego, że - zgodnie z intencjami rządu Rzeszy - okręg lubelski ma stanowić bezpieczne zaplecze walczącej na wschodzie armii i być spichlerzem zaopatrującym nie tylko wojsko, ale i ludność cywilną Rzeszy, uderzał teraz w dzwon na alarm, utrzymując, że „w obecnym stadium wojny totalnej jest niemożliwością zapewnić spełnienie tych dwu tak poważnych zadań, które obecnie są tak mocno zagrożone”.

„Rzesza potrzebuje każdą tonę środków żywnościowych, by zapewnić wyżywienie obywatelom. Tylko sam okręg lubelski dostarczył 700 000 ton

zboża i kartofli z tegorocznych zbiorów. Jeżeli przesiedlenie będzie przeprowadzane nadal - konkluduje Zörner w piśmie do Franka - to według oceny naszych współpracowników musimy liczyć się z tym, że dostawy zboża znacznie się obniżą i w ostatecznym wyniku otrzymamy 100 000 ton chleba mniej.

W takim stanie rzeczy usilnie proszę o nakaz zaprzestania przesiedleń oraz podanie tego nakazu do ogólnej wiadomości”.

Zbiegający do lasu chłopci chcieli pomścić wszystkie krzywdy, jakich doznali od Niemców. Opanowani żądają działania, szukali schronienia przede

wszystkim w oddziałach Gwardii Ludowej. Wiele już bowiem nasłuchali się o ich sławnych czynach, o akcjach, które spotykały się z uznaniem coraz szerszych kręgów społeczeństwa. Z drugiej strony widzieli bierność, jaką wobec wszystkich aktów terroru wykazywały organizacje powstałe z inicjatywy rządu londyńskiego. Wiedzieli, skąd ta bierność wypływa. Znali krzewione przez reakcję hasła stania z bronią u nogi.

Orientacja chłopów, szczególnie biedniejszych, była już wtedy skierowana w naszą stronę. Na pozycjach zdecydowanie wrogich nam pozostawali tylko bogacze wiejscy i obszarnicy. Była ich, na szczęście,

mniejszość.

Ten stan rzeczy z jednej strony pozwalał na rozwój i umacnianie organizacji, z drugiej - sprawiał nam niemało kłopotu. Sytuacja wymagała tworzenia większej liczby oddziałów i umiejętnego kierowania nimi. Brakło nam jednak broni i amunicji, żywności i odzieży dla ludzi.

Nie wystarczały już nasze hasła nawołujące naród polski do walki z okupantem. Trzeba było stwarzać ludziom warunki do tej walki, tego od nas oczekiwano. Rozumieliśmy to dobrze.

Rozmach organizacji i intensywne walki prowadzone na Lubelszczyźnie

wymagały wzmocnienia kierownictwa partyjnego i wojskowego. W związku z tym KC PPR przysłała na nasze tereny byłego dąbrowszczaka Jana Sławińskiego (pseudonim „Gruby Jan”) oraz Hilarego Chełchowskiego (pseudonim „Długi Janek”). Sławiński zostaje sekretarzem PPR Obwodu II.

Rozpoczyna się intensywna praca polityczna. Rozpoczęły się masowe akcje bojowe.

„Na Lubelszczyźnie - pisał wówczas «Gwardzista» - ludność stawia zdecydowany opór, podpala budynki, zabija bydło, kryje się w lasach. Tam tworzy oddziały partyzanckie i atakuje żandarmerię. Lud Polski nie pozwala się

biernie zarzynać. Lubelszczyzna walczy i woła o pomoc”.

Wracając wielokrotnie do sprawy Zamojszczyzny, chciałbym w sposób możliwie pełny przekazać złożoność spraw okupacyjnej rzeczywistości i jednocześnie zależy mi na podkreśleniu roli tego regionu w mobilizacji świadomości narodowej. Tragedia Zamojszczyzny stała się też sprawdzianem słuszności stanowisk reprezentowanych przez poszczególne ugrupowania ruchu oporu.

W książce tej dużo miejsca poświęciłem PPR, GL i AL, a więc sprawom mi bliskim. Na marginesie niejako

zostawiałem ogromny nurt problemów dla nas, Polaków, i wtedy, i później niezmiernie istotnych. Mam tu na myśli przede wszystkim politykę obozu londyńskiego. Dotknęła ona członków partii i jej zwolenników brutalnie i bezpośrednio; dotknęła nie tylko nas, ale w gruncie rzeczy cały naród. Jednym z najbardziej symptomatycznych i brzemiennej w skutki posunięć obozu londyńskiego było wyprowadzenie armii polskiej do Iranu.

W tym czasie każda wiadomość o zmaganiach z hitleryzmem i udziale w nich żołnierza polskiego napawała nas w kraju nadzieją i wiarą w sens naszej konspiracyjnej działalności, dodając otuchy i sił do walki.

Rozumieli też znaczenie tego problemu politycy radzieccy. Jeden z wybitnych dowódców, gen. armii Siergiej Matwiejewicz Sztiemienko w swoich wspomnieniach^[14] chyba bardzo celnie oddał istotę rzeczy, pisząc: „...pojawienie się na [tak bliskim!] froncie polskich jednostek wojskowych miałoby ogromny efekt polityczny - przede wszystkim odbiłoby się szerokim echem wśród społeczeństwa polskiego, które łaknęło każdej wiadomości o odradzaniu się Wojska Polskiego. Mogło to przyczynić się do bardziej intensywnego rozwijania walki partyzanckiej i działalności konspiracyjnej w kraju”.

Tak, faktycznie sytuacja w kraju

wyglądałaby całkiem inaczej pod każdym względem.

Jednak polityka obozu londyńskiego zarówno międzynarodowa, jak i w kraju zmierzała do jednego - nie walczyć, realizując tendencje wyrażone w teorii „dwóch wrogów”.

A tymczasem w kraju latem 1942 roku okupant przystąpił do konsekwentnego wykonywania swych ludobójczych planów.

Sądzę, że nie z naiwności, ale zaciekle wrogością kierowali się politycy obozu londyńskiego, szerząc pogląd, że to PPR i GL, walcząc, wywołują terror okupanta. Twórcy tych koncepcji jakby nie rozumieli istoty faszyzmu, dążącego

do unicestwienia narodów, wykorzystującego fakt, że nie są one zjednoczone w walce z nim.

Escalacja terroru miała między innymi ułatwić okupantowi przeprowadzenie szeroko zakrojonej, jak już wspomniałem, akcji wysiedlania ludności Zamojszczyzny, rozpoczętej w listopadzie 1941 roku. Stolicą okręgu nasiedleńczego miał się stać Zamość, odtąd na cześć Himmlera, patronującego tym zamierzeniom, zwany Himmlerstadt. O akcji zdecydował ostatecznie 12 listopada 1942 roku właśnie Himmler na kilkanaście dni przed rozpoczęciem wysiedleń 27 listopada 1942 roku.

Wysiedlenia i towarzyszące im zbrodnie

wywołały natychmiastową reakcję partii już wcześniej występującej kilkakrotnie z inicjatywy zjednoczenia sił w walce ze wzmagającym się terrorem okupanta. Kiedy wiadomo było, że na porozumienie w podziemiu nie należy liczyć, kierownictwo PPR i GL zdecydowało o zbrojnym wystąpieniu w obronie Zamojszczyzny.

Po cytowanej już odezwie w grudniu 1942 roku wydany został rozkaz wymarszu ^[15]:

Gwardziści!

Na Lubelszczyźnie wróg rozpoczął masowe niszczenie narodu

polskiego. Nie z własnej winy pozbawieni dowództwa, broni i zaopatrzenia chłopci stawiają rozpaczliwy opór. Lokalne oddziały Gwardii Ludowej walczą z nimi ramię w ramię, nadając walce charakter zorganizowany i planowy. Z nowej próby rozbicia i złamania narodu polskiego musimy wyjść zwycięsko. Nie dopuścimy do wydarcia nam ziemi ojczyściej. Wróg jest już osłabiony. Zdecydowana odprawa, dana hitlerowskim oprawcom i nasłanym kolonistom, zniweczy jego zbójcekie zamiary.

Główne dowództwo Gwardii Ludowej wysłało i nadal wysyła na

pomoc szereg oddziałów Gwardii Ludowej.

Gwardziści oddziałów walczących na Lubelszczyźnie! Nie szcędźcie sił ni życia!

Zadaniem Waszym jest wygranie walki przez wciągnięcie do niej wszystkich Polaków zdolnych do noszenia broni.

W momencie rozpoczęcia wysiedleń na początku grudnia na Zamojszczyźnie walczyła część oddziału im. T. Kościuszki, pod dowództwem lejtnanta Iwana Cieńcowa, oraz wchodzący później w skład grupy operacyjnej im. T. Kościuszki oddział im. Szczorsa, pod dowództwem Wasyla Wołodina, który

wspólnie z BCh 30 grudnia 1942 roku wzięły udział w bitwie pod Wojdą.

Obserwując z niepokojem rozwój sytuacji kierownictwo PPR i dowództwo GL uznały, że na Zamojszczyźnie będzie działać grupa operacyjna im. T. Kościuszki; miano ją zorganizować na miejscu pod dowództwem Grzegorza Korczyńskiego.

Na Zamojszczyźnie nie mieliśmy zbyt wielu komórek PPR ani grup wypadowych GL. Należało więc liczyć się z poważnymi trudnościami, spotęgowanymi wielkim nasyceniem terenu jednostkami pacyfikacyjnymi, walką w warunkach wzmożonego terroru, kiedy normalne życie w wielu

wioskach przestawało istnieć. Do tego trzeba doliczyć brak broni i ludzi przygotowanych do walki z wyszkolonym i mającym przewagę liczebną nieprzyjacielem.

Po podjęciu wspomnianej decyzji przekazanie odpowiedniego rozkazu „Grzegorzowi” i koordynację prac przygotowawczych powierzono Pawłowi Dąbkowi, którego aresztowanie w dniu 18 stycznia 1943 roku i osadzenie w obozie na Majdanku przerwało rozpoczęte działania. Należało zacząć od nowa, a czas naglił. Wysłani na Zamojszczyznę ludzie partii nawiązali pozrywane w ogólnym zamięcie kontakty, stawiając na osoby absolutnie pewne, ale w praktyce

okazało się to bardzo trudne, gdyż wielu działaczy zmieniło miejsce pobytu lub ukrywało się. Rozeznanie na Zamojszczyźnie prowadził między innymi Jan Sławiński, który w pierwszym okresie miał przy oddziale pozostać, aby pomóc przy organizowaniu grupy operacyjnej.

Na początku lutego na Lubelszczyznę przybył z polecenia Dowództwa Głównego GL Józef Spiro, oficer polityczny grupy operacyjnej, a mający także wyjechać na Zamojszczyznę Wojciech Jurek - „Wabiej”, członek dowództwa okręgu GL, znajdował się na miejscu.

Po koncentracji w rejonie Kochan, gdzie

miała dotrzeć część oddziału Cieńcowa, 17 lutego 1943 roku partyzanci wyruszyli, docierając 18 lutego w rejon Soli koło Biłgoraja.

Od tej pory, wykonując rozkaz Dowództwa Głównego GL, nowo utworzona grupa operacyjna, walcząca tu od połowy lutego do połowy sierpnia 1943 roku, zapisała piękną kartę w obronie Zamojszczyzny, przyczyniając się w znacznym stopniu do storpedowania zamysłów wroga, zmuszonego w czasie trwania wiosennej ofensywy partyzanckiej do zaniechania wysiedleń.

Sytuacja na Zamojszczyźnie spowodowała również podjęcie

odpowiednich decyzji przez dowództwa BCh i AK. Komenda Główna BCh w grudniu 1942 i kwietniu 1943 roku przysłała kilku oficerów, aby kierowali działaniami BCh, które zostały dozbrojone bronią z magazynowanych rezerw.

Natomiast gen. Rowecki - „Grot” rozkazem z dnia 24 grudnia 1942 roku zezwolił na podjęcie na Zamojszczyźnie ograniczonych akcji sabotażowych i odwetowych, rozszerzając tę zgodę w marcu 1943 roku na również ograniczone działania typu partyzanckiego. W maju zaś przysłano na Zamojszczyznę oddział, zwany kompanią warszawską, dowodzony przez kpt. Tadeusza Sztumberk-Rychtera.

Działania grupy operacyjnej w omawianym czasie były bardzo różnorodne, od akcji dywersyjnych począwszy, na ciężkich walkach podczas obław kończąc. Wszystkie wspomniane przeze mnie oddziały grupy, dowodzone przez Umer Achmołłę Adamanowa - „Miszkę Tatara”, Jana Choinę, Iwana Cieńcowa, Forsta, Andrzeja Flisa, Antoniego Palenia i Wasyla Wołodina, stanowiąc w szczytowym okresie poważną siłę uderzeniową (około 600 ludzi), dobrze spełniły swoje zadania i walcząc zagrzewały do walki. Mieszkańcy Zamojszczyzny sami tak udęczeni, jak prawie wszędzie, dbali o ich jedzenie, i o bieliznę, i o sen rannych, i o

pochowanie zabitych.

Działając z zaskoczenia, gwardziści pojawiali się tam, gdzie wróg najmniej się ich spodziewał - w pobliżu miejscowości, w których czuł się dotąd bezpiecznie. Byli więc i w Puszczy Solskiej, i pod Biłgorajem, Józefowem, Zwierzyńcem, Klemensowem i Krasnobrodem. Ledwie wymknąwszy się obławie, już szli na pomoc maltretowanej ludności w pobliskiej wiosce. Brawura i odwaga „kościuszkowców”, jak mówiono, stała się tematem niejednej opowieści, których chyba najczęstszym bohaterem pozostał „Miszka Tatar”, który poległ 1 czerwca 1943 roku w walce z Niemcami w Józefowie.

Wiosną skoncentrowane ataki oddziałów GL objęły szlaki komunikacyjne, drogowe i kolejowe. Paraliżując transport i łączność, oddziały GL utrudniały także akcję wysiedleńczą. Upodobawszy sobie bardzo silnie strzeżoną linię kolejową Lublin-Lwów, na odcinku Zwierzyniec-Bełżec, przechodzącą przez Puszcę Solską, partyzanci GL doprowadzili do tego, że ta arteria, wiodąca na wschód, była nieczynna przez wiele dziesiątków godzin. Trudno też obliczyć straty niemieckie w ludziach i sprzęcie.

Wobec fiaska pierwotnych założeń na skutek zbrojnego oporu okupant przystąpił w czasie od 15 czerwca do 15 lipca 1943 roku siłami około 30 000

ludzi do realizowania nowego, szczególnie okrutnego przedsięwzięcia wysiedleńczo-pacyfikacyjnego pod nazwą „Wehrwolf”. W ciągu jednego tylko miesiąca wysiedlono 171 wsi, zapelniając ich mieszkańcami przejściowe obozy w Zamościu, Zwierzyńcu, Budzynie i obóz zagłady na Majdanku.

Oddziały grupy operacyjnej im. T. Kościuszki nie zaprzestały walki w czasie trwania akcji „Wehrwolf”, prowadząc przede wszystkim dywersję na linii kolejowej Rejowiec-Rawa Ruska, na odcinku Susiec-Maziły. Szczególnie dumni byli gwardziści, ilekroć udało się) im zaatakować pociągi z wojskami pacyfikacyjnymi lub

unieszkodliwić wroga w efektywnej zasadzce.

Opisane działania na Zamojszczyźnie nie zahamowały walki w całym okręgu. Oddziały GL rozrastały się, zdobywając hart bojowy. W tym czasie cieszyły się sławą oddziały „Orła”, „Przepiórki”, z których później powstały następne: „Cienia” i „Bogdana”. Walkę toczyły również grupy wypadowa GL.

Można więc powiedzieć, że praca polityczna partii dała wówczas efekty pozwalające jej już w następnym roku skupić siły ludowo-demokratyczne i utworzyć Krajową Radę Narodową.

W uroczystej deklaracji GL, zgłaszającej akces do KRN, znalazły się

słowa, które odczytywane w oddziałach sprawiały nam szczególną satysfakcję: „Wśród długich koszmarnych miesięcy niewoli oddziały nasze wyrabują drogę ku wolności. Spieszą tam, gdzie ogień najgorętszy. W zimie ubiegłego roku forsownymi marszami zdążają na tereny pacyfikacji [...] Żołnierze polscy nie szczędzili i nie szczędzą życia dla Ojczyzny. W bojach dojrzewają kadry dowódców i starych wiarusów, partyzantów, ukształtowała się sylwetka gwardzisty-żołnierza z krwi i ciała, znającego trud walki - wiernego bojownika o Polskę Demokratyczną. Pionierski trud żołnierzy Gwardii Ludowej zdobywa w Polsce wśród narodów świata miejsce, jakie osiągnąć

można tylko przez walkę”^[16].

Partyzanckie drogi i bezdroża

Późną jesienią 1943 roku stanąłem przed koniecznością kolejnej wyprawy w teren. Tym razem celem mojej podróży miały być powiaty: chełmski, zamojski i krasnostawski, gdzie ruch nasz rozwinął się stosunkowo późno i gdzie istniały w związku z tym pewne kłopotliwe sprawy natury organizacyjnej, wymagające obecności przedstawiciela władz okręgowych.

Na decyzję osobistego odwiedzenia wspomnianych powiatów złożyło się wiele czynników - i waga problemów,

jakie trzeba było na miejscu rozstrzygnąć, i fakt, że jako sekretarz komitetu okręgowego z powiatami tymi utrzymywałem dotychczas najluźniejszy kontakt, nie dość dokładnie orientując się we wszystkich złożonych niekiedy sprawach, będących następstwem - jak zwykle się to określać - specyfiki terenu, i wreszcie czynnik wprawdzie nie najważniejszy, choć w tym wypadku decydujący - że przy najlepszych nawet chęciach nie było się po prostu kim wyręczyć.

Uzbrojony w visa i jeden obronny granat, z teczką pełną naszej konspiracyjnej prasy ruszyłem w drogę. Wędrowałem przeważnie polnymi ścieżkami, omijając starannie trakty

i większe wioski, gdzie zawsze groziło niebezpieczeństwo „nadziania się” na Niemców bądź „granatowych”.

Do przebycia miałem wiele kilometrów i wiele wiosek na trasie swojej marszruty. Było dość czasu na przemyślenie wielu spraw; nic tak nie skłania człowieka do snucia różnych refleksji jak samotna piesza wędrówka. Była ona zarazem okazją do poczynienia wielu bezpośrednich obserwacji, których nie zdołałyby zastąpić żadne ustne ani pisemne relacje.

Piętno czteroletniej okupacji hitlerowskiej widać już było i tutaj - tak jak we wszystkich miastach i wsiach Generalnej Guberni - na każdym kroku,

w każdym zakamarku ludzkiego życia.

Pomimo późnej, październikowej pory, na polach krzątali się jeszcze tu i ówdzie ludziska przy spóźnionych jesiennych pracach. Wychudły koń zmęczonym krokiem z trudem ciągnął pług, za którym chłop o zapadłych policzkach, w drewniakach na nogach i lichej kurtce, uszytej zapewne ze starego koca, powłócząc nogami doorywał ostatnich zagonów kartofliska, by zdążyć, nim „mróz chwyci”. Za nim pochylona dziewczyna-podlotek, również w drewniakach, przewiązana lichą chuścina, zziębniętymi rękami zbierała do kosza zagubione jeszcze gdzieś nadgniłe resztki kartofli. Dzisiaj, po latach, zabrzmiałoby to może jak

paradoks, zwłaszcza dla młodych, którzy wojnę znają tylko z opowiadań bądź z książek, wtedy jednak te właśnie zebrane jesienią nędzne resztki kartofli ratowały nieraz rodzinę chłopską od głodowej śmierci. Znane porzekadło: „Szewc bez butów chodzi” pasowało wówczas - niestety - „jak ulał” do innych profesji, znajdując swoje smutne potwierdzenie także w sytuacji chłopca.

Dobre kartofle trzeba było wszystkie oddać na kontyngent. Okupant dysponował skutecznymi środkami represji i dostatecznie rozbudowaną siecią własnej administracji, by zapewnić walczącej na wchodzie swojej „niezwyciężonej” armii, która w tym czasie coraz częściej już otrzymywała

tęgie lanie, stały dopływ artykułów żywnościowych.

Nic dziwnego, że bez entuzjazmu wychodzili chłopci na ojcowskie zagony. Ze strachu więcej niż z upodobania i gospodarskiej zapobiegliwości zabierali się do roboty, złorzecząc przy tym „przeklętym Prusakom” i zbierając z pola wszystko, co tylko nadawało się do spożycia i mogło odsunąć od nich widmo głodu. Zbierali resztki cukrowych buraków, by następnie przerobić je na syrop służący do słodzenia zbożowej kawy lub nędznej imitacji herbaty, stanowiącej wywar z różnego zieleń. Pomysłowość ludzka różnymi chadzała drogami. Chłopci zbierali nawet kartoflane liście i różne

inne zioła, przygotowując z nich w sobie tylko wiadomy sposób tytoń na papierosy, których brak nałogowym palaczom dotkliwie dawał się we znaki.

Zaspokojenie głodu i zapewnienie sobie jakich takich warunków przetrwania stało się w tym okresie dla wielu Polaków problemem numer jeden. Zdarzało się przecież i tak, że zupa z brukwi była niedościgłym marzeniem, ludzie jedli na przednówku z głodu nawet pokrzywy i inne chwasty. Przeklinali przy tym los i najeźdźców, narzekali na niesprawiedliwość, zarzucali - oczywiście wierzący - samemu Bogu obojętność na ludzkie cierpienia i twardy los.

Zamyślony nad tymi sprawami dochodziłem wydeptaną miedzą do wsi Baraki. Słońce zaszło już dawno i w miarę jak gęstniał zapadający zmrok, tu i ówdzie pobłyskiwały anemiczne światełka naftowych lamp. Wieś zaludniała się powracającymi z pola i ożywiała światłami. W zagrodach przystępowano do zwykłych wieczornych obrządków. Wiadomo - trzeba powracające z pól bydło pozapędzać i świnie nakarmić, potem krowy wydoić i podściółki rzucić... Choćby rodzina była nie wiem jak liczna, każdy ma o tej porze co robić i dopiero później kobiety mogą pomyśleć o przygotowaniu w długie jesienne wieczory skubania piór,

przedzenia Inu bądź jakiegoś innego zajęcia - rodzina chłopska, oszczędzając naftę, kładła się do snu zazwyczaj wcześniej, „razem z kurami”.

W Barakach mieszkał stary działacz ludowy, Jurecki, którego drzwi otwarte były zawsze gościnnie dla gwardzistów. U niego to właśnie postanowiłem zanoć. Jakiś wyrostek, zapytany przeze mnie o drogę, wskazał trzymanym kijem stojącą opodal chatę, jaśniejącą świeżą białą ścianą na tle wieczornego mroku.

- To tam - powiedział. - Tylko niech pan ostrożnie, u Jureckiego najlepsze psy we wsi. O, słyszy pan? One tak zawsze, jak obcego poczują. Na swoich nie

szczekają. Niech pan weźmie kij, bo czym się pan opędzi? - Mój przygodny rozmówca wtykał mi do ręki patyk, nie przestając ani na chwilę mówić. - Są takie zajadłe, że jak się nie ma nic w rękach, to trudno się przed nimi obronić, niejednemu już portki podarły. Jak pan chce, to mogę pana do Jureckiego zaprowadzić. - I nie czekając na odpowiedź, ruszył przodem.

- A pan z daleka? Znajomy Jureckiego, czy może kuzyn? - wypytywał wścibski, to idąc obok mnie, to znowu wybiegając do przodu. Gdy tylko przestał mówić, natychmiast zaczynał pogwizdywać. Czulem, jak wpatruje się we mnie ciekawie, na ile pozwalały panujące już wokół ciemności. Nie dziwiłem się,

Wyobrażałem sobie nawet, jaki chłopak będzie dumny, że to właśnie on pierwszy rozmawiał z „podróżnym” - jak zwykle przybysza na wsi określano - który pytał o Jureckiego. Wiedziałem, że jeszcze tego samego wieczora wszyscy wioskowi koledzy mojego cicerone będą wiedzieć o jego przypadkowym spotkaniu i wyświadczonej przysłudze.

W obejściu Jureckiego powitało mnie głośnie ujadanie kundla, który odprowadził mnie do samych drzwi. Dopiero głośnie „a podzies” gospodyni, która ukazała się w sieni, uspokoiło go nieco. Pozostał na podwórku wraz z moim przewodnikiem.

Jurecka spostrzegłszy nieznanomego,

odpowiedziała „dobry wieczór” trochę nieśmiało i powściągliwie, zaraz jednak - jak nakazują zasady gościnności - poprosiła mnie do izby i ostrożnie zaczęła wypytywać, jakiego to gościa i z czym Bóg sprowadza.

- Proszę, niech pan siada i odpocznie chwilkę. Mąż zakłada koniom, córka krowy doi. Zaraz skończą... Świeżego mleka się napijemy. Pan z dalekiej drogi? Pewnie głodny... - pytała zatroskana, krzątając się przy kuchni, jak wszystkie wiejskie kobiety prosta i szczerą.

Jurecki, słysząc z podwórka ujadanie psów, domyślił się gościa, zakrzętnął się więc przy koniach i za chwilę był już

w mieszkaniu.

Pierwsze nasze zetknięcie wypadło nieco chłodno. Gospodarz przywitał mnie z pewną rezerwą i nie od razu szczerze zaczął ze mną rozmawiać. Nic dziwnego - spotkaliśmy się po raz pierwszy. Trzeba było cierpliwie przełamywać chłopską niepewność i nieufność, które zresztą uważaliśmy raczej za cechy pożądane, obowiązujące naszych działaczy konspiracyjnych. Jurecki bądź co bądź był jednym z nich. Kiedy w toku rozmowy powołałem się jednak na „Alego”, „Zygmunta” i „Kota” - ludzi dobrze Jureckiemu znanych - niepewność zaczęła stopniowo ustępować, a kiedy w dodatku wyciągnąłem z teczki naszą podziemną

prasę, której Jurecki był zapamiętałym czytelnikiem i kolporterem, lody zostały do reszty przełamane. Chłop stał się natychmiast bardziej rozmowny i przyjacielski. Potoczyła się dyskusja na tematy, które mnie najbardziej wówczas interesowały. W wypowiedziach przez niego opiniach znalazłem potwierdzenie znanych mi już skądinąd faktów - że na terenie powiatu krasnostawskiego organizacja nasza była, w stosunku do innych powiatów, opóźniona, że silniej rozwinęła się tu organizacja AK, silniejsze były również Bataliony Chłopskie, z którymi na ogół łatwo nam było w tym czasie znaleźć wspólny język. Stwarzało to w perspektywie duże możliwości dla

naszej pracy na tym terenie.

Zajęty rozmową, nie zauważyłem nawet, jak Jurecka nakryła stół lnianym obrusem i postawiła dymiące jeszcze parą świeżo ugotowane kartofle z zsiadłym mlekiem. Typowa chłopska kolacja. Kartofle z mlekiem lub - gdy nie było mleka - z barszczem były niemalże jedynym pożywieniem na kolację.

Po spożyciu posiłku, długo jeszcze dyskutowaliśmy z Jureckim nad możliwościami rozwoju naszej organizacji i aktywnej walki zbrojnej z okupantem na terenach powiatu krasnostawskiego. W swym głębokim patriotyzmie i chłopskiej prostocie człowiek ten nie mógł zrozumieć

polityki wyższych przywódców AK, którzy dysponując dużą ilością broni i dobrze przygotowanymi do walki z ludźmi marnotrawili te siły w biernym wyczekiwaniu.

Gospodyni wniosła do izby pęk słomy, rozłożyła go na podłodze, dała czystą płachtę, poduszkę i coś do przykrycia. Tak na wsiach zwykle układało się do snu podróżnych. Widząc te przygotowania, poczułem się uszczęśliwiony. Zmęczenie wywołane całodzienną wędrówką dawało o sobie znać, a nigdy i nigdzie nie wysypiałem się lepiej jak właśnie na słomie. Obojętnie gdzie - w chałupie, stodole czy gdzieś na strychu.

Na drugi dzień rano gospodarz wydał mi się jakiś dziwnie zmęczony i niewyspany. Przyczynę tego wyjawiała mi dopiero przy śniadaniu jego żona. Okazało się, że podczas gdy ja twardo spałem, on prawie całą noc stał na warcie w rejonie swoich zabudowań, w obawie przed najazdem na wieś Niemców lub NSZ-owców, co się nierzadko przecież wtedy zdarzało. Od pewnego czasu weszło w zwyczaj, że kiedy do wsi zachodził na nocleg któryś z naszych działaczy, miejscowy aktyw zawsze go ubezpieczał. Jurecki zrobił to sam.

Po śniadaniu, zorientowany przez gościnnych gospodarzy w terenie i zaopatrzony w kawałek chleba na

drogę, opuszczałem Baraki udając się w kierunku na Żabno.

Najkrótsza i najbezpieczniejsza droga wiodła - zdaniem Jureckiego - przez Tarnawkę, Dragany i Stasin, a następnie wzdłuż kolejki wąskotorowej, którą Niemcy wykorzystywali przy zwózce buraków cukrowych i kartofli do punktów zsypu na stacjach kolejowych. Tam też skierowałem swoje kroki.

Kiedy pokrzepiony i wypoczęty znalazłem się znów sam wśród pól, ogarnął mnie zupełnie inny świat. Trudno czasem, kiedy się jest urodzonym na wsi i ma niewiele ponad dwadzieścia lat, nie zapomnieć, zwłaszcza w takiej scenerii, o sprawach

dnia dzisiejszego. Choćby były one nie wiem jak ważne, pod urokiem naszych pól ustępują powoli marzeniom młodego, zdrowego człowieka. W takich chwilach można zapomnieć o dziurawych butach i przemoczonych nogach, nie odczuwa się głodu i zmęczenia, a nawet swędzenia świerzbu, który nie opuszczał nas niemal przez cały okres okupacyjnej walki. Wszelkie troski i obawy ustępują rozmyślaniom, chwilom pełnym romantyzmu. Młodzieńcze zmysły chłoną uroki natury. Wyczulone do ostatecznych granic, zdolne są odczuć każde najmniejsze zjawisko otaczającego świata, z którym los człowieka w jakiś niepojęty sposób stapia się w jedną,

harmonijną całość.

Rozmyślania, jakie ogarnęły mnie na samotnej polnej ścieżce, nie miały na pewno nic wspólnego ani z trudną rzeczywistością okupacyjną, ani z zadaniem, jakie wykonywałem. Myśl błądziła gdzieś wokół Trzydnika - wioski, w której mieszkała moja dziewczyna. Choć faktycznie życie w każdej chwili wisiało na włosku, nikt nie myślał jakoś o rozstaniu ze światem. Snuliśmy, młodzi, plany na przyszłe dobre życie.

Tak się zapamiętałem w marzeniach, że nie spostrzegłem nawet, jak dochodząc do skrzyżowania kolejki z szosą, znalazłem się z nienacka oko w oko

z niemieckim żołnierzem, stojącym na warcie przy dużych magazynach zbożowych po drugiej strome szosy łączącej Krasnystaw z Turobinem. Dzieliła nas odległość nie większa niż sto metrów.

W jednym momencie doznałem takiego uczucia, jakbym rozgrzany na gorącej plaży skoczył nagle do lodowatej wody. W ułamku sekundy prysnął gdzieś czar romantycznych marzeń i powróciła surowa, jakże groźna zarazem rzeczywistość.

Byłem przecież z bronią i nielegalną prasą.

W głowie zakotłowało się od błyskawicznych myśli. Co robić? Jak się

zachować w przypadku próby zatrzymania? Poczuję, jak z całą siłą zagrał we mnie znów partyzancki instynkt tropionego zwierza, którego przeciwnikowi udało się naprowadzić na pułapkę. Doświadczenie mnie już nauczyło, że w takich wypadkach nie wolno się wahać ani zwlekać z decyzją. Postanowiłem, nie zwalniając kroku i zachowując się jak „normalny” przechodzień, wyjść prosto na hitlerowca, ba - dla zmylenia jego czujności zapytać go nawet o drogę do Żabna, a gdyby spróbował wylegitymować mnie lub zatrzymać - strzelić mu w piersi ze swojego visa, który już w kieszeni odbezpieczyłem. W przypadku tej najmniej

odpowiadającej mi ewentualności postanowiłem po oddaniu strzału próbować ucieczki w kierunku widocznego z dala, na północnym horyzoncie lasu. Cały ten plan działania zrodził się dosłownie w jednej sekundzie. Nie było czasu na obmyślanie szczegółów.

Zbliżając się do Niemca, bacznie obserwowałem kątem oka jego zachowanie się, on zaś, stojąc obok baraku, odwzajemniał mi się tym samym, tyle że nie kątem oka, lecz zwrócony całą twarzą w moją stronę.

Wiedziałem, że nie wolno mi się zdradzić najmniejszym ruchem, że trzeba do Niemca dojść bez wzbudzenia

jakiegokolwiek podejrzenia. W przeciwnym wypadku gotów mnie zatrzymać na odległość i wygarnąć serię ze swego „empi” - maszynowego pistoletu, który trzymał przewieszony swobodnie przez piersi. Mimo wszystko odległość między nami była jeszcze taka, że z moją krótką bronią miałem niewielkie szanse. W pewnym momencie, gdy najwyżej kilkanaście kroków dzieliło mnie już od szosy, a stojący tuż za nią hitlerowiec w dalszym ciągu uporczywie gapił się na mnie, od strony Turobina nadjechała chłopska furmanka, na której oprócz woźnicy siedziały trzy wiejskie kobiety z jakimiś koszami i tobołkami. Niemiec natychmiast całą swoją uwagę zwrócił

w tamtą stronę. Wyszedł na szosę i podniósłszy w górę rękę głośnym „halt” zatrzymał jadących. Wiedziałem, że teraz zacznę rewidować babskie koszyki i całą furmankę w poszukiwaniu masła, jajek i innych artykułów, na które hitlerowcy przy każdej okazji polowali. Nie omyliłem się. Wykorzystując ten cudowny zbieg okoliczności, po dojściu do szosy skręciłem w lewo, w stronę, gdzie - zgodnie z informacjami Jureckiego - wiodła droga do Żabna. Nie oglądając się i nie przyspieszając kroku, oddaliłem się powoli od Niemca, który tymczasem plądrował chłopską furmankę, pokrzykując przy tym ostro i ściągając na ziemię jakieś zawiniątka. Kiedy wreszcie minąłem zakręt, za

którym znikł mi z oczu znieawidzony mundur, odetchnąłem z ulgą. Zdałem sobie sprawę, że ostatnie kilkadziesiąt kroków kosztowało mnie znacznie więcej niż cały dwudziestokilometrowy odcinek drogi, jaki zdążyłem przebyć od wyruszenia z Baraków.

Było już dobrze ciemno, kiedy wchodziłem w opłotki Żabna - dużej wsi, ze wszystkimi starymi tradycjami polskiego chłopstwa. Rozłożona przy trakcie, połyskująca z rzadka tylko w ciemnościach nikłym światłem lamp, sprawiała wrażenie jakiegoś wielkiego obozowiska. Przebiegająca przez wieś szosa sprowadzała tu często hitlerowców. Zatrzymywali się przy lada okazji, myszkując po chałupach.

Ludzie woleli więc nie wabić ich widokiem światła w oknach. Przy całym jednak uznaniu dla przezorności ludzkiej, kląłem ją z cicha pod nosem. Miejscowym mieszkańcom chodzenie w ciemnościach znanymi ścieżkami, zdeptanymi już tysiące razy, nie sprawia żadnej trudności. Znając na pamięć wszystkie drzewa, płoty i budynki, z przyzwyczajenia wiedzą nawet, ile mniej więcej jest kroków od jednego zakrętu ścieżki do drugiego. Poznają każdego psa po szczekaniu, a wyostrzony zmysł człowieka poruszającego się często po ciemku pozwala im wyczuć i ominąć na drodze każdą przeszkodę. W gorszej sytuacji znajduje się przybysz, który - jak ja -

pojawi się we wsi po raz pierwszy. Nie znałem przedtem Żabna i dlatego z największym trudem udało mi się odnaleźć gospodarstwo naszego tutaj działacza, Stanisława Lisika, który w naszej organizacyjnej nomenklaturze nosił pseudonim „Chwedko”.

W domu nie zastałem, niestety, nikogo, choć drzwi były otwarte. Nie wiedziałem zrazu, jak się zachować. Aby uniknąć nieporozumienia, jakie mogłoby zaistnieć na widok nieznanego w momencie powrotu któregoś z domowników, wolałem przezornie opuścić mieszkanie. Nigdy nic nie wiadomo. Zmęczony całodziennym marszem, głodny

i podenerwowany niedawnym spotkaniem z hitlerowcem, pragnąłem za wszelką cenę uniknąć już tego dnia jakichkolwiek dalszych przygód, jak najszybciej coś zjeść i odpocząć. Aby nie wzbudzić podejrzeń, postanowiłem odejść na jakiś czas od zagrody „Chwedki” i wrócić tu nieco później, gdy ktoś z gospodarzy powróci już do domu. Wyszedłem więc na drogę i - chcąc zdobyć jakie takie rozeznanie w miejscowości, do której zawiodły mnie partyzanckie ścieżki - poszedłem przez wieś, przyglądając się w ciemnościach żabińskim gospodarstwom. Musiałem przy tym dobrze wywijać kijem, aby opędzić się przed miejscowymi kundlami, które

ujadając wściekle rzucały mi się do nóg. Przyszedł mi wówczas na myśl chłopak z Baraków i jego wywód o psim wyczuleniu i zawziętości na obcych. Rzeczywiście, harmider, jakiego narobiły, gdy przechodziłem, mógłby - jak zwykle się mawiać - nieboszczyka na nogi postawić. W wypadkach pojawienia się hitlerowców i łapanek, jakie ostatnio coraz częściej urządzali oni po wsiach, szczekanie to niejednemu chłopu pomagało ukryć się w porę i uniknąć aresztowania.

Kiedy po półgodzinnej przechadzce wróciłem do domu Lisika, zastałem już krzątającą się po izbie gospodynię. Nie wychodziła nigdzie z obejścia, tylko, zajęta wieczornymi obrządkami,

zostawiła, jak zwykle, drzwi otwarte. Wkrótce wrócił do domu sam gospodarz. Byłem tak zmęczony całodziennym marszem z przygodami, że poprosiłem go o przygotowanie mi jakiegokolwiek miejsca na nocleg. Wiedziałem, że u Lisika nie mogę pozostać na noc, bo on sam zmuszony był trzymać się z dala od swego domu i nie nocując w nim, przychodził tylko na posiłki, najczęściej o zmroku. W takich warunkach żyli wszyscy nasi miejscowi działacze.

W rezultacie na nocleg zaprowadzony zostałem do jednego z biedniejszych gospodarzy, którego zagroda stała nieco dalej od szosy. W jednoizbowej chłopskiej chałupie było wyjątkowo

czysto. Jakiś błogi spokój na człowieka spływa, kiedy po długim marszu zgłodniały usiadzie na drewnianej ławie i wyciągając zmęczone nogi, daje im odpoczynek. Po chwili dają jednak o sobie znać wszystkie dolegliwości - wynik naszej okupacyjnej poniewierki. Najbardziej dokuczliwy był świerzb, który właśnie w mieszkaniu, kiedy człowiek się rozgrzewał, najdotkliwiej dawał o sobie znać. U mnie wtedy on się rozwijał. Ręce i całe ciało swędziały tak, że chwilami trudno było wytrzymać. Wypiłem garnuszek mleka, prosząc następnie o nocleg gdzieś w stodole na strychu. Gospodarze ani słyszeć o tym nie chcieli, by gość nie spał w izbie. Musiałem użyć wszystkich możliwych

argumentów, aby ich przekonać, że mają niepotrzebne skrupuły. Bogiem a prawdą niechętnie opuszczałem ciepłą izbę, wiedziałem jednak, że w tym niezamownym, ale schludnym domu świerzbu nie ma i nie chciałem go gospodarzom zostawić w prezencie. Ładna mi zapłata za gościnność! Poza tym w chłodzie mniej swędziało i lepiej można było się wyspać.

W nocy oprócz świerzbu męczyły mnie - jak zwykle po niebezpiecznych przygodach - okropne sny. Toteż bez większego żalu rozstałem się z posłaniem.

Rozpoczął się nowy dzień, który nie wiadomo, jakie niósł ze sobą

niespodzianki.

Dalszym celem mojej wędrówki była Puszcza Boniecka i pobliskie tereny, na których koncentrował się nasz kierowniczy aktyw z powiatów: krasnostawskiego, zamojskiego i chełmskiego. W lasach bonieckich miał swoją bazę również liczący kilkudziesięciu ludzi polsko-radziecki oddział Gwardii Ludowej, który, według wiadomości, jakie docierały do nas z tych terenów, niezbyt aktywnie wykorzystywał swoje siły w walce z okupantem.

Zadaniem, jakie stało przede mną, było: uporządkować nieco na tych terenach nasze sprawy organizacyjne, dać nowe

wytyczne kierowniczemu aktywowi oraz pobudzić do czynu działający tu nasz jedyny większy regularny oddział Gwardii Ludowej.

O świcie następnego dnia opuszczaliśmy razem z „Chwedką” Żabno. Pogoda się nieco poprawiła, wszystko zdawało się jednak wskazywać, że są to już resztki i tak krótkiej w tym roku naszej złotej jesieni.

Słońce, coraz bardziej anemiczne, wędrowało nisko nad ziemią. Drzewa stały ogołococone, wiatr zawiewał raz po raz kłębowiskiem pożółkłych liści. Prowadził „Chwedko”. Znał dobrze te tereny. Do Puszczy Bonieckiej - głównego celu mojej wyprawy -

pozostało pięćdziesiąt kilometrów. Samemu, kiedy się nie zna dobrze terenu, niebezpiecznie było się poruszać bez ochrony i przewodnika. Ja miałem dodatkowy jeszcze powód do radości - we dwóch raźniej się jakoś wędruje niż samemu.

Ustaliliśmy, że Krasnystaw ominiemy od południa i na nocleg zatrzymamy się we wsi Małochwiej, oddalonej o około pięć kilometrów w kierunku południowo-wschodnim od Krasnegostawu i leżącej mniej więcej w połowie drogi, jaką mieliśmy do przebycia. W Małochwieju mieszkał członek naszej organizacji, Edward Szymański. Był to młody licealista, inteligentny człowiek i aktywny gwardzista. Po drodze

napotykalismy kilka razy małe grupy wężących w terenie Niemców, ale „Chwedko” dzięki dobrej znajomości tych stron, zawsze jakoś w porę zdołał ich zauważyć i wyminąć, schodząc do przydrożnych lasów, które nieraz były zbawiennym schronieniem na trasie naszego marszu.

Około południa udało nam się szczęśliwie przeprowić przez Wieprz i pod wieczór bez większych przeszkód dobiliśmy do Małochwieja.

W domu Szymańskich zostalismy przyjęci nadzwyczaj gościnnie i z wielką serdecznością. Toteż od razu poczuliśmy się jak u siebie. Rodzina Szymańskich składała się z matki (ojciec

już nie żył), syna imieniem Edward oraz dwóch córek - starszej, sympatycznej Marysi i jej młodszej siostry, pięknej blondynki Józi.

Szymańscy posiadali bardzo mało ziemi, mimo to wspólnym wysiłkiem (starsza siostra była krawcową) pragnęli dać jedynakowi wykształcenie. Wojna przerwała jednak te marzenia i młody Edward, nie mogąc się uczyć, przebywał na wsi. Jeszcze przed 1939 rokiem związany z ideą postępu, został później członkiem Polskiej Partii Robotniczej, stając się na swoim terenie jednym z jej najaktywniejszych działaczy.

Dziewczęta - mimo wysiłku, jaki podjąłem, aby ukryć swoją nieco

żenującą tajemnicę - natychmiast wykryły mój świerzb. Zaskoczył mnie przy tym ich taktowny, rozsądny stosunek do tej sprawy.

- Nie ma co ukrywać ani się czego wstydzić - oświadczyła starsza Marysia.

- Wojna, a jeszcze wy, partyzanci...

Obiecały mi przy tym postarać się nazajutrz o maść przeciwświerzbową. Rozmawialiśmy jeszcze o tym i owym, podczas gdy Edward wyszedł z domu do kolegów z miejscowej grupy wypadowej, aby zorganizować ubezpieczenie naszego noclegu u Szymańskich. Jednocześnie nasz miejscowy wywiad został postawiony w stan gotowości, aby uchronić nas

przed niespodziewaną wizytą Niemców we wsi.

U Szymańskich, w atmosferze niemalże rodzinnej serdeczności, poczułem się naprawdę jak w domu. A że w dodatku przebyte kilometry weszły mi już solidnie w kości, postanowiłem skorzystać z zaproszenia gospodarzy, pozostać nieco dłużej i lepiej wypocząć, zwłaszcza że zamierzeniu temu sprzyjała dostarczona przez miejscowy wywiad informacja, że prawie wszyscy Niemcy opuścili pobliski Krasnystaw, udając się prawdopodobnie na jakąś akcję. Ani nam wówczas przez myśl nie przeszło, że to właśnie Puszcza Boniecka była celem ich wyprawy. Dowiedzieć się o tym mieliśmy już wkrótce. Tymczasem

jednak odpoczywaliśmy bezpiecznie całą dobę.

Edward, zapoznany z celem naszej wędrówki, zwrócił się z prośbą, aby pozwolić mu na przyłączenie się do nas. Propozycja została przyjęta bez wahania - zyskiwaliśmy przecież w ten sposób dobrego, znającego teren przewodnika. Poleciałem mu tylko przed wymarszem w rejon puszczy ustalić dokładnie trasę i sprawdzić stan jej bezpieczeństwa.

Dzień, który pozostał nam do wymarszu, wypełniły całkiem osobiste sprawy. Trzeba było doprowadzić się do porządku - po raz pierwszy od kilku dni umyć dokładniej, ogolić i wreszcie skorzystać z recepty Marysi, za której

radą wysmarowałem się cały jakąś ohydną maścią o nieprzyjemnym siarczanym zapachu. Trzeba było również wysuszyć buty i zmienić bieliznę na świeżą, którą mi dziewczęta przygotowały. Moją starą i brudną, ze świerzbem, obiecywała Marysia zawinąć w paczkę i wysłać hitlerowcom do Krasnegostawu. Oczywiście żartowała, choć w przeciwieństwie do swej uroczej siostry - dziewczyny nad wyraz wesołej - była zazwyczaj poważna. Józia - żywa jak skra, pełna temperamentu, umiejąca nawet w tamtych ponurych dniach cieszyć się urokami życia - i dla zabicia czasu, i przy pracy nuciła pełne romantyzmu partyzanckie piosenki. Jej pięknego

głosu można było słuchać całymi godzinami.

Matka Szymańskich - cicha, pracowita i spokojna - należała do tych wiejskich gospodyń, których drzwi były zawsze jednakowo gościnnie otwarte dla każdego.

Sielanka dobiegała jednak końca. Trzeba było zostawić towarzystwo sympatycznych dziewcząt. Nakazywał to i obowiązek, i względy bezpieczeństwa. Dłuższy pobyt w domu Szymańskich nie mógł ujść uwagi bliższych i dalszych sąsiadów. A lichy - wiadomo - nie śpi. Tego by tylko brakowało, żeby w zamian za okazaną troskę ściągnąć Niemców na głowę gospodarzom i sobie

samemu.

Ponieważ rozpoznanie doniosło nam tymczasem, że celem wyjazdu hitlerowców z Krasnegostawu były właśnie lasy bonieckie i ich okolice, postanowiliśmy dalszą drogę w ten rejon odbyć nocą. Aby zabezpieczyć nas przed przykrymi niespodziankami, Szymański jeszcze za dnia wysłał na trasę marszu miejscowych zwiadowców. Pomimo niebezpieczeństwa, jakie zagrażało nam w związku z niemiecką obławą w rejonie Bończy, nie mogliśmy dłużej siedzieć beczynnie u Szymańskich. Postanowiłem jak najszybciej połączyć się z naszymi ludźmi. Obawiałem się, by pacyfikacja i ewentualne aresztowania

nie osłabiły do reszty i tak stosunkowo słabego na tych terenach naszego aktywu.

Wypoczęci i odświeżeni wyruszamy wczesnym wieczorem.

- A wracajcie mi szybko i cało! - woła za nami od progu matka Szymańskiego. Dziewczęta również proszą, aby przy następnej okazji nie omijać ich chaty. Przyjmujemy zaproszenie, obiecujemy wstąpić w drodze powrotnej.

Ciemna, bezksiężycowa noc była tym razem naszym sprzymierzeńcem. Szliśmy jak trzy cienie, niewiele do siebie mówiąc. Edward na czele. Zaimponował nam bezbłędną znajomością wszystkich dróg i całej

okolicy. Orientował się nawet, w których wioskach mają większe lub mniejsze wpływy nasi przeciwnicy polityczni. Za każdym razem, ilekroć pokonywaliśmy odcinek zagrożony, mówił nam o tym.

- Mijamy Surhów. Duży park. W głębi hrabiowski pałac pod ochroną Niemców. Jednocześnie gniazdo Narodowych Sił Zbrojnych.

- Brzeziny. Tu mamy sporo swoich ludzi.

- Kraśniczyn.

- Bończa. Wszystko to dobra Potockich. Hitlerowcom dobrze się tu powodzi. To ich stała melina. Stąd dokonują wypadów na wioski podejrzane

o współpracę z nami.

Za radą Szymańskiego zatrzymaliśmy się w Zalesiu, o parę kilometrów na południe od Bończy. Wieś - otoczona od wschodu, północy i zachodu lasami - była jak wymarzona na tymczasową kwaterę. W przypadku grożącego niebezpieczeństwa łatwo było się stąd wycofać i zniknąć w leśnym gąszczu. Musieliśmy się zatrzymać i zdobyć rozeznanie w aktualnej sytuacji. Nie wiadomo, jakie zmiany przyniosły ostatnie godziny. Łatwo było popełnić nieostrożność, za którą gorzko później trzeba by zapłacić.

I w Zalesiu, i w sąsiednich wioskach, otoczonych lasami Potockiego,

znajdowała się większa część naszych działaczy z trzech stykających się w tym rejonie powiatów - krasnostawskiego, chełmskiego i zamojskiego. Część z nich została już powiadomiona przez Szymańskiego o naszym przybyciu. Kiedy więc znaleźliśmy się w Zalesiu, byli tu już zebrani trzej powiatowi sekretarze PPR: „Marek” - Józef Małysz (powiat krasnostawski), Aleksy Pilipczuk - „Leon” (powiat zamojski), Konstanty Krasowski - „Wujek” (powiat chełmski), a także stary działacz KPP, Szewczuk, oraz inni. Z informacji, jakimi dysponowali, wynikało, że Niemcy zbierają swoje siły i koncentrują się w Bończy, najprawdopodobniej z zamiarem

okrażenia i likwidacji przebywającego w lesie naszego oddziału. Napływające wiadomości zdawały się potwierdzać, że względny spokój, jaki tu zastaliśmy, był tylko chwilową ciszą przed burzą. Zgodni byli co do tego wszyscy zebrani działacze.

- Tylko patrzeć, jak zaczną - mówili.
- Tak się tu zaczęli jak kot na myszy.
- Nie są z naszych tacy frajerzy, żeby im sami w łapy leźli.

Mimo tej ostatniej uwagi powodów do optymizmu raczej nie było. Wszystko wskazywało na to, że następnego dnia może się rozpocząć obława nie tylko w lasach, ale i w przyległych do nich wioskach. Niemcy nie mogli przecież

nie wiedzieć, że stanowią one bazę dla naszego ruchu wyzwolenczego na tych terenach. Niewykluczone, że nastąpią w związku z tym masowe egzekucje i aresztowania. Niejedna chałupa lub wieś cała pójdzie z dymem.

Były i inne jeszcze powody do niepokoju. Z bardziej szczegółowych rozmów z naszymi towarzyszami dowiedzieliśmy się że, jedną z przyczyn słabej działalności bojowej naszego oddziału było celowe rozpijanie go przez ludzi zarządzających majątkiem Potockiego i gorzelnią w Bończy. Chętnie zaopatrywali oni nasz oddział w każdą ilość spirytusu, ba - nawet w żywność, byleby tylko siedział on spokojnie w lesie i jak najmniej dawał

o sobie znać swoją aktywną, bojową działalnością.

Wyszły też na jaw pewne antagonizmy, do jakich doszło tu między niektórymi działaczami naszego ruchu.

Powoli zaczęły się więc wyjaśniać wszystkie przyczyny i źródła naszej stosunkowo słabej i opóźnionej działalności na tych terenach. Zrozumiałem, że mój przyjazd tutaj był bardzo potrzebny. Dane, jakie zawiozę do okręgu, pozwolą podjąć niezbędne kroki w celu uzdrowienia istniejącej sytuacji.

W czasie obiadu przybył łącznik, wysłany przez „Marka” na zwiady, i zameldował nam, że widział jak do

Bończy przyjechało od strony Chełma kilki ciężarowych samochodów z Niemcami w zielonych i czarnych mundurach.

Potwierdzało to nasze domysły, że do generalnej rozprawy z partyzantką tego terenu hitlerowcy rzucą swoje siły najpóźniej w dniu jutrzejszym.

Nie było chwili do stracenia. Bezzwłocznie też zwołaliśmy zebranie, na które jutro mogło być za późno.

„Marek” na wszystkich drogach prowadzących do Zalesia wystawił posterunki obserwacyjne, a w kierunku Bończy wysłał dodatkowy patrol z zadaniem bacznej obserwacji ruchów niemieckiego wojska.

Na zebraniu wysłuchaliśmy kolejno wszystkich zabierających głos.

W wystąpieniach tych wyczuwało się, że jest tu jeszcze wiele niejasności, zarówno co do sposobów i metod realizacji naszego programu politycznego, jak i taktyki działania oddziałów oraz grup wypadowych Gwardii Ludowej. Niektórzy starzy kapepowcy, którzy nie wiem dlaczego nazywali się tu „podpolnymi”, nie bardzo rozumieli potrzebę tworzenia szerokiej platformy politycznej, umożliwiającej włączenie się różnych ugrupowań politycznych i organizacji bojowych do czynnej walki z okupantem. Starali się oni ściśle trzymać starych kapepowskich metod

pracy konspiracyjnej, jak gdyby nie rozumieli, że w odmiennej sytuacji, jaka zaistniała w warunkach okupacji, metody te nie zdają już egzaminu.

Wnikliwa dyskusja pozwoliła nam wyciągnąć istotne wnioski i podjąć decyzje wymagające natychmiastowej realizacji. Między innymi - aby zapobiec dalszej demoralizacji w tutejszym oddziale - postanowiliśmy jak najszybciej zabrać go z tych terenów w lasy janowskie, gdzie dyscyplina wśród naszych oddziałów nie budziła większych zastrzeżeń. W zamian za to uznaliśmy za stosowne przysłać tu jakiś inny oddział, który by bardziej operatywną działalnością wytworzył atmosferę zdecydowanej walki

z okupantem. Naszym zdaniem wpłynęło by to w zasadniczy sposób na uzdrowienie miejscowej sytuacji. Równocześnie celem wzmocnienia organizacji i zaktywizowania naszego kierownictwa dokooptowaliśmy kilku nowych towarzyszy do komitetu powiatowego w Krasnymstawie.

Wnioskiem ogólnym, jaki nasuwał się w wyniku dokładnej analizy sytuacji w ruchu oporu na terenie powiatów chełmskiego, zamojskiego i krasnostawskiego, była potrzeba utrzymywania częstych i bardziej ożywionych kontaktów z kierownictwem okręgu. Dotychczas z ramienia okręgu tereny te odwiedzali niekiedy tylko Szot i Bieniek.

Ostatni punkt zebrania poświęcony był sprawie najbardziej aktualnej - niebezpiecznej sytuacji, jaka wytworzyła się w rejonie Bończy w związku z koncentracją większych sił niemieckich i planowaną pacyfikacją.

Po dłuższej naradzie i zebraniu ostatnich wieczornych informacji od zwiadowców podjęliśmy jednomyślnie decyzję: pod osłoną ciemności udamy się, wraz ze wszystkimi członkami naszej organizacji, jeszcze tej samej nocy do lasu, gdzie dołączymy do oddziału. Nie wszyscy byli, co prawda, dostatecznie uzbrojeni, podjęta decyzja jednak stanowiła - naszym zdaniem - jedyną możliwość uniknięcia większych strat wśród naszego aktywu.

Rozważania nad samym sposobem i taktyką działania w lesie odłożyliśmy na potem. Wyboru dokona się, w zależności od sytuacji, po połączeniu z oddziałem. Oddziałem tym dowodził wówczas radziecki podoficer „Grisza”, jego zastępcą był Polak „Szczerbaty”.

Tak więc już drugą z kolei noc mieliśmy spędzić bez snu.

Nasi zwiadowcy, obserwując poszczególne grupy Niemców, donosili zgodnie o ruchach zmotoryzowanych jednostek niemieckich w kierunku lasów bonieckich. Wszystko się potwierdzało. Nie było już najmniejszych wątpliwości co do tego, że nad ranem hitlerowcy dokonają okrążenia całego kompleksu

leśnego, łącznie z przylegającą doń naszą kwaterą w Zalesiu.

Czas wymarszu został przyspieszony, obawialiśmy się bowiem ewentualnie odcięcia drogi do lasu, co pokrzyżowałoby zupełnie nasze plany.

Całością naszej grupy dowodził najlepiej orientujący się w terenie „Marek”.

Ostrożnie, jeden za drugim, maszerujemy po ciemku. Pogodna, ale bezksiężycowa noc na razie kryje zarówno nas, jak i Niemców. Ich bliska obecność jest zupełnie oczywista. Zdradza ją szum silników samochodowych, zakłócających nocną głuszę ze wszystkich stron naraz.

Wchodzimy do lasu. Choć „Marek” zaleca przyspieszenie kroku, względy bezpieczeństwa nakazują zachować maksymalną ostrożność, nie pozwalając na widoczne zwiększenie tempa marszu. Od oddziału dzieli nas jeszcze parę kilometrów. Niewykluczone, że Niemcy, nie dysponując ilością sił wystarczającą do okrążenia całego masywu leśnego, skoncentrują całą uwagę na jednej jego części, tej, która - według uzyskanych przez nich informacji - jest rejonem rozmieszczenia oddziału partyzanckiego.

Powoli nocna ciemność szarzeje i ustępuje. Budzi się dzień. Październikowa mgła rozsnuwa się stopniowo, ukazując sylwetki strzelistych sosen i niższe, rozłożyste

jakieś i koślawe dęby oraz graby.

Cudnie wyglądają o świcie pagórkowate lasy Puszczy Bonieckiej ze swym mieszanym drzewostanem. Każde drzewo, każdy krzak wyłaniający się z gęstych oparów leśnej mgły, okryty rześistą rosą, wygląda jak przygotowane na wystawę misterne arcydzieło. Kiedy człowiek stanie w takiej chwili obserwując to zjawisko, coś zdaje się powstrzymywać go od zrobienia najmniejszego nawet ruchu, nie chciałby potrąceniem gałązki czy trawy w czymkolwiek naruszyć tego urzekającego świata piękna i spokoju.

Nie czas jednak na marzycielstwo i romantyczne zachwyty. Surowa

rzeczywistość przenika do świadomości stłumionym głosem silników, zaprzęta myśli, szarpie niepokojem. Brniemy na przełaj poprzez wrzosa, leśne trawy i wysokie na pół chłopa paprocie. Wszyscy wyglądamy tak, jakbyśmy, nie rozbierając się, forsowali w bród jakąś przeszkodę wodną.

Wreszcie po godzinie forsownego marszu dotarliśmy do zacisznej leśnej kotliny, która od dłuższego już czasu stanowiła partyzancką bazę.

W pierwszej chwili zdumiały nas panujące w oddziale spokój i bez troska. Czyżby naprawdę nie zdawali sobie jeszcze sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa? Dowódca

przygotowywał wprawdzie oddział do wymarszu, fakt ten nie pozostawał jednak w bezpośrednim związku ze zmianą sytuacji, jaka nastąpiła na tym obszarze w ciągu ostatnich godzin.

Wiele do życzenia pozostawiała też gotowość bojowa oddziału. Informacje o rozpijaniu gwardzistów przez ludzi Potockiego całkowicie się - niestety - potwierdziły. Mogliśmy to zaobserwować teraz na własne oczy. Niektórzy partyzanci mieli całe bańki wypełnione hojnie spirytusem z gorzelni Potockiego i próbowali nawet nas częstować na powitanie. Kierowani zapewne szczerymi odruchami gościnności nie reagowali na nasze wykręty, nalewając do jakichś

kubeczków porcje, po których nie przyzwyczajonemu do picia nowicjuszowi nogi z pewnością odmówiłyby posłuszeństwa. Dopiero kilka mocniejszych słów z naszej strony pomogło dowództwu oddziału zdać sobie sprawę z powagi chwili i zagrażającego nam wszystkim niebezpieczeństwa. Wódka mogła w tej sytuacji ułatwić zadanie tylko hitlerowcom. Nie było czasu nawet na śniadanie. Należało jak najszybciej przenieść oddział w inny rejon lasu, myląc w ten sposób szyki Niemcom, którzy - rozporządzając zapewne szczegółowymi danymi, dotyczącymi dyslokacji oddziału - musieli być pewni sukcesu.

Dowództwo nad całością obejmuje „Marek”.

„Grisza” i „Szczerbaty” otrzymują natychmiast rozkaz uformowania oddziału do wymarszu. Kierunek: Kukawka. Postanowiono przejść do większego masywu leśnego, dającego więcej możliwości manewrowania i kluczenia oddziałem. Gdyby zamiar ten się powiódł, wróg miałby o wiele bardziej skomplikowane zadanie. Nie tylko z uwagi na trudności prowadzenia walki w dużych obszarach leśnych. Wymagałoby to użycia znacznie większych sił zarówno do okrążenia, jak i przeczesywania lasu w poszukiwaniu partyzantów.

Cieęższy sprzęt i tabory, jakimi dysponował oddział, pozostawiamy na miejscu. Wszyscy podzieleni zostali na dwa rzuty. Pierwszy - z „Griszą” i „Szczerbatym” - wyposażony w trzy ręczne karabiny maszynowe, idzie przodem, drugi - ze mną i z „Markiem” - w pewnej odległości za nim.

Szcześnieśliwie przekraczamy pokrytą świeżymi śladami samochodów błotnistą drogę, łączącą Bończę z Wysokiem, i znów wchodzimy do lasu.

Po kilkunastu minutach w przodzie padają pierwsze strzały. Jak się później okazało, Niemcy zauważyli nasz czołowy patrol, przekraczający leśną przesiekę, i otworzyli do niego ogień.

Naprowadziło ich to na nasze ślady. Zanim pierwszy rzut zdążył przekroczyć przesiekę, hitlerowcy ustawili od strony północnej ciężki karabin maszynowy, który natychmiast włączył się do walki, siejąc ogniem po pustym, nie zadrzewionym pasie. Tuż przed nami padł zabity jeden młody partyzant, dwóch innych odniosło rany. Próba przekroczenia przesieki przez resztę oddziału byłaby czystym szaleństwem, pociągnęłaby tylko za sobą dalsze ofiary.

Nasz drugi rzut został zatem odcięty od pozostałej części oddziału. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że znajdujący się z nami ludzie mieli na ogół słabe uzbrojenie, a my, z kierownictwa,

byliśmy tylko z bronią krótką.

Nie wiadomo było, jak zachowają się Niemcy - czy główną uwagę zwrócą na pierwszy rzut i pójdą za nim, czy też - w przekonaniu, że większość naszych sił udało im się odciągnąć i zamknąć na niewielkim obszarze w okrążeniu - spadną na głowy nam. W tym drugim wypadku sytuacja nasza byłaby niemalże beznadziejna.

Niemiecki karabin maszynowy, szczekając urywanymi seriami, bez przerwy prowadził po przesiece ogień tak zajadły, że sypało się dosłownie z pobliskich drzew. Nie było rady, należało co prędzej cofnąć się i odskoczyć z zasięgu niemieckiego pola

ognia i obserwacji. Zaczynało się robić gorąco. Wszystko wskazywało na to, że źle wyjdziemy na podziale oddziału. Za słabe mieliśmy siły, aby próbować przebić się przez okrążenie. Tego nie można dokonać bez broni maszynowej, a ta w całości pozostała przy pierwszym rzucie. Na domiar złego nie mieliśmy również granatów i za dużo ludzi uzbrojonych było jedynie w krótką broń. W takich wypadkach partyzancka taktyka nakazuje rozproszyć się na małe parosobowe grupki i - kluczeniem po lesie w różnych kierunkach, wymykając się z zasięgu działania nieprzyjaciela - doczekać nocy, pod której osłoną szanse wyrwania się z okrążenia są już całkiem realne. Nie było wyboru. Należało - jak

zwykle w trudnych sytuacjach - zdecydować się na mniejsze zło.

Odstępując do tyłu, w marszu dokonujemy podziału i ustalamy hasło porozumiewawcze na wypadek natknięcia się na siebie w nocy. W chwilę później każda grupka odchodzi w innym kierunku. Ze mną pozostaje tylko „Marek” i Aleksy Pilipczuk, reszta miejscowych działaczy przyłącza się do kilku innych grup. Brniemy w jakieś knieje, wysoko zarośnięte bujną leszczyną. Poszycie tu gęste. Trzeba iść jeden obok drugiego, aby się nie pogubić. Łatwo też stracić zupełnie orientację. Cała nadzieja w „Marku”. On zna najlepiej teren.

W pewnej chwili, uważnie nasłuchując, stajemy. Trzeba się zastanowić nad położeniem. Strzałów słychać coraz więcej. Ze wszystkich stron. Nietrudno jednak zauważyć, że najbliżej i najczęściej padają od południa. Z tej strony zatem idzie niebezpieczeństwo. Dobiegają nas już gardłowe krzyki Niemców. Rozumiemy je dobrze. Hitlerowcy tyralierą przeczesują las. Zawsze i wszędzie hałaśliwi, tym razem nie szcędzą gardeł z całkiem oczywistego powodu - pragną dodać sobie odwagi w tym strasznym lesie, gdzie w każdej chwili, za każdym krzakiem, czaić się może śmierć. Nigdy nie wchodzili w gęstwinę. Z partyzantami woleli się nie spotykać.

Głośnymi komendami i nawoływaniem uprzedzali ich więc o swoim nadejściu, strzelając przy tym przed siebie, na ślepo, opętańczo. Rwetes, jakiego narobili, trudno z czymkolwiek porównywać. Cała ta przedziwna, krzykliwa kapela napierała na nas szeroką ławą.

- Co robimy? - zapytuje „Leon”.

- Żywcem im się wziąć nie dam - oznajmia głosem nienaturalnie spokojnym „Marek”. - Ostatni nabój zachowam dla siebie.

Jakby na potwierdzenie swych słów przelicza amunicję. My z „Leonem” odruchowo robimy to samo. Ja mam oprócz swego visa jeden polski granat

obronny. Wyjmuję go z kieszeni i dla wygodniejszego chwytu zaczepiam łyżką za pasek spodni.

W chwilach szczególnego napięcia przychodzą człowiekowi często do głowy przeżyte poprzednio podobne sytuacje. Może dlatego, że myśli i samozachowawczy instynkt intensywniej wtedy pracują. Tak i mnie przypomniały się w tej dramatycznej chwili rady, jakich udzielał nam kiedyś w lasach janowskich „Grzegorz”. W wypadku konieczności rozproszenia się oddziału na małe grupki - pouczał - trzeba stosować wszechstronną obserwację i wykorzystać moment zaskoczenia z ukrycia. Polega to na tym, że grupa trzech lub czterech ludzi,

znalazłszy się w jak najbardziej gęstym i niewidocznym podszyciu, zajmuje stanowiska do siebie plecami, przy czym każdy prowadzi obserwację w innym kierunku, z bronią gotową do zaatakowania wroga z najbliższej odległości. Dawało to nieraz możliwość całkowitego zaskoczenia nacierającego przeciwnika i stwarzało warunki do przebicia się pod osłoną leśnej gęstwiny na tyły nacierającej tyraliery, co równało się już w zasadzie wyjściu z okrążenia.

Myśli tej chwytamy się jak ostatniej deski ratunku. Zaszyci w gąszczu, plecami do siebie, trwamy w pogotowiu, zasłuchani w odgłosy tyraliery, nadciągającej jednocześnie od

południa, wschodu i zachodu. Twarzą zwrócony na południe, po prawej mam „Leona”, po lewej - „Marka”. Czekamy. Trzask łamanych stopami gałęzi i karabinowa palba. Wciąż nie ustająca wrzawa. I serce podchodzące do gardła. Nie sposób stłumić w sobie do reszty zwyczajny ludzki lęk. Gdzieś w prześwicie gałęzi miga na chwilę złowroga postać.

Na szczęście hitlerowcy nie wykazują nadmiernej gorliwości, bardziej niedostępne miejsca wolą omijać. Ostrzeliwiają je tylko krótkimi seriami dla sprawdzenia, czy ktoś się tam kryje. Przyłgnęliśmy do ziemi niewidoczni nawet z odległości kilku metrów. Teraz idzie tylko o to, żeby Niemcy nie

poczęstowali nas serią. Najgorsze, gdyby któryś z nas został ranny. Nie wytrzymawszy bólu, mógłby krzyknąć, a wtedy wszystko przepadło. Oznaczałoby to dla nas niechybną śmierć, dla „bandytów” - wiadomo - Niemcy nie znali litości.

Nastał punkt kulminacyjny. Takie momenty dramatycznego napięcia najczęściej są bardzo krótkie, a gdy miną bez katastrofy, człowiek pozostaje z takim uczuciem, jak gdyby runął pod szubienicą z pętlą na szyi, przed ostatecznym zaciśnięciem się jej, kiedy niespodziewanie pękła lina i w jakiś niepojęty sposób przedłużyła życie swej ofierze.

Niemcy nie odkryli naszej kryjówki, ich serie z pistoletów maszynowych, kierowane w naszą stronę, poszły nieco wyżej, nad naszymi głowami. Posypały się na nas tylko ścięte gałązki i liście.

Z zapartym tchem siedzieliśmy jeszcze jakiś czas, nasłuchując, jak oddalała się tyraliera. Zdawało mi się, że jestem wrośnięty w ten las, że było tak zawsze i że tak być musi. W poczciwy las, któremu tak wiele wszyscy zawdzięczaliśmy. Las - nasz dom i przyjaciel.

Powoli strzały oddalały się i cichły. Umilkły krzyki hitlerowskich żołdaków. Kiedy poruszyliśmy się wreszcie, stając na ścierpniętych nogach, na świecie

znowu szarzało. Podaliśmy sobie bez słowa ręce i ostrożnie wyszliśmy z kryjówki. Dokąd teraz? - pytanie to każdemu z nas nasunęło się jednocześnie.

- Idziemy na Majdan-Zalesie - proponuje „Marek”.

Myśl wydała nam się słuszna. Od tej wioski bowiem zaczęła się obława, a Niemcy - jak zdążyliśmy się zorientować - po każdej pacyfikacji mieli zwyczaj ściągania obstawy zaczynając od strony, skąd ruszyła tyraliera.

Otępiały zupełnie, jakbym wracał z pogrzebu, wlokłem się za „Markiem” tą samą drogą, którą już raz tego dnia

przebyliśmy, wyruszywszy wraz z oddziałem o świcie z partyzanckiego obozowiska. W lesie robiło się coraz ciemniej, październikowy chłód dokuczał. Równocześnie stopniowo powracała świadomość wszystkiego, co się wydarzyło.

„Marek” zatrzymał się na chwilę, uprzedzając nas, że dochodzimy właśnie do starego obozowiska oddziału i trzeba zachować wielką ostrożność, bo Niemcy mogli tu urządzić zasadzkę lub zaminować teren, co ostatnio zwykli robić w miejscach często odwiedzanych przez partyzantów.

Chwilę nasłuchujemy. Jest zupełna cisza. Nie wyczuwa się w pobliżu ludzi,

pozostał tu po nich tylko zapach spalenizny i dym stojący w powietrzu. Czyżby się jeszcze paliło?

Pojedynczo, ostrożnie, z bronią gotową do strzału dochodzimy do opustoszałego obozowiska. Nieprzyjemny widok zgliszcz i dopalających się jeszcze wozów taborowych. Niemcy zniszczyli wszystko, co zastali, tylko konie zabrali żywe ze sobą. Uważnie obchodzimy i sprawdzamy cały pobliski rejon - nigdzie nie widać trupów. A zatem nie zastali tu nikogo. Całą złość wyładowali na skromnym partyzanckim dobytku.

Późnym wieczorem we wsi Majdan-Zalesie mieliśmy już pierwsze wieści o wynikach przeprowadzonej przez

hitlerowców w rejonie lasów bonieckich akcji pacyfikacyjnej.

Straty partyzanckie nadspodziewanie okazały się zupełnie minimalne. Oprócz gwardzisty, którego śmierci byliśmy świadkami na leśnej przesiece, zginęli jeszcze dwaj inni z grupy, która po podziale naszego drugiego rzutu na kilkusobowe grupy natknęła się niespodziewanie na patrol niemiecki. Było również kilku rannych i paru, o których brak było jakiegokolwiek wiadomości.

Z dalszych doniesień wynikało, że pierwszemu rzutowi udało się oderwać od głównych sił niemieckich i zaszyć w większych lasach, na północny

wschód od Bończy. Fakt ten potwierdzał przypuszczenie, że Niemcy uznali nasz odcięty drugi rzut za główne zgrupowanie sił partyzanckich i przeciw niemu skierowali całe swe uderzenie.

Wyglądaliśmy chyba nietęgo, bo stary już wiekiem gospodarz, u którego zatrzymaliśmy się, popatrzył na nas i pokiwał głową. Potem opuścił izbę, a po chwili zjawił się znowu z bochenkiem czerstwego razowego chleba i kawałkiem pożółkłej słoniny. Byłem tak głodny, że z trudem mogłem się powstrzymać i cierpliwie odczekać, aż staruszek wielkim jak kosa nożem pokroi chleb na grube kromki, pokładzie plastry słoniny i poda nam drżącymi ze starości rękami.

Z wilczym apetytem połykaliśmy pajdy chleba. Małomówny staruszek, z nie ogoloną już od dłuższego czasu brodą, wyglądającą jak ryżowa szczotka, siedział naprzeciw i przyglądając się nam z zaciekawieniem gderliwie popędzał stojącą przy kuchni żonę, żeby prędzej podała nam coś do picia.

Silne zmęczenie, jak zwykle po zaspokojeniu głodu (wielokrotnie w latach partyzantki fakt ten na sobie stwierdzałem), spotęgowało się. Nie miałem już siły, aby cokolwiek robić czy nawet myśleć, bolała mnie głowa, nogi były jak przyprawione, chwilami w ogóle ich nie czułem. Po dwóch nie przespanych nocach i trudzie ostatniego dnia należał nam się zasłużony

odpoczynek. Postanowiłem natychmiast położyć się spać. Gdziekolwiek i jakkolwiek, aby spać.

„Marek” zaprowadził mnie na swoją melinę, gdzie na wpół rozebrani zaszyliśmy się w sianie na strychu jakiejś obory.

Twardy musiałem mieć sen, skoro nie słyszałem kilkugodzinnej burzy z piorunami i ulewą, jaka przeszła tej nocy nad wsią. Kiedy obudziwszy się nazajutrz, około godziny dziewiątej, zeszliśmy na dół, każdy z nas wyglądał jak wypłoszony z barłogu dzik.

Posepny, chmurny dzień po nocnej burzy nie nastrojał dobrze, zwłaszcza w zestawieniu z wypadkami dnia

wczorajszego, pod których wrażeniem ciągle jeszcze pozostawaliśmy. Na błotnistych terenach krasnostawskich pojawiły się jeszcze większe kałuże, drogi stały się bardziej rozmiękłe, a wilgotne, zimne powietrze oraz nisko nad ziemią sunące, ciężkie, bure chmury były dopełnieniem ponurej, przygnębiającej atmosfery.

Krótki, jesienny dzień nie pozwalał na dłuższą poranną toaletę i śniadanie. Trzeba było szybko doprowadzić się do porządku, pożegnać powiat krasnostawski i przejść na inne tereny.

Nowe kłopoty

Szła zima. Surowa, bezlitosna zwłaszcza dla leśnych oddziałów. Listopadowy wichur pojękiwał w bezlistnych gałęziach drzew, słońce - skryte za ołowianą zasłoną chmur - z rzadka tylko rozświetlało swym anemicznym blaskiem posmutniały świat.

Leśna zwierzyna przygotowywała się do przetrwania. Zapobiegliwe wiewiórki krzątały się zwawo, gromadząc w dziuplach znalezione jeszcze tu i ówdzie laskowe orzeszki.

Przygotowywali się także partyzanci.

22 listopada 1943 roku dowództwo Obwodu II GL wydało rozkaz do dowództwa 3 i 4 batalionu w sprawie zadań bojowych w zmienionych,

zimowych warunkach:

DOWÓDZTWO OBW. GL.

Do dowództwa batalionu nr 3 i nr 4

W związku ze zbliżającą się Armią Sowiecką i walczącą u jej boku Dywizją Polską im. Tadeusza Kościuszki, a co za tym idzie - koniecznością pozostania w lesie zbrojnych oddziałów GL - Obwodowe Dowództwo GL wydaje

Rozkaz

do podległych mu batalionów, by

natychmiast przystąpiły do:

1) budowy schronów na nowych stanowiskach leży zimowych,

2) zmagazynowania żywności - mięsa, tłuszczów, mąki, kartofli na wypadek powiększenia się niemieckich garnizonów wojskowych we wsiach wokół lasu i konieczności przeżycia własnymi zapasami kilku dni,

3) stanowiska, które wybiera się do budowy schronów i magazynowania żywności, podaje się trzy, a mianowicie: las lipski, gdzie należy w 3 punktach wybudować schrony odległe od siebie około 5 kilometrów (oddzielnie dla każdego batalionu),

Gizówka i lasy gościeradowskie - po jednym punkcie (w każdym schrony). Potrzebne piecyki do ogrzewania można zabrać z baraków niemieckich między wsią Wymysłowem a Dąbrową koło Annopola. Beczki na mięso i tłuszcz - pobrać z dworów. O magazynach żywnościowych może wiedzieć tylko kilku ludzi. Budową schronów zajmą się wyznaczeni ludzie pod kierownictwem technika z batalionu nr 4, który budował na froncie podobne schrony-bunkry. Termin wykonania niniejszego rozkazu określa się do dn. 5 XII 1943 r. Za wykonanie tego rozkazu

czyni się odpowiedzialnymi dowódcę i komisarzy politycznych obydwu batalionów.

ZA OB. DOWÓDZTWO GL
Kot [Stanisław Szot]
Im [Wacław Czyżewski] [następny
podpis nieczytelny]

Pomimo jednak tych zabiegów i całego, niemałego już przecież doświadczenia, jakie zdobyliśmy w czasie z górą dwóch lat twardego partyzanckiego życia, zima 1943/1944 roku dała się nam solidnie we znaki. Powody do narzekania miały zwłaszcza nasze oddziały leśne, nie przygotowane należycie - mimo usilnych w tym kierunku starań - do znoszenia

zimowych zamieci i mrozów.

Na kwaterach u chłopów oprócz rannych partyzantów, którym nie dopisało szczęście podczas ostatnich potyczek z hitlerowcami, mieliśmy coraz więcej chorych. Surowe zimowe warunki były przyczyną przede wszystkim licznych przeziębień. Ludzie zapadali zresztą na różne choroby.

Nasza służba zdrowia, która nigdy przecież nie była rozwinięta w stopniu wystarczającym, teraz miała pełne ręce roboty i nie mogła podołać zwiększonym obowiązkom, zwłaszcza wobec faktu rozmieszczenia chorych w różnych, odległych nieraz od siebie punktach okręgu. Trzeba było pomagać jej.

Robiliśmy to w różny sposób, sprowadzając nieraz dodatkowo lekarzy i lekarstwa z Kraśnika i okolicznych ośrodków zdrowia. Nasi sympatycy, których nie zabrakło także w środowisku medycznym, okazali się teraz niezwykle przydatni. Z jednakową wciąż życzliwością niosła nam swą pomoc doktor Aleksandrowiczowa. Aptekarz Stanisław Czerwiński w Kraśniku ze swoją żoną Marią robili co mogli, aby zaspokoić wszystkie nasze potrzeby. Pomoc ich była niezwykle cenna, wkrótce jednak i ich apteka zaczęła się wyczerpywać i świecić pustkami. Coraz częściej zachodziła potrzeba wyjazdów Czerwińskiego do Lublina celem uzupełnienia braków i zaspokojenia

naszych potrzeb.

Działalność oddziałów partyzanckich uległa w okresie zimowym znacznemu zahamowaniu. Utrudnione poruszanie się w terenie, kłopoty z zaopatrzeniem, zwłaszcza w ciepłą odzież i artykuły żywnościowe, poważnie wpłynęły na zmniejszenie ich operatywności. Mimo tych wszystkich przeszkód był to okres szybkiego rozwoju Armii Ludowej i rad narodowych.

Po utworzeniu Krajowej Rady Narodowej Polska Partia Robotnicza wychodziła szerokim frontem ze swym konstruktywnym programem, stwarzając wszystkim organizacjom politycznym i ugrupowaniom wojskowym możliwość

włączenia się do walki z okupantem o niepodległość kraju i wyzwolenie społeczne. Przed naszymi działaczami stawały nowe, coraz trudniejsze zadania, wymagające zwiększonego wysiłku fizycznego i umysłowego.

Choroby dziesiątkujące nasze szeregi w tym szczególnym okresie, kiedy trzeba było zmobilizować wszystkie siły do realizacji postawionych przez KRN, KC PPR i DG GL zadań, stały się naszym wrogiem numer jeden. Nie omijały one także ludzi z aktywu, którzy - chorzy lub przemęczeni nadmierną pracą - na jakiś czas musieli się rozstać z działalnością organizacyjną, by odbyć niezbędną kurację i odpocząć.

W lutym 1944 roku zachorował „Grzybowski”. Zaczęło się od przeziębienia, później przyszło kilka dość dużych wrzodów na szyi i głowie. Chory musiał leżeć i leczyć się. Denerwowało go to bardzo, że nie może być razem ze swymi żołnierzami, i kiedy tylko stan jego zdrowia poprawił się nieco, jak najszybciej chciał wracać do lasu. Na skutek sprzeciwu lekarza musieliśmy powstrzymać go od tego nierozważnego kroku, udawało nam się to jednak tylko do pewnego czasu. Kiedy bowiem „Grzybowski” poczuł się trochę pewniej, po prostu zdezerterował z miejsca, w którym poddawano go kuracji, i zanim zdążyliśmy się zorientować, był już w lesie w swojej

brygadzie. Tylko na opatrunki musiał stamtąd od czasu do czasu z konieczności przyjeżdżać do garnizonu w Rzeczy. Z braku lekarza często robił mu je nasz nieoceniony felczer, Leon Dudek, brat organisty.

W pierwszej połowie marca „Grzybowski”, nękany nie zagojonymi wrzodami, przybył do Rzeczy w towarzystwie „Błyskawicy” z kilkusobową grupą swojej ochrony. Dudek dokonał kolejnego opatrunku i gorąco zalecał powtórzyć go najdalej za dwa dni.

Chory musiał się widocznie nieszczególnie czuć, bo usłuchał tego zalecenia, a że nie opłacało mu się

jechać do oddziału, by zaraz znów tu wracać, zatrzymał się u jednego z członków miejscowej grupy wypadowej, Bolesława Bartnika.

Na drugi dzień rozmawiałem z „Grzybowskiem”. W mojej obecności Dudek zrobił mu drugi opatrunek. Podczas kolacji, którą nas gościnnie poczęstował, zalecał „Grzybowskiemu” pozostanie choćby jeszcze przez parę dni na kwaterze, w cieplejszych warunkach. Chory zgodził się na to. Kiedy jednak późnym wieczorem wracaliśmy obaj od Dudka, napomykał już, że szkoda tak całkiem beczynnie siedzieć, że można by choćby gdzieś niedaleko wyskoczyć z niewielką grupą w towarzystwie „Błyskawicy” i zrobić

jakiś „kawałek roboty”.

Czynna natura buntowała się przeciwko bierności. Wiedziałem, że mówiąc o „wyskoczeniu” ma na myśli niedaleki od Rzeczycy Potok, gdzie według uzyskanych informacji od kilku dni kwaterował eneszetowski oddział „Cichego” i terroryzował naszych ludzi.

- Zobaczysz - mówił mi „Grzybowski” - jak tam pojedę, to nie tylko ich porządnie nastraszę, ale jeszcze dogadam się z nimi i część ich ludzi przeciągnę na naszą stronę. Znam ja wielu z nich dobrze, wiem, jak z nimi gadać.

Że „Grzybowski” znał wielu z nich dobrze - wiedziałem. Dla nikogo nie

było tajemnicą, że z ZWZ droga wiodła nie tylko, jak w przypadku „Grzybowskiego” - do GL, lecz także - i to, niestety, częściej - do szeregów NSZ. Wiedzieliśmy też, że eneszetowcy mieli szczególnie do „Grzybowskiego” wiele pretensji o to, że opuścił szeregi ZWZ, by przejść do Gwardii Ludowej.

Długo tłumaczyłem „Grzybowskiemu”, że nie powinien jechać do Potoka, długo wyjaśniałem mu niebezpieczeństwo i przykre następstwa, jakie mogą z tego wyniknąć, zanim przyrzekł mi, że rezygnuje z zamiaru i do Potoka nie pojedzie. Wtedy dopiero pożegnaliśmy się i każdy poszedł na swoją „melinę”, on do Bartnika, ja - do moich starych znajomych, Kwaśniaków.

Szedłem spać z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, zadowolony, że udało mi się odwieść „Grzybowski” od tak niebezpiecznej wyprawy. Wszystko wskazywało bowiem na to, że z NSZ nie ma już żadnych możliwości jakiegokolwiek „dogadania się”, jak to nazywał „Grzybowski”, i że po kontaktach z nimi nic dobrego nie należy się spodziewać.

Czy kładąc się owego wieczora spać w swojej kryjówce w oborze mogłem przypuszczać, że najgorsze nastąpi tak szybko?

Następnego dnia w godzinach rannych przybiegł na moją kwaterę, do Romana Kwaśniaka, Jan Czarnecki - „Jerzy”,

sekretarz powiatowy, z wiadomością, że... „Grzybowski” nie żyje.

Nie dotrzymał danego mi słowa, zlekceważył zalecenie Dudka i z niewielką grupą „Błyskawicy” pojechał w nocy do Potoka. Trafił tam akurat na moment, gdy eneszetowcy dokonywali aktów terroru na naszych ludziach. „Grzybowski” wystąpił, oczywiście, w obronie krzywdzonych. Wywiązała się strzelanina, w wyniku której został on trafiony przez jednego z eneszetowców w brzuch. Kula karabinowa przeszła go na wylot. „Grzybowski” upadł, ale nie od razu stracił przytomność. Nakazał jeszcze swoim chłopakom, żeby włożyli go na sianie i zawieźli do Rzeczyca.

„Błyskawica” ze swoją nieliczną grupką, ostrzeliwując się, zdołał się oderwać od atakujących eneszetowców i wykonał ostatnie polecenie swego dowódcy. Niewiele to jednak pomogło samemu „Grzybowskiemu”. W drodze szybko stracił przytomność, do Rzeczycy dowieziono go już martwego.

Jakże ciężko było nam się pogodzić z tym niepotrzebnym odejściem! Niedawno przeżywaliśmy śmierć „Jastrzębia”. Też nas to wszystkich wiele kosztowało. Ale tamten zginął w walce, z rąk hitlerowskich...

Znaliśmy wszyscy olbrzymie zasługi, jakie położył „Grzybowski” dla rozwoju ludowego ruchu oporu na

Lubelszczyźnie, jego wielkie poświęcenie dla słusznej sprawy, o którą walczył, i odwagę, którą zawsze tak imponował innym, zwłaszcza młodym partyzantom. Ceniliśmy go tym więcej, że dla nikogo nie było tajemnicą, jaką drogę przeszedł, zanim trafił do naszych szeregów.

Śmierć „Grzybowskiego” była dla mnie jednym z najbardziej ciężkich okupacyjnych przeżyć.

Ten młody jeszcze chłopski syn, w roku 1939 uczestnik kampanii wrześniowej w stopniu podoficera, członek ZWZ, który następnie - gdy przyszła ideologiczna i polityczna dojrzałość - został jednym z najdzielniejszych

dowódców Gwardii Ludowej na naszym terenie, a potem dowódcą brygady Armii Ludowej, padł z rąk nieniemieckich. Życie jego przecięła polska kula, skierowana polską ręką przez tych ludzi, do których jechał przecież - jak sam mówił - „dogadywać się” w sprawie wspólnej walki z wrogiem. Miał zamiar ich uświadamiać, ufał im i wierzył po polsku, po chłopsku, jak gdyby nie znał jeszcze dobrze tajników i rozmiarów zdradzieckiej polityki NSZ wobec własnej ojczyzny i własnego narodu.

Trudno było wytłumaczyć ten kolejny mord mojemu gospodarzowi, Kwaśniakowi. Znał on osobiście „Grzybowskiego”. Miał łzy w oczach,

kiedy dowiedział się o zamordowaniu go przez rodzimych faszystów.

Niestety, surowa rzeczywistość, narzucona nam przez przedstawicieli reakcji, stawała się faktem coraz bardziej oczywistym. Przybyło nam jeszcze jedno gorzkie doświadczenie i jeszcze jedna nauczka, że do zdrajców nie można iść uzbrojonym tylko w argumenty i dobrą wolę. O tej smutnej prawdzie mieliśmy się przekonywać, niestety, jeszcze przez całe lata po wyzwoleniu.

Śmierć „Grzybowskiego” w okresie burzliwego rozwoju Armii Ludowej, kiedy każdy dowódca tej co on miary stanowił dla nas wielką wartość, była

olbrzymią, niepowetowaną stratą, stworzyła poważną lukę w kadrze dowódczej naszego okręgu.

Mieliśmy jednak za sobą już dwuletni okres pracy konspiracyjnej i walki. Codzienna rzeczywistość uczyła trudnej sztuki przewycięzania największych przeciwności losu. Nauczyliśmy się już, że i takie ciosy trzeba nieraz przeżyć i robić dalej swoje. „Grzybowski” nie był pierwszy, wielu już kolegów i towarzyszy zginęło bądź to z rąk Niemców, bądź to rodzimych faszystów.

Wkrótce, aby położyć kres lub przynajmniej ograniczyć do minimum straty, jakie ponosiliśmy na skutek zdradzieckich ataków na naszych ludzi

ze strony NSZ, dowódca obwodu, Mieczysław Moczar - „Mietek”, wydał specjalny rozkaz kategorycznie zakazujący poruszania się po terenie samym dowódcom i działaczom, bez odpowiedniej ochrony.

Rozkaz d-cy Obw. do wszystkich jednostek bojowych AL o wzmożeniu czujności wobec oddziałów reakcyjnych

DOWÓDZTWO
AL.

OBW.

13 IV 1944 r.

ROZKAZ NR 16

Czas wielki opamiętać się naszym d-com, że żaden z nich nie ma prawa jeździć po terenie bez ochrony specjalnej.

Zarządzam:

Wszyscy dowódcy AL natychmiast zlikwidują swe miejsca pobytu, które miały charakter indywidualny i z tego powodu istniały możliwości likwidowania ich przez zbirów reakcyjnych.

Kierowanie jednostkami AL winno odbywać się przez poszczególnych d-ców.

1. D-ca kompanii, baonu, brygady winien mieć jednostkę swą zawsze pod swymi rozkazami i przydzielać pracę wojskową tam, gdzie

zachodzi potrzeba.

2. Mieć specjalny oddział szturmowy, bez którego nie wolno d-cy poruszać się w terenie.

D-cy poszczególnych jednostek AL położą duży nacisk w celu mobilizacji kadr już częściowo przez walkę zahartowanych w garnizonach AL i powiększą w miesiącu kwietniu o 20% swe jednostki.

D-cy OK robią przygotowania do poważniejszych mobilizacji w terenie i utworzą nowe jednostki AL.

KOMENDANT OBW. AL

Mietek [Mieczysław Moczar] mjr
Otrzymują:

D-cy brygad, OK baonów,
kompanii, plutonów^[17]

Zanim ten rozkaz do nas dotarł, straciliśmy sławnego na południowej Lubelszczyźnie partyzanta „Błyskawicę”. Sławnego, bo legenda lubi bohaterów wyrastających ponad szarą przeciętność, takich jakimi byli „Grzybowski” i „Błyskawica”.

Porucznik Feliks Kozyra - partyzancki pseudonim „Błyskawica” wyjątkowo pasował do niego - pochodził ze wsi Polichna, z sąsiedniej gminy. Jako chłopak, tak zwane żywe srebro, musiał wszystkiego dotknąć, wszędzie wejść. To wszędobylstwo, ta ciekawość,

skończyły się kalectwem, gdyż majstrując ze starszym bratem przy sieczkarni stracił prawie całą dłoń. Sylwetka Felka nie byłaby pełna, gdyby nie wspomnieć o jego wielkiej pasji. Ten zdolny, inteligentny chłopak namiętnie pochłaniał książki, szczególnie podróżnicze, przygodowe, co zresztą później w leśnym życiu nieraz mu się przydało.

Było dla mnie zrozumiałe, że właśnie on nie chciał stać na uboczu, kiedy rozpoczęła się walka. Pamiętam, zgłosił się do partyzantów mając niewiele ponad siedemnaście lat. Organizując akurat grupę wypadową GL i komórkę partyjną w jego rodzinnej wiosce, Polichnie, zmuszony byłem mu odmówić

przyjęcia do oddziału, wykorzystawszy zresztą, jako pretekst, brak broni.

Patrzyłem wtedy na niego i myślałem, że taki młody... i w dodatku ta niesprawna ręka. Wydaje mi się, że doświadczony działacz z tej wioski, Michał Bieniek, nie podzielał moich oporów.

Felek nie wytrzymał długo; przy najbliższej okazji, kiedy przez Polichnę przechodziła nasza grupa partyzancka, zgłosił się, ale już ze zdobytą gdzieś bronią. Nie było mowy, żeby od swego zamysłu odstąpił. I tak niepostrzeżenie zaczął stawać się bohaterem legendy.

Już podczas pierwszej potyczki z Niemcami Felek spisał się znakomicie, chociaż wszyscy z niepokojem, a potem

już tylko z niedowierzaniem patrzyli, jak sobie poradzi ze strzelaniem. A radził sobie świetnie, strzelając zarówno zdrową lewą ręką, jak i przy pomocy jedyne go palca prawej dłoni.

Odkąd pamiętam, chodził zawsze z erkaemem. To była jedna z najcharakterystyczniejszych jego cech. Czujny, odważny do podziwu, wyróżniał się w każdej walce. Zdarzyło się kiedyś, a było to, zdaje się, po jakiejś akcji kolejowej na linii Rozwadów-Lublin, że grupa dywersyjna, w której znajdował się także Felek, została przez Niemców okrążona w niewielkim lesie koło Kraśnika, Partyzantów było wtedy tylko dwudziestu. Wytresowane psy, dopadając ich podczas prób wyjścia

z okrażenia, zamykały pierścień niemieckiej obławy.

W pewnym momencie tej beznadziejnej szarpaniny Felek wyszedł na czoło. Niemcy akurat ostrzeliwali ich z dalszej odległości, ale psy były tuż-tuż. Wtedy Felek krzyknął: „Rzucajcie czapki!”. O dziwo! Psy zatrzymały się przy czapkach, a partyzantom udało się dobiec do następnego lasu i oderwać od nieprzyjaciela. Tak więc uratowali się między innymi dlatego, że Felek trafił kiedyś w jakiejś książce na wzmiankę, że nawet najmądrzejszy pies zatrzyma się, gdy mu się coś rzuci pod nogi.

Ta historia miała miejsce wówczas, kiedy Kozyra dawał się dopiero poznać.

Obserwowaliśmy jego spryt i odwagę zarówno w czasie akcji dywersyjnych, jak i w potyczkach, i pod Gizówką, i pod Kochanami, i w rodzinnej Polichnie. Wkrótce Felek został dowódcą drużyny, a następnie plutonu w oddziale Władysława Skrzypka. Po upływie niespełna roku był już dowódcą samodzielnego oddziału specjalnego.

Kiedy Krajowa Rada Narodowa na wniosek Naczelnego Dowódcy Armii Ludowej gen. „Roli” - Michała Żymierskiego uznała Krzyż Grunwaldu za najwyższe polskie odznaczenie bojowe II wojny światowej, jako pierwsi z dniem 1 stycznia 1944 roku otrzymali go partyzanci Lubelszczyzny, a wśród nich i ci najmłodszy: kapitan

„Jastrząb”, pośmiertnie, porucznik „Błyskawica” i plutonowy „Rysiek”, szesnastoletni Ryszard Płowaś.

Każde z nazwisk wymienionych w rozkazie, przyznającym wówczas Krzyż Grunwaldu, to oddzielna historia, to symbol odwagi i woli walki. Ci młodzi, niekiedy kilkunastoletni ludzie zadziwiali swoją dojrzałością i nawet dziś po tylu latach odczuwam specjalny rodzaj dumy, że to z synów chłopskich, na naszej ziemi, w trudnych warunkach wyrastali tacy oficerowi jak na przykład „Błyskawica”.

Przeglądając niedawno pamiątki z tamtych lat po raz któryś natrafiłem na jedno, dziś już historyczne zdjęcie,

zawsze wywołujące wiele refleksji. Na oryginalnej fotografii zobaczyć można stojących od lewej strony: Tadeusza Szymańskiego, Władysława Skrzypka, Feliksa Kozyrę, a w głębi Zbigniewa Pietrzyka. Zdjęcie robiono w lutym, a w niespełna miesiąc później dwaj ludzie, tu widoczni, już nie żyli. Zresztą i rodzinę Tadeusza Szymańskiego - „Lisa”, dotknęło w tym czasie nieszczęście, gdyż 20 marca zginął zabity skrytobójczo przez eneszetowców Stefan Szymański - „Kruk”. A potem już co kilka dni musieliśmy rozstawać się ze współtowarzyszami lub ludźmi, w których mieliśmy oparcie. Uświadomiłem sobie obecnie, że życie nie szczydziło nam w owym czasie

wrażień, aż żal, że były one tak tragiczne dla tych, którzy ginęli, dla ich rodzin i dla nas, ich współtowarzyszy.

Już następnego dnia po śmierci „Grzybowskiego” z rąk NSZ zginęli czterej życzliwi nam chłopci z Potoka. Robiliśmy więc wszystko, aby nieszczęściom zapobiec. W drugiej dekadzie marca podjęliśmy starania o doprowadzenie do skutku spotkania dowództw Armii Krajowej i Armii Ludowej na naszym terenie w celu ustalenia kroków zmierzających do ukrócenia zbrodniczych poczynań NSZ. Do konferencji doszło 25 marca 1944 roku. Już wtedy przedstawiciele AK stwierdzili, że wydali NSZ rozkaz opuszczenia terenów powiatu

kraśnickiego. Obiecując nawet czynne wystąpienia w przypadku nierespektowania swoich rozkazów, komenda AK niby dość wyraźnie odcinała się od „Znicza”, „Zęba”, „Cichego” i innych, chociaż, jak wiadomo, w wyniku umowy scaleniowej część NSZ znalazła się w szeregach AK.

Pamiętam, że wykorzystywaliśmy wszystkie możliwe szanse, żeby nie dopuścić do rozlewu krwi. Nie mieliśmy jednak zbyt dużych złudzeń co do efektów wspomnianej konferencji. Przypuszczenia nasze okazały się trafne, ale smutna to była racja, gdyż, jak już wspomniałem, bilans zbrodni nie został zamknięty. Już po śmierci

„Grzybowskiego” 14 kwietnia
zostaliśmy zaalarmowani wiadomością
o pastwieniu się oprawców z NSZ nad
naszymi rannymi oraz mieszkańcami wsi
Węglinek i Wola Trzydnicka. Na
odsiecz na czele niewielkiej grupy ludzi
- inne oddziały były w dość odległym
terenie - pojechał por. „Błyskawica”.
Banda NSZ „Cichego”, przynajmniej
dziewięciokrotnie silniejsza, urządziła
na skraju Węglinka zasadzkę.
Gwardziści zaciekle walcząc
wycofywali się w stronę Woli
Trzydnickiej. Dwukrotnie ranny
w czasie walki „Błyskawica” wpadł
w ręce bandytów. Rozpoznany przez
eneszetowców staje się ofiarą ich
bestialstwa. Zmasakrowane zwłoki

„Błyskawicy” i pięciu innych partyzantów przywieziono do Rzeczcicy, gdzie wieczorem na drugi dzień odbył się pogrzeb zamordowanych. Rozpacz była tak powszechna i wstrząsająca, że pogrzeb ten zapamiętam na zawsze. Jeszcze dziś odczuwam, z jakim trudem przyszło mi wydobywać słowa pożegnania, przemawiając nad zwłokami współtowarzyszy. Na domiar żalu pamiętaliśmy, że tak niedawno „Błyskawica” utracił brata, kilkunastoletniego zaledwie Bronka, zabitego przez tych samych ludzi.

Te wszystkie przypadki zbrodni spotykały się z ogólnym potępieniem. Specjalnie wyczulona na te sprawy konspiracyjna Wojewódzka Rada

Narodowa ostro występowała przeciw przejawom walk bratobójczych, a nasza prasa wstrząsającymi słowami ukazywała sytuację, nawołując do skierowania wszystkich sił do walki z okupantem. Po serii aktów terroru ze strony NSZ w tygodniku informacyjnym Komitetu Okręgowego Polskiej Partii Robotniczej „Ostatnie Wiadomości”, redagowanym m. in. przez „Alego” i „Polę”, w numerze 5 z dnia 30 kwietnia opublikowaliśmy artykuł: „Czym są Narodowe Siły Zbrojne”, ukazujący nie po raz pierwszy antynarodową działalność tej organizacji. Natomiast w „Żołnierzu Lubelszczyzny”, organie sztabu Obwodu II Armii Ludowej, umieściliśmy jeden z wielu artykułów

poświęconych „Błyskawicy” pt.
„Śmierć Sokoła Lubelszczyzny”
w części chyba oddający mir, jakim
cieszył się ten dzielny partyzant.
Pozwolę sobie w skrócie przytoczyć
fragmenty tego pośmiertnego
wspomnienia, bo jakież słowa wierniej
mogą teraz przekazać to, co wtedy
przeżyliśmy: „»Błyskawica!« Ileż uczuć
i wrażeń poruszało serca chłopskie na
Lubelszczyźnie, gdy słyszeli to słowo -
Błyskawica, lub ujrzeli miłą postać tego
młodzieńca o ciemnych żywych oczach,
energicznej twarzy - śmiałego oficera,
którego pierś zdobił już Krzyż
Grunwaldu, otrzymany za bojowe
zasługi w walce z Niemcami [...] Kochała go wieś, z zachwytem patrzyli

nań i jego oddział Polacy. Był pierwszym w boju z Niemcami, nie znał co to strach lub trwoga, w bój szedł jak do tańca, na czele oddziału, z uśmiechem i pieśnią na ustach. Dla Niemców postrachem był, wpadał jak wichur na wroga, a za przykładem takiego dowódcy oddział zwycięskie staczał boje [...] Nie mogli go zabić Niemcy, wieś każda strzegła swego ulubieńca-bohatera... Nie dosięgły go kule niemieckie, tej straszliwej zbrodni dokonali Polacy, którzy jeszcze po śmierci znęcali się nad nim, rozbijając czaszkę, wybijali mózg, szarpali, miażdżyli pierś jego na strzepy [...] Zbrodni tej NIGDY NIE ZAPOMNI Naród Polski katom z NSZ: »Zębowski«,

»Cichemu«, »Zniczowi« i innym».

Dziś, w trzydzieści kilka lat po tamtych tragicznych wydarzeniach, można oglądać mogiły „Grzybowskiego” i Kozyry na cmentarzu w Rzeczycy Ziemiańskiej, gdzie pochowani zostali obok innych poległych partyzantów. Młodzież szkolna troskliwie opiekuje się nimi, ucząc się na przykładzie czynów „Grzybowskiego” i „Błyskawicy” patriotyzmu.

Jeszcze chyba w tym samym tygodniu, kiedy zginął „Błyskawica”, oddziałowi, którym dowodził, nadaliśmy jego imię. Dowództwo nad nim przejął wychowanek Kozyry, jego zastępca, por. Zbigniew Pietrzyk - „Zbyszek” z

Liśnika, któremu eneszetowcy również zamordowali brata, Antoniego Pietrzyka - „Tolka”.

Odziedziczywszy oddział, „Zbyszek” odziedziczył także słynny erkaem „Błyskawicy”. Nie pozwoliliśmy mu jednak zabrać kapitańskiego płaszcza ułańskiego. Na sprawę tę zwrócił uwagę „Ali”, który uświadomił nam dramatyczną prawidłowość faktów związanych z owym płaszczem. Nie wiem, skąd on się wziął, ale najpierw chodził w nim „Jastrząb”. W bitwie pod Kochanami miał go na sobie, gdyż okrywałem nim rannego, w naprędce przygotowanej kryjówce. Po śmierci „Jastrzębia” właścicielem płaszcza stał się „Grzybowski”, a później przejął go

„Błyskawica”, mający płaszcz przy sobie w dniu śmierci, gdyż przywieziono go na wozie razem ze zwłokami. Tak więc erkaem „Zbyszek” dostał, ale płaszcz nie daliśmy. Nawet nie wiem, co się z nim stało...

Spadkobierca „Błyskawicy”, Zbyszek Pietrzyk, człowiek silnej konstytucji fizycznej, odważny, z talentem, szybko potwierdził słusność decyzji o mianowaniu go dowódcą oddziału, który nadal służył z bojowością, a jego partyzanci, walcząc później w szeregach Wojska Polskiego, dzielnie stawiali w obronie ojczyzny. Niektórzy ofiarowali jej swoje życie, jak na przykład ich dowódca Zbigniew Pietrzyk, który zginął na Pradze,

wyzwalając Warszawę.

Czas wielkich zmian

Rok 1944 stał się symbolem, w którym zawarła się istota najnowszej historii Polski.

Nadejście wielkiej wagi wydarzeń zwiastował już rok 1943, kiedy nastąpiło przesilenie w losach wojny. W potężnych operacjach wojskowych Armia Radziecka jesienią 1943 roku wyzwoliła lewobrzeżną Ukrainę i rozpoczynając wyzwalanie Białorusi i dalszej części Ukrainy przejęła inicjatywę strategiczną, wpływając decydująco na zwycięskie zakończenie II

wojny światowej.

Zmienił się również układ alianckich sił zbrojnych na tyle, że po kapitulacji wojsk niemiecko-włoskich w Afryce Północnej wojska państw sprzymierzonych rozpoczęły w lipcu operację desantową we Włoszech, które po upadku faszystowskiego reżimu Mussoliniego wypowiedziały Niemcom wojnę.

Mimo rozbieżności w negocjacjach podczas międzynarodowych konferencji w Moskwie (19-30 października 1943 roku) i w Teheranie (28 listopada - 1 grudnia 1943 roku) udało się ustalić zasady współdziałania trzech mocarstw koalicji antyhitlerowskiej.

Echa tych wydarzeń docierały do społeczeństwa polskiego w różnej formie i naświetleniu, ale najważniejsze było to, że podjęte zostały wzmożone wysiłki na rzecz przyspieszenia batalii o zwycięstwo.

Na partyzanckim froncie walka toczyła się nadal. Coraz intensywniejsza, gdyż coraz bliżej znajdował się wróg wypierany przez Armię Radziecką. Obok niej w jesiennym przeciwnatarciu wzięła udział 1 Dywizja Piechoty im. T. Kościuszki. Powtórnie organizowane w ZSRR, tym razem z inicjatywy Związku Patriotów Polskich, wojsko polskie zaznaczyło swoją obecność bardzo mocno, kończąc swe boje szturmem Berlina.

Walka na bezpośrednim zapleczu frontu dyktowała nam konkretne posunięcia taktyczne, zsynchronizowane z operacjami strategicznymi, rozgrywającymi się na rozległym obszarze działań wojennych. Tylko wtedy nasze wysiłki tu, na Lubelszczyźnie, nabierały nowego sensu. Liczyło się każde przedsięwzięcie dezorganizujące gospodarkę wroga, a najbardziej ważne stawało się paraliżowanie dofrontowego ruchu wojsk i zaopatrzenia.

Dążyliśmy zwłaszcza do tego, aby wróg otrzymywał jak najmniej potrzebnego mu sprzętu, materiałów, żywności. Ściągnięte ze wsi kontyngenty - niszczyliśmy. Atakując obiekty

gospodarcze, mleczarnie, składy paliw i drzewa, tartaki, urzędy gminne i pocztowe zadawaliśmy cios gospodarce wojennej okupanta. Myślę, że niejeden schron, ziemiankę, umocnienie czy wiele kilometrów podkładów kolejowych wróg tracił dzięki partyzantom.

Na wezwanie partii staraliśmy się ogarnąć swoją pracą różnorodne dziedziny życia w okupowanym kraju. Prowadząc nieprzerwanie walkę zbrojną, musieliśmy pamiętać jednocześnie o życiu i bezpieczeństwie nie tylko ludności miejscowej, ale także o licznych rodzinach, wysiedlonych z Łódzkiego, Poznańskiego i Bydgoskiego, które znalazły się w szczególnie trudnej

sytuacji. Pomagaliśmy im jak tylko mogliśmy, dzieląc zdobyte na wrogu trofea równo i sprawiedliwie.

Dumni z szybkiego rozwoju szeregów PPR i GL nie sądziliśmy, że spotkamy się aż z tak gwałtowną reakcją obozu londyńskiego zmierzającego do zaostrenia walki politycznej. Tak się złożyło, że do połowy roku 1943 w obozie londyńskim nastąpiły poważne zmiany personalne, bardziej niż dotąd niekorzystnie wpływające na możliwość konsolidacji w walce z okupantem.

Po śmierci generała Władysława Sikorskiego na czele rządu na emigracji stanął w lipcu 1943 roku prawicowy działacz, ludowiec, Stanisław

Mikołajczyk. To taktyczne posunięcie na pewno wpłynęło na częściową neutralizację nastrojów mas chłopskich.

Istotny wpływ na całokształt sytuacji miała także zmiana na stanowisku naczelnego wodza. Piłsudczyk, opozycjonista wobec rządu Sikorskiego, szczególnie po zawarciu układu z ZSRR, generał Kazimierz Sosnkowski objął wyłączone teraz z gestii premiera stanowisko naczelnego dowódcy „sił zbrojnych w kraju”. Po aresztowaniu generała Stefana Roweckiego Sosnkowski mianował dowódcą AK Tadeusza Komorowskiego - „Bora”, związanego z endecją. Tak więc do połowy 1943 roku na prawicy głos decydujący miał drugi garnitur

polityków, którzy, uzgodniwszy stanowiska na płaszczyźnie wrogości wobec ZSRR, PPR, GL, ZPP czy tworzonego w ZSRR wojska polskiego, zwalczali nie tylko komunizm, ale wszystko, co wiązało się z ideą postępu.

Zbierając siły do walki z lewicą obóz londyński dążył do scalenia podległych sobie organizacji wojskowych, a trzonem „sił zbrojnych w kraju” miała być Armia Krajowa. Zawarłszy umowę z SL, AK podporządkowała sobie BCh. „Bór” zaczął forsować następnie sprawę włączenia NSZ do AK, aprobując w ten sposób ich skrajnie terrorystyczne tendencje, zwłaszcza wobec PPR i GL.

O tych sprawach wiedzieliśmy i my,

i bechowcy. Może inaczej je
wyrażaliśmy, ale wiedzieliśmy.
Przypomnę, że gdzieś do połowy 1943
roku zakończone zostało scalanie AK z
NOW, wywodzącą się z tego samego
pnia co NSZ - ze Stronnictwa
Narodowego. Odkąd przedstawiciele
NOW weszli w skład komend AK
sytuacja zdecydowanie pogorszyła się,
gdyż ani NSZ, ani NOW w walce
z lewicą nie przebierały w środkach.
Tak więc i my mieliśmy perypetie
z oddziałem NOW „Ojca Jana”, który
miał bazę w rejonie Krzeszowa i został
podporządkowany AK. Dla przykładu
podam, że również w powiecie
lubartowskim zanotowaliśmy drastyczne
przykłady zaostżenia się wystąpień

przeciw lewicy po włączeniu NOW do AK. Ale najostrzejszym wyrazem wzmagającej się walki z lewicą było wspomniane już wymordowanie pod Borowem oddziału GL, dowodzonego przez Stefana Skrzypka - „Słowika”.

Oczywiście, nie należy sądzić, że nastąpiła wówczas, w połowie 1943 roku, całkowita konsolidacja obozu londyńskiego. Tak nie było. Istniały siły przeciwdziałające zamierzeniom prawicy, nawet w kierownictwach ugrupowań obozu londyńskiego. I to nie tylko w radykalnym skrzydle, ale także w centrum wachlarza rządowego. Najważniejszy był jednak bunt szeregowych ludowców, wrogo nastawionych zwłaszcza do sanacji,

szukających modelu Polski innej niż przedwrześniowa, odżegnujących się od niej, chcących państwa demokratycznego. Na znalezieniu własnych dróg zależało również części pepesowców; niektórzy od początku powstania PPR współpracowali z nami.

Te siły odśrodkowe, powstałe w wyniku radykalizacji poglądów społeczeństwa, sprawiły, że kiedy PPR jesienią 1943 roku wystąpiła z inicjatywą utworzenia Krajowej Rady Narodowej w obozie londyńskim nie było już lewicowych socjalistów i ludowców.

W takiej sytuacji w noc sylwestrową z 31 grudnia 1943 na 1 stycznia 1944 roku odbyło się pierwsze plenarne

posiedzenie Krajowej Rady Narodowej, której przewodniczącym został Bolesław Bierut. W uroczystej deklaracji GL zgłosiła wówczas akces do KRN. Okazało się, że osiągnięcia bojowe zbrojnej siły PPR stanowią cenny wkład w tworzenie ludowo-demokratycznego frontu. We wspomnianej deklaracji, odczytanej zresztą w komórkach partyjnych i oddziałach bojowych, znalazły się ważne słowa:

Dowództwo Główne Gwardii Ludowej oświadcza uroczyście: W obliczu przełomowych chwil w dziejach świata, świadomi odpowiedzialności za losy narodu,

która ciąży na każdym Polaku, zgłaszamy przystąpienie organizacji wojskowej, Gwardia Ludowa, do Krajowej Rady Narodowej, aby pod jej kierownictwem nadal walczyć o wolność i niepodległość Polski.

Witamy powstanie Krajowej Rady Narodowej jako jedynej demokratycznej przedstawicielki narodu, która jednoczy wszystkie jego siły i jest dla walczących żołnierzy wyrazem ścisłego powiązania narodu z jego walczącymi z okupantem siłami zbrojnymi.

Organizacja nasza powstała do walki z zaborcą i walce

zawdzięcza swą siłę ^[18].

Deklaracja KRN, oparta na założeniach programowych PPR, nie była dla nas obca, wymagała jednak wzmożonej pracy nad skupieniem w ludowo-demokratycznym froncie działaczy postępowych i oddawaniem władzy, reprezentowanej przez konspiracyjne rady narodowe, w dobre ręce.

Na wspomnianym plenarnym posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej gen. Michał Żymierski - „Rola”, dotychczasowy doradca wojskowy Sztabu Głównego GL, mianowany wówczas Naczelnym Dowódcą Armii Ludowej, przedstawił z upoważnienia

Polskiej Partii Robotniczej zadania i organizację AL. Szefem Sztabu Głównego AL został generał Franciszek Jóźwiak - „Witold”, były kapepowiec, współtwórca PPR, GL, dotychczasowy szef Sztabu Głównego Gwardii Ludowej.

Armię Ludową tworzyliśmy w oparciu o wszystkie organizacje reprezentowane w KRN. Jej celem było kontynuowanie walki z okupantem do zwycięstwa i batalia o nową Polskę - demokratyczną i sprawiedliwą.

Dowództwo Główne AL ze szczególną troską traktowało sprawę tworzenia korpusu oficerskiego w nowej armii. Zakładano, że bramy szkół oficerskich

powinny być szeroko otwarte dla tych, którzy wyróżniają się w walce o nową Polskę, dla synów robotników i chłopów.

Sprawa tworzenia rad narodowych i Armii Ludowej znajdowała się cały czas w centrum zainteresowań partii. Na każdym posiedzeniu KC PPR, towarzysz „Witold” składał informacje, dotyczące zresztą nie tylko AL i działań partyzanckich w kraju, ale i ogólnej sytuacji na frontach.

Przystępując do reorganizacji, działaliśmy w oparciu o wydaną przez dowództwo instrukcję pt. *Organizacja Armii Ludowej* oraz *Regulamin wewnętrzny Armii Ludowej*.

Otrzymaliśmy te podstawowe dokumenty wraz z pierwszym, zresztą tajnym, rozkazem Dowództwa Głównego Armii Ludowej z 15 stycznia 1944 roku:

1. Z dniem dzisiejszym objąłem obowiązki Naczelnego Dowódcy Armii Ludowej.

2. Obowiązki Szefa Sztabu Głównego Armii Ludowej objął ob. „Witold” [Franciszek Józwiak],

3. Równocześnie z niniejszym rozkazem przesyła się, jedynie do użytku służbowego dowództw obwodów, brygad, okręgów i batalionów:

a) Organizację Armii Ludowej,

b) Regulamin organizacyjny Armii Ludowej zatwierdzone przez Dowództwo Główne AL.

Wszystkie dowództwa winny wprowadzać natychmiast w życie i stosować zasady organizacyjne, zawarte w Organizacji i Regulaminie organizacyjnym AL.

Wszystkie dowództwa dopilnują, aby oba te egzemplarze były tak przechowywane, by w razie przeniesienia dowódcy na inne stanowisko służbowe lub padnięcia na posterunku w walce z okupantem samego dowódcy, następcą jego mógł dokładnie zapoznać się z Organizacją i Regulaminem organizacyjnym AL.

4. Przesyła się Regulamin wewnętrzny AL, który w najbliższym czasie będzie wydrukowany i rozesłany w większych ilościach.

Dowództwa dopilnują, by każda sekcja AL miała do swojej dyspozycji co najmniej 1 egzemplarz Regulaminu wewnętrznego AL.

Każde dowództwo, a przede wszystkim oficerowie propagandy przeprowadzą specjalne pogadanki celem wyjaśnienia każdego rozdziału Regulaminu wewnętrznego.

Każdy żołnierz AL winien znać Regulamin wewnętrzny, gdyż na

nim opierać się będzie rozrost, siła moralna i potęga wojskowa Armii Ludowej.

NACZELNY DOWÓDCA AL Rola [Michał Żymierski]

W myśl wspomnianych dokumentów staliśmy się Obwodem II AL, złożonym z trzech okręgów: lubelskiego (4), janowskiego (5), siedleckiego (6). Tak było na początku, bowiem później okręg siedlecki od nas odłączono. Członkowie kierownictwa obwodowego PPR i AL, ze względu na bezpieczeństwo, nie mogli być skupieni. Zajmowali się więc powierzonymi im sprawami na wyznaczonych terenach.

Ponieważ okręg 5 (janowski) obejmował bardzo rozległy teren, efektywna działalność w warunkach konspiracyjnych była w nim znacznie utrudniona. Dlatego w marcu 1944 roku wyodrębniono podokręg 1, obejmujący powiaty: chełmski, hrubieszowski, wschodnią część krasnostawskiego, tomaszowski i zamojski. Podokręg podlegał kierownictwu PPR i AL w okręgu 5, a sekretarzem był w nim Konstanty Krasowski - „Wujo”, natomiast dowódcą AL Józef Małysz - „Marek”. Na terenie podokręgu i jego pograniczu, w zachodniej części powiatu krasnostawskiego, mieliśmy w 1944 roku kilka oddziałów: Bronisława Bazyla - „Księdza”, Jana Błażejczyka -

„Pilota”, Gustawa Króla - „Cygana”, Edwarda Opałki - „Edmunda”, Konstantego Mastalerza - „Starego”. Ten stan uzupełniały aktywne i dość silne garnizony AL.

Te wszystkie zmiany organizacyjne ułatwiły znacznie pracę, nadając jej kierunek i umożliwiając koordynację poczynań. Również opracowane przez Dowództwo Główne zasady organizacji AL wprowadzano w życie, ale nie wszystkie zalecenia udało się do końca zrealizować. Nie mieliśmy między innymi zorganizowanych jednostek żeńskich AL, tworzonych na wzór innych oddziałów, a mających zajmować się służbą sanitarną, kurierską, łączności, zaopatrzenia itd. Oczywiście te

obowiązki powierzano kobietom, ale organizacyjnie nie udało się dopiąć sprawy. Niejako na marginesie chcę podkreślić, że mimo różnych trudności poziom militarny sił zbrojnych lewicy wzrósł. Jakkolwiek nie obowiązywał w nich cenzus oficerski, to kadra, zdobywając szlify w walce, stała na wysokim poziomie. Niemalą rangę nadawało jej zdobyte w bojach doświadczenie, bohaterstwo i, nade wszystko, umiłowanie ojczyzny.

Ogromną wagę przywiązywaliśmy do tworzenia dobrego klimatu dla pracy konspiracyjnych rad narodowych, a przede wszystkim dla współdziałania w nich przedstawicieli PPR, AL, SL, GL, BCh, RPPS, działaczy

spółdzielczości, nauczycielstwa i tych wszystkich, którzy chcieli wspólnie walczyć z okupantem i tworzyć podwaliny Polski Ludowej.

Kiedy na rozkaz Dowództwa Głównego AL zaczęliśmy reorganizować oddziały polowe, tworząc brygady, dowództwo Obwodu II, na czele którego stał wówczas Mieczysław Moczar - „Mietek”, przystąpiło do pracy nad powołaniem na południowej Lubelszczyźnie 1 Brygady AL im. Ziemi Lubelskiej. Brygada mogła powstać, gdyż warunkiem jej utworzenia było istnienie co najmniej trzech oddziałów polowych. Dowódcą brygady rozkazem z 4 lutego 1944 roku mianowano kpt. Władysława Skrzypka -

„Grzybowskiego”, a szefem sztabu Andrzeja Flisa - „Maksyma”. Początkowo brygada składała się z trzech oddziałów, zwanych wówczas batalionami, a od czerwca 1944 roku kompaniami. Od marca trzon nowo utworzonej jednostki AL stanowiły bataliony pod dowództwem: Ignacego Borkowskiego - „Wicka”, Edwarda Gronczewskiego - „Przepiórki”, Bolesława Kowalskiego - „Cienia”, Feliksa Kozyry - „Błyskawicy”, Aleksandra Szymańskiego - „Bogdana” i oddział im. Karola Lemiszewskiego pod dowództwem Siemiona Czikowani - „Kazika Gruzina”.

Każdy z batalionów miał przydzielony teren operacyjny i podlegał dowództwu

brygady, ta z kolei dowództwu Obwodu II. Dowództwu okręgowemu podlegały oddziały istniejące poza brygadą i garnizony AL. Na czele interesujących nas okręgów stali wówczas: por. Franciszek Woliński - „Franek” (okręg 4) i por. Tadeusz Szymański - „Lis” (okręg 5).

Na początku, w lutym, brygada miała około 200 ludzi, ale z miesiąca na miesiąc jej stan wzrastał, aby w końcowym okresie, w lipcu, liczyć ponad 1000 partyzantów.

Po śmierci „Grzybowskiego” brygadą krótko dowodził Andrzej Flis - „Maksym”. Ranny w walce z Niemcami w połowie maja, we wsi Momoty,

zostaje wysłany na leczenie do ZSRR, a dowództwo przejmuje wtedy Ignacy Borkowski - „Wicek”.

W czasie intensywnej rozbudowy AL na płaszczyźnie KRN do 1 Brygady im. Ziemi Lubelskiej wszedł bechowski oddział im. Bartosza Głowackiego, współpracujący jeszcze z GL. Terenem operacyjnym batalionu, którym dowodził Paweł Niewinny - „Bartosz”, był powiat lubelski. W skład 1 Brygady wszedł także oddział Straży Chłopskiej pod dowództwem Juliana Kaczmarczyka - „Lipy”, szefa sztabu brygady od maja 1944 roku, operujący na pograniczu Rzeszowskiego i Lubelskiego, w rejonie Jarocina.

Oba te oddziały, jak również cała brygada, zostały dozbrojone ze zrzutów, co w bardzo poważnym stopniu wpłynęło na wzrost i bojowość szeregów AL. W czerwcu i lipcu trzeba było tworzyć nowe oddziały, dowodzone przez doświadczonych jeszcze w bojach GL partyzantów: Ludwika Paszkowskiego - „Lutka”, Ryszarda Płowasia - „Małego Ryśka”, Krzysztofa Mroza - „Krzyśka”, Henryka Szymańskiego - „Heńka Lubelaka”, Czesława Olszewskiego - „Zająca”, Jana Owczarza - „Marynarza”.

Równolegle z wysiłkami zmierzającymi do podnoszenia poziomu bojowego dowódcy wszystkich szczebli mieli obowiązek brać udział

w przedsięwzięciach związanych z tworzeniem rad narodowych. Utrzymywaniu powstałych dawniej i okrzepłych we wspólnym działaniu więzi towarzyszyły dorywcze, pod wpływem nagłej potrzeby prowadzone akcje, spotkania, w czasie których dochodziło często do wzajemnego zrozumienia, do tworzenia sprzyjającego klimatu. Obserwowałem, jak często ludzie, których do niedawna jeszcze niewiele łączyło, zaczęli jakoś serdeczniej troszczyć się o sprawy ich jednoczące. Zabiegali o rzeczy, które uznali za godne przeprowadzenia. Najczęściej wyrazem tych porozumień były akcje zbrojne, uzgadniane wspólnie w myśl uroczystych deklaracji czy też

normalnych roboczych umów. W miarę rozrastania się jednostek AL różnymi sposobami dążyliśmy do budowania głębszego poczucia wspólnoty wśród żołnierzy. Wspomniałem już o roli, jaką odegrały tradycje wolnościowe, narodowe i kultywowanie ideałów, osiągnięć mas robotniczych i chłopskich w ich walce o wyzwolenie narodowe i społeczne. Wyrazem pogłębiającej się identyfikacji żołnierzy AL z ich jednostkami były nie tylko sztandary, odznaki, piosenki, ale też wyniki zbiórek pieniędzy przeznaczonych na rady narodowe czy AL. Często rezultaty tych akcji przekraczały wszelkie oczekiwania, świadczące o ofiarności społeczeństwa i zrozumieniu celów,

o które walczyliśmy.

Szczególnie energicznie włączyła się do prac polityczno-propagandowych Wojewódzka Rada Narodowa, skupiająca wokół siebie oddanych działaczy, którzy wykonali ogromną robotę polityczną i organizatorską. Aby oddać tylko część należnego im szacunku, trzeba wymienić choćby: Ludwika Czugałę, Annę Gadzalanę, Adelę Gadzińską, Bronisławę Czarnotę, Pawła Dąbka, Bolesława Pawłowskiego, Mariana Czerwińskiego, Bolesława Kwiatka, Szymona Bonata, Franciszka Ojaka.

Chcę zwrócić jeszcze uwagę na dość znaczący fakt. Otóż oddziaływanie

konspiracyjnych rad narodowych i AL było wzajemne, a współpraca bardzo ścisła. Taka atmosfera sprzyjała utrzymaniu wysokiego poziomu politycznego i moralnego, nie mówiąc już o poświęceniu i bojowości. I tu znów istotna rzecz, która ciągle powraca w tych moich refleksjach - sprawa wszechstronnego bezpieczeństwa ludności, nadal, może jeszcze wnikliwiej, brana pod uwagę po powstaniu rad narodowych.

Dążąc do możliwie całkowitego, choć skrótowego z konieczności przedstawienia zmian, które nastąpiły w początkach 1944 roku, powinienem podkreślić, że również w północnej Lubelszczyźnie przystąpiono do

tworzenia dużej jednostki partyzanckiej na gruncie istniejącego tam baonu im. Jana Hołoda. Pragnąłbym tu wspomnieć, że Hołód - „Kirpiczny”, kapecowiec, był współorganizatorem PPR i oddziałów Gwardii Ludowej. Już w 1941 roku na terenie powiatu włodawskiego zorganizował oddział partyzancki im. A. Mickiewicza, który w 1942 roku oddał do dyspozycji PPR i GL. Czynny działacz partyjny i wojskowy, wchodzi w skład władz obwodu. Po jego śmierci (poległ w walce z Niemcami 6 stycznia 1944 roku w rejonie Ostrowa Lubelskiego, a baon otrzymał jego imię) dowódcą oddziału został Aleksander Skotnicki - „Zemsta”, a potem Zbigniew Stępka -

„Mara”, który przeszedł do AL z AK w 1944 roku wraz ze swoim oddziałem. W maju, na rozkaz dowódcy Obwodu II, Mieczysława Moczara, przystąpiono do organizacji brygady, która nie została sformowana, gdyż w trakcie zmiany terenu operacyjnego, między innymi i dla batalionu im. Hołoda, po bitwie pod Rąblowem oddział rozdzielił się. Przed wymarszem z lasów parczewskich liczył około 600 ludzi w 5 kompaniach. Zadanie utworzenia brygady otrzymał ponownie tuż przed wyzwoleniem Zbigniew Stępka - „Mara”. Mimo że koncepcja sformowania brygady nie została zrealizowana, to lasy parczewskie, mające oddziały połowę w sile około 1000 ludzi stanowiły wraz

z garnizonami AL i BCh bardzo prężny ośrodek partyzancki i, co ważne, opowiadający się po stronie lewicy. Niemcy w wielokrotnych obławach dążyli za wszelką cenę do zniszczenia tej silnej bazy partyzanckiej.

Do wspomnianych wielkich jednostek AL dołączyła na wiosnę 1944 roku działająca dotąd na terenach zabużańskich brygada im. W. Wasilewskiej. W jej skład wchodziły dwa oddziały: im. T. Kościuszki i J. Dąbrowskiego, liczące w sumie około 400 ludzi.

Brygada ta, którą dowodził kpt. Stanisław Szelest, wspólnie z wymienionymi wielkimi jednostkami

AL, działała na terenie Lubelszczyzny w myśl wytycznych Dowództwa Głównego Armii Ludowej.

Tak więc od początku 1944 roku zadania nasze były skryształizowane i mimo braku broni mogliśmy, jako dowództwo Obwodu II, uznać, że robota idzie naprzód. Na pierwszym posiedzeniu KRN, jak wiadomo, wystąpiono z apelem do aliantów o pomoc w dostawach broni. Póki co, radziliśmy sobie, jak dotąd, wykorzystując niezawodny sposób dozbrojenia - na wrogu. Całe szczęście, że zarówno oddziały AL, jak i garnizony, nauczone doświadczeniem, umiały oszczędzać amunicję i broń. Dobrze, że jakoś mogliśmy wszystkie te względy tak

pogodzić, aby efekty walki były oczywiste. W czasie wiosennej partyzanckiej ofensywy 1944 roku udało się doprowadzić do prawie całkowitego krachu gospodarki wojennej w dystrykcie lubelskim i poważnych trudności militarnych.

O powadze sytuacji wynikłej z utworzenia na zapleczu frontu rozległego teatru działań partyzantów radzieckich i polskich - rozciągającego się, ogólnie mówiąc, od zachodniej Ukrainy do Wisły - świadczą wypowiedzi przedstawicieli władz hitlerowskich, zmuszonych do podjęcia w najbliższym czasie ważkich decyzji, zmierzających do zdławienia ruchu partyzanckiego.

Zręby nowego

Jednym z najważniejszych zadań, jakie stanęły przed nami u progu 1944 roku, było powołanie do życia terenowych rad narodowych, w których skład mieli wchodzić przedstawiciele wszystkich ugrupowań politycznych i organizacji stojących na gruncie reform demokratycznych i czynnej walki z okupantem. Dla naszego aktywu niełatwe to było zadanie, wymagające innych umiejętności niż cała dotychczasowa działalność konspiracyjna okresu okupacji.

Trzeba było zdawać teraz nie lada

egzamin ze sztuki tworzenia zrębów przyszłej Polski Ludowej.

Przystępując do organizowania terenowych rad narodowych, trzeba było wykazać wiele rozsądku, znajomości rzeczy i - co równie ważne - taktu szczególnie w rozmowach z tymi kandydatami do rad, którzy rekrutowali się spoza kręgu PPR - AL, z różnych innych ugrupowań politycznych i społecznych. Potrzebną tu była również dobra znajomość zarówno programów poszczególnych organizacji, jak i samych ludzi, którzy kandydowali do terenowych rad narodowych.

„Ali” problemowi rad narodowych przypisywał szczególną wagę,

podkreślając przy wielu różnych okazjach, że od ludzi zajmujących się ich organizacją wymaga się odpowiedniego przygotowania, zwłaszcza większego doświadczenia w pracy społeczno-politycznej. Ten postulat „Alego” przyjęto jako zasadę w realizacji nowych zadań. Toteż do rad narodowych mieli wchodzić ludzie o wysokim wyrobieniu społecznym i politycznym, znani w swoich środowiskach organizacyjnych i szanowani wśród społeczeństwa.

Na temat powołania podziemnego przedstawicielstwa władzy ludowej na Lubelszczyźnie „Ali” odbył szereg narad z przedstawicielami komitetu obwodowego PPR i obwodowego

dowództwa AL. W wyniku tych narad w połowie lutego 1944 roku w Rudce Kijańskiej na pograniczu lasów parczewskich doszło do spotkania grupy aktywu PPR, SL-ROCh, AL i BCh, Związku Nauczycielstwa Polskiego, Związku Zawodowego Pracowników Umysłowych oraz działaczy spółdzielczych. W tejże Rudce Kijańskiej w dniu 18 lutego w mieszkaniu Ignacego Kasperczuka odbyło się kolejne zebranie, którego uczestnicy zwracali uwagę na potrzebę skoordynowanego, wspólnego wysiłku w walce z okupantem oraz na konieczność tworzenia frontu narodowego w celu zjednania możliwie największej liczby ludzi dla sprawy

rozgromienia faszyzmu niemieckiego i przeprowadzenia - w oparciu o współpracę ze Związkiem Radzieckim - pełnych reform społecznych po wyzwoleniu kraju.

Na zebraniu tym powołano do życia pierwszy załączek konspiracyjnej wojewódzkiej rady narodowej. W jej skład weszli następujący działacze: Anna Gadzałanka - „Halina” (SL - ROCh), Zygmunt Goławski - „Leon” (BCh), Ludwik Czugała - „Równy” (Związek Nauczycielstwa Polskiego), Bolesław Kwiatek - „Lech” (PPR), Kazimierz Sidor - „Kazik” (GL), Bronisława Czarnota - „Sława” (spółdzielczość), Bolesław Pawłowski - „Profesor”, Marian Czerwiński -

„Marian” oraz Wacław Bonat - „Szymon”.

Prezydium rady ukonstytuowało się następująco: Kazimierz Sidor - „Kazik” (przewodniczący wojewódzkiej rady narodowej), Bronisława Czarnota - „Sława” (sekretarz), Anna Gadzałanka - „Halina” (kierownik wydziału prasowego), Zygmunt Goławski - „Leon” (zastępca przewodniczącego) i Ludwik Czugała - „Równy”.

Na posiedzeniu został opracowany również plan pracy wojewódzkiej rady narodowej, w którym położono wielki nacisk zwłaszcza na pilną potrzebę organizowania powiatowych, miejskich i gminnych rad narodowych oraz

wydania odezwy wojewódzkiej rady narodowej. Powołano również do życia wydział prasowy, który miał przystąpić do wydawania organu prasowego wojewódzkiej rady narodowej. Jego kierownik, Anna Gadzalanka - „Halina”, była bardzo aktywną działaczką ruchu ludowego na Lubelszczyźnie, jedną z pierwszych inicjatorek ścisłej współpracy Stronnictwa Ludowego z Polską Partią Robotniczą i wspólnej walki Batalionów Chłopskich z Gwardią Ludową.

Oprócz wyżej wymienionych osób do konspiracyjnej wojewódzkiej rady narodowej dokooptowano Jana Sławińskiego - „Tyfusa”, znanego działacza politycznego i rewolucjonistę

z wojny hiszpańskiej, Pawła Dąbka - byłego więźnia Majdanka, Pawła Biernata - radykalnego chłopca z powiatu lubelskiego, Franciszka Ojaka - „Krzemienia”, znanego w powiatach biłgorajskim i kraśnickim lewicowego działacza Związku Nauczycielstwa Polskiego, Adelę Gadzińską - „Martę”, nauczycielkę z Potoka, działaczkę społeczną i utalentowaną publicystkę, autorkę wielu artykułów, zamieszczonych w naszej konspiracyjnej prasie, oraz Władysława Zdunka.

Na pierwszym posiedzeniu konspiracyjnej wojewódzkiej rady narodowej uchwalono deklarację następującej treści:

Zbroczona krwią Narodu Polskiego
i zdeptana przez zbrodniczego
okupanta hitlerowskiego Ziemia
Lubelska z radością wita powstanie
Krajowej Rady Narodowej
i inicjatywę tworzenia takichże rad
terenowych, złożonych
z przedstawicieli organizacji
demokratycznych.

Zebrani na plenarnym posiedzeniu
Wojewódzkiej Rady Narodowej
przedstawiciele Stronnictwa
Ludowego, Batalionów
Chłopskich, Związku
Nauczycielstwa Polskiego,
Związku Pracowników
Umysłowych, Spółdzielczości,
Polskiej Partii Robotniczej,

Gwardii Ludowej, Związków Zawodowych - postanawiają wszystkie swe siły wyteńczyć w celu zjednoczenia społeczeństwa polskiego Lubelszczyzny do walki z barbarzyńskim najeźdźcą niemieckim.

Przedstawiciele wymienionych organizacji wzywają wszystkie warstwy i ugrupowania społeczne i polityczne do podjęcia wspólnej walki, aż do ostatecznego zwycięstwa.

Członkowie Wojewódzkiej Rady Narodowej Ziemi Lubelskiej potępiają haniebną akcję wszczynania walk bratobójczych, inspirowanych przez reakcję

i niektóre czynniki wsteczne z Armii Krajowej.

Członkowie Wojewódzkiej Rady Narodowej uważają za słuszny stosunek do zagadnień polityki zagranicznej i społecznej podjętej i prowadzonej przez Krajową Radę Narodową.

Wojewódzka Rada Narodowa ze względu na wyjątkową sytuację Lubelszczyzny apeluje do Krajowej Rady Narodowej o zwrócenie się do państw sprzymierzonych o pomoc w broni, co ułatwi nam prowadzenie skutecznej walki z okupantem.

Wojewódzka Rada Narodowa podkreśla, że dla przyszłej Polski

nie ma innej drogi rozwojowej poza drogą demokracji.

Zebrani na plenarnym posiedzeniu Wojewódzkiej Rady Narodowej postanawiają dołożyć wszelkich starań, nie żałując trudu i szczerych wysiłków, by zorganizować wszystkie siły Narodu do wyzwolenia Wolnej, Suwerennej, Niepodległej Polski Ludowej.

Wojewódzka Rada Narodowa

Wydawana przez wojewódzką radę narodową prasa zaczęła wychodzić dość często. Niemąla to zasługa Aleksandra Szymańskiego - „Alego”, który poświęcił jej wiele czasu i całą swoją

wiedzę fachową. Uważano go też za najwyższy w tej dziedzinie autorytet. Do niego zwracali się wszyscy piszący z prośbą o radę i akceptację tego, co zamierzali napisać. „Ali” pouczał ich, udzielał praktycznych wskazówek. Pamiętam rady, jakie dawał mniej obeznanym ze sztuką pisania kolegom - żeby przemawiali do społeczeństwa najbardziej zrozumiałym i bliskim mu językiem, posługując się najprostszymi i najbardziej przekonującymi argumentami, które trafiałyby do każdego chłopca.

Ale ulotki, komunikaty i apele zaczęły z biegiem czasu wydawać się zbyt słabym orężem w walce o ogólną i powszechną mobilizację społeczeństwa

do coraz jaśniej wytyczanych przez nasze centralne władze zadań.

Pierwszym współpracownikiem „Alego” na większą skalę stała się niebawem Anna Gadzałanka - „Halina”, która jako znana wielu ludziom działaczka Stronnictwa Ludowego i kierownik wydziału prasowego wojewódzkiej rady narodowej, w maju zainicjowała utworzenie pisma ludowego pn. „Wola Ludu”, które następnie sama redagowała u siebie w Woli Gałęzowskiej i które drukowano w Rzeczy. Pismo zapoznawało społeczeństwo z problematyką ruchów wyzwolńczych mas chłopskich, podejmując jednocześnie ostrą, bezkompromisową walkę z reakcją

w szeregach Stronnictwa Ludowego. Odważne, pełne pasji demaskatorskiej artykuły wychodziły w większości spod pióra „Haliny”. Niektóre powstawały przy współudziale innych działaczy ludowych.

W tym czasie praca kipiała ludziom w rękach. Pod koniec maja, gdy zapasy papieru i materiałów drukarskich na to pozwalały, podjęto uchwałę o powołaniu do życia osobnego organu prasowego podziemnej wojewódzkiej rady narodowej pn. „Rada Narodowa”. Redakcję tego pisma, które miało naświetlać w sposób pełniejszy ogólną problematykę ruchu wyzwolenczego, objął „Ali”. Już w toku pracy nad pierwszym numerem okazało się jednak,

że zbyt wielki nawał innych, bardzo różnorodnych, trudnych, a przy tym coraz pilniejszych obowiązków nie pozwala mu dysponować czasem w stopniu wystarczającym do systematycznego poprowadzenia dużych numerów „Rady Narodowej”.

- Co z tym fantem robić? - zastanawiał się głośno zafrasowany „Ali”.

- Mam, człowieku, dwie ręce - zwrócił się do „Krzemienia” - a pisać trzeba by już teraz nimi równocześnie na czterech maszynach. A inna robota? Stosy całe!

- Masz przede wszystkim, i od tego trzeba zacząć, niezawodną dotychczas głowę na karku i ze sześć kieszeni solidnie wypchanych notatkami

i materiałami, masz też doskonałe rozeznanie co do możliwości ludzkich. Rozkręciłeś robotę na wielką skalę, to fakt, posadź teraz do maszyn innych ludzi - radził „Krzemień”.

- Bagatela - roześmiał się „Ali”. - Siedzą właśnie rządkiem i czekają... Wiesz chyba - przeszedł znów na poważniejszy ton - że „Halina” sama siebie zrobiła na szaro, nosa jej nie widać spoza stert odezów i artykułów do „Woli Ludu”. Szymek Krakowski wsiąkł z kretesem w swego „Żołnierza Lubelszczyzny” i na nic innego nie sposób go już namawiać. A inni? Zrozum, przecież wszystko, co oprócz nich choć trochę umie pisać, dawno już tłucze bez opamiętania w klawisze.

Gdy któregoś dnia, około połowy czerwca, pojawiła się w Zagórzcu, w chacie Tompolskiego, „Marta” - przyprowadzona tu przez „Krzemienia” - postawiono przed nią na powitanie talerz pięknych, dojrzałych czereśni. Zanim zdążyła zjeść ich garstkę, pasowana została przez „Alego” na redaktora „Rady Narodowej”. Nominację tę zakończył „Ali” słowami:

- Obowiązków będziecie mieli sporo i nie będą one łatwe, ten organ prasowy musi ukazywać się regularnie...
- Czy bierzecie pod uwagę, że ja mogę nie sprostać tej odpowiedzialnej pracy?
- pyta rzeczowo skrupulatna „Marta”.
- Bierzemy pod uwagę przede wszystkim

to, że powinniście i musicie sprostać tej odpowiedzialnej pracy - usłyszała w odpowiedzi.

- Widzicie, koleżanko, chciałbym bardzo, by okazało się, że nie na próżno czekałem na was z takim utęsknieniem - rozładował „Ali” niepewność i zakłopotanie „Marty” żarcikami.

Na pociechę upewnił ją, że jedna dobra maszyna do pisania oddana zostanie natychmiast do jej wyłącznej dyspozycji i że uzgadniać różne sprawy, związane z powołaniem do życia organu wojewódzkiej rady narodowej, będzie mogła, kiedy tylko zechce, zarówno z nim, jak i z „Krzemieniem”.

W rezultacie nowo kreowana redaktorka

zabrała się do pracy. Początkowo były to zajęcia przygotowawcze, jak choćby skrócony kurs pisania na maszynie dla potrzeb redakcyjnych, ale już od drugiej połowy czerwca czterostronicowe numery „Rady Narodowej” ukazywały się systematycznie w kilkudniowych odstępach. Począwszy od drugiego numeru, „Marta” redagowała to pismo sama, uzgadniając tylko tematykę kolejnych numerów z „Alim”, a z „Krzemieniem” - ujęcie poszczególnych problemów. Wszystkie artykuły wychodziły spod jej pióra. Szczególnie rozchwytywany był - o ile dobrze pamiętam - numer trzeci, który - zredagowany pod kątem przeciwstawienia się pisanej

i mówionej propagandzie agentur rządu londyńskiego - przekazywał wiele najświeższych wiadomości o działaniu emigracji polskiej i Armii Polskiej w ZSRR oraz podawał częściowe przedruki z wydawanej w ZSRR gazety polskiej „Zwycięzimy” - z numeru czerwcowego, poświęconego w całości specjalnie rodakom w walczącym kraju. W przedruku tym, obok prozy Wandy Wasilewskiej, znalazł się fragment przemówienia ówczesnego generała Armii Polskiej, Aleksandra Zawadzkiego, mobilizujący wszystkich Polaków do walki o ostateczne zwycięstwo i niepodległą ojczyznę.

Przygotowany do druku piąty numer naszej „Rady Narodowej” już się nie

ukazał - maszynopis zaginął między 24 a 27 lipca w straszliwym chaosie ciężkich walk frontowych, w których na terenie lasów gościeradowskich, wraz z oddziałami partyzanckimi, brali czynny udział członkowie wojewódzkiej rady narodowej - „Marta” i „Krzemień”

W ten sposób nasza prasa, wychodząca pod kierownictwem „Alego” już od 1942 roku, po powstaniu rad narodowych weszła w okres swego największego rozwoju. Odgrywała też z każdym dniem coraz większą rolę w naszej działalności społecznej i politycznej, była mocnym orężem w walce z organizacjami reakcyjnymi i ludźmi wysługującymi się hitlerowcom.

Wydane specjalne odezwy do robotników, chłopów i inteligencji pracującej zjednywały nam coraz więcej sympatyków i sprzymierzeńców w naszej pracy i walce z wrogiem.

W naszej okręgowej redakcji w 1944 roku pracowało już około dziesięciu ludzi. Tak powiększona liczebnie i lepiej wyposażona technicznie nadążała ona teraz za biegiem wydarzeń, była w stanie nie tylko odpowiedzieć na każde nowe pociągnięcie okupanta wobec ludności polskiej, ale także w porę ostrzec społeczeństwo o nowych podstępnych zamiarach wroga i pouczyć je, jak się ma w określonej, konkretnej sytuacji zachować. Bez przesady można powiedzieć, że nasza prasa była - obok

starych myśliwskich fuzji i nowoczesnych, nieocenionych pepesz - drugą bardzo skuteczną bronią w walce z wrogiem, a sama redakcja pod kierownictwem „Alego” stanowiła dla wielu ludzi w niej pracujących dobrą szkołę przygotowującą do samodzielnej pracy. Nauczyli się oni redagować i wydawać różne pisma o poważnej tematyce dotyczącej naszej działalności i walki z wrogiem, a później - budowy nowego ustroju w wyzwolonym kraju.

W maju 1944 roku lubelski komitet PPR wydał komunikat nr 3 dotyczący zadań stojących przed partią w nowej sytuacji, jaka zaistniała w miesiącach wiosennych:

Do wszystkich sekretarzy
i organizacji PPR O. K.
Lubelskiego nr 5

W związku z przybliżaniem się do
naszego Okręgu regularnych
oddziałów Armii Czerwonej i
Armii Polskiej niedaleki jest
moment wyzwolenia naszej
Ojczyzny.

Wobec tego przed członkami naszej
partii stoją specjalne, historycznej
wagi zadania - aby tę chwilę
przyśpieszyć przez przygotowanie
powstania zbrojnego, rozbijanie
i przepędzanie okupanta, ratowanie
narodu od zagłady i palenia mienia
chłopskiego, przez zorganizowaną
samoobronę ludności.

Przed nami leży również wielki cel objęcia władzy wspólnie z innymi ugrupowaniami politycznymi uznającymi Krajową Radę Narodową, jak: Stronnictwo Ludowe, Bataliony Chłopskie, RPPS i inne. Aby to osiągnąć, należy już dziś przystąpić do realizacji następujących zadań:

1. Rozbudować partię w każdej gminie i w każdej gromadzie, na folwarkach i fabrykach, uaktywnić jej członków.

2. Organizacje PPR w każdym powiecie i w każdej gminie muszą niezwłocznie przystąpić do budowania Rad Narodowych. Należy starać się, aby do R. N.

weszli przedstawiciele innych organizacji politycznych i bezpartyjni uczciwi demokraci, którzy zgadzają się współpracować z nami na platformie Manifestu Krajowej Rady Narodowej, oraz grupy inteligencji zawodowej, które zajmują czynną postawę w walce z okupantem. Dążyć do tego, aby w R. N. skupić najlepszych, najdzielniejszych i najbardziej oddanych sprawie niepodległości kraju obywateli. Unikać ludzi, którzy nie umieją przestrzegać zasad konspiracji. Organizatorzy, którzy ze względu na zbytnią gorliwość w stosunku do własnej partii, chcieliby

wyeliminować przedstawicieli innych kierunków, działaliby na szkodę Rad Narodowych. Bo tylko R. N. oparte na szerokiej podstawie demokratycznej mogą zyskać szacunek i autorytet w społeczeństwie. Tylko takie R. N. będą zdolne wypełnić swą rolę. Rady Narodowe nie są i nie będą organami władzy politycznej. Co najwyżej staną się one czasowymi organami samorządu terytorialnego, do chwili powołania organów samorządowych z wyboru.

3. Jeżeli w momencie przyścia Armii Czerwonej okaże się, że gdzieś brak R. N., należy natychmiast przystąpić do jej

zorganizowania w danej gminie.

4. W miejscowościach, gdzie będą sprzyjały warunki, jak: panika w obozie wroga, ucieczka Niemców i ich pomocników, bliskość frontu, istnienie organizacji wojskowej, jak: AL lub GL - należy rozbijać okupanta, nie dopuścić do wywożenia bogactw i ludności, organizować powstanie zbrojne. Powstanie rozpoczynamy zdobywaniem i zajmowaniem przez oddziały wojskowe i powstańcze ważniejszych obiektów i punktów w danej miejscowości, jak: stacje kolejowe, poczty, telegrafy, posterunki policji, koszary, urzędy, drogi ważniejsze itp. W miastach

powstanie zbrojne zaczynamy od strajku powszechnego.

5. Na wsiach, gdzie są folwarki, organizować już komitety folwarczne, które zajmą się konfiskatą inwentarza i ziemi pańskiej i podziałem tychże pomiędzy bezrolnych i małorolnych przy pomocy R. N.

6. Nowe władze polskie natychmiast po przeprowadzeniu okupanta zawiadamiają o swym istnieniu i opierają się na siłach zbrojnych AL. Organizują milicję ludową, której zaczątkiem będzie obecna Straż (Chłopska) Ludowa. Zadaniem Milicji Ludowej będzie: pilnowanie ładu i porządku

publicznego, ochrona dobra,
likwidacja spekulacji i anarchii.

7. Aresztowanie przestępców
i zdrajców narodu - sługusów
niemieckich, organizatorów walk
bratobójczych, morderców
działaczy postępowych.

8. Organizowanie Sądów
Ludowych.

9. Organizowanie sprawnej
komunikacji: kolejowej, rzecznej i
drogowej.

10. Uruchomienie fabryk i urzędów
użyteczności publicznej.

11. Zatrudnienie bezrobotnych.

12. Uruchomienie normalnej pracy
szkół, dających powszechne
i bezpłatne nauczanie.

13. Równe prawa dla wszystkich obywateli zamieszkałych na ziemi naszej,

14. Organizowanie opieki społecznej nad inwalidami, sierotami i innymi ofiarami wojny.

15. Obowiązkowe wykonywanie wszelkich zarządzeń i ustaw Krajowej Rady Narodowej lub wyłonionego przez KRN Rządu Tymczasowego.

16. Spichrze i magazyny zostawione przez Niemców są własnością ludową. Przejmują je oddziały aprowizacji ludności. Wszelkie rozkradanie tego dobra będzie surowo karane.

Peperowcy są odpowiedzialni, aby

w tym ważnym momencie, gdy decydują się losy ludu, losy przyszłej Polski, klika reakcyjna nie wzięła góry, aby w nowej Polsce chłop, robotnik i inteligent pracujący byli rzeczywistymi gospodarzami i organizatorami nowego życia.

Towarzysze! Wobec tak wielkich zadań, stojących przed każdym członkiem partii, należy wyteńczyć wszystkie siły dla wypełnienia swych obowiązków wobec narodu i ojczyzny.

W tym celu należy natychmiast przystąpić do rozbudowy organizacji partyjnej.

Zwołać natychmiast posiedzenie

plenarne Komitetu Powiatowego (Gminnego) dla odczytania niniejszego komunikatu i realizacji zadań stojących przed partią.

Odpowiedzialność za niewykonanie nakazów władz poniosą ci towarzysze, którzy opieszałością doprowadzą do usadowienia się na terenie powiatu wrogów demokracji - polskiej reakcji.

Jesteśmy przekonani, że towarzysze stojący na straży interesów ludu zrobią wszystko, by - jako żołnierze na odcinku politycznym - wykonać w 100% nałożone na nich zadania.

LUBELSKI OKRĘGOWY
KOMITET
POLSKIEJ PARTII
ROBOTNICZEJ

Maj 1944 rok.

Komunikat ten trafił do rąk wszystkich działaczy w okręgu. Nietrudno sobie wyobrazić doniosłą rolę, jaką spełnił on w owym przełomowym momencie, kiedy ważyły się losy przyszłej Polski. Gdy patrzę dzisiaj na zachowaną z tamtych dni wielkiej próby pożółkłą kartkę „Komunikatu”, jakże namacalnie czuję tamtą rzeczywistość sprzed trzydziestu kilku lat. Był nam ten świstek papieru podręcznikiem, nauczycielem, doradcą i najwyższym nakazem. Organizacja

partyjna naszego okręgu, podobnie jak na terenie całej Lubelszczyzny, a nawet całego okupowanego kraju, przystąpiła do wcielania w czyn nałożonych przez władze zwierzchnie zadań. Było to w naszym przypadku o tyle ułatwione, że istniały już i działały częściowo powiatowe rady narodowe, a także liczne rady gminne.

Rady narodowe powstawały wszędzie mniej więcej w jednakowych okolicznościach i w podobny sposób. Powiatowa rada narodowa dla powiatu kraśnickiego powołana została jednak do życia całkiem inaczej. Fakt ten - nietypowy, ale przez to oryginalny i interesujący - warto przypomnieć.

Późnym wieczorem, mniej więcej w połowie kwietnia 1944 roku, na plebanii w Rzeczycy Ziemiańskiej zebrała się dość liczna grupa ludzi. Przyszli tu pojedynczo, ostrożnie, aby nie zwracać na siebie uwagi.

Proboszcz, ksiądz Niedźwiedzki, człowiek już w podeszłym wieku, cieszył się u całego miejscowego społeczeństwa ogromnym mirem. Nawet ci, którzy nie odczuwali potrzeby odwiedzania kościoła, darzyli księdza Niedźwiedzkiego sympatią i zaufaniem jako dobrego Polaka-patriotę. Znał on dobrze starych miejscowych kapepowców, z którymi lubił często rozmawiać na różne tematy, nie wyłączając politycznych, dzielił się

z nimi swoimi spostrzeżeniami, przekazywał zasłyszane wieści, które jemu niejednokrotnie łatwiej było zdobyć, a które dla nas miały czasem niemałe znaczenie. Kiedyś na przykład Jan Czarnecki - „Jerzy” przekazał mi informację, że żandarmeria z Kraśnika ma zamiar aresztować kilku naszych sympatyków, podejrzanych o udzielanie nam pomocy i o przechowywanie Żydów. Na pytanie, skąd ma takie wiadomości, Czarnecki odpowiedział, że przekazał mu je ksiądz Niedźwiedzki, który specjalnie w tym celu spotkał się z nim. Wykorzystawszy w porę zdobytą w ten sposób informację, organizacja zapobiegła mającemu się dokonać nieszczęściu. Nic dziwnego, że

obecność księdza Niedźwiedzkiego w Rzeczy zacy zaczęliśmy coraz bardziej uważać za szczęśliwy zbieg okoliczności. Ksiądz Niedźwiedzki w trudnym dla nas okresie zmagania z okupantem pasował jakoś do naszej komunistycznej Rzeczy.

Często zdarzało się, że na plebanie zachodzili nawet ci, którzy nigdy nie bywali w kościele. Dlatego w ów pamiętny wieczór kwietniowy, nawet gdyby ktoś widział skręcających na plebanie pojedynczo ludzi, nie doszukiwałby się w tym niczego nienormalnego, nie poczułby się ani zaskoczony, ani zdziwiony. Wszystko jakoś pasowało do powszedniego dnia jego pracy: i to, że przyszedł miejscowy

nauczyciel Lucjan Dziwisiński, który z księdzem już od dłuższego czasu się przyjaźnił (co zupełnie nie przeszkadzało mu dość ściśle współpracować z nami), i to, że przybyło dwóch miejscowych chłopów, również z Rzeczycy - znany działacz ludowy Walenty Czarnecki oraz Babicz, niegdyś kapepowiec, a obecnie członek Polskiej Partii Robotniczej. Nie było również dla nikogo zaskoczeniem przybycie Stanisława Czerwińskiego, naszego aptekarza z Kraśnika, który od dłuższego już czasu współpracował z nami, zaopatrując nas bardzo gorliwie w potrzebne lekarstwa i opatrunki.

Ksiądz proboszcz - jako że i w jego plebanii panował staropolski zwyczaj

„czym chata bogata” - poczęstował przybyłych skromną kolacją. Podawszy do stołu, gospoia z polecenia księdza pozamykała dokładnie wszystkie drzwi plebanii i stanęła w oknie. Miała obserwować drogę prowadzącą od kraśnickiego traktu i natychmiast zasygnalizować, gdyby zauważyła jakichś zbliżających się o tej porze nieproszonych gości.

Parobek księdza Niedźwiedzkiego, który również otrzymał od swego gospodarza jakieś specjalne polecenie czuwania przez okres pobytu gości, trzymał wartę na zewnątrz budynku.

Grupa ludzi, siedzących na plebanii u księdza Niedźwiedzkiego przy

kolacyjnym stole, reprezentowała prawie wszystkie środowiska społeczne. A ponieważ znali się oni osobiście nie od dziś i na zebranie przybyli w określonym i znanym sobie celu, nie trzeba tu było ani wygłaszać żadnych referatów, ani przekonywać się nawzajem w toku żarliwych dyskusji. Wzajemne zaufanie, głęboki patriotyzm i ludzka uczciwość nakazywały wszystkim jednakowo myśleć. Toteż całe to, tak doniosłe przecież zebranie, trwało zadziwiająco krótko. Jego uczestnicy rozmawiali zwyczajnie, przy stole, o potrzebie powołania do życia konspiracyjnej powiatowej rady narodowej. Byli już dawno przekonani i zgodni między sobą, że w radzie tej

winne być reprezentowane wszystkie organizacje i ugrupowania polityczne, stojące na gruncie bezkompromisowej walki z wrogiem, współpracy ze Związkiem Radzieckim oraz przeprowadzania w kraju społecznych reform i budowy - po wyzwoleniu - ustroju socjalistycznego.

Ksiądz Niedźwiedzki odczytał tekst przysięgi przysłanej przez wojewódzką radę narodową, odebrał od wszystkich obecnych na zebraniu ślubowanie na wierność ojczyźnie i narodowi polskiemu, podał każdemu z uczestników zebrania rękę i w ten sposób powstała konspiracyjna powiatowa rada narodowa w powiecie kraśnickim. Rada, która już wkrótce

stanać miała do realizacji doniosłych, lecz jakże z początku niełatwych zadań współtworzenia Nowego.

Jednymi z pierwszych rad najniższego szczebla były powstające mniej więcej w tym samym czasie gminne rady narodowe w Trzydniuku i Potoku.

Tak więc wiosną roku 1944 praca nad tworzeniem rad narodowych postępowała już naprzód pełną parą, przykuwając uwagę coraz szerszych warstw społeczeństwa.

Wojewódzka Rada Narodowa w Lublinie mimo braku stałej siedziby (co zresztą podyktowane było względami konspiracyjnymi) pracowała jednak systematycznie. W odstępach kilku

tygodni odbywały się jej kolejne protokołowane posiedzenia. Druga sesja miała miejsce w osadzie Ostrów Lubelski (powiat lubartowski), w domu Zygmunta Goławskiego - „Leona” (w tym czasie zmienił on pseudonim na „Niwa”), i odbyła się pod jego przewodnictwem, ponieważ przewodniczący Kazimierz Sidor, związany akcjami bojowymi AL, przekazał mu swoje funkcje. Trzecie posiedzenie - w maju - miało miejsce również w domu „Niwy” i pod jego przewodnictwem. Na posiedzeniach tych omawiano kolejno aktualną sytuację, kontrolowano i ustalano wytyczne do dalszej pracy. Protokołowała Bronisława Czarnota - „Sława”.

Żadne z posiedzeń wojewódzkiej rady narodowej nie mogło odbyć się przy pełnym składzie ówczesnego stanu członków - albo za późno dochodziły wiadomości o terminie i miejscu sesji, albo za trudno było się przebić przez obsadzone Niemcami tereny województwa. Jednak rada rozrastała się - wszedł do niej bezpośrednio po udanej ucieczce z Majdanka Paweł Dąbek - „Paweł”, któremu rada przekazała funkcje zastępcy przewodniczącego, weszli także inni działacze ruchu wyzwolenczego - Szymon Bonat, Paweł Biernat i Władysław Zdunek.

Kolejne czwarte posiedzenie miało się odbyć w pierwszych dniach lipca w

Woli Gałęzowskiej (powiat lubelski), w domu Anny Gadzalanki - „Haliny”. Wszystkich zainteresowanych powiadomiła o tym sama „Halina”, która specjalnie w tym celu przybyła także do Rzezycy. Ze słów jej wynikało, że na sesji - z uwagi na ważne sprawy organizacyjne - spodziewana jest obecność przedstawiciela Krajowej Rady Narodowej z Warszawy.

Podróżowanie nie było w tym czasie bezpieczne. Dlatego nasi delegaci z południowej Lubelszczyzny - Adela Gadzińska - „Marta” oraz Franciszek Ojak - „Krzemień” - udali się z Rzezycy do Woli Gałęzowskiej pod ochroną oddziału zbrojnego, dowodzonego przez Aleksandra Bisa -

„Korsarza”. Dla zorientowania czytelnika, jak odbywały się takie przeprawy, warto podać tu parę szczegółów.

Według planowanych i ustalonych przed wyjazdem założeń oddział „Korsarza” wraz z radnymi, wyruszywszy z Rzeczycy na furmankach późnym popołudniem, powinien był przed nocą przejść pieszo tory kolejowe przecinające jego trasę. Przed zapadnięciem zmroku Niemcy wtedy już zaciągali stale wzmocnioną, podwójną ochronę torów. Po przebyciu polnej drogi oddział miał przeciąć krótkim skosem bardzo uczęszczaną wtedy przez Niemców szosę wiodącą na Kraśnik, pobłądziwszy jednak w polu, wyjechał

na szosę kraśnicką wcześniej, niż należało. Nie było rady, kilka furmanek ze zbrojnymi w karabiny ludźmi musiało przejechać w promieniach zachodzącego słońca półtorakilometrowy odcinek ruchliwej szosy. Dosłownie sekundy pozwoliły uniknąć śmiertelnego niebezpieczeństwa. W chwili gdy kawalkada wozów skręciła we właściwą drogę, na szosie rozległ się ryk kilku silników niemieckich samochodów. „Korsarz”, słysząc z daleka potężniejący warkot, zatrzymał wozy pod osłoną drzew, nie opodal szosy. Zaczajeni partyzanci świetnie widzieli sznury wypełnionych Niemcami samochodów. Na szczęście hitlerowcy nie dostrzegli nic podejrzanego

i pomknęli dalej. Emocje, jakie wynikły z pomylenia drogi, nie na tym się jednak kończyły. W rezultacie bowiem tory kolejowe trzeba było przekroczyć już nocą, tuż pod bokiem czujnych wartowników niemieckich. Dalsza droga również nie była wolna od niebezpieczeństw.

Był późny wieczór, gdy zmuszeni okolicznościami zatrzymali się we wsi Sulów. „Krzemień”, jako przedstawiciel wojewódzkiej rady narodowej, wygłosił w miejscowym Domu Ludowym, wypełnionym - mimo mocno spóźnionej pory - po brzegi ciżbą ludzką, porywające przemówienie. Wzywając zgromadzoną ludność do oporu i samoobrony, wskazywał, jakimi

drogami potoczy się niedługo historia narodu, przekonywał o pilnej potrzebie organizowania terenowych rad narodowych, jako jedynych organów prawomocnej władzy ludowej. Z ramienia oddziałów AL przemawiał wtedy mjr „Chrzestny”.

Rankiem nasi delegaci znaleźli się w chacie rodziców „Haliny”, Gadzałów, gdzie zastali już przybyłych wcześniej innych delegatów. Nasz oddział poszedł na odpoczynek, a do ochrony zebrania wyznaczony został kpt. Jan Skrzypek - „Kotwica” ze swoim oddziałem.

Obradom czwartej sesji, rozpoczętej rano, przewodniczył Paweł Dąbek - „Paweł”. Delegat z Warszawy

wprawdzie nie przybył, ale „Paweł” miał dyrektywy co do wyboru delegatów podziemnej wojewódzkiej rady narodowej do podziemnej Krajowej Rady Narodowej. Po omówieniu aktualnych spraw i złożeniu sprawozdań z pracy organizacyjnej i akcji prasowej, podjęto uchwałę o konieczności szukania dróg porozumienia z dowódcami oddziałów AK, w celu znalezienia wyjścia z matni walk bratobójczych.

W myśl dyrektyw i zgodnie ze statutem dokonano wyboru osób, które z ramienia lubelskiej WRN zostały delegowane do Krajowej Rady Narodowej. Byli to: „Paweł” - działacz ludowy i przedstawiciel inteligencji pracującej z

PPR, „Krzemień” - działacz ludowy i robotniczy z PPR, a jednocześnie przedstawiciel Związku Nauczycielstwa Polskiego, oraz „Halina” - działaczka ludowa i przedstawicielka mas chłopskich z SL.

Obrady zamknięto wieczorem i po niedługim odpoczynku, jeszcze tej samej nocy, delegaci wybrali się wraz z oddziałem w drogę powrotną.

Powrót trwał dłużej. Spotkawszy po drodze oddział mjr. Jan Wyderkowskiego - „Graba”, przyłączyli się do niego i wraz z „Grabem”, wcielając bez zwłoki w życie uchwałę WRN, zorganizowali spotkanie z przedstawicielami AK, którym

przewodniczył „Mały”. Do spotkania doszło we wsi Studzianki. Po kilkugodzinnej wspólnej naradzie, jaka odbyła się w obszernej izbie, przy starym młynie, doszło do podpisania dwustronnie obowiązującej umowy o zaprzestaniu walk bratobójczych i wzajemnym wspomaganiu się w walce z okupantem. Tekst umowy redagowała „Marta” wspólnie z „Krzemieniem”. Oni też jako członkowie wojewódzkiej rady narodowej podpisali ją razem z majorem „Grabem” i kilkoma jeszcze innymi reprezentantami oddziałów Armii Ludowej.

Podobnie ożywiła się z wiosną 1944 roku praca i na innych terenach województwa. Z zachowanych do

dzisiaj egzemplarzy „Rady Narodowej”, w części przeznaczonych na komunikaty, wyczytać można, w których miejscowościach powstawały w tym czasie terenowe rady narodowe, m. in. w kwietniu 1944 r. we wsi Krasne powołana została do życia konspiracyjna powiatowa rada narodowa powiatu zamojskiego. Jej pierwszym przewodniczącym został Stanisław Dudek, pełniący równocześnie funkcję pierwszego sekretarza komitetu powiatowego PPR. Na zastępcę przewodniczącego wybrano Edwarda Dubla, a na sekretarza Józefa Tronta. W skład prezydium rady weszli: Jan Szałata, Henryk Sidor, Jan Gorzkowski, Katarzyna Nizioł i inni.

Pomimo całego terroru, jaki stosował okupant, mimo akcji wysiedleńczej, pacyfikacji zamojskich wsi i buty, z jaką odnosili się do Polaków nasiedleńcy, tuż obok tzw. niemieckich wsi powstała władza uciśnionych, władza tych, którzy po przepędzeniu okupanta stanąć mieli do realizacji doniosłych, lecz jakże z początku niełatwych zadań współtworzenia Nowego.

Wielu radom, przygotowującym się do działalności w podziemiu, dane było rozpocząć pracę z dużym rozmachem już w wolnej, niepodległej Polsce.

Lubelscy członkowie konspiracyjnych rad narodowych różnych szczebli - od gminnych aż do KRN - przez wiele lat

po wyzwoleniu pełnili - a niektórzy
pełnią po dzień dzisiejszy - swoje
niełatwe obowiązki, ugruntowując to, co
stanowi owoc ich jakże trudnej walki
i zbiorowego wysiłku społeczeństwa.
Długoletni wojewoda lubelski
i przewodniczący Prezydium
Wojewódzkiej Rady Narodowej w
Lublinie, przewodniczący
Wojewódzkiego Komitetu Frontu
Jedności Narodu, prezes Zarządu
Wojewódzkiego Związku Bojowników
o Wolność i Demokrację poseł Paweł
Dąbek, odznaczony Orderem
Budowniczego Polski Ludowej, jest tym
samym „Pawłem”, który ponad
trzydzieści lat temu w Woli
Gałęzowskiej przewodniczył

posiedzeniu WRN i delegowany został z jej ramienia do Krajowej Rady Narodowej.

W kręgu dowództwa głównego Armii Ludowej

W tamtych czasach często niewiele o sobie wiedzieliśmy. Tak było po prostu lepiej. Lecz jak w życiu nieraz bywa, docierały do nas jakieś oderwane wieści, zasłyszane opinie, które później zaczęły układać się w logiczną całość. Teraz natomiast przywołują różne skojarzenia, potęgujące niedosyt i zmuszające do przypomnienia wielu spraw nie wypowiedzianych, ale

godnych utrwalenia.

Jeszcze w 1943 roku towarzysze przyjeżdżający z Warszawy mówili, że w Sztabie Głównym GL, jako doradca wojskowy, pracuje generał. Nikt nie mógł powiedzieć, o kogo chodzi, ale należało się domyślać, że musi to być człowiek o lewicowych poglądach. Potem jeszcze słyszało się, że zajmował on w hierarchii wojskowej wysoką pozycję do momentu ostrego konfliktu z Piłsudskim i sanacją po przewrocie majowym. W efekcie generał wyjechał do Francji, skąd powrócił, uważając, że w obliczu wybuchu wojny jego miejsce jest w kraju. Zgłosił się do obrony Warszawy, a potem zaczął nawiązywać kontakty konspiracyjne, zwłaszcza

z radykalnymi ludowcami. Wreszcie, mając możliwość obserwacji rozwoju ruchu podziemnego w Polsce, uznał, że nadszedł czas decydującego wyboru. Poprzez gwardzistę, Alfreda Matysewicza, w maju 1943 roku generał nawiązał kontakt z oficerem Sztabu Głównego GL, mjr. Józefem Małeckim („Sęk”, „Witek”). Małecki był poprzednio dowódcą Obwodu Radomsko-Kieleckiego GL, następnie dowódcą Wydziału III w Sztabie Głównym GL, pod koniec lipca 1944 roku pełnił obowiązki szefa Sztabu Głównego AL, a w czasie powstania warszawskiego dowodził oddziałami AL w Śródmieściu.

Otóż w pierwszej rozmowie z „Sękiem”

generał, nie ukrywając nazwiska, jasno i zdecydowanie określił swoje stanowisko, stwierdzając, że, jako Polak i żołnierz, chce stanąć po stronie PPR i GL. Uważał, że wybrały one drogę najwłaściwszą, drogę nieustępliwej walki z okupantem.

Akces generała, człowieka związanego jeszcze przed I wojną z ruchem niepodległościowym, mającego olbrzymie doświadczenie wojskowe i postępowe poglądy, był faktem doniosłym. W tym czasie PPR i GL borykały się nadal z kłopotami kadrowymi, toteż gdy „Sęk” złożył szefowi Sztabu Głównego AL płk. Franciszkowi Józwiakowi odpowiedni meldunek, w którym przekazał także

życzenie generała chcącego spotkać się z kierownictwem politycznym i wojskowym, bardzo szybko doszło do porozumienia. W rozmowach, oprócz generała, brali udział: sekretarz KC PPR Paweł Finder, szef Sztabu Głównego GL, płk Franciszek Józwiak, oraz mjr Józef Małecki. W efekcie generał Żymierski rozpoczął pracę w Sztabie Głównym, a wkrótce kierownictwo PPR, doceniając jego wiedzę specjalistyczną, powierzyło mu funkcję doradcy wojskowego GL.

Wówczas generał, mający pseudonim „Józef”, poświęca się bez reszty pracy nad rozbudową i tworzeniem oddziałów GL. Sytuacja wymagała ujęcia działań partyzanckich w zorganizowane formy,

pozwalające najefektywniej wyzyskać zdolność bojową GL. Dlatego przygotowano w tym czasie, przy bezpośrednim udziale generała, już członka PPR, wiele dokumentów, rozkazów czy instrukcji, dotyczących różnorodnych form akcji bojowych, wykonywanych przez partyzantów.

Pisałem już o zaostrzeniu się walki politycznej, inspirowanej przez obóz londyński i skierowanej przeciw komunistom i lewicy, która, konsolidując się, przystąpiła w owym czasie do tworzenia narodowego frontu demokratycznego.

W takim właśnie przełomowym okresie włączył się generał Żymierski. Biorąc

udział w inicjowanych przez PPR przedsięwzięciach i wiedząc, jak bardzo skomplikowana jest sytuacja polityczna, zdawał sobie sprawę z ogromnej odpowiedzialności, spoczywającej na kierownictwie politycznym i wojskowym. Z jednym celem strategicznym partii nie było problemów - ze sprawą walki z okupantem. Ale już stosunek do innych ugrupowań w podziemiu wymagał wielkiej rozwagi i konsekwencji, gdyż nader łatwo można było dać się sprowokować wtedy, gdy ludzie lewicy ginęli setkami, ale nie w walce z okupantem.

Terror ze strony reakcji wywoływał w naszych szeregach oburzenie, a nawet żądania odwetu. Z wysiłkiem

przychodziło nam wyjaśniać, że nie wolno poddać się prowokacjom ze strony NSZ czy „Antyku”, ale należy walczyć z okupantem, ściśle wykonując rozkazy Dowództwa Głównego GL.

Jednym z przykładów reakcji GL na poczynania ugrupowań prolondyńskich jest odezwa z 1 września 1943 roku:

POLACY - ROCZNICA!

4 lata temu niemiecki zaborca napadł zdradziecko na Polskę. Stokrotną przewagą przełamał bohaterski opór narodu polskiego. Sanacyjno-ozonowy rząd i naczelne dowództwo okłamywały kraj twierdzeniem, że jesteśmy: „Silni -

zwarcu - gotowi". Nie dopuszczono do kierowania obroną przedstawicielstwa narodu. W dniach decydujących rozstrzygnięć na polu walki rząd i dowództwo tchórzliwie zbiegły. Oko w oko z zaborcą i grozą niewoli pozostał naród polski [...] Wszyscy za broń - do walki o Wolną i Niepodległą Polskę!

Hańba sanacyjnej reakcji i samozwańczym „władzom polskim”, które w obliczu masowych morderstw, łapanek, pacyfikacji nakazują uległość wobec zaborcy.

Hańba zdrajcom, co skrwawili ręce krwią bratnią i nie przestają

nawoływać do mordowania
i wydawania Niemcom polskich
partyzantów po bohatersku
walczących o wyzwolenie
Ojczyzny!

Śmierć niemieckim zaborcom!

Niech żyje jedność narodu
polskiego!

DOWODZTWO GŁÓWNE GWARDII LUDOWEJ

Partia i GL ten okres rozjątrzenia politycznego, gwałtu i prowokacji przetrwały z godnością, ale jak istotne to były sprawy świadczy fakt, że w czasie rozmów przedstawiciele KRN i ZPP w Moskwie szczególnie dużo uwagi

poświęcono analizie ówczesnych wydarzeń w kraju i wysiłkom kierownictwa szczebla centralnego i obwodowego, zmierzających do przerwania bratobójczych walk.

Jednocześnie ze wspomnianymi dwoma kierunkami działania prowadzono prace przygotowawcze do utworzenia AL, kontynuatorki GL. Nie przerywając walki, należało dokonać w GL zmian, które przy zachowaniu zasady konspiracji zbliżyłyby jej strukturę do armii regularnej, stanowiącej siłę zbrojną mającej powstać Krajowej Rady Narodowej. W koncepcji PPR Armia Ludowa, podporządkowana KRN, miała być jej odpowiednikiem w sferze militarnej, również jak ona

skupiając na zasadach dobrowolności ugrupowania chcące walczyć z okupantem. AL realizowała więc założenia programowe PPR, opierając się na dotychczasowych doświadczeniach GL.

Prace organizacyjne w płaszczyźnie wojskowej powierzono generałowi Michałowi Żymierskiemu - „Roli”. Te dalekosiężne zamysły wymagały specjalnych zabiegów. Oczywiście trudno je było w warunkach konspiracyjnych załatwić odpowiednimi zarządzeniami czy rozkazami, ponieważ w realizacji wytyczonych celów najważniejszą rolę odgrywała świadomość polityczna.

Ponieważ w owym okresie w Sztabie Głównym GL panowała atmosfera wyęźnionej pracy, więc generał Żymierski wszedł od razu w wielkie problemy. Znajomość wszystkich sukcesów i trudności, jakie spotykały lewicę, dążącą do zbudowania płaszczyzny jedności narodowej, stała się jeszcze jednym doświadczeniem, które w przyszłości miało się niejednokrotnie przydać. W toku walki politycznej krystalizowały się też obce idee, dzięki czemu możliwe było unikanie w praktyce tendencji niezgodnych z linią partii. Siły zbrojne poszczególnych ugrupowań stały się więc płaszczyzną, na której uwidoczniały się ich założenia

programowe.

Gwardia Ludowa, w przeciwieństwie do ugrupowań związanych z rządem londyńskim, powstała w oparciu o nowe, rewolucyjne zasady. Ludzie, ożywieni tymi samymi ideami - walki o niepodległość i o prawa dla całego narodu, a nie tylko dla jednej jego klasy - wstępując do GL, stawali się wyrazicielami rewolucyjnego programu PPR. Mając bardzo różnorodne doświadczenia, gwardziści nie stanowili monolitu pod względem umiejętności bojowych czy spojrzenia na sprawę taktyki walki. Po prostu szukali rozwiązań prowadzących bezpośrednio do celu, ponosząc niekiedy nieproporcjonalne do rezultatów ofiary.

Aby nie rozpraszać sił i nie marnować potencjalnych możliwości, tkwiących w pełnych poświęcenia szeregach Gwardii Ludowej, należało wytyczyć cele operacyjne, ukierunkować działania zbrojne, podnosząc jednocześnie poziom wyszkolenia bojowego i wzmagając intensywność walki.

Dyskusje kierownictwa nad wieloma sprawami były bardzo ożywione i wszechstronne. Przykładem niech będą tu sprawy, poprzez które budowano nowe więzi wyrażając jednocześnie programowe założenia PPR, a więc kwestie symboliki, hymnu, umundurowania, dystynkcji, odznaczeń itp. Dziś te problemy są oczywiste i nie ma potrzeby wyjaśniać

psychologicznego znaczenia symboli czy tradycji w funkcjonowaniu armii. Wówczas miały one dodatkowe znaczenie, gdyż jednoczyły ludzi o bardzo różnorodnych doświadczeniach. Obok komunistów, uczestników Rewolucji Październikowej, działaczy niepodległościowych sprzed I wojny, uczestników Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii, członków organizacji młodzieżowych, robotniczych i chłopskich, socjalistów w oddziałach GL znaleźli się kilkunastoletni chłopcy, chcący, po prostu, walczyć. Marszałek Michał Rola-Żymierski wspomina, że w połowie 1943 roku wokół tych spraw toczyła się ożywiona dyskusja.

Konsolidacja szeregów lewicy, narażonej na ataki reakcji, objęła i ten „odcinek frontu”. Do tej pory w GL najczęściej używano emblematu w postaci trójkątka z inicjałem „GL”, wzorowanego na odznace noszonej przez ochotników w Hiszpanii. Oprócz tego istniały różne inne symbole, np. elementem graficznym było zachodzące słońce, skrzyżowana z karabinem kosa czy sierp i młot, umieszczane z reguły na czerwonym tle.

W dyskusjach powstawała koncepcja ogólnych dla GL symboli, mających wyrażać ideały, o jakie toczy się walka, i wzmacniać jedność żołnierskich szeregów. Dążono w ten sposób do wyrażenia proletariackiego, ludowego

charakteru GL w odróżnieniu, od najogólniej mówiąc, tradycji burżuazyjnych.

Większość towarzyszy, ten pogląd podzielał również generał Żymierski, opowiadała się za projektem godła ogólnego: orła białego bez korony, który miał symbolizować dwa nurty walki toczonej przez GL i - ponieważ dyskusja odbywała się także w kontekście przygotowań do tworzenia AL - inne ugrupowania ludowo-demokratyczne.

W niedawnej rozmowie marszałek Żymierski stwierdził, że zabierając wówczas głos zwrócił uwagę, iż w tradycji nowożytnych walk o niepodległość i postęp w XIX

i początkach XX wieku orzeł bez korony symbolizował ideały rewolucyjno-demokratyczne.

Oczywiście w szeregach GL przyjęliśmy znak orła piastowskiego bez korony. Zdawaliśmy sobie sprawę, że znowu w ten sposób mogą powstać przesłanki do walki politycznej. Reakcja uważała bowiem, że tylko ona ma monopol na polskość i patriotyzm, i nie mogła ścierpieć jakiejkolwiek próby wkraczania w sferę „zarezerwowanych” dla siebie praw „reprezentowania narodu”.

Z problemem emblematów i symboli wiąże się również sprawa stopni oficerskich, która w ostatnim roku

istnienia GL niejednokrotnie powracała na posiedzenia Sztabu Głównego, gdzie jej rzecznikiem był generał „Rola”, który uważał, iż dowódcom oddziałów należy nadawać stopnie oficerskie z racji wykonywania przez nich funkcji dowódczych. Podobnie rzecz się miała z Krzyżem Grunwaldu. Jeszcze w maju 1943 roku szef Sztabu Głównego GL, Franciszek Józwiak, wystąpił z projektem ustanowienia orderu za zasługi bojowe, co spotkało się z żywym zainteresowaniem. Myślę, że ze względu na charakterystyczny przebieg dyskusji i sam proces ustanawiania tego orderu warto na ten temat więcej powiedzieć. Nikt samej potrzeby nie kwestionował. Idea zyskała poparcie Komitetu

Centralnego PPR, w Sztabie Głównym również wniosek zaakceptowano. Generał Żymierski, który już wówczas zajmował się pracami przygotowawczymi zmierzającymi do utworzenia AL, uważał, że w ten sposób przybędzie jeszcze jeden bodziec, powodujący rozwój siły zbrojnej lewicy. Order miał wyrażać nową myśl społeczną i polityczną i między innymi dlatego nie zaaprobowano żadnego z istniejących odznaczeń. Ale sprawa komplikowała się, gdyż brakowało władzy ustawodawczej, przez którą to nowe odznaczenie musiało być zatwierdzone. Postanowiono jednak order wprowadzić, gdyż rozwój partyzanckiego frontu tego wymagał,

a później starać się o jego akceptację, co nastąpiło w lutym 1944 roku. Pierwsze odznaczenia zostały przyznane z dniem 1 stycznia 1944 roku^[19].

Ten nurt działalności Sztabu Głównego GL dotyczył raczej przeobrażeń wewnętrznych i w odniesieniu do nich odgrywał bardzo ważną rolę. Rozwój przyszłej Armii Ludowej musiał opierać się na solidnych podstawach, przede wszystkim w zakresie zaopatrzenia materiałowego. Na jednym z jesiennych zebrań Sztabu Głównego generał Żymierski zaproponował, aby Komitet Centralny PPR zwrócił się do partii i rządu radzieckiego w sprawie uzbrojenia. Referentem problemu na posiedzeniu KC PPR miał być, jak

zwykle, tow. „Witold”, a w niedalekiej przyszłości sprawą tą zajęła się również Krajowa Rada Narodowa. Powołany komitet organizacyjny KRN, w skład którego wchodził generał Żymierski, mający na pierwszym posiedzeniu referować sprawy dotyczące Armii Ludowej, przeprowadził dziesiątki konsultacji i rozmów politycznych. W połowie grudnia opublikowano *Manifest demokratycznych organizacji społecznych, politycznych i wojskowych w Polsce*, podpisany przez 14 grup i organizacji, deklarujących przystąpienie do KRN. W ten sposób zamknięte zostały prace przygotowawcze zmierzające do całkowitej realizacji programu PPR,

wyrażonego między innymi w deklaracji *O co walczymy*, opublikowanej w listopadzie 1943 roku.

W sylwestrowy wieczór 1943 roku, jak zwykle po godzinie policyjnej, opustoszały ulice. Ludzie w domach z nadzieją życzyli sobie rychłego zakończenia wojny, wspominając bliskich, którzy zginęli lub zostali przez okupanta skazani na gehennę obozów. Rozprawiając o frontach, mówili najczęściej o tym jedynym w Europie - o froncie wschodnim, na którym Niemcy, według komunikatów dowództwa Wehrmachtu, cofali się w „planowych odwrotach”.

O tym pierwszym historycznym

posiedzeniu już wspominałem, ale do problematyki KRN i AL muszę ciągle powracać ze względu na istotę przemian, jakie wówczas zachodziły, rzucając na historyczny proces tworzenia podwalin Polski Ludowej.

Tak więc 31 grudnia 1943 roku o godzinie osiemnastej trzydzieści przy ulicy Twardej 22 w Warszawie w mieszkaniu nr 14 Bolesław Bierut - „Janowski” otworzył pierwsze posiedzenie KRN, na którym zebrało się 19 przedstawicieli, inicjatorów powstania KRN. Nie wszyscy byli na zebraniu obecni, gdyż nie pozwalały na to względy bezpieczeństwa. Najpierw reprezentanci poszczególnych ugrupowań i organizacji złożyli

uroczyste deklaracje. Potem o godzinie 23 „Janowski” odczytywał tekst ślubowania, powtarzany cicho przez zebranych: „Ja, członek KRN, syn Narodu Polskiego, cierpiącego barbarzyńską niewolę niemiecką, ślubuję uroczyście poświęcić całkowicie swoje zdolności rzetelnej pracy [...], zgodnie z sumieniem pracować nad kierowaniem losami narodu w walce o Wolną, Niepodległą, Demokratyczną Polskę...”

Po przerwie w obradach, mających 14 punktów porządku, po północy głos zabrał generał Żymierski - „Lipski”, jak wiele osób z tego grona ze względu na niebezpieczeństwo dekonspiracji występujący pod nowym pseudonimem.

Przygotowany przez niego na wniosek PPR i komitetu organizacyjnego KRN referat przedstawiał wojskowo-organizacyjną koncepcję Armii Ludowej.

Wcześniej KC PPR podjął uchwałę zakładającą absolutną autonomię organizacji wojskowych, wchodzących w skład AL. Samodzielne formacje wojskowe miały koncentrować swoją działalność operacyjną pod wspólnym kierownictwem wojskowym (dla przykładu jedynie podam tu oddział Straży Chłopskiej pod dowództwem por. Juliana Kaczmarczyka, wchodzący w skład 1 Brygady AL im. Ziemi Lubelskiej). We wspomnianym referacie generał Żymierski położył więc wielki

nacisk na głoszone przez PPR hasło jednoczenia wysiłków w walce o niepodległość. Hasło, które nabierało coraz większego znaczenia wraz z rozwojem wydarzeń na froncie wschodnim, kiedy naród polski mógł szybciej odzyskać niepodległość w oparciu o współpracę i pomoc rządu radzieckiego i Armii Radzieckiej, u boku której walczyły oddziały Odrodzonego Wojska Polskiego. Dlatego też w swoim wystąpieniu generał „Lipski” potępił bierność organizacji wojskowych podległych rządowi londyńskiemu, uważając, że nie ma rzeczy pierwszej od walki o wyzwolenie narodu.

PPR, KRN i AL, stojące na stanowisku

włączenia do sił zbrojnych lewicy jak największej liczby formacji wojskowych, aby nie hamować rozwoju ruchu partyzanckiego, wiedziały, że należy zmobilizować wszystkie wysiłki, chcąc stworzyć armię świadomą celów, o które walczy. Świadomość, że celem tym jest zwycięstwo ideału Polski demokratycznej, w której faktycznym gospodarzem będzie robotnik, chłop i inteligent pracujący, miała być motorem czynów, wyzwalamym bohaterstwo i ofiarność. Natomiast zadaniem kierownictwa politycznego i dowództwa AL było tę walkę zorganizować i poprowadzić do zwycięstwa.

Dowództwo Naczelne AL, zgodnie

z założeniami określonymi w programowym wystąpieniu generała Michała Żymierskiego na pierwszym posiedzeniu KRN, miało planować i organizować działania zbrojne w kraju, koordynując je przede wszystkim z operacjami dowództwa wojsk radzieckich. Obok nieustannej walki zbrojnej z okupantem zadaniem AL było przygotowanie kadry do przeprowadzenia w przyszłości wspólnie z 1 Armią Wojska Polskiego ogólnej mobilizacji i zorganizowania administracji na terenach wyzwolonych.

W skład Dowództwa Głównego AL wchodził przedstawiciel KRN, której AL była podporządkowana zgodnie z postulatem programowym, aby nie

dopuszczyć do przewagi czynnika wojskowego nad politycznym kierownictwem narodu. W myśl tej zasady w gestii Dowództwa Głównego AL pozostały decyzje w sprawach personalnych do stopnia pułkownika włącznie, natomiast stopnie generalskie nadawała KRN. Wspominałem już o zniesieniu cenzusu oficerskiego, co wyrażało tendencję demokratyzowania AL, i tak bardzo ściśle związanej ze społeczeństwem. Podporządkowana Krajowej Radzie Narodowej Armia Ludowa nie mogła być użyta do celów niezgodnych z interesem narodu, do prowadzenia polityki agresji czy prób wyłączenia jej spod kontroli parlamentu w celu zaspokojenia osobistych ambicji.

W ten sposób w strategii PPR, KRN i AL zerwano z niechlubnymi tradycjami z okresu międzywojennego.

Na wspomnianym posiedzeniu, po szerokiej dyskusji w sprawach polityczno-prawnych, organizacyjnych i ideowo-politycznych KRN uchwaliła między innymi dwa dekryty: *O powstaniu i organizacji Armii Ludowej* i *O organizacji Dowództwa Głównego Armii Ludowej*. Na wniosek KC PPR generała Michała Role-Żymierskiego mianowano Naczelnym Dowódcą AL, a szefem Sztabu Głównego został płk Franciszek Józwiak - „Witold”, dotychczasowy szef Sztabu Głównego GL.

Rozpoczęła się teraz wytężona praca nad realizowaniem nowej koncepcji ruchu partyzanckiego. Dotychczasowe wzory walki partyzanckiej nie zdawały egzaminu w warunkach II wojny. Należało więc przede wszystkim uregulować ruch partyzancki przez nadanie mu kierunku operacyjnego w powiązaniu z frontem wschodnim. Operacje zaczepne Armii Radzieckiej przeprowadzane były często we współdziałaniu z ruchem partyzanckim, któremu w końcowej fazie stawiano coraz większe zadania. Już w poprzednich latach doświadczenia wojenne wykazały, że we wrażliwej strefie tyłów operacyjnych wroga można prowadzić bardzo skuteczne działania

przy pomocy rajdów kawalerii lub innych wojsk szybkich czy lotnictwa i desantów. Do najskuteczniejszych operacji na tyłach należała jednak konsekwentna, wszechstronna i intensywna walka partyzancka, paraliżująca możliwość manewru i wiążąca siły nieprzyjaciela. Myślę, że jednym z dowodów mogą być tu działania wielkich zgrupowań partyzanckich na Ukrainie i Białorusi czy od wiosny 1944 roku na Lubelszczyźnie, gdzie np. jednym z inicjatorów operacji „Sturmwind” było dowództwo grupy armii „Północna Ukraina”, najbardziej odczuwające partyzanckie uderzenia na tyłach.

Tak poważne zadania bojowe mogły

wykonywać skoncentrowane siły, wyszkolone w walce, podlegające jednolitemu dowództwu wyznaczającemu teren operacyjny. Z tą myślą na rozkaz Naczelnego Dowódcy AL przystąpiono do tworzenia brygad, które w późniejszym okresie po połączeniu z 1 Armią WP miały wejść w skład regularnego wojska. Warto zwrócić uwagę, że generał Żymierski, już jako Naczelnny Dowódca Wojska Polskiego, w lipcu 1944 roku włączył brygady partyzanckie operujące na zachód od Wisły do Wojska Polskiego, aby w ramach walki partyzanckiej realizowały cele operacyjne regularnej armii.

Ale zanim to nastąpiło, jeszcze

w styczniu 1944 roku w organie KRN pt. „Rada Narodowa” ukazał się komunikat o powołaniu nowej reprezentacji narodu - KRN i jej siły zbrojnej - AL. Wiadomość ta odbiła się szerokim echem w całym ruchu konspiracyjnym, gdyż prasa lewicy, podkreślając wielkie znaczenie tych faktów, z satysfakcją przyjęła zadania wynikające z powstania frontu ludowo-demokratycznego. Na razie na czołowym miejscu wśród celów stawianych przed lewicą była walka o wolność, ale później, już w warunkach niepodległości, miała nastąpić pełna realizacja programu reform społecznych.

Tymczasem ośrodki dyspozycyjne obozu londyńskiego, świadome, że powstanie nowej politycznej reprezentacji,

tworzącej ogniwa władzy ludowej, stanowi wielkie zagrożenie dla ich interesów, przypuściły generalny szturm, rozpętując kampanię antyradziecką, walcząc konsekwentnie przeciw lewicy i przygotowując nowe strategiczne przedsięwzięcia, jak np. plan „Burza”.

Krajowa Rada Narodowa w marcu 1945 roku wystąpiła z wezwaniem do narodu polskiego, potępiając szczególnie kampanię antyradziecką jako sprzeczną z interesami Polski, której wyzwolenie i rozwój, jak podkreślano, może nastąpić tylko w oparciu o trwałą przyjaźń z ZSRR. Wzywając wszystkich do walki, KRN szczególnie gorąco apelowała do żołnierzy BCh i AK, aby odeszli od wstecznej polityki

emigracyjnych kół londyńskich i wszystkie siły poświęcili walce o niepodległość.

W zaostrzającej się sytuacji należało zwracać uwagę na zachowanie maksymalnej ostrożności. Kierownictwa polityczne i wojskowe, PPR, KRN i AL, łączyły ożywione kontakty i ścisła współpraca. Każda ważniejsza decyzja, wspólnie konsultowana, była często omawiana poza normalnymi posiedzeniami. Zorganizowanie i utrzymanie właściwych kontaktów stawało się jednym z najważniejszych elementów wiedzy konspiracyjnej.

Biorąc systematyczny udział w posiedzeniach KC PPR, płk

Franciszek Jóźwiak - „Witold” informował o sprawach Armii Ludowej i sytuacji na frontach. Natomiast w KRN tego rodzaju sprawozdania składał co tydzień Naczelny Dowódca AL, generał Michał Żymierski. Oceny te miały niesłychanie istotne znaczenie, gdyż w oparciu o nie podejmowano ważne decyzje polityczne, które, oparte o złe prognozy, mogłyby wyrządzić ogromne szkody.

O miejscu wspomnianej problematyki przekonać się można analizując choćby sprawozdanie z posiedzeń KRN. Dla przykładu podam porządek dzienny z dziewiątego posiedzenia w dniu 29 lutego 1944 roku:

1. Przegląd procesu organizowania się rad narodowych;
2. Nasilanie akcji walk bratobójczych;
3. Sprawy Armii Ludowej;
4. Przemówienie Churchilla w sprawie stosunków polsko-radzieckich;
5. Sprawozdanie z pracy kół (KRN);
6. Różne.

W punkcie 3: „Przyjęto do wiadomości rozkaz Dowództwa Głównego Armii Ludowej nr 5, w sprawie akcji konsolidacyjnej działalności czynnych w walce z okupantem formacji wojskowych, współpracy w tworzeniu rad narodowych i wysiłków w kierunku

dozbrojenia Armii Ludowej”.

Na posiedzeniu piętnastym w dniu 29 kwietnia 1944 roku w interesującym nas punkcie drugim czytamy: „Przedstawiciel Dowództwa Głównego AL poinformował Prezydium KRN o sytuacji na frontach i walkach wewnątrz kraju. Przyjęto do wiadomości rozkaz nr 18, wydany do żołnierzy w związku z rocznicą 3 maja...”

W sprawozdaniu szesnastym z posiedzenia w dniu 10 maja 1944 roku w punkcie 2 znajduje się ocena: „włączenie NSZ do AK, propagowanie walk bratobójczych przez reakcję i zbliżanie się chwili wkroczenia Armii

Czerwonej na tereny polskie wzmogło niezadowolenie i pogłębiło różnicę zdań wśród żołnierzy, a nawet niektórych dowódców AK w stosunku do swego kierownictwa. W związku z tym Prezydium postanowiło wydać specjalną odezwę KRN do żołnierzy i oficerów Armii Krajowej...”

Tak więc KRN sprawowała zwierzchnictwo polityczne nad AL, zajmując stanowisko w zasadniczych sprawach. Pod koniec marca 1944 roku na posiedzeniu KRN generał „Rola” poinformował zebranych o organizowaniu przez Komendę Główną AK w porozumieniu z rządem emigracyjnym powstania zbrojnego w Warszawie. Informacje te uzyskał

wywiad AL okręgu 3 - Warszawa Prawa Podmiejska. Kierownictwa PPR, KRN i AL natychmiast wyciągnęły słuszny wniosek, że rolę zasadniczą odgrywają tu przesłanki polityczne, mające na celu przygotowanie gruntu do uchwycenia władzy przez obóz londyński.

Generał Żymierski, referując wówczas sprawę na posiedzeniu KRN, uzasadniał dlaczego plan wywołania przez Komendę Główną AK i delegaturę rządu londyńskiego powstania w Warszawie jest wielkim błędem politycznym i wojskowym. Stwierdził, że w warunkach współczesnej wojny walka w tak dużym mieście, w izolacji doprowadzi do katastrofy. Dodał też, że jeżeli dowództwu AK zależy na mocnym

zaznaczeniu swej obecności wśród walczącego podziemia, to może wyprowadzić oddziały do lasów poza Warszawę, gdzie walka toczy się od dawna.

Hitlerowcy budowali wówczas żelbetonowe umocnienia obronne na prawym brzegu Wisły na linii: Otwock - Mładz - Zanęcin - Wiązowna - Miłosna - Rembertów - Zielonka - Struga - Nieporęt, przygotowane dla potrzeb wojsk pancernych. Przedpola na wschód od Pragi i cała dzielnica miały spełnić rolę przyczółka mostowego. Silną obronę przygotowali Niemcy również na linii Wisły. Toteż w kwietniu 1944 roku Naczelnny Dowódca AL, analizując na posiedzeniu KRN sytuację na froncie

wschodnim, uzasadniał, że Armia Radziecka będzie musiała zatrzymać się na Wiśle, jako większej przeszkodzie wodnej, od trzech do czterech miesięcy, aby zrobić tzw. przerwę operacyjną. W tym czasie powinno nastąpić uzupełnienie Armii Radzieckiej w ludzi i sprzęt. Blżej frontu muszą być podciągnięte lotniska polowe, szpitale, magazyny żywności, amunicji i materiałów pędnych.

Biorąc za punkt wyjścia prawidłowe wyniki analizy sytuacji politycznej i militarnej, Dowództwo Główne AL konkretyzowało cele operacyjne, dążąc do rozszczepienia sił niemieckich na froncie wschodnim. Oprócz zmian w strukturze organizacyjnej podległych

sobie sił zbrojnych dużą uwagę przywiązywano do upowszechnienia taktyki walki partyzanckiej, przysyłając instrukcje dla oficerów, podoficerów i szeregowych żołnierzy. Dawano także wytyczne dotyczące sposobów prowadzenia poszczególnych rodzajów akcji bojowych, jak sabotaż, walka w mieście czy użycie materiałów wybuchowych. Sprawą, na którą również zwracałem uwagę, było inspirowanie przez Dowództwo Główne AL pracy politycznej w oddziałach i wśród ludności. Główny ciężar działalności wychowawczej spoczywał na komórkach partyjnych, dowódcach i specjalnie powołanych przez Dowództwo Główne AL pracownikach

aparatu propagandowego, ale nikt od tych zadań nie mógł czuć się zwolniony. Dbłość o poziom świadomości wynikała z samej idei powołania AL jako siły czynnie angażującej się w realizację zadań stawianych przez PPR i KRN. Armia Ludowa odrzuciła zasadę apolityczności, lansowaną przez pozornie apolityczne burżuazyjne siły wojskowe, broniące rękami żołnierzy, pochodzących z robotników, chłopów, rzemieślników i inteligencji, interesów klas posiadających, za wszelką cenę chcących utrzymać armię pod swoim wpływem.

Wszystkie prace koncepcyjne, nie tylko o charakterze operacyjnym, wykonywało Dowództwo Główne AL ze Sztabem

Głównym, w skład którego wchodziły oddziały: operacyjny, informacyjny, zaopatrzenia i broni, propagandy i bezpieczeństwa. Oddziały dzieliły się na wydziały, a w miarę potrzeb powoływano dowódców poszczególnych broni i szefów służb. Aby zwiększyć efektywność pracy w warunkach konspiracyjnych, utworzono sztab ścisły będący organem doradczym Naczelnego Dowódcy. W jego skład wchodziło Dowództwo Główne i szefowie oddziałów. Dowództwa i sztaby obwodowe różniły się tym, że zamiast przedstawiciela KRN występował w nich oficer operacyjny. Nie było w nich również oddziałów, tylko odpowiedni

oficerowie wykonujący wyznaczone zadania. Ponieważ wcześniej poświęciłem dużo uwagi strukturze jednostek polowych AL, podkreślę teraz jedynie, że wewnętrzną organizacją nie odbiegały one od grup garnizonowych AL. Wspólną cechą wszystkich ogniw sił zbrojnych było, oprócz walki, zadanie budowania konspiracyjnych komórek władzy ludowej i wspomniana już wcześniej praca propagandowa. W ten sposób Armia Ludowa reprezentowała współzależność między strategią polityczną PPR i lewicy a militarną rolą sił zbrojnych, łącząc polityczną i wojskową płaszczyznę działania.

Jak już wspomniałem, kierownictwa wszystkich szczebli zalecały ogromną rozwagę i ostrożność działania. Sprawom bezpieczeństwa poświęcono jedno z posiedzeń KRN, kwestie te omawiano także na zebraniach rad narodowych w terenie. Toteż kiedy na którymś z kolejnych posiedzeń Prezydium KRN generał „Rola” zgłosił bezprecedensowy w warunkach konspiracji wniosek udania się na inspekcję jednostek AL na Lubelszczyźnie, zapanowała konsternacja. Pisałem już, jak my odbieraliśmy wizytę Naczelnego Dowódcy, więc teraz chciałbym przedstawić te wydarzenia niejako z punktu widzenia naszego ówczesnego

gościa.

Podczas wspomnianego posiedzenia po chwilowym milczeniu wywiązała się burzliwa dyskusja. Argumenty wysuwane przez generała „Rolę”, pragnącego osobiście zapoznać się z sytuacją w oddziałach i nawiązać bezpośrednie kontakty, krzyżowały się z kontrargumentami. Generalnie podnoszono sprawę wielkiego ryzyka. W warunkach okupacji i konspiracji do tej pory nie było przypadku inspekcji całych jednostek polowych w jednym rejonie. W końcu doceniono wartość samej idei i po skonsultowaniu z KC PPR Naczelnny Dowódca otrzymał zgodę KRN na wyjazd w lasy parczewskie.

Niecodzienna podróż rozpoczęła się od podpunktu konspiracyjnego przy ul. Chłodnej, gdzie Naczelny Dowódca udał się z szefem Sztabu Głównego AL, płk. „Witoldem”. Spotkali się tam z łączniczką KC PPR, towarzyszką Janiną Kalinowską, która miała towarzyszyć generałowi do sztabu Obwodu II, gdzie gościa oczekiwał powiadomiony już ppłk Mieczysław Moczar. Połączeni teraz węzłem pokrewieństwa, towarzyszka „Jasia” i generał, jako siostrzenica i wujek, udali się nazajutrz w podróż koleją do Łukowa. Dotarli tam, gdy było już ciemno. Na małej stacyjce bardzo często „urzędowało” gestapo, toteż czekaniu na połączenie towarzyszyła ciągła

czujność. Nad ranem stłoczonym i zmęczonym pasażerom podano do wiadomości, że pociąg osobowy do Lublina ma kilkugodzinne opóźnienie. Generał postanowił szukać jakiejś „okazji”. Razem z „siostrzenicą” przepytawali kolejarzy, którzy wskazali im starszego wiekiem maszynistę. Z początku nie chciał on nawet słyszeć o podwiezieniu ich w parowozie do Gródka. W końcu jednak, obłaskawiony „nagrodą”, kazał wsiadać do węglarki, uprzedzając, że w pociągu jedzie niemieckie wojsko. W towarzystwie milczącego niemieckiego wartownika przez Radzyń Podlaski, Milanów i Parczew dojechali do Gródka, aby stamtąd pieszo, przez Tyśmienicę, dojsć

do nie istniejącej, spalonej doszczętnie podczas pacyfikacji wsi Jamy, położonej koło Ostrowa Lubelskiego. Potem już prowadzeni przez przewodnika, żołnierza AL, dotarli do sztabu Obwodu II.

Ciekawi wszystkiego partyzanci wypytywali, jak wygląda konspiracja w Warszawie i jaka jest sytuacja w ogóle. Nie wiedząc dokładnie, kim jest ich gość, delegat, jak mówiono, byli potem bardzo zaskoczeni, dowiedziawszy się, że to prawdziwy generał.

Tak się złożyło, że przyjazd generała Żymierskiego w lasy parczewskie zbiegł się ze świętem 1 Maja, które obchodzono tu szczególnie uroczyście.

Zebrało się wielu gości, wśród których byli partyzanci radzieccy, przedstawiciele BCh i AK, rodziny partyzantów, mieszkańcy okolicznych wiosek. Po przeglądzie oddziałów akademię zagał kpt. Gustaw Alef-Bolkowiak, oficer propagandy w 1 batalionie im. J. Hołoda. Potem przemówienia wygłosili: Zygmunt Goławski - „Niwa”, pełniący obowiązki przewodniczącego WRN pod nieobecność Kazimierza Sidora, który udał się z delegacją KRN do Moskwy, oraz dowódca Obwodu II, ppłk Mieczysław Moczar, gorąco apelujący do ludności, aby nadal udzielała walczącym partyzantom daleko idącej pomocy. Następnie zebrani

entuzjastycznie przyjęli depeszę odczytaną przez kpt. Aleksandra Skotnickiego - „Zemstę”. Naczelne Dowództwo Armii Radzieckiej pozdrowiało w niej partyzantów walczących o niepodległość Polski.

W tym samym dniu, gdy jeszcze trwały uroczystości, generał „Rola” razem z ppłk. „Mietkiem” wyjechał do bardzo ładnie położonej wśród lasów nad jeziorami wsi Zamłyniec na spotkanie z płk. Iwanem Banowem - „Czornym”, dowódcą radzieckiego oddziału.

W czasie rozmowy okazało się, że Banow zna nazwisko Naczelnego Dowódcy. Wysłuchawszy informacji na temat działalności partyzantów na

Lubelszczyźnie, generał zapoznał Banowa z sytuacją polityczną w Polsce, proponując uściślenie współdziałania z Armią Ludową. Poruszony został także temat braku broni, ograniczający możliwość walki. Banow jeszcze tego samego dnia przekazał dwa karabiny maszynowe z zapasem amunicji, obiecując w najbliższym czasie rozpoczęcie odpowiednich starań drogą radiową. Generał omówił jeszcze sprawę rozmieszczenia ważniejszych obiektów Wehrmachtu i wielkości sił niemieckich w Warszawie.

Następnego dnia Naczelnny Dowódca wraz z dowódcą Obwodu II rewizytowali płk. Banowa w miejscu jego postoju we wsi Drozdówka, istnej

małej fortecy z rozbudowanymi stanowiskami ciężkich karabinów maszynowych, rusznic przeciwpancernych itd. Nadjeżdżających przywitała warta honorowa, hymn polski i „Międzynarodówka”, odegrane przez harmonistę „Żorę”. Wszyscy byli wzruszeni - i goście, i mieszkańcy wioski, i sami partyzanci radzieccy, bo i niespodzianka do codziennych nie należała. A kiedy „Żora” odegrał polskiego marsza generalskiego, wielkie zdumienie ogarnęło wszystkich. Serdeczne przyjęcie zakończyło się podarowaniem ppłk. „Mietkowi” dwóch rusznic przeciwpancernych, kilku pistoletów i karabinów maszynowych.

Potem znowu uroczyście obchodzono

dzień 3 maja - znowu wspólnie z przybyłymi partyzantami radzieckimi i mieszkańcami Bójek, Rudki, Białki i Jedlanki. Najpierw odczytany został rozkaz okolicznościowy Dowództwa Głównego AL, w którym omówiono sytuację polityczno-wojskową i wytyczono zadania bojowe, organizacyjne i propagandowe na najbliższy okres. Potem przemawiał Naczelny Dowódca AL. W trakcie uroczystości porucznicy Mikołaj Meluch - „Kolka” i Stanisław Gajuś - „Stasiek” wyszli z oddziałami na akcję bojową w rejon Lasek.

W dniu 4 maja odbyła się odprawa wszystkich dowódców oddziałów partyzanckich z lasów parczewskich.

Wzięło w niej udział około 20 oficerów polskich i radzieckich, wśród których między innymi byli: płk Iwan Banow, kpt. Włodzimierz Czepiga, mjr Anatol Kowalenko - „Bielow”. Postanowiono wówczas podjąć kroki zmierzające do wyznaczenia rejonów operacyjnych, aby partyzanci polscy i radzieccy nie dublowali akcji bojowych, tracąc niepotrzebnie czas, materiały wybuchowe i sprzęt.

W związku z planowanym wymarszem oddziałów do lasów janowskich w nocy z 5 na 6 maja, podczas narady pod przewodnictwem generała, ustalono sposób wyjścia z lasów parczewskich.

Rozstanie z dowódcą nastąpiło w lasach

koźłowieckich, skąd generał przy pomocy miejscowych bechowców wyjechał końmi do najbliższej stacji kolejowej. Dotarłszy szczęśliwie do Warszawy generał Żymierski złożył sprawozdanie, a Prezydium KRN wysoko oceniło wyniki jego inspekcji, uznając, że wyjazd ten będzie doniosły w skutkach zarówno dla KRN, jak i AL.

W dniu 5 czerwca 1944 roku radiotelegrafistka „Jadwiga”, obsługująca jedną z pięciu czynnych wówczas radiostacji KC PPR i Sztabu Głównego AL w Zalesiu koło Warszawy, odebrała wiadomość o konieczności jak najszybszego wyjazdu generała „Roli” do Moskwy. Razem z pierwszą delegacją KRN miał

on prowadzić rozmowy w sprawie uzbrojenia i pomocy wojskowej ZSRR w kontekście przygotowywanego połączenia AL z 1 Armią w Wojsko Polskie. Już następnego dnia, tj. 6 czerwca, generał został powiadomiony przez sekretarza KC PPR o decyzji partii i KRN w sprawie wyjazdu. W skład tzw. drugiej delegacji, pod kierownictwem generała „Roli”, wchodził Jan Czechowski i Stanisław Kotek-Agroszewski. W dniach 8 i 9 czerwca Bolesław Bierut i Władysław Gomułka prowadzili z Naczelnym Dowódcą rozmowy związane z wyjazdem. Potem generał „Rola” z generałem Franciszkiem Józwiakiem, obejmującym na czas nieobecności

generała Żymierskiego obowiązki Naczelnego Dowódcy, przystąpili do opracowania planu podróży.

Wyjechali 10 czerwca rano, zaopatrzeni w listy do członków pierwszej delegacji, pełnomocnictwa i inne dokumenty, z Dworca Wschodniego na Lubelszczyznę. Delegacji towarzyszyła, jak poprzednio, Janina Kalinowska, ale potem miała jej przybyć do pomocy łączniczka Kazimiera Skrzypkowa - „Ciotka” (zginęła 22 czerwca z dwiema córeczkami pod Góreckiem Kościelnym).

Okazało się, że los zdeorganizował całkowicie wszystkie przygotowania. W Lublinie trzeba było czekać na

połączenie do Kraśnika kolejną w kierunku Rozwadowa. Kiedy już nocą znaleźli się w lesie za Kraśnikiem nastąpiła nieprzewidziana przerwa w podróży. Przejeżdżający tędy nieco wcześniej pociąg został ostrzelany przez partyzantów, lokomotywa wyrzucona na nasyp, a tor uszkodzony. Wszystko wskazywało, że przerwa w ruchu potrwa kilka godzin. Padłszy „ofiara” własnych rozkazów, generał postanowił na piechotę dotrzeć do Rzeczyca.

Wkrótce zresztą miał się spotkać ze sprawcą zakłócenia w podróży, z „Cieniem”, którego oddział znajdował się poza pierścieniem niemieckiego okrążenia wokół lasów w operacji „Sturmwind I” i wykonywał swoją

partyzancką robotę. Rankiem generał wraz z łączniczką dotarł do sklepu w Rzeczycy Ziemiańskiej i przez Bronisławę Momotową - „Kumę” został skontaktowany ze mną. Piszę dalej o pierwszej serdecznej gościnie, udzielonej nam tego dnia przez rodzinę Jana Szymańskiego w Trzydniku. Wspomnę więc tylko, że nikt z obecnych wówczas nie przeczuwał, iż na naszych gospodarzy spadnie wkrótce okrutny cios. Nieobecny tego dnia syn Szymańskiego, Aleksander, dowódca kompanii sztabowej w 1 Brygadzie AL im. Ziemi Lubelskiej, zginął wkrótce 22 czerwca pod Góreckim Kościelnym.

Tak się złożyło, że generał, przyjechawszy w czasie rozpoczęcia

operacji „Sturmwind”, śledził bacznie razem z nami wydarzenia w lasach lipskich i janowskich. Wiadomości, przekazywane do pełniącego obowiązki dowódcy Obwodu II AL, mjr. Jana Wyderkowskiego - „Graba”, oraz dowódcy okręgu 5 AL, por. Tadeusza Szymańskiego - „Lisa”, generał analizował skrupulatnie.

Nasza brygada, po ciężkiej walce pod Góreckiem Kościelnym w czasie drugiej fazy operacji „Sturmwind” w Puszczy Solskiej przebiła się przez okrążenie i w ciągłych starciach przesuwała się w kierunku lasów lipskich. Po powrocie oddziałów generał odbierał raporty, rozmawiał z partyzantami o stoczonych bojach. Ustalone wówczas straty sięgały

liczby 105 zabitych, 24 zaginionych, 107 rannych.

Potem generał „Rola” przeprowadzał przeglądy oddziałów, brał udział w naradach i odprawach, kompletując materiały potrzebne do rozmów w Moskwie. Delegacja zapoznawała się także z aktualną sytuacją w południowej Lubelszczyźnie oraz z przebiegiem prac nad tworzeniem rad narodowych, rozwojem oddziałów polowych i garnizonowych, biorąc udział w naradach aktywu, posiedzeniach konspiracyjnej WRN.

Moment odlotu delegacji z rejonu wsi Agatówka opisałem w innej partii książki. Potem były dwie godziny

spokojnego, poza krótkim ostrzałem przeciwlotniczym na linii frontu, lotu do Kijowa, skąd po dwóch godzinach przerwy samolot wystartował w dalszą drogę do Moskwy.

Potem czas tak zawrotnie pomknął naprzód, że wkrótce znowu, już w wyzwolonym Lublinie, meldowałem się u generała Michała Żymierskiego, jako Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego.

W ogniu bitew

W ostatnim roku okupacji nawet zima, zdaje się, była łaskawsza. Nie przerywając walki, zawsze w tych

miesiącach trochę tłamszonej, w trakcie reorganizacji wysyłaliśmy oddziały w ich rejony operacyjne.

Dodam, że już od stycznia, a więc w czasie, kiedy Niemcy nie mogli się tego spodziewać, ruch oporu został poważnie wzmocniony. Rozkaz przejścia za Bug otrzymało w tym czasie wiele jednostek partyzantów radzieckich, a niektóre z nich już od stycznia forsowały rzekę i, budowaną wzdłuż niej tzw. linię wyłapywania band, przedostając się w głąb Lubelszczyzny. Niezależnie od tego jeszcze późną jesienią czterdziestego trzeciego roku, po nawiązaniu kontaktu z generałem Aleksym Fiodorowem - „Czernihowskim”, wiedzieliśmy, że

starania dowództwa Obwodu II GL w sprawie współpracy z partyzantami radzieckimi spotkały się z bardzo przychylnym przyjęciem. Mieliśmy otrzymać specjalistów, pomoc w uzbrojeniu, a przede wszystkim miny tak bardzo nam potrzebne. Nasze siły spodziewaliśmy się też wzmocnić działającą dotąd na Wołyniu Brygadą im. W. Wasilewskiej pod dowództwem kpt. Stanisława Szelesta, która miała być podporządkowana AL. Na przełomie roku sztab Obwodu II AL gościł u siebie delegację od generała Fiodorowa, która miała zorientować się dokładniej w naszych potrzebach i możliwościach.

Sytuacja okupanta zdecydowanie pogorszyła się wówczas, kiedy z 8 na 9

lutego 1944 roku, po przejściu 2 stycznia środkowej linii frontu, na tereny polskie wkroczyła 1 Ukraińska Dywizja Partyzancka im. Sydora Kowpaka; nawiasem mówiąc, 25 lutego zreorganizowana w rejonie Kosobud na Zamojszczyźnie. Znana Niemcom od dawna, szczególnie po słynnym rajdzie na zagłębie naftowe, zwanym karpackim, 1 UDP przeprowadziła na terenie Lubelszczyzny wiele efektownych działań zbrojnych, które są wspomniane do dziś. Rozporządzając potężną siłą około 1500 ludzi, świetnie uzbrojona i wyszkolona, zmusiła okupanta do wydzielania specjalnych sił, ściąganych do walki z nią z innych terenów. Trudno powiedzieć o wszystkich akcjach,

ponieważ różnego rodzaju potyczek można naliczyć około 100. Oprócz tego kowpacy wysadzili kilka mostów, przeprowadzili kilkanaście akcji kolejowych, rozbili posterunki w Tarnogrodzie, Ulanowie, Krasnobrodzie, Krzeszowie. Ale chyba najbardziej efektowny był ostrzał artyleryjski z dział 45 i 76 mm Stalowej Woli, w wyniku którego zdezorganizowana została praca huty oraz unieruchomione elektrownia i wieża ciśnień.

Podczas ponadmiesięcznego rajdu 1 UDP, a później również inne oddziały radzieckie, wniosła nowe elementy do taktyki walki partyzanckiej na Lubelszczyźnie, razem z partyzantami

polskimi przyczyniając się do bardzo poważnego zagrożenia bezpieczeństwa okupanta.

Dowództwo Obwodu II poprzez Warszawę lub kontakty bezpośrednie wiedziało o napływających oddziałach radzieckich i wykonując polecenie Dowództwa Głównego AL, nawiązywało z nimi łączność, pomagało im, udostępniając dane o siłach niemieckich, miejscach postoju, ruchach wojsk itd.

Sytuacja z zaopatrzeniem w broń zdecydowanie zmieniła się od kwietnia, dzięki staraniom PPR, KRN i ZPP. Otrzymywaliśmy wówczas nie tylko zrzuty z ZSRR, ale również pomoc

specjalistów, którzy szkolili naszych partyzantów. Robili to również samorzutnie dowódcy oddziałów radzieckich, np. kpt. Włodzimierz Czepiga, który służył tego rodzaju pomocą batalionom 1 Brygady AL im. Ziemi Lubelskiej.

W tym czasie otrzymywaliśmy konieczne do szkolenia materiały instrukcyjne dla oficerów operacyjnych, sztabowych, służb zaopatrzeniowych, sanitarnych, jednostek kobiecych. Dowództwo Główne i dowództwa obwodowe kładły również silny nacisk na poziom pracy propagandowej, nierozzerwalnie związanej z zadaniami bojowymi. Trzeba było walczyć, prowadząc jednocześnie pracę z ludźmi. Aby to

robić dobrze, musieliśmy mieć ofiarnych działaczy. Na szczęście mieliśmy ich... lubianych, mądrych i oddanych. Wiele razy wspominałem już o Janie Sławińskim, człowieku życzliwym ludziom, który bardzo dużo zrobił dla partii. W niedługi czas po powrocie z Zamojszczyzny, gdzie pomagał w organizowaniu grupy operacyjnej im. T. Kościuszki, w połowie roku 1943 został sekretarzem Obwodu II PPR. Tkwiąc do końca w pracy politycznej, poległ 3 marca 1944 roku w Kaznowie wraz z Bolesławem Kwiatkiem - „Lechem”, sekretarzem PPR w okręgu 4, oraz Józefem Ozonem - „Kubusiem”, szefem sztabu okręgu 4 AL, kiedy wszyscy udawali się na posiedzenie

konspiracyjnej WRN. Obowiązki sekretarza Obwodu II PPR przejął w marcu Kazimierz Wyrwas - „Michał” i pełnił je do 14 czerwca 1944 roku; poległ w czasie akcji „Sturmwind”. Bardzo naturalną kolejną rzeczą stało się powierzenie kierownictwa partyjnego Aleksandrowi Szymańskiemu - „Alemu”, od dawna zaangażowanemu bez reszty w pracę polityczną i mającemu ogromny autorytet. I on również oddał życie za sprawę, której służył. Uzmysłowiłem sobie po raz któryś, że zbyt wielu znaczących działaczy partii nie doczekało wolności. Ciosy zadawane lewicy były więc celne, ale na szczęście ofiarni mogli zastąpić ofiarnych i w tym również tkwiła siła

PPR.

Kiedy wracam myślą do tamtych dni, zastanawiam się, skąd się brała ta ciągła gotowość do walki, w trudzie i o głodzie. Znałem wielu działaczy, którzy nie tylko mieli doskonale opanowane partyzanckie rzemiosło, ale i umieli pracować z ludźmi. Spotykałem ich na swej drodze od początku, odkąd połączyła nas sprawa, którą chcieliśmy doprowadzić do końca. Jednym z nich był na przykład Stanisław Szot - „Kot”, organizator PPR, oddziałów bojowych, członek kierownictw partyjnych obwodowego i okręgowego, a równocześnie oficer oświatowy Obwodu II AL. Każde przedsięwzięcie propagandowe zaczynało się więc

i kończyło na jednej najważniejszej sprawie - sprawie walki. Aby walczyć i zwyciężyć, musieliśmy umieć walczyć, gdyż, inaczej oddalalibyśmy się od celu. Dlatego właśnie dowództwo AL zwracało ogromną uwagę na polityczne aspekty partyzanckich działań zbrojnych, na propagowanie postępowych dążeń KRN, której podlegała AL.

Chciałbym przytoczyć fragment jednego z dokumentów i rozkazów Dowództwa Głównego AL w sprawie organizowania działalności propagandowej. Jest to rozkaz nr 10 z 8 marca 1944 roku:

- 1) Rozpowszechnienie haseł zbrojnej walki z okupantem o

Wolną i Niezawisłą Polskę Demokratyczną w najszerszych masach narodu jest niezbędnym warunkiem zwycięstwa. Pełna świadomość u żołnierzy AL celów i zadań narodu w obecnej sytuacji polityczno-wojskowej stwarza silniejszą ponad wszystko wartość wewnętrzną naszych oddziałów. Nieustanna oszczercza kampania zarówno okupanta, jak i reakcji przeciwko walczącemu narodowi polskiemu, jego przedstawicielstwu - Krajowej Radzie Narodowej i jego sile zbrojnej - Armii Ludowej, nakazuje demaskowanie kłamstw wrogów i zdrajców, umocnienie prawdy

i słuszności naszej sprawy.

Na tym odcinku walki bronią naszą jest propaganda. Praca propagandowa jest dla zwycięstwa równie ważna jak akcja bojowa.

Wszyscy dowódcy muszą zrozumieć, że dobrze postawiona propaganda wzmacnia i podnosi wartość bojową i moralną podległych oddziałów.

Wykonując ten rozkaz, powoływaliśmy oficerów do spraw propagandowych w oddziałach polowych i garnizonach AL, pełniących jednocześnie funkcje zastępców dowódcy. Działacze ci, podnosząc poziom wszechstronnego wykszolenia, przyczyniali się

jednocześnie do przybliżenia i zrozumienia celów, jakie mieliśmy przed sobą. A przed ofensywą wiosenno-letnią wojsk radzieckich liczył się każdy czyn na tyłach skierowany przeciw okupantowi.

Armia Radziecka na początku roku zajmowała pozycje na linii Równo - Łuck - Włodzimierz, aby wiosną wyjść w środkowej linii frontu na Kowel - Brody. Wspólnym wysiłkiem tu, na Lubelszczyźnie, dążyliśmy więc, aby okupant tracił kontrolę nad obszarem odgrywającym doniosłą rolę strategiczną. Przez Generalną Gubernię przechodziło $\frac{2}{3}$ dostaw na front, z tego znaczna część przez Lubelszczyznę. Należało więc utrzymywać w stałym

zagrożeniu linie kolejowe na Rawę Ruską, Brześć i Włodzimierz Wołyński oraz odcinki szos nie tylko w tych kierunkach. Systematycznie też, zgodnie z wytycznymi Dowództwa Głównego AL, prowadziliśmy akcje dywersyjne na linii Dęblin - Puławy, Hrubieszów - Chełm - Włodawa, Rozwadów - Lublin - Lubartów - Parczew, Lublin - Chełm. 1 Brygada miała na przykład objąć swym działaniem lasy lipskie, janowskie i częściowo Puszcę Solską, atakując linie kolejowe Rozwadów - Kraśnik oraz szosy Zaklików - Kraśnik, Nisko - Domostawa - Janów Lubelski, Frampol - Janów Lubelski, Kraśnik - Ostrowiec.

Mając większe doświadczenie i więcej potrzebnych materiałów, nie

poprzestawaliśmy na wysadzeniu pociągu, ale uniemożliwiliśmy także pracę ekip ratowniczych, co powodowało zablokowanie linii na dłuższy czas. Również wysadzając mosty czy minując drogi, nękaliśmy okupanta, zamykając mu dostęp do wsi i lasów.

Zdaje się, że w połowie marca w odległy teren operacyjny odszedł batalion „Przepiórki” z 1 Brygady AL im. Ziemi Lubelskiej, który jednocześnie miał na polecenie dowódcy Obwodu II nawiązać kontakt z oddziałami radzieckimi, przybywającymi zza Bugu. Partyzanci radzieccy przeprowadzali się zazwyczaj w rejonie Dołhobrodów, Sobiboru czy Dubienki, rzadko

nadchodzili z niezbyt popularnego kierunku - od Rawy Ruskiej, udając się następnie na północ, do lasów parczewskich, lub na południe - do lasów lipskich, janowskich i Puszczy Solskiej. Batalion „Przepiórki” razem z garnizonami AL i oddziałami polowymi podokręgu 1 miał prowadzić akcje dywersyjne, ze szczególnym uwzględnieniem linii kolejowych Zawada - Hrubieszów, Zawada - Krasnystaw - Rejowiec - Chełm oraz szos Zamość - Krasnystaw - Chełm. W początkach kwietnia, wspólnie z oddziałami mjr. Nikołaja Fiodorowa, kpt. Wasilenki, kpt. Nadielina i por. Sankowa, „Przepiórka”, toczył walki z Niemcami, a potem po oddzieleniu się

Fiodorowa, który poległ koło
Wojśławic 17 kwietnia, w ciągłych
potyczkach przeszedł z oddziałami
radzieckimi w lasy janowskie. Dodam,
że podczas działań batalionów
w odległym terenie wioski, niestety,
narażone były na terror ze strony NSZ,
jak to miało miejsce właśnie w marcu,
kiedy zginęli „Grzybowski” i
„Błyskawica”.

Myślę, że bardzo ważne w tym czasie
było równoczesne wytyczenie zadań dla
Obwodu III i okręgu 3 - Warszawa
Prawa Podmiejska, dzięki czemu
Niemcy musieli rozpraszać swe siły,
a wzmożona walka na dużym obszarze
spowodowała poważne zagrożenie dla
okupanta w czasie partyzanckiej wiosny

1944 roku.

Ze względu na konieczność zachowania bezpieczeństwa dowództwo Obwodu II AL było rozdzielone. Dowódca, ppłk Mieczysław Moczar - „Mietek”, miał swoją siedzibę w lasach parczewskich, gdzie działały zgrupowania polskich i radzieckich partyzantów.

Oddziały w lasach parczewskich od początku stanowiły ważne ogniwo w walce z okupantem. Pierwsze załóżki konspiracji wiązały się tutaj z inicjatywami działaczy lewicowych, wywodzących się z komunistów i radykalnych ludowców, którzy skupili się w Bojowej Organizacji Ludowej, tworzącej pierwsze grupy dywersyjne.

Potem dołączyli zbiegli jeńcy radzieccy, którym miejscowa ludność udzielała pomocy i schronienia z narażeniem życia. I tak na przykład późniejszego dowódcę oddziału GL, „Fiodora” (Fiodor Kowalow), uratowali ofiarni chłopci ziemi włodawskiej, pomagający mu i w chorobie, i w zorganizowaniu grupy bojowej. Tej właśnie grupie - dającej się później dobrze we znaki hitlerowcom - miejscowa ludność zawsze służyła czym mogła: kwaterą, żywnością, opierunkiem, bronią i rzetelną informacją o wrogu. Tam też - na ziemi włodawskiej - doszło do spotkania „Fiodora” ze znanym komunistą Janem Hołodem - „Kirpicznym”. Połączywszy się

utworzyli oni oddział partyzancki, przy czym dowódcą został „Fiodor”, a jego zastępcą „Kirpiczny”.

W okolicach Białej Podlaskiej oraz w Chełmie, Włodawie, Siedlcach i Suchożebrach Niemcy zorganizowali obozy dla jeńców radzieckich. Wielu jeńców uciekało z nich. Potem przy aktywnej pomocy okolicznych mieszkańców organizowali oni na tamtych terenach ruch zbrojny. Szczególną pomoc nieśli im polscy komuniści i radykalni ludowcy, którzy od samego początku stanęli na gruncie walki zbrojnej z okupantem.

Podobny był też początek grupy bojowej Jakowa Nikołajewa - „Czuwasza”, która

później weszła w skład oddziału „Fiodora” oraz Michaiła Pietrosjana.

Szczególnie aktywna była prekursorska działalność Bojowej Organizacji Ludowej (BOL), założonej z inicjatywy braci Sidorów, Kazimierza i Bolesława, braci Duklewskich, Józefa Szymanka, Bolesława Kwiatka, Stanisława Glinki, Stanisława Gajusia, Kazimierza Tkaczyka i innych.

W czerwcu 1942 roku oddziały z lasów parczewskich, zorganizowane w oparciu o BOL, po nawiązaniu przez Kazimierza Sidora kontaktu z przedstawicielami PPR, weszły w skład GL, tworząc oddział im. gen. Józefa Bema. Na wiosnę 1943 roku nazwę tę zmieniono

na oddział GL im. Adama Mickiewicza. Zapisał on piękną kartę w historii walk partyzanckich na Lubelszczyźnie. Mając dobrze zorganizowany wywiad na kolei i operatywną grupę minerską, w której w późniejszym okresie wyróżnił się m. in. Bolesław Drabik, żołnierz GL i AL z Tyśmienicy, oddział skutecznie atakował zwłaszcza linie kolejowe na trasie Lublin - Łuków, Dęblin - Łuków. Do bardzo głośnych akcji tego oddziału zaliczyć należy atak na Ostrów Lubelski w grudniu 1942 roku, kiedy zniszczony został urząd gminny, poczta i posterunek granatowej policji. Niejednokrotnie udawało się też temu oddziałowi szczęśliwie wychodzić z walk, z obław organizowanych przez ekspedycje karne

żandarmerii i policji. W kwietniu 1943 roku podczas operacji „Ostersegen” oddział o mało nie został rozбит. Dopiero pod wsią Jamy udało się partyzantom wyjść z okrążenia. Jednak zginęła wtedy bohaterska drużyna Jana Bardela, złożona przeważnie z byłych członków BOL.

Od maja 1943 roku dowódca Obwodu II GL ppłk Mieczysław Moczar - „Mietek” stąd, z lasów parczewskich, kierował działaniami GL na terenie całej Lubelszczyzny. „Fiodor” objął wówczas funkcję szefa sztabu Obwodu, którą pełnił do stycznia 1944 roku, do momentu przejścia na stałe za Bug. W 1944 roku 1 baon AL, po śmierci swego dowódcy, „Kirpicznego”, poległego

w walce z Niemcami 6 stycznia 1944 roku, otrzymał imię Jana Hołoda. Razem z „Kirpicznym” zginęli wówczas wracający z konferencji w Berejowie Józef Szymanek - „Pochroń”, dowódca okręgu 4 AL, Kazimierz Tkaczyk, sekretarz PPR okręgu 4. Wcześniej, w listopadzie 1943 roku, wraz z jedenastoma gwardzistami, zamordowany został w Pieńkach Kąkolewskich przez grupę akowców Jan Dadun - „Janusz”, dowódca nowo tworzonego 6 batalionu GL.

W miarę możliwości i „Fiodor”, i „Kirpiczny”, wykorzystując swoje kontakty ze zgrupowaniami partyzanckimi na Ukrainie, starali się o pomoc dla oddziałów GL.

Wyprawiony za Bug „Fiodor” powrócił właśnie na Lubelszczyznę w grudniu 1943 roku razem z delegacją od gen. Fiodorowa, przywożąc ważne ustalenia dotyczące współdziałania. Wcześniej, we wrześniu 1943 roku, dowództwo Obwodu wyprawilo za Bug kilku swoich przedstawicieli, którzy mieli zapoznać się z działaniami tamtejszych partyzantów i podjąć starania o broń. Wyjechał wówczas jeden ze współzałożycieli BOL i PPR, Czesław Gajuś, dowódca zwiadu w batalionie im. Hołoda.

Niejako po sąsiedzku, bardziej na zachód, w pasie między Tyśmienicą i Wieprzem, powstał w kwietniu 1942 roku, zorganizowany przez Franciszka

Wolińskiego, Jana Wójtowicza, Leona Marzętę i innych, późniejszy oddział im. Czapajewa pod dowództwem Nikołaja Kołosowa. W sierpniu został on wcielony do GL po spotkaniu z dowódcą lubelskiego okręgu GL Pawłem Dąbkiem.

Terenem działania tego ruchliwego i aktywnego oddziału była północna część Lubartowskiego oraz pogranicze Puławskiego, Radzyńskiego i Łukowskiego. Oddział ten wiosną 1943 roku podzielono i odtąd znaczna jego część pozostawała pod dowództwem Franciszka Wolińskiego, a podczas jego trzymiesięcznego leczenia po zranieniu, od maja 1943 roku zastąpił go Jan Wójtowicz - „Maciek”. Na początku

1944 roku „Frankowi” powierzono komendanturę 4 okręgu AL, a wówczas Jan Wójtowicz, Leon Marzęta i Jan Białek pełnili dowódcze funkcje w batalionie AL im. J. Hołoda.

Dla pełności obrazu dodam, że północna Lubelszczyzna leżała na granicy wpływów oddziału GL im. J. Kilińskiego (Łuków, Radzyń, Garwolin, Puławy), powstałego w drugiej połowie 1942 roku w Łukowskiem pod dowództwem Serafima Aleksiejewa - „Serafima”, który po przyjsciu Banowa - „Czornego” przyłączył się do niego.

Kiedy od stycznia 1945 roku na teren północnej Lubelszczyzny zaczęły napływać polskie i radzieckie oddziały

zza Bugu, siły partyzanckie poważnie się zwiększyły, mimo że część oddziałów nie zatrzymywała się tu na stałe.

Tak w ogólnym zarysie wyglądała sytuacja na północy Lubelszczyzny przed wydarzeniami majowymi, kiedy doszło do serii bojów z poważnymi siłami niemieckimi, dążącymi od lutego do zmniejszenia stanu zagrożenia w dystrykcie lubelskim. Na posiedzeniu u gubernatora Franka ciągle zwracano uwagę nie tylko na sytuację aktualną, ale też na możliwość szturm partyzanckiego, towarzyszącego wydarzeniom na froncie. Niemcy obawiali się utraty kontroli nad terenem stanowiącym bezpośrednie zaplecze frontu, jak to miało miejsce na Ukrainie

w 1943 roku, gdzie partyzanci radzieccy i polscy doprowadzili ich do utraty panowania nad sytuacją. Ale już w połowie marca, mimo przeciwdziałań okupanta, sytuacja, szczególnie aprowizacyjna, była tak niekorzystna, że Niemcy zaczęli obawiać się całkowitego ustania dowozu zboża, cukru czy drzewa z dystryktu lubelskiego. Ataki na linie komunikacyjne, obiekty gospodarcze i bierny opór ludności dawały dobre rezultaty. Stwierdzając całkowite zagrożenie linii Warszawa-Lublin-Lwów oraz Warszawa-Brześć, władze GG postanowiły podjąć kroki zmierzające do ratowania sytuacji. Wzmocniwszy grupy osłonowe na

zagrożonych odcinkach kolei i dróg oraz zwiększywszy liczbę ludzi w konwojach, podjęto decyzję o wznowieniu działania tzw. systemu punktów oparcia, zlikwidowanego przez Wehrmacht w końcu 1943 roku, przeznaczając do tego celu około 2500 żołnierzy. Dążąc do poprawy dowozu na front, okupant starał się energicznie o zakończenie budowy szybkiej linii rokadowej Małkinia -Lublin-Stryj, na której prace utknęły również ze względu na niebezpieczeństwo. A maj, kiedy rozpętała się prawdziwa partyzancka zawierucha, dopiero się zbliżał. Na razie mobilizacja sił policyjnych i żandarmerii do walki z partyzantami nie dawała żadnych rezultatów, toteż Frank

z zadowoleniem zakomunikował o wydzieleniu dodatkowych sił wojskowych, skierowanych na Lubelszczyznę. Wtedy przygotowano projekt kolejnej operacji przeciwpartyzanckiej, nazwanej kryptonimem „Burza majowa”.

Zanim atak nastąpił, do lasów parczewskich w końcu kwietnia przyjechał na inspekcję Dowódca Naczelny AL, generał Michał Żymierski - „Rola”. Dowódca Obwodu II AL, ppłk Mieczysław Moczar - „Mietek”, na adiutanta generała podczas jego pobytu na inspekcji wyznaczył ppor. Stanisława Glinkę („Adam Wrzos”). W życiu młodego żołnierza AL było to wielkie wydarzenie i dlatego sędzę, że dobrze

będzie, gdy dziś płk Stanisław Glinka sam opowie o swoich ówczesnych przeżyciach:

„Po przybyciu generała do wsi Bójki koło Ostrowa Lubelskiego, gdzie wówczas kwaterował sztab obwodu - dowódca, ppłk »Mietek«, wezwał mnie, rozkazując: »Będziesz adiutantem generała«.

Kiedy zameldowałem się u generała, ten przyjrzał mi się uważnie i powiedział: »Doskonale! Bądźcie blisko mnie i czekajcie rozkazu!«

Sprawą bezpieczeństwa generała zajmowało się całe nasze dowództwo i wszyscy chłopcy z batalionu. Do mnie należało tylko zaopatrzenie się

codziennie w »hasło« i «odzew», żeby zapewnić Naczelnemu Dowódcy swobodne poruszanie się po partyzanckim terenie. Czasem udzielałem też niezbędnych informacji czy wyjaśnień. Bardzo polubiłem generała. Wszyscy go lubiliśmy za bezpośredni i serdeczny stosunek, za dzielenie partyzanckich trudów na równi z nami wszystkimi, za doskonałą i przykładową dla nas znajomość żołnierskiego rzemiosła. Wielu wiedziało lub słyszało o tym, co znaczył generał w przedwrześniowej armii - jaką miał władzę, jak był niedostępny dla prostych żołnierzy, jak ważny w hierarchii wojskowej.

I nagle generał znalazł się wśród nas.

W tych pieskich warunkach - twardych, prymitywnych i niebezpiecznych. Generał - w jasnoszarym prochowcu z pistoletem na pasie - jadł tę samą strawę co my i spał pod tymi samymi koronami drzew.

Towarzyszyłem generałowi i podczas inspekcji oddziałów, i podczas narad czy odpraw, a także podczas pierwszomajowych uroczystości, które zorganizowaliśmy (z częścią oficjalną i artystyczną!) na Bójkach. Byłem z generałem na partyzanckich biwakach i w czasie nocnych marszów. Ale najgłębiej utrwaliły mi się w pamięci gorące chwile przygotowań do partyzanckiej obrony, gdy 6 maja 1944 roku zaatakowali nas hitlerowcy.

Z samego rana nadeszły meldunki, że szosą z kierunku Lubartowa zbliżają się niemieckie samochody pancerne. Zarządzono alarm bojowy dla wszystkich partyzanckich oddziałów na naszym terenie. Wysłano dwie kompanie celem przygotowania zasadzki. A na południowym skraju lasów parczewskich przystąpiono do organizowania partyzanckiej obrony.

Generał osobiście nadzorował owe przygotowania. I wtedy to, w atmosferze bitewnego podniecenia, miałem najwięcej roboty. Byłem bowiem łącznikiem między generałem a poszczególnymi odcinkami obrony.

Ale tym razem do spotkania - niestety -

nie doszło. Mówię »niestety«, bo tak, po prawdzie, trochę było mi żal - tyle ganiań, nadziei, że damy hitlerowcom łupnia, a oni nie przyszli. Wpadli w tę naszą zasadzkę i... po wszystkim. Wycofali się.

Jeszcze tego dnia wieczorem, to jest 6 maja, ruszyliśmy w drogę.

Generał 8 maja wyjechał z lasów kozłowieckich do Warszawy. My zaś rozpoczęliśmy długi partyzancki rajd, podczas którego czekały nas potyczki i boje z wrogiem. Na tej drodze stoczyliśmy też jedną z najkrwawszych bitew - bój pod Rąblowem...”

Podczas inspekcji generała postanowiono, że należy kontynuować

rozpoczętą przez ppłk. Moczara reorganizację i przystąpić do sformowania, w oparciu o batalion im. Hołoda, brygady AL, której dowódcą miał być kpt. A. Skotnicki - „Zemsta”. W jej skład miały wejść także inne oddziały z północnej Lubelszczyzny. Podjęto wówczas także decyzję o przemarszu sił partyzanckich do południowej Lubelszczyzny.

Niemcy przyspieszyli koncentrację sił, obawiając się decydującego uderzenia ze strony partyzantów. Dlatego w rejon ich bazy zaczęły napływać jednostki policji, żandarmerii i Wehrmachtu.

Od rana 6 maja zwiad donosił do sztabu informacje o ruchach nieprzyjaciela

w rejonie Kaznowa, Kolechowic i Ostrowa.

Kiedy ppłk „Mietek” rozkazał zaatakować Niemców z zasadzki, partyzanci rwali się do pójścia na tę akcję, chcąc jednocześnie zaprzętnąć czymś głowę, aby nie poddawać się nastrojowi pożegnań z ludźmi i miejscami bliskimi od lat. Tego dnia, kiedy kompania por. Jana Wójtowicza - „Maćka” i pluton Ludwika Borowskiego - „Ludwika”, wsparte pododdziałem por. Mikołaja Melucha - „Kolki”, zaatakowały Niemców w zasadzce koło Ostrowa, do starć doszło również z partyzantami od Leona Kasmana - „Janowskiego”, którego oddział wyszedł wieczorem, 6 maja, ze wsi Rudki do

lasów janowskich przez Orzechów Stary, Wolę Wereszczyńską, Zawadówkę. Również Brygada AL im. W. Wasilewskiej, stacjonująca we wsi Orzechów, wymaszerowała tego wieczoru na południe Lubelszczyzny.

W lasach parczewskich po wyjściu zgrupowania AL, pozostały oddziały radzieckie ze zgrupowania generała Siemiona Baranowskiego, ppłk. Banowa, oddział Anatola Kowalenki - „Bielowa” od ppłk. Prokopiuka oraz 4 kompania z baonu im. Hołoda, dowodzona przez por. Chyla Grynszpana - „Chyla”.

Kiedy wieczorem aelowcy ruszyli, na czele szła kompania porucznika

Stanisława Gajusia - „Stacha”. Za nią kolejno poszły: pluton sztabowy por. Józefa Gruszczyka - „Józka”, kompania por. Jana Białka - „Białego”, żołnierze z garnizonu BCh, kompania por. Jana Litki - „Janka”, por. Jana Wójtowicza - „Maćka” z plutonem gospodarczym i drużyną sanitarną, żołnierze plutonu AK por. Zbigniewa Stępki - „Mary”, ranionego później lekko pod Amelinem. Kolumnę zamykało ubezpieczenie tylne.

W marszu zegnali stolicę partyzancką północnej Lubelszczyzny, miasto Ostrów, od roku wyzwolone spod władzy okupanta. Potem minęli Kolechowice, Brzostówkę, Wolę Semicką, przeszli most na Wieprzu, wysadzając go za sobą, przeskoczyli

szosę Lubartów - Lublin, w odległości zaledwie trzech kilometrów od Lubartowa, aby o pierwszym brzasku dotrzeć do Trzcianca. I wreszcie znaleźli się w lasach kozłowieckich, gdzie czekał ich dwudniowy postój. Musieli się zorientować, co będzie dalej. Nie kryli swego odejścia z lasów, bo z doświadczenia wiedzieli, jak okupant przeprowadza działania przeciw partyzantom. Chcieli uchronić ludność przed pacyfikacją. A koło Wandzina i Majdanu Kozłowieckiego czuli się dobrze, otoczeni życzliwością mieszkańców.

Niemcy tymczasem przeszukiwali wioski w rejonie poprzednich baz: Mościska, Olchówkę i Kropiwki, gdzie

starli się z któryś z oddziałów radzieckich, Turno, Hole, Zamołodycze, Sosnowicę, Rudkę, Jedlanę, Białkę, no i... Ostrów. Ale do lasu nie wchodzili, wiedząc już chyba o wyjściu partyzantów, którzy opuściwszy lasy kozłowieckie zrobili postój w Dąbrówce. Zwiad pracował przez cały czas, docierając pod Kamionkę nad Wieprz, do placówek BCh, robił wszystko, aby ich nieprzyjaciel nie zaskoczył. Następnego dnia pod wieczór znowu ruszyli. Tym razem mieli przeskoczyć tylko dziewięć kilometrów, do Amelina, wsi otoczonej lasami kryjamskim, garbowskim i bagnami.

Szlakiem tym szli nie tylko oni, ale gdzieś obok także Brygada im. W.

Wasilewskiej, oddział „Janowskiego”, bataliony ze zgrupowania kpt. Czepigi, pod dowództwem kpt. Wasyla Koleśniczenki - „Wasi”. Toteż kiedy podczas postoju w Amelinie, wybuchła strzelanina w Dąbrówce, opuszczonej poprzedniego dnia, nie wiadomo było, kto się tam bije. Szybko zorganizowana przez ppłk. „Mietka” odsiecz przydała się i nieprzyjaciel musiał się wycofać. Pod wieczór nadciągali do Amelina walczący w Dąbrówce pod dowództwem ppłk. „Mietka” partyzanci z odsieczy i radzieccy ze zgrupowania Czepigi, który z częścią oddziału znajdował się już w lasach janowskich. Tego dnia wieczorem przybył również na krótko oddział AL z okręgu

Warszawa Prawa Podmiejska z Leopoldowa pod dowództwem por. Zdzisława Lisowskiego - „Śmiałego”. Kiedy nazajutrz Niemcy zaatakowali, polscy i radzieccy partyzanci walczyli już razem.

Przygotowali obronę na wschodnim skraju lasu kryjamskiego, mając za sobą bagna.

Linia partyzancka biegła łukiem, rozciągając się na długości siedmiu kilometrów. Stanowisko dowodzenia, drużynę sanitarną i odwód - dwa plutony - umieszczono w odległości trzech kilometrów od pierwszych linii w lesie garbowski. Walka rozpoczęła się pod dobrym znakiem, bo zaraz na początku

udało się zniszczyć pancerny samochód niemiecki.

Niemcy nie kwapili się do ataku, oczekując, być może, na posiłki. W tej sytuacji ppłk „Mietek” około pierwszej zdecydował uderzyć z północnego cypla lasu kryjamskiego manewrem okrążającym na oddaloną o pół kilometra wieś Samokłęski, aby zamknąć Niemców w rejonie Syr. Dwoma setkami ludzi, wyznaczonych do wykonania zadania, dowodził kpt. „Zemsta”. Nie udało się obejść Samokłęsk, z których Niemcy uciekli do Syr. Późnym wieczorem, po przerwaniu ognia, partyzanci odeszli z rejonu Amelina.

Kiedy partyzanci szykowali się już do marszu, nadleciał samolot, ale nie rozpoznawczy, zwany „suchym boćkiem”, tylko bombowiec, szperający reflektorami po lesie. Trzeba było spieszyć się, aby uciec jak najdalej. Jednak za Wolą Przybysławską zaczęły się piaski. Całą noc parli naprzód w piachu, a wczesnym rankiem, zmęczeni niehumanitarnie, przeszedszy szosę warszawską w rejonie Markuszowa, wkroczyli do Klementowic, skąd przeczekując dzień, mogli obserwować niecodzienny ruch na szosie Puławy - Kurów. Wiedzieli, że Niemcy szykują się do decydującego natarcia. Nocą znowu byli w drodze, z trudem pokonując rozmokłą w deszczu

wapienną glinę, krzewy na pagórkach i w jarach. Gdzieś niedaleko Wąwolnicy zatrzymali się na trochę, aby napić konie i odetchnąć nieco, po czym znowu ruszyli, teraz wzdłuż rzeczki, w stronę Zawady i Rąblowa.

Do Rąblowa, cichej wsi, leżącej wśród wąwozów i jarów, nadeszli od strony młyna w Zawadzie. Zajęli 5 części wsi: Rąblów-Folwark, Rąblów-Starą Wieś, Rąblów-Kolonie, Rąblów-Grabówkę, Rąblów-Łyse Góry i lasek koło nich. Czepigowcy stanęli w Rąblowie-Grabówce. Prócz posterunków wszyscy starali się jakoś odpocząć póki wcześnie, bo potem nie wiadomo, co będzie.

Koło dziewiątej, po krótkiej penetracji terenu przez „suche boćki”, nadleciały bombowce, „sztukasy”. Najpierw zbombardowany został folwark, gdzie kwaterował sztab. Ludziom - poza telegrafistą „Władkiem” - udało się cało wyjść z niebezpieczeństwa. W czasie nalotu zaczął płonąć Rąblów-Grabówka.

Na rozkaz pułkownika „Mietka” wszystkie oddziały przeniosły się na mizernie zalesiony pagór. Rozpoznawszy teren, przygotowali się do obrony, zajmując możliwie najdogodniejsze pozycje wśród wąwozów, jarów i zapadlin. Okazało się, że najtrudniejsza do obrony i, oczywiście, najdogodniejsza do ataku jest północna część pagórka, u którego

stóp, w dole, znajdował się młyn w Zawadzie, dalej Bartłomiejowice, a jeszcze bardziej w prawo szosa Nałęczów-Puławy. Z tej strony więc należało się spodziewać pierwszego uderzenia. I dlatego główne linie partyzanckiej obrony okrężnej znajdowały się na północnym wschodzie, obsadzone kompaniami por. Litki, Gajusia i Białka, plutonem bechowców z Ostrowa i plutonem AK „Mary”. W odwodzie znalazła się kompania „Maćka”, mająca wesprzeć główny odcinek obrony od strony wschodniej. Zbocza od strony południowej i zachodniej obsadzili czepigowcy. Wszyscy wiedzieli, że muszą dotrwać do zmroku, broniąc się

w bardzo trudnych warunkach, by nocą spróbować oderwać się od nieprzyjaciela. Na południu nadal płonąła Grabówka, więc stamtąd nie należało spodziewać się Niemców. Również zachodnia część, dość urwista, nie nadawała się za bardzo do ataku.

Przed głównymi liniami obrony na północno-wschodnim stoku pagórka specjalnie wydzielone grupy osłonowe miały osłabiać i rozpraszać uderzenia nieprzyjaciela.

Koło południa znów nadleciały bombowce. Po półgodzinnym bombardowaniu zaczęło się przygotowanie artyleryjskie. Półgodzinny ostrzał

z siedemdziesiątekpiątek i moździerzy jakoś przetrzymali i zaraz nadeszło natarcie, skąd się spodziewali - z północnego wschodu. Dopuściwszy nieprzyjaciela na bliską odległość, pierwszy atak partyzanci odparli. Na tyłach głównej linii obrony, gdzie głębokim jarem, biegnącym od podnóża pagórka, dostało się około pięćdziesięciu hitlerowców z 5 dywizji SS „Wiking”, doszło do walki wręcz. Wyparci przez kontratakujące pododdziały por. „Kolki” natknęli się na odwód por. „Maćka”. Jar i skraj lasu pokryły niemieckie trupy. Po pierwszym ataku było ich kilkadziesiąt. Zginęło też siedmiu partyzantów.

Pułkownik „Mietek” przesunął obronę

na południowy wschód, kiedy znów nadleciały „suche boćki”, rozpoznając południowe zbocze. Stamtąd wiec miało nadejść następne natarcie, poprzedzone ogniem artyleryjskim. Po rozpoznawczym ataku od północnego zachodu, natychmiast rozpoczął się szturm na południowy stok. Zatrzymali go w zaciętej walce czepigowcy wsparci grupami aelowców. A potem już trwał atak za atakiem, runął na partyzanckie pozycje i od strony Grabówki, Stanisławki i od wschodu. Przybywało rannych i zabitych, a dzień się nie kończył, nawet cisza przed ostrzałem artylerii i następnym natarciem wydawała się nie mieć końca.

Przed którymś z kolei atakiem, tuż po

ustaniu ognia artyleryjskiego, prawie o zachodzie słońca, partyzantom udało się strącić „suchego boćka”, który eksplodował za laskiem.

O dziesiątej wieczorem, po czternastu godzinach zmagania, stali wreszcie w deszczu na południowym skraju lasu, czekając na rozkaz do uderzenia. Musieli się przebijać, chcąc wyjść z okrążenia. Na polu bitwy zostawili około pięćdziesięciu zabitych, a ze sobą na kilku ocalałych wozach i noszach zabierali kilkudziesięciu rannych. Straty Niemców były co najmniej kilka razy wyższe.

W końcu por. „Kolka” na czele stuosobowej grupy uderzeniowej

wyruszył naprzód. Czeka jąca potem ponad pół godziny kolumna, zdezorientowana, nie wiedząc, co się stało z ludźmi „Kolki”, ruszyła w końcu w niczym nie zakłóconej ciszy poprzez wądoły i jary. Niemcy odezwalali się na krótko, sypnęli gradem pocisków i umilkli, a oni pędzili, chcąc oderwać się od nieprzyjaciela i zwolnili dopiero po godzinie, kiedy już zaczęło szarzyć. Nadal nie było kapitana „Zemsty” i por. „Kolki”, którzy wyszli z okrążenia z pierwszą grupą. Okazało się później, że przebiwszy się, wracali do lasów parczewskich.

Po naradzie zasadniczą kolumnę podzielono. Jedna grupa aelowców pod dowództwem obwodu ruszyła do lasów

janowskich, reszta, mająca rannych, pod dowództwem por. Gustawa Alefa-Bolkowiaka, znającego doskonale teren, udała się w nadwiślański rejon powiatu puławskiego. Czepigowcy zaś poszli w kierunku Henina.

Tak zakończyła się jedna z największych bitew, jakie stoczyły oddziały AL z przeważającymi i doborowymi jednostkami nieprzyjaciela.

Całkowitym fiaskiem zakończyły się działania w ramach tej akcji w południowej Lubelszczyźnie, prowadzone w dniach od 10 do 13 maja w rejonie: Annopola, Kraśnika, Zaklikowa i Janowa. Skierowano tu jeden batalion 4 pułku SS-policji,

zmotoryzowany batalion żandarmerii, dwie kompanie Wehrmachtu, wsparte działaniami pociągu pancernego, na odcinku Kraśnik-Lipa, i samolotami. W ciągu czterech dni nie udało się Niemcom wykryć oddziałów partyzanckich i osłabić ich sił.

Okupant przeliczył się sądząc, że w wyniku „Burzy majowej” zmniejszy się intensywność partyzanckich wystąpień. Partyzanci walczyli nadal, nie przerywając działań na czas operacji, a tuż po jej zakończeniu z większym rozmachem przystąpili do kontrakcji. Wydaje się, że sytuacja była na tyle poważna, iż Niemcy zaczęli obawiać się bezpośredniego zagrożenia tyłów Grupy Armii „Północna Ukraina”.

W każdym razie rezultaty operacji „Burza majowa” nie uspokoiły Niemców, gdyż od drugiej połowy maja zaczyna się krystalizować projekt drugiej potężnej akcji przeciwpartyzanckiej, skierowanej na bazy południowej Lubelszczyzny, zwłaszcza na kompleksy lasów lipskich, janowskich i Puszczy Solskiej. O randze przedsięwzięcia świadczy fakt, że sprawa była skoordynowana na najwyższych szczeblach - od Sztabu Generalnego począwszy na dowódcach zainteresowanych rodzajów wojsk niemieckich skończywszy. Inicjatorem akcji było dowództwo Okręgu Wojskowego GG, które współpracowało z dowództwem Grupy

Armii „Północna Ukraina” przy ustalaniu zarysów planu operacji, określonej kryptonimem „Sturmwind” („Wicher”).

Dowództwo Okręgu Wojskowego Generalnej Guberni zamierzało rozpocząć działania w dniu 1 czerwca. Bardzo intensywne zabiegi o pozyskanie odpowiednich sił doprowadziły do skupienia około 30 000 ludzi. Do akcji skierowano dwie rezerwowe dywizje (154 i 174), których użycie wymagało specjalnej zgody Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych Wehrmachtu.

154 dywizja, którą dowodził generał Altrichter, składała się z dwóch pułków

grenadierów, dywizjonu artylerii, batalionu saperów i oddanego do dyspozycji na czas operacji batalionu ochrony transportu. Natomiast w skład 174 dywizji wchodziły dwa pułki grenadierów oraz skierowane tu na czas operacji: batalion 4 pułku SS, siedem kompanii Wehrmachtu i Ostlegionów.

Oprócz tych dwóch dywizji rezerwowych, przeznaczonych zresztą do przygotowania obrony na Wiśle i Sanie, udział w operacji wzięła 213 dywizja ochrony, dowodzona przez generała Goeschena, któremu podporządkowano pułk szkolny Grupy Armii „Północna Ukraina”, zgrupowanie kawalerii kałmuckiej mjr. Dolla (cztery dywizjony, batalion marszowy,

zmotoryzowany batalion żandarmerii); z macierzystej dywizji znalazły się tu batalion ochrony i dywizjon kozaków. Do wymienionych sił doliczyć należy pułk strzelców z Wehrmachtu, dwa bataliony ochrony z Wehrmachtu, pododdziały rozpoznawcze, transportowe, łączności, zaopatrzenia, sanitarne itd. W akcji miały być użyte także samoloty rozpoznawcze i bombowe.

Operacją dowodził bezpośrednio generał Haenicke, dowódca Okręgu Wojskowego GG, który utworzył tzw. Kwaterę Główną, w skład której wszedł specjalny sztab z generałem Borkiem na czele. Siedziba Kwatery Głównej od godziny czternastej 9 czerwca

znajdowała się w Sandomierzu, gdyż tego dnia miał zostać zamknięty pierścień okrążenia: od północy na linii Zaklików-Janów -Frampol, od wschodu wzdłuż szosy Frampol-Biłgoraj, od południa wzdłuż rzek Łada-Tanew-San i od zachodu wzdłuż toru kolejowego od Sanu do Zaklikowa.

Początek natarcia, po ześrodkowaniu dywizji 10 czerwca, wyznaczono na godzinę 8 rano 11 czerwca, a zakończenie operacji przewidziano na dzień 13 czerwca.

Plan operacji - dopracowany w najdrobniejszych szczegółach i omówiony wielokrotnie na naradach - świadczy o tym, jak wielką wagę

przywiązywali Niemcy do jej sprawnej i skutecznej realizacji. Prawie każda sytuacja została przeanalizowana, a wytyczne do walki, dołączone do rozkazu generała Borka, szefa sztabu Okręgu Wojskowego GG, określały zasady walki z uwzględnieniem jej specyfiki.

Ponieważ Niemcy dążyli do całkowitego zniszczenia sił partyzanckich i baz w południowej Lubelszczyźnie, więc działania operacyjne stanowiły tylko część planu unicestwienia oporu w tym rejonie GG. Przygotowany został również szczegółowo, projekt bezwzględnej i okrutnej pacyfikacji wiosek w obrębie okrażonych kompleksów leśnych. Ludność bez

żadnej litości miała być kierowana do obozów przejściowych, a potem ewakuowana całymi rodzinami po segregacji przeprowadzonej przez policję sprawującą nadzór nad obozem. Przy każdej dywizji utworzono obozy (Rozwadów, Janów, Biłgoraj), gdzie zmaltretowana ludność w potwornych warunkach oczekiwała na dalszy etap gehenny.

Pierwsze uderzenie skierowane zostało na lasy lipskie i janowskie, tworzące ogromny masyw leśny, ciągnący się od Sanu prawie po Zamość i Tomaszów. Wspominałem już niejednokrotnie, że od dawna wszystkie oddziały upodobały sobie ten teren, bo był i dogodny, i roboty partyzanckiej było na nim

bardzo dużo. Tędy przechodziły linie kolejowe, które nas szczególnie interesowały: Lublin -Rozwadów-Przemyśl, Rejowiec-Rawa Ruska-Lwów oraz szosy Janów-Nisko i Frampol-Biłgoraj-Tarnogród. Wykonując akcje, odbierając zrzuty, szkoląc oddziały 1 Brygady AL, współdziałając z oddziałami radzieckimi, docenialiśmy wszystkie walory tej bazy, ale i znaleźmy jej słabe strony, których także nie brakowało. Tereny bezludne utrudniały zaopatrzenie, wilgoć dawała się porządnie we znaki, a potem, kiedy Niemcy lepiej rozpoznali teren, najgorsze były samoloty patrolowe, latające przez cały dzień i szczególnie niebezpieczne na bardziej odkrytej

przestrzeni, gdzie w ogóle nie można się było ruszyć.

Mimo to lasy lipskie i janowskie były pełne oddziałów polskich i radzieckich. Tak było również w momencie rozpoczęcia przez Niemców operacji „Sturmwind”. Znajdowały się tu zasadnicze siły 1 Brygady AL im. Ziemi Lubelskiej pod dowództwem kpt. Ignacego Borkowskiego - „Wicka”: 2 kompania polowa pod dowództwem Jana Fijoła - „Rysia”, 3 kompania Straży Chłopskiej, dowodzona przez ppor. Juliana Kaczmarczyka - „Lipeę”, 5 kompania szturmowa, pod dowództwem Edwarda Gronczewskiego - „Przepiórki”, 9 kompania sztabowa por. Aleksandra Szymańskiego - „Bogdana”.

Z przebywających w bazie działaczy PPR utworzono niewielki oddziałek pod dowództwem Aleksandra Bisa - „Korsarza”. Znajdująca się tu też grupa bechowców zorganizowała się pod dowództwem „Szuma”. Byli tu także obecni dowódcy brygady kpt. Ignacy Borkowski i jego zastępca do spraw politycznych por. Wacław Rózga - „Stefan” oraz sekretarz Obwodu II PPR Kazimierz Wyrwas. Natomiast dowódca Obwodu II AL ppłk Mieczysław Moczar przy końcu maja wyjechał do Warszawy, gdyż miał objąć dowództwo Obwodu III AL.

Brygada im. W. Wasilewskiej w połowie maja przeszła na południe z lasów parczewskich. Dowodził nią,

jak wspomniałem, kpt. Stanisław Szelest, a jego zastępcą był Wiktor Kremieniecki. Z 1 batalionu im. T. Kościuszki, pod dowództwem ppor. Aleksandra Fudaleja, była tylko kompania Władysława Dytkowskiego. Natomiast 2 batalion im. H. Dąbrowskiego (dowódca Stanisław Matys) miał pełny skład dwóch kompanii pod dowództwem Władysława Romanowskiego i Piotra Sobczyka.

Oddział łącznikowy AL, dowodzony przez por. A. Pajdę, dotarłszy do lasów lipskich w połowie maja, miał tu pełny skład trzech plutonów.

W momencie rozpoczęcia operacji w lasach znajdowały się również trzy

plutony oddziału AK-NOW pod dowództwem Bolesława Usowa - „Konara”, któremu podporządkował się trzydziestoosobowy oddział AK, dowodzony przez Mieczysława Potyrańskiego - „Poraja”.

Wśród oddziałów radzieckich, operujących od początku roku na Lubelszczyźnie, przed rozpoczęciem akcji „Sturmwind” w kompleksie lasów lipskich i janowskich znalazły się: przybyła wiosną brygada pod dowództwem N. Prokopiuka z trzema kompaniami Michaiła Pietrowa, Aleksandra Ławrowa, Władimira Zinowiewa oraz plutonami zwiadu, ochrony i gospodarczym. Brygada podlegała bezpośrednio Naczelnemu

Dowództwu Armii Radzieckiej. Po koncentracji w rejonie Ostrowa Lubelskiego przez około dwa tygodnie brygada prowadziła tam działalność dywersyjną, a potem w końcu maja dotarła do lasów janowskich.

Zgrupowanie A. Newskiego, pod dowództwem mjr. Wiktora Karasiowa, sforsował Bug w nocy z 4 na 5 kwietnia, stoczyło wiele bojów, między innymi w lasach bonieckich, a 5 maja dotarło do lasów janowskich. Zgrupowanie współpracowało ściśle z partyzantami polskimi, przeprowadzając wspólnie wiele udanych akcji. W momencie ataku Niemców w skład zgrupowania wchodziły oddziały lejtnanta Borysa

Salimonowa, Marka Łapuszkińska,
pododdział zwiadowczy Stanisława
Wrońskiego i minerzy Obodowskiego.

W połowie kwietnia przez Bug
przeprawiło się zgrupowanie im. N.
Chruszczowa, pod dowództwem kpt.
Włodzimierza Czepigi, który,
nawiązawszy ścisły kontakt
z dowództwem Obwodu II w rejonie
lasów parczewskich, pozostawił tam
część zgrupowania, biorącą, jak
wspomniałem, udział w bitwie pod
Rąbłowem. Sam Czepiga wcześniej
odmaszerował na południe do baz
w lasach lipskich i janowskich i tu
prowadził bardzo różnorodną i aktywną
działalność bojową, m. in. rozpoznając
przygotowania niemieckie do obrony

nad środkową Wisłą i Sanem, realizowane przez wymienione już dywizje rezerwowe (154 i 174). W czasie akcji „Sturmwind” w zgrupowaniu znajdowały się kompanie Pasikunowa, Sulima i Doroszewa, pluton zwiadu i sztabowy.

Również wiosną, w połowie marca, wkroczył na ziemie polskie radziecki oddział rajdowy im. S. Budionnego, pod dowództwem st. lejtnanta Iwana Jakowlewa. W maju dotarł on do lasów janowskich, mając w swoim składzie dwie kompanie oraz pododdziały zwiadu i gospodarczy.

Wspomniane już wcześniej rajdowe oddziały rozpoznawczo-dywerysyjne st.

lejtanta Piotra Wasilenki, ze zgrupowania ppłk. Antona Brińskiego i Aleksandra Filuka, również należące do wymienionego zgrupowania, połączone zostały z oddziałem ppłk. Walentyna Pielicha - „Galickiego”, walcząc pod jego dowództwem. Walentyn Pielich kierował Centrum Operacyjnym Wywiadu i Dywersji w lasach lipskich i janowskich, prowadząc wywiad o siłach niemieckich dla Sztabu Generalnego Armii Radzieckiej. Współpracując ściśle z AL, „Galicki” organizował m. in. grupy dywersyjne, przerzucane za Wisłę, zaopatrywał w sprzęt radiotelegrafistów, a na początku lipca zorganizował odlot drugiej delegacji KRN do Moskwy,

w skład której wchodził generał Michał Żymierski, Stanisław Kotek-Agroszewski i Jan Czechowski.

Z większych jednostek radzieckich należy wymienić jeszcze oddział im. Suworowa pod dowództwem st. lejtnanta Sergiusza Sankowa, który przybył na Lubelszczyznę w końcu marca i po ciężkich bojach dotarł w kwietniu do lasów lipskich i janowskich razem z walczącymi również w czasie operacji „Sturmwind” oddziałami im. S. Kirowa (dowodził nimi kpt. Michał Nadielin), kpt. Piotra Wasilenki (wszedł w skład oddziału zbiorczego W. Pielicha) oraz por. E. Gronczewskiego - „Przepiórki”, który nawiasem mówiąc, w ostatnim

momencie przed zamknięciem okrążenia w operacji „Sturmwind” powrócił do bazy.

W połowie kwietnia na teren Lubelszczyzny, najpierw do lasów parczewskich, przybył rajdowy oddział radziecki im. J. Stalina, dowodzony przez Polaka, kpt. Mikołaja Kunickiego - „Muche”, podlegający Ukraińskiemu Sztabowi Ruchu Partyzanckiego. Składał się z trzech kompanii oraz plutonów zwiadu i sztabowego, a dotarł w rejon lasów lipskich i janowskich w momencie rozpoczęcia działań niemieckich.

Ogółem siły partyzantów liczyły około 3000 ludzi, w tym ponad 1000 -

oddziały polskie, i około 2000 radzieckie. Wszystkie miały na ogół dobre uzbrojenie, odpowiednią ilość broni maszynowej i doświadczenie zdobyte w walkach partyzanckich - oraz w zasadzie utrzymywały codzienną łączność z Ukraińskim Sztabem Ruchu Partyzanckiego i Polskim Sztabem Partyzanckim, ale zmierzyć się miały z dziesięciokrotnie silniejszym nieprzyjacielem, któremu przyświecał jeden cel - zniszczyć za wszelką cenę ruch oporu na tyłach frontu.

Ważne, że partyzanci nie byli zaskoczeni, gdyż wiadomości o planowanej operacji zaczęły napływać do dowództw już w trzeciej dekadzie maja i to z wielu źródeł.

Do czasu, kiedy Niemcy podciągnęli swe siły do skraju lasów lipskich i janowskich, tj. do 9 czerwca, w wyniku porozumienia dowództw oddziałów partyzanckich od 7 czerwca prowadzono intensywne rozpoznanie, aby potem podjąć ostateczną decyzję w sprawie zasad ściślejszego współdziałania. Oddziały zostały postawione w stan pogotowia bojowego, a zwiad penetrował tereny nad Tanwią, wzdłuż linii kolejowej Rozwadów-Zaklików, w rejonie wsi Flisy. Wydzielone z 1 Brygady AL im. Ziemi Lubelskiej grupy osłonowe znajdowały się w rejonie Janik, Lipy i wsi Bania. Na marginesie dodam, że 6 czerwca partyzanci z kompanii

„Bogdana” na odcinku kolejowym Lipa-Zaklików wysadzili pociąg, a tuż przed i w czasie koncentracji Niemców na zewnątrz pierścienia na odcinkach Kraśnik-Szastarka, Rzeczyca-Szastarka, na linii kolejowej Lublin-Rozwadów kilka akcji przeprowadził „Cień”. Natomiast grupy ubezpieczeniowe oddziałów Czepigi i „Galickiego” znajdowały się w rejonie wsi Świdry, Kochany, Lipowiec, Madeje, Szwedy.

W lasach zapanował ogromny ruch. Minowano drogi, zwracając szczególną uwagę na szosę Janów-Nisko i maskując starannie ładunki, robiono zasieki, zaopatrywano się w zapasy żywności, forsując niekiedy niemieckie pozycje. Przegrupowano w kierunku zachodnim

oddziały Kunickiego, Jakowlewa, Sankowa, Nadielina i „Konara”. Oddziały Kunickiego i Jakowlewa przeszły w rejon wsi Momoty Dolne, a pozostałe w pobliże Łążka, dzięki czemu siły partyzanckie zostały zgrupowane.

Jak wspomniałem, Dowództwo Okręgu Wojskowego GG, określwszy ściśle zadania, nie przewidywało jakichkolwiek zakłóceń w realizacji zamierzeń, planując rozpoczęcie ataku na 11 czerwca o godzinie ósmej, a zakończenie 13 czerwca. Po zajęciu podstawy wyjściowej przez 154 i 174 dywizję, tyraliery, przeczesując las, miały przesuwać się z zachodu i północnego zachodu w głąb,

w kierunku wschodnim, i niszczyć oddziały partyzanckie. To samo zadanie wyznaczono 213 dywizji, idącej z rejonu Biłgoraja w kierunku północnego zachodu. Natomiast grupy zaporowe, umocniwszy się na rubieżach, blokowały je w rejonie rzeczki Bukowej i Gilówki oraz drogi Janów-Biłgoraj, nie pozwalając partyzantom na wyjście z okrążenia.

Zgodnie z planem operacji 11 czerwca rano niemieckie grupy bojowe ruszyły ostrożnie z linii Jastkowice-Lipa i Zaklików-Potoczek tyralierami, gdzieś przecierając drogi samochodami pancernymi lub, po prostu, furmankami chłopskimi, mającymi chronić przed nadzianiem się na miny.

Partyzanci, zetknąwszy się z nieprzyjacielem, nie wdając się w poważniejsze walki, mieli wycofywać się w głąb lasów. Z rana drobne starcia nastąpiły w rejonie wsi Rzeczyca Okrągła, Lipa, Bania, Świnka. Natomiast w godzinach popołudniowych do walki z kawalerią Dolla z grupy zaporowej doszło między rzekami Tanwią, Sanem i Bukową, na północny zachód od Jarocina, gdzie zaatakowani zostali partyzanci z grupy wywiadowczej ppłk. Zajczenki i kompanii AL Straży Chłopskiej z 1 Brygady AL, pod dowództwem por. Juliana Kaczmarczyka - „Lipy”. Siedemnastu partyzantów „Lipy” walczyło przeciwko dywizjonowi

kawalerii kałmuckiej, w pierwszym natarciu wypierając wroga z lasu. Kiedy nieprzyjaciel otrzymał posiłki, sytuacja aelowców stała się bardzo ciężka. W nierównej walce zginął por. Julian Kaczmarczyk - „Lipa”, pochodzący z Bielin, komendant powiatowy BCh i dowódca oddziału, który w 1944 roku wszedł do AL. Poległ również jego zastępca ppor. Władysław Rękas - „Sęp”, pochodzący z Potoka, najpierw partyzant GL w oddziałach „Orła” i „Błyskawicy”, oraz 11 partyzantów. Pozostałym udało się wycofać w kierunku wsi Nalepy.

Inne oddziały grupy zaporowej ze 154 dywizji i kawalerii Dolla podeszły nad rzeczkę Bukową, gdzie brodów broniły

grupy osłonowe Czepigi i „Galickiego” we wsi Madeje i Szwedy, a most osłaniał oddział Karasiowa. Nieprzyjacielowi nie udało się tu wyprzeć partyzantów. Również na linii Kiszki-Momoty Górne oddziały Kunickiego i Jakowlewa nie utraciły pozycji.

Tego dnia Niemcy poważnie zmniejszyli pierścień okrażenia ze 170 do 130 km, korzystając z tego, że partyzanci unikali starć. Sytuacja wykrystalizowała się na tyle, że dowództwa oddziałów podjęły decyzję o przejściu w rejon Porytowego Wzgórza, do lasów janowskich. Ściągnawszy grupy osłonowe, oddziały koncentrowały się na północ od Łążka Garncarskiego, aby później wieczorem

wyjść przez Łązek Ordynacki na Szklarnię. W rejonie Szklarni usadowiły się: 1 Brygada AL, zgrupowanie Czepigi i oddział „Galickiego”. Oddziały Prokopiuka, zgrupowanie Karasiowa, Brygada im. W. Wasilewskiej, oddziały „Janowskiego” i „Konara” rozlokowały się w rejonie Porytowego Wzgórza, a w rejonie Momot Dolnych - oddziały Kunickiego, Nadielina, Jakowlewa i Sankowa. Oddziały, pozostające cały czas w gotowości bojowej, szykowały się do obrony przez cały następny dzień, gdyż 12 czerwca do walki doszło tylko w rejonie Momot Dolnych, gdzie oddział Kunickiego pospieszył na pomoc ludności gnębionej przez Kałmuków.

W ciągu tego dnia Niemcy ustalili rejon pobytu oddziałów i 13 czerwca zaczęli zacieśniać pierścień okrążenia, zmierzając do całkowitej likwidacji sił partyzanckich. 154 i 174 dywizje, działając na linii dróg Domostawa-Janów i Janów-Flisy, miały osiągnąć Branew, a 213 dywizja, umocniwszy się na linii rzek Rakowa i Bukowa, zamykała drogę wyjścia.

Rano 13 czerwca wojska niemieckie koncentrowały się w lasach koło Szklarni i Flis, gdzie podciągnięto artylerię i czołgi, oraz w rejonie rzeczki Bukowej. W związku z tym część zgrupowania Czepigi, kompanie „Przepiórki”, „Bogdana”, Filuka oraz drużyna Czerwiakowa (razem 400 ludzi)

obsadziły pozycje obronne w rejonie Szklarni. Odwód tworzyła druga część zgrupowania Czepigi i oddział „Galickiego”. Zadaniem tej grupy było zatrzymanie Niemców i uniemożliwienie im dalszego marszu na wschód. Druga grupa (oddziały Kunickiego i Jakowlewa) zajęła linie obronne w odległości 3,5 km przed Szklarnią i miała bronić dostępu w ten rejon, kontrolując jednocześnie drogę Krzeszów-Janów.

Tak jak pod Rąblowem, tak i tutaj około godziny 12 nastąpił nalot samolotów, po którym Szklarnia stanęła w ogniu. Natarcie niemieckie ruszyło dwoma tyralierami z lasu na zachód od Szklarni w kierunku drogi, bronionej przez

partyzantów. Kiedy tyraliera niemiecka znalazła się w odległości 100-150 metrów od stanowisk partyzantów, dowódcy wydali rozkaz otwarcia ognia, który niemal przygwoździł Niemców do ziemi. Kontratakujący partyzanci zmusili wroga do wycofania się, mimo zmasowanego ognia ciężkich karabinów maszynowych, moździerzy oraz wprowadzenia do walki samochodów pancernych. Dwukrotnie ponawiane przez hitlerowców próby złamania partyzanckiej obrony na odcinku środkowym (kompanie „Bogdana” i „Przepiórki”, lewe skrzydło ugrupowania Czepigi) nie powiodły się. W czasie walki zginęło około 20 partyzantów, między innymi Grigorij

Kozyr od Czepigi, dowódca plutonu, który wziął do niewoli kilku żołnierzy i oficera, od którego właśnie uzyskano ważne informacje. W niedługim czasie okazało się, jak cennym trofeum, poza bronią, były mapy i dokumenty zdobyte podczas zniszczenia samochodu pancernego przez patrol kompanii „Przepiórki”, w składzie: Bogdan Oziębło - „Żuk”, dowódca, Stanisław Klimek - „Sosna”, Edward Król - „Koc”, Bolesław Jakubczak - „Kołnierz”, Lucjan Rywka - „Lutek”.

W tym samym czasie, kiedy toczył się bój pod Szklarnią, nastąpiły próby przełamania obrony na odcinku zajmowanym przez oddziały Kunickiego i Jakowlewa. Natarcie podjęły tu dwa

bataliony 154 dywizji z pododdziałami kawalerii Dolla, które z Momot Górnych wyszły na Szklarnię i zostały zatrzymane w rejonie Wzgórza Branewskiego i wzgórza 207. Oba rejony, Szklarni i Wzgórz, partyzanci opuścili i dopiero wtedy, wieczorem, oddziały niemieckie stanęły na linii Momoty Górne - Szklarnia. Tak więc oddziałom partyzanckim udało się tu zablokować drogę Krzeszów-Janów, nie dopuścić Niemców w rejon Flisy-Szklarnia, oraz przejść, mając niewielkie straty, w rejon Porytowego Wzgórza. W ten sposób ta faza operacji „Sturmwind” nie przyniosła Niemcom spodziewanych sukcesów. Oddziały partyzanckie z północno-zachodniej części kompleksu

lasów lipskich i janowskich nie zostały zlikwidowane.

Następnego dnia doszło do największej bitwy oddziałów partyzanckich z Niemcami na ziemiach polskich. Chciałbym zwrócić uwagę, że bój ten nastąpił w wyniku przemyślanej decyzji dowódców oddziałów partyzanckich. Za przyjęciem walki byli prawie wszyscy dowódcy, z wyjątkiem ppłk. „Galickiego”, kpt. Czepigi i kpt. Wasilenki, którzy uważali, że należy przebijać się z okrążenia jeszcze tej nocy. Inni dowódcy opowiedzieli się za przyjęciem walki w strefie Porytowego Wzgórza, gdzie można było wykorzystać do obrony dogodny teren, oraz za wyjściem z okrążenia następnej nocy -

i to całością sił, aby nie narazić pojedynczych oddziałów na rozbitcie. Sądzone także, że związanie w walce sił nieprzyjaciela zmniejszy terror w stosunku do ludności. Nowo wybrane dowództwo - ppłk N. Prokopiuk i mjr W. Karasiow - nad ranem zapoznało dowódców ze zdobytym niemieckim rozkazem, wprowadzając do planu obrony bardzo istotne szczegóły, dotyczące wyzyskania przygotowanego przez wroga systemu sygnalizacji.

Kolejno ze wschodu na zachód stanowiska na linii obrony okrężnej na prawym brzegu Branwi zajęły: pododdziały Salimonowa i Wrońskiego (od Karasiowa), Brygada im. W. Wasilewskiej, rozdzielona oddziałem

AL, pod dowództwem A. Pajdy, przed nim była grupa partyzantów Bielakowa, za nim - część kompanii Dytkowskiego, kompania Sobczyka, grupa minerów, kompania Komorowskiego. Dalej znajdowała się 1 Brygada AL z kolejno rozmieszczonymi kompaniami: „Bogdana”, „Rysia”, grupa Franciszka Bielaka - „Dobrego”, który po bitwie w rejonie Jarocina stanął na czele 3 kompanii por. „Lipy”, dwa plutony od „Przepiórki”. Kolejny odcinek zajął oddział Jakowlewa, wzmocniony plutonem Bagrymowa od Kunickiego.

Natomiast na lewym brzegu Branwi kolejno z zachodu na wschód rozmieszczono: oddziały Sankowa, Nadielina, kompanię Pasikunowa,

Sulima i Doroszewa od Czepigi, oddział „Galickiego”, Prokopiuka - kompania Pietrowa, pluton kompanii Ławrowa oraz oddział Łapuszkina (od Karasiowa).

Oprócz odwodu ogólnego - oddziały Prokopiuka (część) i „Konara” - umieszczonego na lewym brzegu Branwi i stanowiącego jednocześnie drugą linię obrony, każdy oddział, zależnie od wielkości, miał swoje odwody w sile jednego do dwóch plutonów. We wszystkich znajdowało się około 900 ludzi. Szpital był jeden, a część sanitariuszek pozostawiono przy oddziałach.

Niemcy początek natarcia wyznaczyli na

godzinę piątą rano, a ostatecznie tym razem zlikwidowanie sił partyzanckich przewidzieli na godzinę dwudziestą, łącznie z przekazaniem meldunków, przy czym bezpośrednia walka miała trwać do szesnastej.

Partyzanci, nie wiedząc o tych ostatnich rozkazach generała Haenicke, ale znając potęgę, z którą mieli się znowu zmierzyć, czynili ostatnie przygotowania. Dowódcy i ich zastępcy do spraw politycznych, lustrując linie obrony, zagrzewali partyzantów do walki. Udało się przygotować posiłek, na stanowiska dostarczano dodatkową amunicję. Przez cały czas trwała gotowość bojowa.

Po gwałtownym ostrzale z dział i moździerzy piechota niemiecka ruszyła do natarcia, zasypując gradem kul stanowiska partyzantów i główny atak przypuszczając na linie obrony na prawym brzegu Branwi. Huk dział, wybuchy bomb i pocisków, gruchot kul dum-dum, łoskot walących się drzew tworzył ogłuszający rytm bitwy.

Już w początkowym okresie walki partyzanci na niektórych odcinkach musieli ugiąć się pod impetem natarcia i siłą ognia. Na prawe skrzydło odcinka 1 Brygady AL, gdzie szturm był najsilniejszy, dowództwo od razu wprowadziło odwód, dowodzony przez Adama Skórę - „Adasia”, który uratował się podczas mordy oddziału im.

Kilińskiego przez NSZ pod Borowem. Dzięki temu kompania „Bogdana” utrzymała pozycje. Sytuacja krytyczna nastąpiła również na lewym skrzydle, gdzie w lukę w obronie swój odwód pchnął Jakowlew, stojący na styku z 1 Brygadą AL. Na tym odcinku zlikwidowano więc zagrożenie, nie dopuszczając Niemców na tyły. Znacznie groźniej przedstawiała się sytuacja od strony wsi Flisy, gdzie Niemcy wdarli się na tyły Brygady im. W. Wasilewskiej przez lukę powstałą w wyniku wycofania się oddziału „Janowskiego” z linii obrony. Sięgnięto więc po odwód ogólny, kierując kompanię Ławrowa na prawy brzeg Branwi. Nieprzyjaciel wprowadzał

wciąż nowe siły, nie ustępując przed partyzantami. Rozgorzała zacięta walka wręcz. W końcu udało się odwodowi razem z partyzantami Brygady im. Wasilewskiej, gdzie zamieszanie zostało już opanowane, utrzymać pozycje. Obie strony poniosły tu duże straty. Tylko kompania Ławrowa miała 10 zabitych. Kompanie Dytkowskiego, Sobczyka i Komorowskiego nie przepuściły wroga, walcząc z nim równocześnie na tyłach. Zginęli wówczas: dowódca kompanii Władysław Dytkowski, dowódca plutonu Jan Mróz, sanitariuszka Janina Kozieradzka, Gierach i Wacław Wojdan.

Niemcy zmienili kierunek natarcia i dwiema tyralierami uderzyli na odcinki

bronione przez grupy Kunickiego i Jakowlewa, które zajmowały dogodne pozycje na szczycie wzgórza. Nieprzyjaciel ogniem z odległości kilkudziesięciu metrów został tu odrzucony. Prawie równocześnie zaatakowani zostali na lewym brzegu Branwi partyzanci Czepigi i przez godzinę odpierali wroga, próbującego pod osłoną silnego ognia zbliżyć się do ich pozycji. Czepigowcom udało się uderzenie powstrzymać i zadać nieprzyjacielowi duże straty.

Walka toczyła się także na odcinkach Prokopiuka i Karasiowa, gdzie nieprzyjaciel wprowadził czołg, który pozostał jednak na skraju lasu. Tu również trzeba było sięgnąć po odwody,

aby do godziny dziewiętej odeprzeć trzykrotne ataki. Wówczas też bezskutecznie nacierający ze wszystkich kierunków nieprzyjaciel uderzył na oddziały Sankowa i Nadielina, wcześniej dwukrotnie odpierające ataki na stykach z Kunickim i Czepigą.

Po kolejnym ataku na pozycje 1 Brygady AL jej dowództwo postanowiło przystąpić do kontrataku, prowadzonego przez por. „Przepiórkę” i kpr. „Januszka” (Franciszek Zięba - zginął pod Góreckim Kościelnym w drugiej fazie operacji „Sturmwind” jako dowódca kompanii sztabowej po śmierci Aleksandra Szymańskiego w tym samym dniu). Niemcy zaczęli się cofać. W trakcie udanego kontrataku zginęli:

sekretarz Komitetu Obwodowego PPR, Kazimierz Wyrwas - „Michał”, Edward Szymański - „Krakus”, członek kierownictwa PPR w okręgu 5, współredaktor „Woli Ludu”. Zginął również Stanisław Szymula - „Dziadek”, dowódca plutonu z kompanii sztabowej „Bogdana”.

Niemcy nacierając bez przerwy rzucali do walki bombowce, które jednak szybko wycofano z powodu małej odległości między walczącymi i całkowitej dezorientacji lotników, zmylonych przy pomocy ich własnego systemu sygnalizacji, wykorzystanego przez partyzantów. Udało się jednak Niemcom podpalić las, tak że na niektórych odcinkach partyzanci,

walcząc gasili jednocześnie ogień. Upalny dzień i ciężki bój wyczerpywały siły.

Kiedy Niemcom, po rzuceniu nowych sił, udało się zdobyć pozycje w rejonie gajówki, sytuacja zaczęła się pogarszać. Odwodem wzmocniono zagrożoną linię od strony wsi Flisy, gdzie na szczęście w otwartym polu, wśród zbóż, trudno było wrogowi rozwinąć się do ataku. Po nalocie nieprzyjaciel znowu uderzył na oddział Nadielina i prawe skrzydło Czepigi, który w krytycznej sytuacji, kiedy obrona na styku została przełamana, rzucił do walki odwód w sile 80 ludzi. Niemcy zostali wyparci. Około godziny trzynastej obrona zaczęła się załamywać. Doszło do wielu

dramatycznych momentów, gdyż wróg wszystkimi siłami dążył do zajęcia ważnych dla obrony pozycji na szczycie wzgórza, zaminowanego, z dobrze przygotowanymi stanowiskami ogniowymi, oraz mostu na Branwi, stanowiącego drogę łączności między oddziałami partyzanckimi na obu brzegach rzeki Branwi. W pewnym momencie musiał cofnąć się Jakowlew, potem została odrzucona kompania „Rysia”, co pociągnęło za sobą konieczność przesunięcia całej 1 Brygady im. Ziemi Lubelskiej i Brygady im. W. Wasilewskiej. Wróg pod osłoną dymną, powstałą z zapalonych krzaków, wdarł się na najbardziej na zachód wysunięte pozycje Kunickiego. Pijani

Niemcy docierali już gdzieś na grzbiet wzgórza. Pałace się krzaki, duszący dym, rozgrzana broń w dłoniach, upał, brak wody, zalegające trupy i atak za atakiem - wszystko to tworzyło wprost piekielną atmosferę. Rozgrzana do granic wytrzymałości broń - odmawiała posłuszeństwa.

Wielkiej otuchy i sił dodało partyzantom zdobycie dwóch dział i kilku moździerzy z podciągniętej spod Flis artylerii nieprzyjaciela. Ten śmiały wypad był dziełem kompanii Michaiła Pietrowa, który wówczas poległ, puściwszy się w pogoń za uciekającymi Niemcami. Wcześniej, w czasie któregoś z ataków na przedpolu oddziału „Przepiórki”, poległ jakiś oficer niemiecki, który

w raportówce miał mapy z naniesionymi między innymi stanowiskami ogniowymi nieprzyjaciela. Zdobyte działa i moździerze, przetransportowane na pozycje partyzantów, zostały od razu użyte, a ich ogień skorygowano według danych naniesionych na mapie.

Z dokumentów niemieckich, które w czasie bitwy trafiły do partyzantów, wynikało, że do godziny szesnastej walka powinna się zakończyć, ale nic tego nie zapowiadało. A ludzie opadali z sił coraz bardziej. W ostatnim decydującym uderzeniu, kiedy nieprzyjacielowi udało się zająć pozycję na zachodnim paśmie wzgórza, walczyli już wszyscy - obsługa taborów, kucharze, łącznicy i chłopci, uciekinierzy

z pacyfikowanych wsi. Każdy pomagał jak mógł, zajmując się rannymi, donosząc amunicję czy walcząc z ogromnym poświęceniem. Kiedy bój trochę ucichł, także dowództwo mogło skupić wysiłki, aby przygotować plan wyjścia z okrążenia, przy czym znowu nieocenione okazały się mapy i dokumenty zdobyte w walce.

Zapadał wieczór. Strzelanina ucichła prawie zupełnie. I wtedy na odcinku Sankowa i Nadielina Niemcy przystąpili do szturm, obejmując nim również będące na styku prawe skrzydło Czepigi. Równocześnie zaatakowany został odcinek Prokopiuka, gdzie Niemcy, odrzuceni pod wpływem kontrataku pod dowództwem st. lejtnanta Gorowicza,

porzucili pozycje, które zajęli partyzanci, wysuwając się około 300 metrów przed linię obrony. Udało się nieprzyjacielowi natomiast wedrzeć klinem między oddziały Nadielina i Sankowa, gdzie zostały wysłane ostatnie już pododdziały odwodu ogólnego. Ruszyły one w dwóch grupach bojowych. Jedną z nich, złożoną z oddziału „Konara” i plutonów Czerwienki oraz Zajczenki, poprowadził Ilja Galiguzow. Drugą, w składzie dwóch plutonów, dowodził Bykow. Zagrożony odcinek, wsparty również odwodem Czepigi, został przez partyzantów utrzymany.

Niemcy uderzeń już nie ponowili, ostrzeliwując z rzadka pozycje obrony,

której nie udało im się w ciągu dnia przełamać wielokrotnie ponawianymi atakami ze wszystkich kierunków, mimo tak wielkiej przewagi w ludziach i sprzęcie. Podczas bitwy zginęło ponad 100 partyzantów, 22 zaginęło, około 100 zostało rannych. Trudno wyliczyć straty Niemców. Wiadomo jednak, że tylko skierowane tu trzy dywizje miały około 400 zabitych i ponad 1000 rannych, których przywożono między innymi do szpitala w Janowie Lubelskim.

Generał Haenicke znowu przesunął termin zniszczenia sił partyzanckich na 15 czerwca. Tego dnia z rana rozpoczął się szturm na opuszczone przez główne siły partyzanckie pozycje na Porytowym Wzgórzu. Po przygotowaniu

artyleryjskim natarcie odpierały przez jakiś czas pozostałe tu jeszcze oddziały kpt. Włodzimierza Czepigi oraz kpt. Piotra Wasilenki, których siły liczyły około 100 ludzi. Obaj dowódcy nie wyszli z okrążenia, ginąc 15 czerwca nad Branwią.

Poprzedniego dnia podczas wieczornej narady w dowództwie, już po odparciu ostatniego ataku, zwyciężyła koncepcja wyjścia całością sił w kierunku południowym, do Puszczy Solskiej, a upadła propozycja powrotu w lasy lipskie. Nawiasem mówiąc, jeszcze w czasie bitwy na południe wysłano zwiadowców Prokopiuka i Karasiowa, którzy dotarli do rejonu wsi Szewce.

O godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści zaczęto ściągać oddziały ze stanowisk na Porytowym Wzgórzu, a po północy kolumna w deszczu i ciemnościach wyszła w kierunku wsi Ujście, staczając tylko krótką potyczkę we wsi Kiszki. Dotarłszy do rzeczki Bukowej partyzanci przeprawili się przez nią. Rano zarządzono postój we wsiach Szeliga, Byczek, Ciosmy i Huta Krzeszowska.

Nie wdając się w szczegółowy opis bitwy i ocenę jej znaczenia, chcę powiedzieć, że ta faza operacji „Sturmwind” dzięki inicjatywom partyzanckim miała przebieg zupełnie różny od przewidywanego przez Niemców^[20]. Znakomite wyjście

z okrażenia było godnym ukoronowaniem największej bitwy stoczonej przez partyzantów w Polsce, w ogóle należącej do najpoważniejszych tego rodzaju bojów w II wojnie światowej.

Delegacja

Szła wiosna 1944 roku. Szerniałe po roztopach zagony pokrywała soczysta zieleń zbóż, łąki zakwitły kaczeńcem. W promieniach kwietniowego słońca budził się z zimowego letargu świat. Radośniejszy niż kiedykolwiek, pełen nadziei.

Ze wschodu nadciągały pomyślne

wieści. „Władcy świata” nie tylko zostali zatrzyman w swym zwycięskim pochodzie, ale dostają łupnia, co się zowie. Hitlerowskie dywizje z każdym już niemal dniem cofają się coraz bardziej na zachód pod zwycięskim uderzeniem ofensywy radzieckiej. Ze względów taktycznych, planowo, na z góry upatrzone pozycje - jak głosiły oficjalne komunikaty.

Każdego dnia szły na zachód długie pociągi z rannymi. Coraz bardziej nikła w hitlerowskich „nadludziach” niedawno tak powszechna buta. Wydłużyły im się miny.

Mieliśmy pełną satysfakcję. Za lata krwawego terroru. Za Majdanek. Za

dymy Oświęcimia, o którym ze zgrozą przekazywano sobie niewiarygodne wprost wieści. Za trudne do uwierzenia bestialstwo wobec podbitego narodu. Nie zmniejszyło się ono zresztą po klęskach na wschodzie. Przeciwnie. Terror narastał z każdym dniem. Czyżby na nas chcieli wyrzucić całą złość? - myśleliśmy. - A może w ten sposób oddają nam to, czego im na froncie nasza kościuszkowska dywizja nie szczędziła? Wiedzieliśmy już o polskiej formacji utworzonej nad daleką Oką. Jakiegokolwiek jednak byłyby pobudki, którymi kierował się okupant w swym terrorze, my wiedzieliśmy jedno: nadszedł czas działania. Zdecydowanego bardziej niż

kiedykolwiek. Dla własnej samoobrony i dla frontu, na którego bezpośrednim zapleczu mieliśmy się już wkrótce znaleźć.

Oddziały ciągnęły w las. Szli starzy, zahartowani w walkach gwardziści i - coraz liczniej - zupełni nowicjusze. Wszyscy, którzy pragnęli osobiście brać udział w walkach z okupantem, zdawali sobie sprawę, że najskuteczniej i najlepiej można to uczynić w szeregach AL.

Rozpoczął się intensywny rozwój naszej organizacji bojowej, która docierała już teraz niemal do każdej wioski w terenie.

Dla naszych terenowych działaczy nastąpił okres wzmożonej pracy.

Znaleźliśmy się w całkiem nowych warunkach, zupełnie niepodobnych do tych sprzed roku czy dwóch lat, kiedy to trzeba było nam nieraz bardzo ostrożnie wyszukiwać ludzi do naszej organizacji. Teraz ludzie szukali nas sami. Mieliśmy pełne ręce roboty. Stawały przed nami - jak wiadomo - nowe i trudne problemy: organizowanie wielkich jednostek regularnych do brygad włącznie, umiejętne włączenie w skład Armii Ludowej jednostek Batalionów Chłopskich, Armii Krajowej, Straży Chłopskiej i innych organizacji bojowych, które sympatyzowały z nami i deklarowały gotowość przyłączenia się do nas. Ważnym problemem było również uzbrojenie i kierowanie walką

na szerszą skalę oraz wiele innych poważnych zadań, wynikających z intensywnego rozwoju zarówno Polskiej Partii Robotniczej, jak i Armii Ludowej.

Ponieważ Lubelszczyzna była terenem najbardziej zaawansowanym w walce z okupantem, odwiedzali ją często przedstawiciele władz centralnych z Warszawy, zarówno partyjnych, jak i wojskowych.

Wczesną wiosną przybyła tu - z członkiem Sztabu Głównego Armii Ludowej, Marianem Spychalskim - „Markiem” na czele - delegacja, która następnie lasami parczewskimi przeprowadzona została za Bug.

W maju zostaliśmy powiadomieni, że na nasze tereny ma przyjechać Naczelny Dowódca Armii Ludowej, generał „Rola”. Wiedzieliśmy o nim, że jest to jeden z dawnych polskich generałów, ale nikt z nas go nie znał i nie widział. Ciekawość była tym większa, że stanowiliśmy przecież bądź co bądź organizację wojskową, a o generałach nie mieliśmy żadnego pojęcia. Naszego Naczelnego Dowódcę wyobrażaliśmy sobie dość osobliwie, w każdym razie nie tak, jak wyglądali przeciętni działacze, których znaleźliśmy dotychczas.

Z poufnych wiadomości wynikało, że przyjedzie on w towarzystwie kilku innych przedstawicieli kierownictwa pociągiem do stacji kolejowej

Rzeczyca, a następnie pieszo przybędzie do spółdzielni w Rzeczycy Ziemiańskiej i przedstawi się jej kierownicze jako kupiec z Warszawy, który w sprawach handlowych chce spotkać się z „Imem”.

Kierowniczką spółdzielni była żona naszego starego kapepowca, Bronisława Momot - „Kuma”. Miała ona po zgłoszeniu się gości przeprowadzić ich do sąsiedniego pokoju i powiadomić mnie o ich przybyciu przez Stasię, której brat, Henryk, znał miejsce mojego pobytu. Przy spotkaniu ze mną generał „Rola” miał powiedzieć, że chce kupić większą ilość mąki dla Warszawy, na co ja wini enem odpowiedzieć, że jest to możliwe, tylko trzeba będzie trochę poczekać. Było to ustalone z góry hasło

rozpoznawcze.

Niespodziewanie tak się złożyło, że wizyta gości z Warszawy wypadła w okresie - z mojego punktu widzenia - bardzo niedogodnym. Po prostu zachorowałem. Ludzie mają często jakieś „swoje” choroby, które ich stale nawiedzają. Mnie upodobała sobie angina. Od najmłodszych lat przechodzę ją co najmniej dwa - trzy razy do roku. Przed wojną i jeszcze w okresie okupacji niewiele sobie z tego robiłem. Ot, po prostu pobolało w gardle i jakoś po kilku dniach samo przechodziło. Z powodu takich chorób na wsi, o ile dobrze pamiętam, nikt nigdy nie kładł się do łóżka. Że owo „bolenie” w gardle nazywa się anginą i że trzeba na to brać

proszki, uświadomił mnie dopiero po wojnie pułkowy lekarz przy jakiejś anginowej okazji.

Wtedy w pierwszych dniach czerwca 1944 roku, moja angina była szczególnie dokuczliwa. Odczuwałem ostry ból gardła i głowy. Nie mogłem bezboleśnie przełykać. Straciłem apetyt. Nie chciało mi się z nikim rozmawiać, byłem zły i opryskliwy.

Przebywałem wówczas na „melinie” u Romana Kwaśniaka. Kwaśniakowa niepokoiła się o mnie.

- Ot, bieda. Jakieś choróbsko chłopakowi doskwiera, że już i żal patrzeć - mówiła do męża; brała się do parzenia jakichś ziółek, które według jej

zapewnień na wszystko miały być pomocne.

- Eee, dałabyś mu, matka, spokój - odpowiadał Kwaśniak. - Nie widzisz to? Chandra chłopaka ino taka tłucze i tyla.

Tego właśnie dnia, gdzieś koło południa, przyjechał do mnie na rowerze brat Stasi, Heniek Zbęk, i przywiózł od „Kumy” wiadomość o przyjeździe z Warszawy pięciu poważnych panów, którzy chcą się koniecznie ze mną widzieć i czekają na mnie w spółdzielni.

Tego mi jeszcze brakowało - pomyślałem.

Cóż, wszystko było przecież zgodne z planem i zapowiedzią. Należało iść.

Tylko jak? A poza tym skąd pewność, że to właśnie oni, a nie hitlerowscy szpicle czy prowokatorzy? Mieliśmy już kilka gorzkich doświadczeń. Był Borów, była wsypa całego komitetu w Lublinie czy chociażby napad hitlerowców na dowództwo okręgu, z którego na dziewięć osób wyszedł cało tylko jeden człowiek. Wszystko na skutek zdrady i podstępu. A tu jeszcze ta „chandra”, jak ją określił Kwaśniak. Z drugiej zaś strony, jeżeli przybysze są rzeczywiście delegacją z Warszawy, nie wypadało ich trzymać długo w spółdzielni, zwłaszcza że znajdowała się ona przy trakcie, w pobliżu stacji kolejowej, i dość często była odwiedzana także przez Niemców. Nie bardzo wiedziałem, co

robić. Prawdę mówiąc, ogarnął mnie niepokój. Nie wierzę, że są ludzie całkowicie pozbawieni lęku. Wiele rzeczy w latach okupacji robiło się, bo tak kazał obowiązek. Ile to jednak czasem kosztowało nerwów - pozostanie na zawsze tajemnicą ludzi, którym dane było wówczas żyć i walczyć.

Wtedy także zadecydowało poczucie obowiązku. Przemogłem się. Trzeba było działać możliwie najszybciej.

Przy pomocy Heńka i Kwaśniaka udało mi się ściągnąć z miejscowej grupy wypadowej dwóch gwardzistów, dobrze już zaprawionych w walkach. Żeby sprawy nie przewlekać, postanowiłem, że plan działania i sposób ubezpieczenia

ustalimy po drodze do spółdzielni.

Mieliśmy do przebycia około dwóch kilometrów. Uzbrojenie nasze składało się z pistoletów, mieliśmy również po dwa granaty. W drodze przyjmujemy prosty plan działania: w pobliżu spółdzielni wyminę obu swoich towarzyszy i sam wejść do środka, następnie oni obaj podejść pod budynek; jeden z nich stanie przy wejściu frontowym, drugi od podwórka. Na wypadek strzału lub krzyku, wewnątrz, obaj z bronią gotową do strzału wejdą do środka z przeciwnych stron. Postanowiliśmy również, że ze spółdzielni nikogo nie wypuścimy aż do wyjaśnienia sprawy.

Nie pamiętam już, co myślałem przekraczając próg sklepu, przypominam sobie natomiast doskonale, że w jednej chwili całkowicie zapomniałem o swojej „chandrze”.

W sklepie było kilka osób, „Kuma” krzątała się za ladą. Sprytna była. Obojętnie odpowiedziała na moje „dzień dobry” i dopiero po chwili „przypomniawszy sobie”, że jej mąż ma do mnie jakiś interes, otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju.

Wszedłem z rękami w kieszeniach. W jednej trzymałem odbezpieczonego visa, w drugiej granat z kółkiem od zawlecзки na palcu.

Pięciu dobrze ubranych mężczyzn, nie

bardzo wyglądających na naszych ludzi, siedziało za stołem nad herbatą i jajecznicą. Widać było już gościnność gospodyni. Korzystaliśmy i my z niej zawsze, ilekroć odwiedzaliśmy naszą „Kumę”. Stałem pośrodku pokoju z rękami w kieszeniach i przez krótką chwilę obserwowałem jedzących. Wtedy jeden z nich powstał i energicznym krokiem podszedłszy do mnie zapytał:

- Czy towarzysz „Im”?

Na chwilę zamarłem z przerażenia. Rozmowa nasza miała mieć inny początek. Obecni wpatrywali się we mnie ciekawie, badawczo. Słyszałem głośnie bicie własnego serca. Ręka

w kieszeni obmacywała złobienia granatu. Co robić? Żywcem się wziąć nie dam - pomyślałem i zdeterminowany odrzekłem:

- Tak, jestem „Im”.

- Przyjechaliśmy w celu zakupienia większej ilości mąki dla Warszawy - powiedział ten, który zadał mi pierwsze pytanie.

Odetchnąłem. Swobodnie już, bez nerwowego napięcia odpowiedziałem, tak jak było umówione, że owszem, jest to możliwe, ale nie tak prędko, że trzeba nieco poczekać, a dla omówienia transakcji należy jak najszybciej przejść gdzieś w bezpieczne miejsce.

Dopiero po tej wymianie zdań

przywitaliśmy się, co uczyniłem jeszcze, na wszelki wypadek, z jedną ręką w kieszeni. Mój rozmówca zapytał mnie następnie, czy musimy już wychodzić, czy też mogą spokojnie skończyć śniadanie. Interesowało go też, dokąd mamy się udać. Powiedział, że są bardzo głodni i zmęczeni. Wydało mi się to trochę nieprzekonywające. Czyżby kilkugodzinna podróż z Warszawy mogła ich aż tak bardzo zmęczyć i wygłodzić? Jechali przecież całkiem legalnie, na „lewych” dokumentach. Nie wiedziałem wtedy nic o przygodach, jakie spotkały ich z powodu działalności jednego z naszych oddziałów. Poprosiłem, aby możliwie szybko skończyli śniadanie i udali się ze mną.

W dalszym ciągu stałem na środku pokoju i obserwowałem ich. Mój dotychczasowy rozmówca, kończąc śniadanie, spojrział na mnie parę razy i uśmiechnął się przyjaźnie. Zauważył, jak mi później powiedział, że byłem niepewny i zdenerwowany.

Pozostali mężczyźni nie brali udziału w rozmowie. Kończyli śniadanie. Widać było, że są podnieceni.

Wyszliśmy później wszyscy tylnymi drzwiami na drogę biegnącą wąwozem w kierunku wsi Kozi Rynek. Taką dziwną nazwę miała rodzinna wieś naszej „Kumy”.

Przy wyjściu puściłem ich wszystkich przodem. Szedłem ostatni. Obaj moi

ludzie z ubezpieczenia podążali za nami z rękami w kieszeniach w odległości kilkunastu metrów. Kiedy w takim ugrupowaniu znaleźliśmy się za wioską, na polnej drodze pośród zbóż, mężczyzna, z którym rozmawiałem przedtem, a który teraz szedł tuż przede mną, zatrzymał się w pewnym momencie. Popatrzył na idących w tyle ludzi z ubezpieczenia i powiedział:

- Jestem generał „Rola”. Bardzo mi się podoba wasza ostrożność.

I poklepał mnie przyjaźnie po ramieniu.

Zatrzymał następnie idących przodem towarzyszy i kolejno przedstawił mi ich. Byli to: Jan Czechowski, Stanisław Kotek-Agroszewski (obaj późniejsi

ministrowie w Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego) i doktor Litwin z synem w moim mniej więcej wieku. Dopiero w tym momencie skończyło się wzajemne obserwowanie i potoczyła się szczerza rozmowa. Z tej rozmowy dowiedziałem się między innymi o nieprzewidzianych przygodach, na jakie narażeni byli nasi goście w drodze z Warszawy. Stało się to - jak się później okazało - na skutek akcji przeprowadzonej przez jeden z naszych oddziałów na krótko przed przybyciem pociągu z naszymi gośćmi.

W wyniku tej akcji tor kolejowy został zerwany, a parowóz i kilka wyrzuconych z szyn wagonów towarowych, zatarasowawszy drogę, spowodowały

przerwę w komunikacji. Wszystko to stało się nad ranem, kiedy pociąg osobowy, wiozący naszych gości, opuścił już Kraśnik i służba kolejowa, chociaż otrzymała meldunek o wypadku, nie była już w stanie go zatrzymać.

Na szczęście kolejarze z rozbitego pociągu, zorientowawszy się w sytuacji, zdołali zatrzymać nadjeżdżający z naszymi gośćmi pociąg osobowy na kilkaset metrów przed miejscem wypadku, zapobiegając w ten sposób zbiorowej masakrze. Pociąg stanął wśród gęstego lasu, na szóstym kilometrze na południe od Kraśnika. Pasażerowie wysiedli i zorientowali się, że mają do wyboru dwie możliwości: albo zrezygnować z dalszej

podróży kolejną, albo czekać na usunięcie skutków akcji i kontynuować dalej podróż. Oczywiście, druga z wymienionych możliwości mogła się wiązać z koniecznością długiego oczekiwania, dlatego wszyscy pasażerowie, którzy znajdowali się w pobliżu celu podróży i jechali bez większego bagażu, udali się pieszo wzdłuż toru kolejowego do najbliższej stacji - Rzeczycy.

Reakcje wśród pasażerów pociągu osobowego, wywołane nie planowaną przygodą, były rozmaite. Jedni przeklinali partyzantów, inni - bardziej widać dojrżeli w swych sądach i myślący nie tylko o własnej wygodzie - wyrażali najwyższe uznanie dla

partyzantów i zadowolenie, że mają oni szlachetny zwyczaj wysadzania tylko pociągów towarowych, oszczędzając w ten sposób niewinnych podróżnych. Wszyscy jednak - i ci zadowoleni, i ci malkontenci - z konieczności korzystali z kilkukilometrowego spaceru wśród oroszonych jeszcze zbóż w piękny czerwcowy poranek. Dobrze przyjął tę przygodę generał „Rola”, który decydując się na przebycie reszty drogi do Rzeczycy Ziemiańskiej miał - jak mnie zapewniał - możliwość zachwycać się pięknem naszych lubelskich pól o wschodzie czerwcowego słońca i usłyszeć po drodze od pasażerów wiele ciekawych komentarzy o sytuacji politycznej związanej z naszą

działalnością.

Pozostali nasi goście, nie czując się zbyt pewnie, postanowili wykorzystać do końca wykupione w Warszawie bilety. Nie opuszczali więc wagonów, czekając na naprawienie toru kolejowego.

W ten sposób nasz Naczelny Dowódca razem z łączniczką Janiną Kalinowską, która znała już dobrze nasze „meliny” z poprzednich przyjazdów, znalazł się w Rzeczycy Ziemiańskiej o parę godzin wcześniej od swoich towarzyszy podróży. Doświadczona łączniczka, „Bojec” - jak ją wszyscy popularnie zwali - wiedziała, że nie może swojego podopiecznego od razu prowadzić na miejsce spotkania, do spółdzielni przy

ruchliwym trakcie. Zaprowadziła go więc przedtem do Stanisława Stachniaka, członka grupy wypadowej, mieszkającego przy drodze wiodącej od stacji kolejowej do spółdzielni. W ten sposób sama mogła rozejrzeć się dokładnie po okolicy i sprowadzić resztę gości, mających przybyć do stacji Rzeczyca z pewnym opóźnieniem. Tak dzielna Jasia - „Bojec” przy pomocy Stachniaka wykonała po kilku godzinach swoje zadanie, doprowadzając delegację na umówione miejsce spotkania.

Polnymi drogami idziemy do Trzydnika. Uroczy czas. Najpiękniejszy w roku. Na urodzajnej glebie lubelskiej falują bujne łany zbóż. Za niespełna miesiąc kośba.

W tym przedźniwnym okresie rolnicy wychodzą zazwyczaj w pole oceniać owoc swoich wysiłków.

Patrzę na naszych gości. Jak wszyscy mieszkańcy miast radują się wspaniałym widokiem. Są w dobrym nastroju. Kotek-Agroszewski, stary działacz ludowy i znawca życia wsi, mówi coś o planowej gospodarce w rolnictwie i hodowli krów wysokomlecznych. Generał „Rola” przez cały czas zadaje mi różne pytania. Sprawia wrażenie człowieka, którego wszystko interesuje. Byłem zadowolony i trochę dumny, gdy wyraził swą wolę, abym towarzyszył mu przez cały czas jego pobytu na naszym terenie.

Dochodzimy do Trzydnika i jak zwykle, kiedy chcieliśmy jakiegoś gościa godnie przyjąć, kierujemy kroki do naszego dziadka, Jana Szymańskiego.

Rodzina Szymańskich należała do najbardziej postępowych i najbardziej zasłużonych rodzin w naszym wyzwolenicznym ruchu na Lubelszczyźnie. Wszyscy jej członkowie w jakiś sposób zaangażowani byli w sprawę walki z okupantem. Jeden z synów Jana Szymańskiego, Aleksander - „Bogdan”, był dowódcą oddziału AL, drugi - Tadeusz, pseudonim „Lis”, pełnił funkcję okręgowego komendanta AL, trzeci - Stefan, zginął jesienią 1943 roku. Nawet dwaj najmłodsi, Roman i Krzysztof, pełnili rolę gońców

i łączników. Z trzech córek najstarsza, Leokadia, z którą chodziłem razem do szkoły, zmarła na początku wojny. Dwie pozostałe, Hania i Zosia, wykazywały wiele troski o to, by niczego nie brakowało chłopcom z lasu. W zależności od potrzeby były łączniczkami, sanitariuszkami lub - jak teraz - gosposiami serdecznymi i gościnnymi, jak każe staropolski obyczaj.

Oprócz Aleksandra i Tadeusza wszystkich zastajemy w domu. Stary Szymański, typowy lubelski chłop z otwartym sercem i zawsze otwartą dla każdego, kto tamtędy przechodził, gościnną swoją chatą, powitał nas, jak zwykle, na ganku swoim serdecznym

uśmiechem, i zaprosił do mieszkania. Zakrzętnął się żwawo przy gościach. Usadził wszystkich, gdzie się dało, córki popędzał co chwila, żeby pośpieszyły z przygotowaniem posiłku dla gości.

Dziadek przygląda się przybyszom. Tyle naraz nieznanymi twarzami. Ciekawi go, co to za okazja, ale jest dyskretny, o nic nie pyta. Domyśla się tylko, że sprawa musi być ważna.

Potrzebny był nam „Ali” i „Lis”. Za chwilę zjawia się z rowerem najmłodszy Krzysio - ciekawski, sprytny i dowcipny chłopak. Chcę mu wytłumaczyć, gdzie ma szukać „Alego” i „Lisa”. Nie muszę. Sam lubi wiedzieć to i owo. Ruchliwy jak skra, wskoczył na rower i wydeptaną

wąską miedzą popędził jak strzała. Zza wysokiego żyta przez krótką chwilę widać było jego głowę z rozwianymi włosami. Tak jeździć na rowerach miedzami, nawet w nocy, potrafią tylko chłopaki na wsi.

Obejście Szymańskich było dobrze zagospodarowane. Starannie utrzymany sad wokół domu stał otworem dla przybyszów jak sama gościnna chata. Nie brakowało tam nigdy dobrych owoców, truskawek, malin, a w jesieni wyborowych jabłek i gruszek. W oczekiwaniu na „Alego” i „Lisa” wychodzimy do ogrodu. Świat zalany jest potokami słońca. Drzewa czerwone od dojrzewających wczesnych czereśni. Dziadek Szymański zachęca do

skosztowania. Zosia wybiega z głębi ogrodu z koszyczkiem truskawek. Przyjemnie o tej porze posiedzieć w sadzie, cieszyć wzrok tyłoma naraz urokami, widzieć unoszące się za byle podmuchem wiatru lekkie mgły pyłu z kwitnącego żyta.

Nasi goście wdają się z dziadkiem w szczerą, serdeczną pogawędkę. A ja uświadamiam sobie nagle, że to już pięć lat niemal od momentu, gdy w przeddzień wojny odwiedziłem „Alego” i też tak w ogrodzie rozmawialiśmy o przyszłości, która stawała wtedy przed nami jak wielka, groźna niewiadoma.

Z zadumy wyrwało mnie pojawienie się

Krzysia. Wypadł niespodziewanie zza żyta, zeskoczył z roweru i zziąjany trochę, ale wesoły, zameldował o wykonaniu zadania.

Rzeczywiście po chwili tą samą miedzą podjechali na rowerach „Ali” i „Lis”. Po scenie powitania dziadek Szymański zaprasza do stołu. Posiłek niewyszukany jak wszędzie podczas wojny - kartofle i zsiadłe mleko, ale pośrodku stołu stoi butelka kontyngentówki. Znalazła się także jakaś zakąska.

- A to co? - pyta generał „Rola”, wskazując butelkę.

- Takie już u nas zwyczaje - odpowiada dziadek.

- Sami prawie nie pijemy, ale jak się

trafia gość, to jakże, przecież nie wypada na sucho...

Rzeczywiście w rodzinie Szymańskich wódka nie cieszyła się powodzeniem, ale butelka jej zawsze stała w szafie. Nie miała ona również powodzenia wśród działaczy naszej organizacji. Dziadek nieraz żartował, że jak, nie przyjdą chłopaki z lasu, to tych wszystkich gości można jedną butelką cały rok przyjmować. Przy tym obiedzie jednak nasza antypatia do alkoholu ustąpiła chęci uroczystego przyjęcia gości, wobec których czuliśmy się bądź co bądź gospodarzami. Nawet taki zagorzały wróg alkoholu jak „Ali” pierwszy wznosił toast za zdrowie gości. Drugi toast - za zwycięskie

zakończenie wojny i spotkanie w wolnej Polsce - wzniosł generał „Rola”, po czym - wobec faktu, że toastów jednak nie wznosi się zsiadłym mlekiem, lecz wódką - zaproponował, by z dalszych w tym dniu zrezygnować.

Odłot

Od kilku już dni Naczelny Dowódca przebywa z nami w lesie. Każdy jego dzień jest bardzo pracowity. Wypełniają go przeglądy oddziałów, odprawy z dowódcami, narady, konferencje i rozliczne inne zajęcia. Generał lubi często siedzieć wraz z nami przy ognisku, wysłuchiwać sprawozdań

i meldunków. Rzuca przy tym wiele dodatkowych pytań, żąda szczegółowych wyjaśnień. Chętnie też w wolniejszych chwilach wdaje się z żołnierzami w zwykłe, przyjacielskie pogwarki, czasem o ich prywatnych, najbardziej osobistych sprawach. Kiedy się siedzi na miękkiej leśnej ściółce i czuje dobiegające od ogniska ciepło, ogarnia jakieś błogie rozleniwienie, ludzie stają się sobie bliżsi, bardziej skorzy do zwierzeń. A tematów w urozmaiconym życiu partyzanta nigdy nie brakło.

Kwaterowaliśmy w domu właściciela młyna, stojącego wśród lasów nieopodal Zaklikowa. Oprócz generała i pozostałych członków delegacji są tu: „Ali”, „Szot” (członek dowództwa

obwodu), Wacław Marek - „Pola” (sekretarz okręgu), Franciszek Ojak - „Krzemień” (członek konspiracyjnej wojewódzkiej rady narodowej), Adela Gadzińska - „Marta” (członek konspiracyjnej wojewódzkiej rady narodowej), Jan Wyderkowski - „Grab” (szef sztabu obwodu), Tadeusz Szymański - „Lis” (dowódca okręgu), Jan Wziętak - „Murzyn” (członek komitetu okręgowego PPR) i inni działacze na szczeblu okręgu i obwodu. W pobliżu nas stoi brygada „Wicka” i oddział „Cienia”.

Korzystając z pięknej słonecznej pogody, partyzanci dokonują niezbędnych w ich surowym, prymitywnym życiu zabiegów

higienicznych. Wzdłuż brzegów stawów rybnych, otaczających wokół młyn, żołnierze rozbierają się do kąpieli. Mocno zawieszoną bieliznę wynoszą w głąb lasu.

- Co to ma znaczyć? - dziwi się „Pola”, nasz sekretarz okręgowy. - Co oni z tą bielizną wydziwiają? Zamiast uprać i wysuszyć szybko na słońcu, wynoszą ją gdzieś w krzaki.

- Zaraz się dowiesz - odrzekłem i przywołałem jednego z najbliższych stojących partyzantów. - Zapytaj go, on ci najlepiej wytłumaczy tajemnice partyzanckiej toalety.

- Powiedzcie, kolego - wypytuje „Pola” stojącego przed nami chłopca

o dziecinnej jeszcze twarzy - dlaczego wy tak robicie, zamiast korzystać ze słońca i prać bieliznę w wodzie, to ją wynosicie gdzieś brudną do lasu. Przecież innej nie macie na zmianę...

- Kiedy takie pranie nie pomaga, proszę pani. Wszy się kąpieli nie boją. Mamy na nie lepszy sposób, a przy tym i mrówkom robimy ucztę, że hej!

„Pola”, która z bliska zetknęła się z partyzanckim życiem po raz pierwszy i nie zdążyła jeszcze przeniknąć wszystkich jego tajemnic, spogląda podejrzliwie to na chłopca, to na mnie, nie bardzo wiedząc, o co idzie.

- Nie żartujcie sobie ze mnie! - mówi zniecierpliwiona. - Co to wszystko ma

znaczyć? O jakiej uczcie mówicie i co ma ona wspólnego z waszą brudną bielizną?

- A to pani nie wie, że jak się zanieśie zawszoną koszulę do mrowiska, to za pół godziny mrówki zrobią w niej taki porządek, że żadne pranie tak nie pomoże?

Rzeczywiście, był to nasz wypróbowany i niezawodny sposób, który dawał znakomite wyniki. Pracowite mrówki wybierały nie tylko wszystkie wszy, ale oczyszczały także odzież dokładnie z gnid. Wystarczyło, żeby koszula jeden raz przesiąkła mrówczym kwasem, a już można ją było nosić do zdercia i choćby była nie wiem jak brudna, żadne

robactwo jej się nie trzymało.

- My tak gacie i całe ubranie nieraz do mrowisk nosimy - opowiadał dalej chłopak. - A tamtej jesieni miałem taki długi kozuch. Ciepło było pod nim spać, inni mi go zazdrościli, ale wszy to w nim było tyle, że się cały ruszał, jak leżał na ziemi. Jak ja go zakopał kiedyś w takim dużym kopcu z mrówkami na cały dzień, to mrówki go tak wyczyściły ze wszystkiego plugastwa, że teraz sobie śpię pod nim jak ten hrabia...

- No, a co potem robicie z tymi mrówkami, które przy okazji rozgospzczą się w waszym ubraniu? Co zrobiliście z waszym kozuchem? - dopytywała się w dalszym ciągu „Pola”.

- O, to już jest całkiem proste. Wystarczy położyć bieliznę czy ubranie koło ognia, a mrówki wnet same się wyniosą. Trzeba tylko uważać, żeby się nie spaliło. - Młody żołnierz zakończył swoje wyjaśnienia i zapytał, czy może odejść.

A my udaliśmy się na odprawę zwołaną przez Naczelnego Dowódcę. Odprawę zagał „Ali”. Po nim zabierali kolejno głos prawie wszyscy. Mówili o swojej pracy, o trudnościach, jakie w niej napotykają, i o osiągnięciach. Generał słuchał wszystkich z uwagą, zadawał dodatkowe pytania, a na zakończenie sam zabrał głos. Dał ocenę sytuacji wojskowej na frontach i ocenę sytuacji politycznej w kraju, podkreślił

znaczenie Krajowej Rady Narodowej i omówił zadania Armii Ludowej na najbliższy okres. Trochę nas pochwalił, gdzie trzeba - skrytykował, wszystkim jednak udzielił rad i fachowych wskazówek, zwłaszcza w zakresie organizacji oddziałów i ich szkolenia, do którego przywiązywał wielką wagę, oraz przeprowadzania akcji bojowych na kolejowe transporty niemieckie.

- Nie wyobrażacie sobie nawet, moi kochani - powiedział w zakończeniu - jakie znaczenie ma obecnie wysadzenie pociągu z amunicją, która nie dotrze przez to na front, czy zerwanie linii kolejowej i spowodowanie najkrótszej chociażby przerwy w komunikacji i transporcie wroga. Nie zdajecie sobie

sprawy, jak bardzo pomaga nasza walka partyzancka bratniej Armii Radzieckiej i naszym kościuszkowcom.

Po zebraniu generał „Rola” zatrzymał nas kilku i oświadczył, że jego pobyt na naszych terenach dobiega już końca i że będzie musiał wkrótce razem z towarzyszami, z którymi przybył na Lubelszczyznę, opuścić kraj i wyjechać do Związku Radzieckiego.

Patrzyliśmy na niego zdziwieni. Do głowy cisnęło się wiele pytań. Jakże to tak: wyjechać? W jakiż sposób zamierzał generał przekroczyć linię dalekiego jeszcze frontu i jak przebyć znaczną przecież przestrzeń w tak niebezpiecznych warunkach?

Generał jakby znał nurtujące nas pytania. Zanim zdążyliśmy o cokolwiek zapytać, sam zaczął nas wtajemniczać w niektóre szczegóły. Jak się okazało, zgodnie z porozumieniem naszych władz centralnych z rządem radzieckim, za kilka dni miał przybyć w nocy radziecki samolot, aby zabrać generała „Role” i towarzyszących mu innych członków delegacji do Moskwy. Dokładnego terminu odlotu generał sam jeszcze nie znał. Miał on być dodatkowo podany przez radiostację. - My do tego czasu - mówił generał - musimy wybrać odpowiednie lądowisko dla samolotu. Sam sposób lądowania będzie podany jeszcze dodatkowo razem z dokładną datą.

Na obiad nasi kucharze przygotowali kartofle z zsiadłym mlekiem, które znalazło się u gościnnego młynarza. Poprawiły się wszystkim humory. Po obiedzie siedzimy całą gromadą, gwarząc o tym i owym.

W pewnej chwili miły poobiedni nastrój przerywa nam przyniesiona przez łącznika wiadomość, że oddział „Przepiórki” został zaatakowany na pograniczu powiatów kraśnickiego i puławskiego przez jakiś większy oddział NSZ „Zęba” i wzywa pomocy.

Spojrzeliśmy wszyscy na generała. On tu przecież wśród nas był najstarszy i do niego należała decyzja.

Spodziewaliśmy się, że natychmiast

podejmie decyzję, bezzwłocznie wyda odpowiedni rozkaz. On tymczasem najpierw zapytał nas o zdanie, potem się chwilę zastanowił i dopiero wtedy powiedział:

- Tak, macie rację, niech natychmiast „Cień” zbierze swoich ludzi. Jego grupa jest niewielka, ale, jak słyszałem, bardzo operatywna i bojowa. Tylko przed wyjazdem niech osobiście zamelduje się tu jeszcze u mnie.

Wkrótce „Cień”, z przewieszonym przez piersi niemieckim pistoletem maszynowym „empi”, zjawił się przed generałem. Przed młynem stało kilka gotowych do odjazdu furmanek z ludźmi „Cienia”. Byli to wszyscy znani

z odwagi żołnierze, którzy niejedną już potyczkę mieli za sobą. Generał w krótkich słowach wydał „Cieniowi” konkretny rozkaz i omówił zadanie: należy się spieszyć, lecz zachować przy tym jak największą ostrożność w podejściu do miejsca postoju oddziału „Przepiórki”, by nie dać się zaskoczyć ani wprowadzić w zasadzkę, unikać walki bratobójczej, strzelać tylko w obronie własnej lub też w obronie oddziału „Przepiórki”.

- Czy zrozumieliście, poruczniku „Cień”?

„Cień” nie służył przed wojną w wojsku, nie umiał jeszcze wtedy odpowiedzieć naszemu Naczelnemu

Dowódcy tak, jakby to zrobił w dwa lata później, kiedy to w 1946 roku wraz ze mną na kursie dowódców pułku w Rembertowie recytował nieraz na pamięć różne rozkazy bojowe na wzgórzach: 105,6 lub 102,8. Ale rozkaz generała wykonał i w kilka godzin później zameldował przez gońca, że jest już ze swoją grupą na miejscu postoju oddziału „Przepiórki” i że wiadomość o niebezpieczeństwie, w jakim miał się znaleźć „Przepiórka” ze swym oddziałem, okazała się zwykłym nieporozumieniem.

Wieczorem, po kolacji, zegnamy się z gościnnym młynarzem. Droga wiedzie teraz w rejon lasów borowskich. Wraz z brygadą „Wicka” zatrzymujemy się w

Szczeckich Dołach. Zgodnie z przeprowadzonym uprzednio przy pomocy mapy rozpoznaniem tu mamy dokonać wyboru miejsca lądowania dla samolotu. Utworzono specjalną grupę oficerów z „Szotem” na czele, która w ciągu dwóch dni miała dokonać wyboru i przedstawić generałowi propozycję.

Jest już po północy. Mamy za sobą ciężki dzień. To dobrze, że możemy wreszcie udać się na zasłużony odpoczynek.

Kładę się razem z generałem na miękkim mchu, pod wspólnym kocem. Życzył sobie tego od samego początku swojego pobytu u nas w lesie. Prawdę mówiąc,

nie byłem zbyt uszczęśliwiony tymi noclegami. Przeszkadzał zaszczepiony przez rodziców szacunek dla starszych i szczególny respekt, który odczuwaliśmy dla naszego Naczelnego Dowódcy. Kłepowało mnie to do tego stopnia, że kładąc się pod jednym kocem obok generała nie bardzo wiedziałem, jak właściwie mam się zachować, aby nie popełnić jakiegoś nietaktu. Najbardziej, prawdę mówiąc, bałem się o to, żeby ode mnie do generała coś nie przelazło. Co prawda i ja zrobiłem niedawno ucztę mrówkom, ale całkowitej pewności nigdy w takich sprawach mieć nie można. Na wszelki więc wypadek starałem się zachować choćby minimalny odstęp. Generał

jednak, który lubił sypiać na boku, wymawiał mi, że się za bardzo odsuwam i marzną mu plecy. Nie, wspólne łożę z generałem to stanowczo nie to, co z moim młodszym bratem, Jankiem, w dobrych latach powszechniaka, kiedy to rokrocznie do samego Bożego Narodzenia spaliśmy obaj na strychu naszej murowanej obory. Cały strych zapchany był sianem i słomą, a my w głębokiej jamie wysypialiśmy się jak dwa borsuki. Matka, przychodząc rano do obory doić krowy, często nie mogła nas się dobudzić. Nie pomagało ani stukanie grabiami w sufit, ani wołanie, choćby nie wiem jak głośne. Kłóciliśmy się zwykle między sobą, kto pierwszy ma

wychodzić z naszej jamy. Nic dziwnego, że teraz, leżąc z otwartymi oczami obok generała, myślałem tęsknie o tamtych dawnych, dobrych czasach, które jakże były sielskie, beztroskie i dalekie od naszych okupacyjnych niewygód.

Następnego dnia dotarła do nas szyfrówka z dokładną datą przybycia samolotu. Moskwa żądała jednocześnie precyzyjnego określenia miejsca lądowania samolotu i przygotowania delegacji do podróży. Przed odlotem trzeba było zrobić jeszcze jedną odprawę z aktywnym partyjnym i wojskowym. Generał „Rola” omawia z dowództwem okręgu i obwodu zadania bojowe dla poszczególnych oddziałów partyzanckich. Nakazuje, aby w walce

z wrogiem stosować stale - w celu uniknięcia większych strat w ludziach - taktykę partyzancką, to jest nieprzyjaciela zaskakiwać, niepokoić, gnębić, niszczyć transport, a nie przyjmować większych bitew. Po wyzwoleniu wyrosną przed nami liczne zadania. Do ich realizacji będą potrzebni ludzie. Zwłaszcza zahartowani w trudach, doświadczeni i zdolni do poświęceń działacze ruchu oporu. Przypomina nam dyrektywy Krajowej Rady Narodowej - byśmy na terenach, gdzie zostanie nas wyzwolenie, najpierw zorganizowali władzę ludową, a potem dopiero nawiązali kontakt z władzami centralnymi, które według wszelkiego prawdopodobieństwa w pierwszym

okresie po wyzwoleniu będą się znajdować w Lublinie.

Głos zabierali także towarzysze Kotek-Agroszewski i Czechowski, zapoznając nas bliżej z zadaniami, jakie będą stały przed radami narodowymi, kiedy przepędzimy z tych terenów okupanta. W sprawie organizacji i pracy rad narodowych mieliśmy już dokładne instrukcje. Wiele konspiracyjnych rad narodowych działało już w tym czasie i na naszym terenie. Trzeba je było tylko po wyzwoleniu ujawnić i rozwinąć ich działalność.

Nasi goście przygotowują się gorączkowo do odjazdu. My, partyzanci, zdawaliśmy sobie sprawę, że misja

generała „Roli” ma dla naszego ruchu partyzanckiego ogromne znaczenie. Żyliśmy nadzieją, że nastąpi zwiększenie zrzutów broni, której ciągle jeszcze mieliśmy za mało i na którą czekało tysiące ochotników pragnących powiększyć szeregi podziemnego frontu. Szef służby zdrowia, „Znachor”, liczył, że otrzyma drogą zrzutów różne lekarstwa, a „Pola”, sekretarz okręgowy PPR, zwraca się do generała „Roli”, aby przy okazji zrzutu broni nie zapomnieć także o zwiększonej dawce polskich książek i gazet wydawanych w ZSRR przez Związek Patriotów Polskich.

Wreszcie nadchodzi dzień odjazdu. Wszyscy jesteśmy podnieceni tym niebywałym i tak ważnym dla nas

wydarzeniem. W głowie nie chciało się pomieścić, że na okupowanej ziemi zobaczymy lądowanie najprawdziwszego w świecie radzieckiego samolotu.

Miejsce do lądowania wybrane zostało w pobliżu wioski Szczecyn, około ośmiu kilometrów na wschód od Wisły. Była to rozległa płaszczyna łąk, na której samolot mógł w nocy bezpiecznie dokonać lądowania i startu.

Przygotowano już wszystko, co zgodnie z szyfrówką należało przygotować. Zabezpieczono lądowanie, rozpalono ogniska rozmieszczone w kształcie wielkiego prostokąta. Ludzie z brygady „Wicka” na wszelki wypadek ulokowali

się w pobliskim lesie. Delegacja z walizkami i teczkami czekała już gotowa do odlotu. Samolot miał przybyć najpóźniej do godziny 24.00.

Siedzimy na skraju lasu, tuż przy lądowisku, rozmawiając dla zabicia czasu na różne tematy. Chłopcy przejęci są powagą chwili. Pilnie nasłuchują, czy samolot nie leci. Kiedy mija północ, zaczynamy się coraz bardziej denerwować.

Czas odmierza nieubłaganie minuty. Im więcej ich po godzinie dwudziestej czwartej, tym bardziej staje się wątpliwe, czy samolot w ogóle przyleci.

W niecierpliwym wyczekiwaniu zaczynamy wyliczać wszystkie trudności

i przeszkody, z jakimi pilot mógł się spotkać po drodze. Mogły go przecież zestrzelić niemieckie baterie przeciwlotnicze lub myśliwskie samoloty. Mogła gdzieś na trasie lotu nie dopisać pogoda. Niewykluczone wreszcie, że pilot, mający do przebycia tak długą przecież trasę nad nie znanym sobie terenem, mógł zabłądzić w nocnych ciemnościach.

Nagle niespodziewanie, gdzieś około godziny pierwszej po północy, kiedy straciliśmy już niemal resztki nadziei, dał się słyszeć, cichy zrazu odgłos, lecącego samolotu. Zaczęto zgadywać: radziecki czy niemiecki? Słuchaliśmy z uwagą i potęgującego się powoli szumu silników, i partyzanckich

zgadywanek. W pewnym momencie przybiegł do nas radziecki radiooperator Kola wykrzykując uradowanym, podnieconym głosem:

- Towarzyszczy, eto nawierno nasza maszyna. Ana siejczas budiet zdies’.

Na dany znak buchnęły w górę wysokie słupy ognia. Nie mieliśmy już wątpliwości.

Samolot jest już nad nami. Nagle - cóż to? Wszystko przebiegało przecież zgodnie z instrukcją, a maszyna, ku naszemu najwyższemu zdziwieniu, nie robi znanej nam z poprzednich zrzutów rundy. Po prostu przelatuje ze wschodu na zachód. Warkot jej silników słabnie powoli, a wreszcie zupełnie ginie

w mrocznej dali.

Wśród partyzantów zapanowały znów rozczarowanie i konsternacja. Szczęściem nie na długo. Jak nam później pilot wyjaśnił, poleciał nad Wisłę, bardzo dobrze widoczną w nocy z góry, aby się upewnić, czy rzeczywiście znajduje się u celu.

Po dłuższej więc chwili znów posłyszeliśmy warkot silników, tym razem od zachodu. Bardzo wyraźnie. Coraz bliżej i głośniej. Jest już nad nami. Samolot sygnalizuje światłami, robi rundę. Pilot, zniżając lot, kołuje nad lądowiskiem parokrotnie. Strzelec pokładowy wystrzeliwuje kilka białych rakiet i samolot z zapalonymi

reflektorami ląduje na równinie łąki. Z okrzykiem „hura” biegną do niego uszczęśliwieni chłopcy.

Po chwili silniki cichną, drzwiczki samolotu otwierają się i wychodzi załoga. Serdecznym powitaniom nie ma końca. Zasypujemy przybyszów dziesiątkami najrozmaitszych pytań. Każdy chciałby się czegoś dowiedzieć od bohaterskich lotników, ale dowódca trzyosobowej załogi odpowiada krótko tylko na najważniejsze pytania.

- Wremieni niet, towariszczii - mówi spoglądając na swój świecący zegarek. - Bystrej, bystrej - zachęca delegację do wsiadania, a nam tłumaczy, że przed świtem przecież muszą przelecieć nad

frontem. W drodze do nas Niemcy solidnie ich ostrzeliwali...

Nadchodzi chwila pożegnania. Wymieniamy uścisk dłoni, życząc sobie wzajemnie wiele dobrego i rychłego spotkania w wolnej już Polsce.

Czy wszyscy się zobaczymy? Ilu z nas jeszcze zabraknie - pomyślałem przelotnie, patrząc po twarzach obecnych.

Nie wiedziałem wówczas, podobnie jak nie wiedział nikt spośród nas, że już najbliższe tygodnie dadzą na to pytanie odpowiedź.

Załoga i pasażerowie są już w samolocie. Zatrząskują się drzwiami, pilot wychyla się i krzyczy na nas, aby

odejść na odpowiednią odległość od śmigła. Zapuszcza silniki i nocną ciszę wypełnia niesamowity ryk spotęgowany leśnym echem.

Stoimy wokół samolotu, w niewielkiej od niego odległości. Tylko z przodu, na kierunku startu, droga jest wolna. Czekamy, ale maszyna pomimo coraz głośniejszej pracy silników nie rusza z miejsca. Widać, jak pilot robi, co może, aby wprawić ją w ruch, ale wszystkie próby spełzają na niczym. Kadłub samolotu aż się trzęsie, wiatr wyrywa spod śmigieł trawę i zdziera nam czapki z głów, a maszyna w dalszym ciągu stoi jak zaklęta, nie mogąc ruszyć z miejsca.

Po chwili silniki znów cichną, drzwiczki samolotu otwierają się i wychodzi sama załoga, pasażerowie pozostają w kabinie. Piloci badają przyczynę uwięzienia maszyny. Okazuje się, że - bagatelka! - koła podwozia prawie całkowicie ugrzęzły w mokrej łące. To kilkugodzinny obfity deszcz, jaki spadł w ostatnim dniu tuż przed wieczorem, rozmoczył łąkę, czyniąc ją niezdatną do lądowania i startu tak ciężkiej maszyny.

Załoga jest stropiona, ale widać, że dzielni, młodzi piloci nie tracą nadziei. Badają teren, zastanawiają się, szukają wyjścia z kłopotliwej sytuacji. Pytają nas, czy gdzieś w pobliżu nie ma większej ilości desek.

Nasi partyzanci natychmiast dostają zadanie, aby w jak najkrótszym czasie zebrać możliwie najwięcej desek w Szczecynie, załadować furmanki i przywieźć do samolotu.

Wioska leży w odległości jednego kilometra i cała operacja trwa blisko trzy kwadranse, nim na niefortunnej łące zjawiają się furmanki z deskami. Układamy kilkudziesięciometrowy drewniany pomost. Następnie piloci pouczają nas, jak pomóc maszynie, aby ją wypchnąć na pomost, z którego by mogła nabrać rozpędu i wystartować.

Podkładamy pod koła deski. Piloci wchodzą z powrotem do maszyny. Znow zaczynają pracować silniki i kiedy pilot

dodaje gazu - dziesiątki silnych młodych rąk na okrzyk „hura” dźwignęło maszynę i przetoczyło ją na pomost. Pilot już jej nie zatrzymywał, tylko silniki jeszcze głośniej zagrały, maszyna potoczyła się szybciej, potem zobaczyliśmy, jak oderwała się od ziemi.

Nagle... Wszystko stało się w chwili, kiedy byliśmy już zupełnie pewni szczęśliwego startu naszych gości i zadowoleni obserwowaliśmy światła oddalającego się samolotu. Przecież to nie złudzenie! Zamarliśmy w bezruchu. Wyraźnie było słychać, jak samolot przy ścianie lasu z wysokości kilkudziesięciu metrów spadł na ziemię. Słychać było wyraźnie trzask upadającej maszyny! Nikt z nas nie wydobył z siebie żadnego

słowa. Patrzyliśmy po sobie w niemym przerażeniu, nie pojmując, co się mogło stać. Minęła dobra chwila, nim ktokolwiek ruszył się z miejsca.

Biegniemy z zapartym tchem do leżącej na ziemi maszyny.

Drzwi kabiny są otwarte. Ze środka dobiegają jęki. Trwa tam jakaś krzątanina. To generał „Rola” razem ze starszym pilotem - nie odnieśli oni przy upadku poważniejszych obrażeń - udzielają pierwszej pomocy pozostałym rannym pasażerom. Okazało się, że Kotek-Agroszewski ma złamany obojczyk, Jan Czechowski mocno zwichniętą w kolanie nogę, doktor Litwin z synem zostali poważnie

potłuczeni. Lekkie rany odnieśli również młodszy pilot i strzelec pokładowy.

Generał, widząc wśród nas zamieszanie i konsternację, pierwszy zapanował nad sytuacją. Zaczął natychmiast wydawać odpowiednie rozkazy i polecenia. Potłuczonych kazał wynieść z kabiny i ułożyć na trawie, a lekarzowi okręgowemu - przygotować się do zrobienia im opatrunku.

Podczas gdy lekarz z sanitariuszem dokonywał niezbędnych zabiegów, generał nie tracąc chwili czasu wydawał dalsze zarządzenia: przygotować furmanki dla rannych i po zabiegu ułożyć ich na wozach. Starszemu pilotowi polecił, aby obejrzał dokładnie maszynę

i zastanowił się, co z nią zrobić.

Do świtu pozostała zaledwie godzina. Trzeba było co prędzej stąd uchodzić. Nie mieliśmy najmniejszej wątpliwości, że Niemcy stacjonujący w odległym o niespełna pięć kilometrów Gościeradowie wiedzą o lądującym tu samolocie i z ciekawości przyjdą tu o świcie.

- Nie mamy do stracenia ani chwili czasu - przynagła generał.

Ranni leżą już na furmankach. Pilot melduje generałowi, że maszyna ma złamane śmigło i oberwane podwozie i że absolutnie nie daje się w tych warunkach do naprawy. O uratowaniu jej nie mogło być mowy. Aby samolot

radziecki nie dostał się do rąk Niemców, pilot proponuje go spalić. W ten sposób zatrze się po sobie ślady i odwróci uwagę hitlerowców od pościgu za naszą grupą, z którą przecież do rana nie uda nam się zbyt daleko odskoczyć.

Generał bez wahania aprobuje tę propozycję, a mnie nakazuje zaopiekować się rannymi i umieścić ich, do czasu wyzdrowienia, w jakimś bezpiecznym miejscu. Takie było moje rozstanie z generałem. On wraz z innymi udał się do lasów lipskich, ja - żeby wykonać rozkaz - pozostałem jeszcze chwilę na miejscu. Obaj z lekarzem okręgowym „Znachorem” na trzech furmankach odwozimy rannych

w kierunku Trzydnika. Odjazdowi naszemu towarzyszowi olbrzymia łuna od palącego się samolotu, która oświetla nam najbliższy odcinek drogi. Po raz pierwszy w życiu widziałem wtedy z bliska palący się na ziemi samolot. Cóż - nie udało się, los jest czasem nieubłagany. Jakże trudna jest droga do zwycięstwa, jak drogo trzeba czasem za nie płacić!

Popędzamy konie, chcemy zdążyć przed świtem do Zagórza - wioski zagubionej wśród pól, z dala od traktu, gdzie pod opieką naszej służby zdrowia mamy zamiar leczyć naszych gości.

Ze znacznej już odległości oglądamy się na nasze niefortunne lotnisko. Łuna

ciągle jeszcze rozświetla rzędniejące już mroki. Smutny to był dla nas obraz, tyle trudu poszło na marne...

Droga nasza prowadzi koło gminy w Trzydniku, przy której znajdował się strzeżony areszt. Z doświadczenia wiemy, że o tej porze, nad ranem, nic złego nas tu nie spotka, na wszelki jednak wypadek ładujemy nasze pistolety i trzymamy je odbezpieczone w pogotowiu. Koło „wilczej jamy” rzeczywiście przejeżdżamy spokojnie. Dyżurny policjant granatowy wyjrzał przez okno i spostrzegłszy nas, szybko zamknął je z powrotem, udając, że nic nie zauważył.

Kiedy generał „Rola” z brygadą dotarł

do lasów lipskich, słońce stało już wysoko na niebie. Przy pomocy radiostacji, jaką wówczas dysponowaliśmy, udało mu się drogą radiową nawiązać kontakt z Moskwą i przekazać informacje o nieudanym odlocie.

W kilka dni później dowiedzieliśmy się, że po delegację ma przybyć drugi samolot, należy tylko ustalić termin. W związku z tym właśnie przybył do mnie od generała łącznik z zapytaniem, w jakim terminie ranni członkowie delegacji będą mogli kontynuować swą podróż do Moskwy. Mimo wszystkich zabiegów i wysiłków naszego szefa służby zdrowia, kuracja przeciągnęła się prawie do dwóch tygodni. W tym

okresie przy fachowej pomocy pilotów ze spalonego samolotu udało się nam wyszukać odpowiednie lądowisko w pobliżu wsi Wilczów, odległej o kilka kilometrów od Zaklikowa. Na obszernym, pokrytym zbożem płaskowyzu trzeba było jednak przeprowadzić niezbędne prace przygotowawcze, aby samolot tym razem mógł już szczęśliwie nie tylko wylądować, ale - co najważniejsze - aby miał zapewnione możliwości pewnego startu. Zwałowano więc rosnące tam zboże, wyrównano bruzdy i miedze. Troskliwie uprawiana i spulchniona przez chłopów rola została w tym miejscu ubita jak klepisko.

Czekaliśmy znowu na przybycie

samolotu, z którym wiązało się tyle naszych nadziei. Zdawaliśmy sobie doskonale sprawę z odpowiedzialności za pierwszy nieudany odlot naszej delegacji, rozumieliśmy, czym była strata bojowego samolotu, tak bardzo wówczas przecież potrzebnego na froncie. Tym razem więc przygotowania do odlotu delegacji odbywały się ze zdwojoną precyzją i dokładnością. Wykonanie takich zadań na tyłach wroga wymagało nie tylko wielkiej odwagi i ryzyka, ale również umiejętności przewidywania i zdrowego rozsądku. Zwłaszcza że partyzant w odróżnieniu od regularnego żołnierza, zaopatrywanego we wszystko i kierowanego zawsze przez dowódcę,

zdany jest najczęściej na własny rozum i własny wysiłek. Sam sobie jest najczęściej dowódcą, kwatermistrem i wychowawcą, sam wykonuje własne decyzje, jakże często sam decyduje o sposobie walki i wykonaniu zadania. Zdawaliśmy sobie z tego wszystkiego dobrze sprawę. Wiedzieliśmy, że każdy okupacyjny dzień jest dla nas trudnym egzaminem z naszych partyzanckich umiejętności. Egzamin ten trwał ciągle, nieprzerwanie. Nawet wówczas, gdy obaj ze „Znachorem” odwiedzaliśmy często naszych podopiecznych. Kuracja niepokojąco przedłużała się i nie od razu mogliśmy przewidzieć termin jej zakończenia.

Wreszcie któregoś dnia - chociaż Kotek-

Agroszewski musiał jeszcze rękę trzymać w gipsie i na temblaku, a Czechowski z trudem chodził o kuli - oświadczyli nam, że w takim stanie mogą już odbyć dalszą podróż samolotem.

Dłużej nie można było czekać. Front pod uderzeniami radzieckich armii coraz szybciej przesuwał się bliżej ziem polskich. Trzeba było przygotowywać się do objęcia na wyzwolonych terenach władzy, która tak wiele przecież miała do zrobienia. Nie zwlekając więc ani chwili dłużej, tego samego jeszcze wieczora odwieźliśmy - pod odpowiednią ochroną - naszych kuracjuszy.

Następnej nocy przyleciał samolot. Tym razem zgodnie z zapowiedzią, punktualnie. Wszystko odbyło się bez niespodzianek i samolot zabrawszy całą delegację na pokład odleciał do Moskwy. Tylko przy przelocie nad frontem - jak mi później opowiadał generał „Rola” - delegacja nasza musiała przejść nie lada próbę nerwów. Niemieckie baterie przeciwlotnicze uchwyciły samolot w światła reflektorów i zaczęły silnie ostrzeliwać. Pilot nie miał innego wyjścia - znurkował na pełnym gazie i przeleciał na minimalnej wysokości tuż nad niemieckimi pozycjami. Tylko w ten sposób można było uratować maszynę i dotrzeć wraz z pasażerami szczęśliwie

do celu.

Wojna nabierała coraz szybszego tempa, front wschodni szybko zbliżał się do naszych granic. Wszystko potoczyło się znacznie szybciej, niż przypuszczaliśmy przed odlotem delegacji.

Ostatnia noc

W drugiej połowie lipca 1944 roku przez miasteczka i wsie Lubelszczyzny zaczęły przeciągać cofające się wojska niemieckie. Wyprzedzili je cywile. Od dłuższego już czasu ciągnęły na zachód furmanki wypełnione różnym dobytkiem domowym Niemców: pościelą, tobołami z ubraniem, sprzętem

gospodarskim. Odjeżdżali pełni strachu, w obawie, że nie zdążą uciec, że mogą zostać ze wszystkich stron otoczeni i odcięci. Wśród osadników i volksdeutschów nastąpiło zamieszanie i panika. Panika ogarnęła zwłaszcza volksdeutschów. Nie wiedzieli, co robić - zostać na miejscu czy jechać ze swymi mocodawcami. Lecz dokąd i po co jechać? Gdzie się zatrzymać? Z czego żyć? Niestety, za późno przyszło opamiętanie.

Polaków ogarnęło zgodne uczucie ogromnej radości. Nareszcie doczekaliśmy chwili, kiedy butni do niedawna hitlerowcy muszą od nas uciekać. Możemy do woli sycić się ich klęską. To uczucie góruje nad wszystkim

innym, spycha wszystko inne na plan dalszy, choć do pełnego triumfu jeszcze wiele brakuje.

Nasza działalność organizacyjna i bojowa napotykała w tym okresie coraz większe trudności. We wszystkich niemal wsiach kwaterowali Niemcy. Pełno ich było na każdej szosie i każdej, bocznej nawet, drodze, a także w okolicznych lasach. Uniemożliwiało to większą koncentrację naszych sił, utrudniało łączność między oddziałami i garnizonami. Względy bezpieczeństwa nakazywały zaostrenie konspiracji, która ostatnio nie była zbyt rygorystycznie przestrzegana. Mieliśmy już przecież całe rejony, w których Niemcy nie odważyli się pokazać i gdzie

niemal zupełnie jawnie prowadziliśmy naszą działalność.

Teraz, gdy linia frontu szybko zaczęła się zbliżać ku Wiśle i gdy wszędzie na naszych terenach aż się roiło od Niemców, wszystko uległo nagłej zmianie. Jakiegokolwiek ruchy oddziałów partyzanckich stały się bardzo ryzykowne. Być może bezpieczniej i praktyczniej byłoby wówczas zaszyć się głęboko w lasach lipskich, przez które wycofujące się jednostki wroga nie mogły się przedzierać, i spokojnie odczekać, aż linia frontu przesunie się dalej na zachód. Uniknęlibyśmy w ten sposób zapewne wielu dodatkowych strat.

Myśl taka mogła się wydawać komuś może kusząca, zwłaszcza że nadejście wojsk radzieckich było już teraz kwestią dni. Czy jednak mogliśmy pozostać w takiej chwili bierni? Czy entuzjazm naszych ludzi, od przeszło dwóch lat rozpalany z dnia na dzień walką, można było teraz, w chwili największego triumfu nad wrogiem, zgasić zarządzeniem, rozkazem biernego wyczekiwania, tak bardzo nie pasującym do całej naszej dotychczasowej taktyki?

Wiedzieliśmy, że rozkaz taki nie trafiłby do przekonania naszym żołnierzom, zahartowanym już w walkach, pełnym zapału, gotowym do dalszych ofiar dla słusznej sprawy, którą reprezentowali. Niezrozumiałą byłby on również dla

miejscowego społeczeństwa. Zapadła więc decyzja, by nadchodzącą wolność powitać po partyzancku, z bronią w rękę. Dodatkowym argumentem, który zaważył na tej decyzji, był fakt, że oto nadszedł najlepszy moment do prowadzenia rozpoznania jednostek niemieckich wycofujących się na nową linię obrony na Wiśle. Zdawaliśmy sobie w pełni sprawę z wagi takiego rozpoznania. Dla każdego było oczywiste, że wiadomości, jakie nasz wywiad uzyskiwał w ten sposób i przekazywał sztabom nacierających jednostek Armii Radzieckiej, były niezwykle cennym materiałem w planowaniu nowych uderzeń, decydujących o szybkim i całkowitym

wyzwoleniu ziem polskich spod okupacji hitlerowskiej.

Poczucie żołnierskiego obowiązku w chwili, kiedy wojska radzieckie wraz z naszymi kościuszkowcami w zwycięskim marszu na zachód gromiły armię hitlerowską, nie pozwalało nam biernie oczekiwać na wyzwolenie.

W takiej sytuacji znalazłem się z grupą towarzyszy w lasach rozpościerających się między Kraśnikiem, Annopolem i Zaklikowem. Przedtem jeszcze we wsi Zagórze, u naszego wypróbowanego sympatyka Tompolskiego, odbyła się odprawa, w której udział wzięli między innymi: „Ali”, „Grab”, „Pola”, „Kot”, „Krzemień”, „Marta”, „Poleszuk”, „Lis”

i ja. Mieliśmy ze sobą również dwie czynne radiostacje, obsługiwane przez radzieckich radzistów z Karolem Janikowskim na czele.

Dziwna to była odprawa. Trwała nie dłużej niż godzinę. Nie było już czasu na dyskusję. Krótkiej wymianie zdań towarzyszył huk dział. Front zbliżał się z każdą chwilą coraz bardziej. Nie ustawał ani na moment warkot radzieckich i niemieckich samolotów. Dochodziło między nimi często do walk powietrznych, które z ziemi można było doskonale obserwować.

Stanisław Szot - „Kot” wyraził powątpiewanie, czy w zaistniałej sytuacji warto zabierać ze sobą tabor

z całością sprzętu. Jego zdaniem należało zostawić gdzieś na wsi wszystko, co stanowiło niepotrzebny balast utrudniający walkę, zwłaszcza że z częścią brygady Ignacego Borkowskiego - „Wicka” zamierzaliśmy przejść przez front. Zdania co do tego były podzielone. Jedni - jak się później okazało, słusznie - wyrażali, podobnie jak „Kot”, przekonanie, że w takich sytuacjach należy zapewnić ludziom jak największą swobodę, nie obciążając ich zbytnio niepotrzebnymi w walce taborami i sprzętem gospodarczym. Inni uważali - i ci również mieli rację - że tabory mogą się przydać, zwłaszcza przy przewożeniu rannych. Argument ten wydał się nam przekonywający.

W końcu decyzję w tej sprawie zgodnie postanowiono zostawić samemu dowódcy brygady, „Wickowi”. Na nim spoczywał obowiązek dowodzenia brygadą, niech więc sam podejmie decyzję. Co postanowi, to będzie.

Na tym dyskusja została zakończona.

Siły nasze były niewielkie. Składały się na nie pojedyncze grupy 1 Brygady AL im. Ziemi Lubelskiej, dowodzone przez dowódcę tejże brygady, Ignacego Borkowskiego - „Wicka”. Trzon tych sił stanowił oddział „Przepiórki”, do tego dochodziła niewielka grupa działaczy partyjnych z okręgu i obwodu. W sumie było nas około dwustu ludzi i trochę taborów.

Poczynaliśmy sobie od początku dość odważnie. Podzieleni na kilka grup, przesuwaliliśmy się niepostrzeżenie między niemieckimi oddziałami, przechodząc z jednego masywu leśnego do drugiego. Czasem z całkiem bliskiej odległości obserwowaliśmy toczące się przez las niemieckie czołgi, coraz to nowe kolumny samochodów i artylerii. Nikt nie mógł mieć wątpliwości - to był już tylko odwrót „niezwycięzonej” armii. Wszystko na łeb na szyję gnało gdzieś na zachód, ku Wiśle. Coraz bliżej słyszać było grzmot radzieckich dział.

Wtedy właśnie poniosła nas partyzancka fantazja. W przekonaniu, że mamy do czynienia z przeciwnikiem rozbitym, zdemoralizowanym i tak wystraszonym,

że nie będzie już w stanie stawić żadnego oporu, zaczęliśmy atakować napotkane po drodze mniejsze pododdziały. Zbliżająca się chwila wyzwolenia wywołała u naszych żołnierzy taki entuzjazm, że niektórzy w pobliżu nas ni stąd, ni zowąd zaczęli nawet śpiewać.

- Czyście powariowali - karcił któryś z dowódców.

- Wesoło im! Gotowi jeszcze nieszczęście na kark ściągnąć! Poczekaj jeden z drugim, niedługo będziesz mógł wrzeszczeć, ile wlezie!

Oni jednak nie czekali. Młodzi, z zawadiackimi minami, śpiewali dalej. Tym razem „Międzynarodówkę”.

Poirytowany dowódca umilkł, uśmiechnął się nawet wyrozumiale pod nosem, a potem - o dziwo! - sam zaczął nucić półgłosem:

Bój to będzie ostatni,
krwawy skończy się trud...

Pomimo niebezpieczeństwa zagrażającego nam ze wszystkich stron wyczuwało się wśród ludzi wielką potrzebę czynu. Rwali się sami do walki. Dowódca brygady chcąc nie chcąc musiał zezwolić niewielkim grupom na kilka wypadów przeciw odosobnionym mniejszym kolumnom niemieckim. Kolumny te, nie

przewidując zupełnie podobnych niespodzianek w tak gęsto naszpikowanym wojskiem terenie, łatwo dawały się zaskoczyć.

Kilka wypadów powiodło się. Szczególnie pomyślny był ostatni. Przechodziliśmy akurat z jednego masywu leśnego do drugiego, gdy na drodze pojawiła się kolumna niemieckich samochodów. Zatrzymaliśmy ją ogniem karabinów maszynowych i granatami. Był to, jak się okazało, sztab niemieckiego pułku.

Po krótkiej, zaciętej walce pozostały na miejscu trupy hitlerowskich żołnierzy i trzech oficerów, a także kilka spalonych samochodów.

Gdyby ktoś przypatrzył się wtedy bliżej tym naszym może zbyt brawurowym wypadom, dostrzegłby pewien interesujący i wymowny szczegół: w starciu z kolumną niemieckich samochodów wielką odwagą i męstwem wyróżnili się dwaj ludzie w mundurach hitlerowskiej armii. Niedawno służyli jeszcze w Wehrmachcie, teraz byli w polskiej partyzantce. Jeden z nich nazywał się Józef Breitfuss i był, podobnie jak i drugi, Austriakiem. W cywilu robotnik, w Wehrmachcie minier brygady przeciwlotniczej, przeszedł w czasie akcji pacyfikacyjnej na naszą stronę i odtąd należał do najdzielniejszych ludzi w swoim oddziale. Nienawidził hitlerowców

i walczył z nimi z wielką zaciętością. Chodził przy tym w dalszym ciągu w dawnym mundurze, co nieraz bardzo myliło wroga. Teraz też w pierwszym szeregu atakujących był w swoim mundurze feldgrau. Przeciwno niemu głównie zwrócili swoją wściekłość hitlerowcy.

Atak na sztab hitlerowskiego pułku powiódł się nadspodziewanie. Zdobyliśmy sporo broni i amunicji i - co najważniejsze - sztandar pułkowy oraz wiele sztabowych dokumentów. A gdy nasi chłopcy kolbami karabinów rozbili jedną ze skrzyń, posypały się z niej hitlerowskie ordery. Nastąpił moment jakiegoś ogromnego upojenia. Wdeptane w piach i igliwie hitlerowskie

odznaczenia bojowe! Hitlerowski sztandar pułkowy powiewający w naszych rękach! Zdawało się nam w tym momencie, że cała niemiecka buta leży oto u naszych stóp.

Niebezpieczna to chwila, kiedy w wyniku niewielkiego i łatwo odniesionego zwycięstwa przestaje się widzieć wokół siebie wielkie zagrożenie.

Tak było tym razem. Zdawało się, że nasi ludzie po drobnych sukcesach zapomnieli o rzeczywistości, jaka nas otaczała. Gdyby nie trzeźwy rozsądek starych dowódców i działaczy partyjnych, partyzancka fantazja poniosłaby z pewnością naszych

młodych żołnierzy jeszcze dalej, a rezultat mógłby być bardzo smutny. I tak zresztą znaleźliśmy się w nie lada opałach.

Kiedy upojeni łątowo odniesionym zwycięstwem ruszyliśmy dalej na północ, w lasy gościeradowskie, i zatrzymaliśmy się w pewnym miejscu dla dokładniejszego zorientowania się w sytuacji, przed nami wyrosły niespodziewanie rozwinięte do walki gęste tyraliery hitlerowskiej piechoty.

Jednostka, której pododdziały zaatakowaliśmy, nie straciła jeszcze bynajmniej - jak się teraz mogliśmy przekonać - swojej zdolności bojowej. Kiedy dowództwo jej zorientowało się,

że na leśnych drogach działają jakieś grupy partyzanckie, natychmiast przystąpiło do przeciwdziałania. Co najmniej dwa pułki hitlerowskiej piechoty rzucone zostały do przeczesywania lasu.

Sytuacja, jaka się wytworzyła, była dla nas bardzo niebezpieczna. Mieliśmy zbyt małe siły, aby walczyć z taką przewagą frontowego wojska niemieckiego. Trudno było też liczyć na jakiś dłuższy i skuteczny opór z naszej strony. Nasz aktyw partyjny i działacze konspiracyjnych rad narodowych, zgrupowani razem, narażeni byli na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, i to w przededniu wyzwolenia tych terenów, na których, zgodnie z naszym

programem, mieliśmy tuż po wyzwoleniu przystąpić do odbudowy władzy ludowej i wcielania w czyn podstawowych reform społecznych.

Nie było czasu na zastanawianie się, należało jak najszybciej przyjąć jakiś plan działania. Po krótkiej wymianie zdań i tym razem decyzję pozostawiono dowódcy brygady. Jego bogate doświadczenie, wyniesione częściowo z hiszpańskiej wojny domowej, której był uczestnikiem, dodawało wszystkim otuchy i wiary w szczęśliwy i zwycięski koniec naszych tarapatów.

Krótki rozkaz dowódcy brygady nakazywał wszystkim działaczom politycznym, a szczególnie kobietom

oraz rannym wraz z taborami i sprzętem przesunąć się w las na północ. Nas natomiast, otrząskanych już z leśnymi walkami, wraz z częścią swojej brygady, rozwinął szybko w głębokim rowie, biegnącym równoległe do niemieckiego natarcia, z zadaniem zatrzymania na jakiś czas nacierającej piechoty niemieckiej, a następnie oderwania się od niej i zmylenia kierunku naszego odejścia. Cały plan był obliczony na cofanie się przed nieprzyjacielem metodą kluczenia w lesie i wprowadzania go w błąd przez organizowanie zasadzek w różnych punktach i zadawania strat. W ten sposób zamierzaliśmy doczekać nocy i pod osłoną ciemności przejść linię

frontu.

Już w pierwszym starciu okazało się, że mamy do czynienia z przeciwnikiem zaprawionym w bojach i bardzo zdecydowanym. Nie bez własnych strat też udało nam się przedrzeć w głąb lasu, ale tu sytuacja stała się od razu bardzo trudna. Niemców mieliśmy i za sobą, i na skrzydłach. Niełatwo było przy tym zorientować się, które grupy biorą udział w pościgu za nami, a które po prostu znajdują się w marszu. Dokoła warczały samochody, czołgi, motocykle. Jednocześnie hitlerowska piechota systematycznie, metr po metrze, przeczesywała las.

Nietrudno było rozszyfrować niemieckie

plany. Spychano nas w kierunku, gdzie kończył się las, a zaczynało się pole. Gdyby hitlerowcom udało się nas wypchnąć z lasu, cały oddział czekałaby zagłada.

Dowodzenie całością naszej grupy stało się bardzo utrudnione. Miał rację „Kot”, wysuwając na ostatniej odprawie u Tompolskiego propozycję pozostawienia taboru. Teraz, w warunkach, jakie się wytworzyły, byłby on tylko przysłowiową kulą u nogi.

Sytuację do pewnego stopnia ratowało duże doświadczenie, jakie zdobyli nasi ludzie w walkach leśnych, i chyba właśnie to umiejętne zachowanie się

wówczas każdego z nas rekompensowało jakoś wielką przewagę sił hitlerowskich nad nami.

Nietrudno było zrozumieć, że w warunkach, w jakich się znaleźliśmy, każdy z nas odpowiada sam za siebie i trzeba się tu kierować wyłącznie własnym partyzanckim instynktem. Nie było to zresztą dla nikogo nowością, podobne sytuacje przeżywaliśmy już nieraz w swojej partyzanckiej karierze.

Klucząc po bezdrożach, wymykaliśmy się jakoś z tej matni. Wreszcie zapadliśmy w największym gąszczu.

Niebo nad nami było jeszcze jasne, ale tu, w głębi lasu, zapadał już mrok. Chyba nigdy z takim utęsknieniem nie

oczekiwaliśmy nocy. Znużeni marszami i ciągłym przedzieraniem się przez bezdroża, waliliśmy się wprost z nóg. Dokuczało pragnienie. Ludzie kładli się, gdzie popadło, i natychmiast zasypiali. Ci, którzy musieli czuwać, z niepokojem wsłuchiwali się w odgłosy nadchodzącej nocy. Ze wszystkich stron słychać było na leśnych drogach ruch niemieckich wojsk. Gdzieś niedaleko warczały samochody i czołgi. Słychać było terkotanie motocykli. Skrzypiały wozy taborów. I ta przekłeta świadomość, że nasz oddziałek może być w każdej chwili starty na miazgę!

Nie, nie udała nam się ta ostatnia partyzancka wyprawa. A zaczęło się wszystko przecież bardzo pomyślnie.

Upłynęła może godzina, może dwie...
Poderwała nas na równe nogi gęsta
strzelanina. Niemcy!

Decyzja mogła być już tylko jedna:
podzielić się na małe grupki i niech
każda próbuje szczęścia na własną rękę.
A nuż uda się którejś pod osłoną nocy
wydrzeć z tego przeklętego lasu?

W pewnej chwili zauważyliśmy, że
część naszych ludzi zawieruszyła się
gdzieś w chaosie walki. Nie
wiedzieliśmy, gdzie są i co się z nimi
dzieje. Brakowało między innymi
„Alego”. Uważaliśmy jednak, że jako
doświadczony, stary konspirator
i partyzant wcześniej niż my zrozumiał
potrzebę rozproszenia się na niewielkie

grupy. A może, znalazłszy się w jakiejś trudnej sytuacji, nie miał po prostu innego wyboru i odłączył się z kilkoma lub kilkunastoma towarzyszami, kierując się gdzieś w znane sobie bezpieczniejsze miejsce?

Tylko „Polę” prześladowało jakieś złe przeczucie. Siedziała zmęczona na pniaku i ze smutkiem w pięknych oczach powtarzała swoje denerwujące: Nie mamy już „Alego”. Dopiero kilka mocniejszych słów któregoś z towarzyszy pomogło jej otrząsnąć się i powrócić do groźnej rzeczywistości.

Utworzyło się kilka grup. Ja znalazłem się w jednej grupie ze „Znachorem” i „Lisem”. Inną grupę wziął pod swoją

komendę „Grab”. Jeszcze inną - „Wicek”. W naszej było może trzydziestu ludzi. Ruszyliśmy skrajem w stronę wioski Budki. Znajdował się tam dobrze nam znany, długi wąwóz, który zaczynał się w lesie i wybiegał dość daleko w pole. Mieliśmy nadzieję, że może tamtędy uda się nam wymknąć z lasu.

Kiedy jednak dotarliśmy do wąwozu i wyszliśmy z gęstwiny drzew, powitały nas serie z karabinów maszynowych. I tu byli Niemcy. Trzeba było co szybciej wracać w głąb lasu. Tylko tam, w gęstwinie, okrążeni partyzanci mieli jakieś szanse manewrowania i wymykania się nieprzyjacielowi spod jego uderzeń.

Zataczając duży luk, podchodzimy w innym miejscu na skraj lasu, tym razem na kierunku wioski Dąbrowa.

Klucząc i gubiąc się po drodze, znaleźliśmy wreszcie jakąś lukę. Udało nam się wyjść w pole.

Jak cienie posuwaliśmy się teraz połą drogą, pragnąc odskoczyć możliwie najdalej od lasu. Z tyłu dobiegały nas coraz to dalsze odgłosy strzelaniny. To próbowały przebijać się inne nasze grupy...

Maszerowaliśmy już może jakieś pół godziny, gdy nagle z niedalekiej odległości dobiegł nas brzęk oporządzenia i głosy rozmawiających. Noc była na tyle jasna, że jak na dłoni

dostrzeegliśmy maszerujący w przeciwnym kierunku, drogą równoległą do naszej, spory oddział Niemców. Pamiętam, że na ten widok serce podeszło mi aż pod gardło.

Kryć się? Na to było już za późno. Uciekać? Byliśmy potwornie zmęczeni i wyczerpani całodziennym kluczeniem po lasach. Ucieczka nie dawała nam zresztą żadnych szans.

Niemcy już nas zauważyli. Byli tak blisko, że widzieliśmy, jak pokazują nas sobie rękami.

Kierowani jakimś rozpaczliwym wysiłkiem i chyba instynktem, nie zwolniliśmy tempa marszu. Odruchowo każdy z nas tylko odbezpieczył broń.

- Hej, wy tam! - dobiegło nas nagle z kolumny niemieckiej po polsku. - Kim jesteście i gdzie idziecie?

- Idziemy do domu. Zostawcie nas w spokoju - odkrzyknął któryś z naszych.

- A dużo was? - zapytał znowu tamten.

- Wystarczy - padła odpowiedź.

W kolumnie niemieckiej zarżał zbiorowy śmiech. Widocznie ten, który mówił po polsku, przetłumaczył naszą odpowiedź.

Nietrudno sobie wyobrazić nasze zdumienie, gdy stwierdziliśmy, że Niemcy, nie przerywając marszu, zostawiają nas w spokoju i idą dalej. Wkrótce byli już daleko za nami.

Z szybkiego tempa, w jakim maszerował ów oddział, wywnioskowaliśmy, że bardzo im się spieszyło i nie mieli po prostu czasu wdawać się w potyczkę. A może brakowało już ochoty?

Cicho jak cienie przesuwamy się na przełaj przez pola. Duszna noc potęguje zmęczenie. Chwilami czuje się jakieś otepienie i zobojętnienie na wszystko, co się wokół dzieje. Tylko pole, którym idziemy, zryte lejami po bombach i pociskach artyleryjskich, przypomina, że trzeba być czujnym i w każdej chwili gotowym na jakieś ewentualne zaskoczenie. Co pewien czas słysząc, jak ktoś stęknie i zaklnie po cichu, wpadając do niewidocznego leja lub opuszczonego okopu.

Niedaleko Dąbrowy przystanęliśmy, aby się jakoś pozbierać. I wtedy niespodziewanie okazało się, że jest nas tylko dziesięciu. Reszta pogubiła się w ciemnościach.

Gorzki był smak porażki poniesionej w ostatniej partyzanckiej walce...

Myliliśmy się sądząc, że to już koniec wszystkich przeżyć związanych z tą lipcową nocą.

Nastawał świt. Należało pomyśleć o tym, gdzie się ukryć. Znałem w Dąbrowie gospodarza, który mógłby nam udzielić schronienia. Cóż z tego, skoro wszystkie wsie były pełne w tym czasie Niemców. Zalegliśmy więc w kartoflach, obserwując ciemniejące

w dali zabudowania. Niewiele nam to jednak dało. Trzeba było podczołgać się bliżej.

W polu stały wyrównanym rzędem mandle zboża. Byliśmy tak zmęczeni, że nie zwróciło naszej uwagi nawet to, że mandle stoją nie na rzysku, lecz w kartoflach. Dla nas stanowiły one w tej chwili po prostu dogodną osłonę, za którą można się skryć i niepostrzeżenie skradać do wsi. Gdy jednak podczołgaliśmy się bliżej, w pobliskiej kopie snopków - ku naszemu najwyższemu zdumieniu i zrozumiałemu przerażeniu - zachręściło coś metalicznego i natychmiast potem gruchnęła krótka seria z kaemu.

Przywarliśmy znowu do ziemi. To nie były mendle. To były... czołgi. Cały długi, nie kończący się rząd wrogich czołgów. A zatem przewidywania nasze sprawdziły się.

I w tej wsi byli Niemcy.

Niebo już jednak szarzało. Nie mieliśmy chwili do stracenia. Cofnięcie się nic by nam chyba nie pomogło. Poczołgaliśmy się więc nieco w bok i wypatrzyliśmy dogodne miejsce, w którym udało nam się opuścić niebezpieczny teren. Potem, omijając Dąbrowę, dobiegliśmy wreszcie do zabudowań kolonii Trzydnik. Była to wioska po komasacji, jej zabudowania leżały daleko jedno od drugiego. Mieszkał tu jeden z naszych

towarzyszy z AL. Nazywał się Stefan Jarzyna. Jak jednak dowiedzieć się, czy nie ma u niego Niemców?

Podkradłem się pod okno i ostrożnie zapukałem cztery razy. To był umówiony sygnał.

Nikt nie otwierał.

Zapukałem głośniejszym drugim razem - również bez widocznego efektu.

Nagle, obejrzawszy się, ujrzałem wycelowaną w moją stronę lufę pepeszy.

- Ruki w wierch! - posłyszałem w tym momencie.

W pierwszej chwili myślałem, że to radzieccy partyzanci. Teraz dopiero

spozstrzegłem, że z komina chałupy unosi się dym. Przyszło mi do głowy, że Jarzyna jednak dość nieostrożnie podejmuje partyzantów w momencie, gdy we wsi są Niemcy, a na pobliskim polu stoi kupa hitlerowskich czołgów.

- Wy tu tak spokojnie, a we wsi Niemcy - zacząłem nie zwracając uwagi na wycelowane lufy. - Ładni z was wartownicy.

Wśród wartowników nastąpiło poruszenie. Wywołali kogoś z izby.

To nie byli partyzanci. To byli... radzieccy żołnierze.

I czołgi, które obchodziliśmy skrycie, z narażeniem życia, też były radzieckie. Okazało się, że nic o tym nie wiedząc,

przeszliśmy linię frontu.

Kwaterujący w chałupie Stefana Jarzyny radzieccy żołnierze obudzili kapitana, dowódcę pododdziału. Ten wysłuchał naszych relacji i obiecał zawieźć nas rano do sztabu dywizji. Tymczasem ugościł nas i zorganizował jakieś spanie.

Byliśmy już tak zmęczeni, że zasypialiśmy stojąc.

Odpoczynek był krótki.

Zaraz rano otrzymałem od kapitana Willysa i pojechaliśmy do Rzeczycy Księżej, gdzie kwaterował sztab nacierającej radzieckiej dywizji.

Powiedziałem, kim jesteśmy, zrelacjonowałem ostatnie wydarzenia

w lasach gościeradowskich i przekazałem radzieckim towarzyszom niemieckie dokumenty sztabowe, zdobyte we wczorajszej potyczce. Były wśród nich również mapy, nad którymi od razu pochyłili się z ciekawością sztabowcy.

Zdobycz okazała się cenna i radzieccy oficerowie bardzo się z niej cieszyli. Część dokumentów dotyczyła bowiem planów niemieckiej obrony na Wiśle, a na mapach były naszkicowane fragmenty obrony, którą miał zająć ów pułk. Podane były także sąsiednie jednostki. Z otrzymanych dokumentów wynikało, że hitlerowcy postanowili utrzymać na wschodnim brzegu rzeki przyczółek.

W sztabie dywizji dowiedziałem się, że w ciągu godzin rannych front przesunął się dalej na południe i zachód i że Niemcy wycofali się już całkowicie z lasów gościeradowskich. Na moją prośbę udzielono mi pomocy w odszukaniu rannych i zaginionych towarzyszy. Pojechaliśmy samochodem. Zabraliśmy ciała poległych. Było ich sporo. Odnaleźliśmy również kilku ciężko rannych, wśród których znajdował się Stanisław Szot - „Kot”. Solidnie postrzelany, zaszył się w jakichś gąszczach i tam doczekał dnia. Razem z innymi odesłaliśmy go natychmiast do szpitala.

Odnaleziono również ciało „Poli”. Zginęła przeszyta niemieckimi

pociskami w walce na samym skraju lasu. Jej śmierć była dla nas ciężkim przeżyciem.

Nie wszystkim poległym jednak mogliśmy urządzić wspólny partyzancki pogrzeb w Rzeczycy. Niektórzy padli w zbożu za lasem, inni w gęstych zaroślach. Ich ciała długo jeszcze potem znajdowali miejscowi chłopci. Do wolności zabrakło im dosłownie kilku godzin życia.

Dopiero po paru dniach w lesie Klementowizna odnalezione zostało ciało „Alego” i Mieczysława Drąga z Rzeczycy. Obaj zostali zabici prawdopodobnie w przeddzień naszego przejścia przez front. Okoliczności,

w jakich polegli, do dziś nie zostały wyjaśnione.

Nie mieliśmy sił, by radować się wyzwoleniem tak, jak to sobie każdy wcześniej wyobrażał. Zbyt drogo nas ono kosztowało, zbyt wielkie zniwo zebrała śmierć w ostatnią partyzancką noc. Zginęli przecież starzy doświadczeni działacze naszego ruchu. Czy trzeba mówić, czym była dla nas i jak głęboko wstrząsnęła wszystkimi śmierć „Alego”?

Teraz, po wyzwoleniu, kiedy trzeba było budować władzę i kiedy stawało przed nami tyle nowych, ważnych zadań - jak bardzo przydałoby się bogate doświadczenie i jego, i innych poległych

towarzyszy. Dla nas, którym dane było wyjść cało z zawieruchy wojennej, zaczynał się nowy etap pracy i walki.

Koniec i początek

Zgodnie z otrzymaną wcześniej od naszych władz centralnych dyrektywą, zalecającą, aby po wyzwoleniu Lubelszczyzny jako zadanie najpilniejsze potraktować powołanie do życia organów władzy ludowej na terenach, gdzie zostanie nas wyzwolenie, już następnego dnia udaliśmy się do powiatowego Kraśnika. Na trzech drabiniastych wozach, wymoszczonych obficie słomą, ruszamy o świcie z

Rzeczycy. Znowu z tej samej Rzeczycy, z której tyle razy udawaliśmy się na partyzanckie akcje i której mieszkańcy przeszli tak wiele burzliwych wydarzeń, zanim nastąpił ich pierwszy dzień wolności. Z Rzeczycy nazwanej przez naszych przeciwników politycznych „Moskwą”, ze wsi, z której wziął początek cały nasz lewicowy ruch wyzwoleńczy na terenach południowej Lubelszczyzny.

Siedząc na wozie obok „Znachora”, rozmyślałem, jak to się stało, że właśnie Rzeczyca, a nie inna wieś, odegrała w konspiracyjnej walce z okupantem tak doniosłą rolę. Zagadnąłem o to „Znachora”. Znacznie starszy ode mnie, znany z inteligencji i bystrego umysłu,

łatwiej niż inni wyrabiał sobie sądy o ludziach i rzeczach. Predestynowały go do tego i studia wyższe, które skończył, i bogate doświadczenie życiowe. Prowadziliśmy z nim często szerokie dyskusje na rozmaite tematy, zwłaszcza w lesie, kiedy w przerwach między poszczególnymi akcjami można było poświęcić na to więcej czasu. Teraz również chciałem się podzielić z nim swoimi myślami i usłyszeć jego zdanie.

„Znachor” - równy chłop, jak go zwykliśmy określać, znany ze swych skłonności do gawędziarstwa - rad podjął temat.

- Widzisz - powiedział - cudów na

świecie nie spotkasz, wszystko ma swoją przyczynę. Pytasz, dlaczego Rzeczyca. A cóż w tym dziwnego? Sam przecież mówiłeś mi kiedyś, jak to właśnie wasza Rzeczyca zorganizowała w trzydziestym piątym roku pierwszy w tych stronach pochód majowy, który odbił się głośnym echem na tym terenie. Mieliśmy po prostu dobrych działaczy, oddanych sprawie, i to zadecydowało. Nie każda wieś - kontynuował - może się pochwalić „Alim” Szymańskim, choć w żadnej nie brakuje ludzi oddanych i dzielnych. Nie przeczę, że działalność „Alego” wybiegała daleko poza obręb rodzinnej wsi, przyznasz chyba jednak, że idee jego najsilniej promieniowały właśnie na mieszkańców Rzeczycy. To

chyba zadecydowało, że u was najwcześniej powstała i rozwinęła swą ożywioną działalność Komunistyczna Partia Polski. Dalej już chyba wszystko jasne. Nic dziwnego, że kiedy w czterdziestym drugim roku zaistniały warunki do stworzenia nowej, wyzwoleńczej organizacji bojowej, jaką była Gwardia Ludowa, Rzeczycy była ideologicznie najlepiej przygotowana do podjęcia inicjatywy i pełnienia w rozpoczynającej się wówczas walce kierowniczej roli. Sam fakt powołania pierwszej konspiracyjnej Powiatowej Rady Narodowej na Lubelszczyźnie właśnie w Rzeczycy również chyba nie był dziełem przypadku...

Słuchałem prostej i przekonywującej

argumentacji „Znachora”, w której wszystko składało się w przejrzystą - logiczną całość. Myśl wybiegała już do Kraśnika, dokąd jechaliśmy organizować władzę ludową. Oprócz mnie i „Znachora” jechali z nami nauczyciel, Lucjan Dziwisiński, i Walenty Czarnecki - wybrani podczas pamiętnego zebrania na plebani u księdza Niedźwiedzkiego w kwietniu 1944 roku, członkowie rady narodowej na powiat kraśnicki, która właśnie w dniu dzisiejszym ma wyjść z konspiracji i ogłosić się powiatową władzą.

Jako siłę zbrojną mieliśmy ze sobą około trzydziestu partyzantów pod dowództwem porucznika „Ronina”.

Wiedzieliśmy, że chociaż Niemców już nie ma, zadanie nasze nie będzie łatwe ani proste. Z informacji, jakie do nas dochodziły po przejściu przez front, wynikało, że kiedy myśmy się jeszcze bili z Niemcami w lasach gościeradowskich, w wyzwolonym już Kraśniku władzę obejmowała Armia Krajowa. Żadną miarą nie chcieliśmy dopuścić do starcia zbrojnego z akowcami, kto jednak mógł wówczas przewidzieć, jak się naprawdę wszystko potoczy...

Jest piękny lipcowy dzień. Po obfitym deszczu, jaki spadł w nocy, tu i ówdzie stoją kałuże na rozmięklej drodze.

Około godziny jedenastej wjeżdżamy do

Kraśnika. Dziwny obraz, nie oglądany nigdy przedtem ani potem. Radość swobodnie poruszających się po raz pierwszy od pięciu lat ludzi miesza się z przygnębiającym widokiem pozamykanych na wszystkie spusty drzwi i okien większości domów, nieczynne sklepy, pozamykane urzędy... Tylko gęsto kręcące się po mieście patrole żołnierzy Armii Krajowej z biało-czerwonymi opaskami na lewym rękawie świadczyły o tym, że jest tu już jakiś gospodarz. Zatrzymano nas nawet na rogatkach, próbowano legitymować, pytając cośmy za jedni i po co przybywamy.

Spokojna i zdecydowana postawa naszych partyzantów odebrała jednak

akowcom ochotę do dalszego interesowania się nami.

Przewidując wcześniej ewentualne przeszkody, na jakie w momencie przejmowania władzy możemy być narażeni ze strony AK, zakazaliśmy surowo naszym żołnierzom używania broni i doprowadzania do jakichkolwiek incydentów z żołnierzami Armii Krajowej. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że sam fakt wyzwolenia Lubelszczyzny przez Armię Radziecką i nasze Wojsko Polskie oraz obecność wojsk wyzwoleńczych na naszych terenach będą wystarczającym argumentem w pertraktacjach z przedstawicielami Armii Krajowej w czasie obejmowania przez naszą

Powiatową Radę Narodową władzy w Kraśniku.

Kiedy zatrzymaliśmy się na rynku, wokół naszych wozów zgromadził się tłum dorosłych i dzieci. Oglądali nas ludzie ze wszystkich stron, ciekawi, co też dalej będziemy robić.

Dowódca naszej grupy otrzymał rozkaz ubezpieczenia się na wszelki wypadek i trzymania swoich ludzi w pełnej gotowości do wykonania jakiegoś ewentualnego zadania.

Razem z Dziwisińskim i „Znachorem”, w towarzystwie kilku uzbrojonych ludzi, idziemy najpierw do radzieckiego wojennego komendanta miasta. Był nim starszy lejtnant Iwanow, docent z jakiejś

wyższej uczelni w Moskwie. Zmobilizowany na czas wojny jako oficer rezerwy, w niczym nie przypominał typowego zawodowego oficera.

Nie musieliśmy czekać. Iwanow przyjął nas zaraz i wdał się z nami w dłuższą, przyjacielską pogawędkę. Usłyszawszy, jaki jest cel naszej wizyty, bez dłuższego zastanowienia powiedział:

- No charaszo, nada wam pastroit' wasze prawicielstwo. Nasze dieło bit' faszystow i aswabadit' wasze ziemle, a pariadok u was eto wasze dieło. Pażałsta, diełajtie, my budiem pomagat'.

Od niego też dowiedzieliśmy się, że AK, poza zorganizowaniem posterunku

policji w Kraśniku, żadnej innej władzy, jak dotąd, w mieście nie ustanowiła, wyczekując na ostateczne wyjaśnienie sytuacji.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak bardzo nam to ułatwiło zadanie. Pozostała teraz tylko sprawa dogadania się z powiatowym komendantem AK, porucznikiem Piotrem Irackim, który przed wojną pełnił funkcję powiatowego komendanta „Strzelca” w Tomaszowie Lubelskim i wiadomo było, że niełatwo zrezygnuje z zadania, jakie na terenie powiatu kraśnickiego powierzyła mu jego „góra”.

Do czasu naszego przyjazdu Iracki próbował już reprezentować na tym

terenie władzę polską.

Po spotkaniu z nim okazało się, że sprawa jest trudniejsza, niż przypuszczaliśmy. Pierwsze rozmowy nie dały prawie żadnego rezultatu. Porucznik Iracki nie precyzował jasno swego stanowiska, zasłaniał się rozkazami przełożonych, utrzymując, że sam, bez ich wiedzy, nie może prowadzić z nami żadnych pertraktacji ani podejmować jakichkolwiek decyzji. Odnosiliśmy, prawdę mówiąc, wrażenie, że nie bardzo chce z nami rozmawiać. Do rozmów tych zmusił Irackiego dopiero rozwój najbliższych wydarzeń.

Zapowiedzieliśmy wielki wiec

mieszkańców miasta, rozwieszając na murach domów odbitą w wielu egzemplarzach na maszynie odezwę Powiatowej Rady Narodowej.

Akowcy próbowali zorganizować bojkot wiecu, zamiar ich jednak najwidoczniej spalił na panewce, następnego bowiem dnia na rynku zebrały się o określonej godzinie tłumy ludności Kraśnika i pobliskich okolic.

Jako pierwszy przemawiał polski oficer, porucznik Wydra, przybyły z Lublina na moją telefoniczną prośbę. Polski mundur oficerski i rogatywka z orzełkiem, widziane tu po raz pierwszy od 1939 roku, zrobiły na zebranych ogromne wrażenie. Zbiegło się całe miasto.

Porucznik mówił o dalekiej drodze, jaką przebyły walczące u boku Armii Radzieckiej oddziały Wojska Polskiego, o bohaterstwie polskich żołnierzy, którzy pod dowództwem generała Berlinga wraz z żołnierzami radzieckimi, gromiąc hitlerowców, wyzwalały coraz większe połacie ziemi ojczystej, mszcząc krzywdy narodu polskiego na drodze swego zwycięskiego marszu, który w niedługim czasie doprowadzi do całkowitego wyzwolenia kraju i ostatecznego zwycięstwa nad niemieckim faszyzmem w Berlinie.

Po wystąpieniu porucznika Wydry zabrałem głos ja, przedstawiając zgromadzonej na wiecu ludności

powstałą w Rzeczycy naszą Powiatową Radę Narodową, która obejmuje właśnie władzę w powiecie kraśnickim, i apelując jednocześnie do społeczeństwa o uznanie i ścisłe przestrzeganie jej pierwszych zarządzeń, co jest konieczne ze względu na sytuację wojenną i powagę chwili.

Pamiętam entuzjastyczne przyjęcie, z jakim spotkały się nasze wystąpienia, i owację, zgotowaną przedstawicielom nowej władzy. Pamiętam nasze gorące przemówienia, w których mówiliśmy o Polsce, która się rodzi, i o tym, co oznaczać będzie władza ludowa. Nagle, o dziwo, ustąpiły lody. Tego samego jeszcze dnia otworzyły się okiennice sklepów, życie zaczęło powracać

stopniowo do normy. Zaroily się ulice tłumem ludzi - głodnych może i nędznie ubranych, ale pełnych entuzjazmu i najlepszych nadziei, z radością przeżywających swój pierwszy dzień wolności.

Tak właśnie bardzo zwyczajnie opowiedział się Kraśnik za władzę ludową.

Iracki, widząc taki obrót sprawy, aczkolwiek niechętnie, zmuszony był rozpocząć z nami pertraktacje, w wyniku których część jego ludzi weszła w skład Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej w Kraśniku. Natomiast on sam, nie chcąc współpracować z nami, ustąpił i - jak się później okazało

- ukrywszy przedtem większą część broni, opuścił Kraśnik.

Zdawaliśmy sobie dobrze sprawę z tego, że nie wszystkim podoba się taka władza, gdzie obok nauczyciela Dziwisińskiego zasiada chłop z Rzeczycy Ziemiańskiej, Walenty Czarnecki, a obok aptekarza Stanisława Czerwińskiego we władzach miejskich znaleźli się nasi starzy gwardziści. Niektórzy inaczej wyobrażali sobie porządek w wyzwolonej Polsce. Cóż, Polska była tutaj, na miejscu, a Londyn - daleko.

Po kilku dniach meldowałem się w Lublinie Naczelnemu Dowódcy Wojska Polskiego, generałowi „Roli” -

Żymierskiemu.

Gdy wraz z szefem okręgowej służby zdrowia „Znachorem”, w partyzanckim jeszcze ubraniu i z ciężkim visem wiszącym u pasa, omijając biuro przepustek, znaleźliśmy się przed budynkiem Sztabu Głównego, zatrzymała nas żandarmeria ubrana w tradycyjne polskie mundury „kanarków”. Musieliśmy wyglądać obaj co najmniej podejrzanie, ale nie brak nam było pewności siebie.

Kilku energicznych młodych żołnierzy żandarmerii w żółtych czapkach i ze sznurami na ramionach obskoczyło nas niespodziewanie z bronią gotową do strzału, żądając od nas legitymacji.

- Oto nasze legitymacje -
odpowiedzieliśmy wyciągając nasze
visy. - Legitymujemy się nimi przeszło
dwa lata.

- Ręce do góry! - wykrzyknął kapral
znajdujący się wśród tych
sympatycznych, lecz
bezkompromisowych chłopców.

- Nie jesteśmy przyzwyczajeni do tego
i nie zawracajcie nam głowy,
zameldujcie nas lepiej generałowi
„Roli” - odpowiada spokojnie
„Znachor”, zupełnie tak jakby nie słyszał
polecenia kaprała.

Kłopotliwą dla obydwu stron dyskusję
przerywa zbliżający się do nas sierżant
żandarmerii, Hauer.

Starszy nieco wiekiem od swoich kolegów, popatrzył na nas z bliska, pokręcił głową z nieukontentowaniem i nakazując swoim żołnierzom, aby nas dobrze pilnowali, sam oddalił się i zniknął w drzwiach budynku. Po dłuższej chwili wyszedł w towarzystwie przystojnego, młodego kapitana. Jak się później dowiedziałem, był to Szerszeń, adiutant Naczelnego Dowódcy.

- To wy, panowie, do Naczelnego Dowódcy? - zapytał zdziwiony, zwracając się do nas.

- Tak, my, towarzyszu kapitanie - odpowiedziałem spokojnie.

- A cóż wy za sprawę możecie mieć do Naczelnego Dowódcy? - pytał

w dalszym ciągu z ironicznym uśmiechem przystojny kapitan. - Zresztą nie ma o czym mówić, dla takich interesantów dowódca nie ma czasu. Wybijcie to sobie lepiej z głowy. A za nielegalne wejście na teren sztabu będziecie odpowiadać. Co to za porządek, sierżancie Hauer?! - zakończył ostro energiczny kapitan.

Sierżant Hauer stał przed kapitanem wyprężony, z rękami na szwach spodni. Tak samo zachowywali się pozostali żołnierze z żandarmerii.

Patrzyłem z zadowoleniem na tych ładnie wyglądających chłopców. I wtedy właśnie poczułem, że wojsko zaczyna mi się podobać. Tylko, że

sytuacja, w jakiej zrodził się we mnie ten sentyment do munduru, była dla nas wybitnie niekorzystna. Zacząłem na wszelki wypadek wyjaśniać kapitanowi, co my za jedni. Do generała „Roli” przychodzimy z jego rozkazu. Rozkaz ten otrzymaliśmy w lesie, kiedy generał był z nami.

Po tych wyjaśnieniach kapitan - jakkolwiek widać było, że nie opuszczają go nadal wątpliwości - pozostawił sierżanta Hauera z nami, a sam energicznym krokiem wszedł do siedziby sztabu. Po jakimś czasie znów się pojawił.

Naczelny Dowódca Wojska Polskiego, pomimo nawału pracy w tym okresie,

znalazł czas na przyjęcie takich jak my interesantów.

Nielegalne wejście na teren sztabu i zachowanie się nasze wobec żandarmerii było z naszej strony nietaktem, to zrozumieliśmy. Wszystko jednak puszczono nam w niepamięć, gdy kapitan Szerszeń zobaczył scenę powitania z generałem. Kiedy zaprowadził nas do adiutantury i zameldował Naczelnemu Dowódcy, ten ku zdziwieniu wszystkich wyszedł sam na spotkanie i takich - brudnych i nie ogolonych - serdecznie uściskał. Natychmiast też kazał zatroszczyć się dla nas o śniadanie i kwaterę. A potem, przy lampce wina, powiedział mi niby żartem:

- Partyzantka, mój kochany, się skończyła. Od jutra mundur i do pracy w wojsku, kapitanie.

- Jestem tylko porucznikiem - sprostowałem. - A poza tym, jeśli już do wojska, to chyba najpierw do szkoły oficerskiej...

- Od jutra jesteście kapitanem, a na szkołę zgadzam się - odpowiedział Naczelnny Dowódca.

W kilka dni potem leciałem samolotem do Riazania, do oficerskiej szkoły Wojska Polskiego. Wiozłem ze sobą - obok zapachu do nauki - bagaż okupacyjnych przeżyć i garść wspomnień z ostatnich chwil. W uszach dźwięczały jeszcze słowa serdecznych

pożegnań z towarzyszami partyzanckiej walki, których droga - w mundurach odrodzonego wojska - wiodła teraz na Berlin, i ostatni akcent z gwarnej w owych dniach ulicy lubelskiej - nasz hymn gwardyjski, śpiewany dziarsko przez jadących na zachód żołnierzy:

...więc zarepetuj broń,
i w serce wroga mierz...

Wydanie V poprawione i uzupełnione

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

Okładkę, obwolutę i stronę tytułową projektował

KRZYSZTOF ROLLA

Redaktor MIECZYŚLAW ZAPAŁ

Redaktor techniczny ZBIGNIEW MAREK

Korekta KRYSZYNA AUGUSTYNEK ELŻBIETA

LIPNIEWSKA

Książka zatwierdzona przez Ministerstwo Oświaty pismem z dnia 9 I 1965 r. Nr P4-3283/64 do bibliotek szkół podstawowych kl. VII, liceów ogólnokształcących, zakładów kształcenia nauczycieli, szkół przysposobienia rolniczego, zasadniczych szkół zawodowych i techników.

WYDAWNICTWO LUBELSKIE LUBLIN 1976

Wydanie V. Nakład 15 000+270 egz. Ark. wyd. 24,5. Ark. druk. 31,25 + 2 ark. ze zdjęciami. Papier ilustracyjny kl. III, 80 g, 82X104 cm. Oddano do składania 13 lipca 1976 roku. Druk ukończono w grudniu 1976 r. Cena zł 60.-

Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne, Rzeszów, ul. Marchlewskiego 19 Z7 Zam. 2326/76